ARTUR
DOMOSŁAWSKI

GORĄCZKA
LATYNOAMERYKAŃSKA

Świat Książki

ARTUR

DOMOSŁAWSKI

GORĄCZKA LATYNOAMERYKAŃSKA

Redaktor prowadzący

Tomasz Jendryczko

Redakcja

Maria Konopka-Wichrowska

Redakcja techniczna

Julita Czachorowska

Korekta

Zofia Firek

Grażyna Brzezińska

Copyright © by Artur Domosławski 2004

Niektóre teksty lub ich fragmenty były publikowane na łamach „Gazety Wyborczej”

Copyright © for the e-book edition by Weltbild Polska Sp. z o.o., Warszawa 2011

Wydanie II poprawione

Świat Książki

Warszawa 2011

Weltbild Polska Sp. z o.o.

ul. Hankiewicza 2

02-103 Warszawa

ISBN 978-83-7799-145-9

Konwersja do formatu EPUB: Virtualo Sp. z o.o.

virtualo.eu

Spis treści

Z Hawany (1)

Miniatura I (Carlos Fuentes)

Fidel (1)

Dzieje Rewolucji przez Pío Serrano opowiedziane (1)

Z Hawany (2)

Fidel (2)

Z Hawany (3)

Fidel (3)

Dzieje Rewolucji przez Pío Serrano opowiedziane (2)

Miniatura II (mit Kuby)

Z Hawany (4)

Miniatura III (Jorge G. Castañeda)

Jesień partyzantów

Miniatura IV (kardynał Paulo Evaristo Arns)

Święty, wyklęty (dom Hélder Cámara)

Miniatura V (aresztowanie Pinocheta)

Chile: lekcja historii. Trzydzieści lat później (1)

Opowieść jednego wygnańca (1)

Chile: lekcja historii. Trzydzieści lat później (2)

Opowieść jednego wygnańca (2)

Chile: lekcja historii. Trzydzieści lat później (3)

Opowieść jednego wygnańca (3)

Chile: lekcja historii. Trzydzieści lat później (4)

Opowieść jednego wygnańca (4)

Chile: lekcja historii. Trzydzieści lat później (5)

Miniatura VI (*desaparecido*)

„Zniknięci” (1)

Miniatura VII (inny, czyli wróg)

„Zniknięci” (2)

Miniatura VIII (terroryzm państwowy)

„Zniknięci” (3)

Miniatura IX (nazi-junta)

Noc ołówków

Miniatura X (po dyktaturze)

Czarna księga antykomunizmu (USA wobec Ameryki Łacińskiej)

Miniatura XI (postantyjankesizm)

Inna rzeka, inna bajka (polityczne przypadki Gabriela Garcii Marqueza)

Miniatura XII (Enrique Krauze)

PRI-tanic zatonął

Miniatura X (Polska w Meksyku)

Chirurgia bez anestezjologa. Dzieje pewnego eksperymentu (1)

Miniatura XIV (od utopii do utopii)

Chirurgia bez anestezjologa. Dzieje pewnego eksperymentu (2)

Miniatura XV („idiota latynoamerykański”)

Opowieści Rio de Janeiro

Miniatura XVI („kolumbizacja”)

Czas Apokalipsy – sceny kolumbijskie (1)

Krótka kronika kolumbijskiej przemocy

Czas Apokalipsy – sceny kolumbijskie (2)

Miniatura XVII (guevaromania – 1)

Relikwie świętego partyzanta (1)

Miniatura XVIII (guevaromania – 2)

Relikwie świętego partyzanta (2)

Miniatura XIX (bankructwo dogmatów)

Marcos

Miniatura XX (koniec rewolucji)

Mesjasz na Karaibach: Hugo Chávez

Miniatura XXI (modlitwa za świat)

Nowe szaty radykała: Lula

Precz wszyscy! Argentyńska gorączka (1)

Miniatura XX (a gdy wyczerpie się gniew…)

Precz wszyscy! Argentyńska gorączka (2)

Wybrana bibliografia

Z Hawany (1)

– U nas nawet prostytutki mają wykształcenie uniwersyteckie.

Kiedy robił rewolucję, mówił, że Kuba, nasza Kuba, wolna Kuba, nie będzie więcej burdelem Jankesów, a pół wieku później, w ciemnych uliczkach centrum blisko starej Hawany, dziewczyny z wyższym wykształceniem łapały za spodnie, gotowe za dwadzieścia baksów, nawet za dziesiątaka, tylko dlatego, że wyglądam na *gringo* i mógłbym lekką ręką odpalić z półtorej kubańskiej pensji.

Hawana czasów Fidela to burdel, jakiego świat nie widział!

A na bulwarze Obispo to dopiero przedstawienie – ze światłami, bo tam latarnie, które na dodatek dawały światło, a to wcale nieoczywiste, że jak latarnia, to zaraz światło. Dziewczyny głośno cmokały na cudzoziemców, patrząc zazdrośnie na te, które już sobie wycmokały towarzystwo brzuchatych, podstarzałych turystów.

Seks z wyższym wykształceniem. Nawet o van Dycku można pogadać. I o rosyjskich klasykach. Wiedza na wyspie Fidela Castro nie szła na marne. Żyć nie umierać, *cuba libre, buena vista social club,* i co-tam-jeszcze-kto-chce! Dopiero tam na człowieka spływała wiara w wyższość Rewolucji Kubańskiej. Nad czym? Nad czymkolwiek.

To o dziewczynkach i wykształceniu Brodacz naopowiadał amerykańskiemu reżyserowi Olivierowi Stone'owi. Przyczynek do tego, żeby ostatni etap Rewolucji opisywać jako stadium sklerozy.

„Rewolucja w czasach sklerozy” – tak powinien się nazywać ten rozdział moich notatek.

Wszyscy robili swoje: ludzie czekali w porannej spiekocie na trzystuosobowy

autobus, zwany z powodu dwugarbnej przyczepy „wielbłądem”; zagraniczni turyści snuli się po starej Hawanie; rząd czuwał nad Rewolucją. Po robocie na państwowym – ci z autobusu mieli wreszcie czas na kombinowanie, bo bez kombinowania nijak przeżyć; a rząd czuwał, żeby mieli spokój. W wieczornej audycji telewizyjnej eleganccy, nieco melancholijni panowie, jak co dzień, rozdeptywali „robactwo z Miami i Waszyngtonu”. Śladem porannej „Granmy” niepokoili się bezrobociem w Niemczech, mrozami w Moskwie, terrorem państwowym w Bangladeszu i strajkami w Gwatemali.

Nic nie zapowiadało burzy. Nie zbierały się chmury.

Ósmego marca dwutysięcznego trzeciego roku Fidel Castro wziął udział w inauguracji konwentu sióstr zakonnych pod wezwaniem Najświętszego Zbawiciela. W obecności nuncjusza Stolicy Apostolskiej matka Tekla wręczyła Komendantowi Rewolucji Krzyż Ekumeniczny z gwiazdą Świętej Brygidy, patronki zakonu. Zapewniła Komendanta o modlitwach sióstr za niego i za lud kubański. Papież Jan Paweł II przesłał na ręce Fidela list, w którym ciepło wspomniał wizytę na wyspie w dziewięćdziesiątym ósmym. Siostra Tekla zapewniła Fidela, że Ojciec Święty miłuje go z całego serca, a Fidel poprosił o przekazanie Papieżowi podziękowań za jego wielką miłość.

Gdy trzy lata wcześniej po raz pierwszy wylądowałem na wyspie, Castro miał usta pełne Papieża. W Hawanie odbywał się zjazd międzynarodowej organizacji studenckiej. Przyjechało ponad siedmiuset studentów ze Stanów Zjednoczonych. Fidel odegrał przed nimi *show* w Pałacu Zjazdów.

Powtarzał:

„Jak uczy papież Jan Paweł II…”,

„Jak powiedział Papież…”,

„Papież przypomina… ”

W drugiej części zdania za każdym razem padało coś o „solidarności z ubogimi”, „amerykańskiej blokadzie Kuby”, „krwiożerczym neoliberalizmie”. Słowa Papieża były słowami Fidela. Castro obwieszczał w ten sposób, jakiego to sojusznika ma w walce z krwiożerczym kapitalizmem i podłą Ameryką.

Do wiary katolickiej wolno się było na Kubie przyznawać od osiemdziesiątego piątego, kiedy to wódz Rewolucji ogłosił wywiad-rzekę z brazylijskim dominikaninem-rewolucjonistą bratem Betto, *Fidel y la religion* (Fidel i religia). Od tamtej pory chodzenie do kościoła, choć niemile widziane, tolerowano. Po wizycie Papieża Castro zrobił kolejny krok: ogłosił, że nie ma sprzeczności

między chodzeniem do kościoła i należeniem do Komunistycznej Partii Kuby. Z podróży po wyspie w roku dwutysięcznym została mi w pamięci gigantyczna szopka bożonarodzeniowa wystawiona na zabytkowym placu u wrót wspaniałej hawańskiej katedry, w sercu stolicy.

Tak oto po raz pierwszy w porewolucyjnej historii Kuby święto kościelne było dniem wolnym od pracy; młodzież z Ameryki tłumnie gościła na wyspie; a Fidel cytował zagranicznym studentom słowa Jana Pawła II.

Był w świetnej formie. Sypał dowcipami, za co amerykańscy studenci odpłacali mu gromkimi oklaskami. Żywioł Fidela: wódz i masy, mistrz i uczniowie.

– Mój przyjaciel Gabriel García Márquez mówi, że jedno jest pewne: nigdy nie umrę na raka prostaty… (Owacje, oklaski, papierowe chorągiewki. Fidel uśmiecha się łobuzersko, ma w oczach błysk, którego trudno nie kupić)…bo mimo swoich lat potrafię mówić pięć, sześć, osiem godzin bez wychodzenia… (Fidel! Fidel!)

Trzy lata po tamtym występie za Krzyż Świętej Brygidy dziękował matce Tekli starzec o drżącym i chrypiącym głosie. – Różnie z nim bywa – opowiadała mi później znajoma Kubanka. – Raz wygląda jak ciągle jurny byczek (śmiech), innym razem jak gdyby miał za chwilę przewrócić się i skonać.

Zdrowie Komendanta było niczym gra w kości.

Nie tylko zdrowie. Gdy osiemnastego marca wieczorem smutni panowie w telewizji rozdeptywali słowami Jamesa Casona, szefa Sekcji Interesów USA w Hawanie, mało kto przypuszczał, że to przygrywka do czegoś więcej. Że zbierają się chmury i nadciąga polityczny huragan. Tamtego wieczoru szefa amerykańskiej Sekcji oskarżono o to, że finansował „zdrajców Rewolucji" i kubańskich „sługusów imperium"; że zapraszał do swojej siedziby „niezależnych dziennikarzy"; że nie informował kubańskiego ministerstwa spraw zagranicznych o wyjazdach poza Hawanę (wymóg postawiony Amerykanom w umowie o powołaniu Sekcji z roku siedemdziesiątego dziewiątego); i że przejechał w ciągu roku po wyspie sześć tysięcy mil – skandal!

W tym samym czasie, gdy w telewizji nadawano na żywo program o Casonie, bezpieka wyciągała z domów działaczy antyfidelowej opozycji. Pierwszego wieczoru wyciągnięto około pięćdziesięciu. Następnego – dwudziestu ośmiu. Dwa tygodnie później zapadły pierwsze wyroki – dwadzieścia osiem lat

więzienia, dwadzieścia lat więzienia, piętnaście… Dla kilkunastu skazanych prokurator żądał dożywocia; dla jednego – kary śmierci.

Dopiero tamtego dnia pojąłem słowa Javiera, starego rewolucjonisty, funkcjonariusza Partii i Wysokiego Urzędu Państwowego, wierzącego fidelisty, który z wodzem Rewolucji był jeszcze w czasach, kiedy nie dostawało się za to medali, lecz groziły tortury, więzienie, cicha śmierć w zaułkach Hawany albo Santiago de Cuba. – Mamy dowody – przekonywał mnie Javier – że amerykańska Sekcja finansuje opozycję. Jakie dowody, gdzie? – Widziałem nagranie – Javier ciągnął spokojnie i pewny swego – na którym pan Cason wręcza pieniądze Oswaldowi Pai [najbardziej znanemu opozycjoniście]. Bądź spokojny, jak przyjdzie czas, pokażemy dowody.

Czas przyszedł dwa dni po moim wyjeździe z Hawany. Reżim pokazał dziennikarzom nagranie, na którym Cason mówi o wspieraniu przez Stany Zjednoczone opozycji na Kubie i funduszach na ten cel.

Zanim Javier nalał rum, zanim w ogóle o nim usłyszałem, była Hawana. Właściwie to najpierw było marzenie o Hawanie. Irracjonalnie silne, nawet namiętne, dzisiaj myślę, że do granic śmieszności. W różne miejsca trafiałem dużo wcześniej, spędziłem kilka miesięcy w Brazylii, byłem w Argentynie, otarłem się o Paragwaj, z Meksyku nadawałem korespondencje dla gazety, gdy upadała najdziwniejsza na świecie półdyktatura… A do Hawany jakoś trafić nie mogłem, zawsze piętrzyły się przeszkody. Ten brak rekompensowałem sobie lekturami. Najpierw wyczytałem wszystko, co mnie interesowało po polsku, potem od znajomego profesora pożyczałem niedostępne w bibliotekach książki po angielsku i zamawiałem przez Internet – wszystko co mieli dobrego. Znosiłem do domu opasłe tomy z księgarni hiszpańskiej, w której Madeleine, uciekinierka z Kuby, podsuwała mi coraz to nowe tomiska, podsycała zaciekawienie wyspą.

Na Kubę przyleciałem wykuty jak na jakiś cholerny egzamin. Naprawdę mało co mnie dziwiło. Ani to, że aby wjechać do rewolucyjnego raju, trzeba było wpierw odbyć długą rozmowę z mundurowym służbistą, który groźnym spojrzeniem prześwietlał stosunek człowieka do Rewolucji. Ani to, że za wózek na lotnisku trzeba było zapłacić dolara. Ani że dla cudzoziemców było wszystko, a dla Kubańczyków nic.

Za drugim razem, gdy przyleciałem do Hawany, nie chcieli mnie wpuścić.

Przetrząsali wszystko, notowali tytuły gazet, jakie wiozłem z Caracas, a nawet tytuły poszczególnych artykułów, wypytywali, o czym piszę, a potem chodzili meldować ubekowi w cywilnym ubraniu. Gdyby nie interwencja kolegi z ambasady, Tomka Wodzyńskiego, odesłaliby mnie z powrotem. Straciłbym czas, pieniądze, a przede wszystkim nie poznałbym Javiera fidelisty, i nie spotkałbym paru ważnych dla mojej opowieści osób.

Lecz zanim zjawił się Javier, była Hawana po raz pierwszy, bez Javiera, i to, że mało co mnie dziwiło. Mało co – z wyjątkiem samego miasta. Człowiek ogląda albumy, filmy, słucha na okrągło muzyki z Buena Vista Social Club, która podbiła Amerykę i Europę, ale nie ma o niczym pojęcia, dopóki nie dotknie ziemi, nie poczuje zapachu powietrza, nie zobaczy naprawdę rozpadającego się miasta. Tak, rozpadającego się, rozkładającego się, gnijącego, cuchnącego spalinami i ściekami, złamanego, przetrąconego, ale gdzieś w środku ciągle tlącego się żarem ludzi, którzy tam mieszkają; godnością, jaką w sobie noszą.

Hawana umierała. Właściwie czekała, aż umrze Brodacz, ale po trochu gasła razem z nim. Ciągle było znać ślady przeszłości, chciałem napisać „znakomitej przeszłości", lecz wiem, że znakomita nie była. Gdyby była, nie byłoby Brodacza, nie byłoby tego wszystkiego, i pewnie nie byłoby tam również mnie.

Przeszłość Hawany dawała o sobie znać na każdym kroku. W architektonicznym detalu: romantycznym balkoniku, wysmakowanym łuczku, doskonałej bryle – i nagromadzeniu tych perełek, niezwykłej ich obfitości, niemal orgii. Przeszłość była zapisana w jankeskich samochodach z lat czterdziestych, które jakimś nieznanym prawem techniki wciąż śmigały po szosach. Przeszłość była w opowieściach ludzi. Ale ta przeszłość, która niepielęgnowana przetrwała pół wieku rządów Brodacza, teraz gasła. Balkoniki trzeszczały, z łuczków i ścian odpadał tynk, bryła się kruszyła, a instalacje elektryczne samochodów wilgotniały w czasie deszczu i dumne niegdyś cryslery, buicki musiały robić przymusowy postój, aż przestanie padać.

Nie gaśli tylko ludzie, to znaczy niektórzy zgaśli, jeszcze o nich napiszę, ale większość nauczyła się żyć w tym gnijącym świecie, który – tak przynajmniej wierzyli – ciągle miał przyszłość. Ale dopiero po śmierci Brodacza *(El Barbudo),* Starca *(El Viejo),* Szaleńca *(El Loco).*

To on zamienił Hawanę w slums. Mówią, że znienawidził miasto. Hawana była siedliskiem rozpusty, burdelem *gringos,* gniazdem zamożnej elity. Po Rewolucji Brodacz postanowił zemścić się na mieście i zostawił je na pastwę czasu.

Dopiero gdy bieda przycisnęła i uchylił na wyspie lufcik dla turystów, kazał odnowić stare miasto, bo cudzoziemcy, bo dolary, bo szpan, bo szyk. Ale to tak jakby w domu wyremontować salon, a wokół zostawić gruzy. Nie, stare miasto nie było w stanie zasłonić rozpadu, procesów gnilnych, zapachu końca.

Teraz myślę, że to chyba aura dekadencji, upadku, ostatniej godziny ekscytowała mnie w Hawanie najbardziej. Lubiłem sobie wyobrażać, że jestem kronikarzem upadającego świata, kronikarzem, który dostał nie-wiadomo-skąd wiadomość o nadchodzącym finale i miał jeszcze czas na zrobienie ostatnich fotografii i notatek. Wiedziałem, że ten świat zniknie już za chwilę i nigdy nie wróci. Chyba wszyscy to przeczuwali. Myślę, że przeczuwał to nawet Javier, i jak gdyby chcąc odwlec wykonanie wyroku, który dawno zapadł, próbował zagadać to, co wkrótce miało nadejść.

Musiał coś wiedzieć o aresztowaniach. Może bez szczegółów, w bezpiece chyba nie dorabiał, ale coś wiedział na pewno. Tamtego wietrznego wieczoru, kiedy gawędziliśmy przy podłym, ciepłym rumie w skromnym domku w centrum Hawany (żadnych szczegółów, jesteś znajomym, nie dziennikarzem) wziąłem jego słowa o „dowodach" przeciwko antycastrowskiej opozycji za propagandowe bajki wiernego fidelisty. Bo Javier był wierny i niewzruszony jak skała. Na skałach takich jak on Fidel wznosił rewolucyjny „kościół".

– Javier – kłóciłem się – ludzie żebrzą, wyciągają ręce po cukierki, ciastka, długopisy, stare buty; Kubę zalewają czarne dolary, chcesz powiedzieć, że to wszystko przez amerykańskie embargo? – Przepraszam – powiedział Javier – o „embargu" mówicie wy; my mówimy „blokada". Nie, nie chcemy, żeby Kubę zalały dolary. – Więc protestujesz, Javier, przeciwko blokadzie, tak? – To oczywiste. – I Fidel też jest przeciwko blokadzie? – Nie może być inaczej. – No, ale jeśli Amerykanie zniosą blokadę, to dopiero zaleją was dolary! Javier macha ręką na znak protestu. – Nie, nie, nas dolary nie zaleją, my mamy idee. – Jakie idee, dolary już was zalały, nie widzisz? I tak w kółko.

Javier przyznał się, że zarabia trzysta dziewięćdziesiąt peso, niecałe piętnaście dolarów. Oblicza na głos miesięczne wydatki: dwanaście *peso* – prąd, dziewięć *peso* – woda, piętnaście *peso* – telefon, trzy *peso* – na Komitet Obrony Rewolucji… Dobra, powiedzmy, że dodając inne wydatki, będzie tego sto *peso*. Reszta idzie na jedzenie, papierosy, a jak nie starcza nam jedzenia na „książeczkę" (kubański odpowiednik wschodnioeuropejskich kartek),

dokupujemy na targu – bez reglamentacji, i drożej. Konkluzja: z pensji można żyć, nie luksusowo, ale nieźle.

– Nie mogę tego słuchać – do rozmowy włącza się żona Javiera. – Powiedziałbyś, ile na papierosy wydajesz! Javier palił zagraniczne, później sprawdziłem i wyszło, że pensji w peso starczało mu na same papierosy. W toalecie zauważyłem męskie kosmetyki znanej francuskiej firmy – następna pensja. Z czego żyje Javier? Jak tu żyć, skoro nawet wierni janczarzy Rewolucji nie mają na podstawowe potrzeby życiowe? Potem udało mi się dowiedzieć, że tak jak większość Kubańczyków, również Javier żył nie z pensji, lecz z dwustu dolarów, które co miesiąc wpadały mu do kieszeni z pewnego nieopodatkowanego procederu. Mistrzostwo hipokryzji!

– Javier – nie dawałem za wygraną – widziałem w Starej Hawanie kamienicę, która z zewnątrz wyglądała w miarę czysto, ale mieszkanie w środku było gorsze od izdebek, jakie widziałem w slumsach Rio de Janeiro: kobieta z mężem i czwórką dzieci w ciemnej norze, jakieś siedem-osiem metrów kwadratowych, bez bieżącej wody (wodę dowoziły cysterny, rury w starej Hawanie nie były wymieniane od kilku dekad); w kącie trzeszczał stary mini-telewizor, dzieciaki wyciągają ręce po cukierki; na środku jedynego „pokoju” barłóg, na którym spała cała szóstka. Strach wyobrazić sobie robactwo, jakie musi się tam gnieździć…

– Takich miejsc w Hawanie nie ma! – uciął Javier – chciałbym zobaczyć, gdzie to widziałeś! W starej Hawanie? Niemożliwe! A czy zapytałeś, z czego żyje ta kobieta? – Z turystów – odpowiedziałem – jak ktoś rzuci grosz, to coś mają. Jej mąż błagał mnie o rozpadające się sandały, ale nie oddałem, to były jedyne moje buty przydatne w hawańskie upały. – Powiem ci coś – Javier znalazł nagle wyjaśnienie – jeśli ona żyje z turystów, to gwarantuję ci, że zarabia więcej niż ja. – Ależ Javier… to ona żyje w slumsie, nie ty, to ona nie ma co jeść… – Nie, nie, nie! Ty nie wiesz, ale na Kubie są ludzie, którym nie chce się pracować, ona ma na pewno każde dziecko z innym facetem.

Odpuściłem. Z rozumowania Javiera wychodziło, że to leniwa kurwa, i dobrze jej tak.

– Owszem, są problemy, jak w każdym kraju – po kolejnej szklaneczce rumu Javier rozluźnił się. – Ja wcale nie mówię, że nasz system jest najlepszy, on jest najlepszy w sensie społecznym! U was jest „demokracja”, ale w cudzysłowie. Co to za demokracja, jeśli prezydenta wybiera się co cztery lata, jeśli po czterech

latach można go odwołać? – Ale u was – zauważam nieśmiało – prezydenta w ogóle nie da się odwołać… Javier nie zwraca uwagi na te burżuazyjne złośliwości i ciągnie swoje: – Spójrz, taki prezydent jak u was poświęca cztery lata, żeby się wzbogacić i co robi? Kradnie! Wy macie pięć, dziesięć, dwadzieścia partii, ale wszystkie są za kapitalizmem. Co to za demokracja?

– A czy na Kubie jest opozycja? – udawałem Greka. Po chwili namysłu: – Tak, oczywiście – odpowiedział niechętnie Javier – zebrali nawet dziesięć tysięcy podpisów pod projektem, żeby były wielopartyjne wybory. A przecież na Kubie są demokratyczne wybory! Nie chcesz, nie głosujesz. Nie chcesz iść demonstrować za Rewolucją na Maleconie (główny bulwar w Hawanie ciągnący się wzdłuż oceanu), to nie idziesz. A zresztą, co to jest dziesięć tysięcy podpisów? Część sfałszowali, a jeśli nawet, to i tak to mniej niż jedna tysięczna z jedenastu milionów Kubańczyków.

Javier zatroskał się nad światem: – Wiem – przyznał – że na globalną rewolucję nie ma dobrej pogody. Ale ja się o Kubę nie martwię, u nas Rewolucja nie upadnie. Rewolucja jest jak Słońce. Gdy w nie patrzysz, nie widzisz plam. One nie są istotne. Bo Słońce grzeje i daje życie. I młode pokolenie w Rewolucję wierzy. Będzie kontynuacja.

Przypomniała mi się scenka z konferencji prasowej Castro – tuż przed wizytą Władimira Putina, który jako pierwszy rosyjski przywódca po upadku Ojczyzny Proletariatu przyjechał na wyspę. Jakiś dziennikarz spytał wodza Rewolucji, jak będzie wyglądała Kuba „w epoce po Castro”. Fidel zrobił zdziwioną minę, a po chwili ruszył na żurnalistę, jak zraniony byk. – Czy pyta mnie pan, kiedy umrę? Niech się pan tak nie spieszy. Nie będzie żadnej „epoki po Castro”. Rewolucja wychowała nowe pokolenie… – tu wskazał na dwóch młodszych ministrów swojego rządu.

Nowe pokolenie! Dzieci Javiera też uwierzyły w Rewolucję. Tak bardzo, że przeprowadziły się za granicę. Żona Javiera szepnęła mi, że sam ojciec tak im doradził.

Miniatura I

(Carlos Fuentes)

Dawno przestał wierzyć w Rewolucję. Zawsze jest tak samo: najpierw precz z tyranią i korupcją, wiwat wszystkie stany, a potem nocne pukanie do drzwi, szczęk karabinu i smutne rocznice w kalendarzu. Każda rewolucja tworzy najpierw własną prawomocność, historię, legendę. W rodzinnym Meksyku miała za sobą dziesięć lat walki, milion zabitych, heroiczną epopeję. Lud wierzył w Rewolucję. Ale pewnego październikowego dnia na placu Tlatelolco Rewolucja otworzyła ogień do ludu. Był rok 1968.

– Uwięziono pisarzy… Byłem wtedy w Paryżu i stamtąd napisałem list protestacyjny. Spotkałem się z Mariem Vargasem Llosą i Juliem Cortazarem, wspólnie zaprotestowaliśmy przeciw masakrze na Tlatelolco i aresztowaniu José Revueltasa. Nikt nie mógł się oszukiwać – to już nie Rewolucja, to represyjny autorytaryzm.

Carlos Fuentes zwalnia opowieść. – Wie pan, kiedyś wszyscy w Ameryce Łacińskiej przyklasnęliśmy zwycięstwu rewolucji kubańskiej i dojściu do władzy Fidela Castro. Potem do rewolucji włączył się „czynnik zewnętrzny” – jak zawsze w historii Kuby. Kiedyś była kolonią hiszpańską, potem amerykańską, wreszcie sowiecką. Ale to Amerykanie utrzymali Castro u władzy przez tyle dziesięcioleci. Powiedziałem kiedyś prezydentowi Clintonowi: Gdyby nie wasza

wrogość, władza Fidela rozsypałaby się jak zamek z kart wiele lat temu. To dzięki wam mógł przedstawiać się jako wódz rewolucji, wróg imperializmu i kubańskiego nacjonalizmu. Nikt nie ponosi większej odpowiedzialności za długie lata rządów Castro niż prezydenci Stanów Zjednoczonych, których przeżył!

Wiele lat temu Carlos Fuentes napisał powieść *Śmierć Artemia Cruz.* Jej bohaterem jest rewolucjonista i idealista, który dochodzi do władzy i u władzy korumpuje swoje ideały. Zapytałem Fuentesa, czy we wzlocie i upadku Artemia Cruz wolno dopatrywać się uniwersalnego mechanizmu właściwego ludziom władzy, również rewolucjonistom takim jak Fidel, którzy zbrukali własną legendę. – Nie wiem – odpowiedział Fuentes – czy Fidel Castro był kiedykolwiek człowiekiem skorumpowanym, ale całkowicie autorytarnym na pewno. Rewolucja kubańska stała się repliką zatęchłego hispano-arabskiego *caudillismo,* autorytarnego państwa wodzowskiego. Ale nie zawsze tak było. Nie tak miało być…

W historii Ameryki Łacińskiej często pojawiał się zbawiciel w kostiumie rewolucjonisty. W dzieciństwie uczęszczał do szkół katolickich, należał do społecznej elity lub jej okolic, a w pewnym momencie buntował się przeciwko władzy, społeczeństwu, rodzinie i próbował naprawiać zło świata. Taki był Simón Bolívar, XlX-wieczny wyzwoliciel i twórca kilku państw południowoamerykańskich.

Takie były początki Fidela Castro…

Fidel (1)

„Jak magnes przyciąga opiłki żelazne, tak Fidel przyciąga do siebie ludzi, którzy pragną uścisnąć jego rękę, dotknąć rękawa” – zachwycali się po rewolucji na Kubie Paul Sweezy i Leo Hubermann, wyrocznie lewicującej ekonomii amerykańskiej. „Namiętny humanista”, „polityczny geniusz”… Podobnie C. Wright Mills, *enfant terrible* amerykańskiej socjologii: „Należy do tej nielicznej garstki ludzi, którzy tworzą historię XX stulecia. To on był rewolucją w czasie tych ubiegłych lat, miesięcy, dni”.

Wielka gorączka na małej wyspie rozpalała wyobraźnię wszystkich marzycieli nie tylko w Trzecim Świecie. Ruszała z posad bryła świata…

„Niektórzy komentatorzy zwą go poufale Fidel. Czy nazywaliby Hitlera imieniem Adolf?” – pytał Guillermo Cabrera Infante, znany pisarz kubańskiej emigracji. „Tak jak Stalin, Fidel Castro jest najwyższym arbitrem”. „Z Castro – nic, przeciw Castro – wszystko”.

Dla wielu ludzi w Ameryce Łacińskiej pozostał półbogiem – mimo krachu komunizmu, mimo kartek na mięso, buty, zabawki, mimo więźniów sumienia.

Gdy w połowie lat dziewięćdziesiątych pojechałem pierwszy raz do Brazylii, opowiadano mi, jak pewien miejscowy magnat zawsze czule witał Fidela, wyściskał, ugościł. Gdyby żył na Kubie, byłby „wrogiem ludu”.

– O co tu chodzi? – zapytałem Clovisa Rossiego, wybitnego dziennikarza z Sao Paulo, który ma bardzo już siwą brodę. – Dla polskiej opinii Castro to czerwony despota z szaleństwem w oczach; jeden z takich, którzy w Polsce, Chinach, Kambodży wsadzali do więzień, zrywali paznokcie, uprawiali pola śmierci. Rossi odpowiedział, a później jeszcze wielu szacownych krytyków i sympatyków Fidela

powtórzyło mi mniej więcej to samo: to był pierwszy chojrak w Ameryce Łacińskiej, do tego z wyspy położonej niecałych dziewięćdziesiąt mil od Florydy, który powiedział „nie" amerykańskiemu imperializmowi, jak się wtedy mówiło. – Dla was, w Europie, doświadczeniem XX wieku były dwie wojny i dwa totalizmy. Naszym – były, i wciąż są, nędza, wyzysk, niesprawiedliwość, dominacja Stanów Zjednoczonych, rabunkowa eksploatacja naszych krajów. To zrodziło rewolucję na Kubie i Fidela. Zuchwały brodacz z małej wyspy rzucił wyzwanie wielkiej Ameryce w imieniu całego regionu. I wygrał. Mimo że zamienił rewolucję w tyranię, pamięta mu się dawną, heroiczną historię. I wiele wybacza. Bo jest NASZ.

– Nie zapominaj – dorzucił Rossi – o jeszcze jednym: Fidel Castro to gigant. Przy przeciętniakach, którzy zaludnili świat polityki, Fidel to gotycka katedra obok przydrożnych kapliczek.

Retor.

Na początku było Słowo, powiada ewangelista Jan. Na początku Rewolucji też było słowo – Fidela. I wszystko przez nie się stało.

Siedmiogodzinne tyrady – rewolucyjna liturgia. Ironią i żarcikami, złośliwostkami i scenicznymi gestami, detalicznymi opisami i propagandowymi uproszczeniami – Fidel zakreśla kontury świata. Sam pyta i sam odpowiada. Kpi i wyśmiewa. Wynosi i strąca. Naucza i karci. W labiryncie retorycznych figur, potoku barokowych skojarzeń określa, co jest prawdą, a co fałszem; co dobrem, a co złem. „W obrębie Rewolucji – wszystko; przeciwko Rewolucji – nic". Poza Rewolucją nie ma zbawienia…

„Słowo Fidela – pisał Carlos Alberto Montaner, pisarz i polityk kubańskiej emigracji doby castryzmu – to dogmatyczna busola, pozwalająca ocenić, czy jakaś myśl jest rewolucyjna, czy nie. Jeśli nie – trzeba ją odrzucić".

„Przy okazji każdego wydarzenia Fidel apeluje do opinii publicznej bądź osobiście, bądź za pomocą telewizji – notował w gorączce rewolucyjnej C. Wright Mills. – Po jego przemówieniach rozwiewają się wszystkie niemal wątpliwości. Nigdy przedtem opinia publiczna nie była tak ściśle zespolona z tymi, którzy sprawują władzę". Po latach ktoś powiedział, że Fidel i telewizja, Fidel i masy – są dla siebie stworzeni. Nade wszystko jednak: Fidel i słowo.

Rekordowa oracja trwała ponoć dwanaście godzin. Gdy rozprawiał się z wewnątrzpartyjną opozycją w 1968 roku, skrzyknął Komitet Centralny i za

zamkniętymi drzwiami mówił od południa do północy. Jeden z biografów doliczył się w latach 1966–1984 – bagatela! – stu trzydziestu przemówień o samych tylko medycynie i zdrowiu. Wspólną z Fidelem odsiadkę brat Raúl wspominał jako koszmar. Fidel nie dawał mu spać tygodniami, mówił bez przerwy dzień i noc.

Jako licealista, a potem adept sztuki adwokackiej ćwiczył podobno przed lustrem. Kolekcjonował filipiki Demostenesa i Cycerona. Powiadają, że umiał słuchać; najlepiej nocą. Pożerał detale wydobyte z rozmówcy – ilu radnych ma prowincja Ayacucho, ile samochodów przejeżdża we wtorki szosą transamazońską, jak działa reaktor w elektrowni jądrowej, w którym miejscu zaczyna się kula… Ciekawiła go genetyka i los owcy Dolly. Złośliwcy mówili, że chciał się sklonować. Slogan „Rewolucja jest wieczna” mógłby stać się ciałem. Bo mówimy: Rewolucja, a myślimy: Fidel. Mówimy: Fidel – myślimy: Rewolucja.

Macho.

Wierni mówili o nim: „Ogier” *(Caballo).* Ogier, czyli super *macho.*

Kubańską rewolucję zrobili silni faceci – tacy, co to lubią postrzelać, palą cygara, za kołnierz nie wylewają. Wiedzą też, po co Pan Bóg stworzył kobietę. Oficjalnie „Ogier” ma jednego syna – Fidelita; z jego matką rozwiódł się jeszcze przed rewolucją. Nieoficjalnie ma też córkę Alinę Fernandez, która wyjechała z Kuby i ogłosiła przykre dla papy memuary. Są jeszcze Alejandro, Alexis, Alexander, Antonio i Angelito – z trzecią damą. Liczba nieślubnych dzieci „Najwyższego Przywódcy” jest tematem nieskończonych plotek. Opowiadano, że miał ich jedenaścioro, a nawet czternaścioro – po jednym w każdej z kubańskich prowincji.

Kiedyś kultowy poeta amerykański Allen Ginsberg obraził w Hawanie „machowską” dumę Rewolucji. Publicznie wyraził przekonanie, że tak ognisty ogier jak Fidel musiał mieć w życiu okres homoseksualny. O Che Guevarze zaś Ginsberg rzekł, iż chętnie poszedłby z nim do łóżka. Bladym świtem życzliwi panowie zapukali do pokoju w hotelu Capri i zaoferowali poecie bezpłatne podwiezienie na lotnisko.

W połowie lat sześćdziesiątych rozpoczęła się na Kubie Wielka Czystka seksualna. Z uczelni usuwano setki studentów podejrzanych o skłonności homoerotyczne. A skąd o nich wiedziano? „On pisze dziwaczne wiersze”, „Czesze włosy w dziwny sposób”, „Ci dwaj ciągle do siebie dzwonią”. Represje

objęły aparat władzy i środowiska twórcze. *Machos* nie lubią „pedałów” i mięczaków. Rewolucja to męska rzecz.

Twardziel.

Gdy miał dziesięć lat, omal nie umarł na zapalenie otrzewnej. Kiedy aresztowano statek, którym płynął obalać tyrana Dominikany, wyskoczył do wody i pośród rekinów pokonał dziewięć mil do brzegu. Omal nie zatonął na „desantowym” jachciku „Granma” i omal nie połknął trucizny podrzuconej przez CIA. Nad Murmańskiem jego samolot był o włos od katastrofy. Lotnisko skrywała mgła, w baku nie było paliwa…

Fidel musi mieć jakiś pakt z Bogiem, albo z diabłem – powiedział kiedyś Ernesto Guevara Lynch, ojciec innego słynnego rewolucjonisty, towarzysza Castro.

Gdy w pięćdziesiątym szóstym roku desant osiemdziesięciu dwóch bojowników pod komendą Fidela ugrzązł w błocie, i gdy zaraz potem wojska dyktatora Fulgencia Batisty rozbiły ów desant, Castro z dwoma towarzyszami skryli się na polu trzciny cukrowej. Bez ruchu, wody, jedzenia, przykryci liśćmi, leżeli pięć dni i pięć nocy. Wysysali sok z trzciny, kalecząc wargi i język. Załatwiali się pod siebie. Nad polem latały nisko samoloty zwiadowcze. Fidel uparcie powtarzał: „Wygramy, zwycięstwo będzie nasze”. Ale zasypiał z lufą przy brodzie i palcem na cynglu, bo obiecał sobie, że więcej go nie wezmą. Trzy lata wcześniej, po ataku na koszary Moncada, dał się złapać i dostał wyrok piętnastu lat więzienia. W mowie obrończej wypowiedział patetyczne: „Historia mnie rozgrzeszy”. Rozgrzeszył go tyran Batista. Dzięki amnestii, Fidel wyszedł z celi po dwóch latach. Teraz wiedział, że nie będzie przebaczenia. Ojczyzna albo śmierć!

Wcześniej nieraz wychodził z różnych opresji. W latach studenckich był podejrzany o zabójstwo niejakiego Manola Castro (zbieżność nazwisk przypadkowa), przywódcy jednego z gangów walczących o wpływy w policji, światku przestępczym i polityce. Po testach w komisariacie zwolniono go, ale plama w życiorysie została. Alibi dostarczyli mu później polityczni wrogowie z Miami. – Zrobił wiele strasznego, czy naprawdę trzeba wymyślać coś jeszcze?

Rebelianta i twardziela wyciosali zeń gimnazjalni nauczyciele – jezuici. „Kiedy widziałem jakąś górę – wspomni Fidel po latach – wydawała mi się ona wyzwaniem… Zdarzało się, że cała grupa czekała na mnie przez dwie godziny, bo ja wspinałem się na szczyt. Nie ganiono mnie (…). Kiedy [jezuici] zauważali

u swoich uczniów ducha ryzyka, poświęcenie, gotowość do wysiłku – zachęcali ich, nie chcieli mieć uczniów mięczaków".

Mięczaki na polu trzciny, którzy myśleli o śmierci i samobójstwie, nie mieli jezuickiej zaprawy. Gdy Fidel szeptał: „Dni dyktatury są policzone", Universo Sánchez myślał: „Jak on chce pobić Batistę kilkoma ludźmi? Zwariował". Rząd tymczasem obwieścił, że „doktor Fidel Castro" z czterdziestoma rebeliantami zginął w walce 5 grudnia 1956 roku. Dwa lata później Batista uciekał z Kuby, a Fidel z brodaczami wkraczał do wiwatującej na jego cześć Hawany.

Partyzancki żywot, pełen ryzyka i poświęcenia, to – według Tada Szulca, przenikliwego biografa Castro – klucz do zrozumienia osobowości kubańskiego dyktatora. Ciągłe mobilizowanie do obrony rewolucji, czujności, poświęcenia, wyrzeczeń… „Kryzys rakietowy, śmierć Che, kordon wokół Hawany, 10-milionowy zbiór trzciny cukrowej, peruwiańskie *szumowiny,* angolskie ludobójstwo i wszystkie naruszenia przestrzeni powietrznej i morskiej" – Alina Fernandez, nieślubna córka wodza, wyliczała preteksty narodowego zwierania szyków. Można w tym było widzieć technikę rządzenia, ale również mentalność oblężonej twierdzy (tu: wyspy).

W ustach Fidela poświęcenie dla Rewolucji zyskiwało rys sakralny. „Można porównać – wyznał kiedyś – prześladowania za przekonania religijne, które w gruncie rzeczy były też ideami politycznymi niewolników i ciemiężonych w Rzymie, z systematycznymi i brutalnymi prześladowaniami, których ofiarami w czasach nowożytnych byli nosiciele politycznych idei robotników i chłopów, czyli komuniści".

Heroizm partyzantów z Sierra Maestra, skąd prowadzili wojnę partyzancką, bywał widziany jako dorobiona legenda. Carlos Alberto Montaner, utrzymuje, że *guerrilla* w górach była kaszką z mlekiem – spokój, rzadkie potyczki z wojskiem… Ryzykowali ci z miasta, pod nosem siepaczy. „Prawda jest taka, że armia Batisty nie walczyła i nie przegrała. Ona się rozpadła. Geniusz Castro polegał na odkryciu, że armia nie istnieje. Dziwne tylko, że polityczne zwierzę takiego kalibru uwierzyło w [stworzony przez siebie] mit wojny partyzanckiej. Zaślepienie to kosztowało życie Che Guevarę i tysiące młodych ludzi w Ameryce Łacińskiej, którzy szli w góry otumanieni legendą Sierra Maestra".

Burżuj.

Jak na rewolucjonistę i wyzwoliciela narodowego pochodzenie miał z jednej

strony typowe, a z drugiej – paskudne. Ojciec, hiszpański oficer, tłumił kubańskie powstanie u schyłku XIX wieku. Wrócił na Kubę i został obszarnikiem. Był więc Fidel paniczykiem z hacjendy, karmionym „opium dla ludu" w szkole jezuitów. Potem głowę miał pełną José Martiego, świętego kubańskich patriotów, i marzył o czynach Simona Bolivara. Studiował prawo, wiecował. Znał anarchistów, komunistów, masonów i różnych *pistoleros.* Siebie widział w parlamencie, ale plany pokrzyżował mu zamach stanu Fulgencio Batisty. Był rok 1952.

Kto to był Batista? „Wulgarny ignorant, wojskowy przywódca bez talentu do walki", polityk, który „podniósł korupcję do nieznanych wcześniej rozmiarów" – powiada Montaner. „Kradł, pozwalał kraść, korzystał z kradzieży innych... Był jednym z najbogatszych na świecie". Nie lepiej wyglądał Batista w oczach „imperialisty": Philip Bonsal, ambasador Stanów Zjednoczonych w Hawanie wspominał, że choć po rewolucji „kubańska opinia była karmiona legendą, że armia i aparat Batisty są winne wyrżnięcia dwudziestu tysięcy mężczyzn i kobiet", w rzeczy samej „prawda była i tak straszna". „Tysiące Kubańczyków czuło się uprawnionych do zemsty za zamordowanie rodziny lub przyjaciół". Dyktatura Batisty nie była pewnie najokrutniejszą, jakie zna historia regionu, choć żadna to chwała. Kubańczycy przywykli do szerokich praw socjalnych, jakie dawała im zawieszona przez dyktatora konstytucja, źle znosili rozbój władzy w biały dzień. Biedę cierpieli głównie chłopi, lecz gdyby Batista nie zraził sobie wszystkich grup społecznych, rewolucja ze wsparciem samych tylko wieśniaków wygrać nie musiała. Fidel byłby może posłem jednej z partii i żadna rewolucja by nie wybuchła.

Trybuna całej Kuby uczynił z Fidela poroniony szturm na koszary Moncada w Santiago de Cuba w 1953 roku. Po dwóch latach odsiadki wychodził w glorii męczennika i przywódcy rebelii. Batista nie myślał oddać władzy po dobroci i wszystko wskazywało, że to Fidel – orędownik walki zbrojnej – miał rację, a nie jego krytycy-pacyfiści. Wśród nich pierwsze skrzypce grali komuniści. Ludowa Partia Socjalistyczna (taki szyld mieli komuniści kubańscy) była najbardziej „prawicową" z latynoskich partii komunistycznych. Prawa socjalne – owszem, dyktatura proletariatu – niekoniecznie. „Potępiamy metodę puczu, typową dla grup burżuazyjnych" – grzmieli komuniści na Fidela po nieudanym szturmie na wojskowe koszary. „Heroizm uczestników tej akcji jest fałszywy i bezpłodny, płynie z błędnego myślenia burżuazyjnego...". Nieco później, w czasach partyzanckich, Che Guevara – człowiek numer dwa kubańskiej rewolucji, nazwie

Fidela „autentycznym przywódcą lewego skrzydła burżuazji". Istotnie, próżno szukać u Fidela w tamtym czasie skłonności do komunizowania. Mówił o przywróceniu „burżuazyjnej" konstytucji z 1940. I tyle.

Jeszcze rok po rewolucji było całkiem burżuazyjnie; ani śladu późniejszej rewolucyjnej ascezy. Hulając po hawańskich promenadach, Jean-Paul Sartre narzekał: „W Tropicanie – największym dansingu świata – tłumy przy zielonych stolikach. Jeszcze dotąd uprawia się gry hazardowe? Co do prostytucji, początkowo zamknięto kilka domów publicznych; później już ich nie ruszano. Prawie wszystkie rewolucje mają wspólną cechę – surowość obyczajów; gdzie jest surowość kubańska?".

Gdy prezydent Urrutia (już porewolucyjny) chciał zamknąć kasyna, szulernie i automaty do gier, zrozpaczeni krupierzy pognali po pomoc do… Fidela. Uliczne dziewczyny nie miały tyle tupetu, ale słały listy w obronie swoich praw. „Castro zwołał natychmiast ministrów – opowiada Sartre. – Stali się, powiedział, wspólnikami kretyńskiego i nieludzkiego moralizmu, który może doprowadzić Rewolucję do katastrofy. Znieść domy gry? Proszę bardzo. Ale pod warunkiem, że przekwalifikuje się i zatrudni zwolniony personel. A jak zatrudnić? Jak przekwalifikować, kiedy nie ma przemysłu? Do likwidacji gier przystąpi się dopiero po zlikwidowaniu bezrobocia, a to nie nastąpi jutro. Co do prostytutek, prawie wszystkie pochodzą ze wsi; to dziewczęta z wielodzietnych rodzin, nie mające w domu co jeść: mogły albo zdechnąć, albo się sprzedać. *Za prostytucję weźmiemy się, kiedy skończymy z nędzą chłopów".*

Dla chłopów i partyzantów, grzesznic i krupierów był Fidel półbogiem. Kubańskie dzieci śpiewały: *Jingle bells, jingle bells, always with Fidel,* a gdy triumfalnie objeżdżał wyspę, kobiety całowały go. „Jesteś wspanialszy od Chrystusa" – wołały. Czyż Jezus nie przygarniał wszetecznic?

W tej niemal biblijnej aurze konfiskaty majątków wyglądały jak wyganianie przekupniów ze świątyni. Nacjonalizowano ziemię, amerykańskie firmy, banki. Kubańska oligarchia i „jankescy wyzyskiwacze" poszli z torbami. Straciła nawet rodzina Fidela. Ale drobni przedsiębiorcy nie mogli narzekać. Małe firmy, handel, sklepy zostawiono na razie w spokoju. Ziemi też całkiem nie zabrano, tylko ją okrojono.

Miłośnicy Fidela z Ameryki ekscytowali się, że „rewolucja kubańska to pierwszy w dziejach wypadek dokonania prawdziwie socjalistycznej rewolucji

przez niekomunistów!”. „Po raz pierwszy uwierzyliśmy, że rewolucja w naszych krajach jest możliwa. Do tamtej chwili była romantycznym marzeniem” – napisał Mario Vargas Llosa, po latach surowy krytyk Castro.

„Nie mienili się ani socjalistami, ani komunistami, nie wyznawali żadnej jasno sformułowanej ideologii” – to Sweezy i Hubermann. Fidel i jego brodacze ucieleśniali anarchiczny sen o pogrzebaniu starego, zmurszałego świata. Do czasu.

Przechrzta.

Aż pewnego dnia – wiosną 1961 roku, dwa i pół roku po obaleniu dyktatora Batisty – powiada Fidel do ludu: „Imperialiści nie mogą nam wybaczyć, że robimy socjalistyczną rewolucję pod nosem Stanów Zjednoczonych! Ale my socjalistycznej rewolucji będziemy bronić tymi karabinami!”.

Pierwszy raz Fidel wypowiedział słowa: „socjalistyczna rewolucja”. Ludowa rewolta właśnie znalazła się w momencie krytycznym. Emigranci – na ogół ludzie starego aparatu władzy, bogaci, którym rewolucja zabrała majątki – wyekwipowani przez CIA, wszczęli wojnę w Zatoce Świń. A co mieli do tego Marks, Lenin, „socjalistyczna rewolucja”? Dlaczego nie bito wroga po bożemu, po bolivariańsku, josemartiańsku?

Tad Szulc uważa, że Fidel przechrzcił się na komunizm jeszcze przed rewolucją, gdy komuniści zaczęli pielgrzymować do Sierra Maestra. Podobno Carlos Rafael Rodríguez, mózg kubańskich komunistów, po wielotygodniowych dysputach dokonał konwersji wodza na „nową wiarę”.

Inna hipoteza powiada, że komunistą nie stał się nigdy: jest typowym latynoskim *caudillo,* wodzem, który cynicznie wykorzystał czerwone barwy, żeby utrzymać władzę, uzyskać gwarancje Związku Sowieckiego (czasy zimnej wojny!) i znaczenie na wielkiej szachownicy.

Sam Fidel raz mówił: od początku lat pięćdziesiątych „absolutnie wierzyłem w marksizm”, „miałem solidną koncepcję marksistowsko-leninowskiej walki”; a innym razem bił się w piersi za uleganie w przeszłości „propagandzie imperializmu”. Pewne jest jedno: alians z komunistami rozegrał tak zręcznie, że to oni przyłączali się do niego, nie on do nich.

Francuski entuzjasta, a potem krytyk Fidela, K.S. Karol napisał, że Castro musiał się przecież z kimś zbratać. Partyzanci byli „małą awangardą”, „bez politycznych i administracyjnych kompetencji”. Komuniści coś już wiedzieli,

„mieli poczucie organizacji, dyscyplinę – cechy, które Fidel uważał za podstawowe”; byli „gorącymi zwolennikami władzy wertykalnej”, „przywykli do wiary w mądrość wodza” i mieli „potężnych sojuszników na Wschodzie”. Oportunizm?

„Powinniśmy uwolnić Fidela od zarzutu oportunizmu – uważa K.S. Karol. – Od chwili, gdy wszedł na tę drogę, wierzył w *socjalistyczną rewolucję* z taką samą intensywnością, z jaką w Sierra Maestra wierzył w [„burżuazyjny”] program [ogłoszony po ataku na koszary Moncada]. Jego projekt zmieniał się pod wpływem wydarzeń, ale sam Fidel nie. Był tym samym człowiekiem, wizjonerem, z tą samą pasją, który tak samo jak przedtem wierzył we własną strategię, teraz przekształconą w socjalistyczną i antyimperialistyczną”.

Tylko skąd ta strategia? Pytanie, czy to nie Ameryka popchnęła Fidela w objęcia Marksa i Chruszczowa, stawiane jest bez końca.

Patriota.

Za czasów innej rewolucji, w Meksyku, rzekł pewien generał: „Wszyscy jesteśmy bolszewikami… Nie wiem, co to socjalizm, ale jestem bolszewikiem, tak jak wszyscy patrioci w Meksyku. Jankesi nie lubią bolszewików, Jankesi są naszymi wrogami. Dlatego bolszewicy muszą być naszymi przyjaciółmi, a my przyjaciółmi ich. Wszyscy jesteśmy bolszewikami!”. Taka była piekielna logika zimnej wojny, zauważył kiedyś meksykański intelektualista i polityk Jorge G. Castañeda.

Może cała rewolucja na Kubie była przede wszystkim na złość Wujowi Samowi?

„Słuchajcie Jankesi! – raz jeszcze C.W. Mills, amerykański entuzjasta Rewolucji na Kubie, który postanowił wejść w skórę Kubańczyka. – Podobnie jak większość krajów Ameryki Łacińskiej, mamy po uszy waszych koncernów i działalności, i waszego rządu u nas. Panowaliście nad nami już dość długo. Wasz rząd popierał Batistę aż do ostatniej minuty jego gangsterskiego reżimu. Morze Karaibskie nie jest już północnoamerykańskim jeziorem…”.

Dolary uciekały do Ameryki z każdym błyskiem neonu i z każdym dzwonkiem telefonu. Wielki Sartre ubolewał: „Gdy wieczorami przekręcam kontakt, mój pokój dobywa się z nocy dzięki obcemu towarzystwu – temu samemu, które ma monopol na elektryczność we wszystkich, czy prawie wszystkich państwach Ameryki Łacińskiej. Tak uzyskała swój sens pochodnia, którą wznosi

w nowojorskim porcie olbrzymi i czczy posąg wolności: Amerykanie z Północy oświetlają Nowy Świat, sprzedając mu elektryczność za drogie pieniądze". W Hawanie ciągle żywa była pamięć o upokarzającej poprawce Platta, która dawała Jankesom prawo interwencji „w obronie niepodległości Kuby". Ambasador USA był równie ważny jak miejscowy prezydent. Bogaci *gringos* prowadzali się z kobietami dumnych *machos,* no i prali szmal w hawańskich szulerniach.

Gdy jednak grupa partyzantów z Sierra Maestra porwała turystów z Ameryki, Castro się wściekł. Porwanych wypuszczono – natychmiast i bez dyskusji. Po rewolucji, gdy do Hawany przybył ambasador Bonsal, Fidel powiedział w TV: „Przyjazny i serdeczny dla Kuby. Dobry ambasador". Czy tak mówi lider antyjankeskiej insurekcji?

Podczas triumfalnej podróży do Stanów Zjednoczonych Castro uspokajał: „Nie jesteśmy komunistami". Pokaz dla zagranicy? Niekoniecznie. Agenci CIA i dyplomaci donosili z Hawany, że Castro „nie jest promoskiewskim komunistą". Wiceszef CIA raportował senatowi: „Komuniści uważają go za reprezentanta burżuazji, nie są w stanie zdobyć publicznego uznania, ani wpływu na bieg rewolucji".

Antyjankeska histeria zaczęła się na dobre dopiero wtedy, kiedy po pierwszych nacjonalizacjach Amerykanie upomnieli się o swoje. Ambasador Bonsal przyznaje: Fidel czuł, że musi być antyamerykański, bo Batista był proamerykański. „Propagandy nienawiści nie ograniczono jednak do stosunków Stanów Zjednoczonych z Batistą – ubolewał Bonsal. – Pisano historię na nowo, by wzbudzić maksimum nienawiści do imperialistycznej Ameryki".

Na drugim brzegu było nie lepiej. W pojedynku wyborczym i John F. Kennedy, i Richard Nixon na oczach siedemdziesięciu milionów telewidzów spekulowali, jak najskuteczniej zlikwidować „castryzm". „Słuchałem *poczciwych ludzi* – wspominał K.S. Karol – spokojnych ojców rodzin, dyplomatów po wielkich uczelniach, jak dyskutowali, czy najpierw ogolić Fidelowi brodę, czy przeciwnie – lepiej rozstrzelać go tak jak stoi".

W rewanżu za nacjonalizację Waszyngton zawiesił import kubańskiego cukru.

Jednak cicha wojna przeciwko Castro zaczęła się dwa miesiące po obaleniu Batisty, zanim rewolucja pozbawiła Amerykanów 850 milionów dolarów, które mieli w rafineriach, ranczach, młynach cukrowych. Już w marcu 1959 roku Narodowa Rada Bezpieczeństwa postanowiła: trzeba ustanowić „inny rząd na

Kubie”. Dokumenty CIA z 1960 roku mówią otwarcie o „delikatnej misji, wymagającej akcji w stylu gangsterskim”, której „celem jest likwidacja Fidela Castro”. Wykonawcą miała być mafia. Zamachów było potem ze trzydzieści. Najbliższy celu – gdy odkryto słabość Fidela do koktajli. Chłopak z baru, który przyrządzał *milk-shake'a* miał wsypać truciznę z kapsułki, ale proszek zamarzł w lodówce, kapsułka pękła. Kennedy wycofał ponoć przyzwolenie (polecenie?) na „likwidację” Castro. Przez emisariusza szukał zgody, zabiegi te przerwał zamach w Dallas. Powstała później hipoteza, że to Castro zlecił zamordowanie prezydenta USA. Nigdy jej nie dowiedziono. Relacje emisariusza Kennedy'ego świadczą, że Castro pragnął pokoju równie mocno.

„Pozostaje zagadką – zastanawiał się Tad Szulc – dlaczego [już w marcu 1959], w ciągu pięciu dni od [niezwykłe przyjaznego] spotkania ambasadora USA [z Fidelem], Narodowa Rada Bezpieczeństwa dyskutowała o likwidacji Castro, nie dając szans dyplomacji”. Wygląda na to, że „administracja Eisenhowera od początku miała sekretny plan wykolejenia rewolucji i traktowała to jako kwestię fundamentalną”. Słowem: powtórka z Gwatemali, gdzie pod pretekstem likwidacji „przyczółka komunizmu na zachodniej półkuli” Stany Zjednoczone zmontowały w 1954 roku zamach stanu przeciwko demokratycznemu rządowi Jacobo Arbenza. Ów pucz dał początek jednej z najkrwawszych dyktatur w regionie i rozpętał wojnę domową, trwającą z przerwami niemal do końca lat dziewięćdziesiątych. Z Kubą miało być podobnie. Przychodzi na myśl pytanie, czy „imperializm” USA w tamtej epoce, to aby na pewno tylko slogan lewicy latynoamerykańskiej?

Na nic się zdały przestrogi C.W. Millsa, że „jeśli Jankesi będą nadal codziennie wykrzykiwać przeciwko *komunistom,* wymyślać im i oskarżać o antyjankesizm, może to się stać dla niektórych prawdziwych rewolucjonistów powodem do wstępowania w szeregi Partii Komunistycznej!”.

Ambasador Bonsal powtarza za Ernestem Hemingwayem: „Ufam Chrystusowi, że USA nie odetną skupu cukru. To by czyniło z Kuby prezent dla Rosjan”. Już od siebie dodaje: „Prezent ten został właśnie zrobiony”.

Heretyk.

Istnieje kawiarniana demonologia, wedle której Fidela wymyślili Sowieci, Chińczycy, Bóg-wie-kto-jeszcze, by zdobyć przyczółek u wrót Ameryki. Nie potwierdzają tego żadne źródła. To Ameryka dziesięć dni wcześniej niż Związek

Sowiecki uznała kubański rząd rewolucyjny. Moskwa nie spieszyła się do uścisków z Fidelem. Castro miał opinię awanturnika, Chruszczow był po przyjaznych rozmowach z Eisenhowerem w Camp David… Z perspektywy sowieckiej rewolucja Castro – zrobiona bez, a w pierwszym okresie wbrew, partii komunistycznej – była jedną wielką herezją.

Na początku 1962 roku kubańscy komuniści, wierni Moskwie, podjęli próbę usunięcia Fidela. Zgarnęli większość stanowisk we władzach, przy czym część niejawnie – poprzez „swoich" ludzi w Fidelowym Ruchu 26 Lipca i innych grupach. Fidel uprzedził cios. W pełnym furii przemówieniu w telewizji oskarżył komunistę Anibala Escalante o „sekciarski spisek". Głowy nikt nie stracił, co najwyżej spadł ze stołka. Czy Moskwa spiskowała z kubańskimi rywalami Fidela? Nic pewnego. Jednak ambasadorowi ZSRR, który opuszczał Kubę, Fidel odmówił pożegnalnej rozmowy.

Krótko potem, w obawie przed agresją Ameryki, również z powodu międzynarodowej izolacji, Fidel zawiera jednak przymierze z Chruszczowem. Rosjanie rozmieszczają na wyspie wyrzutnie rakietowe, Amerykanie odpowiadają, że oznacza to wojnę. Świat staje na krawędzi nuklearnej zagłady. W krytycznej chwili Chruszczow wycofuje się i demontuje wyrzutnie. Castro czuje się wystrychnięty na dudka – nie tyle z powodu kapitulacji Chruszczowa, ile dlatego, że ten za jego plecami paktował z jankeskim diabłem. Rozpoczyna się zimna wojna między Hawaną a Moskwą. Rodzi się castrowska herezja.

Zasada pierwsza: odrzucenie dogmatu o prymacie Moskwy w światowym ruchu komunistycznym. „Czy to nie paradoks historii – kpił Fidel z radzieckich towarzyszy – że w chwili, gdy pewne grupy kleru stają się rewolucyjne, niektóre grupy marksistowskie stają się pseudorewolucyjnym kościołem? Mam nadzieję, że nie będę ekskomunikowany, ani doprowadzony przed Świętą Inkwizycję za te słowa. Nie ma nic bardziej antymarksistowskiego niż dogmat i sztywne myślenie. W świecie idei rewolucyjnych nikt nie ma prawa uzurpować sobie monopolu".

Herezję Fidela zrodziło marzenie o socjalizmie, w którym nie będzie bezdusznej biurokracji, i w którym wszystko będzie dla ludzi – teraz, dziś, od zaraz. C.W. Mills upajał się „antybiurokratyczną osobowością Fidela", jego sposobem załatwiania spraw „w sposób jak najbardziej praktyczny i natychmiastowy". Centralne planowanie, współzawodnictwo pracy i instytucje miał zastąpić spontaniczny czyn mas pod wodzą charyzmatycznego przywódcy.

Cała Kuba ścina trzcinę cukrową – szwaczki, praczki i filozofowie! Demokracja robotnicza w zakładach pracy – jak najbardziej, ale związki zawodowe – nigdy w życiu! Rosjan, Węgrów, Czechów smagał Fidel (choć częściej jego towarzysz Che Guevara) „z lewa": za biurokrację, za wprowadzanie do gospodarki socjalistycznej elementów rynku.

„Nie dojdziemy do komunizmu drogami kapitalistycznymi!" – nauczał Castro. W stosunkach Rosjan z państwami bloku sowieckiego widział imperialistyczny wyzysk.

Ogon machał psem, a pies siedział jak mysz pod miotłą. Każdy nerwowy ruch mógł popchnąć nieprzewidywalnego Fidela w ramiona Mao Zedonga, który rywalizował z Sowietami o rząd dusz w ruchu komunistycznym. Nerwy puściły Rosjanom dopiero wtedy, gdy Castro wypowiedział im otwartą wojnę wewnątrz partii komunistycznych Ameryki Łacińskiej. To drugi, może najważniejszy filar castrowskiej herezji.

Było tak: rocznicę rewolucji październikowej w 1966 roku kubański dziennik „Granma" uczcił wezwaniem do rozłamu w komunistycznych partiach Wenezueli, Argentyny, Brazylii, Gwatemali… „Prawdziwi komuniści, prawdziwi obrońcy leninizmu na kontynencie przystępują do walki. Ci, którzy stają z boku, przestają być komunistami". Dogmatem Moskwy było w tamtym czasie „pokojowe współistnienie" ze Stanami Zjednoczonymi. Walka zbrojna, *guerrilla* była z innej bajki.

Źródełko herezji biło nie tylko z ambicji Fidela. Biło daleko – nad Mekongiem. W 1965 roku, gdy Ameryka uderzyła na Wietnam, Moskwa – w opinii Castro – schowała głowę w piasek. „Poczucie braku bezpieczeństwa" – tłumaczył strategię Hawany K.S. Karol – plus wiara w skuteczność wojny partyzanckiej (mit Sierra Maestra!) otworzyły cichy front między Fidelem a Rosjanami. „Zróbmy dwa, trzy, wiele Wietnamów" – wzywał Che Guevara, a będziemy bezpieczniejsi! Jankesi nie dadzą rady na tylu frontach, a na pomoc Moskwy nie ma co liczyć.

Moskiewska „Prawda" ekskomunikowała „reakcjonistów, którzy podążają za apelami człowieka wzywającego do zmian w całym systemie socjalistycznym". Jak w mowie kościelnej – żadnych nazwisk i więcej między wierszami niż w tekście. Fidel replikował bez zahamowań: „Nikt nas nie może nazwać krajem satelickim i dlatego cieszymy się takim szacunkiem w świecie".

Latynoamerykańscy komuniści nie rwali się jednak do wojny partyzanckiej. Nie wierzyli w pokonanie zawodowej armii i wybierali na ogół wierność dogmatowi Moskwy o „pokojowym współistnieniu" z Ameryką i kapitalizmem. Niektóre partie były skłócone, podzielone, niezdolne do jakiegokolwiek czynu. Inne nastawiały się na legalną działalność. Jednym z nielicznych, którzy odpowiedzieli na apel Fidela, był dysydent z Komunistycznej Partii Wenezueli Douglas Bravo. Skrzyknął garstkę towarzyszy i założył partyzantkę.

Herezja castrowska miała w latach sześćdziesiątych krótki żywot. Rok po artykule „Granmy" zginął w Boliwii Che Guevara. Lewica Zachodu rzuciła się Fidelowi do gardła: „Po co zginął Che?" – pytał na łamach komunistycznej „L'Humanité" Jacques Arnault. Oskarżano Fidela, że zdradził Guevarę…

Niespełna rok później Castro zmienia stosunek do Moskwy. Choć dalej wierzy, że jeszcze wybije godzina „trzeciego komunizmu" (obok sowieckiego i chińskiego), to latem 1968 roku widzi jasno, że żadnego „Wietnamu" na zachodniej półkuli nie będzie. Po inwazji Układu Warszawskiego na Pragę Castro podaje rękę Rosjanom, potępianym wtedy przez wszystkich komunistów świata.

Pojednanie z Moskwą miało źródło w tych samych obawach, które kilka lat wcześniej zrodziły castrowską herezję. Po anemicznej reakcji Waszyngtonu na zdławienie Praskiej Wiosny, Fidel obawiał się równie niemrawej reakcji Moskwy na ewentualną agresję USA przeciw Kubie. Na dodatek Breżniew zagroził, że nie kupi kubańskiego cukru – i Fidel musiał iść do Canossy.

„Słońca nie można zakryć palcem", ogłosił Castro. A Słońce to Ojczyzna Proletariatu. Co za ironia historii! Dziesięć lat po wyzwoleniu Kuby z gospodarczej zależności od Ameryki wyspa popadła w nową, jeszcze większą zależność – od Moskwy.

Misjonarz.

„Ten Castro to niepoczytalny facet! Znowu zrobił awanturę na cały świat!" – krzyczał w 1975 roku sowiecki premier Aleksiej Kosygin w obecności czechosłowackich towarzyszy, kiedy na początku lat siedemdziesiątych Fidel Castro wysłał instruktorów i żołnierzy, żeby wsparli rewolucję w Angoli (anegdotę zasłyszaną od byłego czeskiego prominenta-komunisty opowiadał mi Zbigniew Kowalewski, znawca i sympatyk latynoamerykańskich partyzantek). Towarzysze radzieccy chcieli odciąć się od Fidela, ale ich generałowie

dostrzegli zaletę rewolucyjnej draki: sowiecki satelita obserwujący Ziemię miał ponoć kilkugodzinną „dziurę”; baza w Angoli rozwiązywała sprawę.

Fidel biegł wszędzie tam, gdzie rewolucja, powstanie, bunt. Chciał być sumieniem Trzeciego Świata, jego mentorem.

„W każdy zakątek świata możemy wysłać więcej lekarzy, nauczycieli, techników niż amerykański Korpus Pokoju i wszystkie Kościoły razem wzięte. A mamy tylko dziesięć milionów mieszkańców” – zachwalał rewolucyjny potencjał swojego kraju. Jechali żołnierze, szkoleniowcy, jechała broń. Można w tym widzieć eksport terroryzmu, lecz z perspektywy trzecioświatowej była to pomoc dla uciśnionych ludów. Etiopią, Grenadą, Nikaraguą nie rządzili subtelni dżentelmeni. Z tyranami jak Hajle Selasje, zwyrodnialcami jak Anastasio Somoza trudno było umawiać się na rozmowy „okrągłego stołu”. Zimna wojna lokowała tamte rebelie po stronie sowieckiego „imperium zła”. Ale komunizm bywał tu często kostiumem, językiem narodowych aspiracji. Czyż podobnie nie było na Kubie?

Fidela porównuje się czasem z Josipem Broz Tito, antysowieckim przywódcą komunistycznej Jugosławii. Obaj partyzanci, obaj komuniści w narodowych kolorach, aspiranci do roli światowych mentorów. Szczerze się nienawidzili. Walczyli o palmę Pierwszego w Ruchu Krajów Niezaangażowanych. Raz jeden był górą, raz drugi. W ostatniej rundzie, krótko przed śmiercią, Tito protestował, gdy Castro wpychał „niezaangażowanych” na sowiecką orbitę. „Dał Fidelowi niezłą lekcję – pisał Tad Szulc. – Niegdysiejszy aliant Kremla zerwał z Rosjanami, chcąc samemu decydować o przyszłości kraju; Castro zaś, mimo bolesnych doświadczeń z Moskwą, zaczął nagle wyrażać wiernie sowieckie stanowisko. Tito chciał ostrzec młodszego partyzanta, by nie oddawał pod zastaw swojej niezależności na zawsze”.

Nie oddał. Gdy w Europie zdechł komunizm, Fidel uznał to za śmiertelny błąd Historii. Postanowił go naprawić. „Nawet jeśli ktoś by mi powiedział, że 98 procent ludu nie wierzy w Rewolucję, walczyłbym dalej” – mówił w 1990 roku do kubańskich studentów.

Socjalizm albo śmierć!

Dzieje Rewolucji
przez Pío Serrano opowiedziane (1)

Nazywam się Pío Serrano. Jestem Kubańczykiem. Przyjechałem do Hiszpanii w siedemdziesiątym czwartym. Należę do pierwszego pokolenia Rewolucji Kubańskiej – tych, którzy w pięćdziesiątym dziewiątym byli młodzi i razem z większością społeczeństwa witali entuzjastycznie Rewolucję Fidela Castro; Rewolucję, o której sądziliśmy, że będzie narodowa, antyimperialistyczna – jak się wtedy mówiło – i która miała poukładać wszystko na nowo: życie polityczne uczynić przyzwoitszym, wprowadzić niezbędne reformy… Na początku lat siedemdziesiątych trafiłem do obozu pracy przymusowej. Potem pozwolono mi wyjechać. Mieszkam teraz tu, w Madrycie, prowadzę małe wydawnictwo „Verbum”…

Mały pokoik wypełnia się dymem z fajki. Niewielkie mieszkanie w starej kamienicy w centrum Madrytu nie jest gniazdem kontrrewolucyjnego spisku, a Pío Serrano nie ma w sobie nic z natchnionego rycerza antycastrowskiej krucjaty. Brak mu żaru, który czyni rewolucjonistów. Wydaje książki politycznych uchodźców, podręczniki do angielskiego, dzieła o sztuce. Sam pisze wiersze. Historia poturbowała mu kości, ale to jeden z takich, którzy mówią „nie”, bo tak trzeba i na tym koniec. Za sprzeciwem wobec tyranii nie poszła kariera spiskowca, ani związki z polityczną emigracją w Miami.

Pío Serrano chciał żyć.

(kaseta I)

Pyta pan, co myślę po tylu latach o naszej Rewolucji… Dzielę ją na etapy, bo

wie pan, mówienie o jednej Rewolucji Kubańskiej jest oszukańcze, nie ma sensu.

Rewolucyjne były lata do sześćdziesiątego ósmego. Przyszli historycy być może orzekną, że to była naprawdę Rewolucja Kubańska. Później zaczął się okres instytucjonalizacji, usztywnienia się reżimu, który przestał być rewolucyjny.

Wyznam coś panu szczerze: nie lubię tych, co to walczyli o Rewolucję, popierali socjalistyczne zmiany, a potem wyjechali do Miami i udają, że od urodzenia walczyli z Fidelem. Ja sam maszerowałem z entuzjazmem w szeregach Rewolucji, razem z nią dojrzewałem, ewoluowałem.

Pierwszy moment: Rewolucja narodowa. Sądziliśmy, że nie utożsami się z żadnym z wielkich mocarstw zimnej wojny. Tymczasem w sześćdziesiątym pierwszym, tuż przed inwazją naszych wrogów z Miami na Playa Girón [w zachodniej historiografii znanej jako Zatoka Świń], Fidel ogłosił, że Rewolucja będzie socjalistyczna. W porządku! Zgodnie z tą decyzją, my – jej uczestnicy, zaczęliśmy podążać w stronę socjalizmu.

W wojnie partyzanckiej, która doprowadziła do zwycięstwa, nie walczyłem; kiedy wybuchła, miałem piętnaście lat. Mieliśmy w szkole kółka oporu przeciwko reżimowi Batisty, ale to nie było nic heroicznego, nie warto opowiadać. Czynny udział w obronie Rewolucji wziąłem dopiero w dniach inwazji na Playa Girón.

W pierwszych latach staraliśmy się, żeby socjalizm kubański był naprawdę „nasz” – tropikalny, żeby nie kojarzył się z Moskwą. Na Kubie działała stara partia komunistyczna – stalinowska, całkowicie wierna Kominternowi, która kierowała się wyłącznie wskazówkami z centrali. Na samym początku oskarżyła Rewolucję Fidela, że jest ruchem puczystowskim, samowolnym, nieodpowiedzialnym. Komuniści na Kubie nigdy nie odnieśli znaczącego sukcesu w wyborach. Narodowe i antyimperialistyczne nastroje były podszyte niechęcią do komunizmu. A początkowy socjalizm naszej Rewolucji był tak bardzo „nasz”, że na każdym kroku manifestowaliśmy niezależność od Związku Radzieckiego.

Pracowałem w katedrze filozofii uniwersytetu w Hawanie. Uprawialiśmy filozofię odległą od podręcznikowego marksizmu-leninizmu, zwłaszcza od tego, czego uczono na uczelniach sowieckich. Czerpaliśmy garściami z Althussera, filozofów hispanoamerykańskich, z oryginalnej myśli narodowej, filozofów Trzeciego Świata. Katedra była miejscem, gdzie spotkali się ludzie młodego

pokolenia, politycznie zaangażowani, antysowieccy. Jak już mówiłem, Rewolucja Kubańska była przede wszystkim narodowa.

Stosunki z Moskwą stały się napięte. Chruszczow był wobec Fidela paternalistyczny, tolerował jego wybryki jak cierpliwy ojciec; a Fidel zachowywał się jak niesforne i rozkapryszone dziecko. Po kryzysie rakietowym omal nie doszło do zerwania. Castro tak się rozzłościł na Chruszczowa, że postanowił zostać liderem międzynarodowego ruchu partyzanckiego w Ameryce Łacińskiej i w Afryce, który szedł pod prąd polityki ZSRR. Fidela zachwycały teorie wojny partyzanckiej, główną była teoria *foco,* ogniska, którą sformułowali francuski intelektualista Régis Debray i Che Guevara. Chodziło o to, że takie „ognisko", grupa ludzi awangardy rewolucyjnej, niekoniecznie o proweniencji proletariackiej, osiedlało się na wsi – a więc zupełnie na odwrót niż głosiła doktryna sowiecka – i stamtąd miało zanieść rewolucję do miasta, do proletariatu. Z punktu widzenia tradycyjnego leninizmu było to coś naprawdę… perwersyjnego! *(śmiech)* Castro kupił tę teorię z entuzjazmem, na złość Sowietom, i w ten sposób budował niezależność od Moskwy. Zachowywał się tak do sześćdziesiątego ósmego. Dlatego sądzę, że Rewolucja Kubańska trwała do tego właśnie momentu.

W sierpniu sześćdziesiątego ósmego wojska sowieckie wkroczyły do Pragi. W pierwszej chwili wydawało się, że Fidel okaże sympatię praskim buntownikom. W jednej z kubańskich gazet pojawiły się nawet artykuły sympatyzujące z czeskimi reformatorami. Ale tej samej nocy, kiedy w gazetach napisano: „Czołgi sowieckie na ulicach Pragi", Castro przemówił w telewizji i wylał na nas – którzy wierzyliśmy, że poprze rebelię Praskiej Wiosny – kubeł zimnej wody. Uległ sowietom. Bał się, że na sowiecką inwazję Pragi Amerykanie odpowiedzą zajęciem Kuby.

Ale nie tylko o to chodziło. Rok wcześniej wydarzyło się coś znacznie ważniejszego, tragicznego: śmierć Che Guevary w Boliwii. My, młodzi rewolucjoniści sympatyzowaliśmy z Che. Uważaliśmy go za kogoś czystego, nieskazitelnego, mimo jego ogromnych wad jako człowieka, który zarządzał różnymi sektorami życia państwowego. Jako administrator Guevara zupełnie się nie sprawdził. Ale był to człowiek szlachetny. Przeczuwaliśmy, że Castro skazał go na samotną śmierć w Boliwii. Nie mieliśmy dowodów, to była intuicja, która nie dawała nam spokoju.

Sześćdziesiąty ósmy to nie tylko Praska Wiosna, ale i bunt studentów Berkeley, Paryża, Meksyku – masakra na placu Tlatelolco, a na Kubie czas drastycznych zmian. Castro upaństwowił resztki prywatnej gospodarki, która się jeszcze ostała po Rewolucji. Od tamtej pory szewc nie mógł już naprawiać butów we własnym warsztacie, krawcowa nie mogła uszyć sukni… Był to brutalny cios w szanse przeżycia tysięcy ludzi na Kubie. W Moskwie było już po zmianie warty: miejsce Chruszczowa zajął Breżniew, który nie miał nic z dobrotliwego wieśniaka. To Breżniew zmienił reguły gry Moskwy z Hawaną – potwierdziły to ujawnione niedawno dokumenty.

Początkowo Castro się opierał. Wykorzystywał broń, którą przysyłali Sowieci – zupełnie sobie z nich drwiąc! – do walk partyzanckich w Ameryce Łacińskiej. Pokazywał, że nie pozwoli sobą sterować. Ale musiał w końcu wyczuć, że wiatry historii nie są już dla niego pomyślne…

Prosowiecki zwrot na Kubie zaczął się tak naprawdę wcześniej, na co wskazywał Guevara. Che był autentycznym rewolucjonistą, nie miał nic wspólnego z Moskwą. Jego ostatnie wystąpienie publiczne w Algierii było kontestacją form solidarności Moskwy z ruchami wyzwoleńczymi w Ameryce Łacińskiej. Po powrocie Che z Algierii doszło do kłótni między nim a braćmi Castro. Sądzę, że powodem wyjazdu Che z Kuby była narastająca sowietyzacja wyspy. Nie chciał mieć z tym nic wspólnego, brzydził się.

W sześćdziesiątym ósmym zamknięto moją katedrę na uniwersytecie. Wcześniej byliśmy zachęcani do rozwijania marksizmu narodowego, popierania idei *foco.* Teraz rozparcelowano nas po różnych wydziałach, a krótko potem katedrę filozofii otwarto na nowo – już pod kierownictwem sowieckiego doradcy, który ustalił nowe kierunki nauczania marksizmu. To były proste kopie sowieckich podręczników. Coś się wtedy skończyło. Coś bardzo dla nas ważnego.

Między rokiem sześćdziesiątym ósmym a siedemdziesiątym Kuba przeżywa głęboki kryzys; są kłopoty z wyżywieniem. A potem następuje ostateczny odwrót od tego, co uważaliśmy za Rewolucję. Charakter karaibskiej fiesty, pełnej swobody, wdzięku, który znamionował socjalizm kubański, kończy się bezpowrotnie. Sowieci wymagają od Castro dyscypliny, Rewolucja zamienia się w twardy, zdyscyplinowany reżim jednej partii.

Było to zdumiewające, ponieważ do tamtej pory Castro wydawał się komunistą

całkowicie nieortodoksyjnym. W sześćdziesiątym pierwszym ustanowił socjalizm i rozwijał go bez partii! Nie było żadnej partii komunistycznej – stara partia poszła w rozsypkę, a nowej nie powołano. Jeszcze zanim uznano Rewolucję za socjalistyczną, Kuba przeprowadziła nacjonalizację środków produkcji, postawiła na bezpłatne kształcenie ludzi – bez komunistycznej ideologii. Czyli „baza" i elementy „nadbudowy" – mówiąc marksistowskim żargonem – powstały przed ogłoszeniem socjalizmu na Kubie. Kiedy Fidel ogłasza Rewolucję socjalistyczną, banki, wielki przemysł i szkoły są już znacjonalizowane.

Dopiero po utworzeniu nowej Komunistycznej Partii Kuby powstają – i to też nie od razu – mechanizmy centralizacji gospodarki; Kuba dostosowuje się do sowieckiej organizacji produkcji. Tworzy rozbudowaną strukturę biurokratyczną, słowem: typowy sowiecki model. Kraj sowietyzuje się we wszystkich dziedzinach. Przyjeżdżają kontyngenty wojskowe ze Związku Sowieckiego, rozpoczyna się okres nazywany dziś „szarą dekadą", czyli lata siedemdziesiąte. Kraj przeżywa kłopoty gospodarcze, wstrząsają nim czystki ideologiczne. Ideologia, zwłaszcza jej czystość, przybiera na znaczeniu. Kończą się swobodne dyskusje, kultura mizernieje. Ja sam przechodzę okres wewnętrznego rozdarcia. Reżim Castro przestaje odpowiadać moim wyobrażeniom o Rewolucji.

Przeniesiono mnie do Instytutu Książki. W roku siedemdziesiątym postanowiłem wyemigrować i powiedziałem o tym otwarcie. Zanim udzielono mi zgody, musiałem spędzić cztery lata w obozie pracy przymusowej. W obozach gromadzono ludzi, którzy chcieli wyjechać. Tworzono z nich brygady, które następnie wysyłano do ścinania trzciny cukrowej, nawożenia plantacji. Pracowało się do czasu, kiedy przychodziło – albo nie – pozwolenie na wyjazd.

To była dosyć perwersyjna metoda, bo nie mogę powiedzieć, żeby to były klasyczne obozy koncentracyjne ze strażnikami, karabinami maszynowymi i drutami kolczastymi pod napięciem. Nie. To było dużo subtelniejsze. Każdy, kto zgłosił oficjalnie prośbę o pozwolenie na wyjazd, był kierowany do pracy w tych obozach. Mogłeś iść lub nie, lecz przyznanie albo nieprzyznanie pozwolenia zależało od twojego dobrego zachowania i wykonania pracy. Mogło się zdarzyć, że złożyłeś prośbę i pewnego dnia ją przyznawano. Jednak tę decyzję konfrontowano z twoim zachowaniem w okresie oczekiwania. A zatem to ty sam byłeś najbardziej zainteresowany pobytem w obozie pracy

i wypełnianiem norm, które nałożono. Gdyby przyszło ci do głowy uciec albo zaniechać wypełniania obowiązków, i akurat wtedy przyszedłby telegram z wiadomością, że możesz wyjechać, poinformowano by cię: „Niestety, nie może wyjechać, bo nie wykonał zleconego zadania. Niech wróci do pracy, a później zobaczymy”. W tym sensie było to równocześnie subtelne i perwersyjne, bo człowiek był więźniem i zarazem swoim strażnikiem; sam musiał się pilnować. Tak było ze mną przez te cztery lata. Potem dostałem zgodę na wyjazd…

(koniec kasety I)

Z Hawany (2)

Po całodniowej włóczędze padłem ze zmęczenia na ławeczce w centrum Hawany. Na reprezentacyjnym Placu Centralnym obrośniętym królewskimi palmami, nieopodal kopii waszyngtońskiego Kapitolu, snuli się rastafarianie. Sprzedawali cygara, po cichu palili trawkę, a i coś mocniejszego by się znalazło.

Dwa miesiące wcześniej policja przeczesała miasto, pozamykano kilka klubów i dyskotek, gdzie można było się upalić. Wszystko to w ramach akcji zwalczania handlu prochami i prostytucji. Handlarze stracili kawał rynku, dziewczyny z wyższym wykształceniem – miejsca pracy. Ale i tak narkotyki w Hawanie były do kupienia przed szkołami. W rolkach z dropsami, tubkach z orzeszkami. Prawdziwa Ameryka!

Rasta, który przedstawił mi się jako Geoffrey (imię na pewno lipne), zaczął od cygar, a skończył na polityce. – Za rok będę musiał ściąć dredy, kończę szkołę turystyczno-hotelarską i do roboty. – I tak nieźle, ale pewnie byś chciał wyjechać? – spytałem.

Rozmowę przerwała ostra bójka między dwoma naćpanymi rastafarianami. Zebrał się tłumek, przybiegł policjant, a tamci dalej się okładają. Policjant odciąga bardziej agresywnego, ten wyrywa się i znów rusza na przeciwnika, nawet stróż porządku oberwał. Grozi mu coś za to? – Nie – Geoffrey bagatelizuje – dostanie grzywnę.

– Pytałeś, czy chcę wyjechać? Słuchaj, jeśli ktoś by zbudował taaaki wielki most z Kuby do Miami, na wyspie zostałaby tylko jedna osoba. Zgadnij kto?

Obaj wybuchliśmy śmiechem. – I nie boisz się rozmawiać o takich sprawach – na ulicy, z nieznajomym? – Jesteś przecież cudzoziemcem.

Uciec, wyjechać – kubańska obsesja czasów późnego castryzmu. Pepe, którego poznałem dzięki przyjacielowi z Hawany, uciekał w dziewięćdziesiątym czwartym, w czasie wielkiego exodusu *balseros,* na zbudowanej przez siebie tratewce. Dryfował po oceanie trzy dni i noce. Przy wybrzeżach Florydy wyłowiła go amerykańska straż. Odstawili go do amerykańskiej bazy wojskowej w Guantánamo na Kubie. Razem z setkami rodaków czekał na decyzję Waszyngtonu. Po czterech miesiącach nie wytrzymał i poprosił o wyjście z bazy, żeby spotkać się z matką. I to był koniec, nie mógł już wrócić. Ci, którzy wytrzymali dwa miesiące dłużej, dostali prawo legalnego wjazdu do USA. Od tamtej pory Pepe błąkał się bez pracy. Robił coś na czarno, ale gdziekolwiek chciał się zaczepić oficjalnie, machali mu przed nosem, że „nie spełnia moralnych wymogów zatrudnienia". Zdesperowany, zapłacił urzędnikowi ambasady jednego z krajów Ameryki Łacińskiej osiem tysięcy dolarów – połowa całego dorobku życia jego i jego rodziców, żeby przerzucili go za granicę i dali prawo życia w swoim kraju. Po załatwieniu sprawy Pepe miał wpłacić drugą połowę. Gdy go spotkałem, był całkowicie załamany. Sprawa wlokła się miesiącami, urzędnik mówił: „Jeszcze trochę, bądź cierpliwy" – aż w końcu zwrócił pieniądze, mówiąc, że nic nie da się wskórać. Pepe i jego żona postanowili się rozwieść, wejść w nowe związki z cudzoziemcami i ponownie pobrać się na wolności.

Mniej więcej w tym samym czasie jacyś desperaci porwali samolot i rozkazali pilotowi lecieć na Florydę. Jeszcze inni – porwali mały prom, który kursuje ze starej Hawany do Regli i Casa Blanki – dwóch hawańskich dzielnic, które od głównej części miasta dzieli zatoka. Wszystkich złapano. Trzech prowodyrów stanęło przed plutonem egzekucyjnym. Przyjaciel rewolucyjnej Kuby, portugalski noblista José Saramago napisał po egzekucjach, które zbiegły się z drakońskimi wyrokami na dysydentów, żeby Kuba podążała sobie dalej własną drogą – już bez niego. Saramago nie mógł pojąć, jakie to zwycięstwo odniosła Rewolucja, rozstrzeliwując trzech bezbronnych, zdesperowanych ludzi, którzy nie zrobili nikomu krzywdy; w czasie porwania nikomu włos nie spadł z głowy.

A może nie jest tak najgorzej… Pepe próbował znaleźć psychiczną deskę ratunku. Mam pracę, fakt, że na czarno, ale nie głoduję. Najgorzej było po upadku Związku Sowieckiego. W sklepach nie było nic. W fabryce płacili szklanką cukru, który się jadło albo rozpuszczało w wodzie. Po Hawanie krążyły

opowieści, że w pizzach sprzedawanych na ulicy („pizza” jest tu nazwą raczej umowną) ser zastępowano roztopionymi w wysokiej temperaturze prezerwatywami (też kiepskiej jakości). To był czas obsesji, że za chwilę Amerykanie nas zaatakują. Budowaliśmy schrony przeciwatomowe – budowaliśmy, a właściwie to ryliśmy je w skałach.

Kilka dni później w dzielnicy Casa Blanca na obrzeżach Hawany widziałem pozostałości po takich schronach; miały tam powstawać świetlice dla dzieci i coś w rodzaju domów kultury.

W połowie lat dziewięćdziesiątych Fidel uchylił na wyspie drzwi. Zaczęło wpadać trochę powietrza – to znaczy: turystów i dolarów. Nomenklatura bezpieczniacko-wojskowa pozakładała wielkie turystyczne biznesy: Cubanacán, Havanatour… Z Hiszpanii, Francji, Kanady, Włoch zaczął napływać kapitał. Układ był prosty: ludzie reżimu dostawali fotele we władzach zagranicznych spółek, a w zamian spółki mogły zarabiać krocie na kubańskiej turystyce.

W czasie mojej pierwszej podróży na wyspę ściany hoteli szeptały, że turystycznemu otwarciu towarzyszyły boje w Komitecie. Że „raulowcy” z bezpieki chcieli doić kasę dla siebie, a młode wilki, czyli młodzi technokraci mówili, że na dłuższą metę tak się nie da, że wyspę trzeba otworzyć naprawdę. Wedle tej teorii, Fidel miał stać pośrodku sporu jako arbiter. W starym notesie odnalazłem komentarz na marginesie: „nieweryfikowalne, włożyć między bajki”. Ale tak się wtedy mówiło…

Wiosną dwutysięcznego trzeciego Kuba tonęła w dolarach i… w biedzie. Tak, to kwadratowe jajo, ale realny komunizm na Kubie dowiódł, że takie istnieją. Rewolucja wygnała amerykańskie firmy i amerykańską walutę. Rewolucja zagrała na nosie wujkowi z Północy. Rewolucja wzgardziła materialnym przepychem i bogactwem za cudzą monetę. Ale oto nagle, dolar, za którego posiadanie kilka lat wcześniej można było pójść do więzienia, stał się oficjalną walutą. Zarobki wypłacano w walucie rewolucyjnej – *peso;* ale ceny na prawdziwe produkty były już w walucie imperialistycznej – dolarze (ceny w *peso* – jedynie w sklepach, gdzie kupowano „na książeczkę”). Co można było kupić „na książeczkę”? Sześć funtów fasoli, sześć funtów ryżu, ćwiartka litra oleju… Książeczka nie gwarantowała, że wszystko to się dostawało.

Za to w sklepach za dolary – naprawdę wszystko. Nie, to nie Peweksy z papierosami i wódką, znane z krajów dawnego bloku sowieckiego. To wielkie

supermarkety jak Carrefour, Leclerc, w których naprawdę wszystkiego w bród – ale jakie ceny? Mała puszka mielonki kosztowała pięć dolarów (przeciętna pensja Kubańczyka w roku dwutysięcznym trzecim wynosiła dziesięć–piętnaście dolarów); sok owocowy w kartonie – dwa i pół dolara. Najdroższy kraj świata! Dlaczego? Przecież tę żywność Kuba kupowała tanio w Hiszpanii, Meksyku i we Francji? Tak, ale cena, którą Kubańczyk widział w supermarkecie, była przeciętnie 2,4 razy wyższa od ceny, za jaką nabyło towar rewolucyjne państwo. Ten rabunkowy proceder – cena zakupu pomnożona przez 2,4 – państwo nazwało „odzyskiwaniem dewiz". Za „odzyskiwanie" płacili obywatele.

A skąd mieli pieniądze? – pytanie każdego przytomnego przybysza. Zarobki w *peso,* towary w dolarach, pensji w *peso* nie starczyłoby na jednorazowe zakupy w supermarkecie, a supermarkety pełne ludzi; w weekendy trzeba było robić wózkiem slalomy między kupującymi. Rodziny w Miami? Tak, prawie każdy miał kogoś w Stanach, ale to częściowe wyjaśnienie. Drobnymi przesyłkami rodzinnymi – limitowanymi do pewnego momentu do 1200 dolarów rocznie – nikt nie wpompowałby w gospodarkę tylu pieniędzy, żeby w supermarkecie dzień w dzień były tłumy.

Jesień castryzmu była dla Kubańczyków czasem kombinowania. Działało jawne podziemie gospodarcze (kolejna sprzeczność: „jawne podziemie"). Jawne podziemie to masowy handel cygarami kradzionymi z fabryk (oczywiście z banderolkami, żeby celnicy nie zarekwirowali na lotnisku); to handlowanie oszukanymi cygarami skręconymi z liści bananowca; to nielegalne dolarowe taksówki dla turystów (obok legalnych i opodatkowanych); to dziewczynki „z wyższym wykształceniem" łapiące cudzoziemców za spodnie (cennik: od dwudziestu pięciu do pięćdziesięciu dolarów, w nocnym klubie – nawet stówa); to knajpki, zwane „paladarami" (legalne do dwunastu klientów naraz, a co ponadto, nielegalne i nieopodatkowane); to nielegalne hoteliki, pensjonaciki, pokoiki.

Nawet język uchwycił zmagania z materią fidelizmu. Na pytanie: „Jak tam ci leci?", nieznajomy Kubańczyk odpowiadał: „Wszystko w porządku". Kubańczyk znajomy mówił coś w rodzaju: „Się walczy, się kombinuje".

Się walczyło różnie. Nocą się wypływało na ryby na dętce od opony. Niby łowić nie było wolno, ale wszyscy łowili. Pewien cudzoziemiec opowiadał mi o znajomych, którzy pojechali na wycieczkę poza Hawanę. Zatrzymał ich autostopowicz. Okazało się, że nie chciał nigdzie jechać, chciał sprzedać cygara.

Gdy kierowca nie chciał cygar, ów wylegitymował się jako policjant – nie żeby postraszyć, ale żeby uwiarygodnić się jako kontrahent.

Walczenie i kombinowanie władza utrudniała, jak mogła. Młode małżeństwo założyło wypożyczalnię kaset wideo. Nie zgłosiło Urzędowi, ktoś z blokowego „cedeeru" (komitetu obrony rewolucji) doniósł i nieszczęście gotowe. Wpadli do mieszkania i wynieśli wszystko – dosłownie: wszystko! Stół, krzesła, łóżka, kuchenkę, odkręcili umywalkę. Ludzie zostali z malutkim dzieckiem w gołych ścianach. Konfiskata po kubańsku.

Dziewczyna z Trynidadu, cudownego kolonialnego miasta z siedemnastego wieku na południu wyspy, musiała zamknąć legalny pensjonat, bo zarabiała dopiero na czternastym gościu w miesiącu. Pieniądze z pierwszych trzynastu musiała oddać państwu. W sezonie goście byli, ale poza sezonem miała na miesiąc najwyżej ośmiu–dziesięciu. Nie dość, że oddawała państwu cały zarobek, to musiała inwestować w utrzymanie pensjonatu w dobrym stanie.

Taki kapitalizm socjalistyczno-rewolucyjny.

Ludzie na Kubie bali się nadal, ale jak gdyby mniej. Znacznie mniej. Trzy lata wcześniej trudno było spotkać kogoś, kto by ot, tak na ulicy ponarzekał na Fidela do nieznajomego przybysza. W dwutysięcznym trzecim, po kilku minutach rozmowy, mało kto się hamował.

Jorge, uliczny handlarz książkami, emerytowany nauczyciel, chętnie opowiedział o książkach, które przeczytał, a które nigdy nie były wydane na wyspie. Mario Vargasa Llosy wyszły oficjalnie i bardzo dawno tylko trzy dzieła: *Miasto i psy, Szczeniaki* i *Wojna końca świata.* Ale Jorge czytał również *Rozmowę w „Katedrze",* na Kubie nieznaną, a nawet *Święto kozła* o dyktatorze Dominikany Trujillo. Vargasa Llosę, odkąd w siedemdziesiątym pierwszym zerwał przyjaźń z Fidelem i Rewolucją, mianowano czarnym charakterem kubańskiej propagandy. Jorge czytał nie tylko Vargasa Llosę – również wściekle antycastrowskie tomy kubańskiego emigranta Cabrery Infante, w tym słynny, przeklęty na wyspie zbiór esejów *Mea Cuba.* Czasami jakiś turysta przywiezie i podrzuci, czasem ktoś znajomy przemyci.

Jorge nie był wyjątkiem. Daisy, która przedstawiła się jako była żona pisarza-dysydenta, zaczęła od razu opowiadać o zakazanej na Kubie książce Manuela Vazqueza Montalbana, *Y Dios entró en La Habana.* („Jestem jedyną osobą w Hawanie, która ma tę książkę", podkreślała z dumą). – Powiedz Daisy,

dlaczego opozycja przeciwko Castro jest tak słaba, skoro ty i tak wielu innych nie boicie się mówić otwarcie, co myślicie. – Gadanie z cudzoziemcem – to jedno, a mówienie, co się myśli między Kubańczykami – to drugie. Zawsze ktoś doniesie, ludzie boją się, że stracą pracę, a mogą też pójść do więzienia. Wszyscy są zajęci szukaniem zarobku, wszyscy są umęczeni, nikt nie ma ani czasu, siły, ani odwagi, żeby się buntować.

Słowo „zmęczenie" zadziałało jak klucz do kolejnych drzwi. Wszyscy są umęczeni… Czym? Drogą do pracy, drogą z pracy.

W Hawanie, na całej wyspie rządzonej przez Castro komunikacja praktycznie nie istnieje. Niby są „wielbłądy" i zwykłe autobusy, ale czeka się na nie godzinami w potwornym upale. Kuba jest biedna, ale ani ropa nie jest tak droga, ani nie potrzeba jej aż tak dużo w jedenastomilionowym kraju. Na dodatek, pod koniec lat dziewięćdziesiątych objawił się Hugo Chávez, prezydent przyjaciel, który siedział na ropie i sprzedawał ją bratniej Kubie poniżej cen rynkowych. Przez ponad czterdzieści lat nie udało się rozwiązać problemu komunikacji miejskiej. A może o to chodziło? Wycieńczony codzienną udręką człowiek padał nieprzytomny ze zmęczenia i zasypiał. Bunt mógł mu się co najwyżej przyśnić.

Fidel (2)

– A nie zastanawiałeś się, dlaczego w Hawanie ludzie nie wyszli na ulice jak w Warszawie?

Brat Betto, sławny dominikanin, autor wywiadu-rzeki *Fidel i religia,* odpowiedział pytaniem na moje pytanie, dlaczego – mimo biedy i więźniów sumienia – zawsze uparcie bronił kubańskiego reżimu. Rozmawialiśmy w Sao Paulo, gdzie w czasach wojskowej dyktatury brat Betto był przez kilka lat więziony i torturowany przez takich mniej więcej dżentelmenów, jakich na Kubie pogonił Castro.

– No więc, wiesz, dlaczego w Hawanie ludzie nie wyszli na ulice….

_?

– Bo większość popiera Fidela.

Pomyślałem, że brat Betto nie zna wspomnień córki dyktatora Aliny Fernández.

Asceta.

„Nie wiem, czy rewolucja Castro, Guevary, Pereza, jakkolwiek ją nazwać, miała coś z tym wspólnego – napisała córka dyktatora Alina – ale odkąd się pojawiła, wszystko wywróciło się do góry nogami i wydarzenia, niczym króliki, zaczęły wyskakiwać niespodziewanie z zaczarowanych cylindrów. Nie ma światła! Kończy się woda! Przyszły kartki! Podobnie mówiło się o ludziach: *Fulanito wyjechał, Mangano szykuje się do wyjazdu.* Mięso, jajka, cukier i masło też wyjechały lub szykowały się do wyjazdu. Trzeba było iść z kartkami do sklepu, bo inaczej dawali *co było.* Wydaje się, że nie było tego dużo, ponieważ Niania godzinami stała w kolejkach, a pożywienie było w jednym i tym samym

kolorze. Przez długie tygodnie musiałam jeść coś zielonego, co nazywało się *pureé* ze szpinaku bez mleka, a kiedy również szpinak wyjechał, jedzenie stało się brązowawe i nazywano je *soczewica bez soli.* Tego nawet pies Popeye nie chciał jeść, więc ja też nie".

Jakieś dziesięć lat później młody latynoamerykanista, później profesor historii Uniwersytetu Warszawskiego, Marcin Kula zanotował: „Nie ma nic. Gdyby ktoś się chciał powiesić, nie dostałby przysłowiowego sznurka… Głodu chyba nie ma, ale częstotliwość, z jaką powraca w rozmowach problem jedzenia, robi wrażenie". A jakąż zaradność inspiruje rewolucja? „Okazuje się, że jakieś lekarstwo na żołądek pełni znakomicie rolę dezodorantu, który w kraju tropikalnym jest poszukiwanym produktem. Ze sznurowadeł, których nie wiadomo, z jakiej przyczyny nie brak, można zrobić niezłą bluzkę".

– Spójrz na edukację. – Brat Betto nie ustępował. – Spójrz na opiekę zdrowotną w Brazylii i na Kubie pod rządami Fidela. Według danych ONZ, Kuba jest o wiele wyżej niż mój kraj.

Brat Betto zarzucił mnie garścią zdobyczy castrowskiego socjalizmu. Fakt, zdobycze te docenili nawet niektórzy zaprzysięgli wrogowie Castro. „Złodziejstwo i spekulacje znikły… – pisał w latach osiemdziesiątych Carlos Alberto Montaner. – Rząd chce postępu i rozwoju, ma społeczną wrażliwość. Czuje się odpowiedzialny za edukację, wyżywienie, zdrowie i ubranie… Czarni i mulaci widzą teraz szansę na integrację… Pomoc medyczna została doprowadzona do najbardziej oddalonych wiosek… Edukacja – kolejna zdobycz, z której rząd jest dumny i w pewnych aspektach ma do tego prawo…". Montaner widzi drugą stronę „zdobyczy": brak lekarstw, indoktrynację dzieci od pierwszych lekcji alfabetu (F – Fidel, Ch – Che, R – Raúl); nie uważa, by jakakolwiek „zdobycz" dawała legitymację dyktaturze.

Plusy widać, gdyby porównać Kubę nie z Zachodem, lecz z Kubą „przed Fidelem". Brat Betto też porównał, tyle że z brazylijskimi *favelas.* Z tego porównania wyszło mu, że Fidel jest dobry.

Strażnik.

– A jak wyjaśnisz to, że Fidel trzymał latami więźniów sumienia? – pytałem dalej brata Betto. – Spotkałem Ernesto Diaza, kontrrewolucjonistę i poetę, który spędził w kubańskich więzieniach dwadzieścia trzy lata…

– Wielokrotnie krytykowałem Fidela, ale osobiście – odparł brat Betto. – Nie

chciałem robić prezentów jego wrogom. Wielokrotnie interweniowałem w obronie więźniów. Zapewniam cię o jednym: na Kubie pod rządami Fidela znikły tortury.

Ernesto Díaz, nieśmiały, starszy pan, którego spotkałem przed laty w Warszawie, nie wyglądał na kogoś, kto przeszedł gehennę. Czasem łamał mu się głos, gdy opowiadał o pracy w kamieniołomach, zbieraniu danych o mordach na więźniach politycznych, rytualnym biciu więźniów rano i wieczorem, o tym, jak siedział latami w pojedynczej celi bez światła, bez pomocy lekarskiej, bez kontaktu z rodziną. Nie trafił do więzienia za nieprawomyślne poglądy. Przypłynął z Miami, chciał wzniecać powstanie. Wyszedł z więzienia po niemal ćwierćwieczu…

Szacuje się, że w połowie lat sześćdziesiątych było piętnaście tysięcy więźniów politycznych, w siedemdziesiątym siódmym – trzy tysiące, od osiemdziesiątego piątego – kilkuset, w dwutysięcznym trzecim – około dwustu. Fidel wypuszczał więźniów na prośby przyjaciół, jak García Márquez, bądź międzynarodowych autorytetów, jak przewielebny Jassie Jackson czy Jan Paweł II. Kryteria łaski i kar zawsze były niejasne.

Pomyślałem, że brat Betto po prostu wszystkiego nie wie…

Krótko przed pojednaniem z Sowietami w sześćdziesiątym ósmym, Castro znów wytoczył proces Anibalowi Escalante, który próbował go utrącić sześć lat wcześniej. Escalante spędził trzy lata w Czechosłowacji, a gdy wrócił, znów zaczął knuć z koleżkami z dawnej partii komunistycznej. Miał ponoć namówić Rosjan do przykręcenia Fidelowi śruby (m.in. do wstrzymania importu cukru) – aby w ten sposób zmusić go do powrotu na łono *matuszki* Moskwy. Czy tak było – kto wie?

Jedynym zarzutem, jaki postawiono Escalante, były niewłaściwe poglądy. „Oskarżyciele – pisał K.S. Karol – przedstawili fakty, które w żaden sposób nie stanowią przestępstwa ani zbrodni. [Anibala Escalante i innych] oskarżono o to, że nie zgadzają się z polityką wewnętrzną i zewnętrzną Kuby; że podzielają opinie *pseudorewolucyjnych* ortodoksyjnych komunistów, że utworzyli frakcję, i że są pod wpływem takich krajów, jak ZSRR, NRD i Czechosłowacja”. K.S. Karol zauważył, że nawet Stalin w latach trzydziestych stwarzał pozory, że nie skazuje ludzi za poglądy, tylko na przykład za szpiegostwo.

Następny proces w podobnym stylu sprawił, że z Fidelem zerwali zauroczeni

nim intelektualiści z Europy i obu Ameryk.

Pewnego dnia Herberto Padilla, poeta, niegdyś funkcjonariusz Rewolucji, od niedawna jej krytyk, dowiaduje się, że „ideologicznie jest przeciwko Rewolucji" i że reprezentuje „antyhistoryczną i ambiwalentną postawę". Nigdzie nie chcą drukować jego wierszy. Jest rok 1970. Kilka miesięcy później trafia do aresztu. List do Fidela w obronie poety podpisują Jean Paul Sartre, Simone de Beauvoir, Mario Vargas Llosa, Carlos Fuentes, Octavio Paz. Podpisów odmawiają między innymi García Márquez, Ernesto Sábato, Pablo Neruda. Po trzydziestu siedmiu dniach Padilla wychodzi na wolność i wygłasza samokrytykę. Potępia przyjaciela K.S. Karola i francuskiego ekonomistę René Dumonta, krytycznego zwolennika Rewolucji; nazywa ich „agentami CIA". Samokrytykę kończy zawołaniem Fidela: „Ojczyzna albo śmierć! Zwyciężymy!".

„Dopiero sprawa Padilli – wyznał po latach Vargas Llosa – zmieniła moje stanowisko [wobec Fidela i rewolucji kubańskiej]". Dziesięć lat później na prośbę swego przyjaciela Garcii Marqueza Castro pozwolił Padilli wyjechać z Kuby.

Wielu zerwało wtedy z Fidelem. Wciąż mu życzliwy K.S. Karol zwracał uwagę, że „jeden człowiek nie może być nieomylnym ekspertem we wszystkich dziedzinach", a „budowanie socjalizmu nie może zależeć od jednej osoby czy jednej grupy, nawet o najlepszych intencjach". W odpowiedzi Castro wyzwał publicznie K.S. Karola od „grafomanów" i „antykomunistów", którzy rozbijają sojusz radziecko-kubański. Taka sama przygoda spotkała René Dumonta. „W latach 1959–1960 Kuba szukała prawdziwie oryginalnego socjalizmu" – napisał Dumont w rozliczeniowej książce „Czy Kuba jest socjalistyczna?". Dziesięć lat po rewolucji Dumont widział „chaos", „kopiowanie sowieckiego modelu", „centralne planowanie", „biurokrację", „koszarowe społeczeństwo" i „feudalny sposób delegowania władzy".

Klęczący niegdyś przed „Najwyższym Przywódcą" Jean Paul Sartre: „Castro? Jeszcze jeden rzeźnik".

Tad Szulc: „Castro przyznaje, że około 550 *kryminalistów* Batisty zostało rozstrzelanych po wyrokach przed specjalnymi trybunałami rewolucyjnymi w latach 1959 i 1960. Cokolwiek by jednak sądzić o tamtych procedurach, oskarżeni byli wybierani nie na chybił trafił, lecz dlatego, że – jak wierzono – popełnili zbrodnie i okrucieństwa na wielką skalę. Rewolucyjne rozprawy na Kubie nie przypominały krwawych łaźni z innych rewolucji XX wieku –

w Meksyku, Rosji, Chinach. W normalnie przyjętym znaczeniu tego określenia *krwawej łaźni* na Kubie po upadku Batisty nie było".

Stworzył za to Fidel – w ciągu pierwszych dwóch dekad swoich rządów – system inwigilacji doskonałej; Józef Wissarionowicz mógłby pozazdrościć. Wezwał do utworzenia komitetów obrony rewolucji – w każdej dzielnicy, w każdym kwartale i osiedlu. Dewiza naczelna: „Zorganizuj zwolenników ulica po ulicy, daj im broń i każ obserwować pozostałych. Nie ma lepszego sposobu utrzymania władzy". Uwadze Komitetu nie umknie obcy na podwórku, nieznany samochód. Obrońcy wiedzą, kto kogo odwiedza, kiedy wychodzi z domu i czy ma niestrawności. Każda kwadra ma Komitet, więc góra wie na bieżąco, jak się ma Rewolucja na dole.

„Prawda jest bolesna – napisał Carlos Alberto Montaner. – Jedynym kubańskim wkładem do socjalizmu jest nowy, skuteczny system inwigilacji; większa skuteczność represji. To wszystko".

No i wszechobecna amatorszczyzna. Już Sartre pisał, że do władzy dorwały się tu dzieciaki. Medyka Guevarę „rzucono na przemysł", a potem na bank centralny. Był czas, kiedy Fidel przeliczał cukier na traktory i rozważał „zdemistyfikowanie pieniądza"; to znaczy: jego likwidację. „Ktoś rzuca żartem uwagę – wspominał Marcin Kula – że szkoda, iż Kuba ma położenie równoleżnikowe, a nie południkowe. Gdyby Kuba rozciągała się południkowo na podobieństwo Chile, wtedy różnice klimatu w ramach wyspy wystarczyłyby dla rozciągnięcia w czasie szczytowego okresu prac przy zbiorze trzciny. Na to odzywa się były partyzant: tylko nie wspominajcie o tym Fidelowi, bo zaraz buldożery zaczną przestawiać wyspę".

Herszt.

W tej historii są wszystkie rekwizyty *á la* James Bond: samoloty z Kolumbii, które potajemnie lądują na wyspie, okręty podwodne, sekretne nagrania i podsłuchy, biały proszek i diamenty, nawet bandzior, który wychodzi z więzienia i ma odkupić winy udziałem w super tajnej misji. Na końcu – pluton egzekucyjny, a przed nim generał Arnaldo Ochoa i Tony de la Guardia. Jest wiosna 1989 roku.

„Fidel wydał komunikat – wspominała Alina Fernández – w którym oskarżył prawie cały swój rząd o homoseksualizm, łapówkarstwo, nieposłuszeństwo, handel kokainą i rebelię… Jakiś prokurator wojskowy oskarżał tych żołnierzy

i najemników [między innymi Ochoę i de la Guardię], z trzydziestoletnią karierą, o zorganizowanie sieci kokainowej w niektórych częściach Afryki i Ameryki Łacińskiej, sieci, która sięgała do Nowego Jorku. – Seks, perwersja, kokaina i zdrada! – wołał prokurator w imię Rewolucji, Partii i Ojczyzny… Fidel i jego brat Raúl uczestniczyli w procesie schowani za szybą kabiny reżysera w teatrze Universal… W kajdankach i poniżeni, legendarni bohaterowie przyznawali się lub nie przed wybranym wąskim gronem osób. Obrońcy nie mieli odwagi mówić, ale też prokurator nie udzielał im głosu… Kiedy skończyła się farsa, jedni zostali skazani na śmierć, a reszta na dożywotnie więzienie. Do Fidela należało ostatnie słowo…".

Istnieje taśma z nagraniem, na którym słychać, jak generał Ochoa z braćmi de la Guardia żartują sobie z *El Comandante,* chwalą Gorbaczowa i *pieriestrojkę.* „Czarna księga komunizmu" robi z generała niemal szlachetnego wyzwoliciela, który zatęsknił do demokracji i dlatego pragnął obalić Fidela. Wolne żarty…

Arnaldo Ochoa i Tony de la Guardia byli janczarami rewolucji. Ochoa robił rewolucję w Angoli, zbroił latynoskie partyzantki, dowodził *guerrillą* w Nikaragui. Był mieczem i tarczą Fidela. Zdobywał pieniądze dla Rewolucji: kość słoniową, kamienie szlachetne… Ale narkotyki? Wpadł przez Amerykanów, którzy odkryli dziwne związki między kolumbijską kokainą, kubańskimi lotniskami, portami i służbami. Już prawie miał Fidel buty narkodyktatora, już prawie miał gębę drugiego Noriegi (dyktatora Panamy, porwanego i osądzonego w USA za handel narkotykami), już wisiał nad Kubą straszak wojskowej interwencji… Ktoś musiał dać głowę.

Spekulacje o tym, czy Castro wiedział, czy nie wiedział, na co pozwalał, a na co nie, skazane są na złamanie pióra. Brat de la Guardii nie wątpi: „Zawsze myślałem, że mój brat miał pozwolenie na nielegalne i sekretne operacje wszelkiego typu". Czy była zgoda Fidela na układ z narkobiznesem? Czy raczej Ochoa i de la Guardia przekroczyli dozwoloną granicę? Nic pewnego nie wiadomo.

Castro już wcześniej rozprawiał się z niewygodnymi towarzyszami: Escalantem, Padillą, a na początku rewolucji ze swoim ministrem Huberem Matosem, który nie chciał, żeby komuniści panoszyli się w rewolucyjnym rządzie. Oskarżony o spisek, trafił do więzienia na dwadzieścia lat. Odsiedział do ostatniego dnia.

Fidel miewał jednak słabość do dawnych towarzyszy broni, nawet wówczas, jeśli zdradzili. Humberto Sori-Martín, janczar Rewolucji, autor manifestu o reformie rolnej z czasów *guerrilli,* dał się zwerbować przez

CIA i miał zgładzić wodza. Pochwycony przez chłopców Fidela, dostał ostatnią szansę. Castro w asyście jednego z braci zamachowca odwiedził go w celi. „Zdradziłeś Rewolucję, zapłacisz życiem” – powiedział, oczekując prośby o łaskę. Ale Sori-Martín rzucił tylko: „Rewolucję to ty zdradziłeś!”. Został stracony.

Prawdziwa łaska spotkała natomiast Rolanda Cubelę, dawnego lidera studenckiej *guerrilli,* też wynajętego przez CIA do mokrej roboty. W 1963 roku służby Castro odkryły, że Cubela, jako przedstawiciel kubańskiego rządu w UNESCO, nawiązał kontakty z CIA. Zgodził się zabić Fidela w ramach operacji, o której podobno nie wiedział nawet prezydent Kennedy. Gdy Cubela wrócił z Paryża, Fidel zaprosił go do Pałacu Rewolucji: „Czy masz mi do powiedzenia coś szczególnego?”. Cubela nie miał. Dostał piętnaście lat, ale nie odsiedział całego wyroku. Wyjechał do Hiszpanii.

Z Hawany (3)

Nazwę go Zetem i nic więcej. Nie mogą paść nazwisko, miejsce, ani okoliczności, w jakich się spotkaliśmy.

Na liście organizacji opozycyjnych wobec reżimu Castro, opowiadał Zet, było w pewnym momencie czterysta grup (!), które w sumie liczyły ponoć dwadzieścia tysięcy działaczy. W rzeczywistości o działalność opozycyjną, kościelną, o biblioteki niezależne otarło się nie więcej niż trzy, cztery, najwyżej pięć tysięcy ludzi. Część grup była nielegalna, część półlegalna. Jak to działało? Zakładało się stowarzyszenie albo partię i szło się do Ministerstwa Sprawiedliwości do rejestru stowarzyszeń. Składało się zgłoszenie i podanie, urzędnik je stemplował, a wiadomość o rejestracji stowarzyszenia najczęściej nigdy nie nadchodziła. Pozostawał jednak papier, że była próba zalegalizowania. Zawsze można było powiedzieć bezpiece: „czekamy na odpowiedź z urzędu”.

Rozmawiałem z Zetem na kilka dni przed falą masowych aresztowań przeciwników reżimu. Represje w ostatnim czasie, opowiadał Zet nieświadomy tego, co zdarzy się kilka dni później, zelżały. Było około dwustu więźniów politycznych; ludzi, których nazwiska nie były na świecie znane, tak jak nazwiska Oswalda Pai, Elizarda Sancheza, Marthy Beatriz Roque, Raula Rivero czy Dagoberta Valdesa. Wielu opozycjonistów nie trafiało do więzienia. Zwalniano ich z pracy, ale nawet to nie było regułą. Zdarzały się pobicia, nawet złamania ręki, ale i taką brutalność trudno było uznać za codzienną praktykę, to raczej wypadki.

Oficjalna prasa z rzadka wspominała o przeciwnikach reżimu, czasami na przedostatniej stronie „Granmy” w dolnym rogu. Castro tylko raz przyznał, że

na Kubie są przeciwnicy Rewolucji. Nazwał ich „agentami na żołdzie amerykańskiego imperializmu”.

Istniała niepisana zasada gry między opozycją i władzą: wy, robaki, siedzicie w domach, knujecie coś tam, ale wara od ulicy. Się wiedziało, że gdyby oponenci zorganizowali manifestację uliczną, władza by ich zdusiła. Wyjątkiem był „projekt Varela” – to znaczy: zmian w konstytucji umożliwiających wolne wybory, pod którym Oswaldowi Pai i jego ludziom udało się zebrać dziesięć tysięcy podpisów. Ale to również odbywało się po domach, nikt nie zbierał podpisów na ulicy. A ponieważ tym, co podpisy zbierali, nic się nie stało, wielu ludzi przestało się bać. Payá postanowił zbierać podpisy dalej – żeby utrzymać społeczną mobilizację.

Kto podpisywał? Wszyscy: od profesora uniwersytetu do robotnika. Na prowincji było gorzej, ludzie bali się bardziej. Bezpieka potrafiła porwać zbieracza podpisów i wywieźć trzydzieści kilometrów poza osadę, wieś, miasto i zostawić w szczerym polu.

Można było dostać wyrok za stawianie oporu funkcjonariuszowi w czasie domowej rewizji. Wystarczyło powiedzieć, że nie ma prawa wejść – to już uznawano za „stawianie oporu”. Wprowadzono przepis o „działalności nielegalnej” – wszystko mogło być nielegalne. Parlament przegłosował poprawki do konstytucji, mówiące o „nieodwoływalności socjalizmu”. Telewizja przez trzy dni nadawała transmisję z sesji parlamentu, który podjął tę wiekopomną decyzję. Władza ofiarowała z tej okazji dni wolne od pracy. Pojechałem na plażę, tłumy ludzi, nikt nie oglądał tej farsy. Dzięki temu zrozumiałem, że inni wierzyli w socjalizm tak samo jak ja.

W opozycji bywały silne animozje. „Wszyscy Razem”, koalicja z chrześcijańskim demokratą Oswaldem Payą na czele spierała się z konkurencyjnym „Zgromadzeniem na rzecz Społeczeństwa Obywatelskiego”. Jego szefowa Martha Beatriz Roque uważała, że „projekt Varela” legitymizował dyktaturę, podejmując walkę o wolne wybory w ramach totalitarnego prawa. Z kolei umiarkowana grupa pod osobliwą nazwą „Stół Refleksji Opozycji Umiarkowanej” opowiadała się za dialogiem z władzą, nie podpisała ze względów taktycznych „projektu Varela”, choć go popierała.

Trudno mówić o radykalnych różnicach ideowych. Oswaldo Payá czy Dagoberto Valdés to katolicy, chadecy, od lat związani z Kościołem. Elizardo Sánchez czy Raúl Rivero to dysydenci, przed laty zwolennicy Fidela i działacze

partii komunistycznej. Ale myślę, mówi Zet, że te różnice miewały charakter ambicjonalny. Martha Beatriz poczuła się zazdrosna o dziesięć tysięcy podpisów Oswalda. Może to co naprawdę ich różni, to stosunek do Waszyngtonu i diaspory z Miami. Oswaldo zawsze uważał, że w epoce „po Castro" to Kubańczycy z kraju, a nie emigranci, powinni mieć głos decydujący w sprawie nowego ładu na wyspie. Był też bardziej niż Martha Beatriz krytyczny wobec polityki amerykańskiej, wobec blokady/embarga.

Po aresztowaniach i pierwszych wyrokach Zet przekazał mi okrężną drogą z Hawany do Warszawy trzy domniemane powody przykręcenia śruby – jeden nie wyklucza drugiego, a drugi trzeciego i pierwszego. Podpisy, Irak, pięciu więźniów imperium.

Podpisy. Dziesięć tysięcy podpisów to niesłychany jak na kubańskie warunki sukces opozycji antycastrowskiej. Dzięki tej wielkiej akcji do fasadowego parlamentu wpłynął po raz pierwszy projekt demokratycznych zmian w konstytucji, a Oswaldo Payá otrzymał prestiżową Nagrodę Praw Człowieka im. Andrieja Sacharowa. Pękła obręcz strachu, ludzie Pai dalej zbierali podpisy, a ulica coraz otwarciej mówiła, że ma dość reżimu Fidela.

Irak. Wybuch wojny w marcu dwutysięcznego trzeciego przeciwko tyranii Saddama Husajna dał Castro okazję, żeby przydeptać opozycji gardło. Świat nastawiał uszu „co tam w Bagdadzie", Fidel uważał, że nikt nie będzie miał głowy zajmować się kolejnymi represjami na małej wyspie.

Pięciu więźniów imperium. Rok wcześniej sąd w Atlancie, w USA, skazał za szpiegostwo pięciu Kubańczyków. Dostali wyroki dożywocia. W Hawanie i poza stolicą przy drogach zaczęły straszyć bilboardy przedstawiające wizerunki „pięciu bohaterów" uwięzionych przez „imperium". Pojawiła się hipoteza, że Fidel zechce wymienić skazanych na dożywocie opozycjonistów za pięciu więźniów.

Hipotezy, hipotezy… Trudno czasem pojąć, dlaczego Castro odkręcał śrubę, dlaczego przykręcał. Przed wizytą Papieża zamykał, żeby móc potem wielkodusznie spełnić jego prośbę o wypuszczenie. Absurdalne, niemoralne, ale mieszczące się w logice dyktatury. Wściekła kampania przeciwko „porwaniu" małego Eliana Gonzaleza przez „mafię z Miami" też była jakoś zrozumiała w logice castryzmu. Był przełom roku dziewięćdziesiątego dziewiątego i dwutysięcznego. Dyktatura traciła wigor, zżerał ją starczy uwiąd, trzeba było

tchnąć nowego, rewolucyjnego ducha w kubańskie masy, wyciągnąć ludzi na ulice, i to w jakiejś autentycznej, dobrej sprawie. Podobno Fidel od miesięcy łamał sobie głowę, jak to zrobić, i oto cud się zdarzył – a właściwie wypłynął z morza. Matka zabrała sześcioletniego synka, Eliana, na tratwę, żeby przepłynąć na Florydę. Kobieta utonęła, Elian cudem dopłynął, a ojciec został na wyspie. Kto miał prawo do opieki nad dzieckiem: rodzony ojciec czy jakieś ciotki, „zdrajczynie Ojczyzny i Rewolucji"? Do akcji przeciwko odesłaniu Eliana na Kubę włączyły się antycastrowskie grupy, zwane przez propagandę Fidela „mafią z Miami". Wielu Kubańczyków w autentycznym odruchu serca domagało się odesłania dziecka ojcu (choć byli i tacy, którzy powtarzali rymowankę: *Elian, amigo, llévame contigo* – „Elian, przyjacielu zabierz mnie ze sobą"). Fidel kazał wybudować w samym sercu Hawany, na bulwarze Malecón przed budynkiem Sekcji Interesów USA, osławioną Trybunę Antyimperialistyczną, na której codziennie odbywały się rewolucyjne sabaty w obronie „porwanego" chłopca, na pohybel „mafii kubańsko-amerykańskiej".

Takie akcje mieściły się w logice dyktatury… Ale dlaczego Fidel raz pozwalał otwierać „paladary" – prywatne małe knajpki, a po kilku miesiącach kazał je zamykać, by po następnych kilku miesiącach znów zezwolić na otwarcie, a potem ponownie je zamknąć?

Meandry myśli i decyzji Szaleńca *(Este Loco* – ten Szaleniec – mówiło o nim wielu Kubańczyków) były jak starożytne hieroglify.

Fidel (3)

Samotnik.

Gdy w 1967 roku zginął Che Guevara, Fidel Castro stracił jedynego człowieka, który rozmawiał z nim, jak równy z równym. Dworzanie dygają, Che umiał mówić „nie”.

Gdy w 1980 roku zmarła najbliższa towarzyszka Celia Sánchez, stracił jedyną osobę, wobec której mógł być Fidelem, a nie „Najwyższym Przywódcą”.

Gdy upadł mur berliński, został sam w polityce, w otchłani „imperializmu” i kapitalizmu. „Jedynym echem tego wydarzenia na Kubie było zniesienie dyplomów uniwersyteckich z języka rosyjskiego – ironizowała Alina Fernández. – Fidel zastąpił rosyjski angielskim”.

Robił Rewolucję w imię José Martiego, dlatego Martí na sztandarach wrogów socjalistycznej Kuby był powodem jego niezliczonych furii. Radio Martí – kubański odpowiednik Wolnej Europy – miał wysadzić w powietrze Tony de la Guardia. Nie zdążył, został rozstrzelany.

Ambasador Bonsal zapisał w swoich memuarach, że „Castro i castryzm”, mimo pogwałcenia demokracji, „cieszą się fanatycznym poparciem milionów Kubańczyków”. Nawet po upadku socjalizmu w Europie Środkowej na wiecach wodza – tłumy i chorągiewki. Oportunizm? Strach? Podwójna moralność? Chyba nie tylko.

Jest dobra anegdota o agentach CIA, którzy raportowali z Hawany: „Panie prezydencie, nie ma tu bezrobocia, ale nikt nie pracuje. Nikt nie pracuje, ale zgodnie ze statystykami dotrzymywane są wszystkie plany produkcyjne. Dotrzymywane są wszystkie plany produkcyjne, ale nie ma nic w sklepach. Nie

ma nic w sklepach, ale wszyscy jedzą. Wszyscy jedzą, ale cały czas skarżą się, że nie ma jedzenia. Wszyscy cały czas się skarżą, że nie ma nic do jedzenia, ale idą na Plac Rewolucji wiwatować na cześć Fidela. Panie prezydencie, mamy wszystkie dane i żadnej konkluzji". (Może brat Betto miał trochę racji?).

Na początku lat dziewięćdziesiątych profesor Marifeli Pérez-Stable z uniwersytetu stanowego w Nowym Jorku napisała, że na Kubie może rozegrać się jeden z trzech scenariuszy. Latynoski, czyli transformacja negocjowana z gwarancjami dla ludzi castrowskiego reżimu. Wschodnioeuropejski, czyli ewolucja systemu od quasi-stalinizmu ku demokracji. Azjatycki, czyli rynek i autorytaryzm.

W ostatniej godzinie Fidel uchylił drzwi – turystyka, spółki *joint-venture,* dolaryzacja… Pozwolił Kubie wyjść z izolacji. Ale emigranci i dysydenci uznali to za grę pozorów. Zmiany na Kubie miały zwiastować raczej chód, cera i tembr głosu Fidela. „Krążą wieści o jego złym stanie zdrowia – pisał z nadzieją Carlos Alberto Montaner. – Prasa donosiła, że prawie zemdlał w obecności ambasadora Hiszpanii José Antonia San Gila. Castro nie trafił w jego rękę; miał ją przed sobą i jej nie widział. (…). Prawdopodobnie jakiś czas temu przeszedł dwa małe wylewy. W obecności Violetty Chamorro, pani prezydent Nikaragui, Castro zemdlał; dwóch ochroniarzy wyniosło go do łazienki, gdzie był reanimowany. Nie ma wątpliwości, że jest chory. Niespodziewane wychudzenie, słomkowa cera, zapadnięta klatka piersiowa wskazują na raka płuc, przypuszcza Andrés Cao, znakomity lekarz, prawie czarodziej. Ale od razu dodaje: *Trudności z poruszaniem się wskazują jednak na dolegliwości mózgowe, spowodowane być może wysokim ciśnieniem.* Pewien reporter, zwykle rzetelny, Pablo Alfonso dociekł, że Castro odwiedził Szwajcarię, gdzie badał go kardiolog. Nic dziwnego: były palacz po siedemdziesiątce zawsze jest blisko śmierci…".

Był czas, kiedy uważałem Fidela Castro za jedynego polityka, który byłby w stanie przeprowadzić Kubę do epoki „po Fidelu Castro" suchą stopą; który miałby szansę ułożyć się z opozycją w kraju i na wygnaniu; wyznaczyć pokojową marszrutę przemian na wyspie. Sądziłem, że nikt po nim nie będzie miał takiego autorytetu, ani siły…

– Gdyby tylko chciał – opowiadał Adamowi Michnikowi jeden z najbardziej znanych dysydentów Elizardo Sánchez – mógł zrobić dla Kuby wiele dobrego.

Ale na starość stał się rozleniwionym patriarchą i zaczął traktować Kubańczyków jak niewdzięczników, którzy nie zasłużyli na takiego dobroczyńcę jak on.

„Historia nigdy nie będzie sprawiedliwa dla Fidela Alejandra Castro Ruz" – ironizowali Jean Franęois Fogel i Bertrand Rosenthal w monumentalnym dziele *Fin de Siglo en La Habana.* „Urodzony z osobowością Aleksandra Wielkiego na małej wysepce, która ma tylko palmy i cukier, wierny leninizmowi aż do jego zmierzchu, jest postacią niemieszczącą się w żadnych ramach ani epoce. Jego wysiłki, rachuby i szaleństwa zadają kłam słynnej frazie: *żaden człowiek nie jest wyspą* poety Johna Donne'a. Kuba to Castro. Ale Castro to coś więcej niż jego wyspa. To najbardziej liryczny *caudillo* jakiego wydała Ameryka Łacińska. Teatralny, dumny, szalony, niezmordowany. Patriarcha demiurg, marzyciel. Rewolucjonista, który jedną ręką przywraca karę śmierci, a drugą – likwiduje Papę Noela [odpowiednika Świętego Mikołaja] i zmienia datę karnawału. Szef rządu, który aspiruje do uprawiania truskawek poniżej zwrotnika Raka… Na swój sposób potwór – szef, który z nikim nie chce dzielić władzy…".

Marifeli Pérez-Stable: „Rewolucjonista Castro umocnił Kubę bardziej sprawiedliwą i niepodległą. W tym samym czasie Castro *caudillo* niszczył testament rewolucji".

– Historia mnie rozgrzeszy – Fidel rzucił w twarz sędziom, którzy skazywali go na więzienie po ataku na koszary wojskowe w pięćdziesiątym trzecim roku. Być może proroctwo to spełniłoby się, gdyby nieprzewidywalny *El Comandante* jeszcze raz spłatał figla. Gdyby jeszcze raz przywdział szaty heretyka i dysydenta. Gdyby jeszcze raz poprowadził lud na Pałac Rewolucji i zmiótł dyktaturę.

Dyktaturę Fidela Castro.

Dzieje Rewolucji
przez Pío Serrano opowiedziane (2)

(kaseta II)

… w siedemdziesiątym czwartym dołączyłem do kilkumilionowej diaspory kubańskiej. Niech pan zwróci uwagę, że emigracja kubańska różni się od innych porewolucyjnych emigracji dwudziestego wieku: rosyjskiej, chińskiej czy hiszpańskiej (po wojnie domowej). Każdy z tych wstrząsów powodował wielką falę emigracyjną. Natomiast w przypadku emigracji kubańskiej było inaczej – i sądzę, że działo się tak z powodu niebywałej zręczności Castro. Emigrację kubańską tworzyły kolejne fale. Co jakiś czas wyjeżdżała wielotysięczna grupa, co powodowało stałe odnawianie się diaspory; powstało nawet coś w rodzaju społecznej piramidy emigracji.

Zaraz po Rewolucji wyjechali ci, którzy byli mniej lub bardziej związani z dyktaturą Batisty – wojskowi, politycy, urzędnicy. W latach sześćdziesiątych wyjechali przedsiębiorcy i specjaliści, niezwiązani ze starym reżimem, których Rewolucja wyrzuciła na margines. W latach siedemdziesiątych warunki życia oraz polityczne mechanizmy zmusiły do wyjazdu inteligencję, pisarzy, pracowników umysłowych. Dla kraju było to potwornie dewastujące, dla emigracji – zbawienne.

Tak oto kolejne warstwy naszej diaspory – zbudowane z ludzi różnych grup społecznych i różnych zawodów – ciągle się odnawiały. Dlatego nie można mówić o emigracji kubańskiej jako o zbiorowości jednorodnej. Na początku przeważali w niej ludzie o nastawieniu reakcyjnym, związani z *ancien régime'm,* potem pojawiło się wielu komunistów, którzy poczuli, że ich ideał

komunizmu został zdradzony przez ducha fidelizmu; socjaldemokraci, z którymi ja sam się identyfikuję, i którzy uważają, że Rewolucja została uprowadzona przez perwersyjną dyktaturę; że wypaczono wszystkie jej ideały.

Jestem samotnym strzelcem. Nie związałem się z żadną organizacją emigracyjną w Miami – ani z Fundacją Kubańsko-Amerykańską *(Fundación Nacional Cubano-Americana),* ani z Komitetem na rzecz Demokracji *(Comité por la Democracia),* ani z „Cambio Cubano" starego rewolucjonisty Eloya Gutiérreza Menoyo [który wrócił na wyspę, żeby dożyć dni i pomóc w transformacji politycznej reżimu Castro]. Wszystkie te organizacje mają duży dorobek, ale niemal zawsze na ich czele stali ludzie o mentalności wodzów, *caudillos.* Zamiana jednego *caudillo* na innego nie interesowała mnie. Wie pan, ludzie tacy jak ja, zajmujący się pisaniem, filozofowaniem, zawsze wolą rozmyślać w samotności, nie lubią, gdy wykorzystuje się ich do ozdoby tego czy innego wodza. Jedyna organizacja, do której się zapisałem, to aideologiczny Komitet Praw Człowieka *(Comité Cubano pro Derechos Humanos)* Marty Frayde, starej bojowniczki o prawa człowieka na Kubie.

Ale chcę też panu powiedzieć, że choć nie należę do organizacji z Miami, to uważam, że zdemonizowano je. Robiła to nie tylko propaganda na Kubie, robili tak też dziennikarze zręcznie manipulowani przez Hawanę. Na przykład Fundację Kubańsko-Amerykańską zawsze przedstawiano jako reakcyjnych ultraprawicowców, faszystów, rasistów, nazistów, a w rzeczywistości… Zgoda, przez lata byli niedojrzali, może zbyt nieugięci, ale daleko im do epitetów, którymi ich obdarzano. To byli na ogół liberałowie, w europejskim znaczeniu, a ich diaboliczność wyrażała się tym, że nie chcieli negocjować z Castro. Przez lata uważali, że problemem Kuby jest przede wszystkim On – i mieli dużo racji. Nie wzywali do przemocy, nigdy nie udowodniono, że przygotowywali zamachy na Castro. Przeciwnie – wykonali ogromną pracę cywilną, w odróżnieniu od rozmaitych grup zbrojnych, które pojawiły się tuż po Rewolucji. Jako pierwsza organizacja latynoamerykańska w Stanach zdołali stworzyć lobby interesów narodowych w Waszyngtonie. Tego nie zdołali dokonać pierwsi uchodźcy kubańscy. Pierwszą falę uchodźców opanowali, a potem nią manipulowali, agenci amerykańskiego wywiadu. W przypadku Fundacji było inaczej, i kiedy kapitał kubański stał się znaczący dla samej Ameryki – całość produkcji emigracyjnej w Miami przekroczyła wartość produkcji jedenastomilionowej Kuby! – Fundacja zaczęła wpływać na amerykańską politykę. Udało się jej

stworzyć rozgłośnię Radio Martí nadającą program dla Kubańczyków w kraju przez całą dobę, później telewizję TeleMartí. Po śmierci ojca-założyciela Jorge Mas Canosy Fundacja stworzyła grupę komitetów interdyscyplinarnych złożonych z ekonomistów, socjologów, samych tęgich głów, dysputujących o transformacji na Kubie po śmierci Castro. Mądre, czyż nie?

Wy, Polacy, Czesi, Węgrzy mieliście szczęście, że na waszej drodze do wolności nie stał Pierwszy Lider, Konstruktor, Wielki Kapitan. W Związku Sowieckim dopiero po śmierci Stalina partia mogła przemyśleć jego rolę; dopóki żył, było to niemożliwe. Castro to ten sam przypadek, a może nawet gorszy.

Nie, nie chodzi o ofiary, zbrodnie… Chodzi o to, że na Kubie partia komunistyczna nigdy nie miała takiego znaczenia, jak w innych krajach socjalistycznych; partia była tylko dodatkiem do Fidela, przedłużeniem jego władzy. Kiedy w pierwszych latach, jeszcze w antysowieckim okresie Rewolucji, starzy komuniści poddali w wątpliwość władzę Castro i szukali wsparcia w Moskwie, on ich po prostu zmiótł z powierzchni ziemi. Był jedynym człowiekiem, który miał prawo rozmawiać z Sowietami, i powiedział to wyraźnie wszystkim Kubańczykom i Moskwie. „Spiskowców” powsadzał do więzień, Chruszczow musiał usiąść z nim do stołu i uznać Fidela za jedynego lidera.

Mówi pan o otwarciu Kuby na świat w ostatniej godzinie Castro… Pamiętajmy jednak o ciemnych stronach. Te wszystkie spółki *joint venture* z kapitałem hiszpańskim to tylko więcej korupcji. Ludzie aparatu, będący pośrednikami między inwestorami zagranicznymi a rządem Kuby, pozakładali konta na przykład w Hiszpanii, tak na wszelki wypadek, jakby co…, to znaczy jakby po śmierci Fidela musieli uciekać z wyspy. Zabezpieczyli sobie przyszłość. Nie uważam nawet, że robili to z cynizmu. Powody ludzkich zachowań są złożone, nie mnie osądzać. Myślę, że ich również reżim zmusił do szukania sposobów na przeżycie. Również wobec nich dyktatura Castro była perwersyjna. W ciągu ponad czterech dekad powstał wewnętrzny mechanizm, w którym każdy człowiek był zarazem oprawcą i ofiarą. Zawsze ktoś czuł do kogoś resentyment, zaś ten drugi do kogoś innego, i tak dalej. A równocześnie w całej swojej konstrukcji reżim zagwarantował każdemu maleńką cząstkę władzy – a to w związkach zawodowych, a to w organizacji branżowej, a to w milicji obywatelskiej, czy we własnym budynku mieszkalnym; każdemu kazano

dozorować innych. Każdy zatem kiedyś wyrządził komuś krzywdę i każdy został kiedyś przez kogoś skrzywdzony. Dlatego trzeba być wspaniałomyślnym, patrzeć wstecz bez gniewu, przyjąć, że wszystko stało się nie przez ludzi, ale przez system, który ich deprawował, niszczył kraj, miliony ludzi skazał na życie, w którym byli niejako zmuszeni krzywdzić innych.

Od wielu lat było wiadomo, że reżim Castro nie ma przyszłości. Ludzie młodzi widzieli w telewizji, jak się żyje gdzie indziej, widzieli turystów, którzy żyli inaczej. Ja sam należę do pokolenia, które przeżyło heroiczną epopeję Rewolucji i czasami mogę myśleć z nostalgią o jej szczęśliwych latach; mogę wspominać z nostalgią obronę Kuby przed kontrrewolucją na Playa Girón, bo sam to przeżyłem. Cóż to była za gorączka! Co za atmosfera! Ale wiem, że dla tych, którzy Rewolucji nie pamiętają, jest ona tylko stroną z obowiązkowego podręcznika. Co ja czułem na własnej skórze, to dla nich tylko tekst do wykucia na egzamin, martwa litera, świstek papieru. Całe życie przeżyli w smutnej i nędznej codzienności danej im przez reżim pozbawiony uroku – choćby tego, jaki miał w czasach narodowej epopei. A Rewolucja Kubańska przestała być epopeją w latach sześćdziesiątych. Potem stała się szarą, nietolerancyjną biurokracją. A wie pan, po czym to widać najlepiej? Po literaturze! Myśmy pisali epickie powieści, pieśni na cześć przyszłości – bo przyszłość była w naszych rękach – mieliśmy zmienić kraj, widzieliśmy międzynarodową solidarność. Potem nikt już tak nie pisał… Wróciła literatura egzystencjalna, powstały dzieła takie jak *Trilogía sucia de La Habana* Pedra Juana Gutierreza, mroczny, groteskowy i pełen przemocy realizm.

Pyta pan o Raula Castro, którego Fidel wyznaczył na następcę… Ktoś napisał, że „Fidel to serce rewolucji, a Raúl to jej pięść”. Nie wiem… Raúl Castro od początku Rewolucji zajmował drugie po Fidelu miejsce we wszystkich instytucjach władzy. Inaczej niż Fidel, wywodził się ze starej kubańskiej partii komunistycznej. Fidel był awanturnikiem, który zaakceptował marksizm i sowieckie wpływy, ponieważ jedynie Moskwa mogła mu zapewnić poparcie ekonomiczne i wojskowe w obliczu konfliktu z USA. I mogła mu dać uzasadnienie ideologiczne dla tego, co robił. Raúl był od początku przekonanym komunistą.

Od pierwszych lat Rewolucji powtarzano, że to taki zły policjant: że najpierw przychodzi Fidel i daje ci papierosa, a później przychodzi Raúl i łamie ci kości.

Świadectwa na temat obu mówią coś zupełnie innego. Raúl nigdy nie miał charyzmy Fidela; zawsze był postacią drugorzędną, i nie ze względu na drugie miejsce w państwie, tylko ze względu na osobistą szarość i nijakość. Ale ze starych przywódców kubańskich tylko on miał normalną rodzinę. We wspomnieniach nieślubnej córki Fidela, Aliny Fernández, Raúl to jedyna osoba, która prowadziła jako tako normalne życie: zajmował się dziećmi i innymi członkami rodziny, przejmował się losem znajomych, był ludzki, a przynajmniej bardziej bezpośredni niż Fidel. Sądzę, że mechanizmy władzy obsadziły go w roli, która miała uwolnić Fidela od ciężaru brudnej roboty. Według mnie to była zwykła kalkulacja.

Jest jeszcze jedno: zawsze uważałem Raula za pragmatyka, a Fidela – za uparciucha. Raúl jako pierwszy zaczął tworzyć oddzielone od administracji państwowej podmioty gospodarcze, które z zysków finansowały chociażby armię. W ten sposób rozbił zastały schemat centralizacji gospodarczej kraju. Był jednym z pierwszych, którzy stworzyli korporacje turystyczne z udziałem obcego kapitału. „Gaviota”, jedna z najważniejszych agencji turystycznych Kuby, była przez dłuższy czas w rękach wojska (pod dowództwem Raula). Raúl to pragmatyk, dał tego dowody w sposobie rozwijania gospodarki – jestem przekonany, że dolaryzacja schyłkowego castryzmu to wynik jego zabiegów.

Dlaczego Castro powoływał się na Papieża? Bo jest manipulatorem. Zawsze nim był. A z drugiej strony – to była zawsze jego wielka umiejętność, bo przecież nie można odmówić mu zalet. Fakt, że utrzymał się przy władzy w momencie tak strasznego kryzysu, takiego głodu, jaki dopadł Kubę po upadku ZSRR, no i w ogóle przez tyle dziesięcioleci, na przekór potędze USA, stale budząc zaciekawienie prasy międzynarodowej… To wszystko świadczy o jego niezwykłej inteligencji, zręczności, umiejętności wykorzystywania atutów w sposób zupełnie wyjątkowy. Zawsze był uparty, a zarazem giętki. Jedyna norma, której się trzymał, to przeżyć. Czasem myślałem, że wróci do korzeni, do początków, kiedy mówił, że jego Rewolucja będzie chrześcijańska, że postępuje zgodnie z przykazaniami Jezusa – pomocy bliźniemu, solidarności… Dlatego przemówienia Papieża skierowane przeciwko globalizacji, agresywnemu neoliberalizmowi, odpowiadały mu, dzięki nim poprawiał swój wizerunek.

Nie mógł też nie zauważyć rosnącej siły Kościoła. Z kraju, który w poprzednich dekadach właściwie nie wiedział nic o Kościele, Kuba zmieniła się

nagle w kraj pełnych kościołów, masowych ślubów kościelnych i chrzcin. W końcu sama partia zgodziła się, by katolicy mogli do niej należeć. Kiedyś Castro z wielką zręcznością popierał rozwój religii afrokubańskich, głównie santerii i różnych jej wariantów. Chciał spowodować ich konfrontację z katolicyzmem. Chciał wyjść naprzeciw transcendentalnym pragnieniom ludzi, ale tak, żeby skierować je w stronę religii marginalnych, niezinstytucjonalizowanych, nad którymi mógł łatwo przejąć kontrolę. Potem kokietował Papieża, ale nie lokalne władze kościelne. Wielki manipulator!

Był taki żart na Kubie… Ale żeby go zrozumiał nie-Kubańczyk, konieczny jest wstęp. Żył w dwudziestym wieku świetny kubański pisarz: José Lezama Lima. Był postacią kontrowersyjną, jego proza była szalenie prowokacyjna. Reżim Castro pomijał go milczeniem. A mimo to, Lezama Lima stał się postacią literatury światowej. Ów żart mówił, że za sto lat pod hasłem „Fidel Castro" encyklopedie będą pisały: „Przywódca kubański w czasach, w których Lezama Lima pisał powieści". Czyli że głównym odniesieniem będzie Lezama Lima, a Castro to tylko przypadkowy przechodzień.

Ja sadzę, że tak jednak nie będzie. Castro odegrał ważną rolę w dziejach całego kontynentu latynoamerykańskiego – mimo że żadna z wielkich przemian, jakie inicjował, nie udała się. Po pierwsze, nieudana Rewolucja. Następnie – wielki ruch wyzwolenia Latynoameryki, czyli *guerrilla;* to co po nim zostało, to grupki uzbrojonych bandytów, którzy trzymają w rękach pół Kolumbii. Był prekursorem ruchu znanego pod nazwą *Tricontinental,* wywrotowego, obejmującego nie tylko Amerykę Łacińską, lecz także Azję i Afrykę. Ten ruch również upadł. W Afryce ruchy rewolucyjne były tworzone pod dyktando Fidela, o czym można się przekonać, czytając fragmenty dzienników Che Guevary z Konga. Był Castro prekursorem „kampanii międzynarodowych": interweniował w Etiopii, Angoli – i wszędzie przegrywał. W Etiopii związał się z najokrutniejszym z ugrupowań. W Angoli o nim zapomniano, mimo że wysłał tam sześćdziesiąt tysięcy Kubańczyków, z których wielu zginęło.

Tak więc, Castro to facet, który robił ogromnie dużo szumu przez ostatnich pięćdziesiąt lat dwudziestego wieku, realizując projekty, które poruszały świat, ale które ostatecznie upadały – wszystkie po kolei! W pewnym momencie miał być odniesieniem dla wielkich ruchów Trzeciego Świata, kimś takim, jak wielcy liderzy – Nehru z Indii czy Nasser z Egiptu – ale i na tym polu przegrał

z kretesem. Inni liderzy mu nie ufali. Wewnątrz ruchu państw Trzeciego Świata – wtedy mówiło się: Ruchu Niezaangażowanych – uważano, że Castro to robaczywe jabłko, i że wcale nie dystansuje się od obu bloków, to jest USA i ZSRR; przeciwnie – uważano, że działa na zlecenie Moskwy.

Sądzę, że w przyszłości reżim Castro będzie postrzegany jako reżim nieudany. A sam *El Comandante* – jako charyzmatyczny, lecz przegrany wódz. Zostawił po sobie zrujnowany kraj. To za jego rządów ten kraj, który w roku pięćdziesiątym dziewiątym – mimo ponurej dyktatury Batisty – należał do najbardziej rozwiniętych w Ameryce Łacińskiej, stoczył się w otchłań.

(koniec kasety II)

Miniatura II

(mit Kuby)

Spotkałem w Porto Alegre w Brazylii hiszpańskiego pisarza Manuela Vazqueza Montalbana. Był luty 2002, zlot antyglobalistów. Nad pochodem maszerujących ulicami miasta unosił się okrzyk: *(Cu-ba-sí, Yan-quis-no! Cu-ba-sí, Yan-quis-no!*

W kawiarni hotelu „Plaza Sao Rafael" Vázquez Montalbán, autor kryminałów i lewicowych manifestów, objaśniał mi, dlaczego zdemontowanie mitu Fidela Castro jest trudne, prawie niemożliwe.

Bo to mit oparty na symbolach.

Bo kubańska Rewolucja stworzyła zbiór znaków, które wciąż utrzymują przy życiu niegdysiejszą fascynację (triumfalny wjazd do Hawany, okrzyk: *Cuba sí, Yanquis no,* romantyczny wizerunek Che Guevary).

Bo Fidel i Rewolucja ludu kubańskiego pokonały ponurą dyktaturę, a przede wszystkim Amerykę – biblijne zwycięstwo Dawida nad Goliatem!

– Bo w Ameryce Łacińskiej nie ma przykładu na lepsze rozwiązania niż te, które wprowadził Fidel Castro… – Vázquez Montalbán dostrzega mój mimowolny grymas – niestety, taka jest prawda. Nie porównuję Kuby z Europą, tylko z innymi krajami Ameryki Łacińskiej. Z krajami, w których nie ma silnej burżuazji, czy jak pan woli klasy średniej, są natomiast ogromne obszary nędzy.

Na Kubie też jest bieda i niedostatek, ale bez porównania gorzej żyje biedota w Peru, Kolumbii, w Dominikanie i na Haiti. Ta sytuacja zawsze dawała castrystom argumenty do ręki: „Jak przyjdą kapitaliści, wtedy dopiero zobaczycie, czym jest dyktatura kapitału, która niszczy biedaków”.

Vázquez Montalbán powiedział jeszcze, że nie wierzy w zmiany na Kubie przed śmiercią Castro, tak jak niemożliwe były w jego rodzinnej Hiszpanii za życia generała Franco. Castro to korek, który zatkał butelkę. Jego obecność zablokowała pojawienie się nowych, demokratycznych ruchów, choćby lewicowych, wewnątrz castryzmu, które mogłyby rozwinąć się po śmierci *caudillo*.

Przepowiednia pisarza: Kubie może przydarzyć się to samo, co nastąpiło w byłych republikach sowieckich, to znaczy związek elity politycznej z mafiami wywodzącymi się z dawnej partii. Jeśli do tego dołożymy spekulacyjny kapitalizm i ogromne obszary biedy, poczucie braku bezpieczeństwa i niestabilność, mamy czarny scenariusz dla Kuby po Castro.

Z Hawany (4)

Zwolennicy i wrogowie Fidela przez lata toczyli wojny na cyfry, tabelki, statystyki. Przeciwnicy powoływali się na statystyki sprzed rewolucji, wedle których Kuba z czasów Batisty była najlepiej rozwiniętym państwem Ameryki Łacińskiej, o najniższym analfabetyzmie, relatywnie wysokim dochodzie na głowę mieszkańca. Obrońcy Castro wymachiwali danymi agend ONZ, wedle których rewolucyjna Kuba należy do krajów o najwyższym standardzie życia. Średnią w takich statystykach oblicza się na podstawie m.in. śmiertelności niemowląt i dzieci, wieku umieralności, poziomu alfabetyzacji, dostępu do bezpłatnej edukacji i opieki zdrowotnej. Można by dojść do wniosku, opierając się na takiej średniej, że Kuba pod rządami Castro to prawie raj w porównaniu na przykład ze Stanami Zjednoczonymi.

Przyjaciel przedstawił mnie Robertowi, czarnemu starcowi, który za czasów Batisty był kierowcą u bogatej rodziny, zajmował się ogrodem, pomagał w pracach domowych. Przed rewolucją jadło się pyszne langusty, było tyle wspaniałych ryb, Roberto wymienia gatunki, których nie nadążam zanotować (ich nazw nigdy nie słyszałem). – No, ale ryby nie znikły, dalej pływają w oceanie? – dopytywałem. Langusty są, ale nie wolno nimi handlować, wszystko idzie na eksport; ryb w sklepach nie ma, ale po cichu wszyscy wędkują, jak złapiesz to twoje, nikt ci nie odbierze.

– Lepiej się żyło, Roberto, za Batisty czy za Fidela? Długie zamyślenie… – Nie, nie da się tak po prostu powiedzieć. Moi Państwo byli dobrzy, bardzo ich kocham. Wyjechali do Miami, przysyłają paczki z ubraniami, jedzeniem, i nie mniej niż 300 dolarów za każdym razem. Przed rewolucją chodziłem do szkoły,

po południu szedłem do Państwa pracować. Ogrodu doglądałem, zawiozłem Panią do fryzjera. Kiedyś pojechałem z moją dziewczyną do Trynidadu, zaoszczędziłem trochę i pojechaliśmy na tydzień na wczasy. Trynidad, Cienfuegos, Sancti Spíritu… Wtedy jeszcze jeździły normalne autobusy. Teraz dojechać na południe bez własnego samochodu, to droga przez mękę, prawie niemożliwe.

Czy wtedy było lepiej? Nie wiem. Po zwycięstwie rewolucji znikły z ulic dzieci wyjadające resztki ze śmietników, znikły dzieci, które zamiast uczyć się, sprzedawały gazety. Bez rewolucji moje własne nigdy nie miałyby szansy pójść na studia. – Bo czarne? – Bo czarne, bo biedne… Za Batisty publiczna edukacja kończyła się na szkole podstawowej; mój syn nigdy nie zostałby informatykiem, a moja córka – naukowcem. Nie, nie da się tak po prostu powiedzieć, ale zmęczony już jestem tą codzienną walką o wszystko. Mam swoje lata…

Inny czarny, Mario, któremu rum rozwiązał język, opowiedział mi o traumie, jakiej doznał na wojnach w Etiopii i Angoli. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych Castro wysyłał do różnych krajów Trzeciego Świata misjonarzy Rewolucji. Jechali lekarze, „doradcy”, żołnierze. Jako młody chłopak Mario myślał, że jedzie do Etiopii walczyć z imperialistami i wrogami Rewolucji, która nastała po cesarzu Hajle Selasje. Za czasów cesarza Fidel popierał separatystyczny ruch wyzwolenia Erytrei, której nie uważał za integralną część Etiopii. Po upadku cesarza i objęciu władzy przez marksistowskiego pułkownika Mengistu Hajle Mariama, Castro zmienił front. Razem z Moskwą poparł dyktatorskie aspiracje Mengistu, a dawnych bojowników-wyzwolicieli Erytrei okrzyknął „kontrrewolucjonistami”. Mario pojechał do Afryki pacyfikować erytrejskich rebeliantów. Potem trafił do Angoli.

– Nie rozumiałem, z kim i dlaczego mam walczyć, ale nie miałem wyboru. Cały czas myślałem tylko o jednym: czy przeżyję, czy wrócę. Po tym, co przeżyłem, niczego już nie chcę. Spędziłem w Afryce trzy najdłuższe lata. Większość moich towarzyszy nie wróciła. Widziałem, jak ginęli albo umierali na jakieś choroby. Nie mieliśmy leków, nie mieliśmy dość broni, ani amunicji, to była katastrofa. Nawet ranni nie mogli wrócić na Kubę. Obowiązkiem kubańskiego żołnierza było wytrwać do zakończenia misji. Do dziś wracają upiory… Skończmy już…

Zapytałem jeszcze, czy wszyscy jego towarzysze broni byli czarni? – Wszyscy, prawie wszyscy, biali byli niektórzy dowódcy. Rewolucja chlubi się likwidacją rasizmu. Enrique Ros w książce *La aventura africana de Fidel Castro* napisał,

że wielu czarnych żołnierzy kubańskich, którzy pojechali na wojnę do Angoli i Etiopii, było dumnych, że będą oswabadzać ziemię swoich pra-pra-pradziadów. Interwencja w Erytrei zniszczyła tę dumę. Czarni pojechali do Afryki strzelać do innych czarnych, walczących o niepodległość swojej ziemi.

Koniec rasizmu na Kubie Castro to kolejny mit. Na siedemdziesięciu czterech ministrów i wiceministrów w latach osiemdziesiątych czarnych było tylko pięciu; tylko czterech na czternastu członków Politbiura Partii; szesnastu na stu czterdziestu sześciu członków Komitetu Centralnego. Kiedy Kubańczycy walczyli po stronie Mengistu przeciwko bojownikom o wolność Erytrei, ani jeden czarny nie został awansowany na stopień generalski bądź admiralski. Spośród kilkudziesięciu tysięcy żołnierzy, których Castro posłał do Angoli i Etiopii, przytłaczającą większość stanowili potomkowie czarnych niewolników.

Rewolucja Castro odniosła sukcesy na trzech polach: powszechnej edukacji, opieki zdrowotnej i przekonania światowej opinii publicznej, że w dwóch pierwszych rzeczywiście odniosła sukces. To popularny żart w ostatniej godzinie castryzmu. Bo i edukacja nie tak fantastyczna – wiedza zresztą do niczego nie służy, nie jest biletem do lepszego życia; opieka zdrowotna – bez pieniędzy na specjalistyczny sprzęt, bez technologii i bez leków – jest półfikcją. Jedyne realne osiągnięcie to bezpieczeństwo na ulicach, nieznane w innych krajach Ameryki Łacińskiej. Ale osiągnięcie dwuznaczne – to bezpieczeństwo państwa policyjnego. Latynosi bywali nim zachwyceni. Brazylijczyk z Sao Paulo, którego spotkałam w Hawanie, był wprost zakochany w kubańskim bezpieczeństwie. Nigdy w życiu nie spacerował nocą po swoim mieście. Po Hawanie mógł się włóczyć wszędzie, dniami i nocami.

Daisy, ta od książki Vazqueza Montalbana, powiedziała mi, że na Kubie nie ma strachu na ulicy, ale jest inny strach: co będzie potem, to znaczy – po Fidelu. – Będziesz się śmiał, ale ja myślę, że będzie gorzej niż teraz – mówi Daisy. – Dlaczego tak uważasz? – Bo przyjadą ci z Miami i zacznie się wojowanie, czyja to była ziemia, czyja kamienica przed Rewolucją, i wojna gotowa. – Nie przesadzaj – przekonywałem Daisy, choć bez mocnej wiary – nie będzie tak źle, w Miami jest nowe pokolenie, które urodziło się w Ameryce… – Obyś miał rację, ale już teraz dolar wkradł się między ludzi, zniszczył naszą kulturę. Ludzie chcą się pobierać dla pieniędzy, najlepiej z cudzoziemcami. – Chcą uciec, Daisy, a sama byś nie chciała?

Policjant wzywa Daisy, żeby podeszła do suki patrolowej. O co chodziło? – Wyglądasz na cudzoziemca, a nam z cudzoziemcami nie wolno się zadawać. Puścił mnie, bo powiedziałam, że jesteśmy starymi przyjaciółmi, że poznaliśmy się przed laty.

Kolejny nonsens: Kubańczykom nie wolno zadawać się z cudzoziemcami; nie wolno wchodzić do niektórych knajp i hoteli. Brakuje tylko tabliczek: „Psom i Kubańczykom wstęp wzbroniony". Ale i tak każdy ma taką tabliczkę wyrytą w głowie, nie trzeba wieszać.

Jest gorący wieczór. Miasto ledwie zipie. Tylko wiatr od oceanu przynosi ulgę. Następnego dnia wylatuję, a za trzy dni bezpieka wtargnie do mieszkań przeciwników Castro. Stary człowiek wciska mi „Granmę", która informuje na pierwszej stronie, że Fidel przyznał dyplom uznania Raulowi z okazji powstania jakiegoś-tam-frontu partyzanckiego przed pięćdziesięciu laty. Inny starzec wciska mi monetę z ikoną Rewolucji, Ernestem Che Guevarą. Prosi: „Jeden dolar, jeden dolar…". A jak nie dolar, to chociaż dziesięć *peso* (moneta z Che ma nominał trzy *peso).* Legenda za dolca, legenda za dziesiątaka…

Jutro, w środku nocy, gdy będę jechał na lotnisko, przejrzę w pamięci jeszcze raz wszystkie rozmowy. Czy kiedy przyjadę następnym razem, Jorge wciąż będzie sprzedawał książki na Plaza de las Armas? A Daisy: czy będzie sprzedawać kradzione z fabryki cygara? Czy Javier-fidelista będzie pił rum i bronił nieżyjącego już pewnie wodza Rewolucji?

Pozdrówcie ich, gdybym nie dojechał…

Miniatura III

(Jorge G. Castañeda)

W pokoju z książkami Jorge Castañedy na honorowym miejscu stoi ramka ze zdjęciem gospodarza domu z Fidelem Castro. Spotkaliśmy się w dwutysięcznym roku, w przeddzień wyborów w Meksyku, które pogrzebały ponadsiedemdziesięcioletni monopol Partii Rewolucyjno-Instytucjonalnej (PRI, *Partido Revolucionario Institucional).* Castañeda był tamtego dnia jednym z nielicznych, którzy wierzyli w upadek „potwora wielogłowego” (jak w Meksyku określano partię-monopolistę).

Za rządów PRI Meksyk przyjaźnił się z castrowską Kubą. Politycy PRI ignorowali dysydentów na wyspie, sprzyjali reżimowi Castro, bronili go przed atakami propagandy wrogów kubańskiej rewolucji. Wszystko to zmienił człowiek, który wiele lat po zerwaniu przyjaźni z Fidelem wciąż trzyma pamiątkowe z nim zdjęcie na półce z książkami.

Po tamtych wyborach, w których sukces tak mocno wierzył, Jorge Castañeda został – tak jak dwadzieścia lat wcześniej jego ojciec – szefem meksykańskiej dyplomacji. Zaczął potępiać Castro za więźniów sumienia, tyranię, megalomanię. Posłał nawet swojego szefa – prezydenta Vicente Foxa – na spotkania z kubańskimi dysydentami.

Pewnego dnia hawańska „Granma” wściekle zaatakowała Castañedę: za to, że

storpedował wizytę Fidela na międzynarodowej konferencji w Monterrey, w Meksyku. Padły obelgi: „sługus imperializmu amerykańskiego”, „diabeł”, „Machiavelli”. Pragnąc skompromitować meksykańskiego polityka, „Granma” napisała, że „renegat Castañeda” przeszedł w młodości szkolenie wojskowe na Kubie, żeby pomagać lewicowym partyzantkom w Ameryce Łacińskiej. Meksykańscy dziennikarze podjęli temat: w prasie ukazały się zdjęcia młodego Castañedy w polowym mundurze, z bronią w ręku. Obrońcy ministra twierdzili, że były to tylko ćwiczenia strzeleckie, jakie dla Castañedy-syna urządzili Kubańczycy w czasie wizyty w Hawanie ówczesnego szefa dyplomacji Meksyku Jorge Castañedy-ojca.

Nie spytałem o tamte czasy, ale nie zdziwiłbym się, gdyby Castañeda naprawdę przeszedł partyzanckie szkolenie pod skrzydłami Castro. Urodzony w 1953 roku, za młodu wierzący komunista, Castañeda fascynował się tym, czym w Ameryce Łacińskiej ekscytowało się wielu jego rówieśników: legendą Che Guevary, teoriami wojny partyzanckiej. Marzył o wyzwoleniu kontynentu spod ucisku i dominacji Stanów Zjednoczonych. Kuba była Mekką latynoskich zapaleńców z sercem po lewej stronie.

Przez długie lata należał do najbardziej wpływowych intelektualistów w regionie – najpierw jako komunista, potem lewicowy demokrata. To od niego – stałego komentatora „Newsweeka” i „New York Timesa” – świat dowiadywał się, co myśleć o wydarzeniach i zjawiskach w Ameryce Łacińskiej. W latach dziewięćdziesiątych wymyślił nieformalne spotkania czołówki lewicujących intelektualistów i polityków z regionu, którzy zastanawiali się, jak nadać bardziej ludzkie oblicze współczesnemu kapitalizmowi.

Z Fidelem Castro zadarł na dobre na długo przed objęciem urzędu ministra spraw zagranicznych. W 1997 roku ogłosił monumentalną biografię Che Guevary, w której współwiną za jego śmierć w boliwijskiej dżungli obarczył wodza kubańskiej rewolucji. „Jeśli Fidel istotnie rozważał operację ratunkową, doszedł być może do konkluzji, że męczeństwo Che posłuży lepiej sprawie Rewolucji niż Che żywy, ale sfrustrowany w Hawanie…”.

Na niepokornego ucznia Castro wściekał się już wcześniej. W roku 1993 Castañeda wydał książkę *Utopía desarmada,* w której rozprawiał się z historią latynoamerykańskiej lewicy, populizmem, komunizmem, castrowską herezją – i własną młodością. Po zimnej wojnie, a nawet sporo przed jej końcem, wielu latynoamerykańskich *guerrilleros* zrzucało z ramienia karabin…

Jesień partyzantów

czyli niezwykłe przypadki Ladislaua Dowbora i Alfreda Sirkisa w czasach szaleństwa i rewolucji, której właściwie nie było

Od kilku dni wszystko zapowiadało katastrofę. Wielu aresztowanych członków organizacji wisiało już na „drążku papugi” *(pau-de-arara).* Ktoś mógł nie wytrzymać…

Komendant Jamil w pośpiechu wybiegł z tajnego lokum. Miał spotkać się z łączniczką. Zauważył, że dziewczynie towarzyszy nieznajomy mężczyzna. Dostrzegł, że mocno ściska jej rękę. Za późno.

Runęli ze wszystkich stron. Z dachów, drzwiami, oknami. „Żeby tylko nie wzięli żywcem” – pomyślał, ale zdołał wystrzelić tylko raz.

– Wiedzieli, kogo zatrzymali?

– Wiedzieli wszystko.

Łagodny i trochę nieśmiały profesor Papieskiego Uniwersytetu Katolickiego w Sao Paulo zatrzymuje opowieść, gdy nieuchronnie zbliża się ona do „drążka papugi”.

Ladislau Dowbor, pseudonim Jamil, dowódca i główny ideolog Ludowej Awangardy Rewolucyjnej (VPR, *Vanguarda Popular Revolucionaria).* Tropiony przez policję polityczną całego kraju, tamtego jesiennego dnia trzydzieści lat wcześniej nie miał szansy, żeby wymknąć się z pułapki.

– Przesłuchiwali mnie trzy dni i trzy noce. Potem gdzieś wrzucili, nie pamiętam. Od tamtej pory brali na przesłuchanie już tylko raz na dzień.

– Jak bili?

– Bili? Nie, to mało skuteczne. Prąd… Minęło trzydzieści lat, a ja wciąż to czuję.

Na czym można zarobić *Notatki o bardzo nowoczesnych wynalazkach ludzkości*

„Drążek papugi składa się z żelaznego pręta umieszczonego pod zgięciami kolan. Przywiązuje się do niego także przeguby dłoni. Pręt umieszcza się między dwoma stołami tak, by ciało ofiary wisiało 20–30 centymetrów nad podłogą.

Metodę tę rzadko stosuje się samodzielnie: zwykle jest uzupełniana szokiem elektrycznym”;

„…źródłem szoku elektrycznego bywał telefon, z którego wyprowadzano dwa przewody i podłączano do narządów płciowych, jak też uszu, zębów, języka, palców”;

„…przytapianie to jedno z uzupełnień *drążka papugi:* przez gumową rurkę wprowadzoną do ust torturowanego puszczano wodę pod ciśnieniem”;

Tortura w pozycji Chrystusa Odkupiciela ze wzgórza Corcovado w Rio de Janeiro: „…pozycja wyprostowana, na czubkach palców, nago, książka telefoniczna w każdej dłoni, ciosy w żołądek i klatkę piersiową, przy czym torturowany godzinami ma stać na baczność”;

„….w pierwszej fazie przesłuchania obłożono ciało karaluchami, a jednego wprowadzono do odbytu…”;

„….kobrę długości około dwóch metrów umieszczano razem z oskarżonym w dwumetrowej sali i zostawiano na dwie noce…”.

Raport o torturach, *Brazylia: nigdy więcej,* przygotował kardynał Paulo Evaristo Arns. Wielki pasterz, wielki polityk, obrońca prześladowanych, przez lata jeden z głównych wrogów prawicowej dyktatury wojskowych. Spotkałem kardynała w Sao Paulo, po mszy dla starców w szpitalu-hospicjum, w upalną niedzielę. „Przez lata – opowiadał mi stary kardynał – studiowałem w Europie historię starożytną i średniowieczną, wiem coś o metodach tortur. Nigdy nie przypuszczałem, że ludzki umysł wymyśli okrutniejsze”.

Komendant Jamil doświadczał nowoczesnych wynalazków ludzkiego umysłu, a ci, co żyli w sąsiedztwie siedziby OPERACJI (połączonych sił policji i wojska) przy ulicy Tutoia, wyprzedawali domy i mieszkania. Krzyki dochodzące dzień i noc zza murów przeszkadzały jeść, spać, śmiać się.

Wiele lat później profesor Dowbor przeczytał w „Le Monde Diplomatique”, że w Stanach Zjednoczonych czterdzieści fabryk produkuje narzędzia tortur, kilka w Izraelu, w Niemczech.

– Czy to nie zabawne, na czym ludzie robią sobie pieniądze? – dławi się ze śmiechu.

Jak rodzą się rewolucjoniści

O budującym i zgubnym wpływie przypadku na życie człowieka

Biografii Ladislaua Dowbora starczyłoby na romans łotrzykowski w kolorach realizmu magicznego. Jego rodzice uciekli w trzydziestym dziewiątym z Polski przez granicę rumuńską. Przedarli się do Francji i dalej na południe. W Pirenejach, przy granicy z Hiszpanią, w opuszczonym domu gry urodził się Władysław. Był rok czterdziesty pierwszy.

Miał dziesięć lat, gdy wyjechali do Brazylii – kraju, w którym pół wieku od zniesienia niewolnictwa jedni wciąż mieli wszystko, a inni nic. Ojciec, inżynier metalurg, dostał kontrakt w Belo Horizonte w stanie Minas Gerais. Był raczej z tych, co mieli. Ale kiedyś stanął po stronie robotnika przeciw niemieckiemu inżynierowi. Wkrótce musiał szukać pracy. Wyruszył do Sao Paulo.

Matka podniosła raz wrzask na ulicy, gdy żebraczka z wygłodzonym niemowlakiem na ręku poprosiła o jałmużnę. *Senhora* Dowbor przestała się awanturować, dopiero gdy przyjechał ambulans z lekarzem. Jedenastoletni Ladislau ciągnął matkę za rękaw i umierał ze wstydu.

Dziesięć lat później Karol Marks był wciąż poza horyzontem jego pasji. Na razie miał oczy pełne Pauliny. Ojciec ukochanej odkrył, że wybrała goja – i to pochodzącego z ziemi, gdzie stracił rodzinę. Wysłał córkę do Izraela. Ladislau przez rok zbierał na podróż. Tyrał w Recife jako dziennikarz. Robił szybkie postępy, więc przydzielono mu nową działkę: świat biznesu, fabryk, wielkich pieniędzy. Gdy poszedł na pierwsze spotkanie z grubymi rybami, zaoferowano mu „przyjacielską pomoc”: reporterską pensję razy dwa. – Wszyscy dziennikarze korzystają z „pomocy” – wyjaśniono mu. Ladislau poskarżył się w redakcji. Szef go wyśmiał.

Wkrótce z dwustu dolarami w kieszeni przybijał do Haify. Dwa dni później w Ejlacie był już z Pauliną.

Chcieli wyjechać, ale ojciec zabrał jej paszport. Ladislau z turystyczną wizą mógł zostać w Izraelu tylko trzy miesiące. Przyjaciele załatwili mu pracę na plantacji nad Morzem Martwym, w Neot-Hakikar. Pod rozpalonym niebem, poniżej poziomu morza, nikt nie pytał o dokumenty. Aby wyprowadzić Paulinę z ziemi izraelskiej, domu niewoli, potrzebny był ślub. Ladislau postanowił zostać żydem. Chodził po nauki do rabina i chciał żyć w zgodzie ze Starym Testamentem. Potem próbowali jeszcze wspólnie przejść na islam.

W sześćdziesiątym czwartym usłyszał w radiu, że brazylijscy wojskowi dokonali zamachu stanu, ale jego interesowały wtedy tylko hebrajskie znaki. Aż

pewnego dnia uprzejma urzędniczka duńskiego konsulatu wstemplowała Paulinie wizę do tymczasowych dokumentów. Pół roku później, już w Europie, ojciec Pauliny skapitulował, odesłał córce paszport. Państwo Dowbor osiedli najpierw w Lozannie, potem w Paryżu. Tam zastał ich maj sześćdziesiatego ósmego.

Ladislau został rewolucjonistą bez dociekania, czym był komunizm realny. Na czerwono pomalował go zbuntowany Paryż, amerykańskie śmigłowce nad Mekongiem, brazylijscy generałowie.

„Kim jestem, jeśli nie stoję po stronie de Gaulle'a, Nixona, jeśli nie popieram amerykańskiej interwencji w Wietnamie? Komunistą, anarchistą, rewolucjonistą?" – myślał. Wiele lat później zanotował: „W wojnie w Wietnamie oburzająca była hipokryzja Ameryki, która w imię wartości zachodniego świata wypalała wietnamskie wsie i zabijała cywilów".

Skoro Amerykanie kłamią w sprawie wojny wietnamskiej, to czy można wierzyć temu, co mówią o komunistycznej zarazie? Zawsze popierali krwawych dyktatorów na południe od Río Grande: Batistę na Kubie, Somozę w Nikaragui, Papę Doca na Haiti. W roku sześćdziesiątym czwartm poparli brazylijskich generałów. A w kraju nędza, korupcja, polityczny bandytyzm…

Towarzysz Jamil ruszył za ocean.

Młodość na beczce prochu
Alfredo Sirkis boi się komunistów,
a potem panów w ciemnych okularach

Brazylia lat sześćdziesiątych: strajki generalne, uliczne starcia robotników z policją, spiski generałów, poruczników, sierżantów, pierwsze ofiary na ulicach, coraz większe żądania zbuntowanych robotników i raczkującego ruchu chłopskiego. A w tle kubańska rewolucja, która zniosła skorumpowaną dyktaturę Batisty. Fidel Castro był jeszcze romantycznym brodaczem, i w ogóle pierwszym w Ameryce Łacińskiej zuchwalcem, który zagrał na nosie potężnemu Wujowi Samowi.

W takim klimacie urząd prezydenta Brazylii objął Joao Goulart, wychowanek i dziedzic brazylijskiego populizmu.

Przez trzy lata Goulart miotał się pomiędzy politycznymi i materialnymi aspiracjami biedoty a zwolennikami półfeudalnego *status quo.* Tu potępiał Fidela Castro, a tam dawał brazylijskim chłopom pierwsze w historii kraju

ustawy socjalne. Jeździł do USA zabiegać o przyjaźń, a w Brazylii forsował dotkliwe dla jankeskich inwestorów prawo, ograniczające eksport zysków. Gdy ogłaszał program rozwoju ograniczający wzrost płac, narażał się na potężny sprzeciw własnego zaplecza – ruchu związkowego. Ale nawet gdy był „za" reformami, popierający go (warunkowo i czasowo) związkowcy byli „za" znacznie bardziej. I napierali. A z koszar dochodziły pomruki. Nie tylko z koszar.

– Cała klasa średnia była zmobilizowana przeciwko Goulartowi – opowiada rozparty w fotelu Alfredo Sirkis. Radny Rio de Janeiro, lat pięćdziesiąt, wygląda najwyżej na czterdzieści, wchodził w tamtych czasach w dorosłe życie. Dom Sirkisów kipiał od politycznych dysput. Ojciec, Eugeniusz Sirkis, „kościuszkowiec" spod Lenino i Studzianek, który przeszedł cały szlak czterech pancernych i psa, wyjechał po wojnie do Brazylii. Stał się zapiekłym antykomunistą. Mama Alfreda, pani Liliana, po ciężkiej zsyłce w Kazachstanie, przesłuchaniach w NKWD i tysiącu przygód w Ojczyźnie Proletariatu, wyjechała z Polski po pogromie kieleckim („Robiło się niebezpiecznie, nie widziałam przyszłości"). Najpierw była Szwecja, bo Brazylia nie dawała wiz Żydom. Mówiono, że szef dyplomacji ożeniony był z córką oficera rumuńskiej Żelaznej Gwardii. Ale znalazł się dobry ksiądz, wystawił stosowne zaświadczenia…

Tak więc, młody Alfredo, razem ze swoim tatą i całą klasą średnią Rio de Janeiro, nie lubił prezydenta Goularta i strasznie bał się komunistów. Rosła inflacja i codzienne wydatki, robotnicy strajkowali, a prezydent uderzał w struny rewolucyjnej demagogii.

– Histeria antykomunistyczna, która się nam udzieliła, była zupełnie szaleńcza – Alfredo nie może się nadziwić sobą z tamtych lat. – Propaganda była taka, jak gdyby jutro na Copacabanie miała się odbyć defilada sowieckich czołgów. A Goulart nie miał nic z komunisty – nawet lewicowiec był z niego „lewy". Właściciel wielkiego latyfundium, na lewicy znalazł się z przypadku. Od partii komunistycznej trzymał się z daleka. Partia była zresztą mała, słaba; komuniści łagodni, bez zęba.

Generałowie czekali na wsparcie prawicy. A ta wciąż czekała – aż prezydent złamie prawo. Tymczasem Goulart zapowiedział, że zamierza rządzić „tylko z poparciem ludu" i zagroził parlamentowi pistoletem strajków, wieców, demonstracji. Brazylia była na drodze do ustanowienia demokracji wiecowej.

Pierwszym poważnym (i ostatnim) jej aktem było podpisanie przez Goularta, w obecności kipiącego tłumu, dekretów o nacjonalizacji rafinerii ropy i stopniowym wywłaszczaniu latyfundystów z nieuprawianych ziem.

W nocy trzydziestego pierwszego marca szcześćdziesiątego czwartego na ulice wyjechały czołgi. Pierwszego kwietnia było po wszystkim.

Alfredo: – Cieszyliśmy się. Wojskowi mieli rozbroić bombę społecznych nastrojów i wrócić do koszar. Zamach stanu przebiegał prawie bez wystrzału. Nie było nic z tego, co poznaliśmy później w Chile w latach siedemdziesiątych – żadnych egzekucji, masowego terroru czy palenia książek.

Z czasem mundury opatrzyły się Alfredowi i wolał, żeby wisiały w koszarach. Ale wojskowi zasmakowali we władzy. Do koszar już nie wrócili.

Próżno szukać w historycznych książkach o Brazylii terminu *golpe* – „pucz", „przewrót", „zamach stanu". Swoją akcję wojskowi ochrzcili mianem „rewolucji". Rewolucja – to brzmi szlachetnie. Rewolucja walczy z tyranią, sprzeciwia się złu, niesprawiedliwemu porządkowi rzeczy. A zamach stanu to bezprawna przemoc, ma w sobie coś ze zbrodni.

Do „rewolucji" sześćdziesiątego czwartego dorobiono ideologię, którą wyeksportowano później do Chile, Argentyny, kilku krajów Ameryki Środkowej. Konflikt między Wschodem i Zachodem toczy się nie tylko na polu międzynarodowej polityki, nie tylko między Ameryką i Związkiem Radzieckim – głosiła teoria „wojny wewnętrznej", znana również jako „doktryna bezpieczeństwa narodowego". Ta wojna jest wszechobecna, dywersanci czyhają także w naszym własnym domu. Ktoś musi zachować czujność, czerwony nie śpi. Dlatego wojsko nie może wrócić do koszar.

Pewnego dnia do liceum Alfreda przyszli panowie w ciemnych okularach. „Wizyty weszły im w nawyk, jakby chcieli sprowokować rebelię". Uczniowie przestali myśleć o nauce i myśleli już tylko o panach w ciemnych okularach. Pani dyrektor zamknęła szkolną gazetkę. Ktoś skrytykował w niej zbrojną interwencję USA w Dominikanie (1965) i udział w niej brazylijskich żołnierzy. Nastoletniego buntu już nic nie mogło zatrzymać.

A potem tak jak zawsze: gazetki, tajne spotkania, spiski karbonariuszy, zadymy, wyścigi z policją. Bez ideologii, przeciw wojskowym, przeciw dyktaturze, w imię wolności i sprawiedliwości. Licealista Alfredo zaczął się przyjaźnić z przywódcami ruchu studenckiego. A dziewiątego października

sześćdziesiętego siódmego boliwijski żołnierz zastrzelił Ernesta Che Guevarę i stworzył legendę, która przez dwie kolejne dekady napędzała młodzieńcze bunty w Ameryce Łacińskiej.

– Cała prasa rozpisywała się, jakie to cudowne, że Che został zabity – opowiada Alfredo – a dla nas właśnie wtedy stał się idolem. Poszedł do boliwijskiej dżungli i zginął za sprawiedliwość, za Rewolucję. Wcześniej patrzyłem na Kubę z dużą niechęcią, ale z czasem, może właśnie wtedy, przyszła sympatia. Nie lubiliśmy Związku Sowieckiego za stalinizm, zbrodnie, ale czuliśmy sympatię do Jugosławii, potem Kuby, trochę do Chin („Tak jakby to było coś lepszego").

Chwilę po śmierci Che przyszedł sześćdziesiąty ósmy, a z nim piosenki Gilberta Gila, Caetana Veloso, Miltona Nascimento, w których miłość splatała się z polityką, nowe kino brazylijskie, rewolucja obyczajowa i bunt przeciw ojcu. A także – pierwsze pogrzeby po starciach z policją. Policja zamieniła pałki i gaz na karabiny z prawdziwymi nabojami. Żarty się skończyły.

W przeddzień matury Alfreda wojskowi dokonali zamachu stanu wewnątrz zamachu stanu. Gołąbki poszły do tylnych ławek, do rządzenia zabrali się dziarscy chłopcy. Trzynastego grudnia sześćdziesiątego ósmego roku zamknięto całą opozycję: wydawców, dziennikarzy, liderów związkowych, studentów („Zaaresztowali wszystko").

Alfredo uciekł z domu. Jako przewodniczący stowarzyszenia uczniowskiego w liceum, był teraz groźnym przestępcą. Zza murów więzień zaczynały dochodzić przerażające opowieści o prądzie podłączanym do genitaliów i języka.

Bez prochu nie mogło się obejść.

Górne i chmurne czasy ołowiu
O tym, jak z iskier rozgorzeje płomień

Przewrót wojskowy dowiódł, uważa profesor Ladislau Dowbor, że polityczne pakty w Brazylii są nic nie warte, a pokojowe reformy społeczne – niemożliwe.

Jamil i jego towarzysze z Ludowej Awangardy Rewolucyjnej postanowili wzniecić prawdziwą rewolucję. Od czego tu zacząć? Rewolucja potrzebowała pieniędzy, więc napadli na bank.

Towarzysz Jamil opracowywał tymczasem teorię ludowej wojny rewolucyjnej:

najpierw solidne przygotowania w mieście, zaprawienie w boju kadry rewolucjonistów, zbieranie broni i pieniędzy; potem rozszerzanie ruchu na wieś, zakonspirowane bazy partyzanckie, płomienna agitacja wśród ludu. Jamil kalkulował: chłop, który raz wejdzie do partyzantki, nie będzie mógł odejść, bojąc się represji. Rewolucja stanie się jego rewolucją.

Strategię podpowiadały Jamilowi klęski innych partyzantek na kontynencie. Wojsko wycinało je w pień, bo *guerrilleros* wzniecali powstania w jednym tylko miejscu. Z iskry miał rozgorzeć rewolucyjny płomień w całym kraju. Ale jedną iskrę łatwo zdusić. W Brazylii powstańczych ognisk rewolucji miało być bez liku – tak by wojsko nie było w stanie ich ugasić.

Gdy jednak wiosną siedemdziesiątego roku partyzanci z Awangardy założyli na południe od Sao Paulo pierwszy obóz szkoleniowy, wojska rządowe wypaliły go bombami i napalmem. Tylko pięciu ludzi z siedemnastoosobowej drużyny uszło z życiem. Wrócili do miasta.

Pierwszy raz Jamil trafił do więzienia tuż po powrocie zza oceanu. Zatrzymano go jako zwyczajnego wywrotowca, domniemanego sowietofila (był na liście studentów języka rosyjskiego, podobnie zresztą jak francuskiego i włoskiego), a nie groźnego terrorystę. Poszukiwano go od czasu wojskowego przewrotu, gdy jeszcze doglądał daktyli i pomidorów nad Morzem Martwym.

W więzieniu Jamil zapoznał się z „drążkiem papugi”. Po raz pierwszy przeszył go prąd.

Nie minął tydzień, jak wyszedł na wolność. Towarzysze nie zostawili towarzysza w biedzie. Obyło się nawet bez broni. Uwolnienie Jamila było zwycięstwem *cruzeiro* nad antykomunizmem i bezpieczeństwem narodowym: wyszedł za łapówkę. Następnym razem cena miała być o wiele wyższa.

Zwierzenia na „drążku papugi”

Generałowie prześcigają dzielnego wojaka Szwejka

– Jacyśmy byli naiwni – śmieje się profesor Dowbor – myśleliśmy, że tymi kilkoma karabinami coś możemy zmienić. A jacy śmieszni… Było dużo dyskusji o „pozycjach politycznych” Kuby, Chin, Związku Radzieckiego. Ruch komunistyczny rozpadał się na frakcje proradzieckie, prokubańskie, prowłoskie. Co za nonsens! Analiz sytuacji brazylijskiej nie było prawie wcale. A myśmy przecież walczyli o sprawiedliwość w Brazylii! Represje dyktatury i zbrojne akcje partyzantów tworzyły samonapędzający się mechanizm. Tortury

uzasadniały opór młodych rewolucjonistów, istnienie zbrojnej partyzantki dawało wojskowym propagandowy oręż i pretekst do podtrzymywania dyktatury, represji, tortur.

Kiedy Jamila zamknęli po raz drugi, już jako groźnego terrorystę, po tygodniu tortur załamał się. Czuł, że zbliża się koniec.

– Przesłuchiwano nas bez przerwy. Dwadzieścia cztery godziny, potem przychodziła świeża zmiana i wszystko się zaczynało od nowa. Pletliśmy to, co chcieli. Dawali do czytania jakieś bzdurne zeznania kolegów, żeby się zgadzało. Dostawali za to punkty i premie. Siedział ze mną prosty chłopak, trafił za kraty przez przypadek. Chcieli, żeby im wyjawił swój pseudonim. Nawet nie rozumiał, czego chcą, więc oni go prądem. Innego chłopaka z mojej celi torturowali trzy dni i trzy noce. Jakiś tajniak przyłapał go na malowaniu plakatów z hasłem: *A revolucao chegou ao campo* (Rewolucja przybyła na wieś). Okazało się, że to był plastyk, u którego wielka, państwowa firma zamówiła plakaty na wystawę traktorów. Chodziło o to, że na wieś przybyła rewolucja techniczna. Dyktatura jak ze Szwejka.

Któregoś dnia, po przesłuchaniu, *torturadores* powiedzieli Jamilowi: „Twój dzień nadchodzi. Zdechniesz w czwartek”.

Uwolnić Jamila! *Alfredo przekracza Rubikon*

Czekanie. Papieros za papierosem. Już pięć po szóstej, a ich wciąż nie ma. Dziesięć po szóstej, dwadzieścia, wpół do siódmej. To chyba koniec…

Są! Zza zakrętu wyłonił się błękitny opel. Przez okno pikapa Alfredo dojrzał przyjaciela wysiadającego z auta; w rozchełstanej koszuli z trzydziestką ósemką w dłoni. Prowadził wysokiego, ascetycznego mężczyznę. – Proszę do środka – grzecznie, choć stanowczo Alfredo zaprosił jegomościa na tył samochodu i wpakował do wąskiej, długiej skrzyni. – To tylko na chwilę, wkrótce dojedziemy na miejsce. Będzie pan dobrze traktowany – zapewnił wystraszonego pasażera, zamykając wieko skrzyni.

Tamtego popołudnia Erenfreid von Holleben, ambasador Niemiec zachodnich wracał do domu swym luksusowym mercedesem. Niespodziewanie zatrzymał go uliczny wypadek (tak mu się zdawało). „Jakiś pijak chyba, dobrze, że już blisko domu” – pomyślał von Holleben i w tej samej chwili usłyszał krzyk. Po chwili strzały. Ktoś wyciągnął go z mercedesa, wsadził do błękitnego opla i ruszył. Kilometr, półtora dalej czekał pikap z tłumaczem. Tylko Alfredo mówił płynnie

po angielsku.

Wieczorem, już w konspiracyjnym domu na obrzeżach Rio, wspólnie z ambasadorem wysłuchali komunikatu radiowego: „…dobrze uzbrojeni terroryści porwali w Santa Teresa [bogata dzielnica Rio] ambasadora Erenfreida von Hollebena. Zginął pracownik ochrony, dwóch innych jest rannych. W mieście skoncentrowano duże siły bezpieczeństwa, trwają poszukiwania porywaczy".

Pierwsza rozmowa z von Hollebenem:

– Najgorsze za panem. Przepraszamy za niewygodną podróż, ale to było najbezpieczniejsze dla wszystkich. Teraz wszystko zależy od dyktatorskiego rządu Brazylii. Jesteśmy pewni, że zwolni więźniów, tak jak robił to dotychczas. [Wcześniej partyzanci porwali ambasadora USA i konsula Japonii, a następnie wymienili ich za uwięzionych przyjaciół]. Nie lubimy używać takich metod, ale to jedyna droga ocalenia więźniów politycznych… Dobrze pan wie, jakim są poddawani torturom, i że niektórzy zostaną zamordowani.

– Ja nie akceptuję tortur! – wrzasnął von Holleben. – Napisałem raport dla mojego rządu o prawach człowieka w tym kraju. Rozmawiałem nieformalnie z waszym ministrem spraw zagranicznych Gibsonem. Przyznał, że zdarza się ostre traktowanie więźniów, ale to odosobnione przypadki…

– To kłamstwo. Tortury to w tym kraju instytucja, a nie przypadki. Chce pan zobaczyć listy przemycone z więzień?

– Nie, chcę do łazienki.

W ciągu następnych dni Alfredo godzinami rozmawiał i spierał się z von Hollebenem. Tymczasem wojskowi grzecznie podążali za instrukcjami partyzantów. Prasa publikowała komunikaty i rewolucyjne odezwy, a *guerrilleros* szykowali listę: życie niemieckiego dyplomaty za wolność czterdziestu więzionych towarzyszy. Na liście znalazł się również Jamil („nasz guru", mówi o nim Alfredo).

Von Holleben, były żołnierz Wehrmachtu, stary adwokat i dyplomata, liberał i wróg wszelkich tyranii był szczerze zainteresowany porywaczami. A tylko tłumacz Alfredo mógł mu wyłożyć ich motywy.

Zaczęło się od kłótni. Nastoletni buntownik chciał staremu lisowi zrobić wykład: – Mój kraj bije światowe rekordy, jeśli chodzi o wypadki przy pracy. Brazylijczyk jest traktowany, jakby był zwierzęciem albo maszyną do produkcji zysków dla międzynarodowych korporacji.

– W Niemczech takich problemów nie mamy – von Holleben odpowiadał ze spokojem. – U nas robotnicy mają swoje prawa. Jeśli są źle traktowani w Brazylii, winę ponosi brazylijski rząd, nie my.

– Tylko że amerykański, japoński i niemiecki kapitał czerpią z tej sytuacji bajeczne korzyści, więc popierają wojskowy reżim, który ma utrzymać *status quo.*

– Dobrze mój chłopcze, ale my przecież staramy się wam pomóc, inwestujemy pieniądze, technologie. Oczywiście, że wolelibyśmy rządy cywilne. Wojskowi są kiepsko przygotowani do rządzenia, są brutalni i nieobliczalni. Ale to wasz problem – tłumaczył von Holleben. – Pewnie i macie szczere intencje, ale przemocą niczego nie rozwiążecie! – krzyczał poirytowany.

Alfredo rozumował inaczej. W kulturze politycznej Brazylii przemoc zawsze była narzędziem rozstrzygania sporów. I zawsze bogaci używali jej przeciw biednym. Kiedyś panowie przeciw niewolnikom, teraz kapitaliści przeciw robotnikom. I zawsze wygrywali. Skoro więc siła rozwiązywała problemy bogatych, dlaczegóż nie miałaby rozwiązać problemów biednych?

Któregoś dnia po lekturze porannych gazet ambasador wyznał: – Nie wierzę w to, co piszą o was. Widzę, że stać was na ekstremizm, ale nie jesteście krwawymi bandytami. Nie tylko wy ponosicie odpowiedzialność za przemoc.

Propaganda miażdżyła partyzantów, a mimo to wojskowi godzili się na wszystkie żądania. Przywódca junty, generał Medici, wystraszył się gróźb niemieckiego kanclerza. W telefonicznej rozmowie Willy Brandt miał mu powiedzieć: „Albo spełniacie wszystkie żądania i ambasador jest wolny, albo wstrzymujemy inwestycje w Brazylii”. A były gigantyczne i miały być większe. Medici nie mógł nie pamiętać zabójstwa niemieckiego ambasadora w Gwatemali. Tam bratni, wojskowy rząd nie zgodził się na warunki partyzantów. Ambasador nie wrócił żywy.

Mniej więcej wtedy, gdy boeing z Jamilem i czterdziestką uwolnionych partyzantów na pokładzie leciał do Algieru, von Holleben spytał jasnowłosego Alfreda: – Masz niemieckie korzenie?

Alfredo zaśmiał się: – Wziął pan syna polskich Żydów za czystego aryjczyka!

– Mam nadzieję, że nic złego ci się nie stanie – rzucił na pożegnanie zmieszany ambasador.

Ucieczka sprzed plutonu egzekucyjnego

Jamil leci do Algieru bez butów, Paulina ratuje przyjaciół

– Porwali ambasadora! Pewnie wyjdziesz! – Do celi Jamila przybiegł jeden z funkcjonariuszy. Zawsze był inny niż tamci („może tylko wykonywał swoją pracę” – śmieje się profesor).

To było pięć bardzo długich dni. Policjantom i wojskowym odebrano radia, by nie przekazywali więźniom wiadomości ani komunikatów. Napięcie w celach nie do wytrzymania. Uwolnią czy pozabijają?

– Wojskowi zgłupieli, nie wiedzieli co zrobić – opowiada Dowbor. – Naradzali się, kłócili. Do nas w celach docierały strzępy wieści. Wiem, że była skrajna grupa, która chciała zagrać *va banque* i część naszej czterdziestki po prostu wyrżnąć.

Zebrali nas w końcu z więzień w całym kraju – z Sao Paulo, Nordeste, Mato Grosso – zapakowali do wojskowego samolotu i powieźli do Rio. Tam kolejne wojskowe więzienie i długie godziny oczekiwania. Ile trwa minuta, gdy się czeka na wolność? Ile trwa minuta, gdy się czeka na śmierć?

O trzeciej rano, szesnastego czerwca roku siedemdziesiątego znowu wsadzili ich do samolotu. Kurs: Algieria.

– Pojechałem na drugi koniec świata, tak jak stałem: w podartej koszuli i spodniach, bez butów, bez dokumentów, bez grosza.

Dwa lata później, w Santiago de Chile, Jamil wezwał towarzyszy do rozwiązania organizacji. To nie ma sensu, wszystkich wybiją, żadnego pożytku. Przegrał. Gorące głowy chciały bić się dalej. Jamil nikogo nie potępiał, ale wiedział już, że spiskowcy, politycy, sekciarze tworzą czasem wirtualne światy, hermetyczne języki i tracą kontakt z rzeczywistością. Tak stało się z brazylijskimi rewolucjonistami.

Resztki organizacji nie przetrwały długo. Represje dziesiątkowały i tak wątłe szeregi. Na ratunek przyjaciołom w śmiertelnym niebezpieczeństwie pospieszyła z Algieru żona Jamila, Paulina. „Przystąpiła do walki wtedy, gdy ja ją właśnie porzucałem – zanotował we wspomnieniach. – Rozstaliśmy się. Ale z powodu nie uczuć, lecz szaleństwa tamtego czasu”.

Paulina Dowbor została zamordowana w siedemdziesiątym drugim roku w Recife przez policyjny szwadron śmierci.

Zabić Buchera

Partyzanci gonią w piętkę, Alfredo rzuca się Rejtanem

Gdy Ladislau Dowbor w Algierze po raz kolejny zaczynał życie od nowa, Alfredo zasadzał się na kolejnego dyplomatę. Znowu poszło jak po maśle. – *You will be well treated* – oznajmił „gościowi" tłumacz Alfredo. Giovanni Enrico Bucher, ambasador Szwajcarii był tyleż przerażony, co zdumiony. – Panowie, to pomyłka. Nie jestem Amerykaninem. Jestem Szwajcarem. Nie mam z tym nic wspólnego. Chyba się pomyliliście.

– Wszystko w porządku, to o pana chodziło. Jankeski imperializm zapłacił piętnastoma więźniami, japoński – pięcioma. Niemcy – czterdziestką. Pora, żeby banki szwajcarskie kupiły życie naszych towarzyszy.

Bucher okazał się niezrównanym kompanem. – Właściwie był po naszej stronie. Nienawidził wojskowych, miał w gruncie rzeczy lewicowe poglądy.

Partyzanci zażądali uwolnienia siedemdziesięciu kolegów. Ale tym razem wojskowi zaparli się. Nie zgodzili się na wydanie dziewiętnastu skazanych na dożywocie i oskarżonych o zabójstwa. Czterdzieści długich dni. Wojna nerwów. Partyzanci nie wytrzymali. Zapadła decyzja o zamordowaniu Buchera.

– Jak o tym myślę, mróz mi przechodzi po plecach – Alfredo wspomina tamte dni jako emocjonalną katastrofę. Zabić – nie mieściło się w głowie. Do tego zabić kogoś życzliwego „sprawie" – absurd podwójny. – Większość moich przyjaciół spanikowała, oni naprawdę chcieli tego Buchera zastrzelić. Znalazłem się w mniejszości. Zaczęły się między nami kłótnie. Godzinami przekonywałem naszego dowódcę, Carlosa Lamarcę, legendę brazylijskiej partyzantki, byłego wojskowego, który zdezerterował. Ale Lamarca milczał. Zastanawiał się kilka dni. W końcu rzekł: „Wygrałeś".

Wojskowi pękli. Zgodzili na całą siedemdziesiątkę. Wsadzili więźniów do samolotu i wywieźli do Santiago de Chile. Ale wątpliwości co do dalszej walki i jej metod już Alfreda nie opuściły. Zaraz po porwaniu, gdy z kolegami zdjęli czapki-terrorystki, zasłaniające twarz, Bucher aż jęknął ze zdziwienia: „O rany, myślałem, że jesteście dużo starsi". Najstarszy był Lamarca – trzydzieści dwa lata. Daniel miał dwadzieścia cztery, Ivan dwadzieścia jeden, Alfredo zaledwie dwadzieścia. Gdy w następnych dniach Alfredo prowadził wielogodzinne dysputy z ambasadorem, ten wciąż był zadziwiony: – Naprawdę jesteś przekonany, że coś możesz zmienić? Warto ryzykować głowę, mając dwadzieścia lat? Ryzykować życie w imię polityki?

Jeszcze wtedy Alfredo myślał, że warto.

Jak robić Rewolucję w czasach prosperity *Spowiedź Alfreda o sensie i bezsensie guerrilli, a także o dezercji i nienawiści*

Alfredo: – Porwania dyplomatów miały służyć jedynie ocaleniu dziesiątków istnień. Policja i wojsko wyłapywały młodych spiskowców, torturowali nas i po cichu wybijali. Nie mogliśmy po prostu stać i patrzeć. Ideologia przyszła później. Czytaliśmy Che Guevarę, Regisa Debraya, potem powstały rodzime teorie walki rewolucyjnej, między innymi teoria Jamila. Największy paradoks naszej walki tkwił w tym, że w myśleniu byliśmy bliźniaczo podobni do wojskowych. I nam, i im wydawało się, że jesteśmy częścią wielkiej, globalnej wojny między imperializmem a socjalistyczną rewolucją.

Niedługo po porwaniu Buchera Alfredem zaczęło targać tysiąc wątpliwości. Awangarda Rewolucyjna miała garść sympatyków wśród klasy średniej Rio de Janeiro, Sao Paulo. Ale lud, w imię którego walczył Alfredo, nie miał pojęcia, o co chodzi. Dyktatura umacniała się, Brazylia wkraczała w epokę przyspieszenia rozwoju gospodarczego. Zaczynało się mówić o „brazylijskim cudzie". Wzrost wynosił dziesięć–jedenaście procent rocznie!

Cała teoria lewicy, która w połowie lat sześćdziesiątych ogłosiła kryzys światowy kapitalizmu i jego śmierć w Brazylii, wzięła w łeb. – Jaki sens miało dalsze bieganie z pistoletem?

W Awangardzie rozgorzała wojna między tymi, którzy chcieli złożyć broń, jak Alfredo, i zająć się pracą organiczną wśród ludu, a tymi, którzy woleli dalej strzelać. Właściwie to nie był spór, to była piekielna nienawiść. – Patrzyłem na nas i myślałem sobie: „To tak wygląda koniec? Za tydzień, miesiąc, rok wszystkich nas wyłapią i wymordują. Nikt nie przeżyje. Co za różnica, kto dziś wygra". Zacząłem myśleć o wyjeździe. Czułem się jak dezerter.

Alfredo wciąż się ukrywał jako lider ruchu uczniowskiego. Gdyby policja wiedziała, że on i niebezpieczny terrorysta „Felipe", to ta sama osoba…

Był maj siedemdziesiątego pierwszego, piątek po południu. Alfredo zaskoczył rodziców: „Zdecydowałem się, wyjeżdżam". Paszport załatwiła mama. „Wie pan, martwię się o syna. Wpadł w jakieś podejrzane towarzystwo, chyba się narkotyzuje. Gdzie jest? Nie wiem, gdzieś na wsi. Chciałabym go wysłać na studia za granicę, może się od tych ludzi odczepi" – tłumaczyła oficerowi policji politycznej. W biurze paszportowym nieprzebrane tłumy, wrzask, pośpiech. Do

zamknięcia została godzina. – Myśleliśmy, że to koniec, że Fredek nie dostanie tego paszportu – opowiada mama Alfreda.

Przepustkę do dalszego życia Alfredo dostał w ostatniej chwili przed zamknięciem biura.

W poniedziałek rano gruchnęła wieść: biuro paszportowe zaryglowane. Policja wykryła jakieś machlojki, przekupstwa, fałszerstwa. Nie będzie więcej paszportów, ani wyjazdów.

Wkrótce dostał wiadomość, że aresztowano najbliższego przyjaciela. Po pięciu dniach na „drążku papugi" wycedził adres Alfreda. Ale panowie w ciemnych okularach już go nie zastali. („Nie śmiem osądzać ludzi, którzy przeszli tortury. Mnie los oszczędził tego, co złamało życie wielu moim przyjaciołom").

Alfredo miał teraz wokół siebie piękny Paryż, nocne kluby, tysiąc jeden szans na nowe życie. Tylko w duszy toczył jeszcze dawno przegraną wojnę z brazylijskimi generałami.

Któregoś dnia przyszła wiadomość, że Carlosa Lamarcę wytropił policyjno-wojskowy pościg.

Bomby nad Santiago

Pinochet zaprasza brazylijską policję, żeby zabrała sobie Alfreda

Dziesiątego sierpnia siedemdziesiątego trzeciego roku do Santiago de Chile przyleciał korespondent francuskiego dziennika „Libération".

– Miesiąc później, jedenastego września spałem jeszcze, kiedy na pałac prezydencki La Moneda spadły bomby. Pinochet rozstrzeliwał pokojową rewolucję Salvadora Allende. Mieszkałem w bogatej dzielnicy, ludzie w sąsiedztwie byli za przewrotem Pinocheta. Wybuchła potworna histeria przeciwko cudzoziemcom. Zaczęli nas denuncjować.

– Jak to wszystko wyglądało? Podobnie jak w Brazylii?

– Przewrót w Brazylii w porównaniu z tym, co zobaczyłem w Chile, był jak alert harcerski. W Santiago urządzano polowania na ludzi, od razu rozstrzeliwano na ulicach. W Brazylii gwałt był selektywny, w Chile – masowy. To było coś potwornego.

Korespondentem „Libération" był… Alfredo. Znów musiał się ukryć. Z bratnią wizytą do Chile przybyli wysłannicy brazylijskiej policji politycznej. Pinochet chciał, żeby zaopiekowali się swoimi obywatelami-wywrotowcami. Alfredo był

na listach poszukiwanych. Gdyby go złapali, nikt by się nie przejął legitymacją dziennikarza wielkiego europejskiego dziennika.

Znów strach, znów kryjówki, w obcym, wrogim, płonącym mieście i znów szeroki uśmiech losu. Dwa tygodnie po zamachu stanu Alfredo wymknął się do Buenos Aires.

Polska Ludowa buntem pachnąca
Wykład o nieprzekładalności doświadczeń

Ladislau Dowbor i Alfredo Sirkis spotkali się na ziemi swoich rodziców. Był rok siedemdziesiąty ósmy, późny Gierek, kolejki i kartki na cukier.

Alfredo: – Z marksizmem rozstałem się już wcześniej, ale to chyba w Polsce straciłem resztki złudzeń co do realnego komunizmu.

Dowbor: – W Polsce miałem szansę studiować. Napisałem doktorat. Straszna była tu biurokracja.

Dowborowi nie wolno było wypowiadać się publicznie. Latynoamerykańscy komuniści, którzy nie pałali miłością do Moskwy, nie byli zbyt mile widziani w Polsce Ludowej. Gdy Dowbor udzielił wywiadu „Perspektywom”, skończyło się to niemal dyplomatycznym skandalem. Polska Ludowa handlowała z Brazylią „ponad ideologicznymi podziałami”, a udzielenie schronienia „terroryście” szkodziło interesom. Pozwolono Dowborowi zostać, ale miał od tamtej pory trzymać buzię na kłódkę.

Od opozycyjnie nastawionych polskich znajomych i nieznajomych Alfredo usłyszał, że jest bandytą, terrorystą, a do tego komunistą. „Jak ty człowieku możesz być lewicowy?!”. Spotykał polskich studentów, naukowców, dziennikarzy, ale nikomu nie zdołał przekazać sensu latynoskiego doświadczenia. „Wy macie dyktaturę komunistyczną, my mamy prawicową”. Nie docierało. Tłumaczył dalej: ten sam „typ fizyczno-intelektualny”, który w Ameryce Łacińskiej był marksistą, partyzantem, lewicowym spiskowcem, w Polsce był antykomunistą; ten sam typ ludzki, który w Polsce był wygodnym, oportunistycznym aparatczykiem Partii, w Brazylii nosił wojskowy mundur, zamykał szkolne gazetki, torturował studentów. W Ameryce Łacińskiej prawicowe dyktatury wspierali agenci CIA, amerykańska forsa i broń. Chciałeś tego czy nie, twój bunt, walka o wolność i sprawiedliwość musiała mieć kolor czerwony. „Co ty bredzisz, jak możesz być antyamerykański?”.

– Nieco łatwiej było się porozumieć z byłymi komunistami, którzy wkraczali na drogę dysydencji. Ci rozumieli co nieco, przynajmniej próbowali. Ja doskonale rozumiałem, dlaczego Polacy mają alergię na komunizm, ale sam też chciałem być zrozumiany. Niestety. W głosie Alfreda słychać zawód. Chyba nie polubił Polski, chyba czuł się zraniony. Odczuł też, że dla Polaków Ameryka Łacińska to coś gorszego, trzecioświatowego, nieważnego.

Minęły trzy lata. Późna jesień osiemdziesiątego pierwszego roku: Alfredo wraca do Polski jako brazylijski dziennikarz; ma zrobić wywiad z Lechem Wałęsą. – W trzy dni doszedłem do przekonania, że albo będzie zamach stanu, albo wejdą sowieckie czołgi. Był straszny kryzys, a na ulicach ani jednego milicjanta. Wyglądało tak, jak gdyby rząd już nie istniał. A wiadomo było, że jak mundurowych nie ma na ulicach, to coś szykują.

Alfredo znów miał kłopot z Polakami. Znów próbował tłumaczyć, że solidarnościowy ruch robotniczo-inteligencki bardziej przypomina latynoamerykańskich komunistów niż antykomunistycznych generałów; że lewica w Brazylii popiera „Solidarność”; że Ameryka Łacińska ma sytuację o 180 stopni odmienną, że ma kłopot z zależnością od USA, niesprawiedliwe społeczeństwo, kulturę przemocy… Głową w mur.

Kilka dni po powrocie do Rio, na telewizyjnym ekranie Alfredo zobaczył znajome widoki ulic Warszawy – pełnych śniegu, żołnierzy i wozów pancernych. Dokładnie w dniu, w którym trzynaście lat wcześniej brazylijscy generałowie zrobili pucz w puczu i zaczęli mordować karbonariuszy.

Epilog bez dumy, bez wstydu, bez żalu *O ścieżkach dla rowerów, zapomnieniu i pewnym bardzo kłopotliwym pytaniu*

Gdy wyjdzie się na słynną *Avenida Atlántica* w Rio de Janeiro (tą, którą fotografują wszyscy turyści świata), ciągnącą się kilometrami wzdłuż oceanu i złotych piasków Copacabany, Ipanemy, Leblonu, łatwo wpaść na rozpędzonego rowerzystę albo biegacza z walkmanem i słuchawkami.

O siódmej rano aleja zaludnia się pięknymi, biegającymi dziewczynami, wysportowanymi *machos,* którzy podciągają się na drążkach, ludźmi na rowerach. Na plaże wylegają chłopcy ze szkółek futbolowych. Ktoś wymachuje nogami jak Bruce Lee – to *capoeira,* taniec i sztuka walki zarazem.

– To wszystko moje – mówi z dumą Alfredo, wówczas deputowany w miejskim

parlamencie Rio de Janeiro. Jeszcze niedawno szef Partii Zielonych, jako minister ochrony środowiska w rządzie miejskim Rio przez cztery lata wyszarpywał pieniądze na ścieżki dla biegaczy i rowerów. Na *Avenida Atlántica,* którą na początku lat dziewięćdziesiątych przerzedził strach przed ulicznymi gangami, wróciło życie. Przynajmniej od rana do wczesnego zmroku.

Po amnestii w siedemdziesiątym dziewiątym Alfredo wrócił z wygnania i chodził w aureolii bohatera. Przez dwa lata żył z książki *Os carbonarios* o górnych i chmurnych czasach ołowiu. Potem założył partię zielonych. To był wtedy nowy, nieznany w Brazylii temat. Wyzwanie! Wielkie projekty naprawy świata przestały Alfreda interesować. – Właściwie nie lubię polityków i polityki. Dziewięćdziesiąt procent z nich to ludzie bez zasad. Lubię robić coś pożytecznego.

Kiedy był ministrem, budował ścieżki rowerowe, inspirował akcje zbierania śmieci i sadzenia drzew. Za sukces uważa *reflorestamento* – odnowienie środowiska przez zalesienie wzgórz otaczających miasto. Rio zyskało trochę zieleni, a *favelados* ze wzgórz – pracę, bo miasto płaciło za sianie i ścinanie trawy, sadzenie i podlewanie drzew.

To tak wygląda emerytura rewolucjonisty? A może spełnienie marzeń o pracy organicznej, które chodziły Alfredowi po głowie u kresu młodzieńczej gorączki?

W dziewięćdziesiątym czwartym jako pierwszy Polonus w dziejach regionu kandydował na prezydenta kraju. Zebrał jeden procent, przecinek, coś tam, głosów. To była świadoma donkichoteria – żeby się przebić z propagandą ekologiczną. Zieloni to mała partyjka: piętnastu burmistrzów, pięciu posłów w parlamentach stanowych, jeden w kongresie i około czterystu radnych w całej Brazylii.

Ladislau Dowbor, dawny towarzysz Jamil, wykłada ekonomię na Papieskim Uniwersytecie Katolickim w Sao Paulo, współpracuje z organizacjami pozarządowymi, tworzy wielkie teorie samorządności lokalnej, zgłębia świat wielkiego biznesu. – Pracowałem z wielkimi przedsiębiorcami. Niektórzy zaczynają rozumieć, że trzeba porzucić starą filozofię: „wszystko dla nas". Zaczynają myśleć inaczej o pracy robotników, wolą niekiedy produkować z materiałów droższych, ale mniej szkodliwych dla zdrowia i środowiska, wspierają organizacje pozarządowe. Krach idei lewicowych w XX wieku był tak wielki, że przez ostatnie lata musieliśmy odbudować całe swoje myślenie. Kiedyś wydawało mi się, że jak lewica, to zaraz musi być demokratyczna. A iluż potem

spotkałem autorytarnych lewicowców. Świat idzie dzisiaj w stronę nowej organizacji społecznej: ekonomicznie wydajnej, społecznie sprawiedliwej i z dobrze utrzymanym środowiskiem. To jest dziś nasza triada. Już nie istnieje „albo – albo”; albo sprawiedliwość, albo rozwój. Ale brazylijskie elity wciąż tego nie rozumieją. Tu dalej rządzą stare, wielowiekowe dynastie: Magalhaes, Marinho, Sarney, Neto, Collor. Rządzili przed dyktaturą, w czasie dyktatury, rządzą dziś. To mafia, która nie pozwala nic zmienić. Dlatego w Brazylii nie ma spokoju i nie będzie.

Niedawno razem żoną Fatimą profesor Dowbor odwiedził budynek wojska i policji, w którym więziono go, zanim Alfredo porwał ambasadora von Hollebena. Zastał wielki remont. Mieli tam wkrótce otworzyć jakieś fantastyczne centrum kultury. Profesor chciał zajrzeć do sal, w których wieszano go na „drążku papugi”. – Tego miejsca nie ma. Zamurowali, ani śladu.

„Brazylia to kraj bez pamięci” – przytoczyłem profesorowi opinię jednego z moich brazylijskich przyjaciół. Z wahaniem przytaknął.

Alfredo nie lubi opowiadać o czasach ołowiu. Myśli o nich bez dumy, ale i bez wstydu. Jest świadom wszystkich dwuznaczności swojej biografii. Spokoju nie daje mu jedno pytanie: „Co by się stało, gdybyśmy wtedy zwyciężyli? Ile zbrodni było udziałem Stalina, ile kosztowały katastrofalne eksperymenty Mao Zedonga, ludobójstwo Pol Pota. W Brazylii to prawica podeptała wolność i rozstrzelała prawa człowieka. Przez własną niemoc, może i na własne szczęście, lewica nigdy nie miała szansy popełnić tu zbrodni w imię wolności”.

W dziewięćdziesiątym szóstym w Kwaterze Głównej Straży Pożarnej minister Alfredo Sirkis odbierał medal za współpracę i poświęcenie w walce z pożarami w Parku Narodowym Tijuca. Mundury, stukanie butami, wojskowy rytuał. Na salę wkracza sekretarz bezpieczeństwa stanu Rio de Janeiro generał Nilton Cerqueira. Podchodzi do Alfreda, wpina order w klapę marynarki, protokolarnie gratuluje. Wymieniają suchy uścisk dłoni.

– Nie czułem nic. Ani nienawiści, ani wściekłości, ani żalu. Nie czułem nic do człowieka, który zamordował mojego przyjaciela Carlosa Lamarcę.

Miniatura IV

(kardynał Paulo Evaristo Arns)

– My, w Brazylii, doświadczyliśmy totalizmu prawicowego, wy, w Europie Wschodniej – totalizmu komunistycznego. Papież zawsze mi mówił, że w Brazylii było dokładnie to samo, co w Polsce – tylko w innym kolorze.

Z kardynałem Paulem Evaristem Arnsem niełatwo było się umówić – i nie z powodu kardynalskiego majestatu, ale z racji pasterskiej pasji. We wrześniu 1999 gdy spotkałem go na terenie szpitala-hospicjum w Sao Paulo, miał siedemdziesiąt osiem lat, był na emeryturze, a wciąż nieustannie w drodze. Przyjechał do miasta na dzień czy dwa, a już za chwilę miał jechać z odczytem, wizytą duszpasterską, misją dobijania się o pieniądze dla nędzarzy z *favelas.*

Historia kardynała Arnsa to epopeja Kościoła latynoamerykańskiego drugiej połowy XX wieku. Arns był jednym z najgorętszych orędowników teologii wyzwolenia. Bronił więzionych i torturowanych przez wojskowy reżim. W latach siedemdziesiątych w Brazylii spekulowano o nim jako o przyszłym papieżu.

Patronował powstaniu w konspiracji przed wojskowymi raportu o torturach, *Brazylia: nigdy więcej.* Kontrowersyjne wypowiedzi Arnsa o etyce seksualnej (uważał, że Kościół powinien zezwolić na używanie środków antykoncepcyjnych) i żarliwe wspieranie teologii wyzwolenia, uważanej w Watykanie za „marksistowską dewiację", doprowadziły do podziału diecezji Sao Paulo na pięć

części. Watykan chciał osłabić wpływy niepokornego kardynała.

Od końca lat sześćdziesiątych Kościół w Brazylii był najsilniejszym w Ameryce Łacińskiej przyczółkiem teologii wyzwolenia. Teologia ta stanowiła ruch wewnątrz Kościoła, odczytywała Ewangelię z perspektywy biedaków, nędzarzy, „wykluczonych". Upominała się o ich prawa, protestując przeciw politycznej tyranii wojskowych i przeciw wyzyskowi. Kościół teologów wyzwolenia nie stronił od politycznego zaangażowania w obronie głodnych i prześladowanych. Niektórzy duchowni upatrywali w rewolucji społecznej szansę naprawienia porządku „tego świata", uczynienia go znośniejszym.

Związki teologii z komunizmem? – Nie, komunizm wyparował z głów zarówno biedoty, jak i teoretyków – mówi stary kardynał – Tutejsza lewica, także ta, która nazywa się komunistyczną, nie akceptuje totalitaryzmu. A komunizm był totalitaryzmem.

(fragment nagrania)

… na samym początku, zaraz po zamachu stanu w sześćdziesiątym czwartym, nawet ja poparłem wojskowych. Sądziłem, że nastąpi transformacja ku autentycznej demokracji. Tak się nie stało. Ustanowiono reżim, który z upływem czasu stawał się coraz surowszy – aż do zakazu wszelkich form wolnej wypowiedzi. Nie mogłem wypowiadać się w radio, telewizji ani w prasie. Zakazane były nawet wypowiedzi papieża. Sama cisza nie była jeszcze tym najgorszym. Najgorsze było to, co robiono, żeby zapanowała: tortury, wypędzanie ludzi z kraju, skrytobójstwa.

Tortury były fizyczne i psychiczne, sądzę, że bardziej wyrafinowane niż w Niemczech czy Rosji. Metody przyszły z Ameryki Północnej, gdzie „nasi" ludzie byli instruowani, szkoleni, jak torturować psychicznie, jak nie zostawiać śladów na ciele.

Ja swoją wiedzę opieram na doświadczeniu. W czasach dyktatury konferowałem z komendantami wojskowymi nawet po kilka razy w tygodniu. Wiem, że to oni wydawali rozkazy torturowania. Jeszcze bardziej przerażające jest to, że Brazylia pomagała [w torturowaniu] innym krajom: Argentynie, Urugwajowi, Paragwajowi, Boliwii, Chile. W geście solidarności z więźniami politycznymi pojechałem do Paragwaju, potem do Chile. W Chile pod rządami Pinocheta spędziłem dziesięć dni z kardynałem Raulem Silvą Henriquezem, który opowiadał mi i pokazywał, co się tam działo. W Chile były najgorsze

tortury na świecie, o jakich mi wiadomo.

Dziwi się pan, że niektórzy biskupi popierali wojskową dyktaturę… Oni nie wiedzieli, co się naprawdę działo. Kiedy jako przewodniczący rady biskupów stanu Sao Paulo zaproponowałem po raz pierwszy wspólne napisanie listu przeciwko represjom, musiałem walczyć wiele dni, ponieważ połowa biskupów nie wierzyła w istnienie tortur ani w to, że wielu ludzi zostało uwięzionych niesprawiedliwie. Nie chcieli też „podkopywać" walki z komunizmem.

Wygraliśmy jednym głosem, dzięki czemu mogliśmy ogłosić dokument „Świadectwo pokoju". Był rok 1972. Dokument odbił się szerokim echem. Coraz więcej biskupów zaczęło przejmować się sprawą. Od tamtej pory wiedzieli przynajmniej, u kogo mogą zasięgnąć informacji. Ludzi, których poddano torturom, zaczęliśmy zabierać na spotkania z biskupami, którzy w tortury nie wierzyli. A nie wierzyli, bo uważali, że Brazylijczycy to naród, który ma taką pokojową naturę… Nawet po ogłoszeniu raportu *Brasil: nunca mais,* który powstał pod moim patronatem, nie wszyscy uwierzyli w okrucieństwa popełniane przez wojskowych; zdecydowana większość tak, ale nie wszyscy.

Opowiedziałem kardynałowi o swoich wrażeniach z manifestacji pod hasłem „Krzyk wykluczonych", którą widziałem w Manaus, stolicy stanu Amazonas. Maszerujący nędzarze, półnadzy Indianie, krzyczeli: „Chleba i sprawiedliwości!". Na trybunie biskup Luciano Mendes de Almeida wzywał władze, żeby zwróciły uwagę na głodnych – ludzi, których głos nie jest tak donośny, by mógł być usłyszany przez sytych.

Gdyby nie zaangażowanie Kościoła, powiedział kardynał Arns, „Krzyk wykluczonych" nie miałby tak wielkiego rezonansu. Dzięki Kościołowi manifestacje odbyły się we wszystkich wielkich miastach. Można rzec, że to Kościół zwrócił uwagę rządzących na społeczne nierówności. Walka o sprawiedliwość, o likwidację głodu, to także wielka idea Jana Pawła II. Najbardziej niesprawiedliwy podział dochodu, najgorszy na całym świecie, dokonywany jest w mieście, w którym obaj teraz się znajdujemy – w Sao Paulo! Dlatego Kościół zawsze bierze udział w „Krzyku wykluczonych", zwraca uwagę na warunki życia najbiedniejszych. Wystarczy zobaczyć, co dzieje się na peryferiach Sao Paulo, Rio de Janeiro, jak żyją ci ludzie. Dzisiejsza fala przemocy i narkotyków ma również ścisły związek z niesprawiedliwym

podziałem dochodu, z procesem globalizacji. Globalizacja koncentruje, nie dzieli. Koncentruje zyski w Pierwszym Świecie, a w krajach rozwijających się, takich jak Brazylia, trafiają one wyłącznie do rąk najbogatszych.

Spytałem kardynała, czy między biskupami istnieją różnice co do oceny polityki nazywanej „neoliberalną". – Różnice istnieją w tym sensie – odparł kardynał – że sytuacja każdego biskupa w Brazylii jest krańcowo odmienna od sytuacji pozostałych. Na przykład, biskup ze stanu Maranhao na samej północy Brazylii działa w zupełnie innych warunkach niż my w Sao Paulo. Tam nie ma manifestacji takich jak „Krzyk wykluczonych", tam wszyscy są wykluczeni. Źródłem różnic między biskupami jest nie tyle mentalność, ile doświadczenia mieszkańców regionu i wspólnoty kościelnej. No i pytanie, jak ulżyć cierpieniom. Tym, co nas łączy, jest przekonanie, że musi to być walka bez przemocy – to zasada fundamentalna! Niewielu biskupów w Brazylii broni systemu neoliberalnego i globalizacji, mniej niż dziesięć procent. Większość podpisała dokument Narodowej Konferencji Biskupów Brazylijskich, który krytycznie ocenił model kapitalizmu, jaki zapanował w latach dziewięćdziesiątych.

Święty, wyklęty
(dom Hélder Cámara)

Dwudziestego siódmego sierpnia 1999 zmarł dom Hélder Cámara, arcybiskup Olindy i Recife. Byłem tamtego dnia w Sao Paulo. Kilka dni później pojechałem na północny wschód – do Recife w stanie Pernambuco. Chciałem zobaczyć miejsca, w których arcybiskup Cámara mieszkał i pracował. Z ekranów telewizorów i prasowych szpalt dobywały się pochwalne hymny na cześć zmarłego. Tamtego dnia elity Brazylii i władze Kościoła czyniły zeń niezastąpionego, świętego. Lecz był czas, kiedy chętnie zakneblowano by mu usta. Nawet na zawsze…

W tym domku parafialnym obok starego kościółka na wzgórzach Olindy Hélder Cámara spędził kilkadziesiąt najbardziej burzliwych lat życia. Osiemnastego października siedemdziesiątego pierwszego roku arcybiskup obudził się, jak co dzień od czterdziestu lat, bardzo wczesnym rankiem. Tym razem oprócz odmówienia porannej modlitwy miał przygotować się do pierwszych komentarzy i wywiadów po otrzymaniu pokojowej Nagrody Nobla. Od kilku dni światowe agencje powtarzały sensacyjną informację, którą arcybiskupowi potwierdził w prywatnej rozmowie „dobrze poinformowany” norweski dziennikarz: jest bezkonkurencyjnym faworytem pokojowego Nobla 1971.

Przedstawiający wysokiej komisji kandydaturę Heldera Cámary konsultant nagrody, Jakob Sverdrup, przekonywał, że „jego przesłanie *non violence* może być w Ameryce Łacińskiej uznane za kluczowe dla zachowania pokoju. Stanowi bowiem realistyczną konkurencję dla rosnącego w regionie terroryzmu i ruchów

partyzanckich. Cámara zdobył prestiż, dzięki któremu jego głos jest słyszany tak w Brazylii, jak i za granicą".

Dwa dni później nadeszła nieoczekiwana wiadomość: Nagrodę Nobla dostał kanclerz Niemiec, Willy Brandt.

Ani Cámara, ani żaden z jego współpracowników nie wiedzieli, że od ponad roku wojskowy rząd generała Emilia Medici prowadził w Oslo sekretną kampanię przeciwko przyznaniu brazylijskiemu biskupowi najbardziej prestiżowej nagrody w świecie polityki. Pierwsze skrzypce w tej kampanii grali ambasada Brazylii w Norwegii, pewien wpływowy biznesmen przemierzający korytarze i salony norweskich elit oraz dziennikarze konserwatywnego dziennika „O Estado do Sao Paulo".

Przed głosowaniem członkowie noblowskiego komitetu dostali „teczki" na Heldera Cámarę. Zawierały one artykuł *Nagroda Nobla a przemoc,* napisany przez szefa działu zagranicznego „O Estado de Sao Paulo": „... w latach trzydziestych dom Hélder Cámara był faszystą i obrońcą adeptów Adolfa Hitlera w Brazylii. Teraz skręcił w politycznie przeciwną stronę i wielu ludzi uważa go za komunistę. Jest wielkim miłośnikiem Fidela Castro, a wzór widzi w takich liderach, jak Ernesto Che Guevara i Camilo Torres. W Ameryce Łacińskiej dom Hélder Cámara jest personą wielce kontrowersyjną. Niektórzy uważają go za oportunistę, inni oskarżają, że kłamie, gdy jest mu to wygodne. Prawdę mówiąc, jak to zwykle bywa, trudno o sąd jednoznaczny. Czy jednak tak kontrowersyjna postać zasługuje na pokojową Nagrodę Nobla?".

Dom Hélder był już wcześniej pewniakiem do pokojowego Nobla i potem jeszcze dwa lub trzy razy. Nigdy jej nie dostał. Propagandzie i dyplomacji brazylijskich wojskowych udało się zasiać w Oslo wątpliwość co do tego, czy domniemany miłośnik czerwonych i brunatnych dyktatur to aby najwłaściwszy kandydat do tak prestiżowej nagrody. A któż w dostatniej Europie zawracałby sobie głowę badaniem szczegółów biografii jakiegoś podejrzanego klechy z Trzeciego Świata.

Brazylia lat trzydziestych, podobnie jak większość krajów Europy, szukała lekarstwa na kryzys społeczny swojego czasu. Wymyślała odtrutki na korupcję i nieudolność elit demokratycznej republiki. Odpowiedziami epoki były najczęściej dwie ideologie: faszyzm i komunizm. Obie dotarły z Europy do Brazylii. W tamtym czasie to faszyzm, odwołujący się do społecznego

solidaryzmu, zyskał wśród Brazylijczyków większy oddźwięk. Dzięki swojej ludowości, masowości, społeczno-związkowemu ustawodawstwu był atrakcyjny dla biednych. Ideologicznie antyliberalny, nie na ruszał prywatnej własności – mógł być zatem tolerowany przez bogatych plantatorów i przedsiębiorców.

Młody ksiądz Câmara, urodzony we wpływowej rodzinie i wychowany w duchu konserwatywnym, nadzieję na „harmonię w społeczeństwie brazylijskim" pokładał w jedności politycznej i silnej władzy. Był liderem katolickich związków młodzieży i Brazylijskiej Akcji Katolickiej, flirtujących z ruchem zwanym „integralizmem" (odpowiednik europejskiego faszyzmu). Największy wpływ na ruch ten wywarł – między innymi za sprawą dużej w Brazylii emigracji włoskiej – Benito Mussolini. Brazylijscy integraliści przejęli rekwizytorium ideologiczne włoskich faszystów – niechęć do międzynarodowego kapitału „zdominowanego przez Żydów i sowiecki komunizm" i umiłowanie ojczyzny maszerującej w takt koszarowych melodii.

Po latach Câmara wstydził się zaangażowania w ruch faszystowski, mimo że faszyści w Brazylii nie mieli na koncie nawet promila zbrodni europejskich poprzedników. W publicznych polemikach opowiadał się za młodu za totalną kontrolą państwa nad życiem społecznym, a nawet bronił przemocy jako środka politycznej walki. „Będziemy używać przemocy, nie przeczymy, przeciwko wrogom Boga"; „Nasza przemoc jest przemocą, której nauczył nas Chrystus, wyrzucając kupców ze świątyni".

– Dlaczego tak myślałem? Miałem wówczas więcej włosów – wyznał po II Soborze Watykańskim w rozmowie z francuskim teologiem René Laurentinem.

Nasilenie politycznych represji wobec opozycji za dyktatury Getulia Vargasa, dochodzące z Niemiec wieści o prześladowaniach Żydów i sterylizacji osób uznawanych za anormalne z rasowego punktu widzenia, prześladowania katolików w państwie Hitlera, jak i – z innej strony – lektura głoszących chrześcijański humanizm pism Jacques'a Maritaina otworzyły Helderowi Câmarze oczy na naturę faszyzmu.

I naturę chrześcijaństwa. Nie stało się to jednego dnia ani nawet jednego roku. Intelektualna i duchowa ewolucja Câmary ku „nowemu stylowi świętości" – jak to określał Maritain – trwała kilka lat.

Pewnej nocy pod koniec lat szcześćdziesiątych do mieszkania arcybiskupa Câmary w Recife zapukali bliscy jakiegoś człowieka, którego policja

aresztowała za polityczne przewiny. Câmara wykręcił numer telefonu.

– Mówi dom Hélder, właśnie uwięziliście mojego brata.

– Waszego brata, Ekscelencjo? – spytał przerażony oficer.

– Mimo że mamy inne nazwiska, jesteśmy synami tego samego Ojca.

Policjant rozkazał natychmiast uwolnić zatrzymanego.

Początek lat sześćdziesiątych: II Sobór Watykański, wojskowy zamach stanu w Brazylii i objęcie diecezji Olindy i Recife – były „Damaszkiem" Câmary. Staje się obrońcą prześladowanych, ubogich – i wrogiem publicznym numer jeden generalskich rządów i społecznych elit Brazylii. Organizuje wielkie akcje: „Operacja Nadzieja", Komisja Sprawiedliwość i Pokój, Bank Opatrzności. Pomagają one więźniom politycznym, represjonowanym, uczą analfabetów czytania i pisania, kształcą dzieci, zajmują się poradnictwem zawodowym. Câmara protestuje, gdzie może – w kraju i za granicą – przeciwko prześladowaniom politycznym w Brazylii. Ujawnia zbrodnie i tortury. Z brazylijskimi wojskowymi żartów nie było – lista zamordowanych księży jest długa.

Gdy pewnego lipcowego dnia roku sześćdziesiątego szóstego w Recife wybuchły trzy bomby, wojskowi przy pomocy „swoich" dziennikarzy przypisali Câmarze odpowiedzialność za zbrojną akcję partyzantów. Tak rozpoczęła się kampania przeciwko arcybiskupowi, która miała trwać przez ponad dziesięć lat. Jego wypowiedzi i nazwisko nie mogły pojawiać się w środkach przekazu. A jeśli już nazwisko się pojawiało, to tylko w zestawieniu z Goebbelsem albo Fidelem Castro. W nagonce na Câmarę brali udział prominentni przedstawiciele świata intelektualnego i finansowych elit, na przykład wybitny socjolog Gilberto Freyre oraz właściciel sieci medialnej „O Globo" – Roberto Marinho.

Freyre, z którym Câmara po objęciu diecezji Olindy i Recife był w niemal przyjacielskich stosunkach, wymyślał mu w prasie od „doktorów Goebbelsów", zarzucał, że igra z komunizmem i wykorzystuje nędzę północno-wschodniego regionu Brazylii do demagogicznej walki z rządem wojskowym. „Są w zagranicznych mediach tacy, którzy marzą o arcybiskupie Helderze Câmarze jako prezydencie republiki Brazylii. Byłby to brazylijski Kiereński…". I zarzut-refren: arcybiskup jest „bardziej politykiem niż księdzem" („Nie jest działaczem politycznym – pisał o nim w połowie lat siedemdziesiątych Jerzy Turowicz – ale nie unika problemów politycznych. Domaga się sprawiedliwości dla tych, którym

poświęcił swoje życie”).

Oskarżenia formułowane przez wojskowych i dyspozycyjnych dziennikarzy o związki Câmary z oporem zbrojnym były tym bardziej absurdalne, że od dłuższego już czasu arcybiskup Recife prowadził w Brazylii i poza nią własną kampanię na rzecz uformowania ruchu, a przynajmniej świadomości *non violence.* Odwoływał się wprost do wzorów Mahatmy Gandhiego i Martina Luthera Kinga. Nie podzielił ich losu prawdopodobnie dlatego, że cały czas towarzyszył mu wielki rozgłos międzynarodowy. Jeździł po świecie z wykładami, udzielał mnóstwa wywiadów, był osobistym przyjacielem papieża Pawła VI.

Odrzucanie przemocy jako drogi walki o sprawiedliwość odróżniało Câmarę od przedstawicieli najbardziej radykalnych odłamów teologii wyzwolenia. Wprawdzie teologia ta odżegnywała się od przemocy, jednak w jej kręgu byli również księża, którzy woleli brać do ręki karabin niż kropidło. Dom Hélder, uważany za największego pasterza ruchu, nie tworzył teoretycznych dzieł teologii wyzwolenia ani nigdy nie poszedł śladem radykałów. Nigdy nie postawił na drogę księdza Camila Torresa, który zginął w oddziale partyzanckim w Kolumbii. Nigdy nie poszedł śladem najbardziej radykalnych krytyków władz kościelnych, papieży i katolickiej doktryny, jak choćby jego rodak, franciszkanin Leonardo Boff. Pragnienie przemiany Kościoła łączył z wiernością tradycji. Nigdy nie zamienił – jak uczyniło wielu jego przyjaciół-księży – sutanny na zwykłą koszulę bez koloratki.

Pomagał uciekać z kraju ludziom uwikłanym w *guerrillę,* sam sprzeciwiał się używaniu przemocy w walce o sprawiedliwą Brazylię. Poprzez pokojowy nacisk na władze i finansowe elity kraju pragnął odciągnąć od walki zbrojnej „szczególnie młodych, których cierpliwość poddana jest twardej próbie”. Ponieważ był najgłośniejszym krytykiem brazylijskich władz, przypisywano mu odpowiedzialność, co najmniej moralną, za każdą akcję przeciwko wojskowym. Także za militarne akcje partyzantów.

Gdy w sześćdziesiątym ósmym pewien dziennikarz francuskiej agencji prasowej usłyszał, jak Câmara zwierza się seminarzystom w Rzymie, że być może jest to jego ostatnia wizyta, i że „zlikwidowanie go jest o wiele łatwiejsze niż to się może wydawać”, wiadomość o zagrożeniu życia biskupa pojawiła się natychmiast w „Le Monde” i „Timesie”. W zagranicznej prasie ukazywały się artykuły ze zdjęciem Câmary i tytułami w rodzaju: „Kto chce zabić tego

człowieka?”. Tymczasem największy brazylijski dziennik „O Globo” zaczął sugerować, że Câmara jest niespełna rozumu…

Wojskowi nie wytrzymali. Niecały rok później dom Hélder znalazł zwłoki osobistego sekretarza, księdza Pereiry Neta, z trzema kulami w głowie, poderżniętym gardłem, śladami pobicia i tortur.

„Właściwe zrozumienie tego, co się dzieje nie tylko w Brazylii, ale także w innych krajach Ameryki Łacińskiej – uważał dom Hélder – wymaga przyjrzenia się środowiskom wojskowym. W wyższych szkołach wojennych wykłada się pewną filozofię polityczną, która daje uproszczoną wizję świata, podzielonego na połowę kapitalistyczną, dysponującą wszystkimi wartościami, i połowę socjalistyczną, posiadającą jedynie antywartości… Tu właśnie jest niebezpieczeństwo: w imię antykomunizmu dochodzi się do absurdów”. I zbrodni.

Brazylijski Kościół był głęboko podzielony na przeciwników i zwolenników wojskowej dyktatury. Gdy jednak generałowie przypuszczali ataki na Câmarę, nawet ich stronnicy na ogół solidarnie go bronili. Jeden z nich, Eugenio Sales, zwolennik generalskich rządów, później kardynał, gdy miał zostać metropolitą Rio de Janeiro, wzbraniał się przed przyjęciem tej godności, uważając, że jest to miejsce Heldera Câmary.

Specyficznie brazylijskie podziały w Kościele tamtego czasu zbiegały się z podziałami w całym Kościele powszechnym, które niósł II Sobór Watykański, a także z podziałami epoki zimnej wojny. Trudno czasem rozpoznać, które z tych różnic miały charakter ściśle religijny, które były wynikiem politycznej oceny realiów Brazylii (za dyktaturą generałów lub przeciw niej, przeciw społecznym przemianom itp.), które wreszcie stanowiły emocjonalno-propagandową otoczkę rywalizacji między dwoma wielkimi blokami polityczno-wojskowymi. Prócz poważnej krytyki Câmary w kręgu konserwatywnych katolików Brazylii, znajdziemy obelżywe epitety („Goebbels”) lub równie niepoważne oskarżenia, że arcybiskup marzył o ustanowieniu systemu sowieckiego lub chińskiego.

Najistotniejsza, jak się wydaje, rozbieżność między poglądami Câmary i konserwatywnych biskupów Brazylii dotyczyła pojmowania misji Kościoła i oceny hierarchii zagrożeń. Biografowie Câmary zwracają szczególną uwagę na spór arcybiskupa z ówczesnym zwierzchnikiem, promotorem i przyjacielem – kardynałem Rio de Janeiro Jaime Câmarą (zbieżność nazwisk przypadkowa).

Kardynał pojmował wizję podopiecznego w sposób następujący: walka z ateistycznym komunizmem pozostaje na dalszym planie; w misji Kościoła najważniejsza jest walka z niesprawiedliwością, która może, a nawet powinna toczyć się w sferze społecznej i politycznej; doczesnym celem chrześcijan winno być, mimo wszystko, ustanowienie możliwie sprawiedliwego ładu. Jaime Câmara sądził tymczasem, że celem Kościoła jest „chrystianizowanie społeczeństwa i działanie na rzecz tego, aby rząd, organizacje społeczne i pojedynczy ludzie kierowali się katolicką nauką. Przemiana społeczeństwa poprzez polityczną walkę nie należy do kościelnej misji". Była to jedna z przyczyn rozejścia się dróg arcybiskupa i kardynała. Krytycy Héldera Câmary uważali, że przekracza on swoją działalnością granice misji Kościoła.

Paradoksalność sporu konserwatystów z Câmarą i tą częścią brazylijskiego Kościoła, której był duchowym autorytetem, polega na tym, że zarzucając arcybiskupowi polityczne zaangażowanie, konserwatywni biskupi sami angażowali się silnie po stronie dyktatury. Inny paradoks dotyczył „komunistycznego zagrożenia", które w regionie miało twarz Fidela Castro. Wszak to właśnie dążenie Câmary do ustanowienia sprawiedliwego społeczeństwa było najlepszą drogą odsunięcia komunistycznego zagrożenia.

Biskupią solidarność złamał w lipcu sześćdziesiątego ósmego biskup Geraldo Sigaud, który w liście do prezydenta Artura da Costa e Silva potępił „niektórych biskupów, sympatyków Marksa i komunizmu". List był zielonym światłem dla otwartych wrogów Câmary w brazylijskim Kościele. Prym w posyłaniu obelg wiodło skrajnie prawicowe towarzystwo „Tradycja, Rodzina i Własność". Dla księży, biskupów i polityków tej formacji Câmara był „czerwonym arcybiskupem", który „otwiera bramy Ameryki i świata dla komunizmu".

„Gdy daję biednym chleb – odpowiadał Hélder Câmara – nazywają mnie świętym. Gdy pytam, dlaczego biedni nie mają chleba, nazywają mnie komunistą".

Dom Hélder istotnie wierzył, że socjalizm jest ustrojem sprawiedliwszym od kapitalizmu. Kapitalizm w wersji latynoamerykańskiej, którą znał z doświadczenia, gdzie nieliczni mają wszystko, a większość – prawie nic, był dla niego nie do pogodzenia z ewangelicznym nakazem solidarności z ubogimi. Câmara uważał, że u Marksa są „pewne prawdy, które na pewno mogłyby pomóc rozwinąć się myśli chrześcijańskiej" – tak jak Arystoteles wywarł wpływ

na świętego Tomasza z Akwinu. Lecz zarazem bez ogródek piętnował dyktatury, których Marks był ojcem chrzestnym. „ZSRR stał się imperium, stosując systemy superpotęgi kapitalistycznej”. Po jednej z wielu serii ataków ze strony wojskowych arcybiskup napisał do komendanta wojskowego w Recife: „Niech mi Wasza Ekscelencja fałszywie nie przypisuje, iż marzę o wyzwoleniu Brazylii od Stanów Zjednoczonych i wprowadzeniu jej w orbitę Związku Sowieckiego albo Czerwonych Chin”.

Câmara jednoznacznie potępił zdławienie Praskiej Wiosny i węgierskiego powstania. Jego socjalizm był tęsknotą za sprawiedliwym królestwem jeszcze na ziemi, w którym nikt nie będzie głodował przed elegancką knajpą, gdzie wyrzuca się codziennie tony resztek jedzenia; w którym bajecznie bogate pałace, rezydencje, „fazendy” nie będą sąsiadowały z drewniano-papierowymi „favelami”. „Biedę można jeszcze znieść, ale nędza jest czymś wbrew naturze człowieka”.

Socjalizm Câmary był różny od socjalizmu realnego. Jego wizja Kościoła – odległa od Kościoła istniejącego realnie.

Kilka dni przed śmiercią Heldera Câmary rozmawiałem w Sâo Paulo z jego bliskim przyjacielem, dominikaninem bratem Betto. Câmara wychodził właśnie ze szpitala po krótkiej interwencji lekarskiej, o czym było głośno we wszystkich środkach przekazu. Spytałem, czy możliwe jest choćby krótkie z nim spotkanie. – On nie da już rady… – brat Betto rozłożył ręce. I opowiedział znaczącą historię z życia dom Héldera.

Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych Câmara stworzył w Rio de Janeiro ruch o nazwie Krucjata Świętego Sebastiana. Był wtedy biskupem pomocniczym Rio i chciał wyplenić z miasta „favele”, pomagając biedakom zdobyć normalne mieszkania. Osiedlani w blokach *favelados* wyrywali krany, sanitariaty i instalacje elektryczne na sprzedaż, a pokoje odnajmowali dla zarobku. Chyba wtedy Câmara doszedł do wniosku, że to wina nie tych ludzi, lecz niesprawiedliwych struktur społecznych.

Na II Soborze Watykańskim Câmara doprowadził, nie bez trudności, do powołania komisji soborowej do spraw biedy i rozwoju w krajach zacofanych. Przygotowywał pole pod przyszłą encyklikę Pawła VI *Populorum progressio* (O rozwoju ludów). Sam demonstracyjnie porzucił biskupi pałac w Recife i zamieszkał w skromnym domu w ubogiej dzielnicy miasta.

Za jedną z kluczowych kwestii w Brazylii uważał Câmara reformę rolną. Sądził w dodatku – i stało się to ogniskiem zapalnym w samym Kościele – że powinna się ona zacząć od majątków kościelnych. „Zbyt długo zajęci utrzymywaniem porządku społecznego i władzy – mówił – my, ludzie Kościoła, nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy, że ten rzekomy porządek społeczny był tylko posegregowanym nieporządkiem. Mamy obowiązek spróbować otworzyć oczy zarówno tych, którzy są potężni, jak i mas".

Wśród biskupów na soborze nie było łatwo przeforsować wizję Kościoła ubogiego – nie „Kościoła dla ubogich", ale „Kościoła ubogich". Na początku drugiej sesji soboru watykański sekretariat stanu otrzymał *dossier* Câmary sporządzone przez anonimowego biskupa z USA, demaskujące go jako komunistę. Po raz pierwszy w Kościele powszechnym rzucono nań oskarżenie, które od lat towarzyszyło mu w Brazylii. I tym większą nieufnością zaczęli go darzyć biskupi, przeciwni lansowanym silnie przez Câmarę inicjatywom ograniczenia władzy papieża, decentralizacji władzy w Kościele, przyznania krajowym oraz regionalnym konferencjom episkopatów szerokich kompetencji. Câmara sprzeciwiał się traktowaniu biskupów przez Watykan jako „ludzi niepełnoletnich".

Jednak to Câmara odniósł sukces – II Sobór Watykański ogłosił Kościół „służebnym i ubogim". Jeszcze przed zakończeniem soboru Câmara i bliscy mu biskupi zawiązali w katakumbach świętej Domitylli pakt w obronie Kościoła ubogich. Spisany tekst przymierza wręczyli Pawłowi VI.

Mam przed oczami zdjęcie Câmary z Pawłem VI. Dom Hélder wręcza biskupowi Rzymu skromny, drewniany krzyż. Zamykając uroczyście sobór, papież wyraził aprobatę dla biskupów z kręgu Kościoła ubogich. Jak opisywał potem Câmara, Paweł VI ukazał się „bez tiary, z prostym pastorałem i naszym pierścieniem… Zmienił, mam nadzieję na zawsze, pierścień bogaty na pierścień-symbol jedności między nami, biskupami całego świata, na pierścień-symbol Kościoła służebnego i ubogiego".

Była sprawa, którą Câmara – można powiedzieć – przegrał. Czuł się rozczarowany stanowiskiem Pawła VI, który podtrzymał starą doktrynę zakazującą używania środków antykoncepcyjnych w związku małżeńskim. Câmara uważał, że zakaz ten prowadzi do frustracji katolików, którzy „pragną żyć w zgodzie ze swoim sumieniem". Ale mimo odmiennych poglądów – inaczej

niż wielu krytyków kościelnej doktryny – nigdy nie wszedł w konflikt z Magisterium Kościoła.

W różnych książkach o Câmarze, a także w prasie brazylijskiej po śmierci arcybiskupa można było spotkać stare fotografie: biskup Câmara z kardynałem Montinim, późniejszym Pawłem VI. Montini odwiedził Câmarę w sześćdziesiątym roku w Rio de Janeiro. Przyglądał się z bliska jego pracy wśród *favelados* (tej, która zakończyła się częściowym fiaskiem, opisywanym przez brata Betto). Gdy Montini został papieżem, przez długi czas pozostawali w bliskich stosunkach.

W czasie jednego ze spotkań, w sześćdziesiątym szóstym, Paweł VI wygłosił pean na cześć Câmary: „Cokolwiek zrobisz, każde twoje słowo ma światowy rezonans. Dla prasy europejskiej i amerykańskiej ważniejsze jest to, co ty myślisz, niż przemyślenia któregokolwiek z kardynałów, nawet amerykańskich. Nie mówię tego bynajmniej w obawie o twoje poglądy czy działania. Dzięki Bogu, znamy się już tyle lat… Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie? Urosłeś od tego czasu w środku, ale zachowałeś prostotę i pokorę seminarzysty, którego spotkałem w 1950 roku… Twój uśmiech i twoje spojrzenie nie zestarzały się ani trochę. Gdzieś tam w środku wciąż żyje w tobie dziecko. Wykorzystaj sławę. Nie przestawaj być pasterzem Olindy i Recife – dzięki Bogu, masz duszę pasterza – i pamiętaj, że w Kościele niewielu jest takich, których głos jest słuchany tak jak twój”.

Podczas tamtego spotkania papież sondował Câmarę na okoliczność bliskiej nominacji kardynalskiej. Księciem Kościoła Câmara nigdy jednak nie został… Czy miał w Watykanie aż tylu otwartych przeciwników? Czy Paweł VI oddzielał osobistą sympatię od osobistych przemyśleń?

Oprócz gestów przyjaźni ze strony Pawła VI Câmara dostawał z watykańskiego sekretariatu stanu listy z krytyką swoich wystąpień. W jednym z nich przeczytał, że jego działania przeciwko rządowi Brazylii prowokują władze do nadużyć i prowadzą do ograniczenia praw obywatelskich. „Wydaje się, że należy unikać, jak tylko to możliwe, prowokowania szkód, których osoba arcybiskupa Recife wielokrotnie była przyczyną”.

Câmara – jak uważają jego biografowie – nie pojmował, co się dzieje: przyjaźń z papieżem i pełne nieprzyjaźni listy z Watykanu…

Gdy Paweł VI ogłosił w 1967 roku encyklikę *Populorum progressio,* Câmara

uznał ją za całkowite poparcie dla działań duchowieństwa z kręgu, który rok później – dzięki dziełu peruwiańskiego księdza Gustava Gutierreza – został nazwany teologią wyzwolenia. Papież apelował w encyklice, ażeby nie pokładać nadziei w przemocy i w rewolucji, lecz równocześnie rozważał prawo do powstańczego buntu społeczeństw w przypadku „oczywistej i długotrwałej tyranii, poważnie naruszającej prawa osoby i niebezpiecznie szkodliwej dla ogólnego dobra kraju".

Tymczasem Hélder Câmara dostał od Giovanniego Benellego, prawej ręki papieża, list zalecający zaniechanie podróży zagranicznych i wygłaszania odczytów, podczas których ujawniał łamanie praw człowieka w Brazylii.

„Niezrozumienie Rzymu? Niezrozumienie w Brazylii, po powrocie? Więzienie? Unicestwienie? Naturalna śmierć?… Gdy Rzym mnie nie rozumie i nie akceptuje, czuję, że ziemia usuwa mi się spod stóp – notował – Jak bardzo wtedy rozumiem Cię, o Chryste, wołający na Krzyżu: Ojcze, mój Ojcze, czemuś mnie opuścił?".

Dzień po śmierci Heldera Câmary konserwatywny dziennik „O Estado de Sao Paulo", który przez lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte robił z niego głupca i terrorystę, w niezwykle ciepłym artykule podkreślił, że prestiż arcybiskupa „zaczął maleć po wyborze Jana Pawła II w 1978 roku".

Câmara, jak piszą jego biografowie, wybór Karola Wojtyły przyjął z niepokojem. Chodziło nie tyle o osobę nowego papieża, ile o konserwatywny polski katolicyzm, z którego się wywodził. Pierwsze spotkanie, mimo ostrego sporu Jana Pawła II z teologami wyzwolenia, przebiegło nieoczekiwanie ciepło. Telewizja i prasa brazylijska przypominały tuż po śmierci Câmary słynne zdjęcie z pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do Brazylii w osiemdziesiątym roku. Lotnisko w Recife: wysoki i atletyczny wówczas Jan Paweł II przytula, jak młodszego brata, drobnego arcybiskupa Câmarę. Wtedy, w czasie rządów generalskich w Brazylii, gest papieża miał wielki polityczny oddźwięk. Tygodnik „Veja" napisał: „Wizyta papieża, który obdarował dom Héldera tak czułym uściskiem, jakiego nie otrzymał w Brazylii nikt inny, stanowiła swego rodzaju paszport o publicznej rehabilitacji arcybiskupa Olindy i Recife". W przemówieniu powitalnym papież nazwał dom Heldera „bratem biednych. Moim bratem".

Spotkanie tamto wspominał dom Hélder: „O pewnych jego słowach i gestach nie mam odwagi opowiadać… Przy wejściu i wyjściu, gdy ucałowałem jego rękę,

on zatrzymał moją i pocałował… Żegnając się, ucałował mnie, wzruszony, cztery razy w głowę… A w czasie obiadu rzekł: *Ty masz charyzmę. Doprawdy, chciałbym, żebyś był moim bratem. Ale sekretnym, najsekretniejszym…”.* Po obiedzie, w czasie modlitwy, papież dziękował Bogu za takie dzieci Kościoła jak Matka Teresa i dom Hélder, „którzy zawsze byli żywymi świadkami Ewangelii”.

Tak było przed laty… W depeszy kondolencyjnej skierowanej do Kościoła w Brazylii po śmierci dom Héldera watykański sekretarz stanu, kardynał Angelo Sodano, wyrażając ubolewanie w związku z jego odejściem, napisał w imieniu papieża, że arcybiskup Câmara „był zaangażowanym kapłanem, prowadzącym szeroką działalność duszpasterską, zwłaszcza głęboko zaangażowanym na rzecz ludzi najbiedniejszych”. Przypomniał również, że zmarły arcybiskup pomógł stworzyć Radę Biskupów Ameryki Łacińskiej i Konferencję Biskupów Brazylii.

Kilku brazylijskich katolików, z którymi rozmawiałem o reakcji Jana Pawła II, było rozczarowanych jej urzędowym tonem. Nie rozumieli, dlaczego papież nie zdobył się choćby na jedno ciepłe słowo o „swoim bracie”.

Kilka godzin po śmierci Heldera Câmary zadzwoniłem do kogoś, kto był jak gdyby jego młodszym o dwadzieścia lat bratem. Biskup Pedro Casaldaliga, charyzmatyczny obrońca Indian z Sao Felix do Araguaia w stanie Mato Grosso, mieszka na końcu świata. Casaldaliga nie rusza się od swoich owieczek. Gdyby jeździł po świecie tak jak Câmara, byłby równie sławny. – Hélder Câmara – powiedział mi Casaldaliga – był jedną z największych duchowych postaci naszego wieku, kimś takim jak Mahatma Gandhi, jak Martin Luther King. Za swoją postawę był prześladowany przez elity Brazylii, przez oligarchię. Nie został doceniony przez oficjalne czynniki Kościoła. Wielka szkoda i żal. Bardziej docenił go świat.

Słowa najwyższego uznania dla arcybiskupa Câmary mieli po jego śmierci także konserwatywni hierarchowie. Dom Claudio Hummes, metropolita Sao Paulo, powiedział, że Câmara „był wielkim człowiekiem, sprawiedliwie docenionym przez Brazylijczyków za swoją walkę o prawa człowieka”, a jego śmierć to wielka strata dla Kościoła. Ciepłe epitafium wygłosił metropolita Rio de Janeiro, kardynał Eugenio Sales: „Dom Hélder ciężko pracował dla dobra Brazylii. Mimo licznych trudności, jakie napotykał podczas swego długiego życia, zawsze był wiernym pasterzem Kościoła. Powinniśmy widzieć przede wszystkim jego życie duchowe, jego kapłaństwo. Wielkość Heldera Câmary nie była jedynie

w tym, że służył ubogim, lecz w tym, iż służąc im, konsekwentnie służył Bogu”.

Paradoks antytotalitarnego dorobku w biografii Câmary: arcybiskup stał się pozytywnym bohaterem również radykalnego nurtu teologii wyzwolenia, który z nostalgią spoglądał na dyktaturę Fidela Castro. Brat Betto wychodził przed laty od bliskiej Câmarze krytyki brazylijskich realiów – po latach doszedł do usprawiedliwiania tyranii wodza kubańskiej rewolucji.

– Dom Hélder marzył o Kościele mniej barokowym, mniej władczym; takim, który przypomina wspólnotę rybaków z Galilei – powiedział mi brat Betto po śmierci Câmary. – Nie dostał pokojowej Nagrody Nobla, ale wierzę, że przyszłość odda mu sprawiedliwość. Że zostanie włączony do grona tych, których czcimy jako świętych.

Miniatura V

(aresztowanie Pinocheta)

Szesnastego października 1998 po południu wszystkie agencje prasowe i stacje telewizyjne na świecie przerwały programy, żeby nadać sensacyjną wiadomość: były prezydent Chile i dożywotni senator Augusto Pinochet został zatrzymany w londyńskiej klinice, gdzie kilka dni wcześniej przechodził operację kręgosłupa. Pinocheta zatrzymano na wniosek hiszpańskiego sędziego Baltazara Garzona, który oskarżył byłego dyktatora o zbrodnie przeciwko ludzkości i zamordowanie kilkudziesięciu Hiszpanów po zamachu stanu w Chile. Później doszły inne zarzuty, takie jak udział Pinocheta w operacji „Kondor” – wspólnym polowaniu kilku latynoamerykańskich tyranów na przeciwników politycznych w różnych zakątkach świata.

Po ponad ćwierćwieczu znów zapłonął spór o pokojową rewolucję Salvadora Allende, którą 11 września 1973 roku przysypały gruzy zbombardowanego na rozkaz Pinocheta pałacu prezydentów Chile La Moneda. I wybuchł spór nowy: o międzynarodową sprawiedliwość. Komu i w jaki sposób wolno sądzić dyktatorów, którzy mordowali ludzkość? Czy rezygnować z wymierzania sprawiedliwości – w imię miłosierdzia i pragmatyzmu?

Spędziłem kilkanaście dni w sieci. Chile wrzało.

Chilijska ambasada w Londynie ogłasza protest: senator Pinochet podróżował z paszportem dyplomatycznym, przysługuje mu immunitet.

Prezydent Eduardo Frei, w czasach dyktatury przeciwnik Pinocheta, śle oświadczenie: „To pogwałcenie immunitetu dyplomatycznego!”.

„Nieustające poparcie i solidarność z generałem Augusto Pinochetem”

deklaruje chilijskie wojsko. Burzy się pinochetowska prawica: „to policzek", „pogwałcenie suwerenności", „akt kolonializmu", „urzędowe porwanie". Pod brytyjską ambasadą w Santiago okrzyki: „Angielscy piraci, oddajcie nam Dziadka!". Pod ambasadą hiszpańską: „Posłuchaj Hiszpanio, Chile walczy!".

Demokraci, socjaliści, komuniści, rodziny ofiar reżimu Pinocheta „wyrażają radość i satysfakcję". Trzydzieści tysięcy przeciwników byłego dyktatora świętuje na ulicach. Jest muzyka, są przemówienia – z telewizyjnych i prasowych zdjęć bije aura fiesty i pikniku.

Przemawia Isabel Allende, córka obalonego w 1973 roku prezydenta: – Po dwudziestu pięciu latach bezkarności Pinochet został wreszcie zatrzymany. Nie chodzi nam o zemstę, chodzi nam o sprawiedliwość.

Komentarz prawicowego dziennika „El Mercurio": „Nielegalne zatrzymanie senatora Pinocheta jest groźne dla transformacji w Chile. Niestety, lewica obozu rządzącego nie zachowała się tak, jak wymaga narodowa godność. Nie szanuje paktu społecznego, dzięki któremu mogło dojść do transformacji. Przedkłada względy ludzkie, owszem, zrozumiałe, nad pokój w kraju".

Komentarz José Zalaquetta, przeciwnika Pinocheta w epoce dyktatury: „Suwerenność nie może być oddzielona od praw człowieka. Są prawa, które przysługują Pinochetowi – poszanowanie jego stanu zdrowia, gwarancje sprawiedliwego procesu. Są to prawa, których jego rząd nie przyznawał tysiącom bezbronnych Chilijczyków – torturowanym, rozstrzeliwanym, zaginionym".

Prezydent Frei przemawia w telewizji do narodu: – Nasza transformacja nie jest doskonała. Ale przyniosła krajowi korzyści i poszanowanie podstawowych praw człowieka. Kosztowało nas to wiele wysiłku i poświęceń. Wszystkich was proszę: dbajmy o to, dbajmy o naszą przyszłość!

Chilijska debata o historii i rozliczeniach z dyktaturą przenosi się na ulice. W ruch idą pałki, armatki wodne i gazy łzawiące – tak przeciwko sympatykom, jak i przeciwko wrogom byłego dyktatora. Są ranni i aresztowani. Przemoc i chaos.

Telewizyjne zdjęcia z Santiago de Chile różnią się od tych sprzed dwudziestu pięciu lat, tuż przed zamachem stanu Pinocheta, jedynie lepszą jakością obrazu. Coraz więcej ludzi pyta z nieukrywanym strachem: czy to koniec chilijskiej drogi

do demokracji?

Dzień po dniu policja rozpędza pinochetystów oblegających ambasady Hiszpanii i Wielkiej Brytanii w Santiago. Płoną hiszpańskie i brytyjskie flagi. – Na co nam demokracja, skoro nas poniżają?! Organizacje kobiece związane z pinochetystami wzywają, żeby nie kupować whisky, herbaty i wymieniać angielskie telefony komórkowe. – Zaprzestańcie akcji przeciwko zaprzyjaźnionym krajom – wzywa ponownie prezydent Frei i potępia przemoc z obu stron. – Akty agresji niszczą Chile. Jeśli to będzie konieczne, użyjemy wszelkich dostępnych prawem środków, żeby powstrzymać przemoc!

Pinochet zwolniony z aresztu. Radość pinochetystów i wściekłość ofiar dyktatora.

Pinochetyści: – Chile zwyciężyło!

Viviana Díaz ze Stowarzyszenia Rodzin Zaginionych: – Nie uznajemy werdyktu, który powołuje się na immunitet dyplomatyczny. Tyranowi, który popełnił zbrodnie przeciwko ludzkości, prawo takie nie przysługuje.

Były dyktator musi jednak zostać w Londynie – w domowym areszcie pod kuratelą policji.

Badania opinii publicznej: sześćdziesiąt dwa procent Chilijczyków domaga się ukarania winnych zbrodni reżimu Pinocheta, dwadzieścia trzy procent uważa, że trzeba zapomnieć o przeszłości, dwanaście procent opowiada się za osądzeniem prześladowców i natychmiastową amnestią dla nich.

Dziesięć dni po zatrzymaniu Pinochet ustami swojej żony odzywa się zza murów kliniki, w której przechodził operację: „Powiedz moim przyjaciołom, żeby mnie stąd wyciągnęli”.

– Czy to wezwanie do podjęcia siłowych kroków? – lewicowy dziennik „La Tercera” pyta generała Jorge Ballerino, bliskiego współpracownika Pinocheta. – Nie, to byłby absurd. Kiedy mówi o przyjaciołach, ma na myśli wszystkich Chilijczyków.

Chilijczycy nasłuchują odgłosów, jakie dochodzą z koszar. Emerytowany generał Rafael Villarroel, niegdyś zastępca Pinocheta, sądzi, że inspiracja do zatrzymania generała wyszła z Chile. Od kogo? Od lewicy. „Nie jesteśmy naiwni. Wiemy, że to są organizacje międzynarodowe”. Podobne opinie wygłaszają inni pinochetyści: to akcja międzynarodowej mafii skrajnej lewicy, zorganizowana

z pomocą Chilijczyków.

Prawicowa gazeta „El Mercurio”: „Światowa lewica nigdy nie wybaczyła Pinochetowi, że stał się pierwszym w historii przywódcą, któremu udało się uwolnić kraj od rządu marksistowsko-leninowskiego. Nigdy nie wybaczyła mu sukcesu gospodarczego i społecznego”.

Lewica oskarża własny rząd, że nie kiwnął palcem w sprawie pogróżek, jakie dostają dawni przeciwnicy dyktatora. Jednym z zastraszanych jest sławny w Chile malarz, José Balmes, który w epoce dyktatury przebywał na wygnaniu. – Zadzwonili do mojej córki: „Powiedz ojcu, że wyprujemy mu flaki, jeśli generał Pinochet nie zostanie uwolniony”. To pewnie typki z DINA [tajnej policji politycznej z czasów dyktatury], które mają czarne listy z dawnych lat. Nienawiść w Chile jest przerażająca. Wydaje się, że znów żyjemy w roku siedemdziesiątym trzecim – roku agresji, nienawiści, chaosu i zamachu stanu.

Podobną opinię wypowiada emerytowany generał karabinierów Fernando Cordero: – Ostatnie wydarzenia cofają nas o dwadzieścia pięć lat.

Ze względu na zły stan zdrowia Pinochet został zwolniony z aresztu domowego w Londynie i 3 marca 2000 roku wrócił do Chile.

Chile: lekcja historii. Trzydzieści lat później (1)

(Z Santiago)

– Chile mo-je, Chile two-je, Chile skurwio-ne, Chile zdradzo-ne, Chile wal-czy, Chile mil-czy, Chile sprzeda-ne, Chile kocha-ne… – młody chłopak wykrzykuje w rytm raperskich rytmów swój protest-song.

Jestem na Stadionie Narodowym w Santiago de Chile. Trzydzieści lat wcześniej w tym samym miejscu chilijscy żołnierze na rozkaz generała Pinocheta urządzili politycznym przeciwnikom krwawą łaźnię.

W słowach młodego rapera jest wściekłość i gniew. Słucha go kilkadziesiąt tysięcy ludzi, którzy w przerwach krzyczą, że trzeba osądzić tyrana i mordercę. Jest pochmurny, zimny wieczór. Mży i zacina. Ale gdy nagle inny wykonawca intonuje słynną tutaj pieśń, której słowa mówią o prawie do życia w pokoju, wydaje się, że na chwilę wyszło słońce. Tę pieśń napisał Victor Jara, którego żołdacy dyktatora zamordowali tu, na stadionie. A zanim zabili, połamali ręce i miażdżyli kolbami długie, delikatne palce gitarzysty. Jara był dla socjalistycznej rewolucji w Chile tym, kim dla rewolucji „Solidarności” w Polsce był Jacek Kaczmarski. „Świec tysiące palili mu, znad głów podnosił się dym…”. Stadion zapłonął świecami, wzniesionymi do góry zapalniczkami, kolorowymi ogniami. Zakołysał się, ryknął chilijskie *Mury,* nad głowami uniósł się dym.

Jest ciemno, ale dzięki świecom widać, że ludzie mają błyszczące, wilgotne oczy. Za chwilę zacznie się prawdziwy teatr światła, cienia i dźwięku. Dramat pamięci. Prawdziwa noc duchów.

Jako pierwszy przybywa Salvador Allende. Przemawia. Kto mógł przypuszczać, że jeszcze kiedyś będzie można posłuchać na żywo przemówienia Allende; a teraz tu, niespodziewanie, były prezydent Chile zjawia się i przemawia jak trzy dekady wcześniej. Mówi o demokracji, prawach ludu, suwerenności kraju. Na gigantycznym telebimie ukazują się jego fotografie, a sekwencję zdjęciową kończy rysunek przedstawiający grube, staromodne okulary Allende i hasło: „Marzenie nie umiera”.

– *Compañero* Salvador Allende! – wzywa mistrz ceremonii.

– Obecny! – odpowiada kilkadziesiąt tysięcy głosów.

Na stadion przybyli wszyscy od dawna nieobecni.

A więc, po pierwsze, Allende. (Popełnił samobójstwo w zbombardowanym przez lotnictwo na rozkaz Pinocheta pałacu La Moneda).

Przybył Víctor Jara, który znów śpiewa songi o rewolucji, nadziei, o dziewczynach Amandzie i Angeli. (Zamordowany na stadionie).

Przybył chilijski noblista, poeta Pablo Neruda i czytał wiersze. (Zmarł wkrótce po zamachu stanu).

Zjawili się generałowie René Schneider i Carlos Prats. (Pierwszy zginął w zamachu zorganizowanym przez CIA, drugiego zamordowała w Buenos Aires tajna policja Pinocheta – DINA).

Przyjechał nawet Orlando Letelier z Waszyngtonu. (Szef dyplomacji w rządzie Allende, zginął w zamachu tajnej policji Pinocheta w stolicy Stanów Zjednoczonych).

I wielu, wielu innych. Na pewno gdzieś w tym tłumie jest Andres Galdamez, „zniknięty” w czasach dyktatury ojciec Maria, znajomego Chilijczyka z Warszawy. I Alfonso Chanfreau, przyjaciel Maria, który „zniknął” w tym samym czasie…

Kobiety wychodzą na scenę ze zdjęciami mężów, synów, córek, sióstr, braci, przyjaciół i odczytują ich nazwiska. Po każdym nazwisku ludzie odpowiadają: „Obecny! Teraz i na zawsze!”.

To naprawdę noc duchów. Płoną świece. Znad głów podnosi się dym.

Na stadion zaprowadziła mnie Natalia, ładna czarnowłosa studentka nauk politycznych z Paryża. Po zamachu stanu jej rodzice musieli uciekać z Chile. Natalia urodziła się w Caracas i tam spędziła większą część życia. Trzydzieści lat po przewrocie postanowiła zrozumieć przeszłość, ożywić ją, dokopać się

swojej prawdy o czasach, które zmusiły rodziców do wygnania. Przyjechała do Santiago z małą cyfrową kamerą, żeby nagrywać sceny z obchodów trzydziestej rocznicy zamachu stanu i opowieści ofiar dyktatury.

Natalia opowiada o filmie dokumentalnym, który pokazano w telewizji francuskiej, o tym, jak rząd Francji współpracował z juntą Pinocheta. Na przykład: chilijski uchodźca polityczny, który mieszkał we Francji, jedzie w podróż do Argentyny (jeszcze zanim wojskowi wzięli tam władzę za przykładem chilijskich generałów). Policja francuska informuje chilijskie tajne służby, te przechwytują politycznego wroga w Buenos. Człowiek znika lub zostaje porwany i przewieziony do Chile. Tam znika na zawsze.

– A co w Polsce ludzie wiedzą o Chile?

– Mamy trochę miłośników generała…

_???

Próbowałem opowiedzieć Natalii, skąd to się wzięło, dlaczego. Ale od razu czułem, że to tak, jak gdyby Natalia chciała mi wytłumaczyć, dlaczego ktoś w jej kraju uważa, że Bierut, albo Gomułka byli OK.

(Polski spór o Pinocheta – 1)

Spod sterty propagandowych klisz trudno wygrzebać prawdziwe Chile i żywych ludzi – z ich dramatami, pragnieniami, dylematami. Generał Pinochet ma w Polsce nieśmiałych krytyków i żarliwych wyznawców. Pierwsi widzą w nim grabarza nadziei na sprawiedliwszy świat; drudzy – „obrońcę chrześcijańskiej cywilizacji przed czerwonym barbarzyństwem”; jeszcze inni – twórcę „niewidzialnej ręki” chilijskiego rynku. Pierwsi mieli głos raczej w epoce PRL-u, kiedy to pokojowa, socjalistyczna rewolucja Salvadora Allende miała dobrą prasę, a o Pinochecie nie pisano inaczej, jak „faszysta”. Drudzy i trzeci doszli do głosu po roku osiemdziesiątym dziewiątym, w okresie demokratycznej transformacji. Na podstawie głoszonych w Polsce opinii można zrekonstruować trzy wersje zamachu stanu Pinocheta i jego dyktatury.

Propagandowa wersja PRL-owska wyglądała mniej więcej tak (kompiluję z różnych tekstów i wypowiedzi):

We wrześniu 1973 generał Pinochet zamordował rewolucję socjalistyczną i nadzieje chilijskich „mas ludowych”. „Zamach ten ukazał metody działania sił prawicy społecznej, które, gdy idzie o ratowanie ich interesu klasowego, nie wahają się przed naruszeniem podstawowych zasad demokracji”. Zamach był

atakiem „sił reakcji na konstytucyjną władzę ludową”; wywołał więc „opór sił lewicy przeciw reakcyjnej juncie”. Dzięki trzem latom rządów prezydenta-marksisty Salvadora Allende Chile „stało się drugim po Kubie państwem Ameryki Łacińskiej, które nie znało takich plag społecznych, jak analfabetyzm czy bezrobocie”. Lekcja Chile uczy, że burżuazję „trzeba zniszczyć jako klasę”.

Wersja antykomunistyczna:

Bywają sytuacje, kiedy „demokratyczny dogmat prowadzi do tragedii”. Do nieuchronnej tragedii prowadziły rządy socjalisty Allende – „drugiego Castro”. W roku 1973 generał Pinochet „zdecydował się na zamach stanu, kiedy nie widział już żadnych szans, by drogą pokojową zapobiec gospodarczej katastrofie i pogrążaniu się Chile w politycznym chaosie, grożącym ustanowieniem marksistowskiej dyktatury na wzór kubański”.

Represje są „stosunkowo lekkie”, „tym, którzy znaleźli się pod kluczem, prócz wolności niczego nie brak: klimat jeden z najlepszych na świecie, jedzenia w bród, traktowanie jak najbardziej ludzkie”.

Ofiary? „Zdecydowane, płynnie przechodzące w brutalność, postępowanie wojska i policji opisywano [w propagandzie PRL] jako bestialstwo. Przypadki tortur przedstawiano jako *dzień powszedni* Chile”. Ale „pozostaje faktem, że ofiary były. To, że statystyki zafałszowano, nie rozwiewa wcale rozterek moralnych”. Mimo wszystko Pinochet „uratował swój kraj od komunizmu, umożliwił odbudowę gospodarki i pokojowo oddał władzę”.

Wersja trzecia – nazwijmy ją – konserwatywno-liberalna:

Wolność polityczna jest ostatnią, której ludzie potrzebują. Bardziej liczy się wolność gospodarcza. „Zdarza się, że niedemokratyczne siły służą wolności. Dzisiaj Hiszpanie inaczej oceniają generała Franco. I mają chyba rację, że dyktatura Franco przyniosła mniej nieszczęść niż dyktatura komunistów, która nastąpiłaby, gdyby nie Franco. Albo Chile. Dziś bardziej wstrzemięźliwie ocenia się rolę Pinocheta w Chile, niezależnie od zbrodni, jakie zostały tam popełnione”. Jeśli coś przeszkadza w osiągnięciu dobrobytu materialnego – choćby to była demokracja – winno zostać usunięte. Bo „demokracja tyle jest warta, ile służy zabezpieczeniu wolności”. Tę ostatnią, szczególnie wolność gospodarowania, generał Pinochet musiał zabezpieczyć siłą.

Polski spór o Pinocheta pozostanie chyba na zawsze sporem nie o samo Chile, a o polską historię, mentalność, kategorie wartościowania. My również mamy

doświadczenia z dyktaturą, również mieliśmy Wielkiego Brata, również mamy mnóstwo rocznic w kalendarzu i grobów, na których palimy świeczki. Ale żeby choć co do faktów chilijskiej historii można było się zgodzić. Żeby choć język odkłamać. Żeby zrozumieć coś z historii innego kraju…

Jak trudno w Polsce dyskutować o Pinochecie, uświadomiła mi wypowiedź profesora Michała Głowińskiego. Prawda o Chile ostatnich trzech dekad została załgana na poziomie języka. W latach siedemdziesiątych propaganda PRL przeciwstawiała „siły postępu" i „władzę ludową" Allende – „reakcyjnej juncie" i „siłom prawicy społecznej" generała Pinocheta. W czasach PRL „siłami reakcji" nazywano Armię Krajową i Kościół katolicki, a „siłami postępu" – PZPR, rządzącą partię dyktatury. W takim kontekście politycznym i językowym sympatia dla Pinocheta jako pogromcy „czerwonych" stawała się dla wielu Polaków czymś naturalnym, instynktownym. Nie dowierzano oficjalnym wiadomościom o zbrodniach i torturach reżimu Pinocheta na takiej samej zasadzie, jak nie wierzono w to, że AK to „pies łańcuchowy amerykańskiego imperializmu".

Komunizm poplątał nasze myśli i języki. W czasach wolności wielu z nas wpadło w pułapkę totalnego kwestionowania wszystkiego, co oficjalnie mówiono za czasów komunistycznej dyktatury i cenzury. Skoro wówczas uczono w szkole, że nacjonalizm jest zły, to znaczy, że jest dobry. Skoro w PRL-owskich podręcznikach i gazetach potępiano kolonializm, to znaczy, że należy go teraz zrehabilitować, bo przecież kolonizatorzy nieśli kolorowej ciemnocie wyższą cywilizację. A ofiary? Cóż, „nie da się zrobić omleta bez stłuczenia jajek". Skoro za czasów komunizmu antykomunistycznych tyranów opisywano jako czarne charaktery, to tytułem totalnego odwrócenia znaków zaczęto uświęcać tortury, na przykład reżimu Pinocheta, bo poddawano nim ludzi w rzekomo dobrej sprawie – „obrony chrześcijańskiej cywilizacji", w imię obrony przed „drugą Kubą".

Nie mamy języka, żeby po polsku opisać chilijski dramat. Wypowiadasz słowo i zaczyna gadać schemat. Mówisz o zbrodniach i torturach reżimu Pinocheta – stajesz się obrońcą komunizmu. Mówisz o słabościach rządu Allende – stajesz się adwokatem krwawych represji.

Jak odkłamać fakty i język? Czy jest w tej sprawie ktoś neutralny, komu mogliby uwierzyć wszyscy uczestnicy polskiego sporu – pełnego ideologicznych wytrychów, niewrażliwości, a może przede wszystkim niewiedzy?

Długo przed tym, jak po raz pierwszy pojechałem do Chile, próbowałem dogrzebać się prawdy o dyktaturze w tym kraju – w bibliotece. Wśród lektur były między innymi artykuły z prasy amerykańskiej, która nie stosowała taryfy ulgowej w ocenie pokojowej rewolucji Allende; przeciwnie – bywała tubą propagandową, która odgrywała partyturę czasów zimnej wojny. We wrześniu 1973 roku wieści o zamachu stanu Pinocheta amerykański „Newsweek" tytułował: „Rzeźnia w Santiago". Francuski „Le Monde" przytaczał relację świadka: „W czasie przesłuchań stosowano nieludzkie tortury, o których dziennikarze nie mieli pojęcia: prąd elektryczny na genitalia, bicie mokrymi workami, zanurzanie w beczkach z ekskrementami, wyrywanie paznokci i palenie włosów. Tym, którzy brali udział w akcjach oporu, ucinano palce, ramiona, dłonie, uszy, genitalia, wyłupywano oczy".

Biblioteki są pełne takich relacji. Jest „Czarna księga Chile", poświęcona okrucieństwom, jakich dopuszczali się puczyści. Jest film Polańskiego *Śmierć i dziewczyna* według sztuki Ariela Dorfmana. Jest inny film – *Zaginiony* Costy-Gavrasa – o „zniknięciu" amerykańskiego dziennikarza, Charlesa Hormana. W świetle faktów znanych ludziom piszącym o Chile nazwanie działania wojska „zdecydowanym, płynnie przechodzącym w brutalność" jest zakłamaniem na poziomie języka, zarzuceniem woala słów na prawdę o bestialstwie.

Liczbę zamordowanych przez reżim Pinocheta szacuje się na trzycztery tysiące. Liczbę torturowanych liczy się w setkach tysięcy.

Już słyszę obrońcę Pinocheta: to przesada, lewicowe gazety, lewicowi pisarze, lewicowi reżyserzy, a w ogóle, to w Chile była wojna domowa, lewicowi terroryści, gdzie drwa rąbią itd…

Zajrzałem jeszcze raz do amerykańskiej prasy z 1973 roku. „New York Times" (który w propagandzie PRL-owskiej uchodził za narzędzie „amerykańskiego imperializmu") pisał: „…nie był to jeden z wielu puczów wojskowych, tak charakterystycznych dla Ameryki Łacińskiej", lecz „bezlitosny ruch, który zdruzgotał instytucje narodowe z siłą znacznie bardziej niszczącą niż kiedykolwiek we współczesnej historii Ameryki Łacińskiej".

Jeśli „New York Times" to dla kogoś „lewica", niechaj zajrzy do „prawicowego" „Le Figaro". Kilka dni po przewrocie francuski dziennik donosił: „Nie można jeszcze dokładnie zorientować się w liczbie egzekucji dokonanych w Santiago i całym kraju… Oceny obserwatorów można jedynie przeciwstawić

śmiechu wartym oficjalnym komunikatom [junty Pinocheta]…”.

(Z Santiago)

Salvador Allende. Najważniejsza figura obchodów trzydziestej rocznicy zamachu stanu. Pojawił się na plakatach, koszulkach, na ulicznych *graffiti* w Santiago, Valparaiso, w całym kraju. Był numerem jeden nocy duchów na stadionie, bohaterem konferencji i spotkań, na które zjechali ludzie jego epoki z różnych zakątków świata.

Po trzydziestu latach uznano go oficjalnie za bohatera swoich czasów. Jedenastego września, w rocznicę upadku rządu ludowego, Ricardo Lagos, pierwszy od czasów Allende prezydent socjalista, wszedł z pompą do pałacu prezydenckiego La Moneda – tą samą bramą, którą niegdyś codziennie wchodził do biura Allende. Przez trzy dziesięciolecia brama była zaryglowana. Przed pałacem odsłonięto pomnik nieżyjącego prezydenta. W pałacu – salę ku jego pamięci z wielkim portretem.

– Nie czas na analizy, czas na zadumę – prezydent Lagos dodaje szczyptę zrozumiałego w takich chwilach patosu. Obecna jest żona Allende, pani Hortensja Bussi; jest córka – Isabel; są ostatni żyjący ministrowie rządu Allende, przyjaciele, którzy byli z nim do ostatnich chwil w bombardowanym przez zamachowców pałacu prezydenckim. Przyjechał Daniel Ortega, legendarny przywódca nikaraguańskich sandinistów. Cześć Allende oddali nawet przywódcy Chrześcijańskiej Demokracji, którzy – jak się okazało po latach – w siedemdziesiątym trzecim opowiadali się za przewrotem, naiwnie wierząc, że wojsko zbije rewolucyjną gorączkę i zwróci władzę cywilom. Czyli im.

Zanim rozpocznie się wielki wiec ku czci Allende, już bez udziału prezydenta, bez państwowej pieczęci, przed pałacem La Moneda oglądam wystawę fotografii z epoki. Allende przemawia do chłopów, objaśnia zasady reformy rolnej. Allende przemawia do robotników. Allende zamyślony. Allende zmęczony. Allende wizytuje garnizon wojskowy. Kolejki po żywność w schyłku rządów Allende. Starcia bojówek – z policją i pomiędzy sobą.

Inna część wystawy: Pinochet i jego junta ogłaszają powołanie rządu wojskowego. Kobiety ze zdjęciami zaginionych i napisami: „Gdzie oni są?”.

Wreszcie zaczyna się wiec. W centrum „ołtarz” z portretem Allende w stylu murali legendarnego meksykańskiego malarza Diega Rivery. Las czerwonych sztandarów z sierpami i młotami, Ernestem Che Guevarą, wizerunkiem Allende

i narodowymi flagami Chile. Śpiewa Silvio Rodríguez, kubański bard. (Śpiewa pięknie, ale czy ktoś tu wie, że na Kubie nazywają go „psem Fidela”?).

Okrzyki ku czci bohatera. „Allende! Allende!…”. Że żyje i będzie w pamięci na zawsze. Że władzę trzeba oddać ludowi. Okrzyki o władzy ludu wznoszą i biedota, i elegancko ubrane kobiety, i szykownie odziani mężczyźni w drogich garniturach. Garnitur od Bossa, pięść w górze i okrzyki *(Crear, crear, poder popular!,* czyli żeby stworzyć władzę ludową), które przerywają co chwilę melodyjki z telefonów komórkowych.

Wokół wielotysięcznego zgromadzenia maszerują radykalne grupy młodzieżowe, które krzyczą coś na chwałę przemocy rewolucyjnej. Plakat ze zdjęciem Pinocheta służy jako spluwaczka.

Obok pomnika Allende ktoś zatknął sztandar Ruchu Lewicy Rewolucyjnej (MIR, *Movimiento de Izquierda Revolucionaria).* MIR wściekle atakował Salvadora Allende „z lewa”, za zbyt układną politykę wobec wielkiego kapitału i burżuazji. To MIR-owcy przyczynili się do rozpalenia politycznych namiętności u kresu rządów Allende, to MIR-owcy organizowali nielegalne zajmowanie fabryk przez robotników i ziemi przez bezrolnych chłopów. Bili się z policją i bojówkami skrajnej prawicy. To między innymi oni wbili gwóźdź do trumny pokojowej rewolucji w Chile. Ale kto o tym pamięta po trzydziestu latach? Są tacy, co pamiętają, ale po co czepiać się detali. Dlatego trzydzieści lat po śmierci Allende sztandar MIR-u mógł powiewać obok statuy prezydenta socjalisty.

Pokojowa rewolucja w Chile to mit, a w micie nie ma miejsca na niuanse, szczegóły, z mitem się nie dyskutuje. Bo gdyby dyskutować, trzeba by spytać: Co tu robią sowieckie symbole? Jak je rozumiecie? Co to takiego „władza ludowa”? Co sądzicie o naszej lekcji socjalizmu w Europie Wschodniej?

Wiedziałem, że z mitem się nie dyskutuje, a mimo to próbowałem. Poszedłem na spotkanie, którego bohaterami byli: minister z rządu Allende, lider MIR-u z czasów Allende i ówczesny działacz młodzieżówki komunistycznej. Przemówili po kolei i mówili mniej więcej to samo. Nixon, Kissinger, CIA, strajkujący kierowcy ciężarówek, burżuazja, faszyści, sabotażyści, pinochetyści – wszyscy byli winni upadku rządu Allende. Lewica była nieskazitelna. To wszystko prawda: Allende padł pod naporem wściekłego ataku rządu w Waszyngtonie i jego chilijskich aliantów, ale po co zaraz budować mu pomnik z lukru? Po co

czynić nieskazitelnym, bezgrzesznym?

Dopiero głosy z sali – ludzi, którym pamięć Allende była równie bliska, jak bohaterom wieczoru – że taka dyskusja to brak powagi, że nie da się zrozumieć historii, osładzając ją kremem, pomadując wstydliwie bruzdy, skłoniły dyskutantów do uznania półgębkiem błędów.

Rozmawiałem później z ministrem rządu Allende, Humberto Martone, który powiedział, że owszem, popełnialiśmy błędy, ale grzechy śmiertelne popełnił w Chile ktoś inny. To prawda, ale porozmawiajmy o błędach… Nie dało się.

Kilka dni później spotkałem szanowanego lewicowego mędrca, Tomasa Mouliana. Prowadził tamtego dnia głodówkę w geście solidarności z rodzinami „znikniętych” w czasach dyktatury. Tomas głosuje na komunistów, ale do nich nie należy. Przyznaje, że wielu ludzi chilijskiej lewicy nie przemyślało na serio doświadczeń epoki Allende, ani rewolucji kubańskiej, ani upadku ZSRR. Nie da się bronić represji i egzekucji reżimu Castro, a oni zachowują się tak, jak gdyby wszystko było w porządku.

Nie, z mitami nie da się dyskutować, szkoda czasu. Lepiej próbować je rozumieć, przyglądać się im, rozkładać na czynniki pierwsze. Bo przecież ci ludzie, którzy z taką nostalgią wspominają czasy rewolucji Allende, czynią to z jakiegoś powodu. Coś wtedy musiało się stać, coś ważnego, skoro po tylu latach tylu ludzi powtarza jednym głosem, że „marzenie nie umiera”.

(Allende)

Chile wymyka się stereotypowym wyobrażeniom o Ameryce Łacińskiej. Nie było jednym z tych krajów, które, jak sąsiednią Argentynę, cyklicznie pustoszyła partia polityczna zwana wojskiem. Chilijska armia trzymała się z dala od polityki. Owa odmienność miała źródło w wydarzeniu, które było dla kontynentu właśnie typowe. W 1891 roku, w czasie dramatycznego konfliktu wewnętrznego, wojska użyto do zmasakrowania sześciu tysięcy cywilów. Pamięć o tamtym wydarzeniu sprawiła, że przez długie dziesięciolecia armia chilijska trzymała się wobec polityki na dystans.

W XIX wieku Chile było pierwszym krajem na kontynencie, który ustanowił demokratyczne rządy. Tak, była to demokracja dla wybranych, demokracja elit. To elity miały bogactwa i swobody obywatelskie, to elity chronione były przez sądy i policję, to dla elit działał rynek. Ale na tle regionu, na tle swojej epoki, osiągnięcia chilijskiej demokracji były czymś wyjątkowym. W Chile znajdowali

schronienie polityczni zbiegowie prześladowani przez *caudillos* Argentyny czy Meksyku.

W pierwszej połowie XX wieku o prawa upomnieli się najbiedniejsi. Kryzys lat trzydziestych, masowe strajki, kształtowanie się nowoczesnej sceny politycznej – wszystko to przyspieszyło zdobycze socjalne chilijskiej biedoty. Front Ludowy na czele z prezydentem Aguirre Cerdą wprowadził ubezpieczenia społeczne, powszechne szkolnictwo, płacę minimalną. Późniejsze anulowanie tych reform przez skrajnie konserwatywnego prezydenta było ostatnią próbą zepchnięcia mas ze sceny dziejów. Do społecznych reform lat czterdziestych nawiązywali rządzący dwadzieścia lat później chrześcijańscy demokraci. Zwycięstwo wyborcze socjalisty Salvadora Allende we wrześniu siedemdziesiątego roku było logiczną konsekwencją historii zapoczątkowanej kilka dekad wcześniej.

Miał sześćdziesiąt dwa lata, gdy obejmował urząd prezydenta. Doktor Allende był w chilijskiej polityce obecny od końca lat dwudziestych. W młodości w milicji socjalistycznej walczącej z rodzimymi formacjami faszystowskimi, potem deputowany do parlamentu, senator, minister zdrowia, guru chilijskich socjalistów. Był rzecznikiem biedoty wykluczonej z historii, zapowiadał głębokie zmiany w lewicowym duchu. Obiecywał wino i *empanadas* (paszteciki). Mawiał, że Chile potrzebuje rewolucji w kolorze nie krwi, lecz wina.

W podręcznikach historii, opasłych rozprawach można odnaleźć mnóstwo stwierdzeń o reformach społecznych prezydenta Allende, pokojowej rewolucji, awansie biedoty, lecz zazwyczaj nie ma w nich nic o nastrojach chwil, aurze, zapachu. Nie ma w nich nic o tym, że w dniu zwycięstwa Allende ulice Santiago wypełnili „radośnie nastrojeni ludzie, którzy skakali, krzyczeli, ściskali się i śmiali". Że zapalili pochodnie, a potem „bezładne wrzaski i zabawa uliczna zamieniły się w karnawałowy, acz zdyscyplinowany korowód, który zaczął maszerować ku wytwornym alejom dzielnic burżuazyjnych". Taka prawda o wydarzeniach historycznych tkwi tylko w ludzkich wspomnieniach, literackich obrazach. (Przytoczony tu pochodzi z „Domu duchów" Isabel Allende, bratanicy prezydenta).

„Było to niezwykłe widowisko: ludzie prości, mężczyźni w butach roboczych, kobiety z dziećmi na rękach, studenci w koszulach bez marynarek spacerowali spokojnie po luksusowej, zastrzeżonej strefie, do której bardzo rzadko zapuszczali się w przeszłości i gdzie uważano ich za obcych". Ów wiwatujący na

cześć SWOJEGO prezydenta tłum „nie wyłamał żadnych drzwi, ani nie podeptał doskonale przystrzyżonych trawników. Przeszedł radośnie, nie tykając luksusowych samochodów zaparkowanych na ulicy, obszedł place i trawniki, w których nie postała dotąd jego noga, zatrzymał się zachwycony przed wystawami sklepowymi, lśniącymi jak na Boże Narodzenie i oferującymi przedmioty, o których nie wiedział, do czego służą, i pogodnie ruszył w dalszą drogę”.

Nie wszyscy świętowali tamtego dnia. Zwycięstwo Allende (miał za sobą najwięcej głosów – trzydzieści sześć procent, ale nie miał głosów większości) od początku budzi niechęć, niepokój, sprzeciw zachowawczych odłamów społeczeństwa. Przeciwnicy próbują fortelu: przyspieszone wybory. Dlaczego? Bo Allende nie ma poparcia większości Chilijczyków. Po raz pierwszy zaczyna się mówić o zamachu stanu…

Tymczasem dowódca sił zbrojnych generał René Schneider zapewnia o poszanowaniu konstytucji i lojalności wobec legalnie wybranego prezydenta. Dwudziestego drugiego października 1970 Schneider ginie w zamachu. Następca Schneidera generał Carlos Prats również respektuje demokratyczne zwycięstwo prezydenta socjalisty. W listopadzie Allende przeprowadza się do pałacu prezydenckiego La Moneda.

Trzyletnie rządy Allende to czas radykalnych przemian społecznych: wywłaszczeń wielkich majątków ziemskich (najpierw z odszkodowaniami, później również bez nich), nacjonalizacji dużych przedsiębiorstw – przede wszystkim złóż i kopalni miedzi, węgla, saletry; spontanicznego, często bezprawnego przejmowania przez robotników fabryk. To czas społecznego awansu chilijskiej biedoty i gwałtownej konfrontacji pokojowej rewolucji z finansowymi elitami społeczeństwa i polityczną prawicą – właścicielami latyfundiów, wielkich przedsiębiorstw, z czasem również z klasą średnią, drobnymi właścicielami, przedsiębiorcami, rzemieślnikami, których skrajne odłamy chilijskiej rewolucji chciały pozbawić własności. To czas sabotażu i strajków przeciwko socjalistycznemu rządowi, niekiedy organizowanych za pieniądze amerykańskich służb wywiadowczych; epoka spisków, zamachów i starć politycznych bojówek. To wreszcie czas konfliktu prezydenta socjalisty z radykalną lewicą rewolucyjną, dla której był zaledwie centrolewicowym reformistą i oportunistą.

Przez trzy lata swoich rządów Allende stał wobec podwójnego wyzwania. Z jednej strony, polityczna prawica, jak również nie tak bardzo od niego odległa chadecja, domagały się powstrzymania rewolucyjnych zmian. Na przykład: parlament, w którym Allende nie miał poparcia większości, zażądał w pewnym momencie wstrzymania nacjonalizacji i wywłaszczeń lub każdorazowego uzyskania zgody deputowanych na taką operację. Allende nie godził się na ograniczenie swojej władzy, powstał konstytucyjny pat. Z drugiej strony, radykałowie spod znaku Ruchu Lewicy Rewolucyjnej (MIR) i znaczna część Partii Socjalistycznej oskarżali Allende o nadmierną ostrożność, brak konsekwencji, a nawet zdradę rewolucji. Radykałowie chcieli całkowitego zniesienia własności prywatnej – Allende chciał zachować niewielką część gospodarki w rękach drobnych właścicieli i przedsiębiorców (zanim objął rządy, i tak duża część produkcji – czterdzieści procent! – znajdowała się pod kontrolą państwa). Radykałowie żądali całkowitej kolektywizacji rolnictwa – Allende, tworząc zalążki spółdzielni, ofiarował też chłopom część ziemi na własność. Nie zważając na politykę małych kroków uprawianą przez Allende, próbując przyspieszyć bieg dziejów, radykałowie inspirowali bezprawne przejmowanie przez robotników fabryk (tworzyli „kordony przemysłowe”, chronione przez zbrojne milicje), zajmowanie przez bezrolnych chłopów ziemi, wzywali żołnierzy do buntu w wojsku i zastąpienia go nową, ludową armią.

Pierwszy rok rządów Allende był czasem prosperity, „złotym rokiem”. Produkcja rosła imponująco (ponad osiem procent!), inflacja i bezrobocie malały. Zgodnie z programem swojej rewolucji, Allende zwiększał wydatki na szkolnictwo, opiekę zdrowotną, budownictwo mieszkaniowe. Szybko padł pod ciężarem własnych planów, marzeń, obietnic – i to na różnych frontach. Zamroził ceny (co obiecywał), a równocześnie podwyższał płace i zwiększał zatrudnienie w znacjonalizowanych firmach (co również przyrzekał). Miejsca kompetentnych specjalistów – na przykład w sektorze miedziowym, „kole zamachowym” chilijskiej gospodarki – zaczęli zajmować pracownicy z ludu, często z klucza politycznego, bez doświadczenia. Zwiększenie kosztów zatrudnienia, niekiedy niekompetencja, sabotaż ze strony rządu USA (chociażby zakaz sprzedaży do Chile części zamiennych do sprzętu technicznego) plus pech, czyli spadek cen miedzi na rynkach światowych – wszystko to razem doprowadziło do dramatycznego załamania produkcji. W innych sektorach

gospodarki właściciele prywatnych przedsiębiorstw, którzy spodziewali się upaństwowienia firm, przestawali inwestować. Wieś, zdezorganizowana chaotyczną reformą i walkami o ziemię, nie była w stanie produkować tyle żywności, ile produkowała za czasów społecznie niesprawiedliwego latyfundium. Fundamenty kryzysu zostały położone.

Później wszystko zaczęło się przewracać, jak kostki domina: spadała produkcja, więc załamał się eksport; Allende był zmuszony do coraz większych zakupów za granicą, a nie miał na to środków, bo spadły ceny miedzi; musiał zatem ruszyć rezerwy dewizowe; a równocześnie podwyższał płace (chcąc utrzymać poziom życia najbiedniejszych), co z kolei uruchomiło lawinę inflacyjną…

Po trzech latach, u kresu pokojowej rewolucji rozkwitał czarny rynek, panowała niewyobrażalna drożyzna, brakowało wszystkiego. Miesiąc przed zamachem stanu korespondenci prasy zagranicznej donosili, że w Santiago de Chile trudno upolować chleb. Uważano, że kraj był o krok od wojny domowej.

Mimo kryzysu, niedostatku, chaosu, kilka miesięcy przed wkroczeniem Pinocheta na scenę historii partie popierające Salvadora Allende uzyskały w wyborach do parlamentu większe poparcie niż on sam trzy lata wcześniej. „To gówniany rząd, ale to mój rząd” – mówili zwolennicy Allende. Słowa te są kluczem do zrozumienia chilijskiej rewolucji. Milionom ludzi Allende ofiarował godność; coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyli. Ludzie ci poczuli, że są nareszcie w swoim kraju, u siebie.

Nie ma dwóch zdań: rządy Allende rozdarły Chile na pół. Linie frontów podzieliły rodziny, przyjaciół, sale wykładowe, zakłady pracy. Żeby poczuć atmosferę czasu, trzeba znów sięgnąć do literatury (opis nastrojów przed puczem według Isabel Allende):

– Chile wyglądało jak kraj w stanie wojny – wzajemna nienawiść, strajki, sabotaże, akty terroryzmu, o które oskarżali się nawzajem ekstremiści z prawa i z lewa.

– Rewolucjoniści przejmowali tereny prywatne i zakładali na nich osiedla; przejmowali fabryki, żeby je wkrótce znacjonalizować.

– W odpowiedzi opozycja siała panikę, rozpuszczała plotki, pod wpływem których ludzie wycofywali pieniądze z banków, palili zbiory i zabijali bydło. Pozbawiali rynek niezbędnych artykułów: od opon samochodowych po

mikroskopijne części do nowoczesnej elektroniki.

– Szpitale nie mogły funkcjonować bez igieł i waty, fabryki bez części zamiennych. Wystarczyło wyeliminować jedno ogniwo, a stawała cała produkcja, w ten sposób tysiące robotników znalazło się bez pracy.

– Robotnicy zaczęli więc wyrzucać szefów, rozstawiali namioty przy bramach i czuwali w dzień i w nocy, żeby właściciele nie zrujnowali w odwecie swoich fabryk.

Do wściekłości i rozpaczy doprowadzały ludzi pustki w sklepach i drożyzna na czarnym rynku. O świcie ustawiały się kolejki po kurczaki, pieluchy i papier toaletowy. Pasta do butów, igły i kawa stały się nagle artykułami luksusowymi. Pojawił się zawód kolejkowego „stacza". Ludzie nie mający dzieci bili się o odżywki dla niemowląt, niepalący – o papierosy.

To obraz rozpadu, rozkładu, chaosu. Jednak tezy, że Allende mógł ustanowić dyktaturę w stylu sowieckim czy kubańskim, nie da się utrzymać. Pół roku przed zamachem stanu Jedność Ludowa – koalicja partii popierających rząd Allende – zdobyła w wyborach czterdzieści cztery procent głosów wobec pięćdziesięciu pięciu procent głosów zjednoczonej opozycji. Gdyby nawet Allende chciał, nie byłby w stanie przegłosować wprowadzenia „tyranii większości", „dyktatury proletariatu", „drugiej Kuby". Nastroje w chilijskim wojsku były coraz bardziej niechętne rządowi, w czerwcu 1973 roku podjęto nieudaną próbę zamachu stanu przeciwko legalnemu prezydentowi… Kto miałby ustanawiać dyktaturę w jego imieniu?

W świetle dzisiejszej wiedzy o historii Chile nie da się również dowieść, że Allende miał zamiar ustanowienia marksistowskiej dyktatury. Zmagał się z opozycją z lewa i z prawa, nie czyniąc rozstrzygającego kroku w żadną stronę. Próbował powstrzymywać „swoich" radykałów – bez powodzenia. Paktował z umiarkowaną, socjalizującą chadecją – również poniósł porażkę. Z tradycyjną konserwą społeczną nie miał o czym rozmawiać. Kraj rozdzierały tymczasem walki bojówek skrajnej prawicy i skrajnej lewicy, paraliżowały strajki i sabotaże, zakrólował chaos.

Arturo Valenzuela, chilijski politolog z Waszyngtonu, który w dniach trzydziestej rocznicy zamachu stanu udzielił wywiadu dziennikowi „El Mercurio", uważa, że kluczem do upadku Allende i późniejszej tragedii Chile były dwa czynniki. Po pierwsze, podział społeczeństwa na wrogie obozy, czego

źródłem była hierarchiczna, prawdziwie klasowa struktura społeczna (czytaj: głębokie nierówności). Po drugie, zanik politycznego środka w obliczu radykalnych przemian. Skrajne siły prawicy i części chadecji oraz ekstremum Jedności Ludowej dążyły do zwarcia. Pierwsi wierzyli, że gwałtowna konfrontacja cofnie rewolucyjne zmiany. Drudzy – że je przyspieszy, nawet jeśli rewolucja chwilowo przegra.

Od chwili wyborów parlamentarnych w marcu 1973 roku pod znakiem zapytania stało dotrwanie prezydenta do końca kadencji, a nie dokonanie przez niego przewrotu.

Allende był rewolucjonistą, który prawie całe życie przepracował w parlamencie. Wierzył w demokrację i w instytucje demokratyczne. Wierzył, że poprzez te instytucje dokona w Chile rewolucyjnych zmian. Po jego śmierci komentatorzy zagraniczni pytali: Czy marksizm i demokracja mogą współistnieć? Współistniały – w osobie Salvadora Allende. Bo Allende był i marksistą, i demokratą. W ostateczności chciał rzucić na szalę cały swój autorytet i władzę w powszechnym referendum. Nie zdążył.

Zagrożenie „czerwoną dyktaturą" zostało wymyślone *ex post,* żeby uprawomocnić zaprowadzenie tyranii w mundurze. W poruszającym eseju o Chile Carlos Fuentes napisał: „Nie da się obronić żadnego z pretekstów do usprawiedliwienia okrutnej dyktatury generała Pinocheta. Pinochet nie zapobiegł marksistowskiej dyktaturze. Gdyby rząd Allende pogwałcił tradycję wolności i pluralizmu, sami Chilijczycy odmówiliby mu poparcia. Człowiekiem, który tę tradycję podeptał, był Pinochet, nie Allende".

Po samobójstwie Salvadora Allende stworzono mitologię, wedle której miał zginąć w walce, broniąc do końca pałacu La Moneda. W rewolucyjnej mitologii dostaje postrzał w brzuch, potem w serce, pada, a żołdacy, którzy wbiegli do pałacu, oddają po kolei strzały do umierającego prezydenta. Ostatni miażdży kolbą karabinu twarz nieżyjącego już Allende.

Mitologię stworzyli Kubańczycy, którzy wierząc w apokryficzne, oparte na relacji z drugiej ręki wypowiedzi Lenina, ustanowili zasadę: rewolucjonista nie popełnia samobójstwa. Samobójca po śmierci nie był uznawany za rewolucjonistę – rewolucjonista walczy, oddaje życie za sprawę, nie poddaje się. Członek Komunistycznej Partii Kuby nie miał prawa być samobójcą. Jeśli nim był, w pośmiertnym życiorysie nie pisano już o przynależności do partii.

Tak było z Beatriz Allende, córką chilijskiego prezydenta, członkinią kubańskiej partii. Beatriz powtórzyła gest ojca, zastrzeliła się tak samo jak Salvador. W jej pośmiertnym biogramie opublikowanym na Kubie znikła informacja, że należała do partii.

Żeby Allende mógł być czczony jako rewolucjonista, ofiara zbuntowanych generałów i jankeskich spiskowców, musiał zginąć z bronią w ręku.

Opowieść jednego wygnańca (1)

Nazywam się Mario Galdámez. Jestem Chilijczykiem. Należę do pokolenia, które w czasach Salvadora Allende wierzyło, że da się zbudować lepsze Chile, lepszy świat. Po zamachu stanu Pinocheta wyjechałem z kraju. Teraz mieszkam w Warszawie. Uczę hiszpańskiego. Mam żonę i szóstkę dzieci.

Jedno z pierwszych wspomnień z dzieciństwa: miałem cztery, może pięć lat, plakat na szybie w autobusie ze zdjęciem ojca. Kandydował na radnego jednej z biednych dzielnic miasta – to była połowa lat pięćdziesiątych. Całe moje dzieciństwo było naznaczone jego działalnością. Był komunistą, na długo znikał z domu, bo partia była nielegalna i musiał się ukrywać. Na radnego kandydował z listy socjalistów, ale władza wykryła, że należy do nielegalnej partii komunistycznej, i ojciec zszedł do podziemia. Do domu przychodziła policja, ciągle czegoś szukali, wypytywali. Pamiętam strach i niepewność: kim jest mój ojciec? Złodziejem? Bandytą?

Mieszkaliśmy w Santiago de Chile. Ciągle się przeprowadzaliśmy, z jednej dzielnicy do drugiej, bez końca. Dopiero po latach ojciec powiedział mi, że dostawał zadania od partii. Mieszkając wśród robotników, ciągle wśród nowych, prowadził agitację, uświadamiał ludzi, organizował partię od dołu. Imał się różnych zajęć, pracował w fabryce, w sklepie. Ale najczęściej był działaczem politycznym. Tylko to kochał, i tylko w tym widział sens. Matkę przyprawiał o rozpacz – ciągle gdzieś znikał, ciągle brakowało pieniędzy…

Warunki życia w tamtym czasie były straszne, mówię o latach pięćdziesiątych i początku sześćdziesiątych. Dom bez podłogi, klepisko, żarówka rzadko się świeciła, a w niektórych dzielnicach prądu nie było w ogóle. Chleb był

reglamentowany, zamiast cukru jedliśmy melasę, piło się kawę robioną z fig.

W pięćdziesiątym ósmym ojciec był w grupie, która organizowała kampanię wyborczą Salvadora Allende. W tej grupie był również Pablo Neruda, wielki poeta, późniejszy noblista, od którego jako dziecko dostałem książkę z wierszami i dedykacją. Allende i mój ojciec spędzali wtedy razem mnóstwo czasu. Po latach ojciec opowiadał mi o niezwykłej wytrzymałości fizycznej przyszłego prezydenta. Jeździli od wsi do wsi, od miasta do miasta, często daleko w górach, gdzie diabeł mówi dobranoc. Allende spędzał tygodnie w niewygodnej podróży. Potrafił zasnąć w każdych warunkach, a po przybyciu na miejsce błyskawicznie dochodził do przytomności i godzinami rozmawiał z ludźmi, przemawiał. Tamte wybory i jeszcze następne Allende przegrał. Jego czas miał nadejść później.

Zdarzało się, że chodziłem z ojcem na demonstracje. Policja chilijska jeździła w tamtym czasie na koniach i my, dzieciaki, turlaliśmy w stronę konnego szpaleru kulki, po których konie nie były w stanie stąpać.

Któregoś dnia matka postawiła ultimatum: albo rodzina – albo rewolucja. Nie chciała znosić dłużej przeprowadzek, niepewności, biedy. Ojciec uległ. Wycofał się z polityki i założył sklepik, potem drugi. Zaczęło się nam powodzić. To były już lata sześćdziesiąte. Chodziłem do niezłej szkoły, miałem buty, co było sporym luksusem – połowa kolegów nie miała, buty kupowało się na kredyt, a ci których nie było stać, robili je w domu ze starych opon i sznurków.

Był to też niezły czas dla mojego kraju. Nowy prezydent, chadek Eduardo Frei, który w wyborach w sześćdziesiątym czwartym roku przytłaczającą większością głosów pokonał Salvadora Allende, zaczął wprowadzać reformy społeczne. Miał poparcie związkowców, ruchu studenckiego. Czuło się, że zaczyna się dziać coś dobrego. Czuło się oddech rewolucji kubańskiej. Dłużej nie można było ludzi lekceważyć…

Ojciec nie podzielał powszechnego entuzjazmu. Doszedł do wniosku, że wybory to tylko gra elit, i że „przyszłość jest tam, w Boliwii”, gdzie Che Guevara organizował ruch partyzancki, który miał rozlać się na cały kontynent. Nie wiem, czy ojciec żartował z tą Boliwią, czy chciał tam jechać naprawdę. Miał trzydzieści pięć lat, roznosiła go energia i był politycznym zwierzęciem, a nie sklepikarzem. Wiem, że w roku sześćdziesiątym piątym był związany z ludźmi, którzy zakładali MIR, najbardziej radykalną organizację rewolucyjną w Chile, ale sam do niej nie należał.

Prezydent Frei, który wygrał wybory imponującą większością, szybko zaczął tracić popularność. Obietnice niespełnione, aspiracje ludzi rozbudzone. Polityka i dialog społeczny przeniosły się na ulice. Codziennością Chile stały się strajki, protesty studenckie, na które policja zaczęła odpowiadać brutalnymi represjami. W starciach policji z demonstrantami zaczęły padać ofiary. Szacuje się, że w okresie rządu Freia zginęło około osiemdziesięciu osób.

W sześćdziesiątym siódmym zginął w Boliwii Che Guevara. To było w październiku, a w listopadzie poszedłem z ojcem na uniwersytet na wieczór ku czci Che. Było tam wielu poetów, artystów, aktorów, polityków. Allende wygłosił płomienne przemówienie. Był wtedy przewodniczącym senatu i całym sercem zaangażował się w ratowanie niedobitków z oddziału Guevary, za co go wściekle atakowano. Wieczór dobiegał końca, staliśmy niedaleko wyjścia i gdy Allende przechodził, nagle rozpoznał ojca. Ciepłe powitanie, co robisz, jak się masz, tyle lat. Odjęło mi mowę. Miałem szesnaście lat i spotkanie z Allende, który był już wtedy legendą, było dla mnie wydarzeniem nadzwyczajnym, nie mieściło mi się głowie. Ojciec przedstawił mnie swojemu dawnemu mentorowi, a mnie stanęły przed oczami wszystkie wspomnienia z dzieciństwa – znikanie ojca z domu, rewizje i ten plakat z autobusu.

W liceum wstąpiłem do młodzieżówki partii komunistycznej – wtedy już legalnej. To był piękny czas. Rewolucja obyczajowa, seksualna, Beatlesi – wszystko to dotarło również do Chile. Rewolucja kubańska zapoczątkowała Wiosnę Ludów Trzeciego Świata, zawołaniem tamtych dni było: *¡Cuba sí, Yanquis no!* – zaczynał się czas wielkich nadziei.

Dla mnie był to przede wszystkim czas politycznej edukacji. Ruch studencki był sfederowany, byliśmy w nim my, komuniści, socjaliści, MIR-owcy. Wszyscy się kumplowaliśmy i dobrze rozumieliśmy. Socjaliści zawsze byli od nas skrajniejsi, zawsze chcieli strajkować, coś okupować, dymić. My prowadziliśmy agitację raczej wśród mas, oni częściej zajmowali się partyjnymi rozgrywkami wśród elit władzy.

Zdarzył się wtedy incydent symptomatyczny dla tego, co po latach miało zaciążyć nad okresem rządów Allende. W czasie strajku studenckiego odwiedziło nas dwóch socjalistów, byli sporo od nas starsi, spoza szkoły. Przynieśli broń. „Wybierzcie sobie, jaki kto chce pistolet”. Oniemieliśmy. Powiedzieliśmy, że mają sobie pójść, wietrzyliśmy prowokację.

Tragiczny finał fascynacji przemocą miał nastąpić ósmego lipca siedemdziesiątego pierwszego roku, kiedy grupa takich samych chłopaków, jak ci co przyszli do mojego liceum, zastrzeliła byłego ministra spraw wewnętrznych, chadeka Edmunda Zujovica. Wierzyli, że wymierzają w ten sposób ludową sprawiedliwość.

Czwartego września siedemdziesiątego roku, kiedy Salvador Allende wygrał wybory, nie głosowałem. Miałem osiemnaście lat, a w Chile głosowało się wtedy od dwudziestu jeden.

Miałem dyżur w biurze Komitetu Centralnego. Około dziewiątej wieczorem zaczęły napływać pierwsze wyniki. Ludzie wylegli na ulice. Muzyka, okrzyki, flagi, łzy szczęścia. Allende przyjeżdża do centrum miasta. Przemawia. Zapamiętałem jego słowa: „Tym razem chodzi o coś więcej niż tylko o wybór prezydenta".

Klasy wyższe, elity były przerażone. Siedzieli w domach i trzęśli się ze strachu. Uwierzyli we własną propagandę: że za Allende będą wspólne żony, a dzieci będzie się wysyłać na Kubę. To oni organizowali w czasie kampanii wyborczej „pomysłowe" akcje: chodzili po dzielnicach, w których mieszkali ludzie z klasy średniej, od domu do domu, podawali się za współpracowników Allende i wypytywali o liczbę pokoi. Sugerowali, że po zwycięstwie będą dokwaterowywać bezdomnych, albo nędzarzy z *callampas* (slumsów), bo przecież każdy ma prawo do dachu nad głową. W czarnej propagandzie celował „El Mercurio", do dzisiaj największa gazeta w Chile.

Wygrana Allende była dla mnie wiatrem w żagle. Czułem, że chce mi się wreszcie studiować, żyć. Ale jeszcze zanim Allende objął władzę, przeżyliśmy dwa miesiące grozy i niepewności. Mówiło się, że Amerykanie naciskają na konserwatystów i wojsko, żeby Allende nie objął urzędu. Wszystko mogło się zdarzyć. I zdarzyło się: zamordowano dowódcę wojska generała Schneidera. Puczyści nie przypuszczali, że będzie to gwóźdź do ich trumny. Chadecja – partia ustępującego prezydenta Eduarda Freia – stanęła po stronie demokracji i Salvador Allende wprowadził się do pałacu La Moneda.

Trzy lata rządów Allende to była fiesta, ludowy karnawał. W wielu *callampas* po raz pierwszy zaświeciły się żarówki, po raz pierwszy poleciała woda z kranu.

Wielu Chilijczyków po raz pierwszy w życiu pojechało nad morze, coś

w rodzaju wczasów pracowniczych. Chile leży nad Pacyfikiem, wybrzeże ma kilka tysięcy kilometrów długości, a jednak do tamtej pory miliony ludzi nie widziało morza. Ludzie masowo włączali się do życia politycznego, początkowo nieufni, szybko zobaczyli, że Allende jest naprawdę ICH prezydentem.

Od siedemdziesiątego pierwszego roku byłem już studentem fizyki, po wygranej Allende podjąłem współpracę z Państwowym Urzędem do spraw Rozwoju Społecznego. Sporo jeździłem po kraju, to się nazywało „praca z masami". Organizowałem pomoc w biednych regionach – doprowadzenie wody, prądu. W interiorze, w agendach ministerstwa ciągle pracowali urzędnicy z poprzedniej ekipy. Allende zawarł pakt z chadecją: apolityczna służba cywilna miała zostać; i umowy dotrzymał. Moim zdaniem, słusznie. To byli znakomici urzędnicy, czego nie mógłbym, niestety, powiedzieć o biurokratach z Partii Socjalistycznej czy z MAPU *(Movimiento de la Acción Popular Unitaria)* – lewicowych rozłamowcach z chadecji. Ci nie rozróżniali tego, co państwowe, i tego, co partyjne. Kiedyś wieczorem wpadłem do ministerstwa i zobaczyłem, jak na państwowych powielaczach tłukli partyjną propagandę.

W ministerstwie toczyły się nieustające dyskusje ideologiczne o tym, czy rządy Allende to prawdziwa rewolucja, czy tylko „zgniły" reformizm. Prawie wszystkie stanowiska obsadzili socjaliści, było też trochę MIR-owców, którzy oficjalnie byli socjalistami, pomagali im ultralewicowi uchodźcy z Brazylii. Było w tym dużo sekciarstwa, socjaliści zajmowali się parytetami przy rozdzielaniu stanowisk, było dużo ideologizowania i mało pracy dla ludzi.

Kłóciłem się z nimi. Socjalizm to przyszłość, mówiłem, róbmy co możliwe w ramach kompetencji naszego urzędu, pomagajmy ludziom, doprowadzajmy wodę do biednych dzielnic, otwierajmy szkoły, dostarczajmy dzieciom pół litra mleka dziennie (to było pierwsze hasło Allende, gdy obejmował urząd). „Jesteś reformistą!" – mówili. A „reformista" to była wtedy ciężka obelga.

Wiem, jak to dziwnie zabrzmi w Polsce, ale komuniści byli w tamtym czasie najrozsądniejszą partią w Chile. Oficjalnie partia była promoskiewska, jednak w chilijskiej sytuacji niewiele to znaczyło, zwłaszcza że Moskwa nie paliła się do pomocy rządowi Allende. Partia pracowała wśród ludzi, mówiliśmy wtedy: „z masami", nie walczyliśmy wściekle o stołki, unikaliśmy zaogniania konfliktu. Radykałami byli socjaliści, a przede wszystkim MIR. Komuniści byli odporni na korupcję. Każdy członek partii, który pracował na etacie – w urzędzie, w parlamencie, gdziekolwiek – oddawał cały zarobek partii, a ta wypłacała mu

pensję nie większą niż dostawali wykwalifikowani robotnicy. To było niezwykle surowo przestrzegane.

Gdy w siedemdziesiątym pierwszym do Chile przyjechał Fidel Castro, to właśnie MIR-owcy fetowali go najgłośniej. Widziałem, co działo się na uniwersytecie w Concepción na południu kraju. Concepción było centrum MIR-u, przyjmowali tam Fidela z największymi honorami. Był wówczas wielką figurą, mitem kontynentu.

Pod koniec jego ponadtrzytygodniowej wizyty coś zazgrzytało. W czasie ostatniego przemówienia na stadionie w Santiago ludzie nieoczekiwanie zaczęli wychodzić. Byli najwyraźniej zmęczeni Fidelem, który jeździł po kraju przez prawie miesiąc, spotykał się, ciągle przemawiał. Pełno go było w gazetach, radiu, telewizji. Castro zauważył, że ludzie wychodzą i piekielnie się obruszył: „Lud, który nie jest w stanie słuchać przez kilka godzin lidera, tym bardziej nie będzie w stanie obronić swojej rewolucji…".

Fidel doskonale rozumiał chilijską sytuację, jednak nie potrafił zrozumieć charakteru Chilijczyków. Pewien rewolucjonista z Karaibów powiedział kiedyś, że rewolucje na Kubie i później w Nikaragui zwyciężyły, a w Chile nie, bo ludzie z Karaibów mają *cojones,* jaja. Z kolei wielu ludzi w Chile uważa, że „karaibskość" to coś gorszego, to brak powagi. O Chilijczykach mówi się, że są Anglikami Ameryki Łacińskiej, i rzeczywiście, mamy coś z angielskiej flegmy. Jest dobra anegdota, która ilustruje tę specyfikę. W Chile zawsze organizowało się protesty i manifestacje rano, albo dopiero wieczorem. O pierwszej po południu Chilijczyk musi pójść na *lunch,* choćby walił się świat, a o piątej po południu musi wypić herbatę (tak samo jak wyspiarze mamy swój *five o'clock).* Castro tego nie rozumiał i dlatego się zirytował.

MIR-owcy budzili we mnie ambiwalentne odczucia. Z jednej strony podziwiałem ich. Byli synami z najbogatszych rodzin, którzy szli jak chrześcijańscy misjonarze do biednych dzielnic. Zatrudniali się w kopalniach, żeby być z ludem, prowadzić agitację, rozumieć życie biedaków.

Przeprowadzali się do *callampas,* żeby żyć jak najubożsi. Chłopcy żenili się z dziewczynami z tych dzielnic. Byli niesamowici, metodyczni, skuteczni. Nas, komunistów, trochę to martwiło – odbierali nam poparcie u ludzi; niemniej, *chapeau bas!* – robili naprawdę wielkie rzeczy.

Z drugiej strony, wyrażali wieczną rewolucyjną niecierpliwość. Krzyczeli: „Rewolucja teraz! Rewolucja dziś!”. Blokowali drogi, podżegali robotników do przejmowania fabryk. To była choroba, rewolucyjny infantylizm, który dostarczał argumentów wrogom Allende.

Prezydent miał kłopot. Nie mógł wysłać przeciwko nim, czyli *de facto* przeciwko robotnikom i chłopom, policji i wojska. Chciał rozmawiać, stępiać ich radykalizm. Pamiętam masówki, na których przemawiał Allende, a MIR-owcy go zagłuszali: „Rewolucja teraz!”. Allende zwrócił się do nich mniej więcej takimi słowami: – Moi młodzi przyjaciele! Łatwo być rewolucjonistą przez duże „R”, gdy się ma tyle lat, co wy. Ja mam ponad sześćdziesiąt lat. Niełatwo być w tym wieku rewolucjonistą nawet przez małe „r”.

U schyłku rządów Allende radykalizm MIR-owców zaczął przekształcać się we własną karykaturę. Zaczęli zajmować małe warsztaty, a nawet restauracje. Wchodzili do knajpy, mówili, że lud przejmuje władzę i wyrzucali właściciela na bruk.

Sytuacja wymykała się spod kontroli. Strajki transportowców (dopiero później dowiedzieliśmy się, że były finansowane przez CIA), rozkradanie towarów, spekulacje… Polegało to na tym, że dystrybucję wszystkich towarów w Chile, od żywności po zapałki, prowadziły prywatne firmy wrogo nastawione do lewicowego rządu. Rząd nie miał nad nimi kontroli. Żywność, ubrania, dosłownie wszystko – rozkradano, a następnie spekulowano na czarnym rynku.

Pojawiły się kolejki, anarchia, chaos. Co noc wybuchały gdzieś bomby. Rozpętały się walki uliczne bojówek MIR-u z bojówkami skrajnej prawicy. Zaczęto mówić, że zmierzamy ku wojnie domowej.

Czy chilijska droga do socjalizmu skończyłaby się „socjalizmem realnym”? Nie wiem. Ekstremiści z MIR-u, niektórzy socjaliści spychali Chile w stronę Kuby. Pamiętam, jak w czasie jednej z tysiąca dyskusji pewien radykał położył pistolet na stole i wykrzyczał mi w twarz: „Za Stalina dyskusje z reformistami nie miałyby miejsca!”. To tylko hipoteza, refleksja po trzydziestu latach, ale może rzeczywiście skończylibyśmy jak Kuba – na rządach jednej partii, zawieszeniu swobód i blokadzie gospodarczej. Naprawdę, nie wiem…

Wiem natomiast, że Salvadorowi Allende nawet nie przeszłoby przez myśl ograniczanie wolności. Był uczciwym człowiekiem, szczerym demokratą, całe życie spędził w parlamencie. I wiem też na pewno, że następnych wyborów

prawica by nie wygrała – mimo chaosu, anarchii, kolejek. W siedemdziesiątym trzecim roku wszystkie te kłopoty były już codziennością Chile, a mimo to Jedność Ludowa – koalicja, której przewodził Allende – zdobyła w wyborach parlamentarnych więcej głosów niż Allende trzy lata wcześniej, gdy zostawał prezydentem. Coraz więcej ludzi przyłączało się do SWOJEGO prezydenta, spontanicznie wchodziło w życie polityczne. Allende powtarzał: „Lepszy kawałek chleba na stojąco niż kurczak na kolanach". I ludzie wiedzieli, że albo on – albo nikt. Nie, prawica nie wygrałaby kolejnych wyborów i doskonale o tym wiedziała. Inaczej nie doszłoby do zamachu stanu.

Dziesiątego września siedemdziesiątego trzeciego zadzwonili z komitetu partyjnego, żebym poszedł gdzieś, gdzie na ulicy wyrosła barykada. Zbudowała ją prawicowa bojówka, bili się chyba z MIR-owcami, szczegółów nie pamiętam. Miałem zobaczyć, jak wygląda sytuacja, czy mają broń. Władze porządkowe nie interweniowały, bojówki walczyły między sobą, a kiedy już policja się pojawiła, zaczęła niespodziewanie strzelać pociskami gazowymi w stronę tych z lewicy. To było dziwne, po czyjej stronie jest policja? – zastanawiałem się.

Poszedłem do komitetu. Siedziałem do wieczora, a około jedenastej poszedłem z kolegami na piwo. Przypadkowo byłem tamtej nocy świadkiem burzliwej dysputy na ulicy między trzema robotnikami: komunistą, socjalistą i chadekiem. Kłócili się, wyzywali nawzajem od kontrrewolucjonistów i marksistów. Dużo później uświadomiłem sobie złowrogą symbolikę tamtej scenki i zapowiedź tragedii.

Pusto na ulicach. Wszędzie śmieci, bo strajkowali śmieciarze. Smród nie do wytrzymania. Gdzieś w centrum znaleźliśmy w końcu otwartą knajpę, ale piwa nie było, tylko wino. Wokół kręciły się prostytutki. Szybko stamtąd poszliśmy.

Po drodze minęła nas ciężarówka pełna żołnierzy. Nie zdziwiło nas to. Obowiązywało prawo o kontroli broni i wojsko wykorzystywano do przeszukiwania podejrzanych miejsc.

Nagle widzimy, że policja zablokowała ulicę. „Dokumenty! Kim jesteście, co robicie?!". Akurat jeden z kolegów mieszkał na zablokowanej ulicy i po chwili nas przepuścili. „Już bardzo późno, chodźcie się przespać u mnie".

Była to ostatnia noc trzyletniego karnawału.

Chile: lekcja historii. Trzydzieści lat później (2)

(Z Santiago)

W rozmowach z pinochetystami powraca fraza o symetrii: była wojna domowa, a ofiary padały po obu stronach.

Na kilka dni przed rocznicą Lucía Pinochet, córka byłego dyktatora oświadczyła, że hołdy składane przez rząd Chile Salvadorowi Allende dzielą naród. Doña Lucía dała wyraz swojemu oburzeniu chwilę po mszy świętej za dusze ochroniarzy, którzy zginęli w zamachu na jej ojca w roku osiemdziesiątym szóstym. Zamach przeprowadziła zbrojna organizacja – Front Patriotyczny im. Manuela Rodrigueza. Zamachowcy trafili w samochód, którym jechali ochroniarze, Pinochet był w drugim aucie. Córkę dyktatora oburzyło, że „intelektualni autorzy" tamtego zamachu cieszą się wolnością i szacunkiem, podczas gdy źli ludzie oskarżają jej ojca o zbrodnie. Przecież amnestia należy się wszystkim.

O przemocy lewicowych grup zbrojnych rozmawiałem kiedyś z Germanem Correą, socjalistą, urzędnikiem w rządzie Allende, potem człowiekiem podziemnego ruchu oporu.

Czy poczuwa się do winy za terror lewicy w czasie rządów Allende i później? Owszem, były grupy terrorystyczne o rodowodzie lewicowym, ale Partia Socjalistyczna odrzucała terroryzm. Przemoc w polityce to nie to samo co terroryzm. Partia Socjalistyczna miała w swojej historii okresy, kiedy nie stroniła od „przemocy rewolucyjnej". Sam Allende uczestniczył w starciach,

które określano jako odpowiedź „przemocy rewolucyjnej” na „przemoc reakcyjną”. To nie był terroryzm, to były walki bojówek. Dlaczego pinochetyści nie mówią o terroryzmie prawicy? Dlaczego nie mówią o terroryzmie państwowym za rządów Pinocheta?

Wiem, że my, którzy razem z Allende robiliśmy pokojową rewolucję, nie jesteśmy całkiem wolni od odpowiedzialności za tragedię kraju. Ale niech pan nie wierzy w opowieści, że gdyby nie było Pinocheta, Chile stałoby się drugą Kubą. Nigdy! Nasza historia jest całkowicie odmienna od kubańskiej. Kuba żyła przez długie lata pod rządami dyktatorskimi i pod silnymi wpływami Ameryki w każdej dziedzinie życia – nazywaliśmy to „imperializmem amerykańskim”. W Chile było inaczej. Przed zamachem stanu byliśmy demokracją o długiej tradycji. Socjalistyczny rząd Allende był demokratyczny, w chilijskim stylu, z parlamentem, z instytucjami społeczeństwa obywatelskiego. Sam Allende był przewodniczącym senatu i parlamentarzystą przez niemal całe życie. Radykalna lewica krytykowała go za to, że był zbyt mało rewolucyjny, za bardzo reformistyczny, zbytnio przywiązany do demokracji.

Socjalizm Allende był wolnościowy i demokratyczny. Gdyby taki nie był, nie cieszyłby się w Chile poparciem. Nie, Chile nie byłoby drugą Kubą. Nasz system był całkowicie odmienny, Castro i Allende byli różnymi politykami. Wielokrotnie dyskutowałem z kubańskimi komunistami, również z Castro. Nasze opinie były zawsze głęboko różne. Chilijska droga była inna niż kubańska, tak samo jak każda transformacja systemu – od dyktatury do demokracji – jest inna: polska, hiszpańska, chilijska.

Jak gdyby na złość oficjalnemu stanowisku pinochetystów, emerytowany generał Arellano Stark oznajmił w wywiadzie dla dziennika „El Mercurio”: w Chile żadnej wojny domowej nie było.

Arellano to jedna z najczarniejszych postaci dyktatury. Postawiono go przed sądem za dowodzenie „karawaną śmierci”. Krótko po zamachu stanu specgrupa pod rozkazami Arellana rozstrzelała bez sądu w różnych częściach kraju kilkudziesięciu działaczy lewicy. Po trzydziestu latach Arellano wypiera się – winny jest inny generał, Contreras, szef DINA (którą Arellano porównuje do gestapo i CIA). Arellano czuje się zdradzony przez przyjaciół, mówi, że zrobili z niego kozła ofiarnego. Kto? Dawni przyjaciele. Nie wymienia Pinocheta, ale były dyktator jest obecny w rozmowie między wierszami. – To spisek, ktoś

powiedział Pinochetowi, że mu zagrażam. Arellano potwierdza wieloletnie domniemania: Pinochet dołączył się do zamachu stanu w ostatniej chwili. Główną rolę w przygotowaniach do puczu odegrał on, Arellano.

Wojna domowa to bajki dla dzieci. Ale chyba naprawdę w Chile przed zamachem stanu nie dawało się już żyć. Nie było co jeść, brakowało prądu w domach i na ulicach, szalała nienawiść – wszystko to razem wysadziło w powietrze pokojową rewolucję Allende.

Pani Sylwia, za Allende pracownica biura linii lotniczych, potem wyjechała za chlebem, a po powrocie urzędniczka, opowiadała mi, że tuż po zamachu sklepy nieoczekiwanie zapełniły się towarami. – Wie pan, jak to było? Prywatni producenci żywności, dystrybutorzy chowali jedzenie w magazynach, żeby przyspieszyć wybuch, przewrót, interwencję, cokolwiek, co okiełzna rewolucyjny obłęd i bałagan. Wielu ludzi, wcale nie jacyś krwawi kapitaliści, oczekiwało od wojska, żeby coś zrobiło. Gdyby Pinochet nie popełnił tylu bestialstw, ludzie patrzyliby na niego inaczej. To, co zrobił, jest niewybaczalne. Żadne kłopoty gospodarcze nie usprawiedliwiają barbarzyństwa, Boże, co oni tu robili…

Pani Sylwia kręci głową. Chyba nie może dalej mówić.

Od dawna frapowało mnie, dlaczego Pinochet rozkazał zbombardować pałac prezydencki. Wojsko mogło przecież zająć budynek leniwym kiwnięciem palca. Uzbrojona po zęby armia miała naprzeciw kilkunastu amatorów z karabinami broniących w pałacu legalnego rządu.

Na moje pytanie ze szczerością dziecka odpowiedział emerytowany generał Julio Canessa, który w dniu zamachu stanu, jako pułkownik, atakował pałac. – Chcieliśmy pokazać – wyznał generał – że żarty się skończyły. Że to nie jakieś tam gierki.

– Była w Chile wojna, panie generale?

– Wojna? Załatwiliśmy wszystko w jeden dzień.

I generał zaśmiał się prostodusznie.

(Pinochet)

Rankiem 11 września z rozkazu admirała José Merino marynarka wojenna opanowała wybrzeże i wszystkie porty od Arica na północy do Punta Arenas na

południu kraju. Lotnictwo pod komendą generała Gustava Leigha zbombardowało prezydencki pałac La Moneda w samym sercu stolicy, Santiago de Chile. Czołgi i piechota pod rozkazami generała Augusta Pinocheta zajęły miasta. Akcją tropienia ludzi związanych z legalnym rządem pokierował szef policji César Mendoza.

Ci czterej mundurowi uformowali juntę, która rządziła w Chile przez prawie siedemnaście lat. Na szefa wybrali Pinocheta, który rok później ogłosił się prezydentem kraju.

„Spełniło się wszystko. Byłem w stanie mocno i z serca powiedzieć tylko: Viva Chile! Ojczyzna została uratowana" – napisał Pinochet we wspomnieniach.

Prezydent Salvador Allende popełnił samobójstwo, gdy nie był w stanie bronić dłużej siedziby rządu – pałacu La Moneda. Nie chciał się również poddać ani wyjechać na emigrację.

Do wielkiej polityki wszedł późno, bardzo późno. Miał blisko sześćdziesiąt lat. Wcześniejsza kariera to mundur, mundur i mundur, który dla syna drobnomieszczańskiej rodziny był szansą na społeczny awans. W latach kadeckich podziwiał Napoleona. Znawca artylerii i logistyki, pisywał o historii chilijskich sił zbrojnych. W czasie II wojny światowej fascynował się strategicznymi osiągnięciami feldmarszałka III Rzeszy, dowódcy Afrika Korps, Erwina Rommla. Jako oficer-wykładowca długo nie awansował. Po trzydziestu latach służby doszedł zaledwie do stopnia majora.

W końcu lat sześćdziesiątych major Augusto Pinochet Ugarte nieoczekiwanie zaczyna piąć się w górę. W ciągu dwóch lat z majora zostaje generałem. Przypadek? Wysługa lat? Dorobek w Akademii Wojskowej? W październiku 1970 roku dowódca sił lądowych Carlos Prats powierza mu – już wtedy generałowi i dowódcy garnizonu wojskowego Santiago de Chile – funkcję swojego zastępcy. Dzieje się to niemal w tym samym czasie, gdy Salvador Allende obejmuje urząd prezydenta.

W siedemdziesiątym trzecim nikt nie upatrywał w Pinochecie uzdrowiciela kraju. Ówczesne relacje zgodnie potwierdzają, że uchodził raczej za lojalnego, apolitycznego służbistę. Po latach dyktator wyznał, że krótko przed zamachem stanu ktoś mu powtórzył opinię prezydenta Allende: „Ten Pinochet nie potrafiłby wprowadzić w błąd nawet własnej żony".

Za rządów prezydenta socjalisty Pinochet kilkakrotnie odmawiał udziału

w spiskach konserwatystów i wojska przeciwko legalnej władzy. Allende uważał, że mianując lojalnego generała dowódcą wojsk lądowych, nie ma się czego obawiać. Stało się to w sierpniu 1973 roku, po wymuszonej przez niezadowoloną część wojska dymisji generała Carlosa Pratsa – niespełna trzy tygodnie przed zamachem stanu. W dniu przewrotu, krótko przed swoją śmiercią Allende miał powiedzieć: „Biedny Pinochet. Na pewno siedzi już w więzieniu".

Po przewrocie, na emigracji, generał Prats notował: „Prześladuje mnie wspomnienie dnia, w którym prezydent Allende przyjął moją rezygnację. Podczas obiadu, który tego dnia jedliśmy w La Moneda, poprosił mnie o opinię o Auguście Pinochecie, jako moim następcy na stanowisku głównodowodzącego armii. Dwa razy powtórzył swoją prośbę. A ponieważ ja się nie odzywałem, zdziwiony tym, chciał wiedzieć, czy mam wątpliwości co do lojalności Pinocheta. Moja odpowiedź brzmiała: – Nie, panie prezydencie. Nie mam powodu, by odradzać wyznaczenie generała Pinocheta na głównodowodzącego armii. Wierzę, że potrafi współpracować z panem z taką samą lojalnością, z jaką ja to robiłem.

Teraz wydarzenia pokazują, kim jest w istocie Pinochet. Jest to przebiegły łotr, ograniczony, o nieposkromionej ambicji, zdolny do spędzenia życia na czołganiu się i czajeniu w oczekiwaniu na sposobny moment, by popełnić zbrodnię, która pozwoliłaby mu zmienić swój los w chwili przypływu odwagi. Jestem przekonany, że przyłączył się do zamachowców w ostatnim momencie, ale nie wątpię, że sięgnie po władzę, choćby go to nie wiem, ile kosztowało. Przejdzie do historii jako wielki zdrajca. Jako ten, który pociągnął armię i siły zbrojne do popełnienia największego i niewybaczalnego błędu, bowiem wiadomości, które napływają z naszego cierpiącego Chile świadczą, że zamach 11 września był tylko początkiem wielkiej zbiorowej tragedii".

Trzydziestego września 1974 roku generał Carlos Prats zginął w zamachu bombowym w Buenos Aires. Dwa lata później w podobnym zamachu zginął inny minister rządu Allende, Orlando Letelier. Policja polityczna Pinocheta – osławiona DINA – ścigała wrogów dyktatora po całym świecie. Skutecznie.

Nowe rządy ustanowiono wedle maksymy Pinocheta: „Nawet liść na drzewie nie drgnie w tym kraju, żebym o tym nie wiedział".

Pinochet rozpędził parlament, partie polityczne, polecił spalić listy wyborców.

Terror uderzył w Kościół katolicki, którego duża część sprzeciwiła się zamachowi stanu i ustanowieniu dyktatury. Polityczni przeciwnicy, choć również przypadkowi ludzie, w tym cudzoziemcy, zostali poddani brutalnym represjom. Opozycjonistów i ludzi podejrzanych o poglądy lewicowe gromadzono na stadionach, w obozach i bestialsko torturowano. Ludzie ginęli bez wieści lub w czasie „prób ucieczki". Sądy orzekały wyroki śmierci w trybie doraźnym, albo rozstrzeliwano bez sądu. Zwłoki grzebano w masowych grobach bez nazwisk. Grobem wielu stał się Pacyfik. Ofiary śmiertelne szacuje się na trzy–cztery tysiące. Przez tortury przeszły setki tysięcy Chilijczyków. Ponad pół miliona ludzi opuściło kraj. „Można powiedzieć, że praktycznie oczyściliśmy kraj z marksistów" – chwalił się Pinochet. A w rozmowie z dwoma biskupami – luteraninem Helmutem Erichem Walterem Frenzem i katolikiem Fernandem Ariztia – którzy przynieśli mu protest przeciwko zinstytucjonalizowanym torturom, odpowiedział: „Panowie jesteście duchownymi i możecie sobie pozwolić na luksus bycia litościwymi, ja jestem żołnierzem i prezydentem całego narodu chilijskiego, narodu zaatakowanego przez bakcyl komunizmu, który trzeba wyrwać z korzeniami, a marksistów i komunistów trzeba torturować, bo inaczej nie śpiewają".

Inżynieria społeczna objęła prasę, sztukę, książki, dzieje kraju. To znaczy: prasę, filmy, piosenki, obrazy poddano cenzurze; niewłaściwe książki spalono; dzieje kraju napisano od nowa – pomijając niewygodne postacie, względnie przemalowując je na diabelską czerń.

„…skąd z dnia na dzień wzięło się tylu faszystów – zastanawiała się bohaterka powieści Isabel Allende – gdyż w długich dziejach demokracji w tym kraju nigdy nie było ich widać, jeśli nie liczyć garstki oszołomów, którzy podczas wojny, małpując wzory zagraniczne, zakładali czarne koszule i wśród śmiechów i gwizdów przechodniów defilowali z wyciągniętymi ramionami, lecz nie odgrywali żadnej istotnej roli w życiu narodu". „W gazetach pisano, że uliczni żebracy, których nie widziano od tylu lat, są nasyłani przez międzynarodowy komunizm w celu zdyskredytowania junty wojskowej i sabotowania porządku i postępu. Wzniesiono płoty wokół dzielnic peryferyjnych, ukrywając je przed turystami i tymi, którzy nie chcieli nic widzieć. W ciągu jednej nocy, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, w alejach pojawiły się przystrzyżone trawniki i klomby założone przez bezrobotnych, by stworzyć wrażenie spokojnej wiosny. Pomalowano na biało mury, zamazując freski kiczowatymi gołębiami

i usunięto na zawsze plakaty o treści politycznej. Każda próba wypisania hasła politycznego na drodze publicznej była karana na miejscu serią z broni maszynowej…”.

Pinochet uczynił coś znacznie więcej niż tylko zamach stanu. Carlos Fuentes napisał, że jest jak jedna z przerażających szekspirowskich postaci – Makbet, Ryszard III – skąpanych we krwi, rozkoszujących się okrucieństwem, dumnych z popełnionych zbrodni.

Wybitny przeciwnik Pinocheta, socjalista Manuel Antonio Garretón przypomniał mi któregoś wieczoru w Santiago odrażający humor dyktatora. Dlaczego układano po dwie ofiary w jednej trumnie? Z oszczędności państwowych funduszy. Pinochet za pośrednictwem swojego oficera zaoferował Allende wysłanie na emigrację samolotem. Samolot miał mieć awarię. „Godne Ryszarda III” – komentował po latach Fuentes.

Nie, Pinochet nie ma wymiaru bohaterów Szekspira – Garretón powątpiewa w trafność porównania. Prymityw z instynktem władzy, brutal bez skrupułów, gotowy dla zdobycia władzy popełnić każdą nikczemność. Przyłączył się do przewrotu na końcu, dlatego chciał od razu wszystkich zaszokować, pokazać, że pójdzie znacznie dalej niż inni – w okrucieństwie, brutalności, bezwzględności. Generałów, którzy mogli zagrozić jego pozycji, eliminował.

Rozkaz wydany przez Pinocheta w dniu zamachu stanu: *Hay que matar la perra y se acaba la leva* „Trzeba zabić sukę, a sfora się rozbiegnie!”. To o Salvadorze Allende i jego ludziach.

Opowieść jednego wygnańca (2)

– Obudź się, Mario, zamach stanu!!! – matka kolegi szarpała mnie za ubranie. – Jaki zamach? Gdzie? – W Valparaíso! – Aaa, to daleko. I chciałem zasnąć, ale już nie mogłem. Włączyłem radio. Puszczali na okrągło wojskowe marsze, żadnych wiadomości.

Pobiegliśmy z kolegą do komitetu partii. Pełno ludzi, wszyscy debatują, napięcie niesamowite. W radiu przemówienie Salvadora Allende. Stawiać opór? Walczyć? Mieliśmy kilka pistoletów, to znaczy miała je nasza ochrona. W tamtym czasie każda partia miała coś w rodzaju milicji, zbrojnej ochrony budynków. Sekretarz wezwał nas w końcu na zebranie. Zapadła decyzja, że nie będziemy się bronić, nie mamy szans, nie ma sensu składać niepotrzebnej ofiary. Nasi „milicjanci” rozmontowali pistolety na części i pochowali je osobno w różnych zakamarkach budynku. Pamiętam scenkę, jak w czasie naszej dyskusji weszła kobieta, która sprzątała w komitecie, i poirytowana spytała: „Kiedy wreszcie skończycie i będę mogła zrobić porządek?”.

Zza okna usłyszeliśmy głos z megafonu. „Wszyscy na ulicę! Wychodzić na ulicę!”. Wyjrzeliśmy przez okna. Wokół pełno uzbrojonych żołnierzy. Pomyśleliśmy przez chwilę o ucieczce tylnym wyjściem, ale chyba nie mielibyśmy szans. Wyszliśmy z rękami podniesionymi do góry. Oczekiwaliśmy najgorszego. Żołnierze jednak kazali wszystkim iść do domu. Ulga.

Nie wiedziałem, co robić. Czy Allende żyje? Dokąd iść? Nad miastem krążyły helikoptery. Od strony pobliskiej fabryki dobiegały odgłosy karabinów.

Błąkałem się po mieście. Do domu miałem za daleko, a i sądziłem, że lepiej się tam nie pokazywać, na wszelki wypadek. Przemykając się ulicami, trafiłem

przypadkowo do jakiejś bogatej dzielnicy. Było już popołudnie. Słyszałem radosne śpiewy. Oblewali zamach stanu. „Patrzcie, to facet z MIR-u!” – ktoś krzyknął w moją stronę. Z okien i balkonów zaczęły lecieć butelki, ale żadna mnie nie trafiła. Byłem przerażony. Wokół słyszałem strzały, nie wiedziałem jednak, kto strzela i skąd. Zginąć w tak absurdalny sposób?

Zbliżała się trzecia po południu – godzina policyjna. Nie miałem pojęcia, dokąd iść i wtedy przypadkowo wpadłem na znajomego. Zaprowadził mnie do swojego przyjaciela adwokata. Tam spędziłem następne trzy dni.

Junta wprowadziła zakaz wychodzenia na ulice przez trzy dni – godzina policyjna przez całą dobę. Nie mieliśmy nic do jedzenia, to było biuro, a nie mieszkanie mecenasa. Musieliśmy siedzieć na podłodze albo czołgać się, żeby nikt nas nie zauważył z okien z naprzeciwka.

W telewizji pokazywali kreskówki, a potem odczytali komunikat, że Salvador Allende nie żyje.

Następnego dnia pod dom zajechało wojsko. Co robić? Uciekać? Tylko gdzie?

Dostrzegłem przez żaluzje w oknie, jak sąsiadka z naprzeciwka wskazała wojskowym nasze okna: „Tam się kręcą jacyś podejrzani”. Żołnierze wpadli do naszej klatki schodowej. Słyszeliśmy przez drzwi łomot, jaki wydawały ich buty. Strach w takiej chwili jest czymś nie do opisania. Człowiek czuje, jak zbliża się koniec. Mój towarzysz dostał ataku. Zaczął się dusić, a ja byłem przerażony, że zacznie kasłać i nas usłyszą. Przykryłem mu usta poduszką.

Ocalił nas dozorca. Krzyknął do oficera, że to biuro adwokata, i że nikt tam nie mieszka. Wojskowi zabrali dwóch chłopaków z innego mieszkania i odjechali. Tak zaczęły się polowania na ludzi.

Junta ogłaszała przez radio: „Za dwie godziny, o tej i o tej, będzie krótka przerwa w godzinie policyjnej. Można wtedy iść na zakupy”. Kilka dni później, korzystając z takiej przerwy, zmieniłem lokum. Zadzwoniłem do koleżanki, która mieszkała w dosyć zamożnej dzielnicy. „Słuchaj, nie mogę wrócić do domu, ani na uniwersytet, przechowaj mnie”. Spytała ojca, ten się zgodził. Oficjalnie, w razie czego, miałem być narzeczonym. Spałem w butach, żeby w każdej chwili móc uciekać.

Był już chyba październik, a może jeszcze wrzesień. Obudzili mnie o szóstej rano. „Mario, wstawaj! Otoczyli ulicę! Przeszukują dom po domu”.

To było mieszkanie na piątym piętrze w wysokiej kamienicy. Ucieczka przez

okno wykluczona. Do tego wszędzie pełno żołnierzy.

Wyłamali drzwi. Huk, wrzask: „Wszyscy pod ścianę!”. Tylko ja byłem ubrany, reszta w pidżamach. „Dokumenty! O, ten pan nie jest z tej rodziny!”. Odrzekłem, że JESZCZE nie. Żołnierze demolowali mieszkanie, młodsze rodzeństwo mojej „narzeczonej” wrzeszczało.

Zabrali mnie i jej starszego brata, też studenta. Bycie studentem było w tamtym czasie w Chile niemal jak wyrok.

Na dole czekał autobus. Kazali nam położyć się na podłodze z rękami na głowie.

Mijała godzina, druga… Nic się nie działo. Strach i nerwy. Co jakiś czas wpychali do autobusu kogoś nowego z rękami na głowie. Gdy zebrali nas kilkunastu, autobus ruszył.

„Gdzie nas wieziecie?” – spytałem oficera, który usiadł blisko mnie. „Nic się nie martw, nasz szef jest trochę szalony”.

Autobus zatrzymał się przed koszarami. Żołnierze uformowali dwa szpalery – od przednich drzwi autobusu do bramy koszar. „No jazda!” – krzyknął któryś i zaczęła się „ścieżka zdrowia”. Nie widziałem dokładnie, jak bili, bo mnie i brata koleżanki „mój” oficer wyprowadził tylnymi drzwiami autobusu.

Idziemy z oficerem do budynku jednostki. Nagle brat „narzeczonej” wybucha niekontrolowanym śmiechem – zapewne z napięcia, z nerwów. Idzie i śmieje się w głos. Usłyszał to któryś z żołdaków od „ścieżki zdrowia”. Podbiegł do nas, wyciągnął pistolet, ja się odruchowo schowałem za oficera, a tamten przystawił koledze lufę do głowy i wycedził: „Słuchaj, s……, żarty się skończyły!”. Chłopak zbladł, zmoczył się, a żołdak rąbnął go w głowę i wepchną do budynku.

Wieczorem ojciec, który musiał mieć niezłe znajomości, wyciągnął go z aresztu. Zostałem sam.

Nie torturowali mnie. Zadawali pytania i prowadzili grę. Przychodzili jacyś żołnierze i pokazywali mnie palcem: „Tak, to on do nas strzelał dwunastego września z budynku pedagogiki na uniwersytecie”. Chcieli, żebym się przyznał, ale mnie tam przecież nie było. Obiecywali, że jak powiem prawdę, wypuszczą.

Gdy pozwolili wreszcie pójść do toalety, pod bronią i z rękami na głowie, zobaczyłem w sąsiednich pokojach tłumy mężczyzn i kobiet w różnym wieku, stłoczonych jak sardynki w puszce.

„Nie chcesz się przyznać, pojedziesz na stadion!”.

W mieście krążyły już niepokojące plotki, ale jeszcze wtedy stadion nie był

tym, czym stał się później – symbolem tortur i egzekucji.

Wylądowałem na stadionie. Hałas i chaos. Bawili się z nami. Kazali stawać na baczność, krzyczeli, szturchali. Po czterech dniach zauważyłem oficera, który wybawił mnie od „ścieżki zdrowia". On też mnie rozpoznał, podszedł, a potem wpisał na listę zatrzymanych w czasie godziny policyjnej.

Wypuścili mnie z grupą zatrzymanych przez nocne patrole. Nie chcieliśmy wyjechać ze stadionu. Baliśmy się, że nas zastrzelą, a poza tym była noc, czyli godzina policyjna. Krzyczeliśmy, że chcemy poczekać do rana, ale ostatecznie nie mieliśmy wyjścia. Wsiedliśmy do autobusu. Zostawili nas gdzieś w środku miasta, w środku godziny policyjnej.

Zacząłem budować swoje życie na nowo. Zmieniałem miejsca zamieszkania, udzielałem korepetycji z matematyki, żeby mieć z czego żyć, a przede wszystkim – konspirowałem. Zbierałem informacje o aresztowanych kolegach, redagowałem komunikaty partyjne, ulotki, organizowałem konspiracyjne lokale. Któregoś dnia, był już rok siedemdziesiąty czwarty, gdy jechałem na rutynowe spotkanie konspiracyjne, zatrzymała mnie bezpieka. To był czysty przypadek.

Stałem na przystanku autobusowym, pamiętam, że jadłem lody. Podjechał samochód. Ze środka wyskoczyło dwóch, może trzech cywilów. Zaczęli gonić kogoś, kto chyba stał obok mnie na przystanku. Padły strzały. Korzystając z zamieszania, próbowałem niepostrzeżenie prysnąć. Musiał to zauważyć któryś z agentów, bo po chwili ruszyli na mnie. Szarpałem się, krzyczałem. Wepchnęli mnie do samochodu, zawiązali oczy. Dopiero na posterunku poczułem gorąco na prawym boku. Dotknąłem. Cała ręka we krwi. Przestrzelili mi na wylot bok i nawet tego nie poczułem. Nie pamiętam nawet żadnego strzału.

Zaczęło się przesłuchanie. „Jesteś Carlos jakiś-tam!". Pytali o rzeczy, o których nie miałem pojęcia. Po prostu wzięli mnie za kogoś innego. Myśleli, że jestem jakąś szychą z MIR-u.

Zaczęło się bicie. Bili w głowę, w uszy, przypalali papierosami. Gdy nie skutkowało, podłączyli elektrody…

Krzyczałem. Człowiek nigdy nie jest przygotowany na coś takiego. Często zadawałem sobie pytanie: jak się zachowam, gdybym wpadł? Gdy jednak TO się już dzieje, wszystkie psychiczne przygotowania są na nic. Człowiek jest sam, bezradny. Na szczęście, jestem chyba dosyć odporny na ból. Gdy boli mnie ząb, nie umieram. Racjonalizuję. Krzyczałem w niebogłosy, a oni, żeby moje krzyki

zagłuszyć, puszczali na cały regulator znany przebój z tamtych lat *Gigi Amoroso*. *Gigi Amoroso* – na okrągło. *Gigi Amoroso…*

Jak zawsze, był dobry ubek i zły ubek. Miałem zawiązane oczy, więc po zapachu wód kolońskich rozpoznawałem, czy będzie prąd, czy tylko pytania.

Straciłem poczucie czasu. Dopiero potem oszacowałem, że musieli mnie maltretować półtora tygodnia, może dwa. Zorientowali się, że nie jestem tym, za kogo mnie wzięli. To było zbawienie. Gdyby nie to…

Wyrzucili mnie za miastem, wykończonego, zakrwawionego. Z daleka widziałem wieżowce w centrum Santiago. Mało co pamiętam. Zatrzymałem jakiegoś motocyklistę. Chciał dzwonić na policję. „Nie, na policję nie! Zadzwoń po lekarza”.

W partii zostałem zawieszony. Wiedziało się, jakie metody stosują na przesłuchaniach. Nigdy nie było pewności, czy ktoś się załamał, czy nie.

A jednak szybko koledzy znów mi zaufali. Przez miesiąc byłem wyłączony, dochodziłem do siebie pod opieką znajomego lekarza.

I wtedy spotkałem starego kolegę z czasów licealnych. Miguel Estay był błyskotliwym chłopakiem, zawsze w pierwszym szeregu. Gdy się poznaliśmy, miał piętnaście lat, ja byłem o parę lat starszy – to był rok sześćdziesiąty siódmy albo ósmy. Miguel przyłączył się do nas. Fascynowały go polityka, ideologia, broń, wszystko. Taki człowiek z gatunku: „Ojczyzna albo śmierć!”. Po zamachu stanu był niezwykle zaangażowany, odważny, cieszył się w partii wielkim zaufaniem. Nasza przyjaźń przeżywała renesans, byliśmy jak bracia.

Estay kierował w partii komórką wywiadu. Organizował konspiracyjne lokale, ukrywał ludzi, załatwiał fałszywe papiery, analizował, kogo i dlaczego aresztowali. Zaproponował, żebym z nim pracował. Zgodziłem się.

Historia mego przyjaciela będzie miała później bardzo tragiczny koniec…

W tamtym czasie spotkałem jeszcze jednego kolegę ze szkoły – Alfonsa Chanfreau. Wpadliśmy na siebie przypadkiem w autobusie. Alfonso był filozofem, należał do MIR-u. Poszukiwały go policja i wojsko. Miał żonę Erikę i małą córeczkę. Zaczęliśmy się spotykać, regularnie co tydzień. Partia wyraziła zgodę, chcieliśmy wiedzieć, co się dzieje w innych środowiskach. Wymienialiśmy informacje o aresztowanych, zaginionych, dużo dyskutowaliśmy.

Któregoś dnia Alfonso nie przyszedł na spotkanie. Znikła również Erika i jej córeczka. Kilka lat później, w Warszawie, zobaczyłem w EMPiK-u zdjęcie w „Le

Monde”, na którym rozpoznałem Erikę. Przedostała się do Paryża. Alfonso nigdy się nie odnalazł.

Wszyscy cierpieliśmy, ale MIR-owcy chyba najbardziej. Dyktatura obeszła się z nimi w bestialski sposób. To byli przeważnie synowie i córki z bogatych rodzin, czyli: zdrajcy. Nie darowano im wystąpienia przeciwko własnej warstwie społecznej. Rodzicom MIR-owców i innym rodzicom z bogatych sfer dyktatura dała brutalną szkołę: że dzieci trzeba trzymać krótko; pilnować, żeby nie bawiły się brzydko w politykę.

Aresztowania dziesiątkowały partię. Pierwsze trzy lata dyktatury to był okres najokrutniejszych represji. W jakimś momencie przestałem wychodzić na ulicę. Coraz więcej ludzi, z którymi konspirowałem, zaczęło wpadać.

W sierpniu siedemdziesiątego czwartego aresztowali mojego ojca. Po zwycięstwie Salvadora Allende wrócił do polityki. Pracował w wydawnictwie, które wydawało naszą gazetę „El Siglo”; zajmował się drukiem, dystrybucją. Po zamachu stanu wojskowi zlikwidowali wydawnictwo i ojciec znalazł się na bruku. Znów otworzył sklepik, działał w konspiracji. Przyszli po niego w nocy. Nigdy więcej go nie widziałem. Przepadł na zawsze. Ciała nie odnaleziono.

Dopiero po wyjeździe z kraju dowiedziałem się, dlaczego tak skutecznie nas wyłapywali. Zacząłem nawet podejrzewać, że to mnie chcieli aresztować, a nie ojca, i że zginął zamiast mnie. Te podejrzenia wiążą się z nazwiskiem mego przyjaciela Estaya, szefa naszego partyjnego „wywiadu”. Policja polityczna DINA aresztowała któregoś dnia działacza partii, Gastona O. To najprawdopodobniej on wydał na torturach Miguela Estaya. DINA dopadła Miguela. Zaczęli nad nim „pracować”, a jako ostatecznego „argumentu” użyli brata. Żeby ocalić mu życie, Miguel poszedł na współpracę. Wiedział o wszystkim: kto i gdzie mieszka, gdzie się ukrywa; w końcu tym się w partii zajmował. Zwolniony z aresztu brat wyjechał tymczasem do Buenos Aires. Tam powiadomił partię argentyńską o zdradzie Miguela, a ta przekazała informację chilijskim towarzyszom.

Estay został regularnym funkcjonariuszem policji politycznej Pinocheta. W roku osiemdziesiątym piątym uczestniczył w zamordowaniu trzech cieszących się dobrą sławą działaczy partii komunistycznej. To była głośna tragedia, znana jako „sprawa *degollados*” – wszystkim trzem Estay i jego kompani z bezpieki podcięli gardła.

Po odejściu Pinocheta, Estay zbiegł do Paragwaju. Ktoś jednak wpadł na jego trop i doszło do ekstradycji. Odsiaduje teraz wyrok dożywocia.

Los Miguela Estaya to jedna z najczarniejszych i najtragiczniejszych historii czasów dyktatury. Mój drogi przyjaciel z liceum, zrozpaczony brat swojego brata, zdrajca, morderca. Chciałbym go kiedyś odwiedzić, porozmawiać, jak to właściwie było…

W partii zapadła decyzja: wyjedziesz z kraju, robi się niebezpiecznie, musimy ratować kadry. Pojedziesz, mówili, na kurs wojskowy na Kubę albo na szkolenie polityczne na Węgry.

Nie chciałem wyjeżdżać. Mówiłem, że pojadę na prowincję, że znam kraj z okresu współpracy z ministerstwem. Uzgodniliśmy w końcu, że wyjadę na rok. Nie miałem pojęcia, dokąd, ani kiedy – ktoś miał się do mnie zgłosić.

Czekałem miesiąc, drugi, czwarty, nie wychodząc na ulicę… I nic. Wreszcie, po perturbacjach, zacieraniu tropów, trafiłem do sióstr zakonnych, które pomagały przerzucać za granicę zagrożonych i poszukiwanych przez policję.

Zanim wsiedliśmy do samochodu, którym pewien ksiądz miał zawieść mnie i kilku innych nie-wiadomo-gdzie, wielebny ostrzegł nas: „Nie ma gwarancji przerzutu, może być gorąco, możecie zginąć”. Nikt się nie zawahał. Nie mieliśmy wyjścia.

Jechałem w samochodzie z dwoma chłopakami z MIR-u i dziewczyną w ciąży. Sądziłem, że pojedziemy gdzieś w stronę granicy, ale podróż była nieoczekiwanie krótka. Wylądowaliśmy przed bramą ambasady Ekwadoru.

Niedaleko ambasady ulice patrolowali żołnierze. Wyskoczyliśmy z auta i dyla przez płot. Wojskowi nie zdążyli do nas dobiec, zapewne nie wolno im było strzelać w stronę placówki dyplomatycznej.

W środku okazało się, że nikt nas nie oczekiwał. Urzędnicy ambasady byli przerażeni. Chcieli wezwać wojsko, ale im to wyperswadowaliśmy.

Zadzwonili po szefa. Ambasador powiedział to samo: że idzie wezwać wojsko, albo policję. Przez chwilę zastanawialiśmy się, czy nie wyjść po dobroci i próbować jakoś uciekać.

Moment naszego wahania przeciął chłopak z MIR-u, który ku osłupieniu wszystkich wyciągnął pistolet. „Jak zawołasz wojsko, poleje się krew” – powiedział do ambasadora. A do nas: „Zostajemy. Wszyscy”. Dyplomata uległ.

Ekwadorczycy zgodzili się, żebyśmy zostali, lecz przez dwa następne dni nie

dali nam nic do jedzenia. Spaliśmy na podłodze. Potem zbuntowaliśmy się i zażądaliśmy opieki, jaka należy się uchodźcom politycznym. Dostawaliśmy paczki z ONZ, ale wariowaliśmy, nie mogliśmy znieść niepewności, co dalej. Ekwador nie dawał azylu chilijskim uchodźcom, a wyjście z ambasady oznaczało śmierć.

Nie miałem kontaktu z rodziną, przyjaciółmi. Odchodziłem od zmysłów. Aż któregoś dnia na naszą prośbę odwiedził nas ksiądz. Odprawił piękną mszę. Komunię przyjmowaliśmy pod postacią wina, którego przywiózł kilka butelek. Zabrał pistolet od chłopaka z MIR-u. I zaczął wpadać regularnie. Przywoził listy, papierosy… Był naszym posłańcem nadziei, łącznikiem z rodzinami, przyjaciółmi.

Po dwóch miesiącach władze ekwadorskie zgodziły się udzielić nam azylu tranzytowego. Oznaczało to, że w Ekwadorze będziemy czekać do czasu, aż jakiś inny kraj udzieli nam prawa stałego pobytu.

Wyjechałem. Tamtego dnia nie przyszło mi do głowy, że na zawsze.

Chile: lekcja historii. Trzydzieści lat później (3)

(Z Santiago)

Villa Grimaldi wygląda jak zaciszny, zielony park. Przycięta trawa, zadbane drzewka. Znajduje się z dala od centrum miasta, niemal na peryferiach wielkiego Santiago.

W niedzielne przedpołudnie zebrało się tu około dwustu osób. Wszyscy witają się jak bliscy krewni na wielkim zjeździe rodzinnym. Erika, dawno cię nie widziałem. Nidia, co porabiasz? Pedro, musisz do mnie zadzwonić.

Potem przeszli pod tablicę z wyrytymi nazwiskami, złożyli kwiaty. Zespół kameralny odegrał koncert.

Przez godzinę, półtorej byli razem – ze swoją pamięcią, bólem, krzywdą.

W tym miejscu, trzydzieści lat temu, torturowano, a potem „znikano" ich bliskich. „Gdzie są?" – pytanie zawieszone na małych tabliczkach na piersi, ze zdjęciami mężów, córek, braci.

Po Villi Grimaldi oprowadza mnie Luis, architekt, który pielęgnuje teren. Przed zamachem stanu Villa należała do włoskiego imigranta. Po 11 września żołdacy Pinocheta porwali córkę właściciela i wymusili oddanie placu za darmo, w zamian za życie dziecka. Villa znajdowała się wtedy w strategicznym miejscu: między lotniskiem a centrum telekomunikacyjnym, z którego Pinochet kierował zamachem stanu. Włoch odzyskał córkę i wyjechał z Chile. Villę Grimaldi zamieniono w miejsce kaźni.

Pieczę nad obozem koncentracyjnym, jak mówią o tym miejscu rodziny

i przyjaciele ofiar, przejęła DINA, policja polityczna Pinocheta.

O, w tym miejscu, gdzie rosną drzewka, otoczone kwadrami ułożonymi z kamieni, znajdowały się baraki i namioty, w których gromadzono ludzi. Zatrzymanych tu bito, torturowano, ale najgorsze działo się tam – Luis pokazuje w stronę drugiej części obozu, gdzie stoi wysoka drewniana wieża. Tych, którzy trafiali do wieży, nikt więcej nie widział. Tam znikali. Reszta więźniów słyszała tylko dochodzące z oddali nieludzkie ryki dręczonych ciał.

W wieży znikło około dwustu osób. Ich nazwiska, odtwarzane z pamięci, na podstawie relacji świadków, są wyryte na kamiennej tablicy.

Przez tortury w Villi Grimaldi przeszło około pięciu tysięcy Chilijczyków.

Ostatni dowódca chilijskiej bezpieki za rządów Pinocheta chciał sprzedać Villę komuś ze swoich krewnych. Nie udało się – prawo zakazywało takich praktyk. Rozkazał więc spalić obóz, by nie został kamień na kamieniu.

Po odejściu dyktatora rodziny ofiar uzyskały od nowych władz zgodę na urządzenie tu miejsca pamięci. Luis Santibáñez zrekonstruował obóz i odbudował na podobieństwo tego z czasów horroru.

– O, dokładnie tu, trzymali mnie w tej kwadrze.

Adriana Urrutia, starsza pani, niegdyś aktywistka MIR-u, zgadza się z oporami na krótką rozmowę o tym, co przeszła w obozie. Stoi teraz w tym samym miejscu, w którym chłopcy Pinocheta dręczyli przed laty jej drobne, kruche ciało. Jak to się odbywało, wie pan pewnie z książek. Gwałcili, podłączali prąd. Miałam zawiązane oczy, ale i tak wszystko widziałam. Trwało to siedem miesięcy – najpierw w budynku przy ulicy Londyn 38, potem tutaj.

Któregoś dnia powiedzieli: „Nie zabijemy cię, ale naznaczymy na resztę życia”. Przyciągnęli ciężki wózek napędzany silnikiem i rozjeżdżali nim moje nogi. Cud, że chodzę.

Pojednanie narodowe? Jak, skoro ci bandyci chodzą po ulicach. Pewnie pan słyszał opowieści o tym, jak torturowani wpadali na ulicy na swoich oprawców. Jedni mdleli, inni krzyczeli. A byli i tacy, którzy dzwonili po telewizję i przed kamerami urządzali słowny lincz.

Po zakończeniu dyktatury w Chile powstawały dysertacje naukowe z psychologii i socjologii o jednostkowej i zbiorowej traumie, jaką wywołał masowy terror i zinstytucjonalizowane tortury. Tamtego przedpołudnia na terenie Villi Grimaldi spotkałem Marię Paz Rojas, neuropsychiatrę, która od

początku dyktatury zajmowała się ludźmi złamanymi przez koszmar cielesnych i duchowych udręk.

Opowiada: tortury były głównym narzędziem represji reżimu Pinocheta. Stosowano je od pierwszego do ostatniego dnia dyktatury. Prawie każdego zatrzymanego poddawano natychmiast torturom. Nie liczyły się wiek, status społeczny, płeć, stan zdrowia, ani rodzaj wykroczenia.

Najczęściej stosowano prąd. Przywiązywano człowieka do metalowego łóżka i rażono wrażliwe części ciała: genitalia, jamę ustną, odbyt. Wieszano za złączone do tyłu ręce, rażono prądem, a od szarpania się, pod ciężarem pękały stawy barkowe. Topiono ludzi w ekskrementach…

Tortury wywołują w człowieku traumę trudną do zatarcia. Człowiek wychodzi z tortur złamany fizycznie i psychicznie. Świadomość, że ktoś inny ma nad nami nieograniczoną władzę, odbiera godność, upokarza, wywołuje na stałe nieufność do innych. Pozostawia trwałe uczucie lęku, prowadzi do izolacji, zwichnięcia osobowości.

Problemem w Chile było przez lata również to, że torturowani nie uzyskali społecznego uznania swoich cierpień. W czasach dyktatury człowiek wracał po dłuższej nieobecności, odmieniony, przetrącony, a sąsiedzi i znajomi udawali, że nic się nie stało, że wrócił pewnie z dalekiej podróży. To pokazuje, jak głęboko strach odmienił chilijskie społeczeństwo. Jedni bali się mówić, inni bali się pytać. Ktoś się kiedyś zastanawiał, dlaczego Chilijczycy to taki smutny naród? Niech mi pan wierzy, kiedyś było inaczej…

Jeszcze przez lata po zakończeniu dyktatury traumę wśród torturowanych wywoływała świadomość, że oprawca nadal gdzieś istnieje. Że chodzi po ulicach, jest bezkarny, że można go spotkać w sklepie albo w restauracji.

Wielu torturowanych zaczęło publicznie opowiadać o koszmarach dopiero po zatrzymaniu Pinocheta w Londynie.

Opowieść jednego wygnańca (3)

Ekwador był wielkim przytułkiem dla Chilijczyków i politycznych uchodźców z innych krajów – Argentyny, Urugwaju, Boliwii… Byli tam komuniści, socjaliści, MIR-owcy, agenci Pinocheta, chadecy. Większość przyjechała nielegalnie, nie mieli pracy.

Byłem całkowicie zdezorientowany. Partia kazała mi wyjechać z Chile, żebym się szkolił. Ale nic nie było zorganizowane. Nie wiedziałem, gdzie mam jechać, z kim, do kogo, nikt się do mnie nie zgłosił.

Skontaktowali się ze mną ekwadorscy komuniści. Byli bardzo prokubańscy, inaczej niż my, w Chile. Zaoferowali mi ćwiczenia w górach. W Ekwadorze nie było *guerrilli,* ale odbywały się szkolenia w partyzanckich warunkach. Marsze, strzelanie. Szliśmy na przykład trzy dni po trudnym terenie, a w przerwach ktoś robił wykłady z marksizmu-leninizmu. Dla mnie była to romantyczna i egzotyczna przygoda, jednak niewiele brakowało, aby skończyła się tragedią.

Miałem wypadek samochodowy w górach, w okolicach miasteczka Riobamba. Jechało nas kilku z górskiego „oddziału" ćwiczebnego, kierowca zasnął, spadliśmy w przepaść. Kilku kolegów zginęło na miejscu. Mnie żebra przebiły płuco.

Trafiłem do szpitala, nie pamiętam, kto nas odnalazł. Ksiądz udzielił mi ostatniego namaszczenia. Broniłem się, że nie chcę, że nie zamierzam umierać. Dochodziłem do siebie przez dwa miesiące. I w czasie, gdy gdzieś na dalekiej prowincji leżałem w szpitalu, w stolicy Ekwadoru Quito doszło do prawicowego zamachu stanu. Przewrót spowodował komplikacje dla nielegalnych imigrantów. Złapanych Chilijczyków odsyłali do Chile.

Któregoś dnia do szpitala przyjechali z bezpieki. Prowadzili śledztwo w sprawie naszego wypadku i ustalili, że samochodem jechali wywrotowcy – znaleźli broń. Wykręcałem się. Mówiłem, że złapałem samochód na „stopa” i nie znam ludzi, którzy nim jechali. Nie uwierzyli. Zostałem aresztowany. To znaczy, leżałem dalej w szpitalu, tylko przydzielono mi strażnika. Zaproponowali mi wybór: albo proces w Ekwadorze, albo odesłanie do Chile.

Ekwador był, na moje szczęście, krajem, w którym wszystko można było kupić. Koledzy zapłacili komu trzeba i szpital opuściłem bezpiecznie.

Śledztwo przyspieszyło mój wyjazd z Ekwadoru. Bałem się, że ktoś może sobie o mnie przypomnieć. Prosiłem w przedstawicielstwie ONZ, żeby przyspieszyli załatwienie dla mnie wizy jakiegoś kraju. Załatwili wizę norweską, lecz niemal równocześnie do towarzyszy ekwadorskich zadzwonił ktoś z Moskwy i powiedział, że ja oraz kilku moich kolegów z Chile mamy zgłosić się do polskiej ambasady w Quito. Tam dostałem bilet do Warszawy przez Paryż. Sądziłem, że pojadę na szkolenie wojskowe albo polityczne; czułem, że jestem bliski celu.

Po półtorarocznym „tranzycie” w Ekwadorze wyjechałem.

Francja była powtórką bezradności i braku pomysłu na to, co dalej. W Paryżu nikt na mnie nie czekał, nikt nie miał dla mnie ani żadnych wiadomości, ani instrukcji. Czym prędzej pojechałem do Warszawy.

Na lotnisku Okęcie znów rozczarowanie; znów nikt mnie nie oczekiwał. Nie miałem ze sobą nic, tylko plastikową torbę z jakimiś papierami. Bez języka, bez grosza, bez żadnego kontaktu.

Ktoś się ulitował i zawiózł mnie do młodzieżowego biura turystyki Almatur, stamtąd jakaś dziewczyna, która znała hiszpański, wysłała mnie do Łodzi, gdzie znowu nikt nie czekał… Byłem zrozpaczony. Siedziałem w nocy na dworcu kolejowym w Łodzi, wokół kręcili się żule i prostytutki, a ja nie miałem pojęcia, dokąd pójść, co się ze mną stanie. Zauważyłem w końcu chłopaka, który wyglądał jak Latynos i okazał się studentem z Panamy. Zaprowadził mnie do znajomego studenta z Chile. Odetchnąłem. Ale tylko na chwilę. Ów opowiedział mi o chilijskich emigrantach w Warszawie, o tym, jak żrą się między sobą, podgryzają, kłócą. Jak to emigranci.

Poszedłem do Edmunda Osmańczyka, który stał na czele Komitetu

Solidarności z Chile. Osmańczyk roztoczył przede mną perspektywę studiów w Polsce, stypendium, czego dusza pragnie. Ale ja nie chciałem studiować w Polsce. Nie znałem polskiego, nic mnie Polska nie obchodziła, chciałem przejść szkolenie polityczne, albo wojskowe, żeby następnie przyłączyć się do ruchu oporu w Chile. W tym jednak Edmund Osmańczyk pomóc mi nie umiał. Rozmawiałem później wielokrotnie w sekcji Ameryki Łacińskiej PZPR. Zawsze kończyło się tak samo, to znaczy niczym. Nigdy nie powiedzieli „nie". Mówili: „Dobrze towarzyszu, przyjrzymy się sprawie". I nic.

Chciałem nawiązać kontakt z władzami mojej partii na wygnaniu – w Moskwie lub w Budapeszcie. Nikt mi nie pomógł. Polskie władze nie wydały mi tymczasowych dokumentów, które umożliwiłyby mi podróżowanie, nie pomogły w nawiązaniu kontaktów.

Poddałem się. Dostałem stypendium, zacząłem studiować dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim. Było nas kilkunastu uchodźców z Chile; spotykaliśmy się, ale nie była to żadna działalność, nic na serio. Wozili nas po fabrykach, byłem w Ursusie, w Domu Słowa Polskiego, gdzie opowiadaliśmy o rewolucji Allende i represjach dyktatury. Potem się zorientowałem, że wszystko organizowali w taki sposób, żeby nie padały pytania z sali. To były spotkania z „aktywem partyjnym", który klaszcze i pytań nie zadaje. A jeśli już jakieś pytania padały, to głupie, w rodzaju: „Co się panu najbardziej podoba w Polsce?".

Pouczającą lekcją o socjalistycznej Polsce było dla mnie zetknięcie z telewizją. Nagrywali z nami program o Chile. Gdy zacząłem mówić o ingerencji Stanów Zjednoczonych, prowadzący dziennikarz poderwał się na nogi. – Nie, nie, o tym nie mów, opowiedz, jak cię torturowali, jakie straszne represje. O Ameryce nie. Okazało się, że nawet w socjalistycznej Polsce jest to temat tabu.

Zaprosili mnie na jakieś spotkanie dyskusyjne ZSMP, albo SZSP, nie pamiętam. To samo. O wsparciu Ameryki dla dyktatury Pinocheta nie wolno było mówić.

Wyszedłem ze spotkania. Pobiegł za mną jeden z młodych działaczy, może teraz jest nawet jakimś ważnym ministrem. Zaproponował, że mnie podwiezie, a w samochodzie od razu zaczął: „Sprzedaj mi dolary". Nie miałem ani centa.

Pierwsze wrażenie co do realnego socjalizmu? Szary i smutny świat, szarzy i smutni ludzie. Brzydka architektura, brzydkie ubrania. Zacofanie nie takie, jak

w Ameryce Łacińskiej w tamtym czasie, ale w porównaniu z Francją… Inna planeta. W krajach Ameryki Łacińskiej była bieda, ale docierały tam przynajmniej wszystkie nowości ze świata. Moda, muzyka. Do Polski nie docierało prawie nic.

Trudno było kupić buty, żyletki były luksusem, a slipki, które mi ofiarował kolega Chilijczyk z Łodzi, nie nadawały się do założenia. „Sportów", papierosów polskich robotników, nie dawało się palić. Chilijscy robotnicy palili „Marlboro".

W akademiku na samym początku ukradli mi dżinsy, a potem walkmana, którego przywiozłem z Paryża.

Kolega Chilijczyk pracował w FSO. Szybko zauważył, że w fabryce nikt nic nie robi, że marnuje się czas i ludzkie siły. Przedstawił projekt racjonalizacji. Koledzy zaczęli go bojkotować, potem kraść mu narzędzia, a w końcu zagrozili, że dostanie wpier… Poszedł na skargę do I sekretarza partii w fabryce. „Panie, a co ja mogę" – usłyszał.

Polacy byli dla mnie wówczas społeczeństwem niezrozumiałym, pasywnym, bez kultury politycznej.

A jednak tu zostałem. Było szaro i smutno, nie było demokracji, ale widziałem również plusy. Powszechny dostęp do kultury, niespotykany w świecie, który znałem wcześniej, pewność jutra i… brak reklam. Urodziłem się w świecie reklam, które bombardują człowieka od kołyski, i ich nieobecność była dla mnie ulgą, wytchnieniem. W Polsce widziałem co najwyżej reklamę: „Pij mleko". Podobało mi się to.

Kilka lat później mogłem zostać w Szwecji, gdzie osiedlił się mój brat. W połowie lat osiemdziesiątych pojechałem go odwiedzić. Pracowałem, zarobiłem na mieszkanie, ale zostać tam nie chciałem. Nie polubiłem szwedzkiego chłodu. Ani klimatu, ani ludzi.

Nie byłem entuzjastą „Solidarności". Oczywiście, rozumiałem dlaczego wybuchł tamten bunt. Ale z drugiej strony, miałem złe zdanie o ludziach, których znałem z uniwersytetu, i którzy do „Solidarności" się przyłączyli. Byli niepoważni, z uproszczoną wizją świata. Nie rozumieli mojej sytuacji, i moich wyborów. Nie rozumieli, co znaczyło być komunistą w kraju takim jak Chile, ani co to naprawdę kapitalizm i imperialna polityka Stanów Zjednoczonych. Moje przeczucia, co do niektórych, potwierdziły się. W stanie wojennym stali się nagle apolityczni, a potem prędko poszli pracować do telewizji i gazet – na miejsca

zwolnione po wyrzuceniu z pracy dziennikarzy sympatyzujących z opozycją. Byłem zdumiony, jak łatwo zmieniają fronty.

Tydzień przed stanem wojennym pojechałem do Bułgarii na doroczny zlot chilijskich emigrantów, którzy osiedlili się we wschodniej Europie. Kupiłem na drogę kilka gazet, między innymi „Politykę" i „Tygodnik Solidarność". Za radziecką granicą funkcjonariusze radzieckiej straży granicznej kazali mi wysiąść z pociągu i godzinę przesłuchiwali z powodu „Tygodnika Solidarność", który leżał na moim stoliku.

W Sofii towarzysze rzucili się na mnie: „Co się dzieje w Polsce? Opowiedz o kontrrewolucji". Znali tylko jedną wersję polskiego kryzysu – tę z moskiewskiej „Prawdy". Powiedziałem, że w Polsce doszło do buntu mas przeciwko wyobcowanej biurokracji partyjnej. Nie przyjęli do wiadomości, protestowali, patrzyli podejrzliwie. Chyba uznali mnie za renegata, bo więcej nie dostawałem zaproszeń na zloty. Na jeden – do Berlina Wschodniego – pojechałem z własnej inicjatywy, bez zaproszenia. Była połowa lat osiemdziesiątych. Tam się dowiedziałem o planie masowego powrotu działaczy naszej partii do Chile. Towarzysze mówili: nowy etap, czas oporu, czas walki. Entuzjazmu było dużo, ale odniosłem wrażenie, że organizacyjnie kiepsko to wyglądało. Koledze, który opowiadał mi wtedy o planie powrotu, udało się przedostać do kraju. Zabili go.

Przed stanem wojenny współpracowałem z Radiem Polonia, nadającym dla słuchaczy z Hiszpanii i krajów Ameryki Łacińskiej. Byłem spikerem i tłumaczem. Po 13 grudnia 1981 roku odszedłem. Próbowali mnie zatrzymywać. „Mario, zostań" – mówili. Ale mnie propaganda jakoś nie przechodziła przez gardło.

Gdy do Warszawy przyjechała delegacja Komunistycznej Partii Chile i poprosiła nas, członków partii żyjących w Polsce, żebyśmy ogłosili deklarację poparcia dla wojska, partii i generała Jaruzelskiego, odmówiłem. Sami przywieźli swój list z poparciem. Dali mi go do tłumaczenia. Był napisany potwornym, stalinowskim żargonem. Wstyd czytać. Robiłem cuda, żeby w przekładzie jakoś ten tekst osłabić. Potem mnie nawet pytali, dlaczego taki krótki. Wyjaśniałem im, że język polski jest mniej barokowy od hiszpańskiego.

Komunistyczna Partia Chile, moja dawna partia, uległa degradacji. Zniszczyły ją najpierw represje, a potem walki frakcyjne, sekciarstwo, partyjna biurokracja, brak demokracji, stary język, skostnienie. Kiedyś partia cieszyła się

poparciem ponad jednej piątej chilijskich wyborców; po czasach dyktatury zanotowała poparcie zaledwie trzech procent Chilijczyków. Sam sobie zadaję pytanie: czy towarzysz Luis Corvalán, ówczesny I sekretarz, wiedział, co naprawdę działo się w Związku Radzieckim? Nigdy nie poprosili nas, dawnych działaczy partii mieszkających w Polsce, o analizę polskiej sytuacji z pierwszej ręki. Byli przekonani, że radziecka partia zdradziła, a upadek realnego socjalizmu to triumf kontrrewolucji.

Chile: lekcja historii. Trzydzieści lat później (4)

(Z Santiago)

Rocznicowy wieczór, 11 września. Najpierw poszedłem na wiec przed pałacem La Moneda. Ale najbardziej chciałem dotrzeć do budynku zwanego Casa Piedra, gdzie Fundacja Augusta Pinocheta skrzyknęła uroczyste obchody przewrotu. Manifestacje lewicy w krajach Ameryki Łacińskiej to coś powszedniego, łatwo dostępnego. Znacznie trudniej zobaczyć manifestację byłych wojskowych i ich zwolenników. Wszędzie, ale nie w Chile.

Przybyło ponad stu ministrów z kolejnych gabinetów Pinocheta. Generałowie, pułkownicy, cywile. Wszyscy z rodzinami. Setki elegancko ubranych sympatyków dyktatora. Inny świat, inne Chile – kraj, jakiego do tamtej chwili z bliska nie widziałem. Rozmawiałem wcześniej z pinochetystami, ale zapach pinochetyzmu, jego ducha poczułem dopiero tamtej nocy w Casa Piedra.

Najpierw uwertura: marsze wojskowe. Na salę wkraczają goście specjalni – ministrowie z rządów wojskowych. Chilijski hymn narodowy, a po jego zakończeniu okrzyki z wyciągniętymi w górę rękami: „Chi-chi-le-le-le! Viva Chile! Pinochet!”. I tak kilka razy. Po krótkiej przerwie znów kilka razy: „Chi-le-le-le, niech żyje Pinochet”. I tak do końca wieczoru.

Pinochet nie przyjechał, od dawna ciężko chory. Będzie obecny na fotografiach wyświetlanych na dużym ekranie. Uśmiechnięty. Zamyślony. Ogłaszający powołanie junty. Mąż. Ojciec. Dziadek. Wierny syn Kościoła – z Janem Pawłem II (chyba ze dwadzieścia różnych zdjęć).

List byłego dyktatora odczytuje wnuczka. „Niech żyje Dziadek! Niech żyje!!!” – odpowiada tłum.

Pinochet darowuje fundacji szarfę prezydencką. Znowu: „Niech żyje!”.

Na mównicę wchodzi minister spraw wewnętrznych z czasów dyktatury, generał Sergio Jarpa. „Chi-chi-le-le-le!!!”. W górę serca i portrety Pinocheta. „Kochamy Cię!”.

Generał Jarpa zaczyna przemówienie. Jedenasty września był powstaniem ludowym. Czasy Allende to czarny okres dziejów Chile. Czasy rządu wojskowego – trudne, ale pełne chwały. Wylicza sukcesy gospodarcze. Cytuje dokumenty partii lewicowych, które chciały zgotować rzeź niewiniątek. Udaremnił ją Wielki Bohater Naszych Czasów.

Gdy w jakimś momencie pada nazwisko Allende, rozlegają się gwizdy i wściekłe wrzaski. Gdy pada nazwisko Patricio Aylwina, pierwszego demokratycznego prezydenta po siedemnastu latach dyktatury – gwizdy i krzyki są jeszcze głośniejsze. (Potem ktoś mi wyjaśnił, że Aylwin, chadek, jest uznawany w kręgu pinochetystów za zdrajcę).

„Niech żyje Chile!!! Niech żyje Pinochet!!!”.

Jedna z pań, które najgłośniej krzyczą na chwałę Pinocheta, pozuje do zdjęcia z portretem dyktatora, przepraszam, Naszego Dziadka. Mówi (a właściwie krzyczy): – Oczerniają generała, a on jest naszym Ojcem, Dziadkiem, Zbawicielem. Kiedy pan usłyszał po raz pierwszy o Chile? Na pewno było to nazwisko Pinocheta, i na pewno, że to straszny tyran. No widzi pan, jak długie są ręce lewicy! A on taki kochany, słodki, ma charyzmę. Jest dla nas Dziadkiem, który twardą ręką, ale z miłością, uporządkował bałagan w domu.

Do rozmowy włącza się druga pani: – Jesteśmy oburzeni, że stawiają pomniki temu Allende. Wszyscy wiedzieli, że żył z kochanką, a żona opłakiwała jego śmierć, to było żałosne. A teraz świętego z niego robią. Prawa człowieka? To tak ładnie brzmi, ale to przecież za rządów Allende zabijali ludzi na wsi i gwałcili kobiety.

Generał Guillermo Garín przyjmuje mnie w swoim apartamencie w luksusowej dzielnicy Las Condes.

– To moja wnuczka, Candelaria. Ma dziesięć lat. Candelario, przywitaj się z panem.

Generał Garín umie rozsiewać aurę dobroduszności i zaufania. Jest do usług,

tyle czasu, ile trzeba.

Jako młody oficer pracował w zespole obsługującym dyktatora. Pinochet dostrzegł w nim łagodną twarz własnego reżimu, uczynił najpierw przybocznym, a w przyszłości widział w Garinie następcę. Zapewne dlatego rząd cywilny powołał na dowódcę sił zbrojnych kogoś innego.

Garín powtórzył litanię wszystkich pinochetystów: wojna domowa, zabici z obu stron, nie dało się inaczej, ofiar było relatywnie niewiele – trzy tysiące w porównaniu z trzydziestoma tysiącami w Argentynie. Tortury? Tak, były nadużycia, dlatego rozwiązano tajną policję DINA. – A czy wie pan, że rozstrzeliwano żołnierzy dopuszczających się łamania prawa? Generał Pinochet o niczym nie wiedział. Dowódcy garnizonów w terenie sami podejmowali decyzje. A jeśli już mowa o prawach człowieka, to pamiętajmy, że generał Pinochet obronił prawa człowieka wszystkich Chilijczyków.

Gdzie są „zniknięci”? – Powtarzam: był czas wojny, chaosu, trudno dojść, gdzie pochowano ciała. A nawet, gdyby ktoś pamiętał, to i tak nie wskaże miejsca, bo zostałby postawiony przed sądem za współudział. Ta sprawa jest rozgrywana politycznie, tu nie chodzi o prawdę.

Zapytałem generała Garina o Pinocheta: Jaki był? Jaki jest? Bardzo ludzki, prostolinijny. Uczciwy, otwarty, szczery. – Tak, czasami nie zgadzaliśmy się i mówiłem mu wprost, co myślę. Dyskutowaliśmy, ale decyzję podejmował sam i od chwili decyzji dyskusji nie było. O, a to największy Polak – generał Garín pokazuje z dumą oprawioną w ramkę i szkło wspólną fotografię z Janem Pawłem II. – Niech pan zrobi zdjęcie.

– To bardzo trudne sprawy, myślę, że rozwiązanie nastąpi dopiero w przyszłym pokoleniu. Candelario, chodź pożegnaj się z panem.

Czego Candelaria dowie się o historii swojego kraju za kilka lat?

Pinochet to jedyny dyktator w Ameryce Łacińskiej, który opuścił salony władzy z rozwiniętym sztandarem i piersią wypiętą po ordery. Batista, Somoza, Stroessner musieli uciekać nocą ze swoich krajów. W Brazylii dokonaniami dyktatury nikt się nie chlubi, choć był czas, kiedy mówiono o cudzie gospodarczym. Junta argentyńskich zbrodniarzy zadłużyła kraj, przegrała absurdalną wojnę o Malwiny i oddała władzę z podkulonym ogonem.

Pinochet inaczej – odszedł z podniesioną głową, dumny ze swoich dokonań; a jego zwolennicy – pozostali dumni z wodza. Znany w Chile dziennikarz

propagandysta pinochetyzmu (Hermogenes Pérez de Arce) skrzywił się, gdy mu przypomniałem deklarację pięciu generałów, przyznających, że w czasach dyktatury łamano prawa człowieka. – Proszę pana, wiele z tych zarzutów jest nieprawdziwych, a poza tym w czasie wojny eliminuje się wroga.

Ktoś mi później powiedział, że scenki, które widziałem na wieczorze pinochetystów, to zaledwie blady refleks hucznych obchodów, jakie odbywały się dziesięć lat wcześniej, w dwudziestą rocznicę zamachu stanu. Pinochetyści maszerowali wtedy ulicami Santiago z zapalonymi pochodniami i okrzykami: „Viva Pinochet!”. Rodziny zamordowanych i „znikniętych” oglądały w telewizji, jak na ulicach i publicznych placach składano hołdy i wyrazy uwielbienia katowi ich najbliższych.

(„Cud gospodarczy”)

Spotkanie polityków demokratycznej koalicji rządzącej ze studentami. Dwudziestoparoletni chłopak wykrzykuje senatorowi socjaliście swoje żale: – Panie senatorze, pańska droga to droga z Santiago do Valparaíso [port nad Pacyfikiem, gdzie znajduje się siedziba parlamentu]. Ale to nie jest moja droga. Cały dzień muszę pracować, żeby mieć pieniądze na studia. Uczę się w nocy. Nie stać mnie na książki.

Pinochet ma opinię dyktatora, który wprawdzie łamał prawa człowieka, ale postawił na nogi popsutą gospodarkę, zaprowadzając „konserwatywną rewolucję” kilka lat wcześniej niż uczynili to Margaret Thatcher w Wielkiej Brytanii i Ronald Reagan w Stanach Zjednoczonych. Nie miał pojęcia o ekonomii. Pewien był jednego: że wszystko ma być na odwrót niż było za rządów Allende. Posłuchał rad ultraliberalnych ekonomistów z Uniwersytetu Katolickiego, uczniów Miltona Friedmana i „Chicago Boys”. Uwolnił ceny i płace, otworzył granicę przed kapitałem zagranicznym, zniósł bariery celne, odpępowił gospodarkę od państwa. Przeprowadził częściową reprywatyzację majątków, które upaństwowił Allende. Ale miedź – punkt honoru i narodowej dumy, pozostała zgodnie z ustawami Allende w rękach państwa. Nie odbudowano również ziemskiego latyfundium.

Istnieje mit, że w Chile za Pinocheta zdarzył się cud gospodarczy. Realia są znacznie bardziej złożone, daleko mniej sielankowe.

Pierwsze lata po zamachu były dramatyczne: spadł popyt na miedź, wzrosły ceny ropy, inflacja była poza kontrolą. Szokowa terapia wyprodukowała

bezrobocie w skali wcześniej nieznanej (jedna piąta pracujących znalazła się na bruku), płace spadły o dwie trzecie. Otwarcie granic zamordowało część rodzimej produkcji – spadek o jedną czwartą. Zdławiono ruch związkowy, unieważniono prawa pracownicze. Położenie chłopów pogorszyło się nawet w stosunku do czasów latyfundium. (Podaję te informacje za *Historia de Chile* wydaną przez Uniwersytet Cambridge).

Poprawiać zaczęło się pod koniec lat siedemdziesiątych. Opanowano inflację. Dzięki dostępności kredytów rozpoczął się boom konsumpcyjny: sprzęt audio z Japonii, samochody z Korei, perfumy z Francji i whisky ze Szkocji.

Ale… prawdziwe pieniądze, przede wszystkim dzięki prywatyzacjom, trafiły do rąk wąskiej elity.

Ale… „Dużą część klasy średniej ucieszył wojskowy zamach stanu, gdyż oznaczał przywrócenie porządku, czystości obyczajów, spódnic u kobiet i krótkich włosów u mężczyzn, ale szybko zaczęły ją dręczyć wysokie ceny i bezrobocie. Z pensji nie starczało na życie…”.

Ale… „Podczas gdy prosperowały luksusowe interesy, cudowne instytucje finansowe, egzotyczne restauracje i przedsiębiorstwa importowe, u bram fabryk ustawiały się kolejki bezrobotnych mających nadzieję na zatrudnienie za minimalną dniówkę. Siła robocza stoczyła się do poziomu niewolnictwa i po raz pierwszy od wielu dziesięcioleci przedsiębiorcy mogli bez przeszkód zwalniać pracowników, nie wypłacając im odszkodowań i wtrącać do więzień za najmniejszy protest”.

Te literackie opisy Isabel Allende, innymi słowami, wracały w wielu moich rozmowach w Santiago.

Polityka ekonomiczna Pinocheta miała dalekosiężne skutki społeczne. Neoliberalna rewolucja – wówczas jeszcze nie wymyślono słowa „neoliberalizm” – była skutecznym narzędziem opanowania konfliktów społecznych. Wolny rynek – wsparty karabinami i terrorem – miał dyscyplinować rozpolitykowane i pełne aspiracji społeczeństwo. Nie było po co wyciągać ręki po pomoc państwa; nie można było niczego żądać. Wszystkim rządził nowy pan: Rynek.

Załamanie gospodarki na początku lat osiemdziesiątych zmusiło ekipę Pinocheta do korekty wolnorynkowej utopii. Żarliwą ideologię „konserwatywnej rewolucji” zastąpił zimny pragmatyzm. A wszystko z powodu recesji, która w osiemdziesiątym drugim roku wstrząsnęła Ameryką Łacińską. Największa

zapaść w regionie dotknęła neoliberalną krainę: Chile.

Pogrążony w kryzysie kraj uratowała nie „niewidzialna ręka” rynku, lecz interwencja rządu. Państwo uratowało przed upadkiem prywatne banki i zadłużyło się na miliony dolarów u zagranicznych wierzycieli. Długi prywatnych właścicieli mieli spłacać wszyscy Chilijczycy.

Wizję Pinocheta, uzdrowiciela gospodarki, stanowczo odrzuca Carlos Fuentes. Powiada się, notuje meksykański pisarz, że Pinochet odbudował gospodarkę zniszczoną przez Allende. Ale Allende nie zrujnował Chile. Padł ofiarą totalnego natarcia i konspiracyjnej zmowy rządu USA i jego chilijskich aliantów. Odbudowanie produkcji z czasów prezydenta socjalisty zajęło Pinochetowi piętnaście lat. Gdy po latach ocenia się sukcesy „Chicago Boys” Pinocheta, nie należy zapominać o przepaści między biednymi i bogatymi.

A gdyby mimo to miłośnicy pinochetowskiego „cudu gospodarczego” trwali przy swoim, to czy naprawianie ekonomii usprawiedliwia wymordowanie tysięcy ludzi, tortury, prześladowania, porwania niewinnych? „Mussoliniego chwalono za punktualność pociągów. Hitlera podziwiano za odbudowanie nękanej inflacją Republiki Weimarskiej, której produkty – czołgi i samoloty – otworzyły drogę do II wojny światowej, a cyklonu B użyto w obozach koncentracyjnych”.

(Z Santiago)

Rektor prywatnego uniwersytetu Finis Terrae, Pablo Baraona, który oprowadza mnie po akademickich włościach, podśmiewa się z demokratycznych krytyków Pinocheta. Baraona był jednym z gospodarczych ministrów dyktatora, uczniem „Chicago Boys”. – Socjaliści i chadecy robią dokładnie to samo, co my – śmieje się Jego Magnificencja. – To my wyznaczyliśmy kierunek, którym oni teraz podążają. Dlaczego? Bo nie ma innej gospodarki niż rynkowa i liberalna. Niech pan spojrzy na ten bilboard: reklamuje się na nim prywatna firma, która wygrała przetarg na zarządzanie zasobami wodnymi. To nie nasza prywatyzacja, to zrobili socjaliści. I rektor wybuchnął rubasznym śmiechem.

Dopiero wtedy zacząłem rozumieć, dlatego student krzyczał do senatora socjalisty, że mu nie po drodze z Santiago do Valparaíso. Wielu Chilijczyków traktuje obowiązujący model społeczno-gospodarczy jako pozostałość po dyktaturze Pinocheta, pozostałość, którą – podobnie jak blokady założone demokracji – należy usunąć, zmienić.

„Szklana sala” uniwersytetu chilijskiego w Santiago. Przemawia Ignacio Ramonet, redaktor lewicowego „Le Monde Diplomatique”: – Obchodzimy tak głośno rocznicę upadku rządu Salvadora Allende, bo to właśnie w Chile zamordowano nadzieję na to, że sprawiedliwy, bardziej ludzki świat jest możliwy. To w Chile narodził się model społeczno-gospodarczy, który po latach zaczął obowiązywać niemal na całym świecie. W Chile narodziło się to, co po latach nazwano globalizacją.

Chile, laboratorium świata.

Powierzchowna obserwacja, czyli zmysły, zadają kłam krytykom pinochetowskiego modelu. Znakomite drogi, komfortowe autostrady. Sklepy pełne towarów i kupujących ludzi. W sercu Santiago nie widać slumsów. Biedni żebrzą tak samo, jak w wielu miejscach na świecie – nic, co by odróżniało Chile na niekorzyść od innych krajów regionu.

Lecz gdy wyjedzie się na obrzeża miasta, choćby pojedzie piątą linią metra na jej naziemnym odcinku, z dala od centrum, łatwo przekonać się, że nawet zmysły potrafiły kłamać.

Santiago znakomicie ukrywa biedę. Osiedla nędzy i przemocy, *callampas,* wypchnięto za czasów dyktatury na peryferia lub poza granice miasta. Nie mają one rozmiarów *favelas* z Rio de Janeiro, ani *ranchos* z Caracas – tam dzielnice slumsów przytłaczają, nadają miastu na pierwszy rzut oka trzecioświatowy rys, stwarzają poczucie niepokoju, zażenowania, zagrożenia. W Chile na dużo mniejszą skalę, ale świat żyjących poza dobrodziejstwami naszej cywilizacji istnieje. I nie jest marginesem o wymiarach błędu statystycznego, szczególnie poza stolicą.

Bieda w Chile zawsze była mniejsza niż w sąsiednich krajach. Dlatego nie poraża, nie atakuje wzroku od pierwszej chwili. Nierówny podział dochodu sytuuje Chile na drugim–trzecim miejscu wśród najbardziej „nierównych” społecznie krajów regionu; tuż za Brazylią i Meksykiem. Przedsiębiorstwo „Chile” działa, ale bajki o cudzie… między bajki.

Opowieść jednego wygnańca (4)

Od osiemdziesiątego szóstego albo siódmego roku dyktatura w Chile zaczęła ogłaszać w prasie listy wygnańców, którym pozwolono wrócić do kraju. Już kilka lat wcześniej ambasada mojego kraju w RFN (w Warszawie nie było w tamtym czasie chilijskiego przedstawicielstwa) dała mi paszport, bez prawa wjazdu do Chile. W osiemdziesiątym ósmym również moje nazwisko znalazło się na liście tych, którym pozwolono wrócić.

Nie planowałem powrotu. Podróż do Chile była droga, w Polsce miałem rodzinę, dzieci; kontakty z partią zerwane. Ale nie wyzbyłem się wątpliwości: gdzie jest moje miejsce?

Nowo przybyły chilijski konsul, który był rozczarowanym pinochetystą, zaprosił mnie i innych na spotkanie. Pojechaliśmy razem do Poznania na targi, gdzie przedstawił mnie znaczącemu producentowi butów z Chile. Ten powitał mnie z entuzjazmem i zaoferował współpracę – miałem być jego przedstawicielem na Polskę. Zapraszał mnie gorąco do Chile, żebym zobaczył, jak się kręci jego biznes.

W roku dziewięćdziesiątym pojechałem. Pinochet już nie rządził.

Wylądowałem w innym, nieznanym świecie. Chile zmieniło się nie do poznania. Pod fabryką mojego „wspólnika” kolejka bezrobotnych, czekających od świtu, a nuż kogoś wyrzucą i zwolni się miejsce. „Wspólnik”, w stosunku do mnie czarujący i miły, w firmie zachowywał się jak feudalny władca. Robotników nie zauważał, współpracowników w biurze traktował jak podludzi. Opowiadał z dumą, że u niego nie ma związków zawodowych.

Poczułem się fatalnie. Przechadzałem się z nim po hali fabrycznej, miło

rozmawialiśmy, a ludzie kłaniali mi się w pas, sądząc, że jestem jakąś ważną figurą. Co ja tu robię? To nie mój świat.

Podziękowałem. Później dowiedziałem się, że jego interesy z Polską upadły, bo polski kontrahent zapłacił tylko jedną trzecią należności.

Nie poznawałem mojego kraju. Cieszyłem się, że jestem z matką, siostrami. Spotykałem przyjaciół. Ale nikt nie chciał rozmawiać o tym, co się w Chile stało i co się dzieje. Wszyscy rozmawiali o meczach, serialach, festiwalach, konkursach. Nikt nie chciał mówić o polityce. Niby dyktatura się skończyła, nic już nikomu nie groziło, a oni rozmawiać nie chcieli. Przez lata nie wolno im było mówić, i nauczyli się, że od politykowania to tylko kłopoty i nieszczęścia. Dyktatura zniszczyła ducha obywatelskiego, zdepolityzowała mój kraj. W środkach przekazu jedna wizja: Chile pupilem Ameryki, wolny rynek, wolny handel, neoliberalizm. Poziom duchowy ludzi: zerowy. Dzisiejsze Chile ma piękne miejsca, pojawiło się wiele nowych wieżowców, luksusowych dzielnic. Lecz w mojej ocenie jest to kraj orgii dla ludzi bogatych.

Poszedłem do biednych, robotniczych dzielnic. Tam czas się zatrzymał, może nawet cofnął. Domy nieodnawiane od lat, szaro, brud. Szkoły publiczne zrujnowane. Na ulicach dzieciaki sprzedają bułeczki i co-się-da – jak w Peru czy Ekwadorze. W Santiago tego nigdy nie było. Teraz, żeby mieć szansę na studia, trzeba uczyć się w drogiej, prywatnej szkole. Kogo na to stać?

Dopiero tam opuściły mnie wątpliwości co do tego, czy moje miejsce jest aby na pewno w Polsce. Zrozumiałem, że mój świat się skończył, zniknął, przepadł.

Dawnego Chile, kraju fiesty i kraju dla ludzi, już nie ma.

Tylko Erika, dziewczyna, którą zobaczyłem przed laty na zdjęciu w „Le Monde”, żona mojego przyjaciela Alfonsa z MIR-u, chciała rozmawiać naprawdę. Opowiedziała mi historię zniknięcia męża, swojego aresztowania, zaginięcia córeczki. Szczęśliwie zwolnili ją, odnalazła dziecko, udało się jej przedostać do Francji. Po ustąpieniu dyktatora wróciła do Chile.

Opowiadała, że niedawno zadzwoniła do niej kobieta, która przedstawiła się jako była kochanka jej męża. Mówiła, że po zamachu stanu Alfonso nie zginął, że uciekł z nią do Wenezueli, Meksyku, a teraz mieszka w Kanadzie. To prowokacja typków z DINA, którzy teraz torturują swoje ofiary przez telefon. Erika też tak uważa.

Gdy tak rozmawialiśmy, w pewnej chwili zerwała się: – Muszę iść, bo ta

kobieta zwykle dzwoni tego dnia o tej godzinie.

Zrozumiałem, że nawet Erika ma wątpliwości. Ciągle ma nadzieję, że jej Alfonso żyje. Choćby daleko, choćby z kimś innym…

Dla wielu ludzi w Chile dyktatura nie skończyła się nigdy.

Chile: lekcja historii. Trzydzieści lat później (5)

(Z Santiago)

Historyczne rocznice to czas odgrzebywania głęboko skrywanych sekretów. Oto generał Fernando Matthei, były współpracownik dyktatora ogłasza, że po przegranym plebiscycie Pinochet nie chciał uznać wyniku głosowania. Weto postawili inni dowódcy sił zbrojnych. Pinochet musiał przełknąć porażkę i przygotować się do oddania władzy.

„Ja umrę, mój następca umrze, a w Chile nigdy nie będzie żadnych wyborów" – zarzekał się dwa lata po zamachu stanu. Stan wojenny odwołał po czternastu latach, w osiemdziesiątym siódmym roku, przed wizytą papieża. Zgodnie z konstytucją własnego autorstwa, rok później ogłosił plebiscyt, który miał zadecydować o ustąpieniu lub zostaniu dyktatora u władzy. Przegrał – ponad połowa głosujących opowiedziała się za jego odejściem. W grudniu osiemdziesiątego dziewiątego wybory prezydenckie wygrał chrześcijański demokrata Patricio Aylwin.

Obrońcy dyktatora obstają: nieważne, o czym dyskutowano w wąskich gremiach, liczy się skutek – Pinochet władzę oddał.

Rewelacje generała Matthei stawiają decyzję dyktatora w nowym świetle.

Albo inna rewelacja: dziennik „La Tercera", powołując się na wydaną w Stanach Zjednoczonych książkę Petera Kornbluha, przytacza stenogram rozmowy sekretarza stanu USA Henry Kissingera z Pinochetem. Jest rok

siedemdziesiąty szósty. Kissinger tłumaczy dyktatorowi, dlaczego na forum Organizacji Państw Amerykańskich w Santiago będzie mówił o potrzebie przestrzegania praw człowieka w Chile. Sugeruje, że nie jest to jego inicjatywa, że zobligował go do tego Kongres USA. Osobiście Kissinger składa Pinochetowi wyrazy uznania: „Jest pan ofiarą lewicowych grup z całego świata, a jedynym pana grzechem jest to, że obalił pan rząd, który wiódł [Chile] ku komunizmowi". Pinochet żali się Kissingerowi, że w USA mieszkają chilijscy emigranci z chadecji, a także Orlando Letelier, były minister z rządu Allende, którzy mają posłuch wśród amerykańskich kongresmenów. Kissinger zapewnia dyktatora, że od lat nie widział żadnego chadeka. (Krótko po tej rozmowie tajna policja Pinocheta DINA zastawiła na Leteliera samochód-pułapkę w Waszyngtonie; w wyniku zamachu Letelier zginął).

Książka Kornbluha stanowi sensację również dlatego, że pozwala na konfrontację dokumentów wywiadu wojskowego USA ze wspomnieniami generała Matthei. Relacje generała z tajnych posiedzeń junty okazują się dokładnie zbieżne z amerykańskimi dokumentami. Chilijscy komentatorzy dopatrują się w tym poszlak, że współpraca Waszyngtonu z Pinochetem trwała niemal do końca dyktatury.

Niektórzy sądzą, że oddanie władzy we właściwym momencie to świadectwo wyjątkowego sprytu politycznego Pinocheta. Dyktator doszedł do przekonania, że po zakończeniu zimnej wojny nie będzie mógł się chować za tarczą antykomunizmu (tak uważa Carlos Fuentes). Zrozumiał, że Stany Zjednoczone – prędzej czy później – odwrócą się od niego, jak to bywało w historii z niewygodnymi sojusznikami.

Spryt podwójny: bo plebiscyt przegrał, władzę oddał, a na emeryturę nie odszedł. Przez następną dekadę zachował stanowisko dowódcy sił zbrojnych, żeby nie dopuścić do osądzenia odpowiedzialnych za zbrodnie czasów dyktatury. W odpowiedzi na żądania rozrachunków, z koszar dobiegały złowrogie pomruki.

(Prawda i kapitulacja)

Prezydent Patricio Aylwin powołał komisję prawdy i pojednania. „Komisja ta – pisał Ariel Dorfman – miała zbadać przypadki naruszenia praw człowieka w okresie dyktatury, ale tylko te, które zakończyły się czyjąś śmiercią lub które przypuszczalnie stały się powodem czyjejś śmierci.

Komisja nie zajmowała się ustalaniem nazwisk zbrodniarzy ani ich

osądzaniem. Mimo to był to bardzo ważny krok w kierunku uzdrowienia chorego kraju. Wszyscy wiedzieliśmy, że w kraju panował terror, ale każdy miał o nim wiedzę wyrywkową, czerpaną z ewentualnego własnego doświadczenia. Teraz wreszcie prawda miała być ujawniona publicznie i stać się częścią oficjalnej historii. Społeczeństwo, rozbite przez podziały i nienawiść, o której chcieliśmy zapomnieć, mogło się ponownie zjednoczyć. Ale z drugiej strony oznaczało to rezygnację z wymierzania sprawiedliwości, przemilczenie krzywd setek tysięcy ludzi, którzy cierpieli, ale przeżyli. Aylwin obrał rozważny, choć śmiały kurs między tymi, którzy żądali całkowitego puszczenia w niepamięć terroru, a tymi, którzy domagali się, by ujawnić absolutnie wszystko".

Wielu Chilijczyków, których dotknęły represje lub którzy opłakują kogoś z bliskich, nie podziela opinii wybitnego dramatopisarza. Rezygnacja z osądzenia zbrodniarzy to kapitulacja, nie rozwaga.

Kiedyś w Warszawie spytałem Patricia Aylwina, czy nie żałuje ustępstw, jakie poczyniła wobec Pinocheta opozycja demokratyczna u kresu dyktatury. – Nie mieliśmy siły politycznej, żeby obalić reżim Pinocheta – odpowiedział były prezydent. – Pokonaliśmy dyktaturę na jej polu, w plebiscycie ustanowionym w pinochetowskiej konstytucji. Zmiana dokonała się pokojowo, bez rozlewu krwi, co związało nam ręce. Może popełniliśmy błąd w kalkulacji? Nie wiem. Tak naprawdę, nie mieliśmy chyba wyboru.

Klimat wokół rozrachunków ze zbrodniarzami zmienił się na dobre dopiero po upokorzeniu, jakim było dla Pinocheta i jego sympatyków zatrzymanie w Londynie. Oto niespodziewanie, Chilijczycy – zarówno ci, którzy gardzili byłym dyktatorem, jak i ci, którzy widzieli w nim Zbawiciela Ojczyzny – ujrzeli w telewizji rezydencję Pinocheta na przedmieściach Londynu, otoczoną przez brytyjskich policjantów. Wszechmocny dyktator bezradny w obliczu prawa międzynarodowego? Zbrodnie reżimu zyskały w świecie status zbrodni przeciwko ludzkości. Fala chilijskich procesów przeciwko ludziom aparatu represji nabrała nowego rozpędu.

Wyjątek stanowił proces samego dyktatora. W lipcu dwutysięcznego drugiego roku Sąd Najwyższy Chile ogłosił, że ze względu na wiek i stan zdrowia Augusto Pinochet nie może odpowiadać za zbrodnie z lat 1973–1989. Tamtego dnia były dyktator miał osiemdziesiąt siedem lat.

(Polski spór o Pinocheta – 2)

Dlaczego polityk z kraju położonego kilkanaście tysięcy kilometrów od Polski budzi nad Wisłą tak silne namiętności?

Bo chilijska historia funkcjonuje tu jako uniwersalna przypowieść, w której przeglądają się nasze myśli i idee. W chilijskim dramacie skupiają się jak w soczewce różne polskie i nie tylko polskie pytania. Czy w imię jakichś wyższych wartości (zaprowadzenia porządku czy naprawy gospodarki) wolno zawiesić demokrację i prawa człowieka? Czy przystoi godzić się w polityce na „mniejsze zło", szczególnie gdy oznacza ono ofiary? Czy perspektywa większych ofiar usprawiedliwia zbrodnie arytmetycznie mniejsze? Czy do życia w dobrobycie demokracja jest w ogóle potrzebna?

Rzec można: Odpowiedz na każde z tych pytań, a powiem ci, kim jesteś.

Zestawia się czasem dwóch generałów: Pinocheta i Jaruzelskiego. Pamiętamy okrzyki z początku stanu wojennego: „Jaruzelski – Pinochet!". Istotnie, Pinochet z Jaruzelskim mieli coś wspólnego: czarne okulary. Ale porównanie to, emocjonalnie zrozumiałe, jest słabo uprawnione. Różne były realia geopolityczne (zależność Polski, względna niezależność Chile), różna była skala represji (stokroć brutalniejsze w Chile), różne były znaki ideowe obu generałów.

I to Jaruzelski umiał powiedzieć: „Przepraszam".

W Polsce o Chile i Pinochecie przypominaliśmy sobie, gdy Lech Wałęsa zapowiadał konieczność ochrony liberalnych reform gospodarczych, nawet środkami niedemokratycznymi; albo gdy toczyły się debaty, w jaki sposób przeprowadzić rozrachunki z ludźmi komunistycznej dyktatury. W tym ostatnim przypadku chilijski generał występował w roli bohatera pozytywnego – pogromcy „czerwonej zarazy". Znamienne, że nikt z tych, którzy chcieli skazywać polskich „czerwonych" na banicję z życia publicznego, nie wspominał o bezkarności Pinocheta, gdy w Polsce stawała sprawa odpowiedzialności generała Jaruzelskiego za stan wojenny. Potwierdza to podejrzenie, że niektórzy polscy antykomuniści uznają dyktatury lewicowe za odrażające i zasługujące na potępienie, natomiast dyktatury prawicowe za dopuszczalne.

Zatrzymanego w Londynie Pinocheta odwiedziło dwóch polskich polityków i dziennikarz, którzy uznali chilijskiego tyrana za zbawcę chrześcijańskiej cywilizacji. Wręczyli mu w prezencie ryngraf z Matką Boską.

Bałwochwalczy zachwyt – bo nie chodzi tu jedynie o zrozumienie dla racji i argumentów – z jakim spotyka się w Polsce chilijski dyktator, odpowiedzialny za zamordowanie kilku tysięcy ludzi i torturowanie setek tysięcy, aż się prosi o głęboką, psychospołeczną analizę polskiej mentalności antykomunistycznej. Niektórzy rzecznicy szeroko rozumianej prawicy – a może nie tylko prawicy, może tu chodzi o istotną część naszej zbiorowości – ciągle nie potrafią wyjść z zimnowojennych schematów myślenia, a prawa człowieka traktują jak podejrzane dziedzictwo rozmaitych rewolucji, od francuskiej zaczynając. Jak gdyby nie było pontyfikatu Jana Pawła II, który uczy, że „prawo moralne, strażnik praw ludzkich, obrońca godności człowieka, nie może zostać z żadnej przyczyny, nawet w imię bezpieczeństwa czy prawa i porządku, odsunięte na bok przez żadną osobę albo grupę ani przez samo państwo". Że „jakkolwiek trudności [historyczne] mogą wymagać czasem sięgania po środki szczególne i zachowania pewnego okresu przejściowego", to jednak „nigdy nie usprawiedliwiają one naruszania godności osoby ludzkiej i autentycznych praw godność tę chroniących".

Najgenialniejszą puentą polskiego sporu o Pinocheta jest dla mnie fragment listu Leszka Kołakowskiego do Edwarda Thompsona z 1974 roku:

Przytoczę Ci – z pamięci – rozmowę, jaką miałem z pewnym południowoamerykańskim rewolucjonistą, który opowiadał mi o torturowaniu ludzi w Brazylii. Zapytałem: „Co jest złego w torturach?", na co on powiedział: „O co panu chodzi? Czy sugeruje pan, że wszystko jest w porządku? Czy broni pan tortur?". Odrzekłem: „Wręcz przeciwnie. Po prostu pytam, czy uważa pan, że tortury są czymś moralnie niedopuszczalnym, czymś monstrualnym". „Oczywiście" – odpowiedział. „A zatem tortury na Kubie też są czymś takim?" – zapytałem. „Cóż – odrzekł – to inna sprawa. Kuba jest małym krajem, któremu stale zagraża amerykański imperializm. Muszą oni posługiwać się wszystkimi, choćby i godnymi ubolewania, środkami samoobrony".

Powiedziałem wówczas: „Nie może pan mieć dwóch rzeczy naraz. Jeżeli pan wierzy, podobnie jak ja, że tortury są czymś ohydnym i nie do przyjęcia z racji moralnych – to są one takie, ex definitione, *we wszystkich okolicznościach. Jeżeli natomiast sądzi pan, że w pewnych okolicznościach można zgodzić się na stosowanie tortur, to nie może pan potępić żadnego reżimu z tego tylko powodu, że stosuje tortury, ponieważ automatycznie zakłada pan, że*

zasadniczo tortury jako takie nie są czymś złym. Albo potępia pan tortury na Kubie dokładnie tak samo jak w Brazylii, albo sam się pan pozbawia możliwości potępiania policji brazylijskiej za to, że torturuje ludzi”…

(Z Santiago)

Łatwo nie pamiętać, że jeszcze nie tak dawno, w tym słonecznym mieście, otoczonym ośnieżonymi szczytami Andów, gotowano ludziom piekło. Łatwo nie pamiętać, gdy wejdzie się na dziedziniec uniwersytetu Finis Terrae i popatrzy na beztroskich, zatopionych w książkach i pocałunkach dwudziestolatków.

Cóż ma pamiętać bystra, ładna Angélica, która urodziła się rok po zamachu stanu? Albo przyjacielski Víctor, który urodził się w roku siedemdziesiątym dziewiątym?

Angélica wywodzi się ze skrajnie prawicowego domu (podkreśla słowo „skrajnie”). Z domu wie, że rządy Allende były katastrofą. Przyznaje, że „wiedziało się” o okrucieństwach junty, nikt nie może udawać, że nie wiedział. Gdy Pinochet oddawał władzę, Angélica miała piętnaście lat, więc pamięta sporo.

Víctor, młodszy o kilka lat, również dorastał w latach osiemdziesiątych, ale w jego domu nie mówiło się o polityce. Czy to znak, że już wtedy dyktatorowi udało się zdepolityzować społeczeństwo? – Możliwe – mówi Víctor. Wuj był w chrześcijańsko-lewicowej partii MAPU. Przeszedł obóz, tortury, wyjechał do Szwajcarii. Nie całkiem więc apolityczna to była familia. Między koszmarem wuja a milczeniem o polityce w domu dorastającego Victora istnieje dyskretny związek.

Moje pytania o przeszłość sprowokowały spór między przyjaciółmi. Gdy Angélica mówiła o terrorze lewicowych grup za czasów Allende i później, w czasie dyktatury, Víctor odpowiadał, że terroryzm był, tyle że państwowy, systematyczny – za Pinocheta.

Uśmiechają się. – Nasi ojcowie rzuciliby się jeden drugiemu do gardła, a my pokłócimy się o poglądy i pójdziemy do knajpy na wino, potańczyć. Na tym polega różnica między nimi a nami, między ich czasami a naszymi. Nie ma powodu, byśmy nienawidzili się z powodu różnicy poglądów.

Zgadzają się: Pinochet zdepolityzował Chile. Nie ma dwóch zdań. Przewrócił kraj do góry nogami, nie tylko gospodarkę. Nie tylko zbudował autostrady i zapełnił sklepy. Zmienił obyczaje i styl życia. Kiedyś Chilijczycy wychodzili do

klubów, restauracji, na ulicę i bawili się do późna. Nigdy tak jak Argentyńczycy do rana, ale do późna. Po siedmiu latach godziny policyjnej ludzie w Chile odzwyczaili się od kawiarniano-klubowego życia towarzyskiego, przywykli do siedzenia w domach. Młodzi przejęli obyczaje rodziców.

Prawdziwa inżynieria społeczna.

Pinochet demiurg.

Lekcja historii w kraju podzielonym na dwa narody. Czego nauczyli się w szkole Angélica i Víctor? Czego nauczy się wnuczka generała Garina, Candelaria?

Już na poziomie języka trudno ustalić wspólną historię. Co się zdarzyło jedenastego września? *Golpe de estado* czy *pronunciamiento militar?* Zamach stanu czy bunt wojskowy? Dyktatura wojskowa czy rząd wojskowy? Po języku rozpoznaje się, co kto myśli o przeszłości.

Manuel, student historii opowiadał mi, że w liceum, do którego chodził na początku lat dziewięćdziesiątych, o najnowszej historii nie mówiono. Nastała demokracja, a nauczyciele nadal się bali, nie chcieli konfliktów z władzami szkoły, rodzicami, uczniami. Mówiono: były sukcesy gospodarcze, były problemy z prawami człowieka, ale nie rozmawiajmy o tym.

Przeglądałem obowiązujące w szkołach średnich podręczniki. Te napisane w latach osiemdziesiątych przedstawiają propagandową wizję pinochetyzmu. Niektóre późniejsze, już z czasów demokracji, powielają wersję pinochetowską, inne – nauczają o sukcesach i porażkach obu epok, Allende i Pinocheta.

– Staram się przedstawiać najnowszą historię Chile na tle światowego konfliktu, jakim była zimna wojna – tłumaczy mi René Mueller, pięćdziesięcioletni nauczyciel liceum w dobrej dzielnicy Santiago.

– Prawa człowieka? Mówię na lekcjach wprost, że ci, którzy je łamali, zasługują na surowy osąd. Muszę uważać na słowa – trzy czwarte rodziców moich uczniów to zwolennicy prawicy, wielu to dawni zwolennicy Pinocheta. Nie uważam jednak, aby sformułowania: „zamach stanu” czy „dyktatura” były obciążone ideologią. To są terminy obiektywne. Czy za Pinocheta były wolne wybory? Nie. Czy wojskowi legalnie objęli rządy? Też nie. Nie dajmy się zwariować.

– Jak zamknąć przeszłość, jeśli winny nie chce wyznać grzechów? –

zastanawiał się kiedyś Ariel Dorfman, chilijski emigrant, autor słynnego dramatu *Śmierć i dziewczyna,* na kanwie którego Roman Polański nakręcił film. W dramacie Dorfmana kat głównej bohaterki, Pauliny Lorki, trafia po latach przez przypadek do jej domu. Ofiara i jej prześladowca – doktor Miranda – zamieniają się rolami. Paulina przesłuchuje Mirandę, bije go i poniża tak długo, aż ten przyznaje, że torturował ją i gwałcił. Miranda czyni to dopiero wówczas, gdy jest pewien, że dawna ofiara go zastrzeli. Ale ona puszcza go wolno.

– Gdyby Pinochet widział *Śmierć i dziewczynę,* uniknąłby wielu kłopotów – powiedział Dorfman. – Prześladowca Pauliny sądzi, że kobieta została wymazana z historii. Nawet nie przypuszcza, że istnieje. Tymczasem ona – mówiąc metaforycznie: bierze w niewolę Generała. Wyznanie doktora Mirandy ma uleczyć Paulinę. Wyznanie Pinocheta mogłoby uleczyć nas wszystkich.

Miniatura VI
(desaparecido)

Desaparecido „zniknięty”. *Desaparecido* – wynalazek antykomunistycznych dyktatur w Ameryce Łacińskiej.

Desaparecido to ktoś, kto wyszedł z domu i przepadł; albo ktoś, kogo zabrali z domu i nigdy nie oddali, nigdy nie pozwolili mu wrócić. *Desaparecido* nie ma grobu – przecież nie ma dowodu na to, że nie żyje, on jest tylko „zniknięty”, gdzieś zaginął, gdzieś się zapodział. Ci, którzy dokonali „zniknięcia” – czyli władza – mogą mówić: może uciekł, może się ukrył, może wyjechał. *Desaparecido* nie jest kimś, kto umarł – nic o jego śmierci nie wiadomo, nic pewnego, nikt przecież nie widział ciała – a zarazem to ktoś, kogo nie ma wśród żywych.

Pojęcie *desaparecido* najgłębiej, najboleśniej ilustruje naturę antykomunistycznych dyktatur w Nowym Świecie.

„Zniknięci” (1)

Pani Tati

– Alejandro, mój Alejandro, miał dwadzieścia lat, kiedy widziałam go ostatni raz.

Ma czarne oczy i ciemnokasztanowe włosy. Biała chustka na głowie podkreśla śniadą karnację. Oczy są jeszcze ciemniejsze, kosmyki włosów jeszcze bardziej kasztanowe. Jasność spojrzenia kogoś, kto niczego nie ukrywa, szeroki uśmiech, na dnie coś gorzkiego.

Skanduje razem z innymi: – „Nie” dla bezkarności! Sprawiedliwości, chcemy sprawiedliwości!

Gdy skanduje, jeszcze nie wiem, jak się nazywa. Wiem, że przed laty straciła dziecko.

Port w Buenos Aires, pochmurny wrześniowy dzień. Przyszedłem zobaczyć, jak kobiety w białych chustach protestują przeciwko przybiciu do brzegów Argentyny okrętu chilijskiej marynarki wojennej „Esmeralda”. Na „Esmeraldzie” za rządów Pinocheta chilijska bezpieka więziła przeciwników junty, torturowała, zabijała.

Tati Almeida, tak się nazywa, zaprasza do fundacji Matek z Placu Majowego – matek „zniknięty ch” synów i córek w latach wojskowej dyktatury w Argentynie.

Gdy zaczyna opowiadać, widzę dojrzałą, ciągle młodą matkę, jak obejmuje syna na pożegnanie: „Pa kochanie, tylko się nie spóźnij, mamy wieczorem gości”.

A Alejandro wychodzi i już nie wraca.

Gdy ostatni raz zatrzaskuje za sobą drzwi, jest rok siedemdziesiąty piąty, horror czasów wojskowej dyktatury zacznie się następnej jesieni. Ale w Argentynie od dawna jest niespokojnie: kraj rozdzierają strajki, manifestacje, zamachy miejskich partyzantów. Po ulicach miast grasuje Potrójne A *(Alianza Anticomunista Argentina).* Jest to tajna bojówka utworzona przez kręgi policyjno-wojskowe i sprawujący rządy faszyzujący odłam peronistów. Potrójne A wyłapuje i „znika" bojowców lewicowych organizacji zbrojnych. Nie trzeba być zresztą uzbrojonym *guerrillero,* żeby stać się celem porywaczy. Wystarczy roznosić „wywrotowe" gazetki, mieć niewłaściwego przyjaciela – i już można zniknąć. Rządzi Isabelita Perón, wdowa po wielkim *caudillo* Juanie, a właściwie jej zausznik – López Rega, najmroczniejsza postać epoki, założyciel Potrójnego A.

Przez następnych dziesięć lat pani Tati będzie nienawidziła peronistów, bo to za ich rządów Alejandro nie wrócił do domu.

Stanie się *gorila,* „gorylicą". *Gorila* to w potocznym języku wróg peronistów, ktoś przeważnie z bogatej rodziny, mający w pogardzie biedotę, niekiedy z koneksjami w wojskowych elitach. Rodzina Tati to sami „goryle" – bracia, szwagrowie, wszyscy wysoko ustawieni w armii.

Gdy rok po zniknięciu Alejandra wojskowi pod rozkazami generała Jorge Videli zrobili zamach stanu, powitała ich rządy z zachwytem i nadzieją. Nareszcie uda się odnaleźć Alejandra!

– Nic nie rozumiałam, miałam wokół siebie samych mundurowych, moi bracia, szwagrowie, ich przyjaciele. Żyłam na innej planecie.

Dopiero za rządów Videli „zniknięcia" stały się masowe, ale pani Tati długo nie chciała nic o nich wiedzieć, ba!, cieszyło ją, że wzięli się do drani peronistów. Prawdę o swoim kraju, środowisku, braciach, szwagrach, synu odkrywała powoli, stopniowo, z upływem czasu. Minęły lata, zanim do jej świadomości dotarło, że porywacze z Potrójnego A zwiastowali horror, który stał się codziennością za czasów junty. Że przyświecały im ta sama ideologia i te same cele, co generałom puczystom. Że zniknięcie Alejandra było jedynie zapowiedzią tego, co stało się doświadczeniem tysięcy matek za rządów ludzi, którzy mieli, jak długo wierzyła, odnaleźć jej syna.

Zerwała z rodziną.

Zaczęła nowe życie – matki szukającej „zniknięte**go**" dziecka.

– To nie ja dałam mu życie. To Alejandro mnie począł. Dzięki niemu narodziła się nowa Tati.

Przyłączyła się do zrzeszenia matek „zniknięty ch” dzieci. Najpierw brały ją za szpiega – bo przyszła po tylu latach, bo z rodziny „goryli”.

W osiemdziesiątym piątym, w czasie cotygodniowego marszu matek przed pałacem Casa Rosada, podeszło do niej dwóch młodych mężczyzn.

Objęli ją i powiedzieli: – Żyjemy dzięki Alejandrowi.

Jedenaście lat po zniknięciu syna Tati dowiedziała się, że jej Alejandro, dwudziestoletni student medycyny, był członkiem Rewolucyjnej Armii Ludowej – ERP *(Ejército Revolucionario del Pueblo).* Kolportował biuletyny. Porwali go siepacze z Potrójnego A. Torturowali, zamordowali. Alejandro przetrzymał wszystko, nikogo nie wydał.

– Tym młodym chłopcom i dziewczętom, jak mój Alejandro, niczego nie brakowało, a mimo to chcieli lepszego świata dla tych, którym brakowało wszystkiego. Często czuję, jak Alejandro mnie zagrzewa: „Mamo, nie poddawaj się, walcz!”.

Gdy widzi małe dzieci z rodzicami, myśli o synu. O rodzinie, której nigdy nie założył. O jego dzieciach, które nigdy się nie narodziły.

– Jestem otwartą raną, która się nigdy nie zamknie.

Miniatura VII
(inny, czyli wróg)

– Sedno argentyńskiej kultury politycznej: tym, którzy nie wchodzą w skład ekipy rządzącej, przypada rola wrogów ojczyzny.

Luis Alberto Romero odpowiada na pytanie o źródło okrucieństwa wojskowej dyktatury z lat 1976–1983. Romero jest najbardziej znanym historykiem współczesnych dziejów Argentyny. Mówi: żeby objaśnić polityczną kulturę, która zrodziła potworności w latach siedemdziesiątych, trzeba cofnąć się o kilka dziesięcioleci wstecz.

Notatki z rozmów z profesorem Romero (i kilku ważnych lektur):

Rok 1930. Pierwszy zamach stanu w dziejach dwudziestowiecznej Argentyny obalił prezydenta Hipolita Yrigoyena, społecznego radykała. Źródeł tamtego przewrotu było wiele; głównym – złe funkcjonowanie demokracji. Za czasów Yrigoyena (1916–1922 i 1928–1930) Argentyna miała „silny przechył" w stronę władzy prezydenckiej – skutek starej latynoamerykańskiej tradycji *caudillismo,* czyli silnych rządów, najczęściej niedemokratycznych, jednego człowieka nazywanego wodzem. Władza była w rękach jednej partii, nie było dialogu z opozycją, nikt nie słuchał opinii krytyków. Yrigoyen, społeczny reformator, był nie do pokonania w wyborach. Jego przeciwnicy uznali zatem, że jedynym wyjściem jest przewrót i władza wojskowych.

Zaczyna się rodzić charakterystyczna cecha argentyńskiej kultury politycznej: ludzie spoza ekipy władzy to nie oponenci, nie konkurenci, lecz wrogowie narodu i ojczyzny. Tę tradycję kultywowali potem wszyscy: wojskowi, radykałowie, peroniści, nawet Kościół; wszyscy obsadzali rywali w roli

śmiertelnych wrogów.

Lata czterdzieste: epoka peronizmu – i znów przeciwnicy rządzących zostają „mianowani” wrogami kraju i narodu. Dlaczego?

Międzywojnie, a potem okres drugiej wojny światowej były dla Argentyny czasem wielkiego rozwoju przemysłu, prosperity, migracji ze wsi do miast. Rodziła się nowa, aktywna klasa robotnicza, której nie dało się już dłużej ignorować. Symboliczną datą wtargnięcia mas na arenę dziejów był 17 października 1945 roku. Do centrum Buenos Aires wkroczyli demonstranci z przedmieść, domagając się powrotu pułkownika Juana Perona, odsuniętego od władzy w wyniku sporów między wojskowymi. Perón był już wtedy wiceprezydentem, ministrem wojny i ukochanym przez robotników ministrem pracy. Jego zwolennicy zawładnęli miastem, wchodzili do fontann, a mieszkańcy stolicy patrzyli na to widowisko z przerażeniem. Nie dlatego, że tamci przyszli zniszczyć ich spokój i ład społeczny. Przeciwnie – biedacy nie chcieli rewolucji, chcieli w istniejącym ładzie uczestniczyć na pełnych prawach. I to wzbudziło przerażenie.

Przestraszony biegiem wypadków rząd szybko przywraca Peronowi utracone stanowiska, a pułkownik przybywa w chwale na Plac Majowy i jako oficjalny kandydat na prezydenta przemawia do zwolenników. Tłum należy do niego. Wkrótce ludzie wybierają go na prezydenta kraju.

Perón był produktem epoki, która nastała po Wielkim Kryzysie lat trzydziestych. Kryzys doprowadził do masowego bezrobocia na argentyńskiej wsi. W ciągu dekady na obrzeżach Buenos Aires osiedliło się półtora miliona ludzi – bez pracy, bez zawodu, bez miejsca w świecie. Ludzie ci, wraz z drobnymi miejskimi przedsiębiorcami, właścicielami domowych manufaktur, stali się zaczynem nowej klasy robotniczej. Ta nowa grupa na mapie społecznej różniła się od tradycyjnych warstw średnich niemal wszystkim – poziomem zamożności, wykształcenia, nawet kolorem skóry. Ludzie ci stali się adresatami i solą peronizmu.

Argentyna lat czterdziestych była krajem zamożnym. Bogactwo zdobyła na dwóch wielkich wojnach w Europie. Eksportowała zboże, len, bawełnę, a przede wszystkim najlepszą na świecie wołowinę. W roku 1918 jej eksport był już trzy razy większy niż u progu I wojny. Do wybuchu Wielkiego Kryzysu u progu lat

trzydziestych argentyńska hodowla dostarczała ponad połowę (!) światowego eksportu mięsa; rolnictwo – trzy czwarte eksportu lnu, dwie trzecie – kukurydzy i jedną piątą pszenicy oraz robionej z niej mąki. Połowa europejskiego importu z Ameryki Łacińskiej płynęła z Argentyny. W czasie II wojny światowej i kilka lat po jej zakończeniu kraj zarabiał krocie na eksportowaniu zboża i mięsa do wyniszczonej, wygłodzonej Europy. Było więc co dzielić: robotnicy, robotnicy rolni stali się wielkimi wygranymi tamtego czasu; idee redystrybucji dochodu narodowego, aktywnej polityki socjalnej państwa przeżywały wielkie dni. Argentyna świetnie prosperowała, nikt nie musiał się poświęcać dla innych, niektórzy tylko mniej zyskiwali. Gwałtowny awans biedoty w epoce Perona głęboko zmienił społeczeństwo argentyńskie.

Gdy Perón obejmował władzę, Argentyna miała w bankowych skarbcach siedemdziesiąt procent rezerw dolarowych całego regionu. Antyperoniści mówią, że Perón kupił za te pieniądze poparcie biedoty. Bogactwa kraju poszły na konsumpcję i rozrzutną politykę społeczną. Argentynę upaństwowiono. Banki, usługi komunalne, łączność – wszystko, co się dało. Perón dekretował trzynaste pensje, emerytury, płatne urlopy, i powoływał trybunały, które miały bronić robotników przed prywatnymi pracodawcami.

Żona Perona, legendarna Evita, rozdawała dzieciom ciastka, napoje i zabawki na Boże Narodzenie – wszystko za pieniądze państwowe. Fundowała biblioteki i uniwersytety dla robotników, schroniska dla nieletnich matek, stypendia, a biednym dzieciom wakacje. Dzięki fundacji Evity sieroty z domów dziecka założyły republikę dziecięcą. Republika rządziła się własnymi prawami: miała burmistrza, walutę, policję. W ciągu czterech lat powstało pięć tysięcy nowych szkół.

Peronizm był najbardziej spektakularnym wydaniem populizmu w całym XX wieku. Był polityką nie „z” ludem czy „przez” lud, lecz „dla” ludu. Wrogowie Perona zarzucali mu, że przez rozdawnictwo dóbr schlebiał masom. Jednak aspiracje prezydenta pułkownika szły znacznie dalej: pragnął stworzyć system doskonały, który rozwiązałby jedną z kluczowych kwestii stulecia – kwestię nędzy; system, który wkraczającym na arenę historii masom znalazłby godne miejsce w państwie i społeczeństwie.

Peronizm miał rys utopii. Dla ponad połowy Argentyńczyków stanowił państwową religię, zgodnie z intencjami twórcy. Jakżeż inaczej wytłumaczyć

nazywanie partii imieniem przywódcy – Partia Peronistyczna *(Partido Peronista)?*

„Dawni politycy – głosił Perón – prowadzili politykę sytuacyjną podyktowaną interesami swoich faworytów [tzn.: oligarchii]. My, peroniści, chcemy prowadzić politykę korzystną dla mas ludowych. Ci, którzy czują się związani z przeszłością powinni przejść do opozycji".

Perón nie udawał, że chce rządzić w imieniu wszystkich. Dla opisania swojej idei wymyślił pojęcie-klucz: *justicialismo (justicia,* to po hiszpańsku „sprawiedliwość"). *„Justicialismo* – głosił Perón – jest nową filozofią życiową: prostą, praktyczną, masową, głęboko chrześcijańską i głęboko humanistyczną. Jako doktryna polityczna *justicialismo* zapewnia równowagę praw jednostki i społeczności. Jako doktryna ekonomiczna stanowi realizację ekonomii społecznej, stawiając kapitał na usługi tej ekonomii, ją samą natomiast oddając w służbę dobrobytu społecznego. Jako doktryna społeczna *justicialismo* urzeczywistnia sprawiedliwość społeczną, która zapewnia każdemu jego prawa".

Juan i Evita mieli głowy pełne snów o nowym świecie i nowej Argentynie. Rozdawali ludziom pieniądze i prawa: wyborcze dla kobiet, legalne rozwody (jeden z powodów konfliktu z Kościołem). Tak samo jak później ich rodak Ernesto Che Guevara, chcieli stworzyć nowego człowieka, choć wyobrażali go sobie na swój, oryginalny sposób. „Peronizm potępia brak odpowiedzialności, lenistwo i typowo hiszpański zwyczaj odkładania na jutro tego, co można i należy zrobić dzisiaj". Peronizm potępia też… napiwki! *„Napiwek obraża tego, kto go otrzymuje, ale także tego, kto go daje,* przypomina kelnerom, taksówkarzom, że każdy ma prawo do godności". Nowy wspaniały świat bez napiwków! Nawet fryzura Evity propagowała peronistowskie idee: włosy upięte na karku w ciasny kok, przywodzący na myśl „złożone dłonie robotnika lub dwie pięści wzniesione przeciw oligarchii".

Był w peronizmie jeszcze jeden element: nacjonalizm i niechęć do Zachodu, zwłaszcza do Stanów Zjednoczonych. Choć Argentyńczycy zawsze uważali, że ich kraj tylko przypadkiem znalazł się w Ameryce Południowej, a powinien leżeć w Europie, w czasach Juana i Evity chyba uwierzyli, że potrafią wytyczyć własną, oryginalną drogę. Gdy w latach czterdziestych Evita rzucała na kolana Paryż, „Le Monde" rozpływał się w zachwytach, że „pokazała nieznaną nam rzeczywistość: istnienie kraju, idei i ludzi, którzy nie podporządkowują się

decyzjom dwóch politycznych potęg, walczących o dominację nad światem: USA i ZSRR… Teraz wiemy, że są inne możliwości niż bezlitosny kapitalizm i odhumanizowany socjalizm". Peronizm miał być prawdziwą Trzecią Drogą między kapitalizmem i komunizmem.

Perón uczynił z ludzi biednych – *descamisados* [ludzi bez koszul; naprawdę koszule nosili, tyle że bez rękawków] – prawdziwych beneficjentów bogactw kraju. Potraktował ich jak obywateli, uszanował w nich uczestników Historii, cóż, że trochę tak jak ojciec traktuje niepełnoletnie dzieci. Biedacy odwdzięczyli mu się poparciem, oddaniem, uwielbieniem. I wiernością. W Argentynie ruchem, który zakorzenił się na trwałe, był peronizm, a nie ruch komunistyczny. W komunizm zapatrzeni byli biali inteligenci z Buenos Aires – obiekt nienawiści śniadych nędzarzy z interioru, którzy przybyli do stolicy, i wynieśli Perona na szczyty władzy.

Wejście mas na arenę historii wywołało zamieszanie, którym zaczął się żywić antyperonizm. Antyperonistami stali się ludzie, którzy musieli przyznać służbie jeden wolny dzień w tygodniu – i to wtedy, kiedy tego chcieli służący, a nie ci, którym służyli. Słowo „służąca" było zresztą w tamtym czasie – dziś byśmy rzekli – „politycznie niepoprawne". Pracodawcy musieli wymazać je ze swojego słownika i zamienić je na inne – „pracownica".

Peronizm głosił, że reprezentuje lud i naród, więc antyperonistom przypadła rola wrogów ludu i ojczyzny. Powtórka znanej już wcześniej tradycji politycznej: wszystko albo nic. Peronizm nie dopuszczał myśli, że w społeczeństwie istnieją nierozwiązywalne konflikty. Jego ideą była zorganizowana wspólnota. Kto był przeciwko tej idei, zostawał wrogiem.

Perona odsunął od władzy zamach stanu w 1955 roku. *Caudillo* udał się na emigrację, a w kraju zaczęła się epoka przemocy, przewrotów, partyzantek, której kulminacją były okrucieństwa lat siedemdziesiątych.

Skąd tyle przemocy, gwałtu? Życie polityczne Argentyny zawsze polegało na ostrym pęknięciu – przyjaciele i wrogowie, nic pośrodku (profesor powtarza wielokrotnie, z naciskiem). Tak rozumiano politykę. Kiedy zmieniała się sytuacja, następował odwet. Wojskowy przewrót, który odsunął od władzy Perona, wściekle niszczył jego wizerunki i zakazał peronistom działalności (zakaz trwał do 1973 roku). Pierwsze egzekucje o podłożu politycznym miały

miejsce cztery miesiące po obaleniu prezydenta.

Potem polityka stawała się coraz bardziej brutalna. Nawet szefowie związków zawodowych zaczęli korzystać z usług uzbrojonych ochroniarzy, żeby rozwiązywać konflikty z pracodawcami lub załatwiać porachunki między sobą. Obowiązywała zasada: „przemoc za przemoc".

Rządy po dekadzie Perona: cywile rządzą na zmianę z mundurowymi. Parlament formalnie istniał, odbywały się wybory, ale kolejnym prezydentom – mimo że mieli większość w obu izbach – rzadko przychodziło do głowy, że parlament to miejsce ustanawiania prawa; woleli stosować dekrety. Konflikty społeczne rozstrzygano drogą negocjacji między korporacjami. Przedsiębiorcy skupiali się w swoich korporacjach, robotnicy w swoich, również wojsko i Kościół działały jak korporacje. Negocjacje między nimi miały więcej wspólnego z paktami mafijnymi niż z demokracją.

Wojskowi, którzy rządzili w drugiej połowie lat sześćdziesiątych, zmienili radykalnie orientację gospodarczą Argentyny. Jeszcze za Perona kraj zaczął się integrować z gospodarką światową – wkroczyły duże międzynarodowe firmy; po upadku *caudillo* raj dla robotników i związków zawodowych skończył się bezpowrotnie, zaczął się twardy kapitalizm.

Pod koniec lat sześćdziesiątych na fali ogólnoświatowej „wiosny buntu" zaczęły się ujawniać napięcia społeczne: wybuchały protesty studenckie, robotnicy organizowali strajki. Rozbudzone w czasach Perona aspiracje różnych grup – przede wszystkim robotników i klasy średniej – przez lata dławione i uśpione, w końcu z powrotem dały o sobie znać. Ruch protestu traktował rządzącą dyktaturę jako reprezentanta interesów międzynarodowego kapitału. Dyktatura represjonowała oponentów, wtrącała ich do więzień, szykanowała, skrytobójczo zabijała.

Nie było politycznych ujść, dzięki którym można by było wpływać na życie polityczne. Ich brak zrodził w latach siedemdziesiątych nieprawdopodobną przemoc.

Czas rewolucyjnych idei, powiewu rewolucji kubańskiej, paryskiego maja '68, wiary w niemożliwe. Po latach wielu ludzi patrzy na tamtą epokę jako na czas wstrząsów i przemocy. Nie należy zapominać (profesor Romero znowu podkreśla z naciskiem), że był to też czas niezwykłego ożywienia społecznego, niesamowitej aktywności. Setki tysięcy ludzi podjęło działalność społeczną,

wszyscy chcieli politykować i zmieniać świat. Spełnienie marzeń wydawało się bliskie, na wyciągnięcie ręki.

W Argentynie był dodatkowy składnik nadziei i niepokojów: wiara w powrót Perona. Dla wielu ludzi w Argentynie powrót starego *caudillo* wydawał się jedynym rozwiązaniem. Ta wiara zablokowała inne drogi. A do tego wiele grup, środowisk, organizacji, mających często sprzeczne ze sobą programy, twierdziło: peronizm to my.

Inną propozycją ideologiczną epoki była rewolucyjna *guerrilla* miejska, odwołująca się do idei marksistowskich, mitu Che Guevary, rewolucji kubańskiej, ale nie miała wielkich wpływów. Własną partyzantkę – *montoneros* – mieli też peroniści. I to była dopiero potęga – największa *guerrilla* miejska w dziejach Ameryki Łacińskiej.

Pierwsza krew: rok 1970 (jeszcze w czasie dyktatury). *Montoneros* przeprowadzają egzekucję generała Pedra Aramburu – w odwecie za obalenie Perona w 1955 roku i za męczenników peronizmu, których rozstrzelano po tamtym przewrocie.

Montoneros, podziemna wielkomiejska armia partyzancka, zadziwili (później również przerazili) Argentynę – organizacją, skutecznością, determinacją, gotowością do umierania. Mieli kilka tysięcy uzbrojonych ludzi, doskonały wywiad w policji i wojsku, szerokie poparcie ludzi – potrafili zmobilizować wielotysięczne manifestacje i strajki; potrafili przeprowadzić każdy zamach. Żaden wróg *montoneros* nie mógł czuć się bezpiecznie.

Rok siedemdziesiąty trzeci: Perón wraca z wygnania. Następuje przebudzenie wielkich nadziei na zmiany, demokratyzację, koniec przemocy. Ale *caudillo* jest stary, chory i nie ma siły maszerować. Młodzi *montoneros* – przeciwnie; chcą iść jak najdalej, pragną powrotu do złotych lat peronizmu, szerokich świadczeń socjalnych, praw pracowniczych… Peron wypiera się swoich „dzieci”. Następuje śmiertelna wojna w peronistowskiej rodzinie. Zausznik wodza, López Rega, organizuje masakrę wymykających się spod kontroli bojowców i działaczy peronistowskich młodzieżówek. Powołuje do życia szwadron śmierci Potrójne A, który przez następnych kilka lat będzie polował na *montoneros,* na działaczy rewolucyjnej lewicy, na wszelkich przeciwników politycznych (znów daje o sobie znać tradycja: przeciwnik to śmiertelny wróg!).

Krótko po powrocie z wygnania Perón umiera. Władzę obejmuje jego druga

żona – Isabelita, lecz faktycznie rządzi tenże López Rega, który zamienia rządzący odłam peronistów w faszyzującą prawicę; jego tajny szwadron sieje postrach i śmierć.

Montoneros wypowiedzieli prawdziwą wojnę tym, których uznali za zdrajców peronizmu. Organizowali zamachy na funkcjonariuszy rządu Isabelity, na wojskowych, oberpolicjantów, urzędników, przedsiębiorców. Wysadzali okręty marynarki wojennej i samoloty wojskowe. Potrafili zaatakować koszary wojskowe, zdobyć broń i odlecieć porwanym samolotem na drugi koniec kraju, a następnie rozpłynąć się we mgle. Toczyli regularne bitwy z armią, i wygrywali je – w odróżnieniu od dużo słabszej, rozbitej niemal doszczętnie przez wojsko trockistowsko-guevarystowskiej Rewolucyjnej Armii Ludowej (ERP).

Montoneros lubili spektakularne akcje: porywali bogatych biznesmanów i zmuszali ich do podzielenia się majątkiem z biedotą. Tak było z braćmi Jorgem i Juanem Bornami (za których zapłacono rekordowy okup epoki – sześćdziesiąt milionów dolarów!) – w dzielnicach największej biedy ich koncern rozdał żywność i ubrania wartości miliona dolarów…

Kraj pogrążał się w coraz większym chaosie i ulicznej przemocy. Codziennie kogoś porywano, codziennie w miastach wybuchały bomby, liczba zabitych przekroczyła półtora tysiąca… I nie widać było zwycięzcy tej na wpół wojennej szarpaniny; wszyscy przegrywali: ludzie, bo nie dawało się już żyć; państwo (i rządzący peronizm), bo nie było w stanie zapewnić bezpieczeństwa; sami *montoneros,* bo umęczeni przemocą ludzie zaczęli się od nich odwracać.

W siedemdziesiątym szóstym na scenę znów wkraczają wojskowi. Zaczyna się największy koszmar w historii dwudziestowiecznej Argentyny…

„Zniknięci” (2)

Polo

Wygląda na oryginała, w kilkudziesięcioosobowej grupie demonstrantów od razu zwraca uwagę. Ma długie rozwiane włosy, czarną skórę nabitą ćwiekami i najlepszą z całej demonstracji tablicę. Jest to znak drogowy, okrągły jak wszystkie znaki zakazu, wokół białego tła czerwona obwódka, a w środku generalska czapka.

Leopoldo Tiseira, Polo, miał dwa lata, gdy zabrali z domu jego tatę.

Pamięta tamten wieczór jak sen, który nie wiadomo, czy kiedykolwiek się przyśnił. Nie przysięgnie, że obrazy, które ma pod powiekami, to nie autosugestia. Czy dwulatek może coś pamiętać?

Dokładny przebieg wypadków poznał z relacji wuja, Julia Visuary, który cudem uciekł z więziennego konwoju. Opowieść wuja – poznał ją jeszcze jako mały chłopiec – miesza się z pamięcią-niepamięcią prawie niemowlaka.

Przyjechali krótko przed północą, dziewiętnastego kwietnia siedemdziesiątego szóstego. Samochód marki Ford, ubrani po cywilnemu, w kominiarkach naciągniętych na głowy, uzbrojeni. Ojca, wujka i trzeciego mężczyznę, ich przyjaciela, pobili od razu w domu. Znaleźli biuletyny podziemnej organizacji. – Skąd to masz, skurwysynu, komunisto, *montonero?!*

Zabrali na komisariat.

Tam bicie i prąd. Na mokro, żeby lepiej przewodziło.

– Podaj pseudonim i funkcję, skurwielu. Nie? To sobie nie poruchasz, już nigdy ci nie stanie!

W celi Julio nie mógł nic przełknąć, szczęka połamana, usta spalone prądem.

Rano znów go wzięli. Żeby przerwali choć na chwilę, zaczął mówić. Zmyślił, że chłopak, który przyniósł biuletyny, znów ma się pojawić w czwartek o wpół do ósmej.

Potem słyszał, jak bili i gwałcili jego kobietę.

Potem – kobietę przyjaciela, która była w ciąży. Błagała, żeby nie dotykali brzucha i podbrzusza, bo straci dziecko.

Kolejną sesję tortur przerwał wyznaniem, że pokaże im, gdzie mieszka chłopak, od którego brał gazetki. Nie pamiętał adresu, powiedział, że ich poprowadzi.

W czasie drogi wyrwał strażnikowi broń i wyskoczył z samochodu. Był piekielnie silny, umiał się bić.

Półżywy biegł jak zając. Nie dopadli go.

Historię Julia Visuary spisał Rodolfo Walsh, dziennikarz legenda, związany z podziemiem peronistów. W czasach dyktatury Walsh założył konspiracyjną agencję prasową. W pierwszą rocznicę przewrotu napisał list otwarty do generałów, który krążył w nielegalnie powielonych kopiach po mieście. Wyliczał zbrodnie pierwszego roku: piętnaście tysięcy „zniknięty ch”, cztery tysiące zamordowanych, dziesięć tysięcy uwięzionych, dziesiątki tysięcy wygnanych…

Następnego dnia wyciągnęli Walsha z domu. Przepadł na zawsze.

Historie ojca Pola, wujka Julia i wiele innych ocalały na papierze dzięki temu, że kopie wszystkich relacji Walsh przekazał przezornie innemu żurnaliście – Horaciowi Verbitsky'emu. Po upadku dyktatury Verbitsky napisał książkę o Walshu i ludziach, którzy powierzyli mu przerażające opowieści. Jednym z nich był Julio, wujek Pola.

Julio nawiązał kontakt z peronistowskim podziemiem. Nie ufali mu. Jak zdołał uciec? To niemożliwe. Długo sprawdzali, czy nie jest wtyczką. Nie był.

Rok po ucieczce złapali Julia po raz drugi.

Zniknął, tak samo jak ojciec Pola.

– Miałem szczęście, że tamtej nocy nie zabrali mnie z ojcem.

Dwuletni Polo został w domu z dwoma niewiele starszymi kuzynami. Mówi o szczęściu, bo dzieci zabierali często z dorosłymi. Potem zabijali albo oddawali do adopcji.

Mama z bratem nocowała u przyjaciółki. Rano zastała Pola i kuzynów bez

opieki. Zabrała wszystkich do znajomej.

Przez lata Polo z mamą i bratem czekali. Dodawali sobie sił: na pewno gdzieś go trzymają, kiedyś w końcu wypuszczą, wróci do nas.

Polo wiedział od zawsze, że rodzice nie rozwiedli się. Gdy po latach przystąpił do zrzeszenia dzieci „znikniętych" rodziców, dowiedział się, że w innych rodzinach karmiono dzieci kłamstwami. Gdy znikało dwoje rodziców, dziadkowie mówili, że mama i tata musieli wyjechać, albo że prowadzą walkę i nie mogą mieszkać razem. Dzieci czuły się porzucone, a w tym czasie rodzice od dawna byli „zniknięci". Gdy znikało jedno z rodziców, drugie mówiło, że to pierwsze wyjechało, albo że się rozwiedli.

Polo pamięta mundial w siedemdziesiątym ósmym, to znaczy nie sam mundial, żadnego meczu, tylko że w telewizji wszyscy się cieszyli, a on z bratem i mamą płakali.

Dopóki obowiązywało prawo o amnestii dla zbrodniarzy, Polo z innymi dziećmi „znikniętych" organizowali akcje ujawniania nazwisk oprawców. Przed domem specjalisty od tortur organizowali wiec, żeby powiadomić ludzi z okolicy, czym w latach dyktatury trudnił się ich uprzejmy sąsiad. To samo robili w jego miejscu pracy. Gdy nie udawało się zwołać wiecu, dzwonili do biura, żeby poinformować pracodawcę i współpracowników, kim był ów w przeszłości.

Polo ma żal do państwa argentyńskiego, że wysyła policję przeciwko dzieciom „znikniętych", których jedyną przewiną jest ujawnianie prawdy o przeszłości zbrodniarzy. – Jednej z matek z Placu Majowego w trakcie szarpaniny policjant złamał rękę. Czy to jest moje państwo?

– Sprawiedliwość w Argentynie polega na tym, że oprawców od tortur, morderców, porywaczy dzieci możesz spotkać w luksusowej knajpie, a mnie – mówi Polo – chcą skazać za to, że „stawiłem opór organom porządku". Zorganizował z kolegami manifestację, celem było potępienie policji za brutalne potraktowanie demonstrantów rok wcześniej, zginął wtedy kolega Pola. Grzywna: trzy tysiące dolarów. – Skąd miałbym wziąć tyle pieniędzy?

Polo ma żal do państwa argentyńskiego, że nie osądziło winnych zbrodni. To znaczy niektórych najpierw osądziło, a potem uległo szantażowi generałów, ograniczyło krąg odpowiedzialnych do kilkudziesięciu osób, a na koniec ogłosiło amnestię. Tym, którzy zamordowali ojca, pozwolono dożywać lat w spokoju, co najwyżej w areszcie domowym, w otoczeniu bliskich.

Od kiedy prezydent Nestor Kirchner doprowadził do unieważnienia amnestii, pojawiła się nadzieja na sprawiedliwość. – Zobaczymy… Wielu sędziów orzekało w czasach, w których zamordowano mojego ojca; wielu łączą związki rodzinne i towarzyskie z armią. Poczekajmy. Zobaczymy…

Miniatura VIII
(terroryzm państwowy)

Notatki z lektur i rozmów z profesorem Romero:

1. Porwania, tortury, skrytobójstwa stały się codziennością życia w Argentynie pod rządami junty.

2. Ideologią wojskowych była walka z „wywrotowcami”. Tak jak w sąsiednich krajach, nazwano to „doktryną bezpieczeństwa narodowego”. Stany Zjednoczone popierały doktrynę słowem, czynem, pieniądzem.

Junta Videli nie rozróżniała uczestników grup zbrojnych i zwykłych działaczy politycznych, związkowców, dziennikarzy, adwokatów. Wojskowi dążyli do unicestwienia całej tak zwanej klasy politycznej; wszystkiego, co stanowi o istnieniu społeczeństwa obywatelskiego, niezależnie od poglądów. Nazwano to Procesem Reorganizacji Narodowej *(Proceso de Reorganizacioń Nacional).*

3. Dyktatura udawała za dnia, że jest normalnym państwem, terror siała nocą. Agenci policji i wojska wyciągali ludzi z domów, uprowadzali, torturowali, a następnie więzili w zakonspirowanych obozach *(Centros Clandestinos de Detención).* W obozach tysiące porwanych znikało. „Znikniętych” zakopywano w masowych grobach, palono, strącano z samolotów – skatowanych, półżywych – do Atlantyku.

4. Więziono, torturowano, zabijano nie tylko „wywrotowców” i działaczy politycznych, lecz także ich rodziny, przyjaciół, znajomych („zbrodnie na podstawie notesu telefonicznego ofiary”). Unicestwiali „wywrotowca”, ale również wszystkich wokół niego, którzy mogliby być zarażeni „wywrotowymi”

ideami – strategia spalonej ziemi. Ofiarami padali przypadkowi ludzie, niedziałający ani w grupach zbrojnych, ani w partiach, ani w stowarzyszeniach; niekiedy dzieci.

5. Bilans państwowego terroryzmu z lat 1976–1983: trzydzieści tysięcy „zniknięty ch".

***

Przykładowe metody tortur, opisane przez więźniów w raporcie *Nunca Más* (Nigdy więcej):

– rażenie prądem najbardziej wrażliwych części ciała – genitaliów, ust, dziąseł, piersi – po uprzednim przywiązaniu torturowanego do metalowego łoża,

– wprowadzanie do odbytu lub pochwy szerokiej rury, wpuszczanie do niej szczura i zamknięcie odwrotu – tak, aby szczur szarpał wnętrzności ofiary,

– torturowanie dzieci w obecności rodziców, rodziców na oczach dzieci,

– wypalanie na skórze,

– zrywanie paznokci,

– polewanie skatowanego ciała osoloną wodą,

– gwałty,

– fikcyjne egzekucje.

„Zniknięci” (3)

Pani Rosa

– Moja córka, Patrycja, urodziła w więzieniu chłopca. Wiem nawet, jakie mu dała imię: Rodolfo.

Córkę pani Rosy Roisinblit wzięli szóstego października siedemdziesiątego ósmego. Najpierw porwali męża córki, Manuela, potem córkę. Patrycja miała dwadzieścia sześć lat, studiowała medycynę, należała do *montoneros.* Piętnastomiesięczna córeczka Patrycji została u dziadków ze strony ojca.

Gdy ją zabrali, była w ósmym miesiącu. Po dziesięciu dniach telefon: – Mamo, czuję się dobrze, nic mi nie jest, nie martw się. Potem odezwał się męski głos: – Zarzuty nie są poważne, pół roku, może rok więzienia, przygotuj ubranka dla dziecka, zadzwonimy.

Pani Rosa przygotowała ubranka.

Nie zadzwonili.

Zaczęła chodzić z innymi babciami na Plac Majowy, przed pałac prezydencki, w którym urzędował generał Videla. Gdzie jest moja córka? Gdzie jej dziecko?

W osiemdziesiątym pierwszym dwie babcie z Placu Majowego pojechały do Genewy, żeby w komisji praw człowieka ONZ opowiedzieć o „zniknięciach” i torturach. Tam spotkały kobiety, zwolnione z ESMA, szkoły mechaniki marynarki wojennej w Buenos Aires, największego miejsca kaźni, w którym zakatowano ponad cztery tysiące osób. Dwie kobiety opowiedziały, że widziały w ESMA Partycję, asystowały przy porodzie.

Urodziła chłopca, Rodolfa. Był zdrowy, ważył trzy i pół kilo. Potem

powiedzieli, że zabierają ich do innego obozu. I ślad po nich zaginął.

Rosa Roisinblit poświęciła resztę życie, żeby odszukać córkę i wnuka. Co do córki, nie miała wielkich nadziei. A jak odnaleźć jej dziecko? Jak szukać, od czego zacząć? W historii świata nie było precedensu, żeby mordować rodziców i przywłaszczać sobie ich potomstwo. Tak samo jak wnuka pani Rosy, porwano w Argentynie około pięciuset niemowląt. Jak ustalić gdzie są? Kto je ukradł?

DNA. Metoda nieprzydatna – biologiczni rodzice porwanych dzieci są „zniknięci", nie ma jak porównać.

Po konsultacjach z naukowcami w Stanach Zjednoczonych uruchomiono program badawczy, który miał odpowiedzieć na jedno pytanie: czy na podstawie DNA dziadków można ustalić pokrewieństwo?

Odpowiedź przyszła w połowie lat osiemdziesiątych: tak, na 99,9 procent.

Po upadku dyktatury utworzono Narodowy Bank Danych Genetycznych. Babcie i dziadkowie „zniknięty ch" dzieci zostawiali w banku krew. I czekali: może któryś z wnuków, jak dorośnie, nabierze podejrzeń i zechce skonfrontować swoją mapę genetyczną z danymi zgromadzonymi w banku.

Dane w banku czekały, a babcie zamieniły się w detektywów, na własną rękę tropiły oficerów wojska i policji. Kto ma dzieci, w jakim wieku, gdzie i kiedy się urodziły. Czy przed pojawieniem się dziecka matka była w ciąży, może ktoś pamięta – sąsiad, kioskarz, koleżanka z pracy. Sprawdzanie w szpitalach, szukanie metryk, często na granicy prawa. Robienie zdjęć z ukrycia.

Gdy zbiegi okoliczności były pomyślne, babcie zwracały się do sądu o wszczęcie procedury.

Procedura: sędzia nakazuje rodzicom zgłoszenie się z dzieckiem do właściwego punktu, tam pobiera się krew, a następnie przekazuje do zbadania pod nadzorem wymiaru sprawiedliwości. Jeśli z badań wynika, że dziecko nie jest biologicznym dzieckiem rodziców i nie było legalnie adoptowane, rozpoczyna się następny etap weryfikacji: porównywanie informacji genetycznych dziecka z informacjami z Narodowego Banku Danych Genetycznych. Jeśli następuje skojarzenie map genetycznych dziecka i dziadków, sędzia informuje porwanego, kim jest, kim byli jego prawdziwi rodzice, jak się nazywa.

Następnie procedura przywracania prawdziwej tożsamości: imienia, nazwiska, przedstawienie dziecka prawdziwym dziadkom. I procedura

kryminalna: wymierzenia sprawiedliwości porywaczom.

Odnaleziono w ten sposób siedemdziesiąt pięć uprowadzonych dzieci. Zdjęcia wszystkich wiszą na wielkiej ścianie w siedzibie fundacji Babć z Placu Majowego.

Część z nich dowiedziała się o prawdziwych rodzicach, o swoim pochodzeniu, będąc dorosłymi ludźmi.

Różnie reagują. Każde inaczej. Każda historia jest inna. Pani Rosa unika zdań ogólnych. Jedni akceptują prawdziwą tożsamość; inni przeżywają szok, nie chcą, nie potrafią zaakceptować prawdy. Jeszcze inni – zamykają się, a potem z upływem czasu, krok po kroku, godzą się ze swoim losem. Są wreszcie tacy, którzy sami szukają, na własną rękę dochodzą, kim są, kim byli ich rodzice. I przychodzą do nas, i nam pomagają. Niektórzy potrzebują pomocy terapeuty – kilka dni, kilka tygodni, kilka lat. Różnie. Odzyskanie tożsamości to drugie narodziny.

Dzieci urodzone na wolności, porwane jako dwulatki, trzylatki, rozpoznawały po latach miejsca, twarze, zapachy. „Ja to znam", „ja już tu byłem", „pamiętam ten szczegół".

O niepełnoletnich decydowali sędziowie – wracały do biologicznych rodzin, do dziadków. A czasami do rodzin zastępczych.

Dorosłym nie można niczego nakazać, jedynie przywrócić nazwisko prawdziwych rodziców, wedle sądowej procedury. Co dalej – same wybierają. I wybierają różnie.

Najgłośniejsza była historia bliźniaków Matiasa i Gonzala Reggiardo Tolosa, których rodziców zamordowano, a chłopców przywłaszczył sobie i wychowywał fachowiec od tortur, oficer policji Samuel Miara. Gdy zrobiło się gorąco, Miara wywiózł chłopców do Paragwaju. Tam go odnaleziono, doprowadzono do ekstradycji, Miara został skazany. Matias i Gonzalo poznali prawdę o swojej przeszłości, zaakceptowali swoje prawdziwe nazwisko… i zdecydowali, że pozostaną z przybranym ojcem-oprawcą. Przyjęli do wiadomości prawdę – gdy w telewizyjnym *talk-show* prowadzący zwrócił się do nich po nazwisku Miara, odpowiedzieli, że nazywają się Reggiardo Tolosa; i zdecydowali zostać z przestępcą, który ich uprowadził, i któremu sąd dowiódł winę. A potem, jak by nie dość było grozy, paradoksów i dylematów – przyjęli wysokie odszkodowanie wypłacane przez państwo dzieciom „zniknięty ch" rodziców. Z pieniędzy tych

korzystał również *torturador* i porywacz Miara.

Andrea Rodríguez, która historię Matiasa i Gonzala opisała w książce *Nacidos en la sombra* (Urodzeni w cieniu), zadaje sobie pytania: – Czy można kochać dzieci, które oszukiwało się przez tyle lat? Czy można za dnia torturować, a wieczorem czytać cudzemu – ukradzionemu – dziecku bajkę z taką samą miłością, z jaką ja czytam swojej córce?

Kiedyś nie miała wątpliwości. Po latach ich nabrała. Może można?

Najgłośniejszy w historii argentyńskiego kina obraz – *La historia oficial,* jedyny, który otrzymał Oscara dla najlepszego filmu zagranicznego. Roberto, człowiek elity finansowej, biznesmen, wychowuje razem z żoną Alicją, nauczycielką historii, adoptowaną córeczkę – Gabi. Krąg ich znajomych i przyjaciół to finansiści, urzędnicy, wojskowi. Któregoś dnia Alicja spotyka na przyjęciu przyjaciółkę, której nie widziała od lat. Przyjaciółka wróciła z kilkuletniej emigracji. Alicja pyta ją, dlaczego nigdy nie przysłała listu, kartki, nie powiedziała, że wyjeżdża. W trakcie długiej nocnej rozmowy przy alkoholu dowiaduje się, że przed wyjazdem przyjaciółkę więziono, torturowano, gwałcono. „Dlaczego nie złożyłaś skargi?” – pyta naiwnie, choć szczerze. Gdy przyjaciółka opowiada o kobietach, które szły do więziennego szpitala rodzić i wracały same, Alicja wpada w irytację.

Od tamtej chwili nie zaznaje spokoju. Chodzi po szpitalach, szuka świadków narodzin adoptowanej córki, dokumentów poświadczających jej narodziny. Trafia na Plac Majowy, gdzie manifestują babcie i matki „zniknięty ch”. Zaczyna pytać samą siebie: – Czy wszystko to, o czym dowiaduje się na ulicy, jest prawdą? Czy w moim kraju ludzie naprawdę znikali? Czy możliwe jest to, co opowiadała przyjaciółka?

Gdy dopytuje męża o szczegóły adopcji, ten odpowiada zniecierpliwieniem. Alicja trafia w końcu do fundacji Babć z Placu Majowego. Odkrywa prawdę; prawdziwą historię kraju, różną od tytułowej „historii oficjalnej”, której naucza w szkole.

– Opowieść filmowa jest fikcyjna, ale głęboko prawdziwa – mówi pani Rosa. Mąż Alicji wie, że prawdziwymi rodzicami adoptowanej córki byli „wywrotowcy” zamordowani w jednym z tajnych obozów koncentracyjnych. Alicja żyje w nieświadomości, prawdy dochodzi sama, dzięki własnemu niepokojowi, wrażliwości.

Babcie z Placu Majowego odnajdowały również i takie wnuczęta, które po zamordowaniu rodziców przekazano do normalnego ośrodka adopcyjnego, a następnie adoptowano w dobrej wierze – to znaczy adopcyjni rodzice nie wiedzieli, że przyjmują na wychowanie dzieci „znikniętych" więźniów politycznych. – Mamy czternaście takich przypadków.

W takich sytuacjach babcie nie uruchamiały sądowej procedury. Dzieci dobrowolnie, jeśli chciały – a gdy lata temu były niepełnoletnie, to jeśli godzili się na to ich adopcyjni rodzice – przesyłały krew do ośrodka w Seattle, w USA, gdzie znajduje się kopia argentyńskiego banku danych genetycznych. Stamtąd nadchodziła odpowiedź, z ominięciem argentyńskiego wymiaru sprawiedliwości i medialnej wrzawy.

– Te dzieci pozostają z adopcyjnymi rodzicami, nadal ich kochają, i wiedzą kim są – mówi pani Rosa. Potworną prawdę o losie biologicznych rodziców przyjmują z mieszaniną bólu i ulgi. Ulgi doznają wtedy, gdy wiedziały wcześniej, iż są dziećmi z adopcji. Dzięki odkryciu prawdy o losie „znikniętych" rodziców, dowiadywały się czegoś niezwykle ważnego – że nie były niepotrzebne, porzucone.

– Kochamy je wszystkie. Nie ujawniamy nazwisk, nie chcemy szumu wokół ich adopcyjnych rodzin, nie chcemy przydawać im cierpień.

Gdy żegnam się, gdy prawie już wychodzę, pani Rosa mówi nieśmiało, że chciałaby coś jeszcze powiedzieć, że wcześniej nie chciała, że to zbyt bolesne…

– Niedawno odnalazłam mojego wnuka.

Ma prawie tyle lat, co Patrycja, gdy pani Rosa widziała ją ostatni raz. Rodolfo, który urodził się w katowni szkoły mechaniki marynarki wojennej, nie ma na imię Rodolfo. Pani Rosa nie powie, jak się nazywa, dopóki sąd nie przywróci mu nazwiska rodziców. Oswajają się ze sobą. Ale jest ciężko. Bardzo ciężko.

Rodolfa, tak go będę nazywał, uprowadził oficer lotnictwa. Gdy ktoś zadzwonił do pani Rosy z wiadomością, że chyba odnalazł syna Patrycji, i gdy potem okazało się, że Rodolfo to Rodolfo, były oficer i jego żona zostali aresztowani. Oskarżono ich o porwanie dziecka.

Rodolfo przeżył szok. Pani Rosa podejrzewa, że miał wcześniej kłopoty ze sobą. Nie wie jakie. Dorastał w „dobrej" rodzinie, a nie skończył szkoły średniej. Pracował w sklepie, sprzedawał buty. Ostatnio był pomocnikiem murarza.

Powiedział babci – nazywał ją Panią – że marzy o pracy spikera w radio.

Obiecała pomóc. Przypadkiem ma znajomego, który prowadzi kursy dla prezenterów. Wszystko było domówione. Nie musiałby nic płacić, pełna dyskrecja, nikt by się nie dowiedział o jego tragedii.

Nie przyszedł. Potem powiedział pani Rosie, że nie chce pomocy.

Miniatura IX
(nazi-junta)

Nieodparte pytanie: Czy argentyńska junta miała rysy nazistowskie? Czy istnieje związek między skryciem się niemieckich nazistów w Argentynie po upadku Trzeciej Rzeszy a późniejszymi o trzy dekady okrucieństwami junty generała Jorge Videli?

Zadałem te pytania Ukiemu Goñi, autorowi sensacyjnej książki *Auténtica Odessa* o międzynarodowej siatce przerzucającej nazistów do Argentyny pod rządami Perona.

Mówi: – Ideologią junty były skrajny nacjonalizm i katolicyzm w wersji integrystycznej – Bóg, Ojczyzna, Rodzina. „Żydostwo, masoneria i komunizm to trzej najwięksi wrogowie Boskiego Odkupiciela", pisali Jordan Bruno Genta (szalony katolicki mistyk) i ksiądz Julio Meinville (ultramontanin). W programowych wystąpieniach junty nie było odwołań wprost do nazizmu; były natomiast głębokie podobieństwa, a przede wszystkim praktyka. Zilustruję to przykładem. Pracowałem wtedy w anglojęzycznej gazecie dla cudzoziemców „Buenos Aires Herald". Po ukazaniu się artykułu o bezprawnych zatrzymaniach, agenci policji zabrali z biura mojego szefa, Amerykanina, Roberta Coxa. Zawieźli go do jakiejś katowni, sprowadzili do podziemi, rozebrali do naga. Tam przesłuchiwali. Opowiadał potem, że w sali przesłuchań na ścianie była wymalowana wielka swastyka.

Z raportu o torturach *Nigdy więcej:*

– oficerowie polecali podwładnym lekturę dzieł Hitlera i innych ideologów nazizmu i faszyzmu,

– groźby i drwiny wobec więźniów żydowskiego pochodzenia: „przerobimy cię na mydło”; mówili, że najważniejszy jest problem „wywrotowców”, ale również ważna jest „kwestia żydowska” i zbierają informacje na ten temat,

– torturowanych pytano, czy znają plan inwazji Izraela na Patagonię; wmawiano, że organizacje żydowskie w Argentynie i „międzynarodowy syjonizm” finansują argentyńskich „wywrotowców”,

– „dobry Żyd to martwy Żyd” – powtarzana przez oprawców fraza,

– jeden z więźniów zeznał, że w trakcie tortur oprawcy krzyczeli: „Jesteśmy gestapo!”; innego więźnia pochodzenia niemieckiego przestano torturować, gdy odkryto jego korzenie; powiedzieli, że „z taką twarzą” powinien być w SS, a jeden z oprawców pokazał mu swastykę wytatuowaną na ramieniu,

– malowanie swastyk na ciele więźniom żydowskiego pochodzenia,

– powtarzalność doniesień o swastykach wymalowanych na ścianach w salach tortur.

Sławny w Argentynie więzień dyktatury, Pablo Díaz, opowiadał mi, że w obozach, w których przetrzymywano go ponad cztery lata, najgorszy los miały kobiety i Żydzi. Kobietami zajmowali się z reguły niżsi szarżą – dręczyli je, gwałcili. Żydów prześladowały wyższe szarże – „czuło się, że tortury wobec nich miały dodatkowy motyw ideologiczny”. Znakowano cele, w których siedzieli więźniowie żydowskiego pochodzenia. Znakowano więźniów – napisami na czole: „Żyd”.

W dwutysięcznym trzecim generał Suárez Mason, odpowiedzialny za więzienie Pabla Diaza i wiele morderstw politycznych, dostał wyrok trzech lat więzienia w zawieszeniu za żydożercze wypowiedzi.

Uki Goñi twierdzi, że związki argentyńskiego wojska i sił bezpieczeństwa z niemieckimi nazistami sięgają junt wojskowych z lat trzydziestych i czterdziestych. Mówi: – Argentyńscy oficerowie jeździli uczyć się do szkół wojskowych Trzeciej Rzeszy, naziści przyjeżdżali dzielić się wiedzą i doświadczeniem do Argentyny. Argentyńscy wojskowi byli zafascynowani nazistami. Wywiady obu krajów ściśle współpracowały. Po wojnie Perón, o którym wiadomo, że admirował przede wszystkim Mussoliniego, był wybawicielem uciekających z Europy prominentów Trzeciej Rzeszy. Zbiegli naziści osiedlali się również w innych krajach – Brazylii, Chile, Paragwaju

i Urugwaju, ale to Perón był tym jedynym przywódcą państwowym, który nie tylko tolerował ich obecność, lecz także osobiście się z nimi spotykał. Krótko przed śmiercią wyznał, że proces w Norymberdze był hańbą.

Pokolenie wojskowych, które zrobiło zamach stanu w siedemdziesiątym szóstym roku dorastało i szkoliło się do wojaczki w czasach głębokiej współpracy między Argentyną i Trzecią Rzeszą. Mistrzami wojskowych nauczycieli pokolenia generałów Jorge Videli, Emilia Massery, Roberta Violi, Leopolda Galtieriego – przywódców junty – byli nazistowscy zbrodniarze.

Noc ołówków

Jeszcze śpiewamy
Jeszcze błagamy
Jeszcze marzymy
Jeszcze czekamy
żeby powiedziano nam
gdzie są ukryte kwiaty
których zapach wciąż
się roznosi ulicami…
Víctor Heredia

Najpierw w głównym parku w centrum miasta zbierają się uczniowie i studenci. Schodzą się matki i babcie „znikniętych”. Potem – wszyscy razem maszerują przez kilka godzin ulicami miasta. Tak jest co roku. Szesnasty września w La Placie jest dniem pamięci. Maszerują, żeby ludzie nigdy nie zapomnieli „nocy ołówków”.

Gdy dzieciaki z liceum wykrzykują brzydkie słowa o „skurwionej władzy”, matki i babcie kręcą głowami: „O nie, prosimy bez *kurew”.* Gdy malują farbami w sprayu wywrotowe slogany na murach ratusza, i gdy przed budynkiem policji rzucają petardy, których huk rozrywa uszy, babcie grożą palcem: „Dzieci, bójcie się Boga!”.

Niski mężczyzna w średnim wieku idący na czele pochodu uspokaja babcie, że to nic, dzieciaki nic złego nie robią, pokrzyczą, poszumią. To Pablo Díaz. Otoczony matkami i babciami, jak jakiś święty, albo święty obrazek, uśmiecha się do siebie, do babć, do wszystkich. Jakby oglądał na żywo film o sobie sprzed

lat – też rzucał petardy, malował sprayem te same hasła, i nawet na tych samych murach. Razem z Marią Clarą, Claudią, Claudiem, Horaciem, Panchitem, Danielem…

Teraz maszeruje sam.

Naszym głównym celem w Ameryce Łacińskiej jest pomoc, a jeśli to konieczne, nawet zwiększenie wpływów wojska i sił paramilitarnych, tak aby razem z policją umacniały bezpieczeństwo wewnętrzne, Robert McNamara, sekretarz obrony USA, 1967.

Mama Pabla, pani Hedda, podaje drewnianą tykwę z gorzką *mate*. Przez chwilę milczymy, każdy pociąga łyk przez metalową fajkę z sitkiem i niemal natychmiast czarodziejski rytuał puszczania tykwy wkoło czyni cuda; rozmowa zaczyna się kleić, toczyć, płynąć. – A widział pan film o „nocy ołówków”? Wszystko nakręcili w autentycznych miejscach.

Widziałem. Z historią Pabla zetknąłem się dzięki filmowi, który opowiada o grupie przyjaciół ze szkół średnich La Platy. Fabuła, a właściwie jak dokument: te same ulice, domy, nawet pokój Pabla ten sam, i wewnętrzne schody, na których szarpał się, gdy tamtej nocy wyłamali drzwi, wyciągnęli z łóżka i półnagiego wywieźli w nieznane.

Pani Hedda przynosi z drugiego pokoju oprawione w ramy zdjęcie syna („zrobione zaraz po tym, jak Pablo wrócił”). Na zdjęciu ma szczupłą twarz, czarną przystrzyżoną czuprynę, krótką brodę bez bokobrodów i dwadzieścia dwa lata – dwa razy mniej niż teraz. Zaokrąglił się, włosy się przerzedziły, posiwiały; prawdę mówiąc, wygląda na pięćdziesiąt parę, o dziesięć więcej, niż ma naprawdę.

– Gdy Pablo skończył zeznanie w sądzie, które trwało dwie godziny i czterdzieści pięć minut, to było w osiemdziesiątym piątym, nikt, dosłownie nikt, ani sędzia, ani prokurator, ani obrońcy tych bandziorów z junty, nie odezwali się słowem. Słychać było chrząknięcia, westchnienia, skrzypienie siedzeń. Po chwili sędzia zakończył posiedzenie i cichym głosem poprosił zebranych o opuszczenie sali. Nie było pytań. Wszystkim odjęło mowę.

Gdy kolejna tykwa *mate* zrobiła swoje, w nocy szesnastego września, w kolejną rocznicę „nocy ołówków”, Pablo Díaz opowiedział mi o ostatnim słońcu przed dwudziestoma siedmioma laty; o nocy, która zmieniała wszystko; o tym, co stało się potem; i o tym, co nie skończyło się nigdy. Nie zadałem ani

jednego pytania (zrobiłem to rano następnego dnia). Gdy skończył, ciągle jeszcze nie wróciłem z La Platy lat siedemdziesiątych, miasta gorączki, wybuchów i sennego koszmaru.

Naród bezpośrednio zagrożony sam podejmuje odpowiedzialność, gdy chodzi o udział czynnika ludzkiego w obronie własnej, Richard Nixon, prezydent USA, 1970. ***…[ów] czynnik ludzki [został] zorganizowany w odpowiednio wyekwipowanych siłach zbrojnych, wyszkolonych z pomocą materialną, szkoleniową, technologiczną Stanów Zjednoczonych,*** Melvin Laird, sekretarz obrony USA, 1970.

Wszystko się zaczęło od biletów autobusowych *(Boleto Estudiantil Secundario).* Ileż pał oberwali, ile guzów na głowie za wykrzykiwanie przed ratuszem: „Bilety za jednego peso!”. W siedemdziesiątym piątym bilety były polityczną banderą licealistów z La Platy. Dopięli swego. Pablo Díaz, Claudia Falcone, Horacio Ungaro i kilkuset innych uczniów szkół średnich z La Platy ulicznymi okrzykami i petardami wymusili obniżenie cen biletów w autobusach publicznych na trasach z domu do szkoły. To było jak zwycięstwo w wielkiej bitwie. Gdy ma się piętnaście, szesnaście lat, łatwo uwierzyć, że determinacją i uporem można przenosić góry, zmieniać świat.

A był to czas, gdy wszyscy chcieli zmieniać wszystko. Do Argentyny wracała po prawie dwóch dekadach pauzy demokracja. Z wygnania wracał Juan Perón… Ale oto stary *caudillo* rzecze: dosyć zmian, rewolucji nie będzie, żadnych mrzonek panowie. Rozpętuje się uliczna przemoc: zamachy, porwania, zbrojne starcia partyzantów z armią, masakry organizowane przez szwadrony śmierci.

Kraj rozpalała rewolucyjna gorączka, a w La Placie wszystkie turbulencje były dwa, trzy, cztery razy silniejsze. La Plata miała uniwersytet, gniazdo rebelii, zaplecze zbuntowanych przeciwko wodzowi, uzbrojonych po zęby *montoneros,* wszystkie inne grupy rewolucyjne, i wielkie przedsiębiorstwo naftowe na obrzeżach, czyli rzesze robotników.

Pablo i jego przyjaciele z liceum dorastali w huku, bombardowani wiadomościami o porwaniu profesora, zamordowaniu studenta, zniknięciu sąsiada. I sami byli rozpolitykowani jak diabli. Pierwszą uliczną zadymę Pablo oglądał z kolegą, gdy miał dwanaście lat. („Jak gdybym oglądał film: latały koktajle Mołotowa, policja biła demonstrantów, a potem zatrzymanych wpychała do ciężarówek”).

Albo Claudio: przez skośne oczy i obnoszenie się z *Kapitałem* Marksa miał ksywkę „Mao”. Ojciec „Mao” był plastykiem, który pracował w fabryce i był z tego dumny, bo prawdziwy marksista powinien żyć tak jak klasa robotnicza. Jako nastolatek Claudio znał biegle dzieje rewolucji rosyjskiej, wyprawy Che Guevary w Boliwii, i wiedział, że nie ma innego wyjścia jak socjalizm. Ku zaskoczeniu rodziców wstąpił do Związku Uczniów Liceów (UES, *Unión de Estudiantes Secundarios),* spenetrowanego przez peronistów („Lewica nigdy nie rozumiała sprawy narodowej”, powiedział ojcu).

Wszyscy przyjaciele Pabla należeli do związku uczniów, tylko nie Pablo. To znaczy: najpierw należał, ale po śmierci *caudillo* wystąpił; był zapatrzony w Perona, nie w peronistów. Przystąpił do małej grupki Młodzież Guevariańska, *Juventud Guevarista* („Mam sentyment do postaci Che, ale Che to przeszłość, inne czasy, inne metody”). Na filmie o „nocy ołówków” siedemnastoletni Pablo jedzie autobusem do pobliskiej *villa miseria,* slumsu, rozdaje przywiezione w torbie jedzenie, ulotki z wizerunkiem Che, prowadzi lekcje czytania i pisania dla dzieci. („Taka była ta moja działalność wywrotowa”).

To samo robili przyjaciele ze związku, barwy ideologiczne nie miały znaczenia – wszyscy chcieli być misjonarzami nowego świata. Ale mieli po czternaście, piętnaście, siedemnaście lat i tak samo ważne, ważniejsze były pierwsze grille, potańcówki, powroty do domu nad ranem. Horacio wzdychał do Marii Clary, Pablo do Claudii – bez wzajemności. Słuchali Beatlesów i ich argentyńskich naśladowców Sui Generis. *Zza murów, które wyrosły wczoraj / Błagam cię, byś nigdy się nie poddał / Wesprę cię, kiedy będzie źle / I proszę, byś ty objął mnie…*

Generał Jorge Videla, to człowiek umiarkowany, zawodowy żołnierz w każdym sensie tego słowa…, ambasador Robert Hill do sekretarza stanu Henry Kissingera, 1975.

Gdy w marcu siedemdziesiątego szóstego zaczęła się nowa dyktatura, wszystkie związki uczniowskie, tak jak dorosłe partie polityczne i stowarzyszenia, zostały rozwiązane. W szkole chłopcom kazano ściąć włosy, przy wejściu rewidowano torby i plecaki, czy nie ma ulotek i farb w sprayu. Pablo i reszta bali się trochę, ale przecież misjonarze wielkich spraw nie łamią się, ot, jeszcze jedna rozróba wojskowych, już my im damy popalić.

I znów, jak w prezencie, dostali od junty sztandar bitewny: bilety autobusowe. Wywalczonych pół roku wcześniej zniżek junta nie odwołała, ale ceny przejazdów wzrosły tak, że bilety ulgowe kosztowały teraz dwa razy więcej niż przed wygraną batalią.

Zebrali się w barze „Don Julio" i spiskowali. Co robić? Na ulicy strach się burzyć, widać było, że z nową juntą nie przelewki, że to nie kolejna zwyczajna dyktatura. Wiedziało się, że ludzie zaczęli znikać, zwłaszcza w dzielnicach robotniczych… Pablo i kompania wyspiskowali, że udekorują hasłami wszystkie szkoły – w środku i na zewnątrz: „Przywrócić zniżki na bilety", „Precz z dyktaturą", „Związek Uczniów Liceów żyje". Następnym razem mieli nie spotykać się w barze. Widać ich było jak na dłoni. Gdyby policja coś wywęszyła, zgarnęliby wszystkich.

Po latach Pablo wykalkulował, że zagrywka wojskowych z biletami była prowokacją: miała doprowadzić do ujawnienia się liderów ruchu uczniowskiego. Dokładnie w tym samym czasie po szkołach zaczęli kręcić się nieznani mężczyźni, których uznano za nasłanych kapusiów. Ni stąd, ni zowąd w jednej ze szkół znaleziono biuletyny Rewolucyjnej Armii Ludowej (ERP), dawno zdziesiątkowanej, która nigdy przedtem nie agitowała w miejscowych szkołach. Bibułę musieli podrzucić kapusie, żeby było uzasadnienie dla tego, co miało się wydarzyć, i o czym dzieciaki nie miały jeszcze pojęcia.

Ostatniego dnia sierpnia siedemdziesiątego szóstego nowy komendant policji generał Ramón Camps zapowiedział na tajnym posiedzeniu: We wrześniu kończymy z ruchem uczniowskim, to tak samo groźni wywrotowcy jak dorośli, żadnej taryfy ulgowej. Akcję zaplanowano na szesnastego. Kryptonim: *La noche de los lápices.* Noc ołówków.

Marksizm to nowoczesna herezja, a to, co obserwujemy jest współczesnym aktem odwiecznej wojny między Dobrem i Złem, generał Ramón Camps, dowódca policji, prowincja Buenos Aires, 1976.

Ostatnie słońce, piętnastego, piekło jak nigdy we wrześniu.

Claudia smażyła furę frytek i słuchała radia. Podawali komunikat o roboczym lunchu szefa junty generała Videli z radą Episkopatu i o pełnej zgodzie między generałami i biskupami. Videla łasił się do hierarchii i obiecywał ścigać Biblię Latynoamerykańską, wydaną w Hiszpanii jeszcze za generała Franco, której

ilustracje miały, jak mówiono, „charakter marksistowski i fałszujący Ewangelię". Claudia słyszała już o „zniknięciach" Świadków Jehowy z okolicy i wiadomości radiowe o brataniu się Videli z biskupami wprawiły ją w jeszcze większy niepokój. Kto następny?

Maria Clara poszła szukać Horacia. Od tygodni coś się między nimi rodziło. Znalazła go w domu, wyciszonego, melancholijnego, jak malował obraz przedstawiający oko i wielką łzę. Postanowili nie widywać się przez kilka dni. Robiło się coraz niebezpieczniej, doszły wieści o zatrzymaniu trzech uczniów z dzielnicy przemysłowej. Na noc Maria Clara poszła do ciotki Claudii, u której razem z Claudią miały przeczekać jakiś czas.

Daniel też postanowił wynieść się z domu, chociaż na kilka nocy. Miał obiecany dach nad głową u koleżanki, ale ta właśnie pogodziła się z narzeczonym i nie było trzeciego łóżka. Przygarnął go Horacio.

Pablo nie widział przyjaciół ze dwa tygodnie. Zmienił tryb życia. Rano pracował, a po południu szedł się uczyć do wieczorówki. Czternastego dostał wyczekiwaną od tygodni wiadomość: przyjęli go do stoczni, nareszcie będzie miał pracę, o jakiej marzył!

Panchito wrócił do domu późno, gdy rodzice szykowali się do wyjścia na grilla do sąsiadów. Prosili, żeby poszedł z nimi, chcieli, żeby wziął flet albo gitarę i trochę pograł. Odmówił. („Był jakiś zamyślony, rozbity", wspominała później babcia).

Przed lekcjami Claudio, ten co miał ksywkę „Mao", roznosił biuletyny. Wieści o zatrzymaniu na 24 godziny piętnastoletniego licealisty z innej dzielnicy zaniepokoiły go; a potem jeszcze trzech następnych… Jeśli wiek nie chroni, każdy jest zagrożony. Dla poprawy humoru zadzwonił po lekcjach do sąsiadki, która obiecała mu małego kota, jak się okoci jej kotka. Claudio miał kota na punkcie kotów, ale własnego zwierzaka nie miał, bo mama się nie godziła. Do łóżka, jak co dzień, wziął książkę.

Zasnął z *Dolą człowieczą* André Malraux na twarzy.

***Liczby nielegalnie zatrzymanych sięgają tysięcy, wielu jest torturowanych i zamordowanych. Wiele ofiar to ludzie, którzy nie należeli ani do [partyzantki] ERP, ani do* montoneros…,** Maxwell Chaplin, sekretarz ambasady USA w Buenos Aires do Henry'ego Kissingera, 1976.

„Noc ołówków” wyglądała tak: zamaskowani mężczyźni z bronią wyłamują drzwi, wdzierają się do mieszkania z wrzaskiem, że są z policji, albo wojska, i żądają wydania broni, albo „czegoś, co jest schowane”. Wyciągają z łóżek, biją, każą kłaść się na podłodze z rękami na głowie, demolują mieszkanie, kradną wszystko, co ma wartość i daje się zabrać bez wysiłku. Gdy w domu jest więcej niż jedno dziecko, zajmuje im chwilę ustalenie, po które przyszli. Potem zabierają. Zawiązują oczy, ręce do tyłu. Gdy rodzice lub inni bliscy błagają, że nie, że niewinny, zamaskowani odpowiadają: „Zabieramy na przesłuchanie, potem zwrócimy”.

Uprowadzeni szesnastego września, między wpół do pierwszej w nocy a piątą rano:

Panchito Muntaner, lat 16,
Claudia Falcone, lat 16,
Claudio de Acha, lat 17,
Horacio Ungaro, lat 17,
Daniel Racero, lat 18,
Maria Clara Ciocchini, lat 18.

Tych, którzy mówią prawdę, nie spotka kara…, generał Jorge Videla, 1976.

Pablo nie wiedział, co robić. Chciał pójść na komisariat, żeby szukać przyjaciół, ale przeraził się.

Rodzice uprowadzonych zgłosili się na policję, błagali o wyjaśnienie, dlaczego zatrzymano dzieci, gdzie są, na jak długo. – Nikt o tym nazwisku nie został zatrzymany. Może to „wywrotowcy” porwali państwa córkę, syna.

Pablo nie wrócił na noc do domu. Kryjówkę znalazł w wielkiej skrzyni na stacji benzynowej, gdzie pracował kolega z sąsiedztwa. Spędził tam cztery dni, potem poszedł po radę do ojca. Od dawna był między nimi chłód. Benito Díaz, znany profesor geografii i historii, uczył w liceum i na uniwersytecie; sympatyzował z prawicowym odłamem peronizmu, który miał na koncie zbrodnie szwadronu Potrójne A. Pablo był z innej politycznej planety, nie układało mu się ze starym. Teraz ojciec uspokajał syna: – Nie ma się czego obawiać, nie popełniłeś żadnego przestępstwa. Chciał nawet pójść z nim na komisariat, żeby „wyklarować sytuację”.

(„Było potem wiele takich przypadków: dzieci opowiadały rodzicom o swojej działalności w związku uczniowskim, albo innej grupie, a ci, chcąc uspokoić i siebie, i dzieci, prowadzili je na komisariat, żeby *wyklarować sytuację,* poinformować władze, że nigdzie nie działają. Dzieciaki znikały natychmiast, na tym samym komisariacie. Ojcowie szli z synami albo córkami, wracali sami. Nie pamiętam, ile było samobójstw rodziców, którzy w ten sposób, zupełnie nieświadomie, zaprowadzili dzieci na rzeź").

Za radą ojca, dwudziestego po południu Pablo wrócił do domu.

O czwartej nad ranem ośmiu zamaskowanych wdarło się do domu.

– Dawaj, skurwielu, wszystko, co ukrywasz!

– Niczego nie ukrywam…

Ukradli torebkę siostry, biżuterię mamy i aparat fotograficzny. Ukradli Pabla.

Nie wiedział, dokąd go przywieźli. Na miejscu słyszał szczekanie psów, czuł odór spalonego mięsa. Szybko stracił orientację, kiedy jest dzień, a kiedy noc. Potem rozpoznawał noc po krzykach ludzi.

Pierwsze przesłuchanie: „Jaki twój stopień w partyzantce, co się dzieje w twoim liceum, jakie gazetki czytasz…". Zaprzeczył wszystkiemu.

Przyprowadzili innego porwanego. – Opowiedz nam o Pablu Diazie? („Nie widziałem go, miałem zawiązane oczy. Tamten chłopak chyba nie wiedział, że zeznaje w mojej obecności"). Powiedział im, że Pablo jest sympatykiem Młodzieży Guevariańskiej, brał udział w zgromadzeniach uczniowskich, walczył o zniżki na bilety. Nic więcej.

Rozebrali Pabla do naga. Rzucili na mokrą stalową pryczę, rozciągnęli członki i przywiązali do czterech rogów łoża. Nastawili głośno tango.

– A teraz zrobimy ci niezapomniany seans. Znasz „maszynkę prawdy" *(máquina de la verdad)?* Nie? To teraz poznasz…

Rozpalona pałka elektryczna, *picana,* dotknęła ciała. Oparzenie, mocne szarpnięcie, konwulsje. Razili penisa, jądra, usta i dziąsła. Już wiedział, co to za spalenizna, której zapachu nie mógł rozpoznać.

Krzyczał. Zatykali mu usta poduszką.

– Podaj jedno nazwisko, to przestaniemy. Kto jest twoim szefem, psi synu?

Stracił poczucie czasu.

Gdy wrzucili go nagiego, z zawiązanymi oczami do celi pełnej ludzi, cały czas wymiotował. Prosił o wodę, ale ktoś mu powiedział, że musi wytrzymać, po

„maszynce prawdy” nie wolno pić – „rozerwałoby na strzępy jak ropuchę”.

Nie dali mu spać. Zabrali do spisania zeznań. Kazali opowiadać o wszystkim, od urodzenia. Potem dali coś do podpisania, diabli wiedzą co.

Potem od nowa. „Maszynka prawdy”. – Otwórz pięść, gdy będziesz chciał powiedzieć. Otwierał, oni przestawali, a gdy nie podawał imion, wpadali w furię: – Bawisz się z nami, skurwysynu?

Przynieśli obcęgi. Jeden usiadł na nogach, i zerwał mu paznokieć z dużego palca u nogi.

Krzyczał, że pragnie umrzeć. Błagał, żeby go zabili.

(„Na początku może i chcieli wyciągnąć jakieś informacje, jakieś nazwiska. Ale ja nie miałem co im powiedzieć. Potem sesje tortur odbywały się wyłącznie dla ich przyjemności”). „Maszynka prawdy” trwała tydzień.

Ten kraj ma swoją tradycję, więc gdy ktoś próbuje narzucić mu obcą ideologię, Naród reaguje jak organizm antyciałami na bakterie. Żołnierze wypełniają najwyższą powinność miłowania Boga i Ojczyzny, która znalazła się w niebezpieczeństwie. Chodzi tu nie tylko o inwazję obcych, ale również o inwazję obcych idei, które zagrażają fundamentalnym wartościom…, kardynał Pio Laghi, nuncjusz apostolski w Buenos Aires, 1976.

Którejś nocy przyszedł do niego ksiądz i namawiał poufałym szeptem: – Przyznaj się, podaj nazwiska szefów. („Jakich szefów? Nie miałem żadnych szefów”). Powiedział, że jego los zależy teraz od Boga, i od woli współpracy z władzami.

Tej samej nocy Pabla i paru innych wyciągnęli z celi i postawili przed plutonem egzekucyjnym. Ksiądz błogosławił skazańców. Krzyczeli do niebios, wzywali Boga i mamę, przeklinali oprawców. „Niech żyje Argentyna, niech żyją *montoneros”.* A pluton strzelił na wiwat. „Tym razem zostaliście ocaleni”.

Drwili z nierozstrzelanych, że śmierdzą, że ktoś nie wytrzymał… Tym, co krzyczeli o ojczyźnie i *montoneros,* obiecali, że dadzą im za chwilę pokrzyczeć głośniej.

W celi ktoś mu powiedział, że znajduje się w obozie koncentracyjnym Arana. I że kilka dni wcześniej byli tu uczniowie liceów – Claudia Falcone, Horacio Ungaro… Teraz już wiedział, co przechodzili, gdy ukrywał się w skrzyni na stacji benzynowej.

A gdzie są teraz?

Rodzice odchodzili od zmysłów. Chodzili na komisariaty, dobijali się do generałów, biskupów. Jeździli do Buenos Aires. Zwrócili się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Kamień w wodę, dzieci znikły, policja o niczym nie wie.

Instynkt rodzicielski: pozostałe na wolności dzieci natychmiast wysyłać za granicę.

– Nie uwierzysz, ale moja mama nie przyznawała się nikomu, że mnie zatrzymano. Mówiła: „Pablo pojechał do Misiones, do ciotki". Klasa średnia La Platy była potwornie antylewicowa, wrogo nastawiona do peronistów. Mieć w rodzinie „wywrotowca", to była hańba i wstyd. A jak ktoś znikał, to „chyba nie bez powodu", musiał być „wywrotowcem" – tak wtedy myślano. Dopiero potem się to zmieniło. Znikali różni ludzie, nie liczyło się, czy ktoś coś robił w polityce, czy nie robił, nie liczyły się poglądy, wiek, status społeczny, płeć. Nie było reguł, każdy mógł przepaść, rozpłynąć się nie-wiadomo-gdzie.

Wyjątkowy koszmar spotkał rodziców Claudii. Nie dawali się łatwo zbywać policji, żądali, żeby władze przyznały się do zatrzymania córki. W kwietniu następnego roku porwali ich i przez tydzień przepuszczali przez „maszynkę prawdy". Żądali informacji o miejscu pobytu brata Claudii. („Wyobrażasz sobie? Żądali od rodziców, żeby wydali syna!"). Potem uprowadzili ich drugi raz – na półtora miesiąca i cały czas maltretowali. Po drugim razie syn państwa Falcone, Jorge, uciekł do Szwecji; potem osiadł w Hiszpanii. Ojciec Claudii nie doczekał końca dyktatury. Pękło mu serce.

Trzeba wiedzieć, z jakich powodów pewne osoby **znikły.** ***Jest wiele przyczyn: są*** **zniknięci,** ***którzy zeszli do konspiracji i podjęli działalność wywrotową; są*** **zniknięci,** ***których zlikwidowali wywrotowcy, uznając ich za zdrajców sprawy; są*** **zniknięci,** ***których ciała spłonęły w ogniu w czasie starć zbrojnych, a zwłok nie dało się zidentyfikować; uznaję, że mogły zdarzyć się przypadki*** **zniknięć** ***w skutek nadmiernych represji…,*** generał Jorge Videla w Waszyngtonie, 1977.

Z Arany wywieźli go w nieznanym kierunku. Nie widział, czy jadą go rozstrzelać, czy wypuścić do domu. Bał się, strasznie się bał. Leżał na podłodze busika, ściśnięty obok innych, z taśmą na oczach. W czasie drogi strażnik usiadł

mu na plecach. Ledwo łapał oddech.

Przywieźli gdzieś, potem dowiedział się, że to obóz Banfield – jedno z osławionych miejsc kaźni. Wrzucili do celi z zawiązanymi oczami i rękami skrępowanymi do tyłu, z pętlą na szyi – tak, że gdy próbował się szarpać, pętla się zaciskała.

– Kim jesteś? – usłyszał zza ściany.

– Pablo Díaz.

– Pablo, to ty? Jestem Horacio.

W Banfield byli wszyscy przyjaciele. Wszyscy przeszli przez Aranę, przez „maszynkę prawdy".

Każdy siedział w osobnej ciasnej celi. Rozmawiali przez ściany, umówionymi sygnałami ostrzegali się nawzajem przed strażnikami.

Z pytań, jakie padały w czasie przesłuchań, doszli, że kryterium porwań był udział w walce o zniżki na bilety. Drugim – przynależność do Związku Uczniów Liceów (UES), choć to kryterium nie pasowało do Pabla, i jeszcze kilku osób spoza paczki. Pomyłka biurokratów? Bliska przyjaźń Pabla z „uesowcami"?

Przez tydzień nie dali im jeść. Potem raz dziennie – chleb albo ciecz, która udawała zupę.

W Banfield nie było „picany", tylko zwykłe bicie i kopanie.

Robili przysiady, chodzili po celi, liczyli kroki. Jednej nocy Pablo naliczył trzydzieści tysięcy.

Najwięcej gadał Claudio, małomówny Claudio, cichy, nieśmiały, teraz wszystkich pocieszał.

Czasem śpiewali. Czasem przeklinali Boga. Gdyby istniał, wyciągnąłby ich stąd. Jak długo jeszcze? Po co nas trzymają?

Słyszeli, jak nieznajome dziewczyny w celach krzyczały, że rodzą, że muszą do szpitala. Łomotali w drzwi, żeby wezwać strażników. Potem słyszeli zza ścian płacz niemowląt. („To był dowód, że dzieci urodziły się żywe").

Claudia płakała. Pablo obiecywał, że wyjdą. Prosił, żeby została jego dziewczyną. Tam, inaczej niż na wolności, coś zaczęło się między nimi splatać.

Zza murów, które wyrosły wczoraj / Błagam cię, byś nigdy się nie poddał / Wesprę cię, kiedy będzie źle / I proszę, byś ty objął mnie / Wyrwij murom zęby krat…

Walka, którą podjęliśmy nie zna granic moralnych…, pułkownik Hugo

Pascarelli, 1977.

Przed sylwestrem zaciągnęli Pabla na przesłuchanie. Znów będzie „maszynka”? Ze strachu nie mógł iść. Błagał: – Nie róbcie mi tego.

Zerwali mu z oczu taśmę. Światło oślepiło, skóra piekła.

Oficer powiedział, że go wyciągną z obozu. Że postawią do „dyspozycji władzy wykonawczej”. Miał zapomnieć o wszystkim, co się zdarzyło i co widział.

Co znaczy „do dyspozycji..”? Czy wszyscy wyjdą na wolność, a on jeden zostanie za kratami?

Przez ścianę przyjaciele powiedzieli mu, że ma szczęście; że jego uwięzienie będzie zalegalizowane.

Gdy go zabierali, poprosił strażnika o kilka minut z Claudią. Płakała. Obiecywał, że wyjdzie, i że będą razem.

– Pablo, nic ci nie mogę dać. Gwałcili mnie z przodu, z tyłu… Obezwładniło go. Znów ją pocieszał, że wyjdzie, prędzej niż myśli. –

Wszyscy wyjdziemy! – krzyknął na pożegnanie.

– Nie, Pablo, tylko ty wyjdziesz. Wypij za mnie w sylwestra, kiedy mnie już nie będzie. Jesteśmy martwi. Ja już nie żyję, Pablo.

Kończący się rok minął pod znakiem poświęcenia; poświęcenia, które daje początek trudnej drodze do prawdziwego pojednania między wszystkimi Argentyńczykami; które pozwala nam podjąć zasadniczą sprawę wielkiej argentyńskiej rodziny: jedności narodowej, generał Jorge Videla, przemówienie wigilijne, 1976.

Miał żal do losu, że dla niego najgorszy; że wszyscy wyjdą, a on nie.

Trafił do obozu Quilmes. Nareszcie miał chleba w bród. Siedział z innymi politycznymi. Bał się, że zabiją go strażnicy. („Każdego dnia walczyłem o życie”).

Mieli tam „maszynkę prawdy”. Nocami mury obozu wypełniały wrzaski męczonych. Każdego dnia bał się, że wróci najgorsze, i że znów będzie musiał przejść to, co na początku.

Pozwolono mu zobaczyć rodzinę. Mógł pisać listy.

Nigdy nie postawiono zarzutów. Nie wytoczono procesu.

Gdy wychodził, kazali mu zapamiętać: został zatrzymany 28 grudnia na ulicy, jak rozdawał ulotki. Jeśli będzie rozgłaszał co innego, wie co się wydarzy. „Nocy

ołówków”, 16 września 1976 roku, nigdy nie było.

Porzucili go za miastem. Kazali iść do domu. Strzelą za chwilę, potrącą samochodem? – Wrócę do domu i piekło zacznie się od nowa?

Był dziewiętnasty listopada osiemdziesiątego roku. Cztery lata i dwa miesiące od nocy, której runęło niebo i rozpadł się świat.

W Argentynie nie ma obozów koncentracyjnych; nie ma więźniów politycznych. Kampania rozpętana przeciwko Argentynie przed mistrzostwami świata w piłce nożnej to robota międzynarodowej lewicy, generał Jorge Videla, 1978.

Miesiące strachu i oczekiwania. Czy znów przyjdą? Miał wrażenie, że go szpiclują, ale to mogła być obsesja, strach.

Claudia, Claudio, Horacio, Maria Clara, Daniel, Panchito nie wracali. Skończyła się dyktatura, a oni dalej nie wracali.

O tym, że nie wrócą, słyszał jeszcze w więzieniu. To nie była pewna wiadomość, tak mu powiedział strażnik – że „tak mówią”, że „podobno”. Więc czekał, jak wszyscy. Pisał wiersze dla Claudii: „Jeśli dasz mi tylko znak… Ten Nowy Rok będzie nasz… Nie myśl, że cię nie szukałem… Nie, nie zapomniałem… Nie powiedzieliśmy sobie *żegnaj…* Ani nawet *na razie…”.*

Jaka była prawda – czuł.

Dwa lata po „nocy ołówków” sekretarz arcybiskupa Plazy powiedział mamie jednego z chłopców, że nie zobaczy więcej syna. – Skąd wie? Może to pomyłka? – Nie, na pewno nie. Syn się nazywał Claudio de Acha? Był zatrzymany szesnastego września? Nigdy nie zobaczy pani syna.

Tylko mamie Pabla, dużo wcześniej, miesiąc po „zniknięciu”, ktoś z kurii szepnął: – Pani syn przeżyje, ale nie wolno go szukać.

Dlaczego on? Co za wyjątek?

Nie wie. Nie należał do związku, jak Claudia, Horacio i inni, ale to żadne wyjaśnienie. Ilu obojętnych „zniknięto”! To, co robił, nie różniło się od tego, co robili przyjaciele. Przeszedł to samo, co oni. W taki sam sposób został aresztowany (choć dopiero pięć dni później). Tak samo jak oni był „zniknięty” przez trzy i pół miesiąca. Tak samo jak w przypadku pozostałych policja zaprzeczała w rozmowach z rodziną, że został zatrzymany.

Przypuszcza, że chodziło o przysługę dla ojca, znanego profesora, sympatyka peronistowskiej ultraprawicy, bliskiej obłąkańczej ideologii junty. I że w jego

przypadku (w tym wyjątkowym przypadku!) pomógł Kościół – wspólnik dyktatury, nieczuły na los katowanych, mordowanych, „znikanych”. Profesor Benito Díaz miał dojście do arcybiskupa Plazy, a ten był spowiednikiem generała Campsa, który wydał rozkaz eksterminacji dzieci. Mogło być jakoś tak… Jak było naprawdę – nie wie.

Susana, żona Pabla ma inną hipotezę: oprawcy chcieli, żeby ktoś przeżył i rozsiewał strach. Liczyli, że będą rządzić po wsze czasy, a ktoś, kto przeszedł to, co Pablo, mógł skutecznie odstraszać otoczenie od aktywności społecznej (choćby na poziomie biletów szkolnych).

Miał wyrzuty, że przeżył. One go mobilizowały, żeby niczego nie zapomniał, żadnego szczegółu. Ćwiczył pamięć, odtwarzał detale. Wierzył, że los wyznaczył mu zadanie, że nie przeżył na darmo.

Zaczął jeździć do Buenos, maszerować z matkami i babciami „znikniętych”. Czuł, że odzyskuje siebie.

Pracował w restauracji, potem obsługiwał kserograf na uniwersytecie. Chodził do wieczorowego liceum prowadzonego przez księży. Przyjaźnił się z wychowawcą, księdzem Carlosem Bruno. Jeździli razem do więzienia grać w piłkę ze skazańcami. Bał się, że ktoś go rozpozna.

Któregoś dnia ksiądz Bruno zwierzył mu się ze słabości do więźniów: miał kiedyś przyjaciela skazańca. Pablo odwzajemnił się nocną opowieścią. Księdzu odjęło głos. Słuchał i płakał.

Był pierwszym obcym, któremu Pablo opowiedział o „nocy ołówków”. Zwierzenie dodało mu sił, przywróciło go do życia. Przestał się bać, zyskał nową obsesję: złożyć doniesienie o porwaniu i zbrodni na przyjaciołach.

Gdy po upadku dyktatury powołano Narodową Komisję do spraw „Znikniętych”, był jednym z pierwszych jej świadków. Bał się pójść, bał się zemsty, bał się, że koszmar powróci. Gdy krążył wokół budynku komisji, zagadnął go mężczyzna w średnim wieku, który szedł złożyć doniesienie o „zniknięciu” syna. Syn nazywał się Néstor Silva i był towarzyszem niewoli w Banfield. Mężczyzna objął Pabla i rozpłakał się. Była to pierwsza od ośmiu lat wiadomość o „zniknięty” dziecku.

Dla Pabla kolejny znak, że przeżył po coś.

Wojna przeciwko bezbożnemu marksizmowi, którą USA przegrały w Wietnamie, wygraliśmy teraz my, w Argentynie…, generał Cristino

Nicolaides, 1979.

– Junta pokonała sama siebie. Runęła jak spróchniały szałas po klęsce w wojnie o Malwiny.

W czasie wojny z Wielką Brytanią czuł się okropnie: miał przetrącone życie, a ludzie na ulicach demonstrowali poparcie dla junty, bandziorom w mundurach udało się połechtać dumę narodową. Przekornie poszedł się zaciągnąć. Chciał zobaczyć, co się wydarzy. Nie wydarzyło się nic. Nie przyjęli go.

Myślał, że z demokracją przyjdzie sprawiedliwość, a politycy, którzy przebierali nogami do stanowisk, nawet nie zająknęli się o ofiarach. *(„Norymbergę* generałów wymusiliśmy my – rodziny i przyjaciele *zniknięty ch”).*

Atmosfera była straszna: słyszało się opowieści o ludziach, którzy szli zgłaszać zniknięcie kogoś bliskiego, a w prokuraturze traktowali ich jak „wywrotowców”, podejrzanych. W urzędach pracowali ciągle ci sami, którzy służyli juncie, a teraz osłaniali siebie i morderców. Ludzie bali się zeznawać, wracało przerażenie; nie było wiadomo, czy demokracja to stan trwały, czy przejściowy; wielu zastraszonych myślało: „Może lepiej się nie wychylać”. No i dlatego na oficjalnej liście „zniknięty ch” jest dziewięć, a nie trzydzieści tysięcy nazwisk. W samej La Placie znikło dwa tysiące ludzi.

Pozwolić na oskarżanie tych, którzy z honorem i poświęceniem walczyli o przywrócenie Argentyńczykom pokoju byłoby zdradą i obrazą. Zwycięskiej armii nie wystawia się rachunków… generał Roberto Viola, szef junty (następca Videli), 1980.

W końcu ruszyły procesy. Kilku członkom kolejnych junt wlepiono dożywocie. Jedną ze zbrodni wymienionych w wyroku była „noc ołówków” – eksterminacja licealistów z La Platy. Gdy krótko potem wezbrała fala procesów przeciwko lokalnym oprawcom, armia zniecierpliwiła się i zaszachowała prezydenta Alfonsina: żadnych nowych procesów, albo mat. Alfonsin uległ – uchwalono ustawę *Punto Final,* nowych śledztw miało nie być, listę doniesień i skarg zamknięto. Za drugim razem zbuntowali się dowódcy z prowincji i gdyby Alfonsín ponownie nie uległ, mogło być po demokracji. Parlament zawęził krąg podsądnych, praktycznie do kilkudziesięciu dowódców.

Wszystkich zbrodniarzy, łącznie z samym Videlą, ułaskawił następny

prezydent, Carlos Menem. („To było niepojęte, hańba! Nie musiał tego robić, wojsko było osłabione, nie zrobiłoby zamachu stanu. Menemowi nie chodziło o gest miłosierdzia, to nie taki człowiek. To był cynik, mafioso, który chciał zjednać sobie elity finansowe doskonale prosperujące za dyktatury. Chciał się podłączyć do ich intratnych biznesów"). Gdy Videla wychodził z więzienia, nie żałował niczego, oczyścił kraj z „wywrotowców", zrobiłby to samo raz jeszcze.

Naczelnemu oprawcy i innym wytoczono procesy o kradzież dzieci – tej zbrodni amnestia nie objęła. Sądy nakładały przeważnie areszty domowe – bo podeszły wiek. („Kpina").

„Lobo" Vides, dowódca komanda, które porwało z domu Pabla Diaza; jeden z komendantów tajnego obozu koncentracyjnego, Arana, został beneficjentem ustawy *Punto Final.*

„Miguelito" Etchecolatz, komendant kilku obozów koncentracyjnych, między innymi Arana i Quilmes, *torturador;* wyszedł z więzienia na mocy ustawy ograniczającej krąg odpowiedzialnych za zbrodnie i terror; zamieszkał w Buenos Aires.

Generał Suárez Mason, „Pajarito", współsprawca „nocy ołówków", skazany za wiele zbrodni czasów dyktatury, ze względu na wiek dożywał dni w areszcie domowym. W 2001 roku, w sądzie w Buenos Aires, na korytarzu, Pablo Díaz rzucił się generałowi do gardła. Ochroniarze rozbili mu głowę.

Dla mnie nie ma brudnych wojen. Są tylko sprawiedliwe i niesprawiedliwe. Ta, którą prowadziliśmy była wojną sprawiedliwą, generał Jorge Videla, 1998.

Pablo Díaz stał się ikoną, Jedynym-Który-Przeżył, żyjącym świętym. Mógł zostać politykiem, kongresmenem, senatorem. Nie, nie mógłby. „Noc ołówków" to nie trampolina na szczyty. Nie mógłby spojrzeć w lustro. Pracuje w biurze firmy energetycznej. Zbudował skromny dom za miastem. Ma żonę, córkę i syna. W soboty lubi grillować z przyjaciółmi.

Prezydent Nestor Kirchner, były działacz Młodzieży Peronistowskiej z La Platy, w obecności Pabla Díaza nadał licealistom z rodzinnego miasta *Boleto Estudiantil Secundario.*

Czy wie cokolwiek o dalszym losie Claudii, Marii Clary, Claudia, Panchita, Horacia, Daniela? Jakiś szczegół, jakaś poszlaka…

– Zabili ich podobno kilka dni po moim przeniesieniu do Quilmes, w pierwszych dniach stycznia siedemdziesiątego siódmego. Moi kochani przyjaciele znikli na zawsze.

Ma w głowie taki obraz: widzi Claudię, jak stoi pod murem, na brzegu głębokiego rowu. Co z nią robili, zanim odebrali życie?

Wie, że prawda jest gorsza niż wszystko, co mógłby sobie wyobrazić.

W latach dyktatury „znikło” 232 uczniów szkół średnich.

Miniatura X
(po dyktaturze)

Notatki z rozmów z profesorem Romero:

Dyktatura zmieniła Argentynę nie do poznania. Chodzi nie tylko o skalę terroru, eksterminację tysięcy działaczy politycznych, przetrącenie społeczeństwu kręgosłupa. Rzadko pamięta się o tym, że na początku lat siedemdziesiątych gospodarka Argentyny miała się naprawdę nieźle. Fakt – nie było pokoju społecznego. Wojskowi znaleźli sposób na społeczne niepokoje – przekłuli balonik, albo innymi słowy: upuścili krwi choremu i zostawili, aż sam się wykrwawi. Przekłuciem balonika było gwałtowne otwarcie gospodarki, zezwolenie na wolne operacje kapitałowe bez amortyzatorów. Ograniczono rolę państwa w gospodarce, zakazano działalności związkom zawodowym, skończyły się negocjacje pracowników z pracodawcami. Cofnięto zegar historii nieomal do epoki sprzed reform społecznych Hipólito Yrigoyena w 1916 roku. Stworzono raj dla wąskiej elity finansowej i wielkich właścicieli ziemskich.

Wojskowym chodziło nie tyle o względy ekonomiczne, ile o społeczne: sądzili, że opanują w ten sposób wewnętrzne konflikty. Wolny rynek miał zdyscyplinować społeczeństwo. Terror państwa – zastraszył je i złamał.

Eksperyment doprowadził do tego, że społeczeństwo argentyńskie utraciło mobilność, zubożało, uległo rozwarstwieniu. Upodobniło się do innych społeczeństw latynoamerykańskich.

Co spowodowało klęskę dyktatury? Można to zrozumieć dopiero wtedy, gdy

pojmie się horror tamtych czasów. Bezpośrednią przyczyną była klęska w wojnie z Wielką Brytanią o Malwiny, choć już wcześniej wojskowi skłócili się między sobą, widać było, że gdy wypalili wszelki opór, gdy terror obezwładnił społeczeństwo, nie mieli zupełnie pomysłu, co zrobić z krajem. Wymyślili tragikomiczną, „wielkomocarstwową" wojnę o Malwiny. Historia potoczyłaby się inaczej, gdyby znaleźli sposób na pomyślne zakończenie tamtego konfliktu. Nie chcę nawet myśleć, co by się wtedy stało…

Cała dwudziestowieczna kultura polityczna Argentyny stała pod znakiem zacietrzewienia i wrogości. Wojskowa dyktatura z lat 1976–1983 doprowadziła do ostateczności coś, co istniało długo przed nią. Terroryzm państwowy wzbudził tak wielką grozę, że jedynym wyjściem stało się zbudowanie Argentyny na zupełnie nowych podstawach, oparcie jej na innych wartościach. Po upadku dyktatury po raz pierwszy w historii kraju pluralizm stał się zaletą. Ta najważniejsza cecha liberalnej kultury politycznej prawie tu nie istniała – aż do 1983 roku! Dopiero wówczas zaczęła znikać z naszej kultury politycznej idea podziału na przyjaciół i wrogów.

Czarna księga antykomunizmu
(USA wobec Ameryki Łacińskiej)

W lipcu 2001 roku chilijski sędzia Juan Guzmán, który prowadził śledztwo przeciwko Pinochetowi, zaprosił do Chile Henry'ego Kissingera. Kissinger, jedna z największych postaci amerykańskiej polityki drugiej połowy XX wieku, był najpierw doradcą do spraw bezpieczeństwa, a następnie sekretarzem stanu w administracjach Richarda Nixona i Geralda Forda. Chilijski sędzia uważał, że Kissinger może coś wiedzieć o zamordowaniu w Santiago amerykańskiego dziennikarza Charlesa Hormana kilka dni po zamachu stanu. Historię Hormana świat poznał dzięki filmowi „Zaginiony” Costy-Gavrasa (z przejmującymi rolami Jacka Lemona i Sissy Spacek).

Zaproszenie Kissingera do Chile w charakterze świadka przypomniało mi rozmowę, jaką kilka lat wcześniej odbyłem z Mariem Galdamezem. To było nasze pierwsze spotkanie – Mario próbował mi wytłumaczyć, na czym polegał dramat jego kraju po zamachu stanu. Pośród przerażających opowieści padło zdanie, które obudziło mój sprzeciw: „Chilijskich wojskowych szkolono w USA, jak torturować przeciwników politycznych”. Uznałem to za wierutną brednię. Wiedziałem o tajnych akcjach CIA w Ameryce Łacińskiej, jednak kursy torturowania w amerykańskich szkołach wojskowych mogła zrodzić – jak wówczas sądziłem – jedynie wyobraźnia człowieka skrzywdzonego.

Jakiś czas później rozmawiałem w Sao Paulo z kardynałem Paulem Evaristem Arnsem i usłyszałem z jego ust dokładnie to samo, co mówił Mario, i co wzbudziło we mnie odruch protestu. Spotkałem później jeszcze wielu torturowanych w kazamatach latynoamerykańskich reżimów. Nasłuchałem się

o „drążku papugi”, prądzie podłączanym do genitaliów, szczurach wpuszczanych do waginy… Niby „wiedziało się” o torturach w Chile, Brazylii, Argentynie, Salwadorze, ale była to – co nagle odkryłem – wiedza „poza świadomością”.

– Dobrze – prowadziłem rozmowę sam ze sobą – zbrodnie i okrucieństwa latynoamerykańskich dyktatur to jedno. Ale co wspólnego z izbami tortur w Sao Paulo, Santiago de Chile czy Buenos Aires miałyby mieć Stany Zjednoczone? Skąd Henry Kissinger miałby posiadać wiedzę o uśmierceniu w Chile amerykańskiego dziennikarza, której domagał się od niego sędzia Guzmán?

Obawy Ameryki przed chilijskim prezydentem marksistą, obalonym przez Pinocheta, dotyczyły nie gospodarczych interesów USA, lecz kwestii bezpieczeństwa („druga Kuba”) – w ten sposób motywy waszyngtońskiej polityki wobec rządu Salvadora Allende wykłada w swoich pamiętnikach Henry Kissinger. Kissinger sądził, że chilijski przykład, czyli demokratyczny wybór marksisty na przywódcę państwa, może być zaraźliwy dla regionu. Rewolucyjna epidemia – jak się obawiał – umocniłaby sowieckie wpływy na zachodniej półkuli i zagroziła interesom Stanów Zjednoczonych.

„Nacjonalizacja własności należącej do amerykańskich firm nie stanowiła kwestii numer jeden – zapewnia Kissinger. – Nigdy nie podważaliśmy zasady prawa międzynarodowego, która pozwala na nacjonalizacje [własności] w interesie publicznym [danego kraju], chociaż podkreślaliśmy konieczność należnej i adekwatnej rekompensaty (również wymaganej przez prawo międzynarodowe). Wszystkie powojenne administracje [USA] starały się zniechęcać [rządy krajów rozwijających się] do wywłaszczania zagranicznych przedsiębiorstw…”.

Metody „zniechęcania do wywłaszczania zagranicznych przedsiębiorstw” bywały w epoce zimnej wojny różne. Różnie też bywało z respektowaniem przez Wuja Sama „zasady prawa międzynarodowego, która pozwala na nacjonalizacje własności w interesie publicznym”.

Wszystko się zaczęło od małej Gwatemali…

W marcu 1954 roku sekretarz stanu John Foster Dulles wezwał kraje obu Ameryk do uznania zasady, że „wszelkie interwencje komunistów na zachodniej półkuli są nielegalne”. Zaapelował o potępienie Gwatemali, gdzie rządził Jacobo Arbenz, lewicowy pułkownik, trzy lata wcześniej wybrany demokratycznie na prezydenta kraju. Arbenz organizował roboty publiczne, sprzyjał aspiracjom

biedoty, przeprowadził reformę rolną. W Gwatemali siedemdziesiąt procent ziemi należało do zaledwie dwóch procent ludności, część do zagranicznych firm. Reforma Arbenza weszła w kolizję z interesami amerykańskiego koncernu United Fruit Company. Wywłaszczano – zgodnie z zasadami prawa międzynarodowego – za odszkodowaniami i głównie ziemie nieużytkowane.

CIA zwerbowała pułkownika Carlosa Castillo Armasa, a następnie uzbroiła i wyszkoliła w sąsiednim Hondurasie oddziały puczystów. Miało wyglądać na spontaniczne powstanie przeciwko „komuniście" Arbenzowi. W Salwadorze CIA założyła rozgłośnię „Głos Wyzwolenia", która apelowała o poparcie dla „rebelii". Gdy „spontaniczne powstanie" zaczęło się załamywać, Stany Zjednoczone podarowały Castillo Armasowi samoloty Mustangi-51. Uczestnik operacji Philip Roettinger, agent CIA, wspominał, że przemalowywano je w taki sposób, żeby wyglądały na samoloty armii gwatemalskiej. Amerykańskie myśliwce przesądziły o sukcesie zamachu.

Oficjalnym powodem amerykańskiej interwencji było komunistyczne zagrożenie bezpieczeństwa zachodniej półkuli. Doktrynę „powstrzymywania komunizmu" sformułował kilka lat wcześniej prezydent Harry Truman. Ten jednak – paradoksalnie – dobrze rozumiał, skąd biorą się na świecie wirusy komunizmu. „Komunizm pojawia się wszędzie tam – mówił – gdzie nędza, gdzie brak nadziei. Dlatego musimy utrzymywać nadzieję przy życiu".

W Gwatemali nadzieję zamordowano. Dojście do władzy pułkownika Castillo Armasa dało początek „dynastii" ponurych dyktatorów i rozpętało czterdziestodwuletnią wojnę domową. Jej ofiarami padło sto tysięcy zabitych i drugie tyle „znikniętych". Szwadrony śmierci, skrytobójstwa, tortury, zatruwanie wody, wypalanie upraw fasoli i kukurydzy, palenie wiosek do gołej ziemi… Pokój zawarto dopiero w 1996 roku! Jednak ludzie szukający prawdy o zbrodniach znikają do dziś. W roku 1998 ofiarą skrytobójstwa padł biskup Juan José Gerardi Conedera – dwa dni po tym, jak ogłosił raport kościelnej „komisji przywracania pamięci" – o ofiarach gwatemalskich dyktatorów.

Arbenz komunistą nie był, choć komuniści popierali jego reformy i byli w jego rządzie. Jego społeczny projekt należał do bardzo umiarkowanych. Arbenz nie uczynił nic – również w słowach – przeciwko demokracji.

W dobie zimnej wojny Stany Zjednoczone nie były przesadnie przywiązane do idei samostanowienia narodów i respektowania wolnego wyboru społeczeństw.

Najbardziej gorzkie w tej interwencji było to, iż jeden z jej powodów był zgoła przyziemny. „Nie miało to nic wspólnego z komunizmem, chodziło o pieniądze, po prostu Arbenz znacjonalizował ziemie United Fruit Co.” – twierdzi agent CIA Roettinger. „Kiedy pisałem artykuł o Gwatemali dla dodatku *The New York Timesa* – wspominał Tad Szulc – codziennie po południu otrzymywałem pełną wojskową informację o postępie rebeliantów w Gwatemali od przyjaciela odpowiedzialnego za *public relations* United Fruit Co., który w ogóle nie ukrywał, o co naprawdę chodzi… Nie było żadnych dowodów, że [Arbenz] był fasadą dla interesów sowieckich”. Zwierzenia późniejszego specjalisty KGB do spraw Ameryki Łacińskiej, Mikołaja Leonowa, wskazują, że w tamtym czasie Moskwy nie interesowała Ameryka Łacińska. Rząd ZSRR nie miał nawet przedstawiciela w Gwatemali. Zainteresowanie na Kremlu wzbudziła dopiero rewolucja Fidela Castro, a ściślej – wtedy, gdy rozgorzał jej konflikt z administracją Eisenhowera.

Interwencja w Gwatemali unaocznia, iż do wywłaszczenia zagranicznych firm „zniechęcano” – by przywołać formułę Kissingera – krwawymi zamachami stanu. Antykomunistyczny frazes posłużył za usprawiedliwienie „świętej krucjaty” w obronie… własnej kasy. A zawstydzającą puentą niech będzie fakt, że sekretarz stanu Dulles, główny architekt interwencji, zanim został szefem dyplomacji zarabiał w United Fruit jako jej radca prawny.

Powtórką z Gwatemali miała być inwazja kubańskich emigrantów w Zatoce Świń w kwietniu 1961 roku. CIA za wiedzą prezydenta Kennedy'ego uzbroiła oddziały kubańskich wrogów Castro. Niepokonane „bractwo”, jak się czasem nazywa CIA, tym razem przegrało z kretesem. Castro obronił rewolucję i zwrócił ją ku Moskwie.

Z punktu widzenia standardów uprawiania polityki w wolnym świecie bardziej pikantnym przykładem „zaangażowania” Waszyngtonu w Ameryce Łacińskiej są operacje, których celem było zabicie kubańskiego *caudillo.* Jesienią 1960 roku szef FBI J. Edgar Hoover powiadomił dyrektora CIA Allena Dullesa (brata sekretarza stanu Johna Fostera), że podsłuch telefoniczny założony u pewnego mafiosa, Sama „Moo Moo” Giancany, wykazał, że ów planuje zamach na Castro. W CIA musieli pękać ze śmiechu, bo pomysł zamachu narodził się w Agencji i do Hoovera dotarł drogą nieco okrężną.

Na wspólnika zamachu mafia nadawała się w sam raz. Rewolucja kubańska

pozbawiła ją zysków z prostytucji, hazardu, przemytu alkoholu do Hawany. Jako wysłannik „grupy finansistów z Wall Street i korporacji międzynarodowych", Robert Maheu, agent CIA, dotarł do mafijnych bossów. Zainteresowanie wykazali dwaj – Giancana z Chicago i „Sam" Trafficante z Miami. Tego ostatniego Castro zamknął po rewolucji w więzieniu, ale nieoczekiwanie krótko potem wypuścił. Dziwne to zresztą było uwięzienie. Trafficantego odwiedzali koledzy. Jednym z nich był Jack Ruby, gangster z Dallas, który kilka lat później zastrzeli przed kamerami telewizyjnymi Lee Harveya Oswalda, oskarżonego o zabójstwo JFK. Kubańscy uchodźcy z Florydy wietrzyli podstęp. Czy Trafficante został agentem Fidela? Teraz jednak przystąpił do spisku.

Truciznę, a ściśle: jad kiełbasiany, Trafficante miał przekazać przez zwerbowanego zamachowca (10 tysięcy dolarów) kelnerce z hawańskiej knajpy, do której chadzał Fidel. Wszystko było gotowe, lecz… Castro nigdy więcej nie pojawił się w rzeczonej restauracji. CIA nabrała podejrzeń, że ktoś go ostrzegł. Trafficante?

Potem CIA zmontowała jeszcze około 30 zamachów na Castro. Wybuchały samoloty, cygara… Kubański *caudillo* mógł z satysfakcją założyć w Hawanie przy reprezentacyjnej Piątej Alei specjalne muzeum poświęcone nieudanym zamachom na swoje życie.

Prokubańskie sympatie Salvadora Allende skłaniały Henry'ego Kissingera do następujących refleksji: „Nie jest ani moralnie, ani politycznie nieuzasadniony fakt, iż Stany Zjednoczone wspierały [w Chile] siły polityczne dążące do utrzymania demokracji [w 1970 roku Kissinger miał zapewne na myśli chrześcijańskich demokratów, a nie puczystów]. Przeciwnie – żaden odpowiedzialny przywódca narodu nie zrobiłby niczego innego. Nie ma nic złowrogiego w tym, że Stany Zjednoczone czyniły starania, ażeby demokratyczne partie posiadały konkurencyjne radio, telewizję, prasę. Nie mogę zaakceptować nakazu, w myśl którego Stanom Zjednoczonym nie wolno działać w szarej strefie między dyplomacją a zbrojną interwencją, w mrocznym świecie, w którym nasi przeciwnicy mają szereg instrumentów, takich jak partie polityczne czy front niezliczonych organizacji, które maskują swoją rzeczywistą rolę".

W argumentach Kissingera ujawnia się sposób myślenia o wiele starszy niż zimna wojna i walka z komunizmem: „obrona chrześcijańskiej cywilizacji przed

czerwonym barbarzyństwem". Już w 1829 roku Simón Bolivar, XlX-wieczny wyzwoliciel kilku latynoamerykańskich krajów spod panowania Hiszpanii, zauważył, że „Stany Zjednoczone uważają za swe przeznaczenie męczenie i dręczenie kontynentu w imię wolności". Pisząc te słowa, Bolivar musiał mieć na myśli ogłoszoną kilka lat wcześniej doktrynę prezydenta Monroego (1823). Wedle krytycznych wobec tej doktryny historyków amerykańskich, „miała [ona] sprawować pieczę nad krajami Ameryki Łacińskiej, lecz wyrodziła się w taką, która usprawiedliwia, a nawet uświęca amerykańską interwencję i kontrolę nad sprawami niepodległych republik na kontynencie". Doktryna Monroego stwarzała ideologiczne uzasadnienie XIX-wiecznym interwencjom Stanów Zjednoczonych w Meksyku, krajach Ameryki Środkowej, na Karaibach. Zimna wojna stworzyła nowy kontekst, który ożywił starą doktrynę, nadał jej nowy rozpęd.

Do 1961 roku, kiedy to rewolucja kubańska zwróciła się w stronę Kremla, walka z komunizmem była w latynoamerykańskiej polityce Stanów Zjednoczonych głównie propagandowym straszakiem, ideologiczną zasłoną. W 1948 roku George F. Kennan, dyrektor w Departamencie Stanu, w poufnym dokumencie zwracał uwagę na konieczność ochrony „dostępu do surowców dla naszych przedsiębiorstw" i utrzymania „otwarcia zagranicznych rynków na nasze produkty". Ani słowa o komunizmie – czysty biznes. „Powinniśmy darować sobie gadanie o nierzeczywistych kwestiach, takich jak prawa człowieka, poprawa poziomu życia czy demokratyzacja". W Ameryce Łacińskiej tymczasem zaczęła się szerzyć dziwna herezja – jak pisał Kennan: „szeroka akceptacja idei, że lokalne rządy ponoszą bezpośrednią odpowiedzialność za dobrobyt obywateli". Kennan zalecał: „Policyjne represje miejscowych rządów nie powinny nas zniechęcać… Lepiej mieć u władzy silny rząd niż liberałów pobłażliwych dla komunistów albo nawet przez nich spenetrowanych".

Krótko potem Kennan wyleciał z Departamentu Stanu jako zbyt układny mięczak.

Od przewrotu w Gwatemali każdy reformistyczny ruch „na własnym podwórku" (jak w USA nazywano Amerykę Łacińską) klasyfikowano w Waszyngtonie jako czerwoną dywersję. Polityka kolejnych prezydentów niewiele się różniła. „Damy odpór działalności wywrotowej na zachodniej półkuli" (Kennedy). „Nie pozwolimy na powstanie reżimu komunistycznego na

zachodniej półkuli” (Johnson). Ta sama litania – nieważne, czy zagrożenie komunistyczne było realne, czy chodziło o pieniądze, wpływy, kontrolę nad słabszymi krajami.

Wspieranie latynoamerykańskich Makbetów stało się otwartą polityką Waszyngtonu. Sekretarz obrony Robert McNamara wskazywał, że „głównym celem [Stanów Zjednoczonych] w Ameryce Łacińskiej jest pomoc, a jeśli to konieczne, nawet zwiększanie wpływów wojska i sił paramilitarnych, tak aby wraz z policją umacniały bezpieczeństwo wewnętrzne”. W odpowiedzi na rewolucję Fidela Castro i jej promoskiewski zwrot, prezydent John F. Kennedy powołał Sojusz na rzecz Postępu *(Alianza para el Progreso).* Jego celem miała być pomoc finansowa, żywnościowa i technologiczna dla ubogich krajów Ameryki Łacińskiej.

Udzielano również pomocy zupełnie innego rodzaju.

Można w tym miejscu zadać zagadkę: co łączy Hugona Banzera z Boliwii, Gustava Alvareza z Hondurasu, Leopolda Galtieriego z Argentyny, Manuela Noriegę z Panamy? Że byli latynoskimi *caudillos.* Bingo! Ale coś jeszcze: wszyscy przeszli kursy w Szkole Ameryk *(Escuetla de las Americas),* założonej w 1946 roku w Panamie (przeniesionej później do Fort Benning w stanie Georgia). Oficjalnie Amerykanie uczyli w niej nowych technik walki, rozwijali talenty przywódcze i wykładali filozofię praw człowieka.

Na początku lat osiemdziesiątych pewien amerykański ksiądz katolicki, Roy Bourgeois, wszczął kampanię na rzecz zamknięcia szkoły. Pracując jako misjonarz w Salwadorze, zorientował się, że jej wychowankowie stanowią narybek szwadronów śmierci, które mordowały chłopów podejrzanych o sympatie do lewicowej partyzantki (wystarczało podejrzenie, żeby stracić głowę). Ofiarą szwadronów padli w 1980 roku arcybiskup Oscar Romero, miejscowy obrońca praw człowieka oraz kilku ojców jezuitów. Ksiądz Bourgeois wrócił do Stanów wstrząśnięty i ogłosił, że Szkoła Ameryk uczy latynoskich żołnierzy mordować i torturować oponentów politycznych. W 1983 roku ONZ ogłosiła listę sześćdziesięciu salwadorskich oficerów zamieszanych w skrytobójstwa. Zespół księdza Bourgeoisa ustalił, że czterdziestu dziewięciu z nich to absolwenci amerykańskiej uczelni. Za kontestowanie szkoły Bourgeois trafił kilka razy do więzienia (raz za bezprawne wtargnięcie na teren wojskowy, kiedy to wspiął się na drzewo i przez megafony puszczał oficerom z Salwadoru

kazanie zamordowanego arcybiskupa Romero).

Pięciu absolwentów z Panamy potwierdziło, że w Szkole Ameryk żywi ludzie służyli za króliki doświadczalne na kursach torturowania. Jeden ze szkolonych zgodził się wyznać przed kamerą (anonimowo): – Szkoła Ameryk to przykrywka dla tajnych operacji. W ramach niekonwencjonalnego szkolenia uczono nas torturować ludzi. Niektórzy z torturowanych byli nadzy i mieli zasłonięte oczy. Lekarz pokazywał nam, gdzie w ludzkim ciele znajdują się zakończenia nerwów; instruował, jak torturować, żeby nie zabić. Mówił, ile wytrzyma serce, i kiedy należy przerwać.

Byli i tacy, którzy o szkoleniu bądź wspieraniu latynoskich *torturadores* mówili z otwartą przyłbicą. Philip Agee, agent CIA w latach 1957–1969, jako pierwszy zdradził „bractwo" i ogłosił książkę o jego metodach. „W Urugwaju finansowaliśmy akcje podkładania bomb w Kościołach i zostawialiśmy na miejscu ulotki procastrowskie. Miało to wywołać oburzenie i demonstracje antykomunistyczne". Agee twierdzi, że „pękł", kiedy usłyszał zza ściany wycie torturowanego studenta, którego sam dostarczył urugwajskiej bezpiece. „Kogo ja wspieram?" – pomyślał.

Wydobywania informacji od przesłuchiwanych przeciwników wojskowego reżimu urugwajscy oprawcy nauczyli się w Szkole Ameryk z podręcznika tortur, którego istnieniu zaprzeczano przez wiele lat. Dwudziestego ósmego czerwca 1996 roku zespół zajmujący się w Białym Domu sprawami wywiadu ogłosił raport, który stwierdził, że w Szkole Ameryk używano „nieodpowiednich materiałów szkoleniowych"; i że „niektóre ustępy [podręczników] pochwalają egzekucje, przymus fizyczny, znęcanie się nad ludźmi, porwania". Sekretarz obrony w rządzie Clintona, Wiliam Cohen, oświadczył publicznie, że podręczniki były „złe", i że „przeżył szok, gdy się o nich dowiedział".

W polskim sporze o Pinocheta padał argument, że generał obronił Chilijczyków przed tym, co było polskim losem po II wojnie światowej. Jak to formułował Henry Kissinger: w sytuacji Ameryki Łacińskiej chodziło o „wybór między siłami demokratycznymi a totalitarnymi". W praktyce wybór padał na siły mroczne.

W 1965 roku amerykańscy *marines* wylądowali na Dominikanie, broniąc bynajmniej nieliberalnego rządu Donalda Reida Cabrala. Pogwałcono zasadę suwerenności, wcale nie w obronie praw człowieka. Rok wcześniej, w Brazylii,

Amerykanie szykowali się do wsparcia wojskowego zamachu stanu. Samoloty, broń, paliwo – wszystko było gotowe. W ostatniej chwili okazało się, że brazylijscy generałowie dali sobie radę bez Wuja z Północy. Również tam miało chodzić o komunistów, którzy w istocie nie stanowili wpływowej siły politycznej. Brazylią rządził lewicujący populista Joao Goulart, który wywłaszczał amerykańskie firmy i ograniczył transfer ich zysków.

W porównaniu ze zbrojną interwencją w jednym kraju, bądź zamiarem interwencji w innym, sekretne finansowanie w 1964 roku kampanii Eduarda Freia, chilijskiego chadeka (trzy miliony dolarów) i sponsorowanie prawicowego dziennika „El Mercurio" było niewinną, „przyjacielską" pomocą. To również dziecinne igraszki w porównaniu z tajnymi operacjami, jakie rząd Stanów Zjednoczonych podejmował sześć lat później, żeby przeszkodzić Salvadorowi Allende w objęciu prezydentury.

Natychmiast po wyborze Allende, prezydent Richard Nixon rozkazał swoim współpracownikom uczynić wszystko, żeby chilijska gospodarka „zawyła". Do zaprzysiężenia Allende zostały dwa miesiące. Biały Dom zrobił wiele, żeby się nie odbyło.

Ambasador USA w Chile, Edward Korry, wspominał: „Żądano ode mnie, abym naciskał na [ustępującego prezydenta] Freia i armię, żeby zorganizowali zamach stanu". Pułkownik Paul Wimert, *attaché* wojskowy ambasady USA w Santiago de Chile, miał wysondować oficerów, czy byliby skłonni wymóc szantażem nowe wybory. Oficerowie nie zareagowali.

Na straży apolityczności chilijskiego wojska stał wówczas generał René Schneider. Żadne spiski wojska z agentami CIA przeciwko demokratycznie wybranemu prezydentowi nie wchodziły w grę. CIA nawiązała więc kontakty z dwiema grupami spiskowców (czy je inspirowała?), którzy mieli porwać Schneidera. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów i broń zdążyły nawet dotrzeć do Santiago w bagażu dyplomatycznym. Jednak, za radą Kissingera, prezydent Nixon w ostatniej chwili rozkazał CIA, by wycofała się z tej akcji. Podobno doszedł do wniosku, że w Chile nie było nastrojów przewrotowych, a – jak tłumaczy Kissinger – „nie ma nic gorszego niż nieudany pucz". Zamachowcy chilijscy nie zrezygnowali i w czasie próby porwania śmiertelnie ranili Schneidera. Dokumenty, które wypłynęły z amerykańskich archiwów we wrześniu 2000 roku, odkrywają, że już po zamachu na Schneidera CIA zapłaciła

zabójcom trzydzieści pięć tysięcy dolarów. Kilka lat wcześniej komisja amerykańskiego Senatu, która nie znała dokumentów, uznała, że w tej sprawie CIA jest czysta.

Obiektywna ocena społecznie konfliktowej polityki Allende to jedno. Trzy lata amerykańskich prób „wysadzenia" Chile pod jego rządami – to – drugie. Zarzut „destabilizowania" Kissinger stanowczo odrzucał: „To, co nasi przeciwnicy nazywają *destabilizacją,* było *de facto* wysiłkiem na rzecz przetrwania instytucji społeczeństwa obywatelskiego, które Allende niszczył. Niejawna pomoc finansowa szła na partie, związki zawodowe i gazety, które były systematycznie dławione".

Pamiętnik Kissingera to kliniczny przykład tego, jak językiem można zakłamywać rzeczywistość. „Wysiłek na rzecz przetrwania instytucji społeczeństwa obywatelskiego" polegał na tym, że CIA kupowała związkowców bądź inspirowała strajki kierowców ciężarówek. Chile to jeden z najdłuższych krajów świata – paraliż transportu oznaczał paraliż kraju. Sparaliżowanemu krajowi pospieszył „na ratunek" generał Augusto Pinochet.

Nie ma bezpośrednich dowodów na to, że Amerykanie zmontowali zamach stanu w Chile. Ujawniane stopniowo dokumenty z amerykańskich archiwów mówią natomiast o zaangażowaniu Waszyngtonu w wywrócenie rządu Allende. Jeszcze nie tak dawno komisja amerykańskiego Senatu nie miała pojęcia o pieniądzach ze Stanów Zjednoczonych dla zabójców generała René Schneidera w 1970 roku. Od końca lat dziewięćdziesiatych wychodziły na jaw coraz to nowe sekrety, detale, dokumenty, dowodzące bliskiej współpracy Amerykanów z juntą Pinocheta.

Kilka przykładów:

* W dniu zamachu stanu *attaché* marynarki wojennej USA, członek obecnej w Chile tak zwanej milgrupy, depeszował: „To nasz *D-Day!* Zamach prawie doskonały".

* Jeden z dokumentów mówi, że CIA miała być może „nieszczęśliwy udział" w zabójstwie Charlesa Hormana.

* „CIA aktywnie wspierała wojskową juntę po obaleniu Allende. Wielu oficerów Pinocheta było uwikłanych w systematyczne i masowe łamanie praw człowieka. Niektórzy z nich byli agentami CIA lub wywiadu wojskowego", stwierdza raport ogłoszony przez National Security Archives.

* Manuel Contreras, szef osławionej DINA, odpowiedzialnej za skrytobójstwa i tortury, był płatną wtyczką CIA. Został agentem już po tym, jak uznano, że to właśnie on stanowi „główną przeszkodę we wprowadzeniu rozumnej polityki junty w kwestii praw człowieka”. Po zamachu bombowym na Orlanda Leteliera w Waszyngtonie, byłego ministra rządu Allende, CIA nadal współpracowała z Contrerasem, mimo podejrzeń co do jego „możliwej roli w zamachu”. Waszyngton wiedział o kierowanej z Chile operacji „Kondor”, w ramach której mordowano oponentów Pinocheta w różnych krajach regionu: Argentynie, Urugwaju, Paragwaju.

* Gdy kilku urzędników ambasady w Santiago de Chile złożyło wniosek o zerwanie stosunków z juntą Pinocheta, Pentagon i Departament Skarbu przy wsparciu ambasadora gwałtownie ten pomysł odrzuciły.

Wyszły również na jaw związki Waszyngtonu ze zbrodniczą juntą w Argentynie. *National Security Archive* w Stanach Zjednoczonych (instytut badawczy i archiwum dokumentów odtajnionych na mocy prawa o dostępie do informacji) ujawniło, że Henry Kissinger dał „zielone światło” dla rzezi dokonywanych na przeciwnikach przez argentyńską juntę w latach 1976–1983.

Koronnym dokumentem jest siedmiostronicowy stenogram rozmowy w Waszyngtonie z 7 października 1976 roku między Kissingerem i admirałem Cesarem Augusto Guzettim, szefem dyplomacji junty. „Chcielibyśmy, żeby się wam powiodło – życzył Kissigner Guzettiemu. – Wyznaję staroświecki pogląd, że przyjaciół należy wspierać. W USA nie rozumie się, że macie wojnę domową. Czytamy o problemach z prawami człowieka, ale nic o kontekście. Im szybciej zwyciężycie, tym lepiej”. Kissinger zachęcał Guzettiego, ażeby junta uporała się z „terrorystami” do końca 1976 roku – a wtedy „w Stanach Zjednoczonych nie będzie problemów” (chodziło o protesty kongresmenów).

Przed tą wizytą ambasador USA w Buenos Aires, Robert Hill, upominał Guzettiego: „mordowanie księży i wyrzucenie jednego dnia 47 zwłok na ulicę trudno rozpatrywać w kontekście szybkiego pokonania terrorystów; takie działania są raczej przeciwskuteczne. Rząd USA ma nadzieję, że rząd Argentyny zdoła wkrótce pokonać terrorystów; tak, ale na tyle, na ile to możliwe w ramach prawa”.

W jednym z raportów do sekretariatu stanu Hill pisał, że jadąc do Waszyngtonu, Guzetti „oczekiwał silnego i twardego ostrzeżenia w sprawie

praktyk swojego rządu w kwestii praw człowieka". Tymczasem „wrócił w stanie triumfu, przekonany, że nie ma problemu z USA w tej kwestii".

Hill uważał, że Kissinger dał „zielone światło" dla wzmożonych represji. W odpowiedzi wysłanej do Buenos Aires współpracownik Kissingera, Harry Shlaudeman, zapewnił Hilla, że Guzetti usłyszał tylko to, co „chciał usłyszeć". (Hill nie znał wówczas treści rozmowy Kissingera z szefem dyplomacji junty).

Po odejściu z urzędu Kissinger, ciągle jeden z najbardziej wpływowych polityków USA na świecie, otwarcie wspierał argentyńskich generałów. Gdy prezydent Jimmy Carter, który objął rządy w 1977 roku, upominał juntę za jej okrucieństwa, Kissinger odwiedził Argentynę podczas mistrzostw świata w piłce nożnej w 1978 roku jako specjalny gość generałów-zbrodniarzy.

W końcu lat dziewięćdziesiątych, gdy na całym świecie wybuchła debata na temat tak zwanej międzynarodowej sprawiedliwości, Kissinger zaczął zachowywać ostrożność w czasie podróży zagranicznych. Oskarżano go o inspirowanie zamachów stanu i krwawych represji w Chile, Argentynie, Bangladeszu, Indonezji, na Cyprze oraz o zbrodnie wojenne w Wietnamie. W obawie przed zatrzymaniem, odwoływał podróże, między innymi do Brazylii. W Londynie witały go burzliwe protesty uliczne. W Paryżu policja dostarczyła mu wezwanie od francuskiego sędziego…

Henry Kissinger: „promowanie demokratycznych instytucji było znaczącym składnikiem naszej latynoamerykańskiej polityki". Bez komentarza. Kissinger napisał to w odpowiedzi na zarzut bratania się administracji Nixona z Pinochetem. Szokujące w zimnowojennym dyskursie byłego sekretarza stanu USA jest zachwianie proporcji w reakcjach na ekscesy dwóch epok: Salvadora Allende i Augusta Pinocheta. Allende – w oczach Kissingera – dążył do totalitaryzmu, systematycznie gwałcił prawa obywatelskie, niszczył instytucje, szmuglował broń z Kuby, bratał się z terrorystami. Czasy Pinocheta to co najwyżej autorytaryzm i – ewentualnie – pewne nadużycia w kwestii praw człowieka, ale dające się wytłumaczyć kontekstem „komunistycznego zagrożenia".

„Oczywiście – przyznawał Kissinger – tajne operacje stwarzają filozoficzne i praktyczne trudności, szczególnie dla Ameryki. Nasz narodowy temperament i tradycja nie pasują do nich. (..). Żyjemy jednak w czasach ideologicznej konfrontacji; we wszystkich kolejnych fazach [pokojowego] współistnienia

[między USA i ZSRR] liderzy sowieccy podkreślali, że nie oznacza to [dla nich] osłabienia walki ideologicznej…”.

Richard Helms, dyrektor CIA w latach 1966–1973, nie miał hamletowskich rozterek Kissingera: „Dlaczego mielibyśmy przekładać nasze rozumienie praw człowieka na grunt zagraniczny?”.

Politykiem, który z praw człowieka uczynił filozofię polityki międzynarodowej, był prezydent Jimmy Carter. Inicjatywa Cartera, która znalazła sojusznika w nowym papieżu Janie Pawle II, wpłynęła na zmianę oblicza świata, szczególnie Europy Wschodniej. Opozycja demokratyczna w Polsce mogła powoływać się na zobowiązanie przestrzegania praw człowieka zaciągnięte przez reżim PRL na helsińskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (KBWE).

W Ameryce Łacińskiej idee praw człowieka Carter wcielał mało konsekwentnie. Jego administracja niemal do końca wspierała ponurego dyktatora Nikaragui Anastasia Somozę, nie zerwała współpracy z reżimem Pinocheta, a dyktatorowi Videli z Argentyny jedynie pogrożono palcem.

„Filozofia praw człowieka”, jaką zostawił po sobie Carter, ustanowiła jednak oficjalną normę, standard, który okazał się kłopotliwy dla następcy – Ronalda Reagana. „Jeśli będziemy wobec komunistów bezczynni, czeka nas komunistyczna Ameryka Środkowa, a komunistyczna dywersja będzie się dalej rozszerzać” – zapowiedział Reagan u progu swojej prezydentury. W Polsce odczuwamy wdzięczność do „starego kowboja” za twardą politykę wobec Moskwy. Miliony Latynosów mają powody widzieć w niej przekleństwo.

CIA pod dyrekcją Wiliama Casey'a siała postrach w małych republikach Ameryki Środkowej. W Salwadorze finansowano, zbrojono i szkolono szwadrony śmierci, które mordowały niepokornych wieśniaków. W Nikaragui agenci CIA minowali porty, żeby odciąć kraj od dostaw z morza, i wysadzali zapasy ropy, żeby sparaliżować życie małego państewka. Duane Clarridge, odpowiedzialny w CIA za Amerykę Środkową, mówił otwarcie i z dumą: „Tak, należało wszcząć wojnę w Nikaragui, należało stworzyć *contras*”.

Contras byli „ukochanymi chłopcami” Reagana. Oddziały zbrojnej prawicy nikaraguańskiej, szkolone w Hondurasie, wysyłano do sandinistowskiej Nikaragui, żeby paliły uprawy, wsie i zabijały wiernych sandinistom chłopów. Z *contras* wiąże się najgłośniejszy skandal prezydentury Reagana. Gdy w 1984 roku amerykański Kongres obciął fundusze, których część szła na tajne

operacje, w tym na wspieranie *contras,* brakujące pieniądze zarabiano na nielegalnym handlu bronią. Broń sprzedawano do Iranu, a zdobyte w ten sposób środki szły na nikaraguańską kontrrewolucję. Skandal przeszedł do historii jako afera *Iran-contras.*

Był i drugi. W poszukiwaniu funduszy na walkę zbrojną z sandinistami partyzanci z *contras* uwikłali się w narkobiznes. Ich piloci figurowali w amerykańskich kartotekach jako szmuglerzy białego proszku. Siły porządku i bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych przymykały oczy na przemycanie przez *contras* narkotyków do ich kraju. W imię antykomunizmu Ameryka odstąpiła od pryncypialnej polityki antynarkotykowej. (Komisja Kongresu stwierdziła potem, że USA stały się współuczestnikiem międzynarodowego narkobiznesu, który oficjalnie zwalczają).

W imię antykomunizmu odstąpiono od idei niewspierania islamskich fundamentalistów; zawieszano wiarę w prawa człowieka i samostanowienie narodów. Tak, istnieje nić między polityką Waszyngtonu a izbami tortur w Santiago de Chile i Rio de Janeiro, zamachami w Hawanie i skrytobójstwami w Montevideo. W świetle faktów opisanych w dokumentach amerykańskiego wywiadu zaproszenie Henry'ego Kissingera do chilijskiego sądu wydaje się zrozumiałe.

Amerykańskie interwencje i wsparcie represyjnych dyktatur przyniosły kilkaset tysięcy śmiertelnych ofiar i cierpienia milionów obywateli Ameryki Łacińskiej. John Negroponte, były ambasador USA w Hondurasie, uważa, że gdyby jego kraj nie praktykował takiej polityki, ofiar i cierpień byłoby jeszcze więcej.

Stoimy prawdopodobnie wobec nierozstrzygalnego intelektualnie dylematu: Czy lepiej, że Ameryką Łacińską rządzili prawicowi brutale ze wsparciem Stanów Zjednoczonych, dlatego że inna możliwość – lewicowa, socjalistyczna, komunistyczna – byłaby jeszcze gorsza? Jest to dylemat z gatunku: kto lepszy – Hitler czy Stalin? Albo: jakie tortury są bardziej humanitarne – lewicowe czy prawicowe?

Pisanie historii alternatywnej, „co by było gdyby”, jest często jałowe, choć realna polityka zmusza tych, którzy biorą za nią odpowiedzialność, do nieustannego zadawania pytań o możliwe scenariusze. Historia Ameryki Łacińskiej podsuwała odpowiedź, że społeczne aspiracje rzesz biedoty mogą

skończyć się: 1) prosowiecką dyktaturą, jak na Kubie (choć należy pamiętać, że popchnięcie rewolucji Castro w objęcia ZSRR dokonało się z silnym udziałem polityki Waszyngtonu); 2) reformistycznym i demokratycznym socjalizmem, jak w Chile; 3) demokratycznym populizmem, jak w Brazylii.

Choć polityka Stanów Zjednoczonych wobec krajów Ameryki Łacińskiej w czasach zimnej wojny budzi refleksje i odczucia mniej więcej takie, jak sowiecka interwencja w Budapeszcie i Pradze, nie daje spokoju wyznanie krytycznie myślącego *guerrillero* Alfreda Sirkisa: „Co by się stało, gdybyśmy wtedy zwyciężyli? Ile zbrodni było udziałem Stalina, ile kosztowały katastrofalne eksperymenty Mao Zedonga, ludobójstwo Pol Pota…”. Może zagrożenie komunistyczną dyktaturą w niektórych sytuacjach istniało naprawdę? Niełatwo tego dowieść, gdy mowa o konkretnych wydarzeniach. Za samą taką hipotezę, bez minimum pewności, niekiedy wbrew doświadczeniu, tysiące ludzi straciło życie albo trafiło do izb tortur.

Ocena polityki Waszyngtonu w Ameryce Łacińskiej w czasach Kennedy'ego, Nixona, Reagana byłaby łatwiejsza, bardziej Stanom Zjednoczonym przychylna, gdyby istotnie walczono z krwawymi komunistycznymi reżimami albo wspierano ruchy na rzecz praw człowieka. Tymczasem hasło „walki z komunizmem” służyło najczęściej jako wykręt i usprawiedliwienie gigantycznych łajdactw i zbrodni. Walcząc z „czerwonym barbarzyństwem”, Amerykanie bynajmniej nie promowali w Gwatemali, Brazylii, Argentynie i Chile demokracji, lecz systemy równie jak komunizm ponure – tyle że uległe wobec Waszyngtonu.

„Może to i są sukinsyny, ale to są nasze sukinsyny”, głosiła słynna fraza powtarzana przez wielu waszyngtońskich decydentów. Trudno o doskonalsze streszczenie amerykańskiej strategii w Ameryce Łacińskiej w dobie zimnej wojny.

***

(Notatka z osobistego dziennika):

Żyjąc pod moskiewskim butem, śniliśmy o Statule Wolności – jak gdyby nie dopuszczając do świadomości, że Ameryka doby zimnej wojny była krajem

dalekim od wymarzonych standardów demokracji, swobód obywatelskich. Rozdzierały ją krwawe walki na tle rasowym, polityczne zbrodnie (bracia Kennedy, Martin Luther King, Malcolm X), a prawa człowieka długo nie stanowiły obowiązującej filozofii polityki wszelkiej.

Nie wiem, czy po upadku komunizmu jesteśmy zdolni przyjąć niewygodną prawdę o czarnej stronie świata zachodniej demokracji, do którego przez kilka dziesięcioleci aspirowaliśmy; czy jesteśmy gotowi zapoznać się z „czarną księgą" antykomunizmu. Zbrodnie w imię wolności stanowią fragment spuścizny demokratycznego świata, do którego należymy. I z odpowiedzialnością za nie powinniśmy pozmagać się w ramach duchowych ćwiczeń z sumieniem i krytycznym rozumem. Choćby po to, by w naszym myśleniu nie miała praw obywatelskich idea, że istnieją dobre zbrodnie, które ratują ludzkość. Choćby po to, by ktoś kiedyś nie porównał nas do zapatrzonych w Moskwę zachodnich i latynoamerykańskich marzycieli, którzy mówili, że Gułagu nie ma, bo to przecież niemożliwe…

Miniatura XI
(postantyjankesizm)

– Waszymi „Jankesami” są Rosjanie i Niemcy.

Carlos Fuentes uśmiecha się, gdy mówię, z jakim niezrozumieniem spotyka się w Polsce antyjankesizm Latynosów.

Pogranicze Stanów Zjednoczonych i Meksyku ma szczególną symbolikę: jest to granica między światem zwycięzców i światem przegranych. Meksykanie mogą uważać się za arystokratów ducha, lecz w świecie ostrej konkurencji gospodarczej zostają w tyle za Amerykanami z Północy. Spytałem Fuentesa, jaką drogę powinny obrać Meksyk i inne kraje Ameryki Łacińskiej, które żyją przez miedzę ze światowym zwycięzcą: utrwalać własną tożsamość, odwrócić się plecami do sąsiada, czy raczej upodabniać się do niego?

– Stosunki Meksyku ze Stanami Zjednoczonymi – odpowiedział Fuentes – są dzisiaj przyjazne. Mamy szeroką wymianę handlową. Owszem, są problemy: nielegalni imigranci, narkotyki… Antyjankesizm mógłby zniknąć, wyparować, trafić do muzeum historii, gdyby nie to, że Stany Zjednoczone ciągle budują przeszkody do lepszego poukładania świata. Nie chcą Międzynarodowego Trybunału Karnego, sprzeciwiają się konwencji z Kioto (o redukcji emisji gazów cieplarnianych, która nakłada ograniczenia na wiele amerykańskich przedsiębiorstw), nie akceptują różnych pomysłów na rzecz ochrony środowiska – i na swoim terytorium, i poza nim. Głoszą, że są za wolnym handlem, a wznoszą bariery chroniące amerykański rynek – szkodliwe dla Europy i Ameryki Łacińskiej. Prezentują się jako kraj najczystszego kapitalizmu, a subwencjonują swoje rolnictwo i zadają tym cios rolnictwu biednych krajów

Południa. Stany Zjednoczone jako światowe mocarstwo numer jeden powinny być jeśli nie inicjatorem, to przynajmniej współtwórcą nowych mechanizmów. Niestety nie są.

Bohater opowiadania *Grabież* walczy z amerykanizacją na polu kulinarnym (macdonaldyzacją). – Wpływ kultury północnoamerykańskiej na społeczeństwa krajów Ameryki Łacińskiej – mówi Fuentes – niepokoi mnie, bo jest powierzchowny, komercyjny. Natomiast Meksykanie i ludzie z innych kultur hiszpańskojęzycznych w USA są głęboko zanurzeni w życiu tego kraju. W Stanach Zjednoczonych żyje około trzydziestu milionów ludzi mówiących po hiszpańsku. Od Kalifornii po Teksas, od Florydy po Oregon, w Chicago, Nowym Jorku wychodzą tuziny hiszpańskojęzycznych gazet i czasopism, nadaje się audycje radiowe, programy telewizyjne – jest szeroka publiczność słuchająca i czytająca po hiszpańsku. A ile milionów anglojęzycznych cudzoziemców ma Ameryka Łacińska? Mniej niż milion? Relacje są więc nierówne. Chciałbym, żeby pewnego dnia każdy meksykański pracownik znalazł pracę w Meksyku, ale tego dnia Stany Zjednoczone będą musiały szukać robotników na biegunie północnym, w Polinezji, Polsce, sam nie wiem, gdzie jeszcze. To nie my, to Stany Zjednoczone potrzebują imigrantów!

Inna rzeka, inna bajka
(polityczne przypadki Gabriela Garcii Marqueza)

Gdybym o politycznym wizerunku Gabriela Garcii Marqueza, jaki wyziera z jego eseistyki i felietonów, pisał dla czytelnika Latynosa, szkic ten zatytułowałbym prowokacyjnie: „Autoportret hipokryty". Albo dosadniej: „Jak być idiotą doskonałym". Zacytowałbym wtedy innego wielkiego pisarza Ameryki Łacińskiej Maria Vargasa Llosę, który pisze: „Wierzy, że jesteśmy biedni, ponieważ ONI są bogaci, i na odwrót; że historia jest udaną konspiracją złych przeciw dobrym, w której TAMCI zawsze zwyciężają, a my przegrywamy (on zawsze jest pośród biednych ofiar i szlachetnych przegranych)… Gdy mówi o kulturze, uderza w takie tony: *To, co wiem, nauczyło mnie życie, a nie książki, dlatego kultura moja nie jest książkowa, lecz życiowa.* Któż to taki? To idiota latynoamerykański". Chodzi tu o latynoskiego idiotę „w ogóle", o idiotę-zjawisko, nie o idiotę konkretnego.

Cóż o nim rzec? „Idiota latynoamerykański" podziwia Fidela (a przynajmniej znajdzie ze sto subtelnych usprawiedliwień jego tyranii). Nienawidzi Jankesa, zwłaszcza jeśli jest nim „dawny rewolwerowiec z ekranu, pozbawiony innych zalet i wad niż te dawno już niemodne, od jaskiniowej ideologii poczynając, a na wybrylantowanych włosach kończąc" (cóż za fraza!). Wspomnieniem „idioty latynoamerykańskiego" z podróży do dawnej Ojczyzny Proletariatu jest zachwyt nad niewidoczną na ulicach nędzą, jaką ogląda na co dzień w Kolumbii, Peru, Brazylii, albo „sympatyczny wywiad" z sekretarzem do spraw kultury KC KPZR, mimo iż był „obfitujący w trudne chwile". „Idiota latynoamerykański" chętnie

opowie o okrucieństwach i zbrodniach tyranów, pod warunkiem, że będą nimi Jankesi i ich „małpoludy” w Ameryce Środkowej albo Anglicy na Falklandach-Malwinach. Wówczas dowiemy się szczegółowo i precyzyjnie o jeńcach argentyńskich, z których pięćdziesięciu „musiało przejść operację odbytu z powodu gwałtów dokonywanych przez Anglików” i o „barbarzyństwie batalionu Gurkhów”. (To wszystko cytaty z felietonów Garcii Marqueza).

Zgodnie z przepisem podanym przez Vargasa Llosę, jego dawny przyjaciel, a później ideologiczny adwersarz García Márquez to „idiota doskonały”. Krewniak intelektualny Vargasa Llosy z Europy Wschodniej, który na własnej skórze poznał zdobycze socjalizmu, nie nazwałby Garcii Marqueza „idiotą”, bo w Polsce coś takiego nie przystoi, lecz prędzej „hipokrytą”. Trudno orzec, które przezwisko jest bardziej łaskawe.

A zatem wszystko to być może napisałbym, gdybym pisał ten szkic dla Brazylijczyków, Kubańczyków, Chilijczyków. Poglądy „idiotów” straszą tam z gazet, książek, telewizorów. Piszę jednak dla czytelników w Polsce, którzy siłą faktów i historii mają końcowo odmienne doświadczenia; i którzy zetknęli się z załganą wizją historii w wersji patriotyczno-antykomunistycznej. W naszej rodzimej wizji dziejów powszechnych generał Pinochet bywa zbawicielem zachodniej półkuli, ponieważ wyrżnął kilka tysięcy „czerwonych” i „zatrzymał pochód Fidela Castro” w Ameryce Łacińskiej. Ronald Reagan jest nieskazitelnym obrońcą chrześcijańskiej cywilizacji, bo wydał wojnę „imperium zła”, zaś partyzanci z Salwadoru i Nikaragui to „terroryści”, albo w najlepszym razie podejrzane typki pomalowane na czerwono, które stręczyły uciśnione ludy Breżniewowi i jego następcom.

Eseje Garcii Marqueza pozwalają ten zakłamany obraz zweryfikować.

Polski patriota, inteligent, pisarz urodzony u schyłku lat dwudziestych minionego wieku mógł jeszcze łyknąć trochę opowieści rodzinnych o zmarłym dziadku, który walczył w powstaniu styczniowym. Od ojca usłyszał o rewolucji 1905, trzech zaborcach, bolszewikach pogonionych pod Warszawą, walkach z Ukraińcami, kwestii robotniczej i chłopskiej. Lata szkolne były Apokalipsą, w której stracił najbliższych. A potem przyszła sowiecka okupacja i czerwona dyktatura…

García Márquez dorastał w świecie, który polskiemu czytelnikowi może wydawać się nierzeczywisty, baśniowy. Nie tylko w obfitości, urodzie,

nadmiarze; również w szaleństwie, okrucieństwie, podłości.

A przecież wymyślony nie był.

„Przez prawie dziesięć lat – wspominał García Márquez – czytałem wszystko na temat dyktatur w Ameryce Łacińskiej, zwłaszcza na Karaibach, żeby książka, jaką zamierzałem napisać [„Jesień patriarchy”], w możliwie najmniejszym stopniu przypominała rzeczywistość. Każdy krok przynosił rozczarowanie. Juan Vicente Gómez obdarzony był o wiele większą intuicją niż jakikolwiek uzdolniony jasnowidz. Doktor Duvalier na Haiti polecił wytrzebić wszystkie psy w kraju, bo któryś z jego wrogów, uciekając przed prześladowaniami tyrana, pozbył się ludzkiej postaci i zmienił w czarnego psa. Doktor Francia, którego sława filozofa była tak wielka, że zasłużył sobie na studium Carlyle'a, zamknął republikę Paragwaju, jak własny dom, pozostawiając jedynie uchylone okno, by przez nie dostarczano pocztę. Antonio López de Santa Ana pochował własną nogę, urządzając jej uroczysty pogrzeb. Ucięta ręka Lopego de Aguirre przez wiele dni płynęła w dół rzeki, a ludźmi wstrząsał dreszcz przerażenia na samą myśl, że nawet w takim stanie ta śmiercionośna dłoń mogłaby zadać śmierć. Anastasio Somoza García w Nikaragui miał na dziedzińcu domu cały ogród zoologiczny z klatkami przedzielonymi na dwie części: w jednej siedziały krwiożercze bestie, w drugiej, oddzieleni zaledwie żelaznymi prętami – jego polityczni przeciwnicy. Martínez, teozoficzny dyktator w Salwadorze, polecił pozasłaniać czerwoną bibułką wszystkie latarnie w kraju, by w ten sposób zwalczyć epidemie odry; wymyślił też wahadełko, które umieszczał nad potrawami przed spożyciem, chcąc sprawdzić, czy nie są zatrute”.

W dorosłość García Márquez wkracza na początku ciągle niezakończonej wojny domowej w Kolumbii. Z jednej strony skorumpowana, represyjna władza, z drugiej – chłopska partyzantka, która po latach przechrzciła się na marksizm. To także czas raczkującej rewolucji, która za chwilę rozpali cały region na następnych kilka dekad.

Dorasta w świecie, którego plagami są nędza, przemoc, korupcja, tyranie zwyrodnialców. Ci, którzy je zwalczają, zaczynają przywdziewać szaty w kolorze czerwieni. Świat ogarnia tymczasem zimna wojna między supermocarstwami: USA i ZSRR. Każdy sprzeciw wobec tyranii, w imię sprawiedliwości, z czerwoną banderą, jest dla Wielkiego Brata z Północy moskiewską intrygą. Stany Zjednoczone wyślą każde pieniądze, broń, swoich

chłopców, żeby utrzymać w Ameryce Łacińskiej *status quo,* czyli tyranów o „śmiercionośnych dłoniach”.

Z perspektywy młodego Garcii Marqueza, USA nie tylko stanęły po stronie zła, lecz były jego stwórcą, siewcą, motorem. Skoro wspierają perwersyjnych oprawców, którzy urządzają ogród zoologiczny z klatkami dla dzikich bestii i politycznych oponentów… Po której stronie winien stanąć człowiek porządny, uczciwy, wrażliwy?

Tak rodził się antyjankesizm, również ten Garcii Marqueza.

Niechęć wielkiego Kolumbijczyka do Stanów Zjednoczonych przybierała niekiedy postać obsesji. W jednym z felietonów García Márquez narzekał, że w czasie świąt Bożego Narodzenia „Dzieciątko Jezus zostało zdetronizowane przez jankesko-angielskiego Santa Clausa”. I biadolił bez końca: „ten uzurpator z czerwonym nosem piwosza to nikt inny, jak dobry Święty Mikołaj, święty, którego bardzo kocham, bo to patron mojego dziadka pułkownika, ale nie ma on nic wspólnego z Bożym Narodzeniem, a tym bardziej z tropikalną Wigilią Ameryki Łacińskiej”. Dalej przeczytamy pikantny opis „strasznych kartek pocztowych”, „sztucznego śniegu”, „dwóch tygodni rozpasanej konsumpcji” i „piekielnej nocy, kiedy dzieci nie mogą zasnąć, bo dom pełen jest pijaków, którzy mylą drzwi, szukając ubikacji, albo gonią za żoną tego, który błogo śpi w salonie. To jedno wielkie kłamstwo, nie żadna cicha noc, święta noc, ale wręcz przeciwnie: święto ludzi, którzy nie darzą się uczuciem”. A kto temu winien? No jak to kto? A „najgorsze, że dzieci pod wpływem całej tej potwornej stylistyki mogą naprawdę uwierzyć, że Dzieciątko Jezus wcale nie przyszło na świat w Betlejem, tylko w Stanach Zjednoczonych”.

Przenikliwy pisarz i genialny stylista z uporem godnym lepszej sprawy będzie rozpisywał się o zdrowiu i zmarszczkach prezydenta Reagana. „Jego wyniszczenie fizyczne, z bliskiej odległości i w świetle bezlitosnych reflektorów, o wiele bardziej rzuca się w oczy niż można było przypuszczać. Kamerzyści filmowi i telewizyjni nie mylili się co do szczegółów dotyczących charakteryzacji; wielu z nich uważa, że makijaż Reagana, włącznie z różem na policzkach, jest starannie nałożony na cały dzień, od śniadania do kolacji. Ale nie stanowi żadnego cudu techniki, pochodzi raczej z epoki kina niemego”. I tak na okrągło. Gdy nie ma w danej chwili pretekstu, żeby rozwałkować Reagana za brudną wojnę w Ameryce Środkowej, trzeba koniecznie napisać, że brzydko mu pachnie

z ust.

Próżno szukać felietonów, w których García Márquez zajmowałby się starczym wyglądem tyranów: Breżniewa albo Castro, choć obaj stanowili wdzięczne obiekty felietonowych zgryźliwości.

Nic jednak nie zrozumiemy ani z Garcii Marqueza, ani z Ameryki Łacińskiej, jeśli sprowadzimy antyjankesizm do irracjonalnych fobii. Zwykliśmy patrzeć na USA jak na Ojczyznę Wolności. Latynosi mają zupełnie inną perspektywę.

Gdy García Márquez odbywał podróż z żoną i dziećmi z Nowego Jorku na południe Stanów, napotykał tabliczki w rodzaju: „Psom i Meksykanom wstęp wzbroniony". Próżno było tłumaczyć, że pochodzi z Kolumbii. Latami borykał się z władzami imigracyjnymi USA, które konsekwentnie odmawiały mu wizy i nigdy nie wyjaśniły, dlaczego jest osobą niepożądaną. „Przypuszczam, że ten zakaz wjazdu – pisał po latach – nie wynika z chęci obrony społeczeństwa amerykańskiego, jak twierdzą urzędnicy, lecz stanowi karę nałożoną przez imperium na tych, którzy ośmielają się je krytykować". (Pisarz wjeżdżał do USA, ale na krótko, gdy wygłaszał jakiś wykład lub odbierał nagrodę, po czym natychmiast musiał wyjechać).

Najważniejsze są polityczne, nie osobiste, motywy antyjankesimu pisarza. „Jak to możliwe – pytał García Márquez – że kolejne administracje Stanów Zjednoczonych, państwa, które w obecnym stuleciu prezentuje niebywały geniusz twórczy, mogły przez lat dwadzieścia podtrzymywać bzdurne plany działań i roztrwonić na nic tyle ludzkiej wyobraźni i pieniędzy". Na co? Na przykład, na Szkołę Ameryk, gdzie latynoskich żołnierzy i ubeków szkolono, jak skutecznie poddawać ludzi torturom; na kilkadziesiąt zamachów na Fidela Castro, w czasie których korzystano nawet z usług mafii.

Jaką reakcję pisarza mogło budzić wspieranie przez USA w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych reżimu Pinocheta w Chile, szwadronów śmierci w Salwadorze, zbrojenie obrońców Somozy w Nikaragui? „Od dnia przejęcia władzy – pisał García Márquez – prezydent Ronald Reagan krok po kroku tworzył dla Ameryki Środkowej i Karaibów politykę pozbawioną wyjścia ewakuacyjnego…" Podobnie zresztą czynili jego poprzednicy: Kennedy, Johnson, Nixon i Carter (z niewielkim okresowym złagodzeniem). „Podstawowy błąd [tej polityki] tkwi – zdaniem pisarza – w założeniach. Analizy sytuacji dokonano na podstawie fałszywych przesłanek, że oto konflikty w Ameryce Środkowej i na

Karaibach zrodziły się nie na skutek regionalnych uwarunkowań historycznych [takich jak nędza, przemoc, wyzysk, korupcja], tylko szeroko zakrojonej konspiracji sowieckiej. Usiłując dowieść tego na siłę i wbrew oczywistym faktom, rząd Stanów Zjednoczonych wpadł nagle w wir i pociągnie za sobą każdego, kto nie zechce rzucić mu, czyli tak naprawdę nam, ostatniej deski ratunku".

Konkluzja Garcii Marqueza jest bliska hipotezom, jakie na początku lat sześćdziesiątych stawiali nawet niektórzy politycy amerykańscy, objaśniając prosowiecką woltę Castro: „Znam najwybitniejszych przywódców dzisiejszej Nikaragui [chodzi o lata osiemdziesiąte] jeszcze z dawnych czasów, zanim sięgnęli po władzę, i wiem, ze ich cele nie wpisują się w żaden ustalony wcześniej schemat, są własne i oryginalne, na miarę warunków kraju, który nie ma zbyt wiele wspólnych cech z sąsiadami. *Nie chcemy tworzyć nowej Kuby* – powtarzali mi przy wielu okazjach – *tylko nową Nikaraguę.* Niemniej jednak jestem pierwszą osobą, która przyznaje, że w ciągu dwóch lat musieli zrobić wiele rzeczy odwrotnie niż wcześniej zamierzali. Zmusiła ich do tego tępota USA, które uparcie pchają Nikaraguę w objęcia ZSRR jedynie po to, by wykazać, że na tym świecie są tylko dwie miski zupy i że kraje potrzebujące pomocy nie mają innego wyjścia, jak wybrać którąś z nich albo umrzeć z głodu".

Z polskiej perspektywy winnym tej sytuacji był ZSRR. Z perspektywy mieszkańców Ameryki Łacińskiej – Stany Zjednoczone.

Choć antyjankeskie natręctwa pisarza mogą w oczach polskiego czytelnika osłabiać wiarygodność przytaczanych przezeń faktów, uprawnionych ocen, trzeba oddać pisarzowi sprawiedliwie, że potrafił dostrzegać niuanse i doceniać przyjazne zakręty w postawie Stanów Zjednoczonych. „Polityka USA wobec naszego regionu – pisał w lipcu 1983 roku – mimo ewidentnego zaostrzenia kursu i niebezpiecznych wyczynów, nie jest dziś identyczna jak pięć miesięcy temu. Kiedy demokratyczna opozycja w USA starała się w kampanii wyborczej zdyskontować działania grupy z Contadory [Kolumbii, Meksyku, Panamy i Wenezueli na rzecz pokoju w regionie], prezydent Reagan dokonał w swojej polityce wobec Ameryki Środkowej niespodziewanego zwrotu. Po raz pierwszy zgodził się na forum Kongresu, że może istnieć w Ameryce Środkowej inny ustrój niż taki, jak panujący w USA, pod warunkiem, że nie będzie uzależniony od Związku Sowieckiego czy Kuby".

Pewien eksrewolucjonista latynoamerykański spytał mnie kiedyś

z autentyczną, gorzką zadumą: – Może ty potrafisz mi wyjaśnić, jak to możliwe, że taki wspaniały kraj jak USA, demokracja doskonała, dobrobyt, wolność i co-tylko-chcesz, w polityce zagranicznej był agresorem, promował i utrzymywał przy władzy najgorsze męty w Ameryce Łacińskiej?

– Wiesz, była zimna wojna… – zacząłem, lecz od razu wyczułem, że brzmi to fałszywie.

Sam nie wiem, jak to możliwe.

García Márquez ma w Polsce opinię czerwonego hipokryty, co „Solidarności" nie lubił, a z Fidelem rum popijał. Nie takie to proste – ani z „Solidarnością", ani z tą wiarą w komunizm.

Zanim stanął po stronie rewolucji w Ameryce Łacińskiej, odwiedził kraje bloku sowieckiego, między innymi NRD, Czechosłowację, Polskę. Był rok 1955, czas odwilży. Na warszawskiej ulicy czuło się wrogość wobec narzuconej z zewnątrz władzy. „Z owego niezapomnianego pobytu – pisał Márquez w felietonie z 1981 roku – wyniosłem ogólne wrażenie, że życie w Polsce dalekie było od tego ideału socjalizmu, o jakim uczyłem się, mając lat dwadzieścia. Było to życie surowe i gorzkie, a wewnętrzna presja prędzej czy później doprowadzić mogła do wybuchu, jeśli w porę wszystkiego się nie zmieni".

Zza żelaznej kurtyny García Márquez wraca z przekonaniem, że socjalizm może rozkwitnąć jedynie w sprzyjających warunkach społecznych, na pewno nie narzucony siłą. Gdyby nie rozpolitykowana w kawiarniach, na uczelniach i w domach Warszawa – co mogło sprawiać wrażenie względnej swobody – być może wróciłby stąd jako… antykomunista.

A zaraz potem przyszedł rok 1959 i rewolucja kubańska, bynajmniej nie czerwona jeszcze. García Márquez zostaje korespondentem kubańskiej agencji Prensa Latina w Nowym Jorku (dopiero później będzie miał zakazy wjazdu), skąd bardzo szybko… wylatuje. Staje się ofiarą walk frakcyjnych wewnątrz kubańskiej rewolucji. Na ponad dziesięć lat zrywa związki z Kubą. „Wtedy był idealistą i romantykiem – opowiadał Adamowi Michnikowi Mario Vargas Llosa. – Ale kiedy agencję Prensa Latina przejęli komuniści, wyrzucono go. Stał się potem sceptyczny, zachowywał dystans i nigdy nie rozmawiał o polityce… On naprawdę nie poddawał się temu entuzjazmowi, jaki wzbudzała w nas wszystkich rewolucja kubańska. Był ironiczny, jak ktoś, kto zna prawdę".

Po agresji wojsk Układu Warszawskiego na Pragę, García Márquez – inaczej

niż Fidel Castro – potępia zdławienie Praskiej Wiosny.

Przyjaźń z Hawaną nawiązuje na nowo dopiero po tym, jak większość zafascynowanych Fidelem intelektualistów zrywa z nim stosunki. Rubikonem dla wielu staje się sprawa uwięzionego, a następnie zmuszonego do samooskarżeń poety Herberta Padilli. García Márquez odmawia podpisania listu protestacyjnego pisarzy do Fidela Castro. Kilka lat później, znów oficjalny przyjaciel Rewolucji i jej wodza, będzie ironizował: „Z rozbawieniem przypominam sobie, jak w pierwszym okresie intelektualiści europejscy czcili na różnych uroczystościach i kongresach rewolucję kubańską. Nie wiem, czy zdawali oni sobie sprawę z tego, że w tych pierwszych latach na Kubie było około dwudziestu tysięcy więźniów politycznych; w więzieniach panowały bardzo ciężkie warunki życia, gdyż rewolucja nie miała czasu tym się zająć. (…) Ponadto Fidel Castro w o wiele większym stopniu skupiał władzę w swym ręku (…) Nie przypominam sobie w tym okresie ani jednej manifestacji, rezolucji czy protestu intelektualistów europejskich. Żaden z nich nie powiedział wówczas, że nie jest to prawdziwa rewolucja, skoro to wszystko się dzieje. Obecnie natomiast [chodzi o rok 1978] na Kubie jest – według moich obliczeń – dwa tysiące więźniów politycznych, warunki w więzieniach są nieporównanie lepsze niż piętnaście lat temu i to pod każdym względem. Fidel Castro, dzięki powstaniu nowej struktury państwa kubańskiego, mógł przekazać bardzo wiele ze swych uprawnień. Jak się jednak okazuje, obecnie moda wymaga, by mówić, że nie jest to socjalizm. Wydaje mi się więc, że taka postawa jest dosyć niekonsekwentna. To po prostu niepoważne”.

Dlaczego wrażliwy pisarz tak łatwo przechodzi nad dwoma tysiącami więźniów sumienia? Dlaczego po przykrych doświadczeniach z kubańską rewolucją, własnych i cudzych, najmuje się jako specjalista od *public relations* Fidela Castro?

Bo zła Ameryka?

Bo Castro, mimo wszystko, lepszy od Batisty, Somozy, Pinocheta? (Czy jedne okrucieństwa usprawiedliwiają inne?)

Bo Castro zlikwidował analfabetyzm, uprzątnął ulice z bandziorów i dał każdemu po misce fasoli?

Wszystkie te supozycje składają się na wielowątkową odpowiedź. Wszystkie są uprawnione. Wyjaśnienia wprost w eseistyce Garcii Marqueza nie znajdziemy. „Nigdy nie wyjaśnił swego stanowiska – mówił Vargas Llosa. – Kiedy

pytano go o to, dawał zawsze odpowiedź wymijającą, na przykład że przyjaźń z Fidelem pozwoliła mu uwolnić kilku więźniów politycznych".

Na początku nowego stulecia hiszpański dziennik „El País" nazwał Garcię Marqueza najsurowszym krytykiem reżimu Castro w kręgu przyjaciół dyktatora. Przyjaźń i poczucie lojalności sprawiły, że krytycznych uwag nigdy nie wypowiadał publicznie.

Mam hipotezę, która oprócz przytoczonych, oczywistych domysłów jest – moim zdaniem – kluczem do politycznych wyborów Garcii Marqueza. Ów trop przewija się w całej publicystyce pisarza. Ale po kolei… Sprawdźmy najpierw, czy sympatia pisarza dla kubańskiego reżimu szła w parze z podziwem dla Ojczyzny Proletariatu i wrogością do antykomunistycznych ruchów sprzeciwu w naszej części Europy.

To prawda: García Márquez nie rozpisuje się o ofiarach Gułagu, za to opisuje – i to jak szczegółowo! – zbrodnie prawicowych reżimów w Argentynie, Chile, Salwadorze. Hipokryzja? Zanim wydamy wyrok skazujący, przypomnijmy sobie, że w czasach zimnej wojny my również nie zajmowaliśmy się rozpamiętywaniem „cudzych" ofiar; zajmowaliśmy się przechowywaniem pamięci o tych, co zginęli w Poznaniu, na Wybrzeżu, na Śląsku. Zbrodnie w Ameryce Łacińskiej skłonni byliśmy traktować jako wypadek przy pracy w zmaganiach naszych „braci w antykomunizmie" z „imperium zła".

Tymczasem po 13 grudnia 1981 roku w Polsce García Márquez napisał: „Za pierwszym razem, w 1956 roku, gdy doszło do dramatycznych wydarzeń na Węgrzech, byłem korespondentem prasowym. Moja ówczesna reakcja – patrząc z dzisiejszej perspektywy – była słuszna: wypadłem na ulicę gotów natychmiast czymkolwiek jechać do Wiednia, a stamtąd przedostać się do Budapesztu, jak setki dziennikarzy z całego świata, i na gorąco pisać reportaż mojego życia. Za drugim razem, we wrześniu 1968 roku [García Márquez pomylił się – to było w sierpniu], jakby wiedziony przeczuciem, nie do końca jeszcze rozbudzony włączyłem radio stojące na nocnym stoliku i usłyszałem, że oto wojska Układu Warszawskiego wkraczają do Czechosłowacji. Moja ówczesna reakcja – patrząc z dzisiejszej perspektywy – była słuszna: napisałem felieton, w którym dawałem wyraz oburzeniu z powodu brutalnego zdławienia wszelkich działań na rzecz uzyskania większej swobody, które zasługiwały na uznanie. Obecnie – patrząc z dzisiejszej perspektywy – moja reakcja również była słuszna: przejął mnie

grozą los niewinnych ludzi, którzy czekali na tę niedzielę, by ją spędzić wesoło, i na myśl im nie przyszło, że w tym właśnie dniu spotka ich śmierć".

Owszem, interwencji sowieckiej w Polsce García Márquez obawia się raczej dlatego, że reakcją USA mógłby być najazd na Nikaraguę czy Kubę.

A jednak jego osąd moralny zdławienia ruchów wolnościowych w Europie Wschodniej z lat 1956, 1968, 1981 jest jednoznaczny. Warto to docenić. Pisarz robi nawet więcej – apeluje do „idiotów latynoamerykańskich" z lewicy, którzy w nocy polskich generałów chcieliby może widzieć słuszną reakcję na kontrrewolucję „Solidarności": „To są bolesne prawdy, ale należy o nich mówić. W przeciwnym razie będą o nich wiedzieli tylko ci, którym najmniej są one potrzebne, to jest odwieczni zawodowi antysowieci i antykomuniści oraz wieczni reakcjoniści, którzy teraz wspólnie, choć niekoniecznie razem, paradują po ulicach całego świata, gotowi przelewać za Polskę krokodyle łzy". Cenne, gdy słowa takie pisze ktoś z innej, „nie naszej" strony.

Przyjazna polskiej wolności postawa Garcii Marqueza nie spotykała się z sympatią tych, którzy pragnęli w nim widzieć nieuleczalnego bolszewika. „Kryzys w Polsce wywołał w Europie falę gwałtownego poruszenia. Trafiła mi się świetna okazja, by własnym podpisem dołączyć do plejady wybitnych i znanych intelektualistów i artystów, którzy podpisali się pod zaproszeniem na spektakl ku czci bohaterskiego narodu polskiego zorganizowany w Operze Paryskiej pod patronatem francuskiego Ministerstwa Kultury. Jednak niektórzy zawodowi antykomuniści oświadczyli publicznie, że mój akt protestu nie przejdzie do historii, jak w ich przypadku. W owej naładowanej emocjami atmosferze, każde zachowanie nie dość jednoznaczne uważano za dwulicowość" – pisał z goryczą.

Jeszcze jedno ważne wyznanie domniemanego komunisty: „Nigdy komunistą nie byłem i nie będę, między innymi dlatego, że nie odpowiada to mojej koncepcji życia, mojemu wykształceniu, ani mojemu charakterowi".

Czego postanowił bronić na „wyspie jak wulkan gorącej"?

Za wszystkimi niepojętymi dla nas w Polsce hipokryzjami i idiotyzmami, zakrętami i niekonsekwencjami Garcii Marqueza stoi nie jakiś jadowity komunizm, lecz „trzecioświatowość". A ściślej, kompleks człowieka z Trzeciego Świata, który przewija się przez znakomitą część jego eseistyki. Bez tego kluczowego składnika będziemy w kółko powtarzać mantrę o czerwonej zarazie

i antykomunistycznej prawdzie, o podwójnych standardach, lecz nie zrozumiemy nic z politycznej biografii kolumbijskiego pisarza. Ów kompleks wyraża się w goryczy odtrącenia, niezrozumienia, zapomnienia przez tych „lepszych" z Ameryki i Europy. Spójrzmy na kilka przykładów.

Po jakimś spotkaniu komisji UNESCO poświęconemu informacji w świecie García Márquez notuje: „obieg informacji we współczesnym świecie odbywa się wyłącznie w jednym kierunku: od silniejszych do słabszych. Większość z nas sądziła – ja sam uważam nadal – że informacja i komunikacja międzyludzka stały się narzędziem władzy, które pozwala krajom bogatym panować nad biednymi; sprzyja to utrzymywaniu ogólnej nierówności, a to trzeba zwalczać. Na dwóch przeciwległych biegunach sali, naturalnie Amerykanin i przedstawiciel ZSRR".

Jest tu niemal wszystko, co istotne dla „trzecioświatowego" myślenia z czasów zimnej wojny, a wiele z tego przetrwało dłużej. Przede wszystkim spojrzenie na każde niemal wydarzenie, zjawisko, kwestię poprzez pryzmat podziałów: silni–słabi, bogaci–biedni. W epoce zimnej wojny obowiązywał dodatkowo podział geopolityczny: USA–ZSRR. „Przedstawiciele Trzeciego Świata pełnili rolę szynki w tym sandwiczu" – komentuje gorzko-ironicznie García Márquez.

Zwróćmy uwagę, że podobnie pisał o konflikcie o Nikaraguę: że silni – czyli USA i ZSRR – chcą zmusić słabych i biednych do wyboru jednej z misek, czyli jankeskiej lub sowieckiej. Chcesz czy nie, musisz być czyjś, sam nie przeżyjesz w tym świecie. A zatem Trzeci Świat nie ma szansy wyboru własnej drogi. Nie miała takiej szansy Kuba, nie miała Nikaragua. Warto pamiętać, że rewolucje w tych krajach nie były u swoich korzeni czerwone. Ku komunizmowi popchnęła je logika zimnej wojny. Ale nawet wtedy, gdy Kuba i Nikaragua stawały się komunistyczne, szukały, przynajmniej na początku, innego, „trzeciego komunizmu" – spontanicznego, sprawiedliwego, bez omnipotentnej biurokracji. Sympatia Garcii Marqueza dla tamtych reżimów brała się nie z podziwu dla luksusu więzień Fidela Castro, lecz ze sprzeciwu wobec gwałtu TAMTYCH, silnych i bogatych, na NAS – słabych i biednych; na Trzecim Świecie. Za sprawą geografii tak się złożyło, że dla Garcii Marqueza, dla mieszkańców Ameryki Łacińskiej TAMTYMI – silnymi i bogatymi agresorami – były Stany Zjednoczone. Możliwe, że w Polsce García Márquez miałby poglądy – powiedzmy – Zbigniewa Herberta.

Warto pamiętać jeszcze o jednym: Latynosi mają świadomość kolonialnego niegdyś statusu regionu. Postkolonialą, wyższościową postawę wobec krajów

Ameryki Łacińskiej García Márquez dostrzegał w działaniach nie tylko Waszyngtonu, lecz także ludzi lewicy europejskiej, których poglądy – teoretycznie – powinny być mu bliskie. Gdy na początku lat siedemdziesiątych intelektualiści z Europy zachodniej zerwali związki z reżimem Castro i zaczęli pisać paszkwile na temat kubańskiego przywódcy, García Márquez zarzucał im „mentalność kolonizatorów". Miał za złe, że podsuwają Latynosom idee eurokomunizmu, które uważał za pożyteczne w Europie i nieprzydatne w Trzecim Świecie. „Uwagi krytyczne pod adresem Kuby, jakie się słyszy obecnie w Europie, każą sądzić, że Kubie ma się za złe właśnie to, iż nie jest eurokomunistyczna".

W tej i wielu innych wypowiedziach łatwo wyczuć gorycz, że dla ludzi z Ameryki i Europy Trzeci Świat to coś gorszego; świat, który można pouczać, który powinien słuchać lepszych, mądrzejszych. Na przykład.: „z polskiego doświadczenia wynoszę gorzkie przekonanie – pisał García Márquez w grudniu 1981 roku – że europejska opinia publiczna, zdolna do tak krańcowej i gwałtownej reakcji na los jakiegoś kraju w tejże Europie, pozostaje zarazem niewzruszona wobec sytuacji krajów takich jak mój. Reakcja na wprowadzenie stanu wojennego w Polsce to tylko jeden z wielu dowodów. W istocie bowiem wszystkie te obostrzenia, jakie wprowadzono w Polsce po 13 grudnia, w Kolumbii obowiązują niemal bez przerwy od lat trzydziestu i pod pretekstem ich przestrzegania dokonywano największych aktów samowoli, stosowano najwymyślniejsze tortury i popełniono w majestacie prawa więcej zbrodni niż te wszystkie, które miały miejsce w Polsce w czasie stanu wojennego. A jednak nawet najlepiej poinformowani Europejczycy ośmielają się nadal utrzymywać, że Kolumbia jest najdawniejszą ostoją demokracji w Ameryce Łacińskiej".

Nie ma sensu dopatrywać się tu czegokolwiek przeciw Polsce. To tylko żal z powodu milczenia w sprawach Trzeciego Świata. Myślę, że w tym żalu, czy – jak pisałem wcześniej – kompleksie, zawiera się klucz do domniemanej hipokryzji Garcii Marqueza, do nie całkiem symetrycznej oceny różnych dyktatur, rewolt, ofiar. Bo skoro żyjemy w czasach, w których „zwyciężają zawsze ci, którzy biją mocniej, którzy zdobywają najwięcej głosów, strzelają więcej bramek, są najbogatszymi mężczyznami i najpiękniejszymi kobietami", to jak tu pisać o zbrodniach Vietcongu? Wystarczy napiętnować tych, którzy napadli na bratni kraj z Trzeciego Świata, którzy i tak biją mocniej, są piękni,

bogaci i zawsze sobie poradzą. (Co ważne – García Márquez pisał krytycznie o przemocy lewicowej *guerrilli* w Kolumbii; może dlatego, że przynajmniej do pewnego momentu USA nie wtykały tam nosa).

Chciałoby się zapytać: czy podwójne standardy w moralnych ocenach przystoją intelektualiście? – i odpowiedzieć od razu, że nie przystoją. Ale warto pamiętać, że ludzie z bagażem ciężkich doświadczeń, pod presją, „pod obstrzałem" – jakimi sami byliśmy w czasach komunizmu – nie są skłonni do poszukiwania belki we własnym oku i błysku szlachetności w oczach wroga. Czy naprawdę tak bardzo obchodził nas wówczas los wyżynanych w pień wieśniaków z Wietnamu, Salwadoru, Nikaragui? García Márquez, „trzecioświatowiec", miałby prawo zarzucić nam gloryfikowanie jankeskiego „imperium zła", albo co najmniej ślepotę i tolerancję dla zbrodni (dokonano ich wszakże w walce z „komunistyczną zarazą"!), gdy były one dziełem naszych politycznych przyjaciół. Trzymalismy kciuki za prezydenta Reagana, gdy ogłaszał antykomunistyczną krucjatę, ale – przyznajmy to – woleliśmy nie wiedzieć o jego brudnej wojnie w Salwadorze i Nikaragui. A kto wiedział, w głębi ducha raczej ją tolerował. Zarzut hipokryzji i podwójnych standardów to obosieczny miecz. Ostrożnie z wyrokami.

Sam nie wiem, komu wierzyć bardziej: czy Vargasowi Llosie – że García Márquez doskonale oddzielił pisarstwo od politycznych poglądów; czy samemu Garcii Marquezowi – że jego „polityczne poglądy wynikają z tej samej ideologii, jaka [mu] przyświeca przy pisaniu książek". Milsza byłaby wersja Vargasa Llosy, ale… Może powieści Garcii Marqueza i jego eseje biją z tego samego źródła? Może „trzecioświatowa" magia Karaibów w języku politycznej publicystyki musi się przekładać na wiarę w niesprawdzalne kategorie, charyzmy i brodatego patriarchę? Z drugiej strony, doświadczenie podpowiada, że można zaczytywać się w *Stu latach samotności* i nie cenić Marquezowej eseistyki. Tak samo, jak można kochać wiersze Herberta i zawstydzać się przy lekturze jego twórczości prasowej.

Nie wiem, czy polski inteligent – demokrata i antykomunista, będzie kiedykolwiek w stanie zrozumieć „trzecioświatowości" Garcii Marqueza, które nawet w czasach zwyrodniałej, sklerotycznej dyktatury kazały mu stać przy Castro; do końca, mimo że świat tak bardzo się zmienił. Wierność dawnym wyborom? Wiara w prawo słabszych do wyboru własnej drogi? Osobista przyjaźń z dyktatorem? Poczucie, że opuszczenie samotnego i słabego tyrana

byłoby zdradą? Nie wiem. Czy drogę do zrozumienia zagradza – tym razem mnie samemu – inna historia?

García Márquez uważa, że nie tylko historia. Odmienność naszych doświadczeń ujawnia się już na poziomie codziennych zjawisk. „Kiedy mówimy o *rzece* – pisał – czytelnikowi europejskiemu przychodzi na myśl co najwyżej Dunaj liczący 2790 kilometrów. Gdyby mu tego nie opisać, miałby trudności z wyobrażeniem sobie Amazonki długości 5500 kilometrów. Na wysokości Belén del Para nie widać drugiego brzegu rzeki; jest ona w tym miejscu szersza niż Bałtyk. Kiedy my mówimy *burza,* dla Europejczyków oznacza to błyskawice i grzmoty, ale trudno by pojęli, na czym polega zjawisko, które naprawdę chcemy opisać. Podobnie ze słowem *deszcz.* W Andach, według opisu poczynionego dla Francuzów przez Javiera Marimiera, też Francuza, zdarzają się burze trwające niekiedy i pięć miesięcy". García Márquez cytuje opis badacza: „Kto nie widział owych burz, nie zdoła sobie wyobrazić gwałtowności, z jaką się one rozwijają. Całymi godzinami błyska się bez przerwy i tak silnie, jakby krew tryskała, a powietrze drży od przeciągłego pomruku grzmotów, których echo niesie się po niebotycznych górach". I komentarz pisarza: „Opis ten, choć daleki od arcydzieła, starczy, by przerazić największego europejskiego niedowiarka".

Myślę, że ten opis to publicystyczny strzał w dziesiątkę. Przezeń docieramy do istoty różnic między nami, między naszymi doświadczeniami. Ich katalog można zresztą rozszerzyć. Rzeczywistość, w której García Márquez urodził się i dorastał, równie kiepsko opisują takie słowa Europejczyków, jak *słońce, miasto, mrówki* czy *komary;* również pojęcia abstrakcyjne, jak *nędza, przemoc, głód.* Możemy dywagować o dyktaturach, rewoltach, ideach i ich odmiennościach, ale tak naprawdę różnice między nami zaczynają się od słońca, deszczu, rzeki, burzy. Gdy przyjdzie mi jeszcze kiedyś tłumaczyć te różnice, nie zapomnę o objaśnieniu Garcii Marqueza.

Miniatura XII
(Enrique Krauze)

Spotkałem go w przededniu upadku aurotytarnych rządów w Meksyku. Enrique Krauze – postać z „najwyższej półki” w życiu umysłowym swojego kraju. Pisarz, historyk, redaktor opiniotwórczego miesięcznika „Letras libres”, liberalny demokrata, wychowanek i pomazaniec wielkiego poety, myśliciela Octavia Paza. Z polskiej perspektywy ktoś taki, jak Krauze, to pośród intelektualistów Ameryki Łacińskiej rzadko spotykany okaz. Wyjątek.

Należał do nielicznych, którzy jeszcze przed powstaniem „Solidarności” w Polsce piętnowali łamanie praw człowieka w krajach bloku sowieckiego. Gdy jego rówieśnicy z Meksyku, Brazylii, Peru wierzyli, że „rozwiązanie problemów ludzkości leży za żelazną kurtyną”, fascynowali się teologią wyzwolenia, czy po prostu chwytali za broń i zakładali partyzantki przeciwko wojskowym dyktaturom, pismo „Vuelta” skupione wokół Octavia Paza i młodego Krauzego publikowało artykuł Leszka Kołakowskiego i Adama Michnika o Komitecie Obrony Robotników w Polsce. Tamta publikacja była jak chrzest bojowy, jak wyznanie wiary środowiska „Vuelty”.

Chcieliśmy, wspominał po latach Krauze, uświadomić hiszpańskojęzycznym czytelnikom niewygodną prawdę o komunizmie. „To była skrajnie niewdzięczna misja. Środowiska akademickie, intelektualiści, prasa latynoamerykańska, zwłaszcza w Meksyku, wytworzyły wokół nas atmosferę izolacji i potępienia. Elity kulturalne Meksyku były ślepe na prawdę o komunistycznym totalizmie. Być może nie istnieje inna wiedza niż ta, która płynie z doświadczeń osobistych, jednak w 1980 roku dowody zbrodni komunizmu było widać gołym okiem. Po

zdławieniu Praskiej Wiosny w 1968 roku, po inwazji ZSRR na Afganistan w 1979 roku Europa Wschodnia zaczęła się budzić. A Ameryka Łacińska wciąż widziała zbawienie w ideologicznej aberracji. Rządy Ronalda Reagana i brutalność reżimów wojskowych w krajach latynoskich wzmagały zaślepienie. W latach osiemdziesiątych miało dojść do nasilenia się ruchów rewolucyjnych, szczególnie w krajach andyjskich (Peru) i w Ameryce Środkowej (Nikaragua, Salwador, Gwatemala). Meksykowi nie groziły podobne ekscesy, jednak ideologia „guerrilli" zadomowiła się na uniwersytetach na dobre, a lektura „Vuelty" była sprzeczna z panującą modą. „Vuelta" płynęła pod prąd samotnie. Aż w 1980 roku rozbłysło nieoczekiwane światło na horyzoncie… Dotarło z Polski, kraju przez dwa wieki rozdartego między imperia. Tym razem protest przekraczał granice jednego kraju i ostatecznie grzebał totalitarną ideologię. Historia rozgrywała się teraz nie w salach wykładowych, ale w stoczni, jej bohaterami byli nie intelektualiści, lecz robotnicy. Proletariat powstał przeciwko państwu, które miało go reprezentować. Podmiot ideologii marksistowskiej wykazywał fałsz jej proroctw i mitów. „Vuelta" uznała tę walkę za swoją i uważnie śledziła każdy jej krok. Nam, Meksykanom, Polska otwierała oczy. My również żyliśmy w systemie autorytarnym, skorumpowanym, niewydolnym, skostniałym, obłudnym. Polska pokazywała nam, że warto myśleć o szansach demokracji. Jednak, ku naszemu zdumieniu, wpływowe środowiska lewicowe patrzyły na „Solidarność" z rezerwą, nieufnością, czy wręcz otwartą wrogością. Nasi lewicowcy uważali, że polscy robotnicy zbłądzili, zmieszczanieli, zarazili się wirusem kapitalistycznym. Gdy 13 grudnia 1981 roku polskie wojsko dławiło ruch solidarnościowy, w prasie meksykańskiej niemal nie pojawiły się głosy protestu".

Tamtego dnia, gdy rozmawialiśmy po raz pierwszy, Krauze nie wierzył w upadek autorytarnego reżimu w Meksyku. Kilkanaście godzin po wyborach, które doprowadziły do klęski partii monopolisty, zwykle arystokratyczny i z głową w chmurach, nie mógł powstrzymać ekscytacji: – To dla mnie największy dzień w ciągu 52 lat życia. Coś podobnego wydarzyło się ostatni raz dziewięćdziesiąt lat wcześniej, kiedy Meksykanie odrzucili dyktaturę Porfiria Diaza. Wiadomości o Meksyku w prasie zagranicznej pojawiały się w związku z korupcją, morderstwami, przemocą. Teraz pokazuje twarz nowy Meksyk – cywilizowany i demokratyczny.

PRI-tanic zatonął

Około ósmej wieczorem zawyły klaksony. „Me-, Me-, Mexico!”. Ulice zapełniły się samochodami, ludzie wylegli na place. Wszędzie flagi partii Vicenta Foxa. Leją się łzy szczęścia. Miasto oszalało.

Jacyś młodzieńcy w kabriolecie „porywają” mnie na nocny rajd po mieście. Bawią się, odgrywając scenki w maskach z podobiznami zwycięzcy i jego przegranych rywali. Ci ostatni polerują buty nowemu prezydentowi.

Pogrzeb był naprawdę radosny. Jak w meksykańskim zawołaniu: *Viva la muerte* – Niech żyje śmierć! Gdy nieśli trumnę z imieniem Partii Rewolucyjno-Instytucjonalnej, prześladowało mnie pytanie: kiedy ci sami ludzie, nieprzytomni z euforii i przywykli od siedemdziesięciu lat do państwa filantropa, wylegną na ulice przeciwko „demokracji dla bogatych”, Jankesom i „wyprzedaży majątku narodowego”?

Referendum, które zakończyło dyktaturę generała Pinocheta w Chile (1988), 4 czerwca 1989 roku w Polsce… Takie porównania słyszałem od Meksykanów, którzy w tamtych dniach wyczekiwali z nadzieją klęski Partii Rewolucyjno-Instytucjonalnej rządzącej ich krajem ponad siedem dekad. Klęskę tego najstarszego reżimu autorytarnego na świecie porównywano z upadkiem berlińskiego muru, a odchodzącego prezydenta Ernesta Zedillo, który zdemontował imperium wszechwładnej PRI, okrzyknięto „meksykańskim Gorbaczowem”. Choć Meksyk nie zaznał Gułagu, ani niczego podobnego, tymi ułomnymi porównaniami Meksykanie próbowali przekazać nam, ludziom z Europy, zza dawnej „żelaznej kurtyny”, czym jest dla nich upadek skorumpowanych i autorytarnych rządów.

Meksyk to druga po Brazylii potęga gospodarcza Ameryki Łacińskiej, najbliższy obok Kanady partner Stanów Zjednoczonych, stumilionowy kraj, w którym kryzysy wywołują perturbacje na całej półkuli. W dziewięćdziesiątym czwartym roku, nie mając rezerw dolarowych na utrzymanie wysokiej wartości *peso,* rząd upłynnił kurs rodzimej waluty. Wartość *peso* spadła o połowę, a zadłużone państwo stanęło na skraju bankructwa. Inwestorzy uznali Meksyk za rynek niepewny i zaczął się wielki *exodus* kapitałów. Południem kraju wstrząsało powstanie zapatystów. Meksyk, a za nim duża część Latynoameryki znalazły się w stanie zapaści. To tylko przykład na to, jakie znaczenie dla regionu ma wszystko, co dzieje się w tym kraju.

Dla większości ludzi na świecie Meksyk to ojczyzna tequilli, malowniczych sombrero, *mariachi* i wspaniałych indiańskich piramid, do których pielgrzymują turyści z całego świata. Mało kto – poza światem polityki, środków przekazu, uniwersytetów zdawał sobie sprawę, że w kraju tym ustanowiono przed laty jeden z najbardziej trwałych systemów autorytarnych w historii dwudziestego wieku. Bez obozów kaźni, bez typowych dla Ameryki Łacińskiej zamachów stanu, bez wielkich rewolucyjnych rebelii. Trwał tak przez siedemdziesiąt jeden lat – aż do pogodnej niedzieli drugiego lipca dwutysięcznego roku.

Autorytarną władzę PRI zrodziły rewolucja i wojna domowa. Czym była rewolucja w Meksyku, prawie nie sposób opowiedzieć. Schematy rewolucji francuskiej i rosyjskiej w ogóle tu nie pasują. Oprócz jednej pewnej daty: 1910, kiedy zdławiono pierwsze wystąpienie spiskowców – wrogów długowiecznej dyktatury Porfiria Diaza, nie ma tu nic oczywistego. Istnieje ze sto teorii na temat tego, czym była rewolucja meksykańska, ile trwała i co zrobiła. Dla jednych była tylko politycznym przewrotem, który zamiast starej, liberalnej dyktatury (to nie oksymoron!) wprowadził w 1917 roku demokratyczne rządy i konstytucję. Dla innych była chaotycznym pasmem wojen domowych i rzezi aż do schyłku lat dwudziestych. Dla jeszcze innych – zakończyła się nacjonalizacjami i szerokimi reformami społecznymi Lazara Cardenasa (1934–1940). Lecz są i tacy, którzy powiedzą, że nie skończyła się nigdy.

Tak jak w innych rewolucjach dwudziestego wieku, bohaterami rewolucji meksykańskiej stały się masy, a jedno z najgłośniejszych haseł brzmiało: „Ziemia i wolność!”. Rewolucja zasiliła klasę średnią (wojsko, urzędników, inteligentów) ludźmi z ludu. Była awansem dla robotników, których zorganizowała w związki

zawodowe i którym dała szansę kariery w aparacie, instytucjach państwa. Stopniowo uwłaszczyła chłopów w ziemskich spółdzielniach *ejidos.* Wszystkich zaś – wielkich właścicieli i przedsiębiorców, robotników i chłopów, Metysów i Kreoli, a także częściowo Indian – wciągnęła w orbitę państwa i narodu. Zanim jednak to się stało, wszyscy oni byli uczestnikami i świadkami rzezi, w których obdzierali się nawzajem ze skóry, odrąbywali kończyny, wyrywali języki i zakopywali wroga żywcem. Na kilkanaście milionów ówczesnych Meksykanów – w wojnie domowej legł milion.

Wybawieniem z piekieł wojny domowej miało się okazać ustanowienie przez prezydenta Eliasa Callesa jednej silnej partii państwowej, której nazwa po kilku mutacjach miała brzmieć: Partia Rewolucyjno-Instytucjonalna – PRI. Był rok 1929. We Włoszech rządził Benito Mussolini, a w Republice Weimarskiej po władzę nie sięgnął jeszcze Adolf Hitler.

„Po zwycięstwie – pisał Octavio Paz – rewolucjoniści, wprawdzie nie bez wahań i ociągań, przemogli jednak pokusę, która opanowuje wszystkie zwycięskie rewolucje i doprowadza do ich upadku: pokusę, by zakończyć spory między frakcjami poprzez dyktaturę rewolucyjnego Cezara. Meksykanie zdołali odeprzeć to niebezpieczeństwo i uniknąć anarchii jak również wojny domowej dzięki podwójnemu kompromisowi: zakaz ponownego wyboru prezydenta zamknął drogę dyktatorom, a ustanowienie partii [PRI] grupującej związki zawodowe robotników, organizacje zrzeszające przedstawicieli chłopów i klas średnich, zapewniło kontynuację ustroju. Partia ta nigdy nie była (…) partią ideologiczną, nie podlega też żadnej ortodoksji; nie jest *awangardą* narodu ani organem wybranym spośród aktywistów. Jest to organizacja otwarta, raczej bezkształtna, kierowana przez biurokrację polityczną wywodzącą się z ludu i z klas średnich. W ten sposób Meksyk potrafił uchronić się przez ponad pół wieku od wejścia w ten zaczarowany krąg, który wiedzie od anarchii do dyktatury i z powrotem. Rezultatem był nie system demokratyczny, ale także nie despotyzm, raczej swoisty ustrój, jednocześnie ludowy i paternalistyczny, który powoli – nie bez potknięć, wstrząsów i upadków – szedł w kierunku form coraz bardziej wolnych i demokratycznych”. Szedł ponad siedem dekad…

W Europie partie komunistyczne zdobywały władzę po długich latach walki. W Meksyku to władza państwowa powołała do życia Jedyną Partię. Biurokratyczny aparat państwa i partii stanowił jedność doskonałą. Partia-państwo organizowała życie polityczne, związki zawodowe, chłopskie,

młodzieżowe i kobiece. Kontrolowała wybory, środki przekazu i marginesową opozycję. Niekiedy zabijała otwarcie, częściej skrycie, lecz – co podkreślają nie tylko jej stronnicy – silną ręką powstrzymała okrutne rzezie czasów rewolucji, zagwarantowała względny pokój społeczny, z rzadka przerywany wstrząsami. Meksyk był jedynym krajem Ameryki Łacińskiej, który w drugiej połowie dwudziestego wieku nie poznał, co to klasyczny latynoamerykański zamach stanu. Władza PRl była ideową miksturą wszystkiego ze wszystkim: nacjonalizmu (antyjankesizmu), socjalizmu, ideologii ludowych, ale własnej, oryginalnej ideologii nigdy nie stworzyła. Wystarczyły niekontrolowana władza i nieograniczona niczym kasa.

Prezydent bez prawa reelekcji rządził przez sześć lat jak monarcha absolutny. Enrique Krauze nazwał ten model władzy „prezydenturą imperialną". Prezydent jako ostateczny arbiter godził interesy różnych grup społecznych i lokalnych kacyków, którzy w zamian za grupowe korzyści albo udziały w „rodzinie" godzili się na lojalność i posłuszeństwo. Niektórzy określali ów model rządów jako *Pax PRI-ista.*

Siła państwa – motoru modernizacji, rozdawcy praw i przywilejów – wespół z pamięcią okrutnej wojny domowej stworzyły warunki, w których przełamanie hegemonii PRl stawało się praktycznie niemożliwe. Jak to działało? Powiedzmy, że w przedsiębiorstwie X działo się źle, płace spadały, szefowie związków kradli, ludzie się burzyli. Ktoś próbował zawiązać wewnątrzzwiązkowy „spisek", ale nim zdążył to zrobić, związki usuwały go ze swoich szeregów. Relegowanie ze związków oznaczało rozwiązanie umowy z pracodawcą, czyli państwem. Jeśli – załóżmy – udawało się jakimś cudem zorganizować ludzi i wybrać nowych szefów związkowych, wybór musiało i tak przypieczętować ministerstwo pracy. Ministerstwo mówiło jednak: „Wybory przeprowadzono nieprawidłowo, nie możemy ich uznać". Jeśli jednak – znów załóżmy – jakimś cudem udało się obalić złych bossów związkowych lub założyć nowy związek i ministerstwo to uznało, wchodziło się automatycznie do wielkiej związkowej centrali. Tam nowi, uczciwi reformatorzy byli tłamszeni, zmuszani do lojalności wobec szefów swoich dawnych szefów. Zaklęte koło się zamykało.

„To państwo jest jak hydra wielogłowa, obcinasz jedną głowę, wyrastają trzy następne. To walka z niewidocznym przeciwnikiem. Nie wiesz nawet, z kim walczysz". Metaforę hydry wielogłowej słyszałem w Meksyku pod rządami PRI

dziesiątki razy.

PRI miała genialną metodę pacyfikowania opozycji. Żadne więzienia czy represje, choć i te się zdarzały. Po pierwsze, po drugie i po trzecie: negocjacje. „Pan jest krytyczny? O, jak Pan ciekawie mówi, może zostanie Pan szefem Związku Naprawiaczy Czego-Tam-Pan-Chce". Metodą kooptacji wciągnięto w orbitę władzy część opozycji krwawo stłumionej w sześćdziesiątym ósmym roku, a w latach dziewięćdziesiątych nawet rodzimych maoistów, którym powierzono realizowanie jednego z wielkich programów społecznych. Państwo to nie jakiś tyran z wielkimi zębami, lecz dobry, opiekuńczy Wujek, który dawał zarobić i zaspokoić ambicje.

Artystom i intelektualistom państwo przyznawało nawet dotacje, żeby je oczerniali. To nie Związek Sowiecki czy Kuba, gdzie poetów zamykano do więzień. Zanim niepokornego dziennikarza czy artystę potrącił samochód, albo okaleczyła córa Koryntu, dostawał forsę, żeby napluć PRI w twarz – w gazecie, wierszu, filmie, a świat miał dzięki temu dowód na wolność i demokrację w Meksyku. Najgorsza śmierć to śmierć cywilna: gdy państwo zakręcało kurek z dotacjami. Spotkałem ludzi z elity intelektualnej, którzy nawet po przegranych przez PRI wyborach nie chcieli niczego komentować pod nazwiskiem. Diabli wiedzą, co jeszcze się stanie, a o dotacjach wciąż decydują ludzie z PRI.

Na głębokiej prowincji sprawy wyglądały jeszcze inaczej. Wielu ludzi nie za bardzo wiedziało, że istnieje jakiś wybór, czyli demokracja. Dla nich gdzieś tam daleko w wielkim mieście był Dobry Pan (czyli PRI), który przysyłał jedzenie, koce i pieniądze, gdy wioskę pustoszyły powódź albo huragan. Gdy Dobremu Panu nie było się wdzięcznym (to znaczy nie głosowało się na niego), Pan robił się zły i nie przysyłał koców, jak tamtym z sąsiedniej wsi, co byli zeszłego roku nieposłuszni.

Jeszcze w czasie kampanii przed wyborami, które pozbawiły PRI monopolu na władzę, w miasteczku Hidalgo władza zagroziła odcięciem stypendiów dla dzieci z najbiedniejszych rodzin, jeśli ich rodzice nie zagłosują jak należy. W ubogim, indiańskim stanie Oaxaca zagrożono wycofaniem programów socjalnych i rozwojowych dla regionu, jeśli nie wygra kandydat PRI. Podobnych przykładów nadużyć naliczyłem blisko setkę. Prestiżowy tygodnik „Proceso" donosił, że na półwyspie Jukatan ktoś wpadł na ślad tajemniczych hangarów z rowerami. W ramach akcji „Rower – Jukatan" władze, czyli PRI, rozdały chłopom 100 tysięcy rowerów, a 50 tysięcy czekało na ostatni moment kampanii wyborczej.

Mariana Durán z pozarządowego stowarzyszenia „Sojusz Obywatelski” pilnowała czystości i przejrzystości wyborów. Opowiada: – Po powodzi, która rok wcześniej dotknęła wschodnie wybrzeża Meksyku, władze wybiórczo rozdzielały pomoc finansową. Wspólnoty, które tradycyjnie głosowały na PRI, obdarowano nieporównanie hojniej. Czy mieszkając we wsi, w której nie ma nic, nawet drogi, nie zagłosowałbyś na PRI?

Sondaże opinii w najbiedniejszych regionach pokazywały jasno: biedacy wierzyli, że utrata władzy przez PRI będzie oznaczała dla nich katastrofę – koniec kredytów, stypendiów, budowania przez państwo infrastruktury. Jeszcze inna tajemnicza sprawa: w San Luis Potosí zamordowano człowieka, który zarzucił publicznie kandydatowi PRI do lokalnych władz, że szantażował ludzi z wiosek wycofaniem programów społecznych, jeśli PRI nie wygra. Następnego dnia demaskatora znaleziono martwego. To delikatna sprawa, nie wiadomo, co się stało. – Ludzie podejrzewają – mówi Mariana – że zginął, bo zarzucił władzy złamanie prawa.

W niektórych przedsiębiorstwach szantażowano ludzi zwolnieniem z pracy, jeśli nie podpiszą zobowiązania, że poprą PRI. Kupowanie głosów, szczególnie na wsiach, było starym nawykiem władzy, którego prawo prędko nie zmieni. Śniadania dla biedaków, stypendia i tanie kredyty, miejsca pracy i tanie domki, doprowadzanie wody i elektryczności do najbardziej zacofanych terenów… Na czas wyborów państwo meksykańskie rządzone przez PRI – mimo że od lat wyzbywało się swojej dawnej omnipotencji w gospodarce – nadal przemieniało się w „potwora filantropa” (określenia Octavia Paza).

Paternalistyczno-ludowy system, nazwany przez Maria Vargasa Llosę „dyktaturą doskonałą”, trzymał się nieźle do lat siedemdziesiątych. Zapewniał pokój, bezkonfliktowe przekazywanie władzy i gospodarczy wzrost – średnio pięć procent rocznie. W porównaniu z Brazylią, Argentyną, Chile czy sąsiednią Gwatemalą – Meksyk był oazą spokoju. Wstrząsnęły nim dopiero studenckie protesty sześćdziesiątego ósmego roku, a później kryzys naftowy na początku lat osiemdziesiątych. Neoliberalne wiatry z Ameryki zmusiły PRI do przestawienia gospodarki z państwowej autarkii na otwartą, bardziej wolnorynkową. To z kolei wymusiło demokratyzację reżimu. PRI-tanic zaczął nabierać wody.

Pierwsi beneficjenci demokratyzacji ciągnęli – paradoksalnie – ku staremu etatyzmowi (Cuauhtémoc Cárdenas i jego Partia Rewolucji Demokratycznej – PRD, *Partido de la Revolución Democrática).* Ale powstały warunki dla odrodzenia opozycji wszelkiej. Dzięki reformie prawa wyborczego za rządów ostatniego prezydenta PRI, opozycja zdobyła w dziewięćdziesiatym siódmym roku większość w niższej izbie Kongresu i władzę w stolicy. W lipcu dwutysięcznego roku po raz pierwszy od siedemdziesięciu jeden lat przeciwnicy partii-monopolisty sięgnęli po prezydenturę kraju.

Niezatapialny PRI – *tanic* zatonął.

– Co stanie się w przyszłości z PRI, partią stworzoną przez władzę i dla władzy – to jedno z najciekawszych pytań „dnia zwycięstwa". Jesús Silva-Herzog Márquez, szanowany komentator największego dziennika „Reforma" zwraca mi uwagę, że PRI po przegranej nie należy lekceważyć; jej głos nadal będzie się liczył w kraju: PRI zachowa większość gubernatorów, władzę lokalną, dużą reprezentację w parlamencie. – Polakowi nie musisz tego mówić, partia dyktatury w moim kraju wróciła do władzy już po czterech latach demokracji.

Hipotez, co stanie się z PRI, było w dniu zwycięstwa kilka. Profesor Ilan Bizberg z Colegio de México, uczeń wielkiego francuskiego intelektualisty Alaina Touraine'a, uważał, że PRI przystosuje się do demokracji tak samo, jak to zrobiły partie komunistyczne w Europie Wschodniej. Optymistą był również Jorge Castañeda, dawny komunista nawrócony na demokrację i rynek, późniejszy szef dyplomacji. – Ludzie aparatu partyjno-państwowego przywykli działać na rozkaz z góry; to, co będzie im kazał nowy Pan (prezydent), posłusznie wykonają.

Kłopotów spodziewał się Enrique Krauze: – Tradycja demokratyczna w Meksyku jest słaba, prawie żadna.

Tropem jego obaw poszedłem na rozmowy z ludźmi aparatu PRI.

Mauricio de María y Campos, polityk PRI, ekonomista, który pracował w różnych instytucjach międzynarodowych, przekonywał mnie, że Meksyk musi prędzej czy później wrócić do większej opieki państwa i udziału rządu w kierowaniu gospodarką. – Przez neoliberalną politykę skrajna bieda dotknęła już dwadzieścia cztery miliony Meksykan. Bez pomocy państwa społeczne przepaści będą nie do zasypania.

Człowiek partyjnego aparatu Carlos de León posuwał się w spekulacjach znacznie dalej: – Nie może być tak, że prywatna inicjatywa dyktuje, co ma się dziać na rynku. Państwo ma być głównym pracodawcą.

Dowiedziałem się, jak ludzie aparatu PRI pojmują demokrację. – Chcieliśmy – wyznał mi Carlos de León – przeprowadzić ustawę, która zabrania finansowania partii politycznych z prywatnych pieniędzy. Uważamy, że partie powinny być subsydiowane przez państwo, nie są bowiem prywatnymi organizacjami, lecz instytucjami interesu publicznego. Opozycja w Kongresie zablokowała to i teraz pieniądze dla partii płyną z prywatnych kieszeni. Gdyby przeszła nasza propozycja, Vicente Fox nie dostałby z kasy państwowej ani jednego *peso.*

Spytałem o oszustwa wyborcze PRI: kupowanie głosów, wymuszenia, szantażowanie nieposłusznych. Pozarządowe stowarzyszenie „Sojusz Obywatelski" zebrało kilkaset konkretnych przykładów z miejscami, datami, niekiedy nawet nazwiskami. – Ci ludzie żyją z pieniędzy z Ameryki – usłyszałem szczerą, partyjną odpowiedź. – Amerykanie wtrącają się w nasze sprawy i myślą, że posiedli prawdę o demokracji, gospodarce, o wszystkim.

A co ze związkami zawodowymi, ludzkimi nawykami hodowanymi przez dziesięciolecia, nałogowym uzależnieniem od „potwora filantropa"? Na przykład: Pemex. Największe przedsiębiorstwo państwowe, które wydobywa, oczyszcza i sprzedaje ropę naftową. Opowiadano mi o dziedziczeniu stanowisk w tym „państwie w państwie"; o kacykach związkowych, którzy jako jedyni mieli prawo kontraktowania robotników w firmie; o tymczasowych kontraktach przedłużanych za łapówki przez 20–30 lat. A to tylko wierchuszka Pemeksu. Pracownicy mieli przez dziesięciolecia ulgi, nagrody, mieszkania, teatry, baseny i kluby sportowe. Jak przyjmą demontaż swojego miniimperium? Nowa władza nie sprywatyzuje ropy, która jest dobrem narodowym, zakazuje tego konstytucja. Ale prędzej czy później pod młotek pójdą rafinerie, rurociągi, stacje benzynowe.

Jak „przeprogramować" umysły pracowników, związkowców, decydentów, PRI-stów?

Jeszcze jedna z wielkich zagadek meksykańskiego „dnia zwycięstwa": kim naprawdę jest Vicente Fox? Potężny, silny facet w kowbojskich butach otoczony smutnymi klerykałami budził przerażenie artystów, intelektualistów,

lewicowców, liberałów. Przemawiał porywająco: tubalny głos, inteligentnie rozłożone akcenty, wyreżyserowane gesty. W debacie telewizyjnej – dostojność i elegancja nowoczesnego przywódcy. Na wiecu – gestykulacja *a la* Benito Mussolini i Juan Perón. Raz widziałem w nim siłę przekonań i determinację, innym razem mówiłem sobie: w taki sposób przemawia facet, który jutro weźmie wszystkich za twarz. Fox potrafił budzić sympatię i szacunek, ale doskonale rozumiałem tych, w których budził obawę i strach.

W stolicy Meksyku byłem na wystawie fotografii, na której pokazano kilka aktów kobiecych. Autor – Anonim, bo „wie-wiadomo-co-się-jeszcze-stanie" – przekonywał mnie, że za rządów Foxa i jego Partii Akcji Narodowej wystaw takich nie będzie. W stanie Aguascalientes, w czasach, w których o rządzeniu krajem Partia Akcji Narodowej mogła tylko pomarzyć, jej bojówki rozbiły podobną wystawę. W innym mieście burmistrz z partii Foxa zakazał kobietom nosić krótkie spódniczki w urzędach miejskich.

„Myślę, że my, Meksykanie, wszyscy powinniśmy zaakceptować przesłanie pojednania i otwarcia [prezydenta elekta] – napisał po wyborach Carlos Fuentes. – Myślę również, że powinniśmy zachować czujność, aby nie powróciły stare tendencje – klerykalne, homofobiczne, moralizatorskie i mizoginiczne – które mogłyby uznać zwycięstwo [Foxa] za przyzwolenie dla siebie".

– Czeka nas państwo wodzowskie i klerykalne – przekonywał mnie jeden z wystraszonych. – Fox to mikstura dyktatorów, takich jak: Pinochet z Chile, Trujillo z Dominikany, Fujimori z Peru. Obym się mylił.

Polityczny styl Foxa z kampanii wyborczej miał coś z wodzowskiego ducha. Fox zawsze był „przed", „ponad", „obok". I cieszył się popularnością mas – na tym opierało się tradycyjne *caudillismo*. Nad krajem od ponad stu lat wciąż unosi się duch dyktatora Porfiria Diaza, który z krótką przerwą rządził w latach 1877–1911. Rewolucja z początku wieku obaliła porfiriat, ale ustanowione przez PRl autorytarne i scentralizowane państwo było częściowo spadkobiercą tamtej tradycji. Jak ją przerwać? Jak zdemontować do resztki imperium PRl? Jak zbudować ramy dla efektywnej gospodarki? Jak oprzeć się pokusie autorytarnej i sile tradycyjnego kacykizmu? Jak zasypać społeczne przepaści?

Pesymiści uważali, że Meksykanie zatęsknią jeszcze za wyborczą tortillą, darmowymi kocami i śniadaniami rozdawanymi przez filantropów z PRl. Demokracja w Meksyku może oznaczać chaos; wolność – prawo pięści, a rynek

– prawa tylko dla bogatych.

Albo inna obawa: że Fox, a później jego następcy wejdą w stare koleiny „prezydentury imperialnej” – bo to łatwiejsze, wygodniejsze, bezpieczniejsze.

Sojusznicy Foxa wyśmiewali te wszystkie strachy. Fox to człowiek biznesu. Zaczynał karierę, rozwożąc samochodem coca-colę. Skończył jako szef lokalnej filii wielkiego koncernu. Będzie rządził Meksykiem jak przedsiębiorstwem, ma do zrobienia jeszcze jeden biznes.

– Sam Fox nie jest najważniejszy – powiedział mi w dniu zwycięstwa Porfirio Muñoz Ledo, niegdyś lider PRl, później dysydent. – Najważniejszy jest koniec monopolu. Upadł system z czasów, kiedy połową świata rządził Józef Stalin. Zaczęła się nowa epoka.

Miniatura X
(Polska w Meksyku)

– Zbiorą się jeszcze chmury nad Meksykiem.

Po pierwszych chwilach dziecięcego entuzjazmu Enrique Krauze analizuje, racjonalizuje, powstrzymuje hurraoptymizm. Meksyk nie ma przecież tradycji demokratycznej. Co będzie oznaczać demokracja w tak nierównym społeczeństwie jak meksykańskie?

Kurtyazyjnie Krauze dopowiada: – Od Polski możemy nauczyć się wiele. Na przykład, jak pokojowo uporać się z upiorami przeszłości…

Polska to dla Krauzego nie jakiś-tam-kraj na końcu świata. To ziemia jego przodków i przodków ich przodków. Pradziadkowie, dziadkowie i rodzice, wszyscy bez wyjątku, tam się urodzili i żyli. Krauze, z wykształcenia historyk, prześledził historię rodziny od XVIII wieku. Nie znalazł osobistości wysokiego rodu, znalazł zwyczajnych ludzi, o których pamięć przetrwała w drobnych śladach.

„Raz było to nazwisko rachmistrza hrabiego Branickiego – wielkiego pana, właściciela ziemskiego w Białymstoku, to znów świadectwo złożenia filantropijnego daru przez odlewnika rzeźb, klepsydra (w języku rosyjskim) dziennikarza o tajemniczym sefardyjskim pochodzeniu, spisana historia życia wytwórcy farb i jego rodzinnych sporów, portret konny dostawcy mięsa dla wojska, wreszcie rozmaite papiery – listy, pocztówki, książki – zwykłej rodziny krawców z Wyszkowa. Te pamiątki, trochę zdjęć i oderwane opowieści z rodzinnej tradycji – to wszystko, co pozostało po odległych gałęziach. Nic wyjątkowego, wszystko typowe, tak jednak wrośnięte w wielowiekowe drzewo,

że owa materia przetrwała w Meksyku długie lata, aż rozwiała się wraz ze śmiercią dziadków”.

Wobec Polski dziadkowie Krauzego żywili uczucia niejednoznaczne – ból przyprawiony nostalgią i żalem. „Nucili piosenki o narodzie, po którym nie zostało nic – żadnego domu, żadnego drzewa z dzieciństwa, tylko popioły. Jak na obrazie Chagalla przyjechali do Meksyku w latach trzydziestych ze swoją wioską na plecach. Przenieśli ją najpierw na ulicę Soledad, potem na Jesús María i Brasil, a w końcu do dzielnicy Hipódromo. Wnętrza ich małych mieszkań były niczym muzeum życia codziennego w Polsce. Meble w stylu francuskim, z ciemnego drewna, mnóstwo kryształowych bibelotów, dywany i kobierce, komplet przedmiotów kultowych – szabasowe świece, mezuzy strzegące progu, menora na półce, błękitna skarbonka z mapą Izraela. Atmosfera książek i powagi, nuty Chopina na pianinie, przenikliwy zapach nadbałtyckiej kuchni – zupa z buraków, śledzie, ziemniaki z kapustą, chałki, cała rewia kompotów i deserów. I nieodzowna filiżanka herbaty. Przeszczep nie ograniczał się do mieszkań. Rozciągał się na niewielkie synagogi w sąsiedztwie, z czarnymi księgami służącymi do modłów i nauki, z niezwykle dramatyczną zaciekłością modlitw. Na szkółki religijne i nowoczesne szkoły świeckie, gdzie uczono całego bogactwa historii i literatury jidysz oraz europejskiej kultury humanistycznej. Na organizacje młodzieżowe propagujące utopie syjonistyczne i socjalistyczne. W tym zamkniętym czasie i przestrzeni Meksyk wydawał się polską prowincją, rodzajem Polski z palmami”.

Krauze wspomina swoich pradziadków, jak siedzą w Parque México na ławkach przypominających swym kształtem drzewa. „Należeli do tych, którzy przeżyli. Każdy zaczynający się dzień był cudem, każda noc niosła obawę, że jutro można się już nie obudzić. Jakże się oburzali, gdy ich wnuki nosiły na szkolnych mundurkach gwiazdy Dawida! Jednak uparcie i z dumą czytali i rozmawiali w jidysz, ukrywając znajomość hiszpańskiego. Po hiszpańsku mówili z silnym akcentem i melodyjnym zaśpiewem. W strukturach zdań i specyficznych sformułowaniach łatwo można było dostrzec pozostałości jidysz. Charakterystyczne przekręcanie dyftongów było dla nas pretekstem do ciągłych żartów – zamiast – *ue* wymawiali – *oi;* gdy na przykład odbierali telefon, zamiast *bueno* mówili *boino”.*

Ani oni, ani ich dzieci, ani nawet wnuki – czyli rodzice Krauzego – wszyscy

urodzeni w Polsce, nigdy nie chcieli do niej wrócić. „We snach, a czasem na jawie, wracali raz i drugi… Ale nie chcieli oglądać się wstecz. Wrócić? A kogo i co mieliby tam spotkać? Zostały tylko ruiny i duchy. Polska, nasz raj, dawny dom Żydów, narodowy i autonomiczny – jakim była też Hiszpania w czasach muzułmańskich i pod panowaniem Alfonsa X Mądrego – już dla nich nie istniała. Była ogromnym zbiorowym grobem. Nie potrafili pogodzić się z tą przeszłością".

– Dopiero my, prawnuki – wspominał Krauze – dziwni amerykańscy „kreole" skrzyżowani z tym światem wschodnioeuropejskim, mogliśmy podjąć się odbudowy pamięci. Proces ten w moim przypadku został przyspieszony za sprawą demokratycznej namiętności, którą dzieliłem z polskimi intelektualistami, moimi rówieśnikami, prowadzącymi walkę podobną do tej, jaką i my toczyliśmy na łamach „Vuelty".

Z polskimi intelektualistami, którzy angażowali się w walkę z komunistyczną dyktaturą, Krauze podzielił po latach jeszcze inną namiętność: do importowanego ze Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii modelu stosunków społeczno-gospodarczych, nazwanego później neoliberalizmem. W rodzinnym Meksyku ów model zaczęto wprowadzać jeszcze zanim upadły półdyktatorskie rządy Partii Rewolucyjno-Instytucjonalnej; w innych krajach Ameryki Łacińskiej – z wyjątkiem Chile i Argentyny pod rządami wojskowych tyranów – najczęściej po przywróceniu bądź ustanowieniu rządów demokratycznych.

Chirurgia bez anestezjologa. Dzieje pewnego eksperymentu (1)

Salinas

Awaria sieci komputerowej w dniu wyborów była zwiastunem wszystkiego, co zdarzyło się potem. To miały być pierwsze naprawdę uczciwe wybory. Lecz nagle zgasło światło, i znów wygrał ten, kto miał wygrać.

W roku osiemdziesiątym ósmym Carlos Salinas de Gortari, czterdziestoletni technokrata, został kolejnym prezydentem Meksyku z Partii Rewolucyjno-Instytucjonalnej (PRI). Mało kto wierzył, że wygrał te wybory uczciwie.

Zwycięzców nikt jednak nie sądzi, a na dodatek Salinas potrafił szybko zmienić temat. Ogłosił, że uczyni z Meksyku tygrysa Ameryki Łacińskiej, takiego samego, jakie wyhodowano w Azji Południowo-Wschodniej na neoliberalnej diecie „Chicago Boys". Ameryka Łacińska miała już prekursorów tej drogi: chilijskiego dyktatora Augusta Pinocheta i ministra gospodarki Martineza de Hoz w Argentynie. Neoliberalny eksperyment w Meksyku – drugiej co do wielkości gospodarce Ameryki Łacińskiej – miał zapoczątkować modę o fundamentalnym znaczeniu dla historii regionu lat dziewięćdziesiątych.

Cudowną receptę na to, jak być „pięknym, młodym i bogatym", skodyfikował w roku osiemdziesiątym dziewiątym John Williamson, były doradca Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Kodeks ów, znany jako dziesięciopunktowy „konsensus waszyngtoński", zakładał redukcję deficytu budżetowego, ograniczenie wydatków publicznych, wycofanie się państwa z polityki socjalnej, prywatyzację, zniesienie barier w handlu międzynarodowym,

ochronę praw autorskich. Program był przeznaczony przede wszystkim dla zadłużonych krajów Trzeciego Świata. Miał doprowadzić do uruchomienia odpowiednich mechanizmów wewnątrz zadłużonych gospodarek, aby z czasem były w stanie spłacić wierzytelności amerykańskim bankom. Za „konsensem waszyngtońskim" stała filozofia tak zwanej rewolucji konserwatywnej Ronalda Reagana i Margaret Thatcher: „państwo ci nie pomoże, pomóż sobie sam".

Zacząłem tę opowieść od Meksyku, lecz do mojego pierwszego spotkania z neoliberalną receptą w wersji latynoamerykańskiej doszło w Brazylii i Argentynie. Gdy pojechałem w pierwszą podróż do Nowego Świata, miałem dwadzieścia parę lat, za sobą doświadczenie upadku etatystycznej dyktatury w Polsce i głowę pełną wiary w to, że demokratyczne wybory i nieskrępowany rynek potrafią rozstrzygnąć większość ludzkich bolączek – trzeba tylko czasu, pracy, cierpliwości. A błędy, niepowodzenia, już wówczas znane z Chile i Argentyny? Co to za „lewackie" bzdury, przecież wiadomo, że etatystyczna gospodarka upadła w Europie Wschodniej, więc niech żyje wolny rynek! Im mniej państwa, tym lepiej! Dopiero z czasem dostrzegłem, że wszystkie rewolucje, również neoliberalna lub – jak mówią inni – konserwatywna, odwołująca się do „sprawdzonych" wartości, prą do celu bez wahań, nie lubią niuansów, nie uczą się na błędach. Zastanawiałem się nawet, czy w swojej wierze nie byłem jak Javier, fidelista z Hawany, który porównywał rewolucję socjalistyczną do Słońca. Rewolucja grzeje, daje życie. Moim Słońcem była rewolucja liberalna, która stała się udziałem mojego kraju, mojej części Europy, mojego pokolenia. To ona grzała i dawała życie. Chyba dzięki podróżom do Ameryki Łacińskiej zacząłem dostrzegać, że moja rewolucja grzała nie wszystkich, prawdę powiedziawszy – nielicznych.

Kiedy jednak stawiałem pierwsze kroki w Nowym Świecie, narzekania moich rozmówców na argentyńskiego prezydenta Menema, wściekłość Brazylijczyków na ich przywódcę Cardosa zbywałem z neofickim spokojem: „Nie wiecie, *amigos,* co to wszechwładne i wszechopiekuńcze państwo, my to znamy, my to przeszliśmy". Zasady: „państwo ci nie pomoże, pomóż sobie sam", „człowiek powinien brać sprawy w swoje ręce", były mi bliskie. W Brazylii pojąłem, że istnieje rzeczywistość, w której miliony ludzi nie mają szansy na inicjatywę ani indywidualną zaradność. Część z nich, jeśli bierze sprawy w swoje ręce, to za pomocą noża i pistoletu. Nędzę, dzielnice slumsów tłumaczyłem sobie historią,

nie wiązałem ich z neoliberalnym dekalogiem; więcej – pomysł taki uznałbym za wytwór szaleńca.

Z czasem zacząłem odkrywać, że cudowna recepta, choć to nie ona zepchnęła ludzi na margines cywilizacji – slumsy istniały dobrych kilkadziesiąt lat przed nią – miała udział w powiększeniu ich rozmiarów. W krajach Ameryki Łacińskiej, wcześniej niż we własnym kraju, dostrzegłem, że wolność gospodarcza i demokracja mogą znaczyć coś zupełnie innego niż znaczyły dla mnie. Po pewnym czasie na polityków, w których widziałem latynoamerykańskie wcielenie reformatorów z Warszawy, Pragi i Budapesztu, zacząłem patrzeć z mieszaniną niedowierzania, zdumienia, a nawet oburzenia solidarnego z moimi rozmówcami z Rio, Buenos, Meksyku. Potwierdzenie starego, ludowego porzekadła, że podróże kształcą? Więcej – co do neoliberalnej recepty na zdrowie, młodość i bogactwo, podróże wywróciły mój świat do góry nogami; i nie tylko w tej sprawie.

Nie będę tu prowadził teoretycznej dysputy o kapitalizmie, wolnym rynku, etatyzmie. Spróbuję opowiedzieć, dlaczego tak wielu mieszkańców Ameryki Łacińskiej nie podziela entuzjazmu tak wielu inteligentów z postsowieckiej Europy dla wolnego rynku, czy ściślej: dla pewnej jego wersji, która zakrólowała w latach dziewięćdziesiątych. Będę się koncentrował na opowiadaniu o wydarzeniach, doznaniach, odczuciach – czasem swoich, ale przede wszystkim ludzi, których spotkałem – a nie na teoretycznej debacie o ideach. W końcu programy społeczne tyle są warte, ile ludzie z nich mają; i co z nich mają.

…więc awaria sieci komputerowej w dniu wyborów była zwiastunem wszystkiego, co miało zdarzyć się potem, ale prezydent Salinas szybko zmienił temat i zajął się reaganizacją meksykańskiej gospodarki. W pierwszej kolejności przeprowadził prywatyzację. Sprzedawanie państwowych przedsiębiorstw prywatnym właścicielom rozpoczęło się na początku lat osiemdziesiątych, lecz dopiero Salinas nacisnął pedał gazu do dechy. Pod młotek poszły państwowe linie lotnicze, telekomunikacja, hutnictwo i metalurgia, przemysł chemiczny, ubezpieczenia, sieci hotelarskie, niektóre środki przekazu, banki. Blisko dwadzieścia miliardów dolarów, które państwo zarobiło na prywatyzacji, pozwoliło zatkać dziurę w budżecie – w pewnym momencie osiągnięto nawet nadwyżkę – a także, na samym początku, zwiększyć wydatki na pomoc dla najuboższych. Wzrósł eksport, inflacja została zduszona, powróciło zaufanie

zagranicznych przedsiębiorców, popłynęły kredyty. Ale zwiększało się również zadłużenie kraju, bilans handlowy był ujemny, produkt krajowy malał. Te ukryte bomby z opóźnionym zapłonem miały eksplodować dopiero po pewnym czasie. Aspiracje Salinasa, żeby przyłączyć Meksyk do Pierwszego Świata, przypieczętował traktat o wolnym handlu ze Stanami Zjednoczonymi i Kanadą (NAFTA).

Za zmianami gospodarczymi nie poszły reformy polityczne. Meksykanie zaczęli domagać się coraz głośniej demokratyzacji i sprawiedliwszego podziału tortu. Okazało się, że terapia szokowa Salinasa, którą za granicą prezentowano jako pasmo sukcesów, pogłębiała i tak ogromne ubóstwo znacznej części meksykańskiego społeczeństwa oraz typowe dla regionu kontrasty majątkowe. Opiekuńcze niegdyś państwo meksykańskie, „potwór-filantrop", zaczęło wycofywać się ze społecznych zadań. Towarzyszył temu – jak wkrótce miało się okazać – charakterystyczny dla neoliberalnego mechanizmu proces koncentracji bogactw w rękach nielicznych. Spektakularnym przykładem było zwiększenie się za rządów Salinasa liczby meksykańskich multimiliarderów (z kilku do dwudziestu czterech), którzy zapełniali listy rankingowe najbogatszych ludzi na świecie. Majątek wielkich donów z finansowej superligi szacowano na jedną siódmą całego produktu krajowego Meksyku. Rządzić miał niby wolny rynek, tymczasem fortuny zdobywano dzięki politycznym układom i koneksjom. Prywatyzacja stała się synonimem rabunku, podziału łupów przez skorumpowaną elitę partii monopolisty. Po pewnym czasie zaczęły wychodzić na światło dzienne gigantyczne oszustwa. Przykład: prezes wielkiej grupy finansowej wyprowadza z systemu bankowego za pośrednictwem firm-widm siedemset milionów dolarów. Wspólnikami pomysłowego prezesa są bankierzy, przemysłowcy, gubernatorzy, a nawet były minister spraw wewnętrznych. Takie historie stały się codziennością Meksyku, zwłaszcza schyłkowego okresu rządów Salinasa i wypływały jeszcze długo po zakończeniu tamtej kadencji. Tymczasem ponad połowa ludności kraju żyła w ubóstwie, a jedna trzecia tej połowy – w skrajnej nędzy.

Powstanie Indian w Chiapas w sylwestrową noc z dziewięćdziesiątego trzeciego na dziewięćdziesiąty czwarty zachwiało dobrym samopoczuciem politycznych i finansowych elit. Zburzyło fałszywie optymistyczny wizerunek Meksyku za granicą. Było pierwszym sygnałem, że mieliśmy do czynienia nie

z cudem, lecz raczej ze sztuczkami iluzjonisty. Cud zobaczyła garstka wybranych – ludzie związani z władzą, tradycyjne elity finansowe, część wysoko wyspecjalizowanych profesjonalistów. Prawdziwe oblicze stumilionowego Meksyku okazało się dosyć szpetne.

Bunt w Chiapas był początkiem potężnej fali przemocy w całym kraju. Porwania dla okupu, napady, zamachy, i wreszcie – dwa wstrząsające zabójstwa polityczne. Ofiarą pierwszego padł kandydat PRl na prezydenta, Luis Donaldo Colosio, uważany za zwolennika demokratycznych reform. lnspiratorów zbrodni nie wykryto. W trakcie dochodzenia ginęli świadkowie, informatorzy; mało kto miał wątpliwości, że Colosio padł ofiarą polityczno-mafijnych porachunków w elicie władzy lub nawet rozłamu na zwolenników demokratyzacji i autorytarnych PRl-nozaurów.

Drugą ofiarą był Francisco Ruiz Massieu, sekretarz generalny PRl. Zginął z tych samych powodów, co Colosio. Zlecenie zabójstwa przypisano Raulowi Salinasowi, bratu prezydenta.

Finalna katastrofa nadeszła kilka tygodni po zakończeniu kadencji Salinasa. Gdy odchodził z urzędu, zachwalał własne sukcesy: wzrost gospodarczy, wysokie rezerwy walutowe, zduszenie inflacji. Chlubił się wprowadzeniem Meksyku do elity dwudziestu czterech krajów Organizacji Państw Wysoko Rozwiniętych (OECD) i zawarciem układu o wolnym handlu (NAFTA) ze Stanami Zjednoczonymi i Kanadą. Meksyk miał być krajem Pierwszego Świata o stabilnej gospodarce.

Tymczasem sukces neoliberalnej kuracji okazał się bańką mydlaną, która przy silnym podmuchu pękła.

Doprowadziło do tego kilka czynników: zadłużenie, wysoki deficyt płatniczy, gigantyczny import konsumpcyjny, który finansowano z zysków z eksportu ropy i ze sprzedaży krótkoterminowych wysokooprocentowanych obligacji rządowych. W obligacje inwestowali głównie krajowi potentaci i amerykańskie fundusze powiernicze. Obligacje kupowano za meksykańskie *peso,* a *peso* – za dolary, co było dla Meksyku solidnym zastrzykiem dewizowym. Salinas sztucznie utrzymywał wysoki kurs rodzimej waluty, żeby do kraju napływały dolary. Dzięki przeszacowanemu kursowi import był tani, co cieszyło rozsmakowaną w orgii zakupów meksykańską klasę średnią.

Waszyngton przewidywał załamanie i zaczął naciskać na Salinasa: „Zdewaluuj

stopniowo *peso”.* Ale kto przeprowadza dewaluację przed wyborami? Dla inwestorów stało się jednak jasne: prędzej czy później dewaluacja nastąpi. Zaczęli wyprzedawać obligacje, a odzyskane *peso* zamieniali na dolary i transferowali za granicę. Rezerwy dolarowe Meksyku zaczęły topnieć. Żeby je ocalić, Salinas wymyślił *testebonos,* nadzwyczajne trzymiesięczne wysokooprocentowane obligacje rządowe w dolarach – gwarancję dla inwestorów na wypadek dewaluacji *peso.* Pomysł powstrzymał ucieczkę dolarów, ale na krótko. Inwestorzy nabrali pewności, że następca Salinasa (prezydent Ernesto Zedillo) zdewaluuje *peso* z całą pewnością i dalej wyprzedawali obligacje. Odzyskane pieniądze lokowali w zagranicznych bankach.

Zgodnie z przewidywaniami, nowy prezydent zdewaluował *peso.* Bomba wybuchła, zapanował chaos. Miliardy dolarów wypływały z kraju, do panicznej ucieczki rzucili się amerykańscy inwestorzy. Rezerwy dolarowe Meksyku stopniały w ciągu kilku tygodni z dwudziestu do sześciu miliardów. A w krótkim czasie rząd musiał wykupić *testebonos* za dziesięć miliardów. Meksyk stanął na skraju bankructwa.

Bankructwo wielkiego sąsiada byłoby potężnym ciosem dla Stanów Zjednoczonych. Załamanie amerykańskiego eksportu do Meksyku to utrata setek tysięcy miejsc pracy w USA. Straty inwestorów amerykańskich – głównie funduszy powierniczych – liczono by w miliardach dolarów. A to z kolei, zachwiałoby amerykańskim systemem oszczędzania – ludzie potraciliby oszczędności, ubezpieczenia, emerytury.

Amerykanie uratowali Meksyk i… siebie. W porozumieniu z Międzynarodowym Funduszem Walutowym uzyskali obietnicę ogromnych sum od najbogatszych krajów na fundusz ratowania meksykańskiego systemu finansowego. Sami wpłacili na ten cel dwadzieścia miliardów. Prezydent Zedillo obiecał zaostrzenie i tak już restrykcyjnego programu neoliberalnego.

Meksykański system gospodarczy ocalał.

Meksyk po rządach Salinasa był na pewno innym krajem niż dwadzieścia, czy nawet dziesięć lat wcześniej. NAFTA dała meksykańskiej gospodarce solidny zastrzyk. Przede wszystkim: miejsca pracy, prawie milion rocznie. Ich głównym „producentem” są *maquiladoras,* przygraniczne wielkie zakłady, które importują materiały i części, by je następnie sprzedawać za granicę w gotowych

produktach. Meksyk zaczął wyrastać na potęgę eksportową: samochody, szkło, stal, cement, sprzęt AGD, ropa.

Szybki rozwój miał jednak swój rewers: pogłębienie społecznych przepaści. Wejście w życie układu o wolnym handlu było dramatem dla drobnych farmerów i małych zakładów, niezdolnych konkurować z gigantami krajowymi bądź ze Stanów Zjednoczonych. Powstały setki tysięcy nowych miejsc pracy, lecz w nędzę popadły co najmniej trzy miliony rolników. „Co z tego, że wskaźniki makroekonomiczne krzyczą: sukces! sukces! sukces! – jeśli miliony ludzi nic z tego nie mają?" – słyszałem w Meksyku kilkakrotnie. Zyskali młodzi, zaradni, wykształceni, miastowi. Miliony analfabetów nie mają szans na nowoczesnym rynku, na którym lepiej sprzedają się idee – prawa autorskie – niż produkty materialne. A państwo wycofało się z pomagania ludziom o najmniejszych szansach. Snują się po ulicach największego miasta świata, sprzedając orzeszki, karty telefoniczne, indiańskie pamiątki.

Cyfry są nieubłagane: w latach dziewięćdziesiątych udział biednych w podziale dochodu narodowego stale malał. Nierówności płacowe należały do największych w Ameryce Łacińskiej. Realne płace pracowników najemnych były w dwutysięcznym roku o jedną czwartą niższe niż sześć lat wcześniej. Co czwarty mieszkaniec kraju żył w skrajnej biedzie.

Salinas obwiniany o katastrofę uciekł z kraju. Najpierw aresztowano jego brata Raula pod zarzutem zlecenia zabójstwa sekretarza PRI Ruiza Massieu. Massieu był szwagrem braci Salinas, który porzucił ich siostrę dla innej kobiety. Gdy wypytywałem w Meksyku o tamto zabójstwo, mało kto sądził, że była to rodzinna wendeta. Uważano, że był to mord polityczny – Massieu chciał odsunąć od władzy PRI-nozaurów i prawdopodobnie dlatego zginął.

Po aresztowaniu brata, Salinas ogłosił strajk głodowy. Chciał w ten sposób zaprotestować przeciwko łączeniu siebie i swoich bliskich z zabójstwami politycznymi, które wstrząsały Meksykiem od połowy lat dziewięćdziesiątych. Odpierał oskarżenia o doprowadzenie kraju do krachu ekonomicznego – odpowiedzialnością obciążał następcę.

Wkrótce uciekł do Stanów Zjednoczonych, później osiadł w Dublinie, w Irlandii. Za udział w praniu pieniędzy z narkobiznesu jego brata Raula skazano na pięćdziesiąt lat więzienia. Byłego prezydenta początkowo nie wiązano z aferą, lecz prokuratura szwajcarska zdobyła zeznania obciążające

pośrednio również i jego – najpewniej ciągnął zyski z handlu narkotykami. W rozmowie z siostrą (nagraną przez służby więzienne) uwięziony Raúl Salinas wyrzekł się brata – „tchórza” i „zdrajcy” – który „doskonale wiedział”, że kilkadziesiąt milionów dolarów, które rodzina zdeponowała w bankach szwajcarskich, pochodziło z funduszy publicznych. Więzień z kartelu Medellín, odsiadujący dożywocie w Stanach Zjednoczonych, zeznał, że jeszcze w osiemdziesiątym siódmym roku, gdy Salinas ubiegał się o prezydenturę, jego brat zabiegał o środki na kampanię wyborczą od kolumbijskiej mafii narkotykowej.

Collor i Cardoso

Zanotowałem taką scenkę z Rio de Janeiro: eleganckie biuro wymiany walut przy alei Atlantyckiej, ciągnącej się wzdłuż najsłynniejszej plaży świata – Copacabany. W biurze słychać angielski i niemiecki. Kolejka ze współczuciem patrzy na Amerykankę, którą właśnie okradziono z pieniędzy i kart kredytowych. Zdenerwowana podaje przez telefon numery kart do zablokowania. Nagle starszy mężczyzna, Brazylijczyk, wykrzykuje z wściekłością: – Złodziei tu nie brakuje, a największy to Fernando Henrique Cardoso!

To niesprawiedliwe zaczynać opowieść o brazylijskiej wersji neoliberalizmu od cytowania oskarżeń wobec prezydenta Cardoso. Cardoso był jednym z wyjątków pośród sfory latynoamerykańskich prezydentów i ich urzędników z lat dziewięćdziesiątych, którzy garściami kradli z państwowej kasy i nauczyli swoje społeczeństwa, że modernizacja w wersji neoliberalnej oznacza przestępstwa polityków i zostawienie ludzi na łaskę losu. Pierwszeństwo w tej opowieści należy się, nie tylko z powodu chronologii, innemu przywódcy – Fernando Collorowi.

Kariera Collora to wypisz, wymaluj scenariusz telenoweli z wątkiem polityczno-sensacyjnym. Drugi prezydent powracającej do demokracji Brazylii, pierwszy wybrany w powszechnym głosowaniu, był Collor stuprocentowym wytworem politycznego marketingu, spotów reklamowych – jak proszk, który sam pierze, suszy, wybiela i na dodatek jeszcze prasuje. Mister NIKT, samo opakowanie. Wywodził się z rodziny magnata prasowego, a więc z tradycjami – co w Brazylii ważne, często przesądzające o karierze. W politykę zaplątał się

długo przed tym, jak postanowił ubiegać się o fotel prezydenta. W czasach wojskowej dyktatury związał się partią dyktatury; gdy dyktatura się skończyła, związał się z ruchem, który był dyktaturze przeciwny. Był gubernatorem mikroskopijnego stanu Alagoas, gdzie wsławił się zwalczaniem korupcji, a jeszcze bardziej niezmordowaną pracą nad własnym wizerunkiem telewizyjnym. To ostatnie odegrało istotną rolę w wyścigu po prezydenturę: Collor znakomicie czuł się przed kamerą, był człowiekiem nadzwyczaj telegenicznym.

Wokół Collora zebrała się tradycyjna brazylijska konserwa, magnaci finansowi, właściciele całych stanów – Magellanowie, Marinhowie, Netowie, potomkowie portugalskich kolonizatorów, dawni zwolennicy wojskowego reżimu, przeciwnicy praw pracowniczych i reformy rolnej. Po niepowodzeniach ustępującego prezydenta, którego popierali sercem i kiesą, zaniepokojeni wzrastającą falą nastrojów, które mogły wynieść do władzy radykalną lewicę, starzy donowie wymyślili, że sprzedadzą wyborcom „proszek do prania”: Fernanda Collora. Piękny uśmiech, czar, elokwencja. Collor mknie w rajdowym samochodzie. Collor popisuje się umiejętnościami karate. Kobiety szalały, młodzi widzieli w nim prototyp człowieka sukcesu nowych czasów. Wszyscy kupili bohatera telenoweli, błyskotkę. Miliony Brazylijczyków dostrzegły w nim wszystko, za czym tęsknią, a co dla większości nieosiągalne: drogie ubrania, najnowsze samochody, bogactwo, powiew wielkiego świata, przebojowość. Na dodatek Collor obiecał, że zwalczy korupcję, ograniczy wydatki na urzędniczą biurokrację, zajmie się najbardziej zmarginalizowanymi grupami społecznymi. Elitom obiecał przywrócenie ładu gospodarczego, jasne reguły, liberalizację. Wszystkim – zduszenie inflacji, miał „ubić tego tygrysa jednym strzałem”. Miał być brazylijskim JFK.

Zamiast cudu nastąpił szok. Collor odchudził państwo – przede wszystkim subwencje, które wcześniej szły na cele społeczne. Zniósł kontrolę wymiany walut, sprzedał wiele państwowych firm, a w ramach walki z inflacją zablokował konta w bankach. Ludzie, którzy przed blokadą kont sprzedali mieszkania i domy, żeby kupić nową nieruchomość, potracili dorobek całego życia, niekiedy nie tylko swojego. Firmy, które trzymały w bankach pieniądze na wypłaty dla pracowników i inwestycje, upadały z dnia na dzień. Przez Brazylię przetoczyła się fala bankructw, samobójstw, zawałów serca. Jeszcze dekadę po tamtych

wydarzeniach ludzie, którzy potracili pieniądze, nie byli w stanie opowiadać o tym spokojnie.

Terapia Collora zakończyła się katastrofą. Brazylijski „JFK" nie ubił tygrysa inflacji – ani jednym strzałem, ani nawet serią z karabinu maszynowego; ledwo go poranił, a tygrys ruszył do ataku z jeszcze większą furią. Brazylia popadła w recesję, wzrosły inflacja i zadłużenie. Przez ulice metropolii – Rio de Janeiro, Sao Paulo, Salvador, Recife – przetoczyła się fala zbrodni i przemocy nienotowana w historii kraju. Uliczne gangi dzieci masowo napadały przechodniów, na nie z kolei polowały szwadrony śmierci, opłacane przez okradanych restauratorów i sklepikarzy. Zjawisko to było znane wcześniej, tak w Brazylii, jak i w innych krajach, lecz nigdy na tak wielką skalę. Chłopi bez ziemi, niemający widoków na reformę rolną, zajmowali nieużytki latyfundystów. Ci ostatni wysyłali w odwecie prywatne armie siepaczy, żeby „uprzątnęli" intruzów – co zwykle kończyło się masakrami. Brazylia zamieniła się w arenę społecznych konfliktów, walk, przemocy. Znikli zagraniczni turyści podróżujący niegdyś tłumnie do Rio, wodospadów Iguaęu, czarnej Bahii i Amazonii.

Polityczna kariera Collora zakończyła się tak samo, jak się zaczęła – w stylu właściwym telenoweli. Pogrzebał go rodzony brat Pedro, który ogłosił *dossier* prezydenta i jego głównego zausznika Paula Cesara Fariasa. Ujawnił mianowicie, że prezydent był w przeszłości nałogowym kokainistą, molestował swoją szwagierkę – czyli żonę Pedra Collora – a prezydencki pałac w Brasilii zamienił w luksusowy dom publiczny. Główny ciężar zarzutów spadł na Fariasa, szarą eminencję, który handlował synekurami, rozdawał beneficja, organizował nielegalne kontrakty, defraudował fundusze publiczne.

Gdy wokół Collora zaczęli węszyć dziennikarze, wypłynęły kolejne występki. Żonę prezydenta oskarżono o zawłaszczenie pieniędzy Brazylijskiego Legionu Pomocy, organizacji zajmującej się działalnością społeczną. Śledztwo w Kongresie wykazało, że Farias brał łapówki w zamian za przysługi polityczne, prał brudne pieniądze zaprzyjaźnionych firm. W cudowny sposób rozmnożył się majątek prezydenta. Dworek, który Collor zakupił, wart był tyle, ile pięciokrotne dochody, jakie uzyskał w sumie z pensji prezydenckiej. Collor tłumaczył się, że dostał pożyczkę z banku w Urugwaju.

Brazylia zawrzała. Ludzie wyszli na ulice z hasłami: „Collor precz!", a Collor tymczasem próbował uciec do przodu – podpisał naprędce ustawę

antykorupcyjną. Było jednak za późno. Kongres wszczął procedurę usunięcia prezydenta ze stanowiska. Uprzedzając decyzję parlamentu, w grudniu dziewięćdziesiątego drugiego Collor sam ustąpił z urzędu.

Tak jak w klasycznej telenoweli, zło zostało ukarane. W telewizyjnych programach informacyjnych Brazylijczyków bombardują co dzień wiadomości o zabójstwach, kradzieżach, porwaniach, kataklizmach, nędzy milionów rodaków. Nikt nie naprawia tego zła, świat nie wraca do moralnego ładu. Zabójcy, złodzieje, porywacze zwykle nie zostają schwytani. Nędzy nie wiadomo jak zaradzić. Na kataklizmy nie ma rady – siła wyższa.

Przeczytałem gdzieś opinię, że w historii Collora ludzie nie dostrzegli wadliwego systemu, niewłaściwej polityki, schorzeń skrajnie nierównego społeczeństwa, ponurego dziedzictwa traktowania państwa jako łupu. Collor był po prostu jeszcze jednym Złym Panem z telenoweli, z bajki dla dorosłych dzieci, którego przyłapano na nikczemnych uczynkach i musiał za nie zapłacić. Skoro więc zło spotkała kara, to znaczy, że jest nadzieja, że jutro będzie lepsze.

Collor wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie w licznych wywiadach przedstawiał się jako ofiara spisku. W Brazylii skazano go zaocznie, a w apelacji uniewinniono z braku niepodważalnych dowodów. Z dobrowolnego wygnania odgrażał się, że wróci do polityki. Rzeczywiście – gdy na początku dwutysięcznego drugiego roku kolejny raz przyleciałem do Sao Paulo, z łamów kolorowych tygodników uśmiechał się elegant o nienagannie białych zębach. Trudno było uwierzyć, że po tym wszystkim ośmielił się głośno myśleć o kolejnej prezydenturze.

Paulo Farias uciekł do Tajlandii. Tam został pojmany, następnie odstawiony do kraju i skazany na sześć lat aresztu domowego. W dziewięćdziesiątym szóstym Fariasa i jego kochankę znaleziono zastrzelonych w domu. Kilka dni później miał zeznawać w Sądzie Najwyższym. Brazylijska opinia publiczna nigdy nie uwierzyła w samobójstwo. Powszechnie sądzono, że zginął, bo ktoś z możnych obawiał się jego obciążających zeznań. W ciemne z interesy z Fariasem uwikłanych było wielu brazylijskich biznesmenów i polityków.

***

Starszy pan z Rio wyzywający od złodziei prezydenta Fernanda Henrique Cardosa, zwanego w Brazylii „FHC”, zrobił na mnie wrażenie furiata. Szybko się zorientowałem, że okrzyki tego człowieka doskonale ilustrowały stan ducha milionów Brazylijczyków po pięciu latach rządów drugiego brazylijskiego neoliberała.

Był rok dziewięćdziesiąty dziewiąty, moja druga podróż do ojczyzny futbolu i karnawału. Jeżdżąc ulicami Sao Paulo, Rio de Janeiro, Salvadoru, co kilkaset metrów mogłem się dowiedzieć, co się tu myśli o głowie państwa. „Precz z FHC!”, „FHC won!” – najłagodniejsze wyrazy obywatelskiej opinii, wypisywane na murach, billboardach, w tunelach. Taksówkarze, których zagadywałem, jak się żyje, opisywali prezydenta słowami nieparlamentarnymi. Dostojna pani profesor z uniwersytetu w Rio odmówiła mi nawet wywiadu o rządach Cardoso, bo uznała, że jest nazbyt stronnicza: „Rozstrzelać Fernanda Henrique i cały ten rząd!”.

W tamtych dniach do stolicy kraju, Brasilii, dotarł protestacyjny „marsz stu tysięcy”. Jego uczestnicy, których było tylko trochę mniej niż planowane sto tysięcy, krzyczeli gromko przed pałacem prezydenta: „Usunąć Cardoso!”, „Precz!”. Powód: korupcyjna prywatyzacja sektora telekomunikacyjnego. Naprawdę chodziło o więcej – o rządzenie bez polityki społecznej, dramatycznie rosnące bezrobocie, zubożenie ludzi na wielką skalę, brak nadziei.

Wniosek z licznych rozmów, jakie odbyłem w tamtych dniach z ekonomistami, politologami i zwykłymi Brazylijczykami, niezajmującymi się zawodowo objaśnianiem zjawisk społecznych: ludzie utracili stabilność życiową. Początkowo polityka Cardosa zahamowała inflację; później przyniosła recesję, upadek wielu firm, bezrobocie.

Trzy lata wcześniej na ulicach brazylijskich miast widziałem ludzi handlujących napojami, cukierkami, krakersami, pamiątkowymi koszulkami z Chrystusem Odkupicielem ze wzgórza Corcovado, dziewiątką mistrza futbolu Ronalda, Che Guevarą. Podczas następnej podróży – a potem jeszcze dwóch kolejnych – dostrzegłem, że obnośnych handlarzy było kilka razy więcej. „Panie i panowie, życzę szczęśliwej podróży. Czy nie zechcielibyście kupić… ” – wykrzykiwali wsiadający do autobusów na każdym przystanku bezrobotni

młodzi chłopcy, którzy wybrali handlową harówkę za grosze zamiast noża i pistoletu.

W dziewięćdziesiątym czwartym, gdy Cardoso, jeszcze jako minister skarbu, zaczynał wprowadzać w życie cudowną receptę – „Plano Real" – bezrobocie wynosiło tylko cztery procent. Po pięciu latach prezydentury – ponad dwa razy więcej. Młody naukowiec z Instytutu Ekonomii Uniwersytetu Federalnego w Rio, Alexis Toribio Dantas doradził mi sceptycyzm wobec tego rodzaju statystyk: według nich pracującym jest nawet ten, kto w domu wycisnął sok z pomarańczy i poszedł na ulicę go sprzedać; bezrobocie realne jest dużo większe. Zdaniem wielu rozmówców, załamanie gospodarcze i społeczne spowodował nie tyle kryzys w ówczesnej gospodarce światowej, ile przyjęty przez Collora, a później Cardoso, model neoliberalny.

Przez długie lata rządów wojskowych (1964–1985), a i później, zmorą brazylijskiej gospodarki była inflacja. Wojskowi forsowali szybki rozwój, między innymi poprzez emisję pieniądza, co doprowadziło na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych do kompletnego rozchwiania gospodarki. W czasach największej inflacji Brazylijczycy robili wielkie zakupy w dniu wypłaty, bo nazajutrz ceny mogły wzrosnąć o dziesięć albo o trzysta procent. Collor zdusił inflację, ale tymczasowo. Patent, który poskutkował na trwałe, wymyśliła dopiero ekipa ministra skarbu Cardosa. „Plano Real", ogłoszony przed wyborami prezydenckimi w dziewięćdziesiątym czwartym, zdławił inflację za pomocą wymiany waluty. Cardoso ustalił kurs nowej monety – reala – na poziomie dolara.

Udało się! Brazylia oszalała. Ludzie na ulicach wiwatowali na cześć uzdrowiciela. Telewizja pokazywała, jak na wyborczym mityngu ludzie całowali Cardosa w rękę. Profesor uniwersytecki, były marksista, zdawało się bez szans na prezydenturę, zmiażdżył rywali w pierwszej turze wyborów. Wbrew temu, co mówili przeciwnicy – że *Plano Real* to sztuczka i że inflacja wróci po wyborach, Cardoso utrzymał kontrolę nad wypływem pieniądza na rynek przez osiem lat swoich rządów. Znajomy profesor z Sao Paulo śmiał się, że gdyby wtedy FHC zechciał zostać królem, to by nim został. Gdyby zechciał zostać cesarzem, też nikt by nie był przeciw. Ludzie kochali Fernanda Henrique.

A potem przyszedł czas neoliberalnej klasyki: prywatyzacja, dyscyplina budżetowa, obcinanie wydatków socjalnych, wycofanie się państwa z aktywnej

polityki społecznej. *Plano Real* stworzył z Brazylii raj dla finansowych spekulantów. Wobec ogromnego zadłużenia zewnętrznego i wewnętrznego naraził gospodarkę na dużą zależność od rynków finansowych. Zadłużenie nie pozwalało państwu na wiele koniecznych inwestycji. Wielką część dochodów musiało przeznaczać na spłacenie długu.

Dwa kolejne kryzysy – azjatycki (1997) i rosyjski (1998) – wstrząsnęły Brazylią. Mimo że w brazylijskiej gospodarce nie działo się nic, co uzasadniałoby panikę, zagraniczni inwestorzy (właściwsze byłoby słowo: spekulanci) zaczęli w pośpiechu wycofywać pieniądze. Dzięki solidnym rezerwom, bank centralny zdołał finansować dług i utrzymać kurs reala, jednakże w krótkim czasie rezerwy kraju stopniały o połowę. Jedynym sposobem zahamowania ucieczki kapitału było podniesienie odsetek bankowych. Manewr ten zatrzymał odpływ kapitału, ale również inwestycje wewnętrzne. Decyzja Cardosa (bank centralny w Brazylii był zależny od rządu) uderzyła w producentów: przy tak wysokim oprocentowaniu kredytów prowadzenie biznesu było niemożliwe. Dodatkowo – dewaluacja reala i otwarcie rynku na produkty z importu doprowadziły do załamania wielu rodzimych przedsiębiorstw. Kilka milionów ludzi straciło pracę.

Frustracja milionów ludzi w Brazylii była skutkiem nie tylko polityki Cardosa, i nie tylko kryzysów na świecie. Struktura społeczna kraju i nierówności majątkowe przywodzą tam ciągle na myśl czasy kolonialne. Jeden procent najbogatszych Brazylijczyków konsumuje siedemnaście procent dochodu narodowego; pięć procent ludzi z najwyższych szczebli drabiny społecznej zjada prawie połowę narodowego tortu; do siedemdziesięciu procent trafia jedna piąta dochodów ogółu.

Na wsi nierówność jest jeszcze większa. Jeden procent wielkich właścicieli ziemi dysponuje połową rolnych gruntów kraju – z czego tylko cztery procent się uprawia. Ziemia traktowana jest tu przede wszystkim jako lokata kapitału.

W XX wieku Brazylia przeszła gwałtowne zmiany społeczne: od społeczeństwa żyjącego na wsi do społeczeństwa wielkich miast. Wieśniacy, którzy potracili pracę w latyfundium, wiązali nadzieje na odmianę losu z wielkimi metropoliami. Te nie miały jednak ani tylu miejsc pracy, ani infrastruktury, żeby wszystkich przyjąć. Wielkie miasta zaczęły obrastać slumsami. W latach dziewięćdziesiątych, po otwarciu gospodarki na świat i modernizacji przemysłu,

rynek pracy skurczył się jeszcze bardziej. Jeśli powstawały nowe przedsiębiorstwa, to tylko zaawansowane technologicznie, które potrzebowały niewielu pracowników, wysoko wykwalifikowanych. Obok starej biedy, zaczęła rodzić się nowa bieda.

Głównym problemem Brazylii i innych krajów regionu – zauważył jeden z moich rozmówców – jest to, że nigdy nie stworzono systemu redystrybucji dochodu narodowego; takiego, jaki istnieje w większości krajów europejskich. W Europie nawet ludzie bez pracy są nabywcami na rynku; w Brazylii i innych krajach Ameryki Łacińskiej są wykluczeni, bez szans. Wykluczenie, brak szans to zasadnicze przyczyny sprzeciwu wobec polityki zwanej neoliberalną, nawet jeśli protestujący nie mieli pojęcia o słowie „neoliberalizm". Dzisiaj biedni wiedzą, że ich życie mogłoby wyglądać inaczej. To już nie są ciemni chłopi sprzed półwiecza. Wiedzą, że Brazylia to bogaty kraj. I pytają: dlaczego nie mamy co jeść, a ziemia leży odłogiem, bo jest w rękach jakiegoś pułkownika albo banku?

Polityka Cardosa uderzyła w najbiedniejszych, najsłabiej wykształconych, ale również w klasę średnią. Podczas kolejnych podróży do Brazylii obserwowałem, jak coraz więcej ludzi traciło stałe zajęcie i nie mogło znaleźć innego w zamian.

Mój przyjaciel Ari z Sao Paulo nie podzielał mojego krytycyzmu, lubił prezydenta Cardosa. Ari jest prawnikiem, biegle włada angielskim i zawsze gdzieś znajduje dobrą pracę, przeważnie w zagranicznych koncernach. Różni jego krewni i znajomi, którzy nie są prawnikami, ani nie mówią po angielsku, ciągle szukają zajęcia, i albo je znajdują, albo nie. Oni nie mieli już tak wielu ciepłych słów o FHC. Jedni pracowali dzień w tygodniu, inni dwa dni. Przyjaciółka innego znajomego poszła zatrudnić się jako recepcjonistka: zaproponowali jej 150 reali – to było wtedy około 85 dolarów – a wynajęcie taniego mieszkania kosztowało sto.

Inna ilustracja. W połowie lat dziewięćdziesiątych tysiące Brazylijczyków z klasy średniej jeździło na zakupy do Miami. Kupowali taniej niż w kraju, po kilka modnych koszul i kilka par spodni. Po powrocie odsprzedawali je znajomym po cenie brazylijskiej i mieli w ten sposób tydzień wakacji w Miami za darmo. Po kilku latach neoliberalnej recepty pełne wcześniej Brazylijczyków miasta Florydy opustoszały. „Chyba nic lepiej nie obrazuje tego, co się stało z dochodami klasy średniej" – objaśniał mi ceniony komentator kilku

brazylijskich gazet, Elio Gasperi.

Spadek dochodów i bezrobocie, które wstrząsnęły klasą średnią, odbiły się z kolei na najbiedniejszych. Polski emigrant z Rio, który ożenił się z zamożną Brazylijką, podzielił się ze mną następującą obserwacją: „Kiedyś praktycznie każda rodzina z klasy średniej Rio de Janeiro zatrudniała gosposię. Ci, którzy potracili pracę lub ich zarobki dramatycznie spadły, zaczęli rezygnować z pomocy domowej. Oznaczało to, że tysiące, o ile nie miliony rodzin z *favelas,* osiedli nędzy, utraciły jedyne źródło dochodu".

Jak niemal obowiązkowy akompaniament dla społecznie dotkliwej polityki, również w państwie rządzonym przez Cardosa zaczęły wypływać skandale i afery. Sam FHC wyszedł obronną ręką, nigdy nie dowiedziono mu osobistej nieuczciwości. Jednak na polityczne konto prezydenta i – szerzej – modelu społeczno-gospodarczego lat dziewięćdziesiątych poszły skandale, których bohaterami byli ludzie władzy.

Kilka przykładów, które zanotowałem w czasie jednej z podróży:

– wymiar sprawiedliwości prowadzi sprawy przeciwko czterdziestu czterem kongresmanom;

– kongresman Hildebrando Pascoal okazuje się szefem gangu narkotykowego;

– pewien senator (nazwiska nie zapisałem) zastrzelił oponenta za to, że tamten skrytykował go w telewizji;

– skandal w policji: zwolniono kilkudziesięciu policjantów, którym w toku wewnętrznego śledztwa udowodniono korupcję i prawdopodobnie (szczegóły okrywała tajemnica) powiązania z narkobiznesem;

– największa stacja telewizyjna „Globo" pokazuje nagranie z ukrytej kamery, jak pewien deputowany (Sergio Naya) przechwala się fałszowaniem dokumentów. Naya był właścicielem wieżowca w ekskluzywnej dzielnicy Rio de Janeiro, który runął, zabijając osiem osób. Przyczyną było użycie do budowy elementów niskiej jakości. „Arogancja i przekonanie o bezkarności wylewały się z telewizyjnych ekranów do milionów brazylijskich domów" – napisał po obejrzeniu skandalicznego nagrania komentator jednej z gazet. Pisano również: „Publiczny wizerunek polityków w Brazylii jest fatalny, gdyż są oni kojarzeni jedynie z przywilejami i bezkarnością".

Skojarzenie skandali, kradzieży, nieuczciwości „na górze" z masowym zubożeniem zaowocowało powszechną niechęcią do reguł polityki społeczno-

gospodarczej, jakie zaaplikowano Brazylii w latach dziewięćdziesiątych.

Miniatura XIV
(od utopii do utopii)

Książka Carlosa Fuentesa *W to wierzę* – znakomity komentarz do latynoamerykańskiej przygody z receptą neoliberalną. Pisarz, w którym mieszkają dwie dusze – liberała i socjalisty – zauważa, że po upadku muru berlińskiego, utopii „nowego wspaniałego świata", która zostawiła za sobą cmentarzysko ludzi i ludzkich nadziei, zapanowała moda na inny fałszywy dogmat: „niczym nieskrępowany wolny rynek" *á la* Reagan i Thatcher. Zakładano, pisze Fuentes, że potęgi gospodarcze będą „po trochu dawkowały swe zyski, przelewając je na konta większości pozostałych".

W krajach Ameryki Łacińskiej ów przepis funkcjonował jako metafora kielicha: spływający zeń nadmiar miał zrosić podstawę. Obfitość bogactwa bogatych miała spłynąć na biednych i włączyć ich w krąg beneficjentów rozwoju.

„Tak się jednak nie stało – zauważa Fuentes. – Ci, co byli na szczycie, pozostali tam i przy tej okazji – jak zawsze", a „nieobecność państwa przerodziła się w brutalną obecność państwa, ilekroć chodziło o powiększenie wydatków na potrzeby militarne albo o ratowanie banków, które splamiły się oszustwem, albo zbankrutowały". Neoliberałowie „powiększyli dystans między bogatymi a biednymi, pozostawili biednych samym sobie, skoncentrowali siłę bogaczy i uświęcili neodarwinowską filozofię przyjętą przez Reagana. Kto jest ubogim, jest nim, bo jest próżniakiem".

Świat z jednej utopii popadł w drugą, też groźną, spadł z deszczu pod rynnę – przynajmniej najbiedniejsi jego mieszkańcy.

Ludzie doświadczeni totalizmem sowieckim, częściej inteligenci niż ci z innych

grup społecznych, oburzą się na zestawienie dzikiego nawet kapitalizmu z komunistyczną tyranią. Z perspektywy milionów mieszkańców Ameryki Łacińskiej, i szerzej – biednego Południa, nasze oburzenie jest niewiele znaczącym niuansem, nie unieważnia dramatu, którego doświadczają na co dzień – braku mieszkań, opieki zdrowotnej, edukacji, a nawet głodu lub stanu bliskiego głodowi. Fuentes, który w czasach komunizmu miał odwagę przeciwstawiać się wierze licznych intelektualistów Zachodu, że „rozwiązanie problemów ludzkości leży za żelazną kurtyną", po latach doświadczeń Ameryki Łacińskiej z neoliberalnym eksperymentem nie czuje się obezwładniony faktem, iż nie jest w modzie zwracanie uwagi na niesprawiedliwość społeczną i ubóstwo znacznej części ludzkości. Jak gdyby mówił nam, że po upadku utopii „nowego wspaniałego świata" pochopnie wyrzucono na śmietnik słowa, wartości i idee, których bronić warto, a nawet należy. Trzeba to tylko robić mądrze.

Pisarz przytacza dane kompromitujące autorów hymnów na cześć neoliberalizmu: 20 procent populacji świata konsumuje 90 procent produkcji światowej; świat, który trwoni – 800 miliardów dolarów rocznie na zbrojenia, nie potrafi znaleźć sześciu miliardów na budowę szkół dla wszystkich dzieci na kuli ziemskiej. Nie, Fuentes nie podaje tych danych za rewolucyjnymi biuletynami. Przytacza opinie Federica Mayora, dyrektora UNESCO i Jamesa Wolfensona, dyrektora Banku Światowego. „Wstaje widmo globalnego darwinizmu", ostrzega.

Ideolog neoliberalizmu spytałby, dlaczego Fuentes koncentruje krytykę na neoliberalizmie, globalizacji, rynku, a nie innych, znanych z przeszłości, zagrożeniach. Usłyszałby, że w epoce neoliberalnej „niebezpieczeństwa nie stanowi już gigantyczny filantrop, potwór państwowożerczy, krytykowany przez Octavia Paza, lecz *olbrzym spuszczony ze smyczy,* rynek, który zostanie uświęcony, kiedy według słów Milosa Formana, *wyjdziemy z ogrodu zoologicznego i wkroczymy do lasu".*

Postuluje: Niech rynek i polityka wspierają się wzajemnie.

Chirurgia bez anestezjologa. Dzieje pewnego eksperymentu (2)

Menem

Jakaś rozmowa w Buenos Aires, styczeń dziewięćdziesiątego siódmego: – Słuchaj, to nie może trwać wiecznie, ten balon musi pęknąć. I jeszcze: – Stary, to nie jest poważny kraj, tu „się wie", ile kosztuje lunch z prezydentem. Ile? Pół miliona.

Było naprawdę pięknie, gorąco, wakacyjnie. Orgia kolorów i zapachów. Na ulicach Buenos królestwo beztroski. Styczeń to w Argentynie upały, czas urlopów, karnawału. Był więc karnawał – ten tradycyjny, i karnawał zakupów. Karty kredytowe w sklepowych terminalach świszczały. Argentyńczycy kupowali. Komputery, ubrania, kosmetyki, domowe sprzęty. Samochody, rezydencje. Wszystko na potęgę. A potem szli na kozetkę do psychoanalityka (taka właśnie zaczęła się moda), i znów wydawali.

Kilka lat później, gdy Argentynie zajrzał w oczy strach przed bankructwem, przeczytałem w prestiżowym miesięczniku „Foreign Affairs" gorzkie uwagi pewnego argentyńskiego ekonomisty: „To był zawsze kraj o przeciętnym wzroście, jednak wierzył, że spektakularny rozwój i bogactwo są tak naprawdę na wyciągnięcie ręki". I dalej: „Gdy przyszły lata *prosperity,* Argentyńczycy rzekli sobie: – Wreszcie nadchodzi życie, jakiego wyczekiwaliśmy i na jakie zasługujemy".

Scenariusz był podobny do tego w Meksyku i Brazylii, z dwoma wyjątkami. Po pierwsze, kurację doprowadzono w Argentynie do ostatecznych konsekwencji.

Po drugie – tylko Argentyna miała przywódcę obdarzonego tak wielką charyzmą i bezczelnością jak Carlos Menem. Salinas był zaplątany w defraudację publicznych pieniędzy i polityczne morderstwa.

Kariera Collora – czysta telenowela. Menem robił dokładnie to samo, co tamci dwaj, tylko bardziej otwarcie, bez wstydu, zahamowań, pozorów. Na końcu, po dekadzie rządów, które doprowadziły Argentynę do ruiny, Menem jeszcze raz stanął do wyścigu o fotel prezydenta.

Carlos Menem, peronista, potomek syryjskich imigrantów odziedziczył gospodarkę w stanie kompletnego chaosu. Jego poprzednik Raúl Alfonsín, który wyprowadzał kraj z mroków quasi-nazistowskiej dyktatury, zajął się demokratyzacją systemu. Gospodarki rozchwianej po wojskowych rządach i absurdalnej wojnie z Wielką Brytanią o Falklandy-Malwiny nie zdołał postawić na nogi. Gdy Menem obejmował prezydenturę, kraj tonął w pustych pieniądzach (inflacja wynosiła pięć tysięcy procent!), gigantycznych długach i recesji.

Menem poszedł na całość, nie robił niczego stopniowo, krok po kroku. Państwo pod jego rządami odrzuciło wszelkie ciężary społeczne, rząd wprowadził ścisłą kontrolę płac, gospodarkę otwarto na napływ i odpływ kapitału zagranicznego, kurs *peso* związano z dolarem w stosunku jeden do jednego. Menem zdemontował system ubezpieczeń, tak aby nie obciążać państwa. Sprywatyzował wszystko – ponad czterysta wielkich państwowych przedsiębiorstw, wśród nich telekomunikację, energetykę, naftę, gaz, linie lotnicze, wodociągi, koleje, żeglugę, przemysł przetwórczy, metalurgię. Gdy po dziesięciu latach rządzenia opuszczał prezydencki pałac Casa Rosada, w rękach państwa nie zostało nic.

Trzeba pamiętać, w jakim kraju odbywała się ta „operacja chirurgiczna bez anestezjologa” – jak określił politykę Menema jeden z moich argentyńskich rozmówców. Argentyna to kraj, nad którego historią w dwudziestym wieku zaciążył jeden człowiek: Juan Domingo Perón. Przeprowadził forsowną industrializację, upaństwowił dużą część gospodarki, dał biedocie pieniądze zarobione na eksporcie żywności dzięki dwóm wojnom w Europie, prawa socjalne, a przede wszystkim poczucie godności. Szukał trzeciej drogi między kapitalizmem i komunizmem. Krytycy tradycji peronizmu twierdzą, że rozdając bogactwa, zasiał ziarna późniejszych argentyńskich katastrof. Każdy człowiek ze społecznych dołów w Argentynie odpowie, że to Perón zbudował szkoły,

szpitale i ofiarował robotnikom najkorzystniejsze w świecie prawo pracy.

Peronizm przeorał argentyńskie społeczeństwo – jego strukturę i świadomość. Rozbudził społeczne aspiracje biednych, nowej klasy średniej, rozbudził konsumpcyjne apetyty, które nie wygasły przez następne pokolenia.

Dopiero Carlos Menem, nominalnie peronista – odsyłając państwo do lamusa dziejów, wyprzedając publiczną własność w prywatne ręce, każąc ludziom samym martwić się o swój los – postanowił wyrzucić tradycję Juana Perona na śmietnik historii.

Najpierw, chcąc mieć święty spokój z wojskowymi, Kościołem, a przede wszystkim z elitami finansowymi, które popierały zbrodniczą dyktaturę, Menem ułaskawił odpowiedzialnych za mordy, „zniknięcia" – cały koszmar epoki junty. Ten gest był brzemienny w skutki dla następnej dekady: ludzie odebrali decyzję Menema jako zapowiedź zasady, że prawo i sprawiedliwość w demokratycznej Argentynie nie obowiązują. Podniosły się protesty, ale nikt nie miał politycznej siły, ani dość woli, by przeciwstawić się Menemowi. Na eksperyment przystali i bogaci, i biedni, i średni. Nikt nie chciał nowego konfliktu – zbyt silna była pamięć o horrorze rządów wojskowych i wcześniejszej epoce społecznych wstrząsów, zamachów, porwań, szalejącej na ulicach nienawiści i przemocy.

A poza tym, na początku Menemowi szło dobrze, przynajmniej tak się wydawało. Inflacja zmalała niemal do zera (był czas, gdy była ujemna), wzrost gospodarczy – cztery i pół procent rocznie. Wystrzeliły korki szampanów, banki sypnęły obficie kredytami.

Ludzie chętnie uwierzyli w cudotwórstwo Menema. Zaczęli zadłużać się i ruszyli na zakupy. To, co widziałem w Argentynie w połowie lat dziewięćdziesiątych, w początkach drugiej kadencji Menema, było – jak mi opowiadano w Buenos – bladym refleksem tego, co się działo kilka lat wcześniej. Komentatorzy pisali o szale kupowania, zaciągania długów; o transie, o narkotycznym upojeniu.

Gospodarce nadawały ton wielkie korporacje. Początkowo traktowano to jako znak nieuniknionej globalizacji. Gdy zaczęły upadać małe krajowe firmy bez zdolności kredytowych, bez *know-how,* niezdolne do konkurencji z ponadnarodowymi koncernami, i gdy lokalni producenci potracili pracę, pojawiły się pierwsze wątpliwości: Czy to właściwa droga? Czy musimy wszystko importować? Czy nie jesteśmy w stanie produkować taniej?

Ubożały coraz większe grupy. Państwo nie miało pieniędzy na wydatki publiczne, bo coraz większa część jego dochodów szła na spłacanie rosnącego w zawrotnym tempie zadłużenia. Argentyna zaciągała ogromne kredyty. Argentyński publicysta Josemaria Pasquíni zilustrował tę sytuację historią opisaną przez Garcię Marqueza: bohaterka opowieści Candida Ereida prostytuuje się, żeby spłacić długi swej babci, jednak dług, zamiast maleć, ciągle rośnie.

Menem zostawił kraj z długiem kilkakrotnie większym niż ten, który odziedziczył. Po dziesięciu latach okazało się, że dobrobyt kupiono za pożyczki. Bezrobocie dotknęło co czwartego – niektórzy utrzymywali, że co trzeciego – pracującego. Upadła rodzima produkcja, Argentyna wszystko sprowadzała z zagranicy. Prawie połowa dochodu trafiała do wąskiej – szacowanej na mniej więcej dziesięć procent – elity. Nieskuteczność w ściąganiu podatków i gigantyczne defraudacje publicznych pieniędzy przez ludzi władzy wybiły dziurę w kasie państwowej. Menem zaczął łatać ją dotkliwym podatkiem VAT (dwadzieścia jeden procent) na wszelkie produkty, również te podstawowe. To uderzyło w domowe budżety milionów rodzin, doprowadziło do jeszcze większego zubożenia i rozwarstwienia.

Coraz więcej ludzi zaczęło zadawać pytanie: Czy demokracja i kapitalizm w stylu zachodnim to taki system, w którym elita władzy i biznesu ma nieustającą fiestę, pławi się w bogactwie, a reszta ledwo utrzymuje się na powierzchni życia?

Najgorszy przykład szedł z góry. Lista afer, skandali i żenujących zachowań byłego prezydenta jest tak długa, że aż nudna. Menem nie podróżuje bez osobistej fryzjerki. Menem funduje sobie operacje plastyczne. Menem przyjmuje prezent od włoskiego potentata: purpurowe ferrari. Menem ma romanse. Menem w świetle kamer telewizyjnych wyrzuca żonę ze swojej rezydencji. Szwagierkę Menema policja łapie z walizką dolarów, pochodzących z handlu kokainą (sprawa zostaje umorzona).

Nawet najsłynniejszy sędzia świata, Hiszpan Baltazar Garzón, wszczyna w pewnym momencie śledztwo przeciwko współpracownikom Menema zamieszanym w pranie dolarów z handlu narkotykami. Ciąg dalszy listy afer:

– Brat Menema podejrzany o związki z handlarzami bronią zostaje szefem prezydenckiego protokołu.

– Współpracownik Menema wyłudza łapówki od wielkiej amerykańskiej firmy. Menem zaprzecza. Amerykański ambasador demaskuje kłamstwa Menema.

– Szara eminencja, biznesmen-mafioso Alfredo Yabrán (prowadził z Menemem ciemne interesy) zleca zamordowanie fotografa, który zrobił mu zdjęcie. Menem kryje Yabrana, ten rzekomo ginie w pożarze, ale twarz jest nie do rozpoznania, a pogrzeb pospieszny, bez sekcji zwłok. W Buenos Aires panuje przekonanie, że mafioso żyje i ma się znakomicie. Mówi się o hucznych przyjęciach wyprawianych przez rzekomego nieboszczyka.

– Menem kończy w areszcie domowym za nielegalny szmugiel broni do Ekwadoru i Chorwacji, lecz sędzia Sądu Najwyższego, stary znajomy z rodzinnych stron uwalnia go od zarzutów.

– „New York Times” ogłasza rewelacje agenta irańskich służb: Menem wziął dziesięć milionów dolarów za ukręcenie głowy śledztwu w sprawie zamachu na siedzibę Towarzystwa Przyjaźni Żydowsko-Argentyńskiej, w który miał być zamieszany Teheran.

Występki Menema były wierzchołkiem wielkiej góry. Szacowano, że w okresie jego rządów skorumpowani politycy i urzędnicy zgarniali do kieszeni równowartość rocznej spłaty długu zagranicznego: kilka miliardów dolarów. Z wyjątkiem kilku płotek w ciągu całej dekady na korupcji nie złapano nikogo. Przekupstwa stały się naturalną częścią systemu. Z regulatora społecznej równowagi państwo przekształciło się w kanał dostępu elity władzy do wielkich pieniędzy i aparat obsługi klienteli politycznej rządzących.

Fujimori i Montesinos

Nie wiem, czy to sugestywny obraz literacki zawładnął moją wyobraźnią, ale Limę zapamiętałem dokładnie tak, ją opisał Mario Vargas Llosa w *Historii Alejandra Mayty*. „Brzydkie są domy, imitacje imitacji, które strach zdławił kratami, murami, syrenami alarmów i reflektorami. Anteny telewizyjne układają się w widmowy las. Brzydkie są śmieci piętrzące się za krawężnikiem bulwaru i przewalające po skalistym zboczu…”. Śmieci, nieznośny ich smród, bezpańskie psy, bezdomni starcy i bezdomne dzieci grzebią w śmietnikach, żeby znaleźć coś do jedzenia. Vargas Llosa opisywał Limę początku lat osiemdziesiątych. Nie wiem, czy blisko dwie dekady później miasto wyglądało gorzej czy lepiej, lecz

tamten opis i obrazy, które widziałem, zlewają mi się w jedno. Nie umiem rozstrzygnąć, czy na Limę patrzyłem oczami wielkiego peruwiańskiego pisarza, czy na odwrót – przy ponownej lekturze historii Mayty odnalazłem potwierdzenie zapamiętanych obrazów.

Peru było już po dekadzie kuracji neoliberalnej, którą zaordynował pewien agronom, przewodniczący rady rektorów wyższych uczelni – Alberto Fujimori. Scenariusz taki sam jak w Meksyku, Argentynie, Brazylii. Najpierw było etatystyczne państwo, które toczyła recesja i pustoszyła inflacja. Potem – do władzy doszedł prezydent, który obiecał wszystko, co ludzie chcieli usłyszeć. Zaaplikował twardą politykę fiskalną, sprywatyzował państwowe firmy, czemu towarzyszyły grube oszustwa, odchudził państwo, zrezygnował z aktywnej polityki społecznej (zagraniczni korespondenci nazwali to „Fujiszokiem"). Finał: rosnąca recesja, wysokie bezrobocie, społeczeństwo rozdarte bardziej niż przed szokową kuracją; i jeszcze ucieczka przywódcy… Wszystko to było typowe, potwierdzało mechanizmy znane z innych krajów. Nietypowe było coś innego.

Gdy przyjechałem do Limy, czołówki gazet obwieszczały o kolejnym odkryciu sędziego Baltazara Garzona, który ścigał po świecie latynoamerykańskich zbrodniarzy i oszustów. Garzón zdobył dowód na transfer ponad sześciu i pół miliona dolarów z Hiszpanii do banku w Puerto Rico. Była to łapówka pewnej hiszpańskiej korporacji dla byłego już wówczas prezydenta Alberta Fujimoriego i jego zausznika, „Rasputina", Vladimira Montesinosa. Ci dwaj ludzie ustanowili w Peru zupełnie wyjątkową dyktaturę, opartą na wojsku i służbach specjalnych, która przez dziesięć lat zdołała zachowywać pozory rządów reformatorskich i demokratycznych.

Dzieje Peru lat dziewięćdziesiątych to pouczająca lekcja, jak słuszne cele mogą ulegać w pewnych okolicznościach zwyrodnieniu. Na początku kadencji Fujimoriego priorytetem jego rządu było rozbicie maoistowskiej *guerrilli* Świetlisty Szlak. Brutalnej partyzantce, która od dziesięciu lat pustoszyła kraj – organizowała zamachy w miastach, terroryzowała andyjskie wsie – prezydent wypowiedział otwartą wojnę. Miał pełne poparcie Stanów Zjednoczonych, które wyszkoliły i uzbroiły specjalną jednostkę do walki ze Szlakiem.

Partyzanci Szlaku stanowili najbardziej ponury wyjątek na mapie ruchów

partyzanckich Ameryki Łacińskiej. Na ustach mieli prawa ludu, lecz to lud – biedni andyjscy chłopi – padał często ofiarą ich działań zbrojnych.

Celami ataków Świetlistego Szlaku byli żołnierze, policjanci, znienawidzeni urzędnicy, wielkie korporacje, banki, lecz również wioski i wspólnoty chłopskie, które nie uznawały zwierzchnictwa partyzantów. Żołnierze wysyłani przez rząd do walki z *guerrillą* traktowali niepokornych chłopów tak samo jak Szlak – ogniem i prochem. W wojnie domowej, która rozdzierała Peru w latach osiemdziesiątych i na początku następnego dziesięciolecia zginęło – jak ustaliła komisja prawdy i pojednania – prawie siedemdziesiąt tysięcy ludzi.

Fujimori przyznał wojsku i rządowym siłom specjalnym nadzwyczajne uprawnienia. Ogromny wysiłek państwa i pieniądze poszły na wojnę ze Szlakiem i w ciągu zaledwie dwóch-trzech lat rządów Fujimori dokonał tego, czego nie byli w stanie uczynić poprzednicy: rozbił partyzantkę, czym zaskarbił sobie wdzięczność dużej części mieszkańców Peru.

W takiej sytuacji rozpędzenie parlamentu, przeżartego korupcją i utrudniającego – jak uzasadniał Fujimori – skuteczną walkę z rebeliantami, a także zawieszenie instytucji wymiaru sprawiedliwości, które „w sposób niepojęty uwalniały narkohandlarzy i terrorystów", nie wzbudziły protestu szerszej opinii w kraju. Fundament dyktatury został ustanowiony: był *caudillo,* wierne mu siły mundurowe i wdzięczne wodzowi masy. Epoka upadających dyktatur, zarówno w Ameryce Łacińskiej, jak i poza nią, nie sprzyjała jednak ustanawianiu reżimu autorytarnego. To już nie były czasy zimnej wojny, Fujimori nie mógł liczyć na to, że zamordyzm zyska przyjazne oparcie w Waszyngtonie. Dlatego szybko – nie bez presji ze strony wielkiego sąsiada – ogłosił, że zawieszenie demokracji w Peru jest czasowe. Główny zausznik prezydenta, Vladimiro Montesinos, zadbał o skonstruowanie systemu, który był dyktaturą zachowującą dla świata pozory demokracji.

Początkowo pozory nie były konieczne: gdy Świetlisty Szlak został rozbity, a inflacja opanowana, ludzie zagłosowali chętnie na zwolenników Fujimoriego w wyborach do przywróconego parlamentu i chętnie wybrali prezydenta-wybawcę na kolejną pięcioletnią kadencję. Lecz Fujimori i Montesinos mieli dalekosiężne plany – chcieli rządzić przez następne dwie–trzy dekady. Tymczasem sukces gospodarczy zaczął ukazywać swoje drugie oblicze: pojawiło się wysokie bezrobocie, spadły realne zarobki, objawiła się bieda nowego typu. Dla zachowania władzy nie wystarczyło już naciąganie przepisów konstytucji,

umożliwiające wybór na kolejną – trzecią – kadencję. Długowieczne rządy trzeba było zagwarantować innymi metodami.

Zadanie to podjął Montesinos, były kapitan, skazany przed laty za sprzedanie CIA tajemnic wojskowych o zakupie przez Peru sowieckiej broni, ceniony agent amerykańskich służb wywiadowczych, później adwokat, który bronił handlarzy narkotyków z Peru i sąsiedniej Kolumbii. Swojego przyszłego pryncypała wybawił z kłopotów w czasie kampanii wyborczej. Fujimoriego podejrzewano o nieuczciwości podatkowe; Montesinos załatwił, że świadkowie wycofali zeznania, śledztwo umorzono, kandydat okazał się czysty jak łza.

Po wygranych wyborach prezydent odwdzięczył się mecenasowi – mianował go szefem Służby Narodowego Wywiadu. Montesinos, mając do dyspozycji instrumentarium tajnych służb, zastraszył i skorumpował całą elitę polityczną kraju.

Już po upadku reżimu, w domu Montesinosa odkryto tajne archiwum kaset video – ponad dwa tysiące taśm – na których peruwiański „Rasputin" nagrywał spotkania z politykami, biznesmenami, wojskowymi, dziennikarzami; w czasie spotkań korumpował odwiedzających go gości. Emisja tych nagrań w telewizji (cowieczorna telenowela!) była szokiem dla okłamywanego przez dziesięć lat społeczeństwa. Nawet zagorzali przeciwnicy reżimu siedzieli w kieszeni u Montesinosa.

Duet Fujimori-Montesinos rządził za pomocą fałszerstw, szantaży, tortur, skrytobójstw. Śledztwa w sprawie niewyjaśnionych morderstw umarzano. Oponenci – żeby nie podzielić losu ofiar reżimu – uciekali z kraju. Na nieuczciwych prywatyzacjach tuczyli się członkowie rządowej mafii, a sam Montesinos nie wahał się czerpać korzyści z handlu narkotykami, który oficjalnie, w ścisłej współpracy z amerykańską DEA, zwalczał. Uwikłanie Montesinosa w narkobiznes, szmugiel broni z Bliskiego Wschodu dla kolumbijskiej partyzantki FARC, którą rzekomo pomagał zwalczać, wprawiły w osłupienie polityków w Waszyngtonie. Przez cały ten czas Montesinos współpracował z CIA. Brytyjski „Financial Times" twierdził, że niemal do końca agencja nie obcięła mu funduszy.

Reżim Fujimoriego-Montesinosa upadł od jednej kasety wideo: miliony Peruwiańczyków zobaczyły w telewizji, jak Montesinos przekupywał jednego z kongresmanów. Nagranie było kostką domina… Fujimori chciał zdymisjonować

Montesinosa, ale ten zagroził zamachem stanu („Żaden gnojek z rządu nie będzie mi mówił, co mam robić!" – krzyczał do prezydenta). Fujimori zrozumiał, kto rządził w Peru naprawdę. Nie mając innej broni w walce z „Rasputinem", Fujimori rozwiązał tajne służby i ogłosił wybory, w których sam miał nie kandydować. Następnie udał się w podróż do Japonii, ojczyzny swych rodziców, gdzie poprosił o azyl polityczny.

Montesinos zniknął. Amerykanie załatwili mu azyl w Panamie, lecz Panama nie chciała więcej służyć za przechowalnię bandziorów i pozbyła się kłopotliwego gościa. Montesinos wrócił do Peru, co wywołało z jednej strony – strach, z drugiej – powszechne wzburzenie. l znów musiał uciekać. Po kolejnych przystankach ukrył się w biednej dzielnicy Caracas, w Wenezueli. Opowiadano niestworzone historie o jego operacjach plastycznych, tajnych spiskach, kolejnych wcieleniach. Odgrażał się z wygnania, że wróci i zemści się na wrogach. Schwytano go w Wenezueli, odesłano do Peru, a tam – zasiadł na ławie oskarżonych.

Rządy w Limie objął demokrata Alejandro Toledo, pierwszy w historii Peru prezydent o indiańskich korzeniach. Dwa lata później przeczytałem w lnternecie, że nowemu prezydentowi, który utrzymał gospodarczy model przyjęty przez poprzednika, zarzucono uwikłanie w korupcję…

„Opadające ku morzu zbocze zmieniono w jeden wielki śmietnik. Przypominam sobie, że przed rokiem zacząłem opowiadać tę historię tak samo, jak ją kończę. Opisując śmieci, w jakich pogrążają się wszystkie dzielnice stolicy Peru" – kończy swoją opowieść Vargas Llosa. Widowisko nędzy – pisze – było kiedyś ograniczone do slumsów. Potem rozszerzyło się na centrum Limy, wtargnęło gwałtownie do najbardziej luksusowych dzielnic – Miraflores, Barranco, San lsidro.

„Kto mieszka w Limie, musi się przyzwyczaić do nędzy i brudu albo zwariować, albo się zabić".

Kto mieszka w Sao Paulo, Bogocie, Meksyku, Caracas…

Miniatura XV
(„idiota latynoamerykański”)

W połowie lat dziewięćdziesiątych popularność w liberalnych elitach Ameryki Łacińskiej zyskała książka *Manual del perfecto idiota latinoamericano* (Podręcznik doskonałego idioty latynoamerykańskiego) Carlosa Alberta Montanera, Plinia Apuleya Mendozy i Alvara Vargasa Llosy – syna sławnego pisarza. Pamflet, promowany przez Vargasa Llosę-ojca, trafnie obnażał niektóre stereotypy i anachronizmy lewicy w Ameryce Łacińskiej. Książka zrównywała jednak do poziomu „idiotyzmu” również zasadne krytyki społeczno-gospodarczego modelu, który zaszczepiano kontynentowi w owej dekadzie. Stała się propagandową obroną neoliberalizmu, który – jak miało się okazać – przyniósł mieszkańcom regionu więcej rozczarowań niż nadziei. Skandale kryminalne i finansowe prezydentów Menema, Fujimoriego, Salinasa, Collora ukazują, w jak wielu kwestiach „idioci” – to znaczy krytycy latynoamerykańskiego reaganizmu – mieli rację; wskazywali prawdziwe dramaty ludzi, dotykali prawdziwych słabości systemu.

Gdy spotkałem w Warszawie Carlosa Fuentesa, spytałem, co sądzi o „podręczniku idioty”. Machnął ręką: „Szkoda o tym gadać, ten pamflet to anachronizm, spadek po zimnej wojnie”.

Myślenie meksykańskiego pisarza nie zadowoli ani „idiotów”, ani ich przeciwników. Fuentes zdejmuje stare, ideologiczne okulary z czasów walki komunizmu i antykomunizmu, i przygląda się światu na nowo.

Praktyka neoliberalna w Ameryce Łacińskiej – może bardziej dobitnie niż gdziekolwiek indziej – ukazała, jak dramatyczne rozwarstwienie społeczeństw

na garstkę zwycięzców i masy przegranych generuje ów model społeczno-gospodarczej inżynierii. W regionie, który za sprawą burzliwej historii od wieków nosi brzemię gwałtu i korupcji, w dobie neoliberalnej narodziły się megakorupcja i megagwałt na skalę nawet tutaj rzadko wcześniej spotykaną.

W zestawieniu z tradycją Amerykanów z Północy, którzy stworzyli i wyeksportowali neoliberalną modę, tradycja krajów Ameryki Łacińskiej to świat na wspak. Jankesi mają dystans do państwa, państwo „Stany Zjednoczone" powstało, bo osadnicy zapragnęli w pewnym momencie, żeby ich pracę, dorobek i życie chroniły sądy i policja. Najpierw była wspólnota i purytańskie społeczeństwo – państwo pojawiło się na końcu. Emigrant, który osiedlał się w Ameryce Północnej był mieszczaninem, albo chłopskim osadnikiem. Wydzierał ziemię naturze i tubylcom, uprawiał ją, żył z pracy własnych rąk. W krajach podbitych przez Hiszpanów i Portugalczyków było inaczej. Emigrant, który osiedlał się w Ameryce Łacińskiej, przyjeżdżał przeważnie z nadania europejskiej korony. Przyjeżdżał rządzić, nie pracować. W Ameryce Łacińskiej to elita władzy kolonialnego państwa organizowała wszystko. To ona zbuntowała się przeciwko europejskim koronom, to ona była architektem życia społecznego. Państwo rozdawało przywileje albo je odbierało. Broniło albo gwałciło. Organizowało ludzi w organizacje społeczne, związki, partie polityczne. Było pracodawcą, niekiedy filantropem. Panem, patronem. Zawsze w sercu wszystkiego.

Wycofanie się państwa z dotychczasowych funkcji stanowiło odwrót od kilkuwiekowej tradycji, najpierw latynoamerykańskiego państwa kolonialnego, potem niepodległego, etatystycznego, populistycznego. Nie zmieniło się jedno: grabież bogactw kraju przez elitę władzy. Ta kolonialna i postkolonialna tradycja traktowania państwa jako łupu przetrwała, by nie rzec: umocniła się. Dlatego tak wielu mieszkańców Ameryki Łacińskiej traktuje demokrację i rynek – idee drogie ludziom z Europy i Ameryki Północnej – podejrzliwie, a nawet utożsamia je z niesprawiedliwością, przyzwoleniem na gwałty, oszustwami, społecznym apartheidem.

W nas, z Europy Wschodniej, po nauczce realnego socjalizmu, zawsze będzie istniała pokusa, żeby przyczyn porażki neoliberalizmu dopatrywać się w niedostatku liberalnych reguł, zacofaniu, niedostatecznej pracowitości. Albo pokusa usprawiedliwienia: model był dobry, tylko zdeprawowani ludzie go

zepsuli. Co jednak odpowiedzieć tym Latynoamerykanom, którzy uważają, że nasz, wschodnioeuropejski socjalizm był w intencjach dobry, tylko biurokraci go popsuli, wypaczyli, rzeczywistość nie dorosła do idei?

Nie ma innego socjalizmu niż socjalizm realny. Nie ma innego kapitalizmu niż kapitalizm realny.

Opowieści Rio de Janeiro

Już w pierwszej scenie był trup.

Autobus zwolnił, po chwili łagodnie zahamował. Za oknem zamieszanie, policyjny radiowóz, przechodnie spoglądający w jedno miejsce i pospiesznie odwracający głowy. Gdy autobus znowu ruszył, zobaczyłem wielką kałużę ciemnej czerwieni wokół głowy leżącego człowieka. Obok dwóch policjantów. Przez tę jedną chwilę, gdy mijaliśmy miejsce zbrodni, nie zdołałem zarejestrować, czy był młody, czy stary, czarny czy biały. Był chyba dobrze ubrany. Co pamiętam, to słoneczne przedpołudnie, środek miasta, dobrą dzielnicę. Zastrzelony leżał na chodniku przed jakimś eleganckim biurowcem, może hotelem.

Tego samego dnia, późnym wieczorem czekala mnie powtórka z ćwiczonego przez szkolne lata sprintu na sześćdziesiąt metrów. Trzech wysokich, ciemnoskórych młodzieńców było jakieś pięć kroków za mną. To była scenka jak z filmów dokumentalnych o miejskiej przemocy w Brazylii: ukryta kamera policyjna obserwuje młodocianych ulicznych złodziei, którzy wyławiają ofiarę spośród przechodniów. Pistolet do głowy, nóż do brzucha, wywracanie kieszeni, ściąganie obrączek i zegarków. Gdy ofiara ma pecha albo stawia opór – ginie. Gdy oddaje fanty bez walki, ma wszelkie szanse, żeby przeżyć. Łaskawe prawo miejskiej dżungli.

Do dżungli amazońskiej Brazylijczycy jeżdżą łowić piranie i polować na krokodyle. W Rio de Janeiro, w Sao Paulo sami są łowną zwierzyną. Poruszanie się po dżungli wymaga wiedzy, podwójnej uwagi, czworga oczu, sześciu zmysłów. W dżungli amazońskiej trzeba wiedzieć, jaką wodę można wypić,

a jaka w jednej chwili zabija. Trzeba znać zapach kobry, kolor i kształt jadowitego pająka, by uniknąć śmiertelnego spotkania. W dżungli miejskiej jest podobnie. Są miejsca i spotkania, z których nie wychodzi się żywym.

Na co dzień człowiek przemierza zwyczajne szlaki – do pracy, do sklepu, po dzieci do szkoły – również niebezpieczne, tyle że wie, jak się po nich poruszać. Wie, na której ulicy przesiadują bezdomni mali nożownicy, zdolni w kilka sekund oskubać ofiarę. Wie, przy której knajpie była ostatnio strzelanina, i który skwer kontrolują roznosiciele białego proszku; wie, jak z daleka rozpoznać czającego się drapieżnika, a w razie niebezpieczeństwa potrafi znaleźć kryjówkę. Wie, że nie wolno rozglądać się, ani wahać jak zabłąkany podróżnik. W miejskiej dżungli chodzi się krokiem pewnym, choć nigdy zbyt szybkim i nigdy nerwowym.

Gdybym tamtego wieczoru przed laty beztrosko spacerował, podziwiając nocne uroki alei Atlantyckiej, odegrałbym rolę ofiary w dobrze znanym scenariuszu ulicznego polowania. Ale zbyt dobrze pamiętałem scenę sprzed południa, przestrogi przyjaciół i sugestywną metaforę: miejska dżungla. W Rio to ja jestem zwierzyną. Miałem czworo oczu i w porę zauważyłem myśliwych. Uciekłem. Tamci musieli się zasadzić na kogoś innego.

Opowieść o „złotych latach”

Czarni w wypranych łachmanach komponują wesołe melodie

W Sao Paulo można przejeżdżać „normalną” dzielnicą i niespodziewanie znaleźć się w faveli. Tam nędzne baraki mogą wyrosnąć gdziekolwiek, nagle przed oknem. W Rio favele są przyczepione do wzgórz. To wzgórza, wcinające się w morze albo malujące się w głębi krajobrazu niczym tło, wytyczają granice dwóch światów.

W dawnych dobrych czasach chodziło się na wzgórza bawić, tańczyć, pić wino. Wtedy, w latach pięćdziesiątych, bandyci byli marginesem. Zresztą starzy donowie, sprzed epoki narkotykowej hossy, byli mniej gwałtowni i mniej okrutni niż są dzisiaj dzieciaki z bronią.

„Stare dobre czasy”! Złote lata! Można było iść na plażę i nikt cię nie pobił, nie zgwałcił, nie zabił. Można było wałęsać się nocą po alei Atlantyckiej, wzdłuż najdłuższej plaży świata, myśląc tylko o trzymanej za rękę dziewczynie. Rio wydawało się rajem. Była bieda, nie było nędzy. Między ludźmi z obu części miasta istniały przyjaźń, gościnność, żar. „Kto żyje na wzgórzach, żyje bliżej nieba”, powtarzano słowa popularnej w latach czterdziestych piosenki Herivelto

Martinsa.

W grudniu pięćdziesiątego roku gazeta codzienna „Jornal do Brasil” naliczyła w Rio cztery napady w ciągu całego miesiąca.

Stefan Zweig, który w latach czterdziestych przyglądał się favelom w Rio, napisał potem, że nie spotkał tam ani jednego smutnego człowieka. Podobnie Claude Lévi-Strauss: „Nędzarze byli uczepieni na skałach w favelach, gdzie czarni, odziani w czysto wyprane łachmany, komponowali na gitarach wesołe melodie, które w karnawale miały wraz z nimi zejść z wysokości i opanować miasto”.

Złote lata Rio de Janeiro świat zna jako epokę artystycznej bohemy – Toma Jobima, Viniciusa Moraesa, Astrud i Joáo Gilberta. *Dziewczyna z Ipanemy, Samba na jedną nutę, Corcovado.* W „starych dobrych czasach” słynne były wieczory u pisarza Anibala Machado, który każdej niedzieli zapraszał na „caipirinhę” (wódkę z sokiem z limonek, cukrem i lodem). Przez dom przetaczały się tłumy znakomitości, przyszli nobliści: Albert Camus, Pablo Neruda… Drzwi były zawsze otwarte.

Pewnej nocy w pięćdziesiątym dziewiątym na imprezę zawitało pięciu elegancko ubranych i dobrze wychowanych młodzieńców, którzy ukradkiem wynieśli drogocenne przedmioty. Maniery złodziei były jeszcze staroświeckie, lecz bezczelność już nowoczesna. Ów incydent był symbolicznym zwiastunem nadejścia nowych, gorszych czasów. Zaczynała się wielka wędrówka z interioru do miast. Wkrótce miała nadejść polityczna przemoc dyktatury, a potem w całym mieście ktoś rozsypał biały proszek.

Opowieść pełna krwi

Jane dos Santos umiera, przyciskając do piersi Biblię

Dwudziestego trzeciego lipca dziewięćdziesiątego trzeciego przed monumentalny, XVIII-wieczny kościół Candelaria w centrum Rio zajechały dwa nieoznakowane samochody. Przed wejściem do kościoła na prześcieradłach z kartonu spali jak zwykle chłopcy z pobliskich ulic. Z samochodów wysiadło sześciu mężczyzn. Obudzili bezdomnych, wszczęli sprzeczkę.

Rano zakrwawione ciała pięciu chłopców leżały porozrzucane przed kościołem. Zwłoki trzech innych – przed Muzeum Sztuki Współczesnej, jakieś

półtora kilometra dalej. Wszyscy mieli roztrzaskane głowy. Egzekutorzy strzelali precyzyjnie i z bliska.

Tak wygląda „czyszczenie" miasta ze „śmieci". Policjanci po godzinach – na zamówienie mieszkańców z okolicy, drobnych sprzedawców, z własnej inicjatywy, z zemsty – wymierzają „sprawiedliwość" drobnym, głodnym złodziejom. Jak zginie niezłodziej… jego pech.

Miesiąc później, w niedzielę dwudziestego ósmego sierpnia, policyjny szwadron śmierci wkroczył do faveli Vigario Geral w północnym Rio. Zaczęło się o jedenastej w nocy na placyku Corsega – u podnóża góry, przed wejściem do faveli. Tu policjanci ranili przypadkową dziewczynę i zastrzelili jej mężczyznę. Nieco dalej, na placu Catole do Rocha, podpalili pięć kiosków z napojami i hot-dogami. Potem poszli na wzgórze.

O 23.45 zajechali przed bar, gdzie ośmioro *favelados* piło zdrowie brazylijskiej reprezentacji futbolowej, która tego dnia pokonała Boliwię. Policjanci zażądali dokumentów. Gdy je dostali, niespodziewanie otworzyli ogień. Padło siedem trupów. Następnym celem był domek naprzeciwko baru. Mieszkała w nim rodzina Cardoso dos Santos, wyznawców zielonoświątkowego Kościoła Zgromadzenia Bożego. Jeszcze nie wszyscy spali, gdy „stróże prawa" wtargnęli do domu. Jane dos Santos zmarła, przyciskając do piersi Biblię. Oprócz niej policjanci zamordowali siedem osób. Piątka dzieci Jane i Gilberto zdołała uciec. Pościg w labiryncie faveli, nocą, nie miał szans.

W tym samym czasie w innej części osiedla drugie komando rozstrzeliwało pięciu innych jego mieszkańców.

Żniwo tamtej nocy: dwudziestu jeden zabitych.

Wkrótce wyszło na jaw, że eskapada śmierci była zemstą za zabójstwo czterech policjantów. Zginęli dwadzieścia cztery godziny wcześniej na placyku Catole do Rocha – tym samym, na którym mściciele spalili budki z hot-dogami. Tamci czterej zaczaili się na transport kokainy z Sao Paulo. Ale to narkohandlarze byli górą.

Policjanci nie zgłosili akcji w centrali. To znaczy: nie mieli zamiaru nikogo aresztować. Chcieli haraczu.

Żadna z dwudziestu jeden ofiar policyjnego komanda śmierci nie miała związku z narkotykowym półświatkiem.

Kilka dni później sprzed kościoła Candelaria w centrum Rio de Janeiro ruszył marsz przeciwko przemocy. Demonstranci szli trzydzieści kilometrów do

Vigario Geral. Na czele pochodu – mieszkańcy faveli. Tego samego dnia w Centrum Biznesu zebrała się grupa ludzi z „lepszej" części miasta – intelektualistów, biznesmenów, wydawców prasy. Jedni o drugich nic nie wiedzieli. Wiedzieli tylko, że trzeba w końcu coś zrobić.

Pierwsza opowieść o Viva Rio

Całe miasto ubiera się na biało, w oknach białe flagi,
na samochodach białe wstążki

– Co tu się w ogóle dzieje? W Rio nie daje się już żyć.

Rubem César Fernandes opowiada ze spokojem człowieka, który przeszedł i widział wszystko. Długie siwe włosy zaczesane do tyłu, opalona twarz, słuszny wzrost, po pięćdziesiątce. Kobiety mówią, że jest piękny. Mężczyźni – że ma charyzmę przywódcy.

W latach sześćdziesiątych jako młody komunista uciekł przed więzieniem i torturami do komunistycznego raju na ziemi: Polski. W roku sześćdziesiątym ósmym jako student Uniwersytetu Warszawskiego wyleczył się z komunizmu na zawsze. I znów musiał uciekać – tym razem do Ameryki. Filozof i antropolog, zrobił doktorat na uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku. Dużo podróżował, rozchwytywany przez uczelnie na całym świecie. Ostatnio zrobił się „bardzo z Rio" i siedzi na miejscu. Szefuje Instytutowi Badań nad Religiami, jest liderem największego w Brazylii ruchu przeciw przemocy, Viva Rio (Niech żyje Rio).

W siedzibie Viva Rio na stromym wzgórzu w dobrej dzielnicy Gloria – od rana ruch. Co chwila przychodzą jacyś ludzie z miasta, po ubraniach widać, że biedota. Bez przerwy dzwonią telefony, bieganina. Na razie nie mam pojęcia, co tu się dzieje. Tylko gazetka ścienna, zdradza o co im chodzi. Na plakacie hit sezonu: *t-shirt* z czerwonym kwiatem i hasłem: „Rio, porzuć tę broń", i podpisem: „Popieram prawo, które zabrania sprzedaży broni w Brazylii".

– Po Candelarii i Vigario Geral nie mieliśmy pojęcia, co robić – opowiada Rubem César. – W mieście nie dawało się już żyć. A my chcieliśmy żyć. Zastanawialiśmy się, jak nazwać ruch protestu przeciw śmierci i przemocy w Rio. Ktoś powiedział: Niech żyje Rio!

Siedemnastego grudnia dziewięćdziesiątego trzeciego roku pierwsza akcja Viva Rio: „Zatrzymać się, żeby zacząć od nowa". Całe miasto ubiera się na

biało, w oknach białe flagi, na samochodach białe wstążki. W południe wszyscy stają w milczeniu na dwie minuty – w biurze, na ulicy, w samochodzie.

– Niesamowite, nikt się tego nie spodziewał: całe Rio sparaliżowane! – Rubem César nie może powstrzymać ekscytacji, mimo że od tamtego dnia minęły lata. – Mieliśmy dobry start. Najpierw trzeba było uprzytomnić sobie rzecz najważniejszą: wszyscy jesteśmy zainfekowani przemocą, wszyscy jesteśmy gwałtowni.

Viva Rio udało się przeforsować w lokalnym parlamencie prawo zabraniające sprzedaży broni w stanie Rio de Janeiro. Lobby producentów broni złożyło za pośrednictwem swoich polityków skargę w Sądzie Najwyższym. – Czekamy na decyzję. Dziś Rio, jutro cała Brazylia!

Zasada naczelna: przedrzeć się do świata przemocy bez przemocy, bez ducha wojny; walczyć z przemocą – nie przemocą.

Zuenir Ventura, pisarz i wpływowy komentator „Jornal do Brasil", współzałożyciel ruchu, opisuje życie w Rio jako rodzaj wojny domowej. Ale innej niż konflikty, które znamy z podręczników historii. – To wojna ponowoczesna. Od sztuki wojennej zależy tu tyle samo, co od prawa i ekonomii. Grupy rządzące, czyli bogaci, nie dostrzegają, że w razie konfrontacji „klasy niebezpieczne", czyli nędzarze, znajdą się w strategicznie lepszym położeniu niż barbarzyńcy, którzy w piątym wieku spustoszyli Rzym. Nasi „barbarzyńcy" są już w murach miasta, między nami, wszędzie, a ich oddziały mają nowoczesną broń i świetne pozycje strzeleckie na wzgórzach.

Zuenir i Rubem uważają, że przemoc w Rio można zdusić tylko w jeden sposób: zasypując przepaść między „barbarzyńcami" i „Rzymianami". Robota na pokolenia.

„Rzymianie" z Viva Rio zabrali się do zasypywania przepaści. Zebrali pieniądze od biznesmenów i władz miasta. Zaczęli wyrąbywać ścieżki, które są dla wielu jedyną szansą przedarcia się przez favele ku miastu, bez noża i pistoletu. „Barbarzyńcy", którzy nigdy nie chodzili do szkoły albo szybko ją porzucili, mogą teraz ukończyć podstawówkę i liceum na kilkunastomiesięcznych telekursach. Dla wielu to pierwsza szansa, jaką dostali w życiu. Maltretowana żona, zamiast iść po opieszałą sprawiedliwość do sądu albo po okrutną sprawiedliwość do narkotykowego dona, może pójść do poradni prawno-mediacyjnej Viva Rio, gdzie dobrzy „Rzymianie" przygotują ugodę lub separację z mężem. Mali przedsiębiorcy z faveli mogą dostać tani kredyt.

Następna ścieżka do wyrąbania to ubezpieczenia na życie, od wypadku i pogrzebowe; ze zdrowotnymi będzie najtrudniej, są bardzo drogie.

– Chcesz zobaczyć, o czym mowa? – spytał mnie któryś ze współpracowników Rubema Cesara. – Chcesz zobaczyć, jak żyją „barbarzyńcy”?

Pojechałem do Maré.

Opowieści „barbarzyńców”

„Wykluczony” musi przeżyć dzień za jednego dolara

Zjechaliśmy z autostrady prowadzącej do międzynarodowego lotniska na Wyspie Gubernatorów. Widok za oknami samochodu zaczynał się psuć. Jeszcze przed chwilą błękit morza, zieleń palm, świecąca jasność piasku. A teraz – coraz brudniejsze uliczki, obdrapane budynki, coraz więcej obdartych dzieci.

Zmiana, choć szokująca, następowała łagodnie, bo w Rio granica między światem dobrych dzielnic a światem nędzy jest nieostra. Czasem favele, tak jak Maré, są zbudowane u podnóża wzgórz, a od rajskich widoków bogatych dzielnic oddziela je bufor gorszych, choć jeszcze nie przerażająco nędznych osiedli. Nim człowiek trafi do piekieł, zdąży się oswoić z brzydotą, brudem, słodkawym odorem.

Miałem spocone i, mimo upału, zimne dłonie. Wiedziałem, że obcemu nie wolno wejść do faveli. – Jesteś z nami – uspokajał w samochodzie Eucrezio, młody nauczyciel z Viva Rio, filozof, miłośnik Heideggera.

Obcy w faveli. Obcy to szpieg policji albo konkurencyjnego gangu. To intruz, który przyszedł węszyć, i któremu trzeba uciąć nos.

W Maré rządzi Comando Vermelho (Czerwone Komando), jeden z dwóch największych gangów narkotykowych w Rio. Jego szef, Ue, wydaje rozkazy zza krat więzienia przez telefon komórkowy. To Comando Vermelho decyduje, czy nauczyciele z Viva Rio będą prowadzić kursy czy nie. Gdy w Maré trwała wojna między gangami, lekcje zostały odwołane. To gangsterzy, choć nie pytani, zadecydują, czy będę mógł spokojnie zobaczyć, jak żyją „barbarzyńcy”. Przez przypadek mogę być świadkiem czegoś, czego widzieć nie powinienem. A wtedy… lepiej o tym nie myśleć.

Wjechaliśmy na teren „wroga”. Spiekota i kurz. Droga bez asfaltu. Przepisy drogowe nie są tu znane: ktoś jedzie pod prąd, przejście dla pieszych jest wszędzie, po „szosie” biegają rozkrzyczane i uśmiechnięte dzieciaki. Nie

zauważyłem wśród nich ani jednego białego. Pierwsze kilkaset metrów nie przypomina tradycyjnej faveli. Sklepiki, małe warsztaty – wszystko szare, pokryte smugami spalin i kurzem. Można pomyśleć, że to przedmieście bardzo ubogiego miasteczka.

Nieco dalej przechwytuje nas Jorge. Mulat, około czterdziestki, z podejrzliwym spojrzeniem, raczej sympatyczny. Jest liderem stowarzyszenia mieszkańców Maré. – Ze mną jesteś bezpieczny. Chodź, pokażę ci, jak tu żyjemy.

Z „ulicy" niewiele widać. Domy „barbarzyńców" są jakby wstydliwie oddalone od centrum. Zbite deski i kartony pokryte blachą albo papą. Podłogą jest klepisko. Łóżka i naczynia wyciągnięte ze śmietnika. Blaszana miska do mycia. Odwiedziłem kilka domów – wszystkie takie same. Tworzą rzędy baraków, między którymi prowadzi najwyżej dwumetrowa ścieżka. Z lotu ptaka wyglądałyby jak obóz z II wojny światowej. Jeden „dom" przy drugim, ze wspólnymi ściankami.

Mieszkając w bloku albo kamienicy, można przez całe życie nie wiedzieć nic o swoich sąsiadach: kim są, gdzie pracują, czy są szczęśliwi. Tu wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. Zakaszlesz czy pokłócisz się z żoną, słyszą to w czwartym „domu". Tak samo w nocy – gdy przychodzi czas na miłość. W Maré nie ma miejsca na prywatność, intymność. Matka, która wstaje o piątej rano do pracy, zostawia małe dzieci bez strachu, bo sąsiedzi przypilnują. Geografia przestrzeni rodzi między tymi ludźmi solidarność, braterstwo, wspólnotę. Ale i agresję, nienawiść, przemoc.

Zapytałem Jorge o Comando Vermelho, wojny gangów, o to, jak żyć wspólnie z bandytami. – Handel narkotykami? Tu nie ma. Wojny? Słyszałem, że były, ale teraz spokój.

Jorge przedstawił mnie Marcusowi. Dwadzieścia cztery lata, niepełne trzy klasy, sprzedaje soki stojącym na światłach kierowcom. – Narkotyki? Przemoc? Nie wiem, nie słyszałem.

Takich rozmów odbyłem jeszcze kilka. Eucrezio z Viva Rio objaśnił mi później to połykanie języka: – Ty wpadłeś tu na chwilę, oni zostaną. Wiesz, co by się stało, gdyby ktoś doniósł, o czym ci opowiadają?

Ktoś zawołał Jorge. Zostałem sam obok baraku Everalda. Everaldo jest czarny, ma dwadzieścia cztery lata. Familiarna atmosfera, przed „domem" biegają dzieci, trójka z nich jego. Żona, mama, ciotki – wszystkie gorąco witają

przybysza z innej planety. Dzieciaki podbiegają i proszą o zrobienie im zdjęcia. Rozmawiamy o czymś nieistotnym, grzecznościowe uśmiechy. Zwątpiłem, czy dowiem się tu czegoś o tym, jak się żyje obok narkotykowego półświatka.

Everaldo zaczął niespodziewanie sam: – Chcesz wiedzieć, jak tu jest naprawdę? Nie umiesz sobie tego nawet wyobrazić. Nie puszczam dzieci, żeby się bawiły na ulicy. Kilka tygodni temu zastrzelono przypadkiem czyjegoś malca. Broń jest wszędzie, narkotyki na każdym rogu…

– Tu też? – pokazuję ręką na sąsiednie baraki. Everaldo nie odpowiada. Po dłuższej chwili: – Tu jest trochę spokojniej.

– Bierzesz czasem?

– Nigdy.

Everaldo mówił ze ściśniętym gardłem. Opowiadał tak, jak gdyby chciał krzyczeć: – Tu się nie da żyć, wyciągnij mnie stąd, na pomoc! Urodził się w Rio, w biednej dzielnicy, ale nie w faveli. Rodzice musieli opuścić stare lokum, bo nie mieli już pieniędzy na wynajem. Od kilku lat mieszkają w Maré. Everaldo pracuje w warsztacie samochodowym jako pomocnik. Pieniędzy ledwo starcza na jedzenie dla dzieci. Jak leje deszcz, w domu jest powódź. A w Rio potrafi lać. – Chciałbym mieszkać TAM – pokazuje w stronę miasta. – Ale to się nigdy nie stanie.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Miałem na szyi aparat fotograficzny wart kilka miesięcy życia jego rodziny. Przyjechałem, żeby napisać reportaż i zarobić pieniądze dla mojej rodziny. Mogłem okazywać sympatię, współczucie, solidarność. Ale i tak byłem kimś STAMTĄD. Ze świata knajp wyrzucających codziennie tony jedzenia, ze świata nocnych klubów z koncertami bossa novy, ze świata luksusowych mieszkań odgrodzonych przed „barbarzyńcami” stalą i strażnikami z nabitą bronią. Czy potrafię zrozumieć świat Everalda? Nawet potrzeby fizjologiczne i higieniczne załatwiamy inaczej. My, z lepszej strony życia, udajemy się rano do toalety oddzielonej od czystej łazienki z wanną i prysznicem. Bierzemy do ręki pachnące mydła, używamy delikatnego papieru, dobieramy wodę do kąpieli – żeby nie była za ciepła, żeby nie była za zimna. Tutaj pięćdziesiąt rodzin przychodzi do jednego pomieszczenia. Trzy dziury w podłodze… – Zrób tu zdjęcie, pokaż, jak żyjemy.

Skąd się biorą ci ludzie? Dlaczego tak żyją?

Niektórzy uważają, że Brazylia to kraj, który od czasów kolonialnych zmienił

tylko powłokę. Stara struktura społeczna – pozostała. Kiedyś społeczeństwo dzieliło się na właścicieli wielkich latyfundiów i niewolników w drewnianych chatach. Sto lat temu panowie dali niewolnikom wolność i wygnali ich ze swej ziemi. Niektórzy z wypędzonych zaczęli się osiedlać w wielkich miastach – i tak przez ponad pół wieku, co jeszcze nie było katastrofą. Większość zaczepiała się w interiorze, przy pracy najemnej na roli. Prawdziwa rewolucja, trzęsienie ziemi miały dopiero nadejść.

Rozwój technologii, przejście na gospodarkę monokulturową (uprawa jednej rośliny) zmusiły kolejną falę robotników rolnych do opuszczenia latyfundiów. Posiadacze, *fazendeiros* potrzebowali ich tylko dwa razy w roku – przy sadzeniu i przy zbiorach. Potomkowie niewolników znów zaczęli wędrować. W latach pięćdziesiątych wznosili nową stolicę kraju, Brasilię. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych karczowali Amazonię i budowali transamazońską autostradę. Inni szli do wielkich miast za pracą, za domem. Ale miasta nie miały już ani pracy dla wszystkich, ani domów, ani infrastruktury. Na ich obrzeżach – na wzgórzach Rio, na przedmieściach Sao Paulo – zaczęły powstawać megafavele. Obszary meganędzy, megagwałtu, megabrudu. Wszystko mega. Jeszcze w pięćdziesiątym roku dwie trzecie Brazylijczyków żyło na wsi. W końcu lat dziewięćdziesiątych osiemdziesiąt procent żyło w megamiastach. W miarę otwierania się gospodarki i wchodzenia nowych technologii, rynek pracy w metropoliach kurczył się jeszcze bardziej. Dziś dwie trzecie Brazylijczyków żyje w nędzy, głębokiej biedzie, bądź osiąga dochody, które wystarczają wyłącznie na codzienne, skromne wydatki.

Ktoś kiedyś napisał, że Brazylia to „Belindia”: mały kawałeczek dostatku, taki jak Belgia, otoczony morzem nędzy porównywalnej z tą w indyjskiej Kalkucie. Mój hotel w dzielnicy Copacabana to była Belgia, Maré – Kalkuta. Żyjący tam Everaldo to „wykluczony”. Ktoś, kto nie istnieje nawet w podręcznikach socjologii.

„Wykluczony” – słowo wymyślone dla opisania najbiedniejszych. „Wykluczony” musi przeżyć dzień za jednego dolara. Albo za mniej. Tacy ludzie to dzisiaj dwadzieścia pięć, może trzydzieści procent mieszkańców Brazylii. „Wykluczony” żyje na obrzeżach cywilizacji – nie jest normalnym konsumentem, nie korzysta z dobrodziejstw edukacji. Do jego świata nie sięga ręka państwa. Mieszka na peryferiach wielkich miast, rzadziej w interiorze. „Wykluczony” jest niczym wędrowiec przemierzający cywilizowany świat, ale nie uczestniczy

w nim. Nie jest z niego. Czasami nie rozumie nawet, co się do niego mówi.

Clovis Rossi, znany brazylijski publicysta, opowiedział mi o doświadczeniu, jakie jego przyjaciel przeprowadził w jednej z faveli. Zatrzymał chłopaka jadącego na jakimś prymitywnym wózku i poprosił o podwiezienie. Zaczął rozmowę… i trafił na mur. Chłopak nie rozumiał dosłownie nic z tego, co się do niego mówiło, a „badacz" z wielkimi trudnościami rozumiał pojedyncze słowa chłopaka. Mimo że od dziecka mówili tym samym językiem portugalskim, nie byli w stanie się porozumieć. Jeden mówił bez gramatycznych i fonetycznych reguł, odzywkami nieznanymi po lepszej stronie życia, drugi językiem podręczników, gazet, telewizji.

Można mówić tym samym językiem i należeć do dwóch różnych światów, między którymi nie ma żadnego pomostu, żadnego środka komunikacji. Rozmawiając z „barbarzyńcami" z Maré, czasem nie byłem pewien, czy nie rozumiem fragmentów ich zwierzeń, ponieważ mój portugalski jest niedoskonały, czy dlatego, że mówią slangiem. Najczęściej miałem wrażenie, że oni nie potrafią formułować swoich myśli. – Należycie do innych światów, jesteście ludźmi z innych planet – objaśniał mi potem Clovis Rossi.

Z wyjątkiem Everalda, który chciałby kiedyś żyć TAM – po lepszej stronie miasta i życia, żaden z „barbarzyńców" nie umiał opowiedzieć, o czym marzy. Jakie życie trzeba wieść, by nie mieć marzeń? Czy można żyć bez marzeń?

W Maré przekonałem się jeszcze o jednym: statystyczni „barbarzyńcy" – to znaczy niegangsterzy – nie są groźni ani agresywni. Są przyjacielscy, gościnni, nawet wylewni. Everaldo był prawie urażony, gdy nie chciałem skosztować jego kawy. Kilkadziesiąt metrów dalej, małe słodkie dziewczynki z niemowlętami na rękach gorąco zapraszały: – Przyjdź do nas.

– Ile masz lat? – spytałem.

– Jedenaście.

Druga opowieść o Viva Rio

Nawet nie próbuj zrozumieć, tu nie ma logiki, jest czyste okrucieństwo

Odwiedziłem w Maré szkółkę prowadzoną przez Viva Rio. Zawsze tak sobie wyobrażałem konspiracyjny lokal podziemnej armii, albo partyzantki w Trzecim Świecie. Od drogi wysoki murek ze szczeliną, w której mieści się najwyżej półtora człowieka. Wygląda to tak, jakby za murkiem już nic nie było, najwyżej

wysypisko śmieci. Gdy chcemy z Eucreziem przejść przez otwór, wyrasta w nim „strażnik”. Po wyjaśnieniach, że jesteśmy od Jorge, że z Viva Rio, wpuszcza nas i prowadzi labiryntem podwórek, schodów, ganków. Nie zdziwiłbym się, gdyby na końcu, zamiast klasy, uczniów, tablicy, jacyś jegomoście czyścili karabiny albo dzielili kokę na działki.

W sali uczniowie w wieku od dwunastu–trzynastu do mniej więcej czterdziestu lat i portret Ronaldo, najsłynniejszego piłkarza dekady. Ronaldo to jeden z nich; ten, któremu się udało.

Maurina, czarna uczennica z północy, matka dwóch synów (dwadzieścia dwa lata i dwadzieścia lat) koniecznie chce mi coś powiedzieć. Ma pierwszą w życiu szansę chodzić do szkoły. Wraca do domu i uczy synów tego, co było na lekcjach. To również szansa dla nich. Nie ma planów, wie tylko, że chce tu przychodzić i uczyć się, uczyć… Jest pierwszą „barbarzynką”, która ma w oczach iskrę szczęścia.

Claudelina, nauczycielka, starsza od synów Mauriny zaledwie o kilka lat: – Większość tych dzieci pochodzi z rozbitych, alkoholowych, narkotykowych rodzin. Wiele nie zna ojca. Zobacz, dzisiaj klasa jest prawie pusta. Jedenastka zamiast trzydziestki. Nie wiem, gdzie są, ani dlaczego nie przyszli. Mam nadzieję, że to nie przez narkotyki.

Claudelina, choć z Maré, nie boi się mówić. Jak jest wojna między Comando Vermelho i Terceiro Comando, gangsterzy są zdolni zabić nauczyciela tylko dlatego, że prowadzi lekcje w części faveli kontrolowanej przez wroga. Dlaczego? – Nawet nie próbuj zrozumieć, w ich zachowaniach nie ma logiki, czyste okrucieństwo.

W czasie ostatniej wojny między komandami zastrzelono przy drodze młodego mężczyznę. Nie wiadomo, dlaczego. Nie miał nic wspólnego ani z narkotykami, ani z bandami. Ludzie boją się mówić głośno o takich rzeczach. Lepiej nie mieć zdania, udawać, że się nic nie wie. Kiedyś jedno z komand ostrzelało autobus z nauczycielami jadącymi do „wrogiej” części faveli. Następnym razem trzeba było wymyślić objazd.

– Na początku akcji Viva Rio donowie obawiali się nas – opowiadał mi potem Pedro Strozemberg, młody adwokat. – Traktowali jak szpiegów, potencjalnych świadków przestępstw. Szybko przekonali się, że robimy dobre rzeczy dla wspólnoty i dla ich sąsiadów, ciotek, wujków, rodziców. Jednak w niektórych favelach musieliśmy zamknąć biura, bo było zbyt

niebezpiecznie. *Narcotraficantes,* handlarze białego proszku, nas tam nie chcieli. A to oni rządzą.

Opowieści gangsterskie

Reguła naczelna: nic nie widzisz, nic nie słyszysz, nic nie wiesz o narkotykach

Pewnego dnia w Vigario Geral (tam, gdzie policjanci urządzili masakrę dwudziestu jeden *favelados)* samochód potrącił dwuletnią dziewczynkę. Była umierająca. W pobliżu żadnego szpitala, a gdyby nawet był, to trzeba by zapłacić pod stołem. A skąd pieniądze? Na ratunek pospieszył narkotykowy don. Już po kilkunastu minutach jego samochód zabrał dziecko do szpitala w mieście. W szpitalu don zapłacił, dziewczynka była ocalona.

– Spróbuj powiedzieć jej matce, że donowie narkotykowi są źli. Dla niej to zbawiciele – tłumaczy mi Zuenir Ventura. Żaden z „Rzymian" nie zna świata „barbarzyńców" lepiej niż on. Żeby poznać ich prawa, Ventura przez blisko rok mieszkał w faveli Vigario Geral. Zyskał zaufanie mieszkańców, a nawet jednego z bossów narkotykowych.

– Obszar faveli – opowiada Ventura – to dominium. Władzę w nim sprawują narkotykowi donowie. Natura nie znosi próżni, donowie wypełniają tylko lukę, którą powinna wypełniać władza państwa. A skoro państwo umywa ręce… Nie ma tu państwowej opieki zdrowotnej, więc życie śmiertelnie rannej dziewczynki jest w ręku Boga. Albo dona.

Donowie są dyktatorami, którzy ustalają wszystkie reguły życia wspólnoty. Reguła naczelna: nic nie widzisz, nic nie słyszysz, nic nie wiesz o narkotykach. Jeśli rano natkniesz się na zwłoki sąsiada, buzia na kłódkę. Robisz swoje. Donowie potrafią być okrutni, ich władza opiera się na sile – jak każda dyktatura.

Jedni donowie są bardziej sympatyczni, inni mniej. Jedni są jak ten, który ocalił życie dziewczynki. Inni – jak pewien mafioso, który ustanowił specjalne prawo dla kobiet: każda, która po godzinie dwudziestej pierwszej znajdzie się na ulicy, w barze, w autobusie – wszystko jedno gdzie poza domem – należy do niego. Jeśli przypadkiem nie zdąży z pracy albo nie wróci na czas od znajomych i zostanie zatrzymana, spędza noc z donem lub którymś z jego żołdaków. Najczęściej nie tylko z jednym.

Stosunki wspólnoty mieszkańców z gangami są rozmaite i nieklarowne. Oficjalnie nie ma ona kontaktów ze światem przestępczym. Niekiedy ogranicza je do minimum. W faveli Rocinha, największej w całej Ameryce Łacińskiej (trzysta tysięcy mieszkańców), opowiadano mi jednak, że w wyborach do komitetu mieszkańców narkotykowi donowie wystawiali swoich ludzi; raz wygrywali, innym razem nie; wiadomo, że wespół z liderami wspólnoty rozstrzygają jej sporne sprawy; że pomagają ludziom w potrzebie; i że są niekiedy ostateczną instancją – policjantem, prokuratorem, sędzią. Do dziś nie wiem, czy Jorge z Maré, Carlinhos z Rocinhii milczeli o narkotykowym półświatku ze strachu czy z innego powodu.

– Patrząc na wojny gangów narkotykowych, wielkie strzelaniny, trupy i krew, nie zobaczy się zbyt wiele. Zuenir Ventura opowiada to wszystko tonem mędrca, który przekazuje wiedzę tajemną. Wojna nie jest najważniejsza. Najważniejszy jest biznes. Logiką działania gangów rządzi nie duch walki, lecz rynek. Walka toczy się o punkty sprzedaży. Jeśli Comando Vermelho ma w okolicy tysiąc punktów sprzedaży, *boca de fumo,* w których handel idzie dobrze, i nagle pojawiają się handlarze z Terceiro Comando, wtedy zaczyna się wojna. Ale krew leje się dopiero wtedy, gdy nie daje się inaczej ustalić granic wpływów. W ten konflikt wkraczają dodatkowo policjanci żądający haraczu – i tak mamy wojnę permanentną. W gruncie rzeczy to wojna ekonomiczna. Gangsterzy ze wzgórz kochają pracę w ciszy i spokoju. Huk strzałów szkodzi interesom. Dlatego są gotowi dużo zapłacić – na przykład policjantom – za pokój i spokój. Wojna jest zła. Wojna odstrasza klientów.

Specyficzną ilustracją rządów prawa rynku jest gatunek proszku, jaki sprzedają handlarze z Rio. Można by pomyśleć, że dbają o zdrowie klienta… W Rio sprzedaje się tylko kokainę i maconhę – narkotyki dobrego gatunku. Idioci z Sao Paulo sprzedają ćpunom *crack* – podłej jakości odpady. Ale *crack* to trucizna, która szybko zabija klienta. A życie klienta jest cenne, bezcenne, trzeba je podtrzymywać. Kokaina jest do tego celu idealna: podtrzymuje, uzależnia, nie zabija zbyt szybko. Nim klient umrze, będzie regularnie kupował narkotyk przez długie lata.

O klienta się walczy, choć czasem trzeba go zabić. Na przykład, gdy nie płaci długów. Dług, owszem, zaciągnąć można, ale na termin i nie ma dyskusji o odroczeniu spłaty. Kto nie płaci na czas, przestaje być klientem. To znaczy

ginie. Wyrozumiałość, litość? Popsułyby twarde reguły rynku.

Rynek decyduje też o strukturze organizacji. Organizacja zaczyna się od pojedynczego punktu sprzedaży. Każdy punkt ma swoją „ochronę". Wiele punktów w rejonie ma swojego *gerente,* czyli kierownika, administratora. (Nawet nomenklatura tu gospodarcza, a nie wojskowa). *Gerente* jest donem na swoim terytorium. Ma władzę zabijania dłużników albo zdrajców. Najgorzej jest zdradzić. *Favelado,* który zdradził, albo przyjaciel, który pracował dla policji, jeszcze na tym świecie pozna, czym jest piekło. Nim umrze, będzie miał obcinane uszy, nos, ręce, nogi, zostanie poddany torturom.

Okrucieństwo donów bywa niekiedy okrucieństwem czystym, ale najczęściej ma swoją funkcję w życiu wspólnoty. Na przykład zastępuje nieobecną sprawiedliwość państwa. Żona, dręczona latami przez męża, nie wytrzymuje i idzie po sprawiedliwość do władcy wzgórz. Jego chłopcy przychodzą wymierzyć karę: tłuką *macho* pięściarza, a najczęściej po prostu go zabijają.

Kim są? To szesnasto-, osiemnasto-, dwudziestoletni chłopcy bez szkoły, bez pracy, bez szans. Ojciec wychodzi o czwartej rano do pracy – jeśli ją ma – i wraca po zmroku z kilkoma groszami. Syn w gangu zarobi za dzień tyle, ile ojciec za tydzień albo dwa. Młodzi „barbarzyńcy" są zafascynowani stylem życia kolegów z narkobiznesu. Pociąga ich władza i szczęk ładowanej broni. Silny jest mit Robin Hooda, który kradnie bogatym i pomaga biednym. Uwodzi ich ta cała mistyka walki, aura heroizmu i poświęcenia. Jest też okazja do postrzelania do złych gliniarzy. No i kobiety… Dla dziewczyn z faveli młodzi „żołnierze" są herosami. Prawo noszenia broni daje sławę i siłę. A oni wiedzą, że nie będą żyć długo, że są przeznaczeni na śmierć. Interesuje ich tylko dziś, dzisiejsza bitwa, dzisiejsza noc z kobietą. Przyszłość to coś, czego nie ma.

Jeśli ich własne życie nie jest dla nich wiele warte, to co powiedzieć o życiu innych?

Czy chcieliby innego życia? Flavio Negao, don z Vigario Geral, lat dwadzieścia parę, opowiadał Zuenirowi Venturze, jak dorastał w świecie przemocy, jak zabijał, jak rozkazywał zabijać. Znał swój koniec, nie znał tylko daty. Zapytany o przyszłość małego synka, odpowiedział, że nie chciałby dla niego powtórki swojego losu. – Chciałbym, żeby się uczył.

Flavio był panem wzgórza. W obawie przed więzieniem nie mógł z niego zejść. Był więc zarazem i panem, i więźniem – więźniem wzgórza. Przypadkiem stał się też jego ofiarą. Zginął w strzelaninie z policjantami. Nawet nie wiedzieli, kogo

upolowali.

Opowieści o złych glinach
Tortury to codzienna praktyka

Czasami gorsi od narkotykowych donów są gliniarze. A najgorszym spośród nich był Amauri Kruel. Historia tego generała policji, jeszcze w „złotych latach Rio", przypomina scenariusz hollywoodzkiego thrillera.

Był szefem policji w Rio. Ale nie tylko. Kontrolował konspiracyjne kasyna i loterie, czerpał zyski z hoteli, prostytucji, kontrabandy, salonów wróżek, narkotyków i nielegalnych gabinetów aborcji. Był założycielem osławionego Szwadronu Śmierci, który „czyścił" miasto z „ludzkich śmieci". „Wolę widzieć zabitych pięciu włóczęgów niż jednego policjanta" – słynna fraza Kruela, skrót jego policyjnej filozofii. Po co trudzić się łapaniem złodziei, skoro można ich „osądzić" od razu na ulicy? Filozofia, która przeżyła Kruela, i której hołdowali policjanci spod Candelarii i w Vigario Geral; którą popiera także, według niektórych sondaży, co piąty, szósty *carioca* (mieszkaniec Rio).

Światło na sekretne życie Kruela rzucił pewien reporter. Nazywał się Edmar Morel. Prowadził prywatne śledztwo. Tym samym tropem – zupełnie niezależnie – podążała speckomisja parlamentarna powołana na polecenie prezydenta Juscelina Kubitschka (1956–1960). Mimo próśb i gróźb Morel publikował kolejne odcinki korupcyjnego serialu o pierwszym „stróżu porządku" Rio. W rękawie miał, jak mu się wydawało, asa: obciążające generała nagrania. Tymczasem parlamentarna komisja nie miała nic i Kruel mógł spać spokojnie.

A jednak i on upadł. Zgubiło go własne poczucie bezkarności. Było tak: pewnego ranka członek śledczej komisji, Meneses Cortés, dostał poufną wiadomość, że uzbrojeni po zęby policjanci porwali dwóch sprzedawców, którzy obnażyli mafijne praktyki generała Kruela przed dziennikarzem Morelem. Cortés wpadł do gabinetu generała z żądaniem wyjaśnień i… dostał cios w oko. Fizyczna napaść na członka speckomisji – tego było za wiele. Kruel musiał podać się do dymisji. Przed sądem jednak niczego mu nie dowiedziono. As dziennikarza Morela – taśma z nagraniem – okazał się słabym waletem. Skazano dwóch policjantów i dwóch hotelarzy – pierwszych za bierną, drugich za czynną korupcję. Był rok pięćdziesiąty dziewiąty.

Kruel spadł na cztery łapy. Został komendantem garnizonu w Sao Paulo,

a później nawet zaufanym człowiekiem prezydenta Joao Goularta. Gdy ten ostatni był obalany przez wojskowy zamach stanu w sześćdziesiątym czwartym, Kruel w krytycznym momencie stanął po stronie silniejszych. Stary mafioso w policyjnym mundurze stał się jednym z filarów generalskich rządów.

Zuenir Ventura uważa Kruela za prekursora współczesnej korupcji w policji i bezkarnych rzezi dokonywanych przez policjantów w dzielnicach nędzy – takich jak masakra w Vigario Geral.

Odwiedziłem zwierzchnika policjantów w Rio. Doktor Luiz Eduardo Soares był gliną nietypowym. Antropolog i socjolog, jeszcze niedawno zakładał ruch Viva Rio. Gdy rozmawialiśmy, był podsekretarzem stanu w rządzie stanowym Rio de Janeiro. Miejskiej przemocy poświęcił lata studiów. Doktor Soares ma własną teorię na temat źródeł brutalności we współczesnej Brazylii. Wielka rewolucja społeczna, socjalny apartheid… o tych przyczynach mówi wielu. Sądzi ponadto, że przemoc policji z czasów Kruela, przemoc polityczna epoki dyktatury zniszczyły w Brazylii kulturę republikańską.

– Może inaczej: nie pozwoliły się jej uformować, zakorzenić. Kultura republikańska nie tylko stawia na odpowiedzialność za własny los, lecz także docenia wartości zbiorowe. Mówi o wspólnym dobru, o sprawiedliwości. W latach sześćdziesiątych Brazylia przechodziła wielką rewolucję społeczną. Z kraju ludzi mieszkających na wsi zmieniała się w kraj ludzi z miast. Ta wielka przemiana, większa chyba niż po rewolucji rosyjskiej 1917 roku, dokonywała się pod rządami autorytarnymi. Dyktatura stworzyła model rozstrzygania społecznych konfliktów siłą, wytworzyła wśród ludzi przeświadczenie o bezkarności funkcjonariuszy państwa (szwadrony śmierci, tortury). Wypromowała egoistyczny wzór życia: „interesują mnie tylko mój los, moja własność, moje pieniądze”.

Tak jak w XIX wieku państwo pozostało dla biedoty, czyli dla większości, czymś obcym, groźnym, narzędziem dominacji. Funkcjonariusze tego państwa to zbyt często zwykli bandyci. To zdarza się wszędzie, tyle że w Brazylii stało się częścią systemu.

Kilka dni po moim przyjeździe do Rio największy tygodnik „Veja” ogłosił wstrząsający raport o przestępczości w policji. Kilka przykładów. Pewien sierżant PM (Policji Militarnej) z Rio przyznał się do udziału w zabójstwie dwudziestoletniej studentki, którą uprzednio wielokrotnie zgwałcił. W Sao Paulo czterech policjantów zaczepiło trójkę dorosłych wracających z nocnej zabawy.

Ciała znaleziono dwa tygodnie później w pobliskim strumieniu. W stanie Minas Gerais władze oskarżają oficera policji o zabójstwo i torturowanie aresztowanych.

– Torturowanie zatrzymanych to codzienna praktyka policji. Kilku klientów pokazywało mi ślady pobić. Inni skarżyli się, że policjanci wyciągali od nich zeznania prądem – opowiadał mi adwokat, prosząc o zachowanie anonimowości. Na wszelki wypadek. Tym, którzy oskarżają bandytów w policyjnych mundurach, zbyt często przytrafiają się nieszczęśliwe wypadki. Onidnaura Silva, matka chłopca zamordowanego przez policjantów z Rio, krótko po tym, jak oskarżyła ich o zbrodnię, sama została zamordowana. Na Franciscu Nogueira de Carvalho, adwokacie i obrońcy praw człowieka z Natal w północnej Brazylii, szwadron śmierci wykonał zwyczajną egzekucję. Adwokat prowadził własne śledztwo demaskujące zbrodnie „sił porządku".

Z raportu „Veja" wynika, że co dziesiąty policjant jest uwikłany w działalność kryminalną.

Jak zwalczyć bandytyzm w policji? Doktor Soares uważa, że bez tego można zapomnieć o walce z ulicznymi gangami, z korupcją. – Rzecz wygląda tak: nie mamy informacji od obywateli, czyli brakuje nam podstawowego źródła wiedzy o przestępstwach. Bez tych informacji nie jesteśmy w stanie postawić trafnej diagnozy, prowadzić śledztw, ścigać. Bez trafnej diagnozy, nie wiemy, jakie przyjąć metody działania, ani nie stworzymy całościowego planu, bo on może być po prostu błędny. Dlaczego nie mamy informacji? Bo ludzie nie chcą z nami współpracować. Osiemdziesiąt procent napadów, kradzieży, gwałtów nie jest zgłaszanych. Ludzie uważają, że wizyta na policji to strata czasu, a może nawet zagrożenie.

Przypomniałem sobie, że „barbarzyńcy" z Maré pytani o policjantów milkli tak samo, jak wtedy, gdy ich pytałem o narkotykowych donów. Policja budzi tu zwyczajny strach. Większy od *narcotraficantes?* Zuenir Ventura ponownie objaśnia mi ten niezrozumiały, dziwny świat.

– Wśród *favelados* policja budzi panikę. Część policji, najgorsza, zwana tu potocznie *policia mineira,* to ci, którzy przychodzą i wymuszają haracze. Porywają na przykład szefa gangu, wywożą na peryferia i mówią: pięćdziesiąt tysięcy dolarów albo sto tysięcy dolarów. Ów dzwoni przez telefon komórkowy do kolegów, a ci w ciągu dwóch godzin dostarczają gotówkę na miejsce. Za

trzecim, czwartym razem handlarze sami zastawiają pułapkę na policjantów i ich zabijają. W kolegach zabitych policjantów budzi się duch zemsty. Do faveli wkracza szwadron śmierci, rabuje domy, gwałci kobiety, masakruje niewinnych ludzi – tak jak w Vigario Geral. Dlatego mieszkańcy faveli boją się wszystkich policjantów, bez różnicy. Bo jak rozpoznać uczciwego? Donowie mają przynajmniej jakieś zasady, bandyckie, ale zasady. Ludzie z faveli rozumieją je, w końcu donami są chłopcy z sąsiedztwa, którym parę lat temu być może wycierali nos. Wiedzą mniej więcej, czego się spodziewać. Policjanci-bandyci nie mają żadnych zasad.

W ciągu tamtej dwumiesięcznej podróży po Brazylii nie przydarzyło mi się nic naprawdę przykrego ani niebezpiecznego. W Rio odwiedzałem favele kontrolowane przez narkotykowe komanda, w Sao Paulo sławną z liczby morderstw „drogę śmierci" w potwornej dzielnicy Sapopemba… Nikt mnie nie napadł, nie zaczepił, nie porwał. Jedyną nieprzyjemnością było spotkanie z policjantami w Recife, w północno-wschodniej Brazylii. Wracałem nocą do hotelu. Taksówkę zatrzymał policyjny patrol. Uzbrojeni po zęby, w kuloodpornych kamizelkach, z automatami gotowymi do strzału. Kazali wysiadać. Zażądali dokumentów. Pechowo nie miałem. – Złamałeś prawo, jesteś zatrzymany! Już sobie wyobrażałem „dołek" na komisariacie policji w Recife: ciasna cela ze złodziejami, nożownikami, gwałcicielami, wśród nich ja, *gringo*. Na nic tłumaczenia, że paszport w hotelu, że nosić go w kraju takim jak Brazylia, to ryzykować jego utratę, że mogą panowie pojechać sprawdzić. Już sobie wyobrażałem pośpiech, z jakim by sprawdzano, kim jestem i co tu robię. Była sobota. Zaczęliby robić cokolwiek w poniedziałek. A gdyby mieli pilniejsze zajęcia? Lepiej nie myśleć… Wybawił mnie przyjaciel, który zamachał legitymacją adwokacką. – Wiesz, w Brazylii, jak jest się adwokatem, rzeczy zaczynają wyglądać inaczej. Może chcieli tylko łapówkę. Ale przy adwokacie? Może chcieli cię zatrzymać. Ale w towarzystwie adwokata?

Przez chwilę poczułem – nie, raczej wyobraziłem sobie – co mogą czuć bezbronni „barbarzyńcy". Przez jedną krótką chwilę znalazłem się po ich stronie.

***

Gdy żegnałem się z Rubemem Cesarem, powiedziałem mniej więcej coś takiego: – W tym strasznym mieście historia Viva Rio wygląda trochę, jakby była napisana przez scenarzystę z Hollywood. W złym świecie korupcji, gwałtu, zbrodni jest bohater, który samotnie walczy ze złem. Piękny, szlachetny, niezłomny – nawet, jeśli nie widzi nadziei. A na końcu oczywiście *happy end*. Jedyna różnica to to, że nie znamy na razie końca. Nie wiemy, czy będzie *happy end*.

Rubem Cesar uśmiechnął się. Chyba mu się spodobało.

Miesiąc później, w innym mieście, na pierwszej stronie gazety przeczytałem, że Sąd Najwyższy unieważnił prawo uchwalone przez parlament stanowy Rio de Janeiro, zakazujące sprzedaży broni w mieście i w stanie. Kilka dni później poprzednik doktora Soaresa, emerytowany szef policji w Rio, pułkownik Carlos Cerqueira, został zabity strzałem w oko przed budynkiem Instytutu Kryminologii w centrum miasta. W migawkach w telewizji wyglądał tak samo, jak człowiek z pierwszej sceny, jaką zobaczyłem w tym mieście przed laty. Zabójcą okazał się czterdziestopięcioletni sierżant policji.

Pomyślałem, że w Rio już nigdy nie umilkną strzały.

Miniatura XVI

(„kolumbizacja”)

– W Brazylii obserwujemy proces „kolumbizacji” kraju – usłyszałem od jednego z moich brazylijskich rozmówców.

Termin „kolumbizacja” ukuto, żeby opisać zjawisko nie do opisania innym słowem. „Kolumbizacja” to nieobecność państwa, właściwie jego totalny rozkład, powszechnie panująca przemoc, wojna domowa, narkohandel na wielką skalę, wykluczenie wielkich mas ludzi z dobrodziejstw cywilizowanego świata. Żeby mówić o „kolumbizacji”, wszystkie te zjawiska muszą występować razem, równocześnie.

Gdy jednego z deputowanych do brazylijskiego parlamentu oskarżono o kierowanie gangiem narkotykowym, lokalna prasa pisała o „kolumbizacji” Brazylii. Gdy podobne skandale wstrząsają brazylijskim wymiarem sprawiedliwości i policją, również wtedy mówi się o „kolumbizacji”. „Kolumbizacja” to brutalne – choć ciche i dyskretne – wdarcie się przestępczości zorganizowanej do instytucji państwowych; to uwikłanie funkcjonariuszy i całych struktur państwa w bandycką działalność; wzajemne przenikanie się świata polityki i władzy ze światem występku i zbrodni, zamazanie granic między jednym i drugim.

Skali „kolumbizacji” – to znaczy: rozmiarów zainfekowania państwa przez

wpływy wielkich gangów, karteli, sekretnych nielegalnych interesów – z reguły nie sposób oszacować. To jeszcze jedna cecha „kolumbizacji” – nie wiadomo, kto jest po jakiej stronie, z której strony padnie strzał, z której strony przyjdzie śmierć.

Prawdziwa „kolumbizacja”, „kolumbizacja” ostateczna i totalna ma jednak miejsce tylko w Kolumbii.

Czas Apokalipsy – sceny kolumbijskie (1)

Nazywam się Marco Jiménez.

Dobijam pięćdziesiątki. Byłem burmistrzem w T., sześćdziesięciotysięcznym mieście w interiorze. Ukrywam się teraz tu, nie pisz gdzie, rodzinę wysłałem za granicę. Nie chcesz się ze mną napić, OK, sam się napiję…

W nic nie wierzę, nie widzę dla siebie przyszłości. Paramilitares *wydali na mnie wyrok. Albo mnie zamordują jedni, albo drudzy. Bo tu jest tak, że albo jesteś z jedną bandą, albo z drugą.*

Gdy prowadziłem w mieście kampanię wyborczą, powiedziałem ludziom: koniec z narkobiznesem, koniec z guerrillą, *koniec z* paramilitares. *Ma być prawo i demokracja, państwo to państwo, idźcie do wyborów. Ale ludzie nie poszli. Partyzanci i* paramilitares *zakazali wybierać. Powiedzieli: kto pójdzie do urn, niech się od razu ustawia pod ścianą. Na burmistrza wybrało mnie kilkudziesięciu odważnych. Dwa dni później przystawili mi pistolet do głowy i zabrali mnie spod domu. Trzymali dwa tygodnie w dżungli na postronku za szyję do drzewa. Chcieli mnie zmiękczyć: „Zrezygnuj, to jeszcze dziś wrócisz do domu". Ale się zaparłem. Ludzie w mieście zaczęli się burzyć, i partyzanci w trosce o reputację wypuścili mnie.*

Zacząłem urzędować. Wydałem polecenie: każdego, kto handluje pulpą z koki, policja ma aresztować. To teraz przyszły bandziory z paramilitares. *Trzy razy, skur…, podkładali mi bomby. Po świecie zacząłem się poruszać z tuzinem ochroniarzy. Zawiadomiłem prokuraturę generalną w Bogocie, ale przez dwa lata nikt mi nie pomógł. Zacząłem mówić głośno, że*

prokuratura nic nie robi. I kłopoty z prokuraturą miałem ja, nie ci, co czyhali na moje życie. Ktoś w prokuraturze musiał mieć forsę z narko, bo jak mam wytłumaczyć bierność prokuratury, a potem własne kłopoty?

Zrezygnowałem, wyjechałem. Teraz siedzę cicho. Jak się gada, to tylko kłopoty. Albo cię zamordują jedni, albo drudzy. Jedni i drudzy są tacy sami. Tu rządzi kultura zabijania: jak ktoś się nie podoba, bo inaczej wygląda, inaczej myśli, to zabić go! Tego kraju już nie ma…

***

Pierwsze zderzenie z Kolumbią: kwiecień dwutysięcznego drugiego. Wybuch, ogień, rumowisko… Bomba miała rozerwać kandydata na prezydenta, Alvara Uribe; zamiast niego zabiła chłopców z ochrony. Zamachowcy przygotowali się perfekcyjnie, znali trasę przejazdu, ładunek zdetonowali pod samochodem, w którym miał jechać Uribe. Ale ten wsiadł do innego.

Zabijanie kandydatów na prezydenta ma w Kolumbii długą historię. Luisa Carlosa Galana, który chciał walczyć z korupcją i nakobiznesem, uśmiercili w osiemdziesiątym dziewiątym narkotykowi donowie (najpewniej Pablo Escobar, najsłynniejszy obok Ala Capone bandyta dwudziestego wieku); innego – Carlosa Pizarro – zastrzelił dowódca skrajnie prawicowych *paramilitares,* Carlos Castaño. Lista zamordowanych liderów, ministrów, deputowanych, sędziów, oficerów, związkowców jest naprawdę długa.

Ale w kwietniu dwutysięcznego drugiego kandydat na prezydenta przeżył. Obiecał Kolumbijczykom, że skończy z dywersją polityczną, kryminalną, wszelką. W odpowiedzi na pogróżki rebelianci ostrzelali z moździerzy pałac prezydencki w dniu inauguracji.

Gdy rok później znów przyjechałem do Bogoty, właśnie wywieszano flagę narodową na ruinach luksusowego klubu „Nogal", który w tamtych dniach wyleciał w powietrze. Chwilę po „Nogalu" spłonął autobus linii TransMilenio, naziemnego bogotańskiego metra. Metro podpaliły dwie zrewoltowane studentki…

Wraz z autobusem i klubem spłonęły obietnice prezydenta i nadzieje na szybki koniec konfliktu, który rozdziera Kolumbię od czterech dziesięcioleci.

Lektury na temat Kolumbii przestrzegły mnie o jednym: ten dramat nie jest

czarno-białym westernem, w którym są dobrzy i źli; w którym sprawiedliwy prezydent, ktokolwiek nim jest, jak samotny szeryf walczy z bandą Złego (partyzanci, narkobiznes). Samych postaci na scenie tego domowo-wojennego teatru zbyt wiele jak na westernową opowieść. Jest rząd i jego armia, są dwie rewolucyjne partyzantki, prawicowi *paramilitares,* bandy narkohandlarzy, pospolici przestępcy, a gdzieś w tle amerykańscy doradcy ze sprzętem, bazami wojskowymi w Ekwadorze, pieniędzmi, wpływami. Ile tu frontów – widzialnych i niewidzialnych! Kto z kim i przeciw komu? Kto wysadził klub „Nogal" i po co? Dlaczego jakieś studentki podpaliły metro?

Zdumiewające, jak widok uzbrojonych żołnierzy na ulicach powszednieje. Najpierw jest szok: patrole z bronią gotową do strzału dosłownie wszędzie; przed wejściem do autobusu-metra rewizja plecaków i toreb; cywilni ochroniarze przed knajpami, klubami, hotelami są uzbrojeni w obrzyny – karabinki super dużego kalibru, z których pociski wyrywają pół ludzkiego tułowia. Wiadomości w lokalnej telewizji: gdzieś w interiorze doszło do przypadkowej strzelaniny między wojskiem i partyzantami; zginęło trzech rebeliantów i jeden żołnierz, kilku odniosło rany; gdzie indziej schwytano miejscowego dowódcę *paramilitares,* skazanego wcześniej na 30 lat więzienia, który uciekł z więzienia. Wieści z parlamentu: wszystkie partie polityczne podpisały pakt przeciwko terroryzmowi… Kraj w stanie wojny.

Już po kilku dniach takie wieści i widoki nie robią wrażenia. Zaczyna się przyswajać reguły ludzi, którzy żyją z tym na co dzień. Telefon do kogokolwiek, żeby umówić się na rozmowę: kto dał mój numer, z czyjej rekomendacji, podaj adres hotelu i numer pokoju, oddzwonię za dwie godziny, albo jutro wieczorem. Po kilku takich powitaniach sam zaczynam od spowiedzi, od kogo dostałem kontakt, gdzie się zatrzymałem, kto, co, po co.

Na ulicy: chodzić zewnętrzną częścią chodnika, to jest oddaloną jak najbardziej od jezdni, najlepiej iść pod prąd samochodów (trudniej wtedy porwać człowieka z chodnika). Taksówki najlepiej na telefon, a jeszcze lepiej, jeśli wsiada się na oczach kogoś, kto zanotuje numer boczny pojazdu (to też na wypadek porwania dla okupu lub mini-porwania na „spacerek milionera" – przejażdżki od bankomatu do bankomatu z lufą przystawioną do brzucha).

Wszystko to brzmi groźnie pierwszego dnia, drugiego. Potem niepokój znika, życie wciąga. Obecność żołnierzy staje się tak oczywista jak obecność andyjskich wzgórz okalających bogotańską dolinę; wiadomości o starciach

zbrojnych i kolejnych ofiarach są tak powszednie jak wieści z parlamentu.

***

Nazywam się Laura Cifuentes.

Studiuję dziennikarstwo w prywatnym uniwersytecie Javeriana w Bogocie. Pytasz, czy prawdziwa jest plotka, że wszyscy tutaj jesteśmy sympatykami paramilitares? *To zawiła historia…*

Javeriana to katolicka uczelnia dla młodzieży z wyższej klasy średniej. Nie zawsze tak było. Założyli ją jezuici, a jak wiesz, jezuici to wieczni buntownicy. Od lat czterdziestych na uniwersytecie wrzało, później pojawiła się teologia wyzwolenia, która połączyła chrześcijaństwo z marzeniem o rewolucji. W latach osiemdziesiątych nasz wydział socjologii był ośrodkiem nieistniejącej już partyzantki miejskiej M-19; jej komendant, Carlos Pizarro był profesorem wydziału. Socjologię zamknięto i nigdy jej nie przywrócono. Jakiś czas później, gdy Pizarro kandydował na prezydenta, zastrzelili go paramilitares *i teraz uczelnia jest domeną chłopców Castaña. Panuje Porządek, Tradycja i Rodzina.*

Rodzina – taka przy forsie. Semestr kosztuje dwa i pół tysiąca dolarów, sam widzisz, kogo na to stać. A plotka, że Javeriana to uczelnia paramilitares, *to prawda i nieprawda. Prawda – bo jeśli ktoś ma tu w ogóle poglądy – większości studentów polityka nie interesuje – to takie, jak jedna moja koleżanka, która wyznała: „Będę głosowała na Uribe, bo chcę, żeby pozabijał wszystkich partyzantów". Taki jest tu nastrój. Z drugiej strony – propaganda* paramilitares *nie jest widoczna, bo też nie muszą jej tu szerzyć, to i tak ich teren…*

W jakim sensie? Dam ci dwa przykłady. Kiedyś mieliśmy na uczelni jednego jedynego studenta pochodzenia indiańskiego. Pewnego dnia, gdy stał na przystanku przed uniwersytetem, podjechał zamaskowany motocyklista i powiedział: „Albo się stąd wyniesiesz, albo jesteś trup". Chłopak nie tylko rzucił uczelnię – wyjechał z kraju.

Inny przykład jest mniej wyrazisty, ale ma długofalowy wpływ na absolwentów Javeriany. Odkąd rozwiązali socjologię, wszelkie grupy dyskusyjne, nie mówiąc o organizacjach studenckich, są źle widziane, praktycznie nie istnieją. Uczelnia jest pod okiem policji – czy aby nie rozwija się znów jakaś „rebeliancka choroba". To doprowadziło do całkowitej depolityzacji.

A profesura ma poglądy konserwatywne. Student dostaje na zajęciach jedną wizję Kolumbii, jej historii i społeczeństwa – z punktu widzenia zwycięzców wyścigu po władzę i pieniądze. Jeśli chciałby spierać się z taką wizją, zostałby potraktowany jako wywrotowiec i sympatyk partyzantki komunistycznej. Większości nie przyszłoby to do głowy – bo albo nic ich nie obchodzi, albo uważają, że przeciwników należy zabijać.

Niemniej uważam za szkodliwe, że uczelnia nie jest miejscem, w którym studenci poznają różne punkty widzenia. Jeśli profesor mówi: „ALCA (strefa wolnego handlu obu Ameryk) jest OK", to ponieważ nie praktykuje się tu dyskusji, student opuszcza uniwersytet z przekonaniem, że „ALCA jest OK". To jest cała jego wiedza o temacie. Tak rosną kolejne pokolenia zamożnych Kolumbijczyków nie rozumiejących ani dziejów własnego kraju, ani źródeł konfliktu i przemocy, które toczą Kolumbię.

Krótka kronika kolumbijskiej przemocy

Wiele lat później, stojąc u boku prezydenta Andresa Pastrany, naprzeciw oka kamery i fotograficznego flesza, komendant Manuel Marulanda miał wspomnieć tamten daleki dzień, w którym po raz pierwszy wystrzelił do wrogów z sąsiedniej wioski. Tamtego dnia bojowej inicjacji tym z Partii Konserwatywnej, takim jak Andres Pastrana, miał do zaofiarowania jedynie kulę, nawet jeszcze nie okrzyk „ziemia dla ludu!”. Oni również nie stanęliby z nim do wspólnej fotografii.

Jeszcze w latach czterdziestych, sporo przed tym, jak Fidel Castro przywdział partyzancki uniform, Marulanda (tak go zwą, choć miał wiele nazwisk) jako bojownik liberalnej partyzantki wyruszał na potyczki z chłopami konserwatystami. Na scenie politycznej Kolumbii od zawsze główne role grały te same dwie partie: konserwatywna i liberalna. Każda miała swoich chłopów.

Chłop w Kolumbii był „konserwatywny” albo „liberalny” o tyle, o ile „konserwatywny” albo „liberalny” był właściciel ziemi, którą ów uprawiał. Właściciel był panem życia. Dawał pracę albo nie. Zaszczycał trzymaniem dziecka do chrztu, pomagał wyciągnąć kuzyna z więzienia… Był patronem. Głosowało się na partię patrona-pracodawcy.

Gdy w roku czterdziestym ósmym zabójstwo jednego z liberalnych przywódców, społecznego radykała Jorge Eliecera Gaitana, wywołało polityczny kryzys w całej Kolumbii, chłopi od liberałów i chłopi od konserwatystów skoczyli sobie do oczu. Chłopska partyzantka liberalna, w której szeregach walczył młody Marulanda, wycinała w pień całe wsie sympatyzujące z rządzącymi konserwatystami. I wzajemnie: konserwatyści z pomocą własnej partyzantki, paramilitarnych grup i aparatu represji mordowali chłopów od liberałów i tych, którzy sympatyzowali z raczkującym ruchem komunistycznym. Jak gdyby było mało, wybuchły walki między partyzantami liberałami a komunistami…

Był to jeden z wyjątkowych w historii wypadków, kiedy jedynym kryterium masowych mordów, wyrzynania całych wiosek, były nie przynależność narodowa, rasowa, religijna czy klasowa, lecz polityczne sympatie. Chłopi mordowali innych chłopów z politycznych motywów, choć przecież nie walczyli o władzę dla siebie. Bili się „dla" i „za" patrona, los patrona był ich losem. Wygrana wroga mogła oznaczać utratę miejsca pracy, wygnanie z ziemi.

Mordów „etniczno-klasowych" też nie brakowało. Mimo że Kolumbia drugiej połowy lat czterdziestych przeżywała za sprawą światowego popytu na kawę tłuste lata, zarówno biedota miejska, jak i chłopi niewiele z tego mieli. Hasła społecznej rewolucji znajdowały żyzny grunt. W miarę postępu technicznego najemni robotnicy rolni tracili pracę. Zdegenerowani partyzanci, *bandoleros,* łupili majątki wielkich właścicieli, palili hacjendy, obdzierali ze skóry. Rzeź z przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych w kolumbijskiej historiografii nosi nazwę *La Violencia.* Zginęło co najmniej sto trzydzieści pięć tysięcy ludzi, choć niektóre szacunki mówią o dwustu, a nawet trzystu tysiącach. Kilkuletnie „czyszczenie" doprowadziło do wycieńczenia wszystkich stron konfliktu. Mimo że partyzanci liberalni coraz chętniej sięgali po hasła rewolucji, która miałaby zaprowadzić w Kolumbii państwo chłopów i robotników, nie mieli ani planu zdobycia władzy, ani wystarczających sił, żeby przeprowadzić marsz na Bogotę.

Politycznego pata przezwyciężył nowy generał Gustavo Rojas Pinilla, jedyny dyktator w najnowszej historii Kolumbii. Wszyscy mieli dość rzezi, gospodarka miała się dobrze. Generał obiecał reformy, a partyzantom od liberałów – prawa kombatanckie. Góra liberałów przystała na ugodę. Partyzanci złożyli broń.

Wśród tych, co składali w tamtych dniach broń, nie było Marulandy, który wszystko to uznał za „pańskie" układy. Chwilę wcześniej przyłączył się do wątłej partyzantki komunistycznej. To w niej miał narodzić się jako legendarny „Tirofijo" (Celny Strzał) – najstarszy partyzant kontynentu, walczący o reformę rolną rewolucjonista, kolumbijski Fidel Castro i Che Guevara w jednej osobie.

Wiele lat przed tym, jak wraz ze swymi partyzantami przejął kontrolę nad niemal połową terytorium Kolumbii, miał pod rozkazami zaledwie czterdziestu pięciu ludzi. Przeciwko ludziom Marulandy rząd rzucił… szesnaście tysięcy żołnierzy. Był rok sześćdziesiąty czwarty. Wojska rządowe przystąpiły do „oczyszczania niezależnej republiki komunistycznej" – terenów partyzanckiej

agitacji i chłopskiego ruchu samoobrony. Marquetalia, twierdza Marulandy, padła. Ale sam komendant i jego ludzie nie tylko wytrwali, lecz także zadali armii dotkliwe straty. Marquetalia była symbolicznym początkiem wojny, która nigdy się nie skończyła.

Tę „ruchliwą, totalną i absolutną wojnę partyzancką" Marulanda prowadził pod hasłami reformy rolnej i socjalistycznej rewolucji. Dwa lata później, z połączenia różnych grup bojowych, powstały Rewolucyjne Kolumbijskie Siły Zbrojne (FARC, *Fuerzas Armadas Revolucionarias Colombianas),* początkowo jako zbrojne ramię partii komunistycznej; później – najsilniejsza armia partyzancka w historii Ameryki Łacińskiej.

Mimo nadziei, jakie Marulanda wiązał z rewolucją na Kubie, „sytuacja rewolucyjna" w Kolumbii nie powstała. Partie rządzące miały dość siły i względnie szerokie poparcie. Ubodzy chłopi, choć wymieniali z partyzantami usługi, kochali bardziej uprawy i hodowle aniżeli karabin i proch. W miejscu trzymało ich to, co mieli – choćby niewiele. A partyzancka wojna wymagała tułaczki – do Marulandy szli przeważnie robotnicy rolni, mieszkający na wsi, ale nieposiadający nic własnego, żyjący z pracy na cudzym.

Krok po kroku Marulanda budował partyzanckie państwo w państwie. Toczył bitwy z wojskiem i agitował za rewolucją. Często przez kilka lat trwała nieustająca, otoczona milczeniem świata szarpanina. Bez wielkich bitew, ale zawsze z ofiarami. Toczyło się zwyczajne życie partyzanckie: wymuszanie haraczy od bogatych właścicieli ziemskich, ściąganie „podatku rewolucyjnego" od chłopstwa w zamian za ochronę przed państwem, właścicielami wielkich majątków, wywłaszczeniami i gwałtami wojska.

Świat kolumbijskiej przemocy był względnie prosty, póki pól bitewnych nie zasypał biały proszek. Światowy popyt na kokainę na początku lat siedemdziesiątych przygnał z miasta do lasu tysiące drobnych kolonizatorów, którzy chcieli zarobić na uprawie koki. To oni przynieśli do dzikiego interioru nieznane w takiej skali na prowincji napady, kradzieże, oszustwa, łapówki i rabunkowe mordy. Okazja do szybkiego i dużego zarobku wyzwoliła jeszcze większą przemoc.

Dla Marulandy i partyzantów kokaina była problemem moralnym, ale i okazją do zdobycia środków na broń, na rewolucję, na życie. Chłopom, ochranianym przez FARC, koka stworzyła unikalną szansę odmiany losu – wyzwolenia się

z nędzy i zgromadzenia kapitału, dzięki któremu wielu z tych, którzy na koce się dorobili, przerzucało się na hodowlę.

Napływ kolonizatorów z miasta, wahania partyzantów co do tego, jak określić się wobec koki, doprowadziły w początkach narkotykowego boomu do anarchii. Marulanda szybko przywraca na swych terytoriach względny ład. Ten rewolucyjny porządek trwa mniej więcej do końca lat osiemdziesiatych. Narkotykowi producenci – zarówno wielcy baronowie, jak i chłopi – płacą partyzantom dziesięcioprocentowy podatek; handlarze i pośrednicy – ośmioprocentowy. Wszyscy, z wyjątkiem władzy państwowej, uznają monopol partyzantów na pilnowanie porządku, co oznacza, że na obszarach przez nich kontrolowanych narkotykowym bossom nie wolno mieć ludzi pod bronią. Surowa egzekucja partyzanckiego prawa sprawia, że w krótkim czasie na terenach kontrolowanych przez FARC porwania, wymuszenia i łapownictwo – o ile nie są dziełem samych partyzantów – spadają niemal do zera. Gdy państwowy wymiar sprawiedliwości zawodził, po sprawiedliwość szło się do dżungli.

„Opodatkowanie” na rzecz partyzantów było dla chłopów ciężarem, ale z dwojga złego woleli opłacać się Marulandzie niż rządowej armii. Dla wojska chłopski kolonista był bandytą i politycznym wrogiem. Dla Marulandy – potencjalnym partyzantem i zapleczem rewolucji. Chłopskie haracze dla wojska szły do kieszeni oficera. Haracze dla partyzantów Marulandy szły na nową broń, a często – co ważniejsze – na inwestycje społeczne, na przykład budowę nowej drogi.

Kolumbijski socjolog Alfredo Molano zauważył, że „wojsko i policję martwiło przymierze partyzantki z narkotykową mafią nie tylko ze względu na zagrożenie dla państwa, ale też dlatego, że układ ten nie dopuszczał oficerów do udziału w profitach z narkotykowego handlu”.

Układ partyzantka – narkobiznes pękł u progu lat dziewięćdziesiątych, gdy spadły światowe ceny kokainy i ruszyła ofensywa wojska przeciwko kartelom. Narkotykowi baronowie wzięli sprawy we własne ręce i sformowali prywatne armie. Partyzanci i zbrojne formacje na usługach narkobiznesu biły się o kontrolę nad szlakami przerzutowymi i lądowiskami. Gangi na usługach narkobiznesu mordowały działaczy z FARC i ich sympatyków. Tak jak dawniej latyfundyści, narkotykowi baronowie wyganiali wieśniaków z ziemi, na której sami chcieli uprawiać kokę, nikomu nie płacąc haraczy.

Dokładnie wtedy, gdy Manuel Marulanda brał do ręki karabin, na wzgórzach otaczających Medellin urodził się Pablo Escobar. Przyszedł na świat w rodzinie drobnego rolnika i nauczycielki – z dala od kolorowych butików, zadbanych chodników, pękających od bogactwa posiadłości i reklam agencji turystycznych, które obiecywały piękniejsze światy. – Żeby kiedyś tam zamieszkać! – iluż chłopaków ze wzgórz Bogoty i Medellin żywiło to marzenie.

Pablo Escobar, chłopak ze wzgórz, został najpotężniejszym człowiekiem Kolumbii. Drżeli przed nim prezydenci, zaś mali chłopcy z dzielnic nędzy widzieli w nim Boga. Zanim stał się najsłynniejszym przestępcą Kolumbii, sprzedawał nagrobne kamienie ukradzione z cmentarza. Potem zaczął sprzedawać samą śmierć. Najpierw jako drobny dealer białego proszku, potem szef gangu, sieci gangów, a wreszcie największy producent kokainy na świecie.

„Przed laty handlarze narkotyków byli w modzie – pisał Gabriel García Márquez w *Raporcie z pewnego porwania*. – Otaczało ich coś w rodzaju nimbu. Cieszyli się całkowitą bezkarnością, a nawet pewnym prestiżem wśród ludu, dzięki hojnej dobroczynności, jakiej nie skąpili mieszkańcom ubogich dzielnic, gdzie spędzili swoje dzieciństwo społecznych wyrzutków. Gdyby ktoś chciał ich aresztować, każdy stojący na rogu policjant pokazałby ich palcem. Ale znaczna część Kolumbijczyków patrzyła na nich z zaciekawieniem, które nazbyt przypominało upodobanie. Politycy, przemysłowcy, handlowcy, dziennikarze i zwykli karierowicze balowali na nieustającym festynie w hacjendzie Nápoles pod Medellín, gdzie Pablo Escobar miał ogród zoologiczny ze sprowadzonymi z Afryki najprawdziwszymi żyrafami i hipopotamami, a w bramie witała gości – niby pomnik narodowej pamięci – awionetka, którą wywieziono z kraju pierwszy ładunek kokainy”.

Escobar sprawił, że niejeden chłopak ze wzgórz mógł przenieść się z rewirów nędzy do luksusowej hacjendy w najlepszej dzielnicy. Za dobrze wykonaną mokrą robotę Escobar potrafił zapłacić nawet dwieście tysięcy dolarów. Czyż może zatem dziwić, że – jak pisał García Márquez – „w dzielnicach nędzy wznoszono ołtarze z jego podobizną i palono przed nimi świeczki”? Że „wierzono, że czyni cuda”? Cuda były widzialne, namacalne. Escobar budował szkoły tam, gdzie ich nigdy nie było, finansował kluby sportowe, w których kopali piłkę chłopcy ze slumsów. Był jak hojne państwo opiekuńcze.

Siał przemoc, ale monopolu na nią nigdy nie posiadł. Gospodarczy kryzys

połowy lat siedemdziesiątych, który wywrócił zakłady tekstylne w Medellín, uruchomił niespotykaną wcześniej w mieście falę kradzieży, napadów i morderstw. Przemoc Escobara była zorganizowana, przemoc wyrzuconych z pracy, wykluczonych – chaotyczna, nieokiełznana, anarchiczna. Blisko dwadzieścia lat później, gdy rywalizacja z kartelem z Cali i wojna z siłami bezpieczeństwa nadwątli potęgę Escobara, i gdy po całej Kolumbii rozleje się kolejna fala przemocy, jakiś *pistolero* opowie reporterce „New Yorkera" Almie Guillermoprieto: „Nic nie rozumiesz. Wszystko to dlatego, że Escobar jest teraz słaby. Wśród dealerów kokainy jest bezrobocie. Jedni walczą przeciw drugim, każdy chce zarobić. Do tego szwadrony śmierci, pseudorewolucyjne grupki, mnóstwo dzieciaków z bronią. To miasto zmierza ku zagładzie…".

Chłopcy ze wzgórz, którzy nie mieli dość szczęścia i siły, żeby zarobić na dom w dzielnicy luksusowych samochodów, wykwintnych knajp i eleganckich perfum, żyli skromnie z dystrybucji białego proszku produkowanego przez Escobara. Gdy brakowało forsy, snuli się ulicami Medellín i łupili kogo popadnie.

Alma Guillermoprieto opisuje następującą historię: Działo się to gdzieś na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Zgraja snujących się po ulicach Medellín dzieciaków dopadła staruszka. Powalili na ziemię, zabrali pieniądze, zegarek… i niespodziewanie usłyszeli zza pleców: „Dajcie mu spokój, wynoście się!". Jeden z nastoletnich bandytów chwycił butelkę, zrobił z niej tulipana i wepchnął w gardło rówieśnika. Chłopak przeżył, ale zdarzenie to nie dawało spokoju jego starszemu bratu: „Czułem się upokorzony swoją bezradnością" – opowiada Johnny (imię zmienione). Wraz z sąsiadem, również „chorym od przemocy", Johnny postanowił założyć grupę samoobrony *(grupo de autodefensa).* Ale jak we dwóch dać radę dwustu uzbrojonym szczeniakom? Postanowił zaryzykować. Do grupy wciągnęli jeszcze dwóch znajomych i obmyślili plan. W bloku co trzecia rodzina miała syna należącego do któregoś z okolicznych gangów. W pierwszej kolejności trzeba było „oczyścić" blok. Żeby akcja odniosła skutek, należało uderzyć w samo serce. Zamaskowani wyszli na polowanie. Była dziesiąta wieczorem. Ofiara numer jeden siedziała przed blokiem, popijając piwo. Zabili go i uciekli. Zdjęli przebrania i spokojnie wrócili, żeby pomóc rodzinie zabrać ciało.

Po następnych egzekucjach gang ogarnęło szaleństwo. Jedni obwiniali drugich, a potem – inne okoliczne gangi. W ciągu trzech miesięcy szwadron Johnny'ego

„oczyścił” blok i ulicę z trzydziestu „niepożądanych”. Później Johnny nie musiał przykładać ręki do mordowania młodocianych handlarzy proszku – zaczęli mordować się nawzajem. Jakiś czas potem okolica stała się miła i spokojna.

Choć Johnny robił takie same „porządki” jak policja i osławieni *paramilitares,* stanowczo zaprzeczał jakimkolwiek związkom z nimi. Zabijał „tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne”. Podobną „konieczność” zabijania widzieli drobni sklepikarze i straganiarze, którzy zrzucali się na „społeczne czyszczenie”, czyli zabijanie dzieci ulicy, drobnych złodziei będących zmorą ich dnia codziennego (zjawisko znane w wielu krajach Ameryki Łacińskiej). Setki szwadronów, takich jak ten Johnny'ego, przyjmuje zlecenia od sklepikarzy i groszorobów na nocne polowania.

Jest jeszcze jeden wielki aktor kolumbijskiej sceny przemocy: *paramilitares.*

Gdy na terenach „państwa partyzantów” wielcy właściciele ziemscy poczuli się niepewnie, i gdy państwo nie było w stanie ochronić ich przed rebeliantami ustanawiającymi własne prawa, latyfundyści sformowali własne siły zbrojne, zwane samoobroną lub *paramilitares.* W odwecie za wymuszanie przez partyzantów haraczy od właścicieli ziemskich szwadrony Carlosa Castaño wyrzynały całe wioski sympatyzujące bądź podejrzane o sympatyzowanie z *guerrillą*.

Szwadrony Castaño są poniekąd dziećmi partyzantów. W latach siedemdziesiątych w niektórych rejonach partyzanci mocno przycisnęli bogatszych hodowców. Wymuszali większe niż zwykle haracze, zaczęli porywać dla okupu. Gdy hodowcy pouciekali, partyzanci FARC wzięli się do chłopskiej biedoty. Nawet obrońcy *guerrilli* przyznają, że niektóre oddziały „wykazywały objawy zwyrodnienia militarystycznego”. W to miejsce wszedł Castaño ze swoimi *paramilitares.*

Jako obrońca gnębionych przez partyzantkę właścicieli i chłopów, Castaño początkowo zyskał poklask. W latach siedemdziesiątych jego szwadrony „samoobrony” działały legalnie. Pomagały wojsku w operacjach przeciwko partyzantom, odgrywały rolę wywiadu, „czyściły” wsie, które uważano za gniazda marksistowskiej rebelii. Gdy wymknęły się spod państwowej kontroli, w latach osiemdziesiątych zdelegalizowano je. Ale tylko formalnie. W dziewięćdziesiątym ósmym biuro prokuratora w Bogocie ogłosiło, że „związki *paramilitares* z armią są oczywiste”. Powodem sensacyjnego

w tamtym czasie oświadczenia była sprawa oficerów wojska podejrzanych o to, że rok wcześniej dokonali masakry trzydziestu cywili w osadzie Mapiripán, 290 kilometrów na południowy wschód od Bogoty. W związku ze sprawą relegowano z wojska kilku oficerów.

Władze i armia stanowczo odżegnywały się od związków ze szwadronami śmierci. Cóż, skoro krótko po tym pewien zrewoltowany jezuita, Javier Giraldo, ujawnił, co widział: „wielkiej hacjendy [Castaño] strzegą policja i wojsko", co – jak wnioskował – świadczy o „skandalicznej hipokryzji władzy". Widywano tam nawet pretendenta do prezydenckiego fotela, Horacia Serpę.

Jakie w końcu są relacje między partyzantami, handlarzami narkotyków, wojskiem i policją? Jakie są związki między policją a *paramilitares,* pytał przed laty socjolog Alfredo Molano.

A ile jest frontów? Państwo-kartele, kartele-partyzanci, partyzanci-państwo, *paramilitares* – partyzanci, *paramilitares* – państwo, kartele-kartele…

Kolumbijskie fronty poplątała kokaina, tak jak plącze myśli, stwarzając iluzję, że je rozjaśnia. „Kolumbia nie była świadoma swej roli w światowym handlu narkotykami – napisał García Márquez – dopóki handlarze nie wślizgnęli się tylnymi drzwiami do wielkiej polityki kraju, najpierw wspomagani rosnącą potęgą korupcji i przekupstwa, a potem realizując własne aspiracje". Pablo Escobar zasiadł w parlamencie. Szybko zorientował się, że skuteczniejsze jest przekupstwo niż mozolne pisanie prawa na własne potrzeby. Rywalom, którzy mówili głośno o jego narkotykowym superbiznesie, wypowiedział wojnę. Luisowi Carlosowi Galanowi, który na początku lat osiemdziesiątych zdemaskował go jako kokainowego barona (wtedy, kiedy Escobar zabiegał o pozycję w Partii Liberalnej), nie wybaczył nigdy. W osiemdziesiątym dziewiątym Galán, kandydat na prezydenta, zginął od serii z automatu, mimo chroniących go osiemnastu ochroniarzy.

Prawdziwym motywem wojny, jaką Escobar rozpętał przeciwko państwu, była groźba, która zawisła nad nim i każdym innym narkotykowym baronem: ekstradycja do Stanów Zjednoczonych. Ekstradycja, czyli w najlepszym razie dożywocie. Prywatne szwadrony Escobara przystąpiły do walki o zmianę prawa o ekstradycji. W domach, na ulicach, w sklepach, urzędach, samochodach i samolotach zaczęły wybuchać bomby. Nikt nie miał prawa czuć się bezpiecznie. Ofiary szły w tysiące. Jak na ironię, Escobar i inni gangsterzy

zagrożeni ekstradycją odwoływali się do latynoamerykańskiej dumy i kompleksu wobec Jankesa. „Wolimy mogiłę w Kolumbii niż celę w Stanach Zjednoczonych" – brzmiało motto szwadronów. I część opinii publicznej, nieufna wobec *gringos,* kupowała ten argument Escobara.

Gabriel García Márquez: „Żaden Kolumbijczyk w całej historii nie potrafił z takim talentem manipulować opinią publiczną. Żaden też nie przewyższył go w korupcji. Najbardziej niepokojącą i niszczącą cechą jego osobowości był kompletny brak rozróżnienia między dobrem i złem". Co więcej, „cieszył się zaufaniem, o jakim nie śniła nawet *guerrilla* w swoich najlepszych latach. Ludzie chętniej wierzyli w kłamstwa *extraditables* niż w prawdy głoszone przez rząd".

Escobar rozpętał przemoc na taką skalę, że sam musiał przed nią uciekać do… więzienia, jedynego bezpiecznego miejsca na ziemi. Polowały na niego oddziały policji i służb bezpieczeństwa. Polowali płatni mordercy wynajęci przez konkurencyjny kartel z Cali. Wielki Pablo nie mógł przebywać w jednym miejscu dłużej niż parę godzin. Zginął w grudniu dziewięćdziesiątego trzeciego po ucieczce z więzienia, wytropiony i zastrzelony przez specjalny oddział komandosów.

Trzy lata później wyszło na jaw, że kampanię wyborczą prezydenta Ernesta Sampera finansowali konkurenci Escobara z kartelu w Cali.

Z kim więc walczył Escobar? Z państwem? Z innym kartelem? I kto walczył z nim?

Gabriel García Márquez: „Być może najbardziej typowa dla Kolumbii była w tej sytuacji zdumiewająca umiejętność przystosowania się mieszkańców Medellín do dobrego i do złego, co w połączeniu z nieokiełznaną żądzą przetrwania jest chyba najokrutniejszą receptą na dzielność. Większość z nich wydawała się nieświadoma, że miasto, które zawsze było najpiękniejsze, najbardziej dynamiczne i najbardziej gościnne ze wszystkich miast kraju, stało się w tamtych latach jednym z najniebezpieczniejszych miejsc na świecie. Miejski terroryzm był dotychczas rzadkim zjawiskiem w stuletniej kulturze kolumbijskiej przemocy. Nawet historyczne już ruchy partyzanckie, które stosowały zamachy w praktyce, potępiły je słusznie jako wynaturzenie walki rewolucyjnej. Nauczono się więc żyć w ciągłym strachu przed tym, co się działo, ale nie do zniesienia była niepewność tego, co się jeszcze może wydarzyć:

wybuch, który rozerwie na kawałki uczniów jakiejś szkoły, rozpadający się w powietrzu samolot, kosz warzyw eksplodujący na straganie. Zabłąkane bomby, które zabijały niewinnych, i anonimowe groźby w słuchawce telefonu stały się zmorą codziennego życia. Nie ucierpiała jednak sytuacja ekonomiczna miasta, na co wskazują dostępne dane statystyczne".

Inwazja narkotyków i przemocy nie ominęła języka. Pojawiły się słowa, których, póki co, próżno szukać w słownikach hiszpańskiego: *pistoloco* (szalony pistolet – określenie młodocianego płatnego zabójcy), *basuco (pasta base de cocaina* – masa, z której robi się kokainę, niezwykle szkodliwa używka dzieciaków ze wzgórz). Mnóstwo słów zyskało przedrostek narko-: narkobiznes, narkokongresmen, narkoposiadłość, narkowojna, narkoguerrilla.

Jest jeszcze jedno słowo – nazwa nowej profesji: *violentólogo,* czyli „przemocolog". Alonso Salazar, „przemocolog", nagrywał zwierzenia młodocianych zabójców. Przy łóżku chłopaka, który oddawał ducha, usłyszał coś, co nie daje mu spokoju: – Wydawało się, że jest bliski ozdrowienia, gdy opowiada o ludziach, których zamordował. Innych ekscytowało, że ktoś spisuje ich opowieści. Wszyscy oni tak strasznie chcą znaleźć swoje miejsce na ziemi.

Wielu sądzi, że Kolumbijczycy przyzwyczaili się do życia w przemocy, a niektórzy nie potrafią bez niej żyć. Że przemoc to subkultura, a może już nawet kultura życia. Ogromny odsetek Kolumbijczyków wyrósł w przemocy. Nie wiedzą, jak wygląda życie bez niej. Dziesięcioletni chłopcy marzą o tym, żeby dostać broń i zostać żołnierzami mafii.

Kolumbijski socjolog, Eduardo Pizarro, stanowczo protestuje przeciwko takim objaśnieniom: „Nie ma żadnej *kultury przemocy.* Żaden naród nie jest ani genetycznie, ani kulturowo do przemocy skłonny. Przemoc była w historii Kolumbii narzędziem debaty i walki o władzę, nie jedynym i nie nieuniknionym, lecz po prostu najbardziej skutecznym".

García Márquez: „Łatwy pieniądz, narkotyk bardziej szkodliwy od noszącej błędne miano heroiny, wkradł się do kultury narodu. Kwitło przekonanie, że prawo stoi obywatelom na drodze do szczęścia, że nie trzeba umieć czytać ani pisać, że lepiej i bezpieczniej jest być bandytą niż uczciwym człowiekiem. Krótko mówiąc, życie kraju wypaczone zostało przez powszechną korupcję – stan właściwy społeczeństwom toczonym przez robaka permanentnej wojny".

Źródła przemocy w tak nieprawdopodobnej skali są zagadką dla „przemocologa" Salazara, który zna fakty, zna zjawiska, ale nie składają mu się

w koherentne objaśnienie statystyk gwałtów i morderstw. Odpowiedź na pytania: „dlaczego?” i „dlaczego aż tak?” – nie kryje się w liczbach. Na pewno nie tylko w nich.

Nie tylko Pablo Escobar przegrał swoją prywatną wojnę. Przegrali ją też jego rywale z innych karteli. Ale narkotyki nie rozpłynęły się. Aktywa narkobiznesu przejęli pozostali aktorzy konfliktu: partyzanci, *paramilitares,* politycy-przestępcy, wojskowi-przestępcy i pomniejsi niepolityczni narkoeksporterzy. Wojna miała się teraz toczyć już nie tylko o szlachetne idee – jak dawno temu, nie tylko o władzę – jak zawsze, lecz także o gigantyczne wpływy z narkobiznesu.

Gdy kolejne próby zaprowadzenia pokoju politycznego – w latach osiemdziesiątych i pod koniec lat dziewięćdziesiątych – załamały się, Kolumbijczycy postawili na polityka, który obiecał im, że wypali zło gorącym żelazem; przyrzekł, że przemoc pokona większą przemocą, a wojnę zakończy wojennymi środkami. Nazywał się Álvaro Uribe.

Czas Apokalipsy – sceny kolumbijskie (2)

Do towarzysza Vazqueza, wieloletniego genseka Komunistycznej Partii Kolumbii, poszedłem sprawdzić, czy ktoś jeszcze wierzy marksistowskim partyzantom. Wśród ludzi z bogotańskiej klasy średniej panuje przekonanie, że partyzanci z FARC dawno porzucili idee zbudowania szczęśliwego społeczeństwa równych ludzi, że chodzi im tylko o szmal, że żyją z handlu narkotykami i porwań dla okupu.

Przez wiele lat partia Vazqueza była cywilnym ramieniem zbrojnej partyzantki. Po upadku Ojczyzny Proletariatu partyzantka i Partia wzięły rozwód. Komuniści – zdziesiątkowani przez polityczne zabójstwa *paramilitares,* poobtłukiwani przez wiatry Historii, uważali, że trzeba skończyć z walką zbrojną: partyzantka powinna rozmawiać z władzą i wejść w społeczeństwo cywilne. Ale komendant FARC, Manuel Marulanda, powiedział komunistom: „Nie!”.

Siedziba partii komunistycznej w Bogocie wygląda jak bunkier. Pomalowany na biało budynek, bez okien, ze ściany wystaje tylko przycisk domofonu. W środku ekrany telewizorów, na których ochroniarz obserwuje, co dzieje się na ulicy i uliczkach sąsiednich. Oblężona twierdza w oblężonym mieście.

Towarzysz Vázquez ma długie zaczesane do tyłu siwe włosy i siedemdziesiątkę na karku. Na ścianie za jego biurkiem wisi duży portret Włodzimierza Lenina, na innej – Fidela Castro. Mówi cicho, z przekonaniem, ale raczej defensywnie.

Nazywam się Álvaro Vázquez.

Tak, nadal wierzymy w socjalistyczną drogę dla Kolumbii i dla świata. Tak, partyzanci porywają ludzi dla okupu, ubolewam nad tym, nie tędy droga.

Ale mówienie o narkopartyzantce to nieprawda. W historii partyzantki były

dwa etapy, jeśli chodzi ojej stosunek do koki. Gdy partyzantka powstawała z hasłem reformy rolnej na sztandarach, sprzeciwiała się uprawom koki. W pewnym momencie komendanci uświadomili sobie, że dla wieśniaków uprawy koki to często jedyne źródło dochodów. Postanowili więc nie niszczyć upraw, a od drobnych plantatorów pobierali „podatek rewolucyjny". Tylko w tym sensie, pieniądze z koki wspierają guerrillę – *są to pieniądze małych plantatorów, nie narkobiznes, partyzanci nie handlują narkotykami.*

Pokoju w Kolumbii nie będzie, dopóki burżuazja nie zgodzi się na reformę rolną. Czy wie pan, że ponad połowa ziemi należy do dwóch procent ludności? Najbiedniejsi nie mają dostępu do edukacji, są poza polem widzenia państwa.

To rząd, nie partyzanci, zerwał toczące się przez cztery lata negocjacje pokojowe. Dlaczego? Bo zmieniła się sytuacja międzynarodowa, bo Amerykanie weszli do naszego kraju z „planem Kolumbia", który miał wykorzenić narkobiznes. Po zamachach 11 września w Nowym Jorku i Waszyngtonie oskarżono partyzantów o terroryzm – w ten sposób kolumbijskie elity wraz z Amerykanami chcą upiec dwie pieczenie.

Rząd nie myśli już o zdobyciu przewagi zbrojnej nad partyzantami, a potem o zawarciu pokoju z osłabionymi. Teraz rząd chce partyzantów unicestwić, wyeliminować, wybić do nogi. Nie ma pomysłu na zmiany w Kolumbii, jedyny pomysł to wojna. Boimy się, że jej ofiarą padnie nasza partia. Działaczy związkowych już się oskarża o przynależność do guerrilli, *organizuje się pokazowe procesy przed wojskowymi trybunałami, gdzie padają fałszywe oskarżenia i występują fikcyjni świadkowie. Nie wiem, jak to się skończy…*

Pyta pan, czy Uribe zwalcza też paramilitares? (uśmiech politowania). *Proszę pana, Uribe to ich człowiek! Ani rząd, ani wojsko nigdy się do tego nie przyznają, ale wszyscy wiedzą, że tak jest.*

Związki wojska i rządu z *paramilitares* to nieśmiertelny przedmiot spekulacji, zwłaszcza zagranicznych badaczy Kolumbii. W samej Kolumbii weryfikacja tej pogłoski nie jest przesadnie trudna. W wywiadzie-rzece *Moje wyznanie,* która w tamtych dniach leżała w każdej bogotańskiej księgarni, dowódca *paramilitares* Carlos Castaño otwarcie wyznaje, że „baza społeczna [jego formacji zbrojnej] w sposób naturalny traktowała Alvara Uribe jako swojego kandydata [na prezydenta]".

Moje wątpliwości rozwiał ostatecznie osiemnastoletni Néstor, były

bojownik *paramilitares,* którego spotkałem w ośrodku resocjalizacji dla dzieci wojny domowej. Dzieci te służyły niegdyś w rozmaitych formacjach zbrojnych i udało się je stamtąd wyrwać – w różnych sposób: dobrowolnie lub pod przymusem. Gdy Néstor opowiadał o potyczkach z lewicową *guerrillą* – ilu to ludzi zabił, ilu postrzelił – poprosiłem, żeby opowiedział też o potyczkach z wojskiem.

– Nieeee, nie zrozumiałeś, z wojskiem zawsze współpracowaliśmy.

Walczyliśmy wspólnie z wojskiem przeciwko partyzantom z FARC.

***

Towarzysz Vázquez może szukać stu powodów do obrony partyzantów, ale rzeczywistości nie zagada. Opowieści o *guerrilleros,* jakie docierają z interioru, to senny koszmar. Z ideowej, komunistycznej partyzantki FARC stał się wojskiem najemników, które płaci regularny żołd (przeciętnie 40 tysięcy *pesos* = około 180 dolarów miesięcznie). Biednym rodzinom, które ledwo utrzymują się na powierzchni życia, opłaca się mieć choć jednego mężczyznę z rodziny w partyzantce. Czterdzieści tysięcy pesos to wielka forsa, cała rodzina ma co jeść, w co się ubrać, opłacić dojazd dziecka do szkoły. Słowem: partyzantka to dobre miejsce zatrudnienia. „Mój syn jest *guerrero,* wojownikiem", mówią dumne matki.

Ale w rejonach, gdzie wojują i partyzanci, i *paramilitares,* żaden chłop z własnej woli nie idzie zostać wojownikiem. Bo jeśli pójdzie, a do wsi przyjdą *paramilitares,* powiedzą wtedy jego staremu ojcu: dałeś brachu syna do FARC, stawaj pod ścianę, albo oddawaj nam drugiego. Dlatego w takich wsiach nie ma ochotników. Partyzanci muszą sami się pofatygować do wsi i „ochotnika" wziąć sobie siłą. *Paramilitares* i tak przychodzą, i mówią to samo: dałeś brachu syna do FARC, stawaj pod ścianę, albo oddawaj nam drugiego. I teraz *paramilitares* zabierają „ochotnika" do swoich. Najgorzej, jak do takiej wsi wejdzie jeszcze wojsko i zapadnie wyrok: ta wieś wspiera leśne grupy…

Tak, są wioski, które cieszą się opieką partyzantów. Chłop partyzantów popiera, gdy ci przychodzą do wsi i kupują w jego sklepiku. Ale gdy przychodzą i biorą sobie wedle potrzeb, chłop się partyzantów boi. Tak samo jest, gdy przychodzą *paramilitares.* Jeśli kupują w sklepiku, chłop popiera *paramilitares;*

gdy jednak *paramilitares* przychodzą chłopa okraść… I tak w kółko. To nie poparcie, to nie sympatia do jednych czy do drugich. To instynkt życia. Przystosowanie.

Jak tu popierać, jeśli partyzanci zatrzymują autobus i każą płacić wykupne? Wszystko jedno – biedny czy bogaty, biały czy Indianin. Jak biedny, niech zapłaci mało, ale zapłacić musi. Jeśli zapłaci, dostaje pokwitowanie. Jeśli następnego dnia inna grupa partyzantów zatrzyma autobus, którym ów jechał, pokazuje pokwitowanie, że w tym roku już zapłacił, i puszczają wolno. Tak jest z reguły, choć od reguł są wyjątki.

Raz przyszli do wioski i zabrali chłopu żonę. Masz tu granat, rzuć w posterunek policji, to ci oddamy kobietę. Chłop poszedł, rzucił, ale go złapali. Teraz siedzi. Albo wysadzają linie wysokiego napięcia. Większe miasta szybko sobie poradzą, ale małe wioski w interiorze tracą prąd na całe tygodnie. Różnie jest z tą troską o lud.

***

Nazywam się Daniel Libreros.

Mam pięćdziesiąt lat, wykładam na uniwersytecie Nacional. Przed laty należałem do partyzantki ELN. Odszedłem, nie widziałem dalej sensu w walce zbrojnej. Przedstawię ci krytykę dzisiejszej guerrilli, *ale to będzie inna krytyka niż rządowa, moja krytyka jest „z lewa”.*

Partyzanci, zwłaszcza ci z FARC, to neostalinowcy i militaryści, który chcą ustanowić w Kolumbii państwo sowieckie – z jedną partią, zhierarchizowaną strukturą państwa, w którym wszystko będzie pod kontrolą partii-rządu. FARC nie pracuje z ludem, FARC rozkazuje ludowi, jak ma być. Żyją z narkotyków? Oczywiście – z narkotyków i z porwań. Chronią uprawy koki, przejmują od chłopów narkotyk w postaci nieskończonej, przed ostateczną obróbką, i odsprzedają kokainową pulpę handlarzom narkotyków.

Czy rząd obrał właściwy kurs, dążąc do wytępienia partyzantów? Nie, rząd Uribe reprezentuje dokładnie taki sam militaryzm jak FARC, tylko z ideologią prawicową, a jego bazą społeczną są właściciele ziemscy. Pomagają mu Amerykanie. Słyszałeś o „planie Kolumbia” – to skryty plan podboju, nasz kraj ma wiele bogactw – ropę, znakomite ziemie, zasoby wodne, szmaragdy… Pod

pretekstem pomocy, Amerykanie położą na nich łapę, oni wiedzą, co robią.

Wyjście dla Kolumbii? To długa droga. Trzeba podbić świadomość ludzi, muszą uwierzyć, że zmiany pokojowe są realne. W Kolumbii wszystko załatwia się przemocą, bronią. Tak się dalej nie da… Mówisz, że to utopia, ale nie da się żyć bez marzeń, zwłaszcza w takim kraju. Stworzyliśmy organizację, która nazywa się Front Społeczny i Polityczny; skupia postępowych liberałów, demokratów, komunistów, trockistów, związkowców, antyglobalistów, różne organizacje pozarządowe. Mamy kilku deputowanych, senatorów i zaczynamy pracę od podstaw: prasa, ruch związkowy, organizacje praw człowieka, uniwersytety. Sprzeciwiamy się bezkarności polityków-przestępców i „planowi Kolumbia", domagamy się reform społecznych, których nigdy nie przeprowadzono.

Chcesz wiedzieć, co sądzę o „Nogalu"? Natychmiast po wybuchu rząd skierował podejrzenia w stronę FARC. „Nogal" to był luksusowy klub dla elit Bogoty. Prezesem był eksminister spraw wewnętrznych, do klubu chadzali politycy, przedsiębiorcy, dyplomaci, biznesmeni. Stałym gościem była żona nieżyjącego barona kokainy Escobara, który przed laty klub ten wybudował. Budynek strzeżono jak pałac prezydencki… Zapanowało przekonanie, że partyzanci wysadzili „Nogal", bo pragnęli prestiżowego sukcesu: wysadzenie tak strzeżonego budynku musiało wywołać popłoch i poczucie klęski wśród ludzi władzy. Ale partyzanci ogłosili, że nie mają z zamachem nic wspólnego…

I to prawda, bo „Nogal" to robota paramilitares! *Spójrz: w klubie spotykali się ludzie z rządu i* paramilitares *Carlosa Castaño. Castaño negocjował warunki wyjścia z konspiracji i demobilizacji oddziałów. Kontekst tych negocjacji jest złożony: Castaño kontroluje część terenów na północy kraju, gdzie znajduje się dużo bogactw naturalnych – ropa, doskonałe zasoby wodne. Tymczasem* paramilitares *z południa kraju żyją z koki. Castaño chce wyjść z podziemia za cenę sprzedania kolegów z południa – po to, żeby uwiarygodnić się przed opinią publiczną i Amerykanami, że nie ma nic wspólnego z narkobiznesem. „Nogala" wysadzili* paramilitares z *południa, którzy chcieli ostrzec Castaño i odciągnąć go od negocjacji z rządem.*

***

Z partyzantami negocjował rząd Andresa Pastrany, poprzednika Uribe. Partyzanci dostali specjalną strefę, z której rząd wycofał wojsko. Trzy lata rozmów skończyły się tym, że obie strony znów zaczęły strzelać. Krytycy *guerrilli,* nie tylko zwolennicy prezydenta Uribe, również liberałowie i demokraci, sądzą, że partyzanci mieli za nic składane obietnice i przez cały okres negocjacji nadal porywali zamożnych Kolumbijczyków dla okupu. Przyznana im przez rząd zdemilitaryzowana strefa dostarczyła komfortowego warunków schronienia – wojsko nie miało do niej wstępu, partyzanci robili, co chcieli.

Nie ufali władzy. Negocjacje stworzyły im okazję prezentowania w telewizji swoich racji przez całą dobę. Powtarzali, że państwo musi być właścicielem strategicznych surowców i gałęzi gospodarki, że połowa dochodu powinna być inwestowana w „socjal" (tanie mieszkania, edukację, walkę z bezrobociem, płace minimalne), że bogaci muszą płacić wyższe podatki, że biedni rolnicy powinni mieć dostęp do taniego kredytu i pomocy państwa…

Mówili to wszystko, mówili, ale rządowi ciągle nie ufali – pomni tragicznego doświadczenia Unii Patriotycznej *(Unión Patriótica).* Unia Patriotyczna była ruchem politycznym utworzonym w latach osiemdziesiątych przez FARC i miejskich działaczy komunistycznych. Na mocy porozumień z rządem weszła w legalne życie polityczne. W wyborach w roku osiemdziesiątym szóstym wybrano z jej list trzystu pięćdziesięciu radnych, dwudziestu trzech deputowanych, sześciu senatorów. Miała przygotować rozbrojenie partyzantów, a potem ich wejście w cywilne życie polityczne. W krótkim czasie ponad cztery tysiące (!) działaczy Unii i partii komunistycznej padło ofiarą politycznych skrytobójstw. Uważa się, że były dziełem *paramilitares* i agentów policji. Wątpliwe, by po tamtym doświadczeniu partyzanci zaufali jeszcze jakiemuś rządowi. A jeśli nawet, to zachowają broń – na wszelki wypadek. Na pewno nie usiądą do stołu z *paramilitares,* których uważają za formację państwa kolumbijskiego do najbrudniejszej roboty. Dlatego wojna trwa i trwać będzie, chyba że… Chyba że zdarzy się cud.

A póki co, czekając na cud, Kolumbia żyje wedle reguł wojennych. Nawet księgowi zagranicznych firm musieli przywyknąć, że na wojnie nie wszystkie wydatki daje się zaksięgować. Firmy, które inwestują w kraju partyzantów i *paramilitares,* muszą przewidzieć w budżecie kwoty na haracze i okupy dla

grup zbrojnych, na łapówki dla polityków i urzędników. Przeciętnie: jedna trzecia rozchodów.

Wielu lokalnych przedsiębiorców i mniejszych właścicieli ziemskich nie jest w stanie udźwignąć ciężaru haraczy. Porzucają ziemię albo sprzedają za bezcen i przenoszą się do wielkich metropolii – Bogoty, Medellín, Cali.

Powszechne jest przekonanie, że zbrojne grupy, zwłaszcza partyzantów FARC, dałoby się pobić z pomocą wojsk amerykańskich – komandosów, floty wojennej, lotnictwa. Trzeba by odciąć dopływ broni, żywności, łącza komunikacyjne – lądowe, wodne, powietrzne. Siłami kolumbijskiego wojska – to niemożliwe. A Amerykanów Kolumbijczycy ani myślą zaakceptować jako nowych panów. Dlatego Kolumbijczycy muszą się dogadać między sobą. Wielu sądzi jednak, że to niemożliwe, że nie potrafią.

***

Nazywam się Eduardo Suárez.

Pracuję dla Instytutu im. Luisa Carlosa Galana. Wie pan, kto to był Galán [kandydat na prezydenta, którego zabili ludzie Escobara]. *Inaczej niż wielu ludzi w Kolumbii, ja uważam, że da się coś zrobić, trzeba próbować. Pracujemy z wieśniakami z odległego regionu Putumayo. Namawiamy, żeby porzucili uprawę koki i uczymy, jak uprawiać pomidory, jukę, zboże, kukurydzę, różne owoce; jak prowadzić farmy rybne, w ogóle agrobiznes. Do tej pory musieli pilnować koki, którą przejmowali od nich partyzanci, albo paramilitares. Teraz zaczynają legalnie żyć!*

Początkowo nam nie ufali – bo z miasta, bo myśleli, że jesteśmy jak władza państwowa. Zaproponowaliśmy spotkania edukacyjne. Ale od razu natrafiliśmy na mur: grupy zbrojne zakazały zgromadzeń w miasteczkach i wioskach. A ludzie bali się kar za nieposłuszeństwo. Czasy koki sprzyjały samodzielnemu zajmowaniu się własnym poletkiem, my przyszliśmy z ofertą budowania wspólnoty: biznesowej, obywatelskiej… Ale dzień po dniu nabierali do nas zaufania. Wytłumaczyli partyzantom i paramilitares, *że Instytut Galana nie prowadzi polityki, tylko uczy, jak prowadzić gospodarkę, i tamci to kupili.*

Pojawili się nowi liderzy społeczności, ludzie przestali chodzić po sprawiedliwość do partyzantów. Kiedyś było tak, że jak sąsiad doniósł do

guerrilli *na sąsiada, albo żona na męża, na przykład, że ją katuje, partyzanci schodzili z gór i wymierzali kary. Teraz w wioskach i miastach, w których prowadzimy naszą pracę, przestali chodzić do partyzantów, sami rozstrzygają spory. Wraca normalne życie cywilne.*

***

Nazywam się Alberto Villamizar.

Nie cierpię prezydenta Uribe, ale jego walkę z narkobiznesem i partyzantami popieram całym sercem…

(Villamizar jest legendą życia publicznego Kolumbii. Wieloletni senator, ambasador, zwolennik ekstradycji baronów narkotykowych do Stanów Zjednoczonych. Był na pierwszej linii frontu w walce z kartelem Escobara. Kiedyś Escobar wysłał za nim zabójcę aż do Indonezji, gdzie Villamizar ambasadorował. García Márquez tak go opisał w *Raporcie z pewnego porwania:* „Alberto odziedziczył [po dziadku ministrze wojny i stryju generale] podwójną osobowość wojskowego i santanderyjczyka – zarazem serdeczną i władczą, poważną i hulaszczą – który najpierw strzela, potem pyta, zawsze mówi prosto z mostu i nigdy w życiu nie przechodzi z nikim na ty. (…) Jako santanderyjczyk czystej krwi zawsze nosi przy sobie krótkiego *smith&wessona* 38, którego wolałby nigdy nie użyć…”)

Kolumbia rozpada się, państwo jest słabe i nieobecne. Praca organiczna wśród wieśniaków, taka jak w Putumayo, to duża szansa – żeby ci ludzie w końcu zrozumieli co to wspólnota, co to państwo, jak legalnie żyć. To narkotyki są w centrum naszych problemów: z nich żyją partyzanci, paramilitares; *to one są źródłem skorumpowania polityków. Uderzenie w narkobiznes to klucz do kolumbijskiej tragedii! Jak się wykorzeni narkotyki, podetnie się źródła finansowania grup zbrojnych, korupcji, całej tej wojny.*

Kultura przemocy? Bzdury! Raczej brak edukacji i tradycji demokratycznej. Kultura łatwego zysku i łatwego życia? Na pewno tak. Nie, nie wierzę w to, że Kolumbijczycy są jakoś szczególnie okrutni, krwawi. Ale grupy zbrojne trzeba zniszczyć siłą. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych guerrilla *nie była poważną możliwością, ale przynajmniej wskazywała problemy – nierówność, niesprawiedliwość, korupcja. I miała siłę moralną – nie była uwikłana*

w narkobiznes i porwania dla okupu. Większość inteligencji bogotańskiej sympatyzowała z partyzantami, przynajmniej z ich racjami. Teraz nie widzę innej drogi, jak zniszczenie guerrilli *siłą. Przez trzy lata negocjacji z rządem Pastrany partyzanci FARC uprawiali propagandę w telewizji, a potem znów zaczęli strzelać. Kiedyś byłem bardziej pokojowo nastawiony. Od zamachów na moje życie wszystko się zmieniło.*

***

Ludzie o indiańskich rysach twarzy. Sprzedają cukierki i orzeszki, sprzątają, zaradniejsi handlują indiańskimi rękodziełami, wielu żebrze. W piekielnym dystrykcie Cartucho obejmującym kilka kwartałów w centrum miasta – koczują Indianie alkoholicy i narkomani. Większość zasiedla slumsy na wzgórzach okalających stolicę i na jej obrzeżach. Inaczej niż w Rio de Janeiro w Brazylii, gdzie *favele* na wzgórzach widać z każdego miejsca, w Bogocie można mieszkać w luksusowej dzielnicy, nie widząc nędzy wygnanych ze świata – duża część slumsów znajduje się w dolinie, blisko granic miasta, gdzie teren jest płaski.

Określenie „wygnani ze świata” nie jest w Bogocie przenośnią. Organizacje praw człowieka biją na alarm: dwieście sześćdziesiąt tysięcy ludzi rocznie zostaje wypędzonych ze swoich domostw. Nielegalne grupy zbrojne, także wojsko, spaliły ich domy, albo wygnały za nieposłuszeństwo, za wspieranie wroga; są tacy, którzy nie potrafili żyć z wojną, i tacy, których małe gospodarstwa nie były w stanie sprostać konkurencji dużych farm; są wreszcie tacy, którzy mieszkali na terenach roponośnych i zostali wypędzeni, żeby któraś z grup zbrojnych mogła trzymać bogactwo jako polityczny i finansowy atut.

Wygnanych w Kolumbii jest trzy miliony – co dwunasty Kolumbijczyk jest wygnańcem. Liczba wygnanych rośnie, sumy z budżetu na pomoc dla nich maleją. Nie ma instytucji rządowej, która zajmowałaby się pomocą dla wypędzonych.

Wielu spośród nich to indiańscy wieśniacy. W Kolumbii jest ich osiemset tysięcy – dwa procent ludności. Zajmują ponad dwadzieścia procent terytorium kraju – trzydzieści milionów hektarów, które legalnie należą do ich wspólnot. Mają jednak pecha – zamieszkują tereny, na których znajdują się najlepsze bogactwa Kolumbii: ropa, węgiel, woda. Państwo uważa, że co na ziemi, to

indiańskie, a co pod ziemią, to państwowe. Jak by nie było dość, tereny indiańskie znakomicie się nadają do uprawy koki i makówek, a to z kolei oznacza obecność *guerrilli* i *paramilitares.*

***

Nazywam się Juan Carlos Houghton.

Mam trzydzieści lat, kieruję Narodową Fundacją Kolumbijskich Indian. To stereotyp, że jak Indianie są w konflikcie z państwem, to idą do partyzantów. Jest na przykład tak: Indianie protestują przeciwko eksploatacji ropy na swoich terenach; żeby zaprotestować, blokują drogę. Wojsko pacyfikuje blokadę, znikają liderzy wspólnot, czasem ich ciała się znajdują, czasem nie… Indianie powołują się na konwencje międzynarodowe, które nakazują konsultowanie z nimi eksploatacji złóż na ich terenach. Ale w Kolumbii nikt nie zwraca uwagi na konwencje. Logiczne byłoby, żeby Indianie poszli na skargę do partyzantów, tymczasem partyzanci są dla nich tacy sami jak państwo: wkraczają do wioski i ustalają własne prawa. Jeśli wspólnota indiańska mówi: „nie", jest traktowana jako sojusznik rządu.

Całe to nieporozumienie najlepiej ilustrują niedawne wydarzenia w indiańskim miasteczku Caldon. Do miasta wkroczył oddział FARC, Indianie powiedzieli: „Wynoście się, to nasze miasto!". FARC – nie chcąc tracić reputacji obrońców uciśnionych – skapitulował i pod presją ludności opuścił miasto. Wieści o wypadkach dotarły do Bogoty. Uribe, wówczas kandydat na prezydenta, oświadczył, że Indanie są mądrzy i odpowiedzialni. Indianie na to: „Nie bronimy państwa, bronimy swoich praw". Ale tego nikt już nie nagłośnił i Uribe pojechał do Caldon zrobić wiec wyborczy. Nie przyszedł ani jeden Indianin! Z okolicznych miast i wiosek spędzali białych! Farsa! Jakiś czas później Indianie postanowili odwołać białego burmistrza miasta. Tym razem Uribe zagrzmiał: „Ci Indianie to wywrotowcy!".

Co sądzą o wojnie między rządem i partyzantami? Przyjmują różne postawy: „nic nas nie obchodzi, to nie nasza wojna", „to nie nasza wojna, ale pragniemy pokoju", „opowiadamy się po stronie państwa, ale jeśli będzie to państwo federacyjne". Jest grupa Indian, którzy chcieliby się zintegrować z państwem i zasymilować z resztą społeczeństwa, ale większość chce autonomii. Są

wreszcie tacy, którzy uważają, że indiański ruch protestu i walka partyzantów to w gruncie rzeczy jeden wielki ruch ludowy na rzecz przebudowy Kolumbii. Problem w tym, że partyzanci nie uznają wielokulturowości, Indian traktują jako etnię zacofaną cywilizacyjnie. Partyzantom brakuje myślenia o wspólnotach indiańskich jako konkurencyjnym projekcie cywilizacyjnym – nienastawionym na pogoń za zyskiem, ekologicznym, skierowanym ku małym wspólnotom.

***

Wrażenie robi powracający w rozmowach temat bezkarności przestępców, polityków, urzędników państwowych. Trudno o bardziej przerażającą ilustrację niż historia Carlosa Marulandy (zbieżność nazwisk z komendantem FARC przypadkowa). Ten drugi Marulanda to dla odmiany jeden z bossów *paramilitares.* Przed laty spalił dwustu pięćdziesięciu chłopów, którzy bronili swojej ziemi przed najazdem latyfundysty-watażki. Musiał uciekać z Kolumbii, a po sześciu latach udało się doprowadzić do jego ekstradycji z Hiszpanii.

Ku osłupieniu opinii publicznej, Carlos Marulanda był w więzieniu krócej, niż trwa lot z Madrytu do Bogoty, a człowiek, który doprowadził do uwolnienia, został później prokuratorem generalnym. Zrobił się szum i prokuratura chciała ponownie Marulandę aresztować, ale ten przezornie się ukrył.

Walkę mającą wyjaśnić skandal w prokuraturze – jak i dlaczego doszło do zwolnienia Marulandy – podjął niezmordowany tropiciel korupcji i przestępstw władzy, senator Gustavo Petro. Ledwo się publicznie odezwał, a już tygodnik „El Espectador" wydrukował zapis nagrania rozmowy jakiegoś prokuratora z wysłannikiem *paramilitares.* Rozmowa dotyczyła śledztwa w sprawie Marulandy i kłopotów, jakich narobił prokuratorom, *paramilitares,* no i samemu Marulandzie ten s….syn Petro.

W pewnym momencie pada pytanie: – Dlaczego on jeszcze chodzi po świecie, dlaczegoście go [senatora Petro] jeszcze nie ubili?

Pytanie to wysłannikowi *paramilitares* zadał prokurator.

Ale jest następne pytanie: kto to wszystko ujawnił? Inny prokurator, oczywiście *incognito,* bo w prokuraturze ścierają się frakcje: uczciwych

i obrońców *paramilitares.*

***

Nazywam się Carlos Gaviria.

Jestem prawnikiem. Zajmowałem się obroną praw człowieka, byłem sędzią Trybunału Konstytucyjnego, teraz jestem senatorem. Bezkarność nie ma w Kolumbii końca, bo sędzia, który zdecydowałby się skazać takiego bandziora, musiałby być bohaterem. A czy od ludzi wolno wymagać bohaterstwa?

Uważam, że trzeba podjąć dialog ze wszystkimi grupami zbrojnymi, siłowo się ich nie pokona, kraj pogrąży się w otchłani.

A najważniejsze to reformy społeczne! Ten kraj woła o nie od dziesięcioleci, o sprawiedliwy podział dochodu narodowego, bez tego wszystkie inne kroki to pozory, znów będą wybuchać rebelie, powstania, wojny.

Jest jeszcze jedna sprawa, dziś nierealistyczna, ale absolutnie konieczna: legalizacja narkotyków. Przeprowadzić legalizację w Kolumbii byłoby łatwiej, ale tu nie chodzi o Kolumbię. W Kolumbii nie konsumuje się narkotyków, tu się je produkuje. Legalizacja na świecie, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, rozwiązałaby kolumbijski supeł.

***

„Wstąp do FARC!”.

Dobrych kilka minut wpatrywałem się w namalowany na murze slogan, witający każdego, kto wchodzi na teren kampusu uniwersytetu Nacional. Widać, że ktoś walczy z tą malowaną na murach propagandą: napis był wyraźnie zamalowany, a ten, który mnie przywitał, został namalowany na zamalowaniu.

Wstąp do FARC, czyli co? Czyli handluj narkotykami? Porywaj dla okupu? Nie, wstąp do FARC, czyli nie gódź się na bezkarność bandziorów takich jak Carlos Marulanda z *paramilitares,* którzy mordują bezbronnych wieśniaków. Wstąp do FARC, to znaczy odmawiaj akceptacji instytucjom państwa, które mordują przeciwników politycznych. Wstąp do FARC, to jest nie ufaj rządowi, bo umowy z nim przestają być ważne nim wysycha tusz na papierze, na którym je spisano.

Wstąp do FARC, czyli nie gódź się na to, że dwa procent ludzi posiada ponad połowę ziemi…

Wizyta w kampusie uniwersytetu Nacional podważyła ostatecznie mój obraz konfliktu w Kolumbii, jaki wyłania się z „newsów" wielkich agencji, stacji telewizyjnych, wysokonakładowych pism: rząd, który chce ładu, spokoju i dobra obywateli *contra* zapiekli rewolucyjni zbrodniarze. Myśl o rewolucji, o wywróceniu starego nikczemnego świata, o żądaniu niemożliwego jest żywa, gorąca, żarliwa, jak trzydzieści, czterdzieści lat temu. Na Nacionalu Che Guevara naprawdę żyje, a ksiądz Camilo Torres właśnie wczoraj skończył wykład z socjologii i poszedł w góry z karabinem, bo właśnie uświadomił sobie, że mówieniem już nic nie wskóra.

Graffiti z podobiznami Che Guevary i księdza Camila Torresa są na każdej ścianie. Centralny plac kampusu nosi imię Che. Gdzieś obok inne *graffiti* – zachęcające do wstępowania w szeregi ELN-u *(Ejército de Liberación Nacional,* Wojska Wyzwolenia Narodowego, drugiej obok FARC rewolucyjnej partyzantki): „Bunt to życie, uległość to śmierć!". Cytaty z myśli księdza Torresa: „Lud jest zrozpaczony i gotowy ryzykować życie, by następne pokolenia Kolumbijczyków nie były niewolnikami. Rewolucja jest nie tylko dozwolona, ale konieczna…". Z murów uczelni naucza też Włodzimierz Lenin – że bez walki i pracy znajomość marksizmu jest niczym, a rozejście się teorii z praktyką to najbardziej odrażający występek społeczeństwa burżuazyjnego.

Rzeczywistość przerosła plotkę, że uniwersytet jest terenem infiltracji partyzantów. Infiltracji? – Chłopie – usłyszałem do kogoś – co drugi student ma w domu koktajl Mołotowa! To tutaj studiowały dziewczyny z „dobrych domów", Diana Guevara i Gladys Cárdenas, które podpaliły bogotańskie metro TransMilenio. Dlaczego? Kolumbijscy komentatorzy łamali pióra, wymyślając motywy: bo skoro metro nie jest środkiem lokomocji oligarchów, skoro podróżują nim ludzie raczej biedniejsi niż bogatsi… Brak zrównoważenia? Choroba psychiczna? Drogę rozumowania dziewczyn, które zamilkły przed prokuratorem, wyjaśnił dziennikarzom anonimowy dwudziestodwulatek: TransMilenio to nie symbol modernizacji Bogoty, to symbol monopolu wielkiej kompanii, która pozbawiła pracy tysiące kierowców, taksówkarzy, właścicieli małych busików. Niezbyt niemądre, ale dające się ogarnąć w logice buntu przeciwko niesprawiedliwemu państwu i skrajnie nierównemu społeczeństwu.

I tak zresztą bogotański uniwersytet Nacional zaludniają gołębie. Uczelnie

z Medellín czy Santander są sceną walk zbrojnych studentów sympatyzujących z FARC ze studentami sympatyzującymi z *paramilitares.* Zdarzają się ofiary śmiertelne – wśród studentów i profesorów. Zdarzają się skrytobójstwa – średnio piętnaście rocznie.

Po Nacionalu oprowadza mnie Santiago, bystry, imponująco oczytany student socjologii, któremu marzy się kariera profesora. Wygląda jak chodzący stereotyp intelektuała-rewolucjonisty: drobny, szczupły, w okrągłych okularkach *á la* John Lennon, z książką i z papierosem. To nasze drugie spotkanie. Na pierwszym daje mi wykład swojej wizji kolumbijskiego dramatu, ale dopiero rozmowa w scenerii zrewoltowanej uczelni uświadamia, o czym opowiadał za pierwszym razem. Santiago jest skupiony, dotyka spraw naprawdę tam, gdzie boli; potrafi rzecz zilustrować, a oczywiste fakty i opinie obracać tak, aby dostrzec całą ich nieoczywistość.

***

Nazywam się Santiago,... mniejsza o nazwisko.

Studiuję socjologię na uniwersytecie Nacional. Mówisz, że partyzanci uprawiają narkobiznes..., a czy potrafisz wskazać stronę w kolumbijskim konflikcie, która tego nie robi? Nie, nie mówię, że to usprawiedliwia guerrillę, *mówię, że to słaby zarzut przeciwko partyzantom, nie to ich wyróżnia, to samo robią politycy, urzędnicy,* paramilitares, *wojsko. Mówisz, że partyzanci porywają, i masz absolutną rację – porwania to jeden z najbardziej odrażających instrumentów politycznych w Kolumbii. Ale wiedz też, że osiemdziesiąt pięć procent zabójstw politycznych i zniknięć liderów związkowych, organizacji społecznych, działaczy lokalnych to dzieło sił państwowych i* paramilitares, *to dane organizacji pozarządowej współpracującej z ONZ. Porwania praktykowane przez* guerrillę *trzeba widzieć na tym tle. Nie, żeby usprawiedliwiać partyzantów – ale żeby zobaczyć w innym świetle zarzuty stawiane im przez władze tego państwa.*

Zwróć uwagę, że mówimy o kraju, w którym ponad połowa ludzi nie ma dostępu do edukacji – na wielu obszarach Kolumbii państwo jest nieobecne. Mówimy o kraju, w którym trzy czwarte ludzi żyje w biedzie, a rząd, który postawił na fizyczną likwidację rebelii, odbiera prawa socjalne, których i tak

nie było wiele. Nie tylko bogaci, również ci z klasy średniej nie chcą społecznych reform, bo musieliby za nie zapłacić. Naprawdę rzecz nie ogranicza się do konfliktu zbrojnego… Mówi się, że narkotyki są źródłem naszych nieszczęść. Bardzo możliwe. Ale czasami odnoszę wrażenie, że państwo wcale nie chce ich wykorzenić, że wojsko i politycy świetnie żyją z haraczy, łapówek, powiązań z narkobiznesem, że wcale nie chcą końca tej przeklętej wojny. Był czas, kiedy nawet Amerykanie tolerowali baronów narkotykowych. Pablo Escobar finansował pośrednio contras [zorganizowane przez CIA siły zbrojne przeciwne rewolucji sandinistów w latach 1979–1990] *w Nikaragui. Chciano się z nim rozprawić, gdy zaczął zawadzać…*

Ja wiem, że to, co mówię, pachnie obroną partyzantów, ale ja ich nie bronię. Myślenie ludzi FARC jest totalitarne – albo jesteś z nami, albo przeciwko nam, albo jesteś prawdziwym rewolucjonistą, albo zdradzieckim reformistą. Nieszczęściem tego kraju jest to, że guerrilla *ukradła wszelkie myślenie o zmianach. Gdy w Kolumbii ktoś mówi o reformach społecznych, prawach człowieka, obronie nędzarzy, albo tylko należy do organizacji pozarządowej, od razu jest podejrzewany o związki z* guerrillą. *Grupy zbrojne zablokowały rozwój pokojowych ruchów na rzecz reform społecznych.*

Sam widzisz, to nie do rozsupłania. Mam jeszcze jedną hipotezę: wiesz, kiedy ta wojna się skończy? Jak zaczną brać do wojska chłopaków z klasy średniej, takich jak ja. Pochodzę z prowincji Santander, ojciec wykupił mnie od służby w armii, tak robią wszyscy. Jeśli już chłopak z klasy średniej idzie do wojska, to albo siedzi przed komputerem, albo jest kierowcą ważnego generała. Z partyzantami idą walczyć żołnierze-wieśniacy – tacy sami, jak ci, z którymi walczą. Więc jak tylko zaczną brać do wojska nas, i padną pierwsi zabici, daję tej wojnie nie więcej niż rok.

***

Już na lotnisku dowiaduję się, że wczoraj policja aresztowała piętnastu Litwinów. Mieli ubrania nasączone narkotykami, proszek wyczuły tresowane labradory z oddziałów antynarkotykowych. Incydent uruchomił wspomnienie odbytych rozmów, zapamiętanych obrazów. Dlaczego właśnie tu wydarza się to wszystko? Inne kraje Ameryki Łacińskiej też miały przeszłość kolonialną. Też

borykają się z nierównościami, nędzą, narkobiznesem. Też miały rewolucyjne partyzantki, szwadrony śmierci, nawet gorzej, bo również wojskowe tyranie, niemal nieznane w Kolumbii. Więc dlaczego tu – dlaczego na taką skalę?

Bo władza, bo klasa średnia nie chce społecznych zmian (komunista Vázquez). Bo narkotyki i kultura łatwego zysku (Alberto Villamizar). Bo słabość i nieobecność państwa (wszyscy). Bo historia nauczyła ludzi, że tylko przemocą daje się tu coś załatwić (Daniel). Bo kultura przemocy (Marco).

Wszystkie odpowiedzi są prawdziwe. I żadna nie satysfakcjonuje, nie uspokaja, że zło zostało przynajmniej zidentyfikowane. Najbardziej utkwiła mi w pamięci historia, którą opowiedział mi na koniec Santiago.

W 1781 roku, na długo zanim kolonie hiszpańskie odzyskały niepodległość, w jednej z kolumbijskich prowincji wybuchło powstanie *comuneros.* Wicekról nakazał podnieść ceny tytoniu i likieru – Korona miała na nie państwowy monopol. Był to sposób na ukryte podniesienie podatków. Mieszkańcy Nowej Granady zaprotestowali. Utworzyli zgromadzenia, które wybrały liderów i pomaszerowały na Bogotę. Nie mieli aspiracji, jakie ujawniły się pokolenie później i doprowadziły do zerwania kolonii z hiszpańską Koroną – chcieli tylko zaprotestować przeciwko nałożonym przez władzę ciężarom. Obawiając się, że marsz dwudziestu tysięcy ludzi wymknie się spod kontroli i zdewastuje miasto, wicekról poprosił o mediację arcybiskupa. Hierarcha wynegocjował z buntownikami, że nie wejdą do Bogoty, porzucą niektóre żądania, a w zamian Korona wycofa się z podwyżki cen tytoniu i likieru, uwzględni rozmaite skargi mieszkańców, a przy obsadzaniu urzędów będzie preferować Kreoli przed Hiszpanami. *Comuneros* się wycofali. Krótko potem głowę i dłonie jednego z nich, Antonia Galana, władze kazały zatknąć na kijach i pokazywać w miastach Nowej Granady. Dom Galana zrównano z ziemią, a ziemię, na której stał, posypano solą – tak jak to robili Rzymianie po rozgromieniu Kartaginy.

– Od tamtej pory – mówi Santiago – nic się nie zmieniło. Nie dotrzymano żadnej obietnicy, nie wypełniono żadnego zobowiązania. Dokładnie tak samo było w latach osiemdziesiątych z Unią Patriotyczną, legalnym ruchem utworzonym przez partyzantów FARC. Wszystkich, którzy ujawnili się na mocy układów z rządem, wyrżnięto. Mówią o tym: kultura przemocy. Może mają rację. Ale przemoc to tylko skutek. Skutek czegoś, co tkwi w głowach i sercach ludzi. Tym czymś jest nieufność, a tę zrodziła zdrada. Ja to nazywam kulturą zdrady.

Miniatura XVII
(guevaromania – 1)

Hawana, Bogota, Sao Paulo, Madryt. *Graffiti,* koszulki, berety, plakaty. Che zatroskany, Che chmurny, Che z cygarem, Che z Fidelem. Na pchlim targu w starej Hawanie stragan kiczowatych drzeworytów z wizerunkiem *Guerrillero Heroico,* Bohaterskiego Partyzanta. Ze sto tabliczek i między nimi figurka Matki Boskiej. Święta Maryja i Święty Guevara.

Świętość na Kubie jest naprawdę w cenie. Koszulka dobrej jakości z podobizną Che kosztuje od dwunastu do piętnastu dolarów. Stara Murzynka z fabryki cygar w Pinar del Río żaliła mi się, że zarabia sto czterdzieści *pesos,* około siedmiu dolarów. Na koszulkę z Che i sloganem: „Lepiej umrzeć stojąc, niż żyć na kolanach” musiałaby pracować dwa miesiące. Koszulki kupują więc turyści.

Światowa guevaromania wybuchła już po „końcu historii”, to znaczy po krachu Ojczyzny Proletariatu. Ponad trzydzieści lat po śmierci Ernesto Che Guevara zmartwychwstaje i na nowo podbija wyobraźnię milionów. W czasie marszów przeciwko globalizacji – w Seattle, Pradze, Seulu, Quebecu – manifestanci znów nieśli kolorowe sztandary z wizerunkiem Che. Jak w Paryżu, Berkeley i Berlinie Zachodnim w 1968 roku.

Mit Che nie jest już dzisiaj własnością tylko ultralewicowych grup i części pokolenia '68. Guevara ma wyznawców wśród młodych z tak zwanej generacji X, jest bohaterem rewolucyjnych pieśni i rapowych protest songów. Zadziwiłby się, jak bardzo kocha go „imperialistyczny” rynek. Wypisy z amerykańskiej prasy:

* sprzedaż nart o nazwie „Rewolucja” renomowanej firmy „Fischer” wzrosła czterokrotnie, odkąd zaczęły je reklamować plakaty i billboardy z wizerunkiem Guevary;

* ekskluzywna sieć nowojorskich butików „Label” sprzedawała jeszcze

niedawno sukienki, bluzki i koszulki w stylu *postgrunge* i z guevariańskimi motywami militarnymi;

* w kawiarence „Lenin” w Helsinkach można wypić kawę o nazwie „Che”, wzmocnioną kubańskim rumem.

Internetową przestrzeń zajmują tysiące stron poświęconych Guevarze we wszystkich językach: fragmenty dzienników, dziesiątki cytatów, fotografie… Kilka lat temu pewien brytyjski browar rozkręcił kampanię promującą piwo z wizerunkiem Che. Przynętą było hasło: „Zabronione w USA. Musi być dobre”. Kampanię wstrzymały protesty wdowy po Bohaterskim Partyzancie, Aleidy. Nawet Fidel Castro wypuścił na kubański rynek plastikowe zegarki z podobizną Che i napisem „Rewolucja”. Też raczej dla przybyszów z dolarami.

Prasę światową obiegła wieść, że słynny hollywoodzki amant Robert Redford i gwiazda rocka z pokolenia Che, Mick Jagger, ścigają się, kto pierwszy zbierze pieniądze na zrobienie filmu o bohaterze ich młodości. Film Jaggera – o romansie Guevary z Tamarą Bunke, „Tanią”, pół Niemką, pół Argentynką. Spotkali się w 1960, w czasie pierwszej wizyty Che w Europie Wschodniej. Legenda głosi, że „Tania” była podwójną agentką – wschodnioniemieckiego wywiadu i sowieckiego KGB, postacią jak ze szpiegowskich powieści Johna Le Carré. Rosjanom miała donosić, co na Kubie piszczy w trzcinie, a – wbrew temu, co się wielu wydaje – piszczało nie zawsze po myśli przywódców ZSRR. W archiwach sowieckich i NRD-owskich nie ma jednak po „Tani” ani śladu. Markus Wolfe, szef byłych wschodnioniemieckich spec-służb zaprzecza, iżby miała związki z jego firmą. Najpewniej była po prostu ciężko zakochana w Guevarze; tak bardzo, że wbrew obowiązkom kurierki i organizatorki siatki konspiracyjnej w La Paz, spaliła za sobą mosty i przyłączyła się do partyzanckiej – jak się wkrótce okazało – katastrofalnej ekspedycji Che. Zginęła jak inni uczestnicy tamtej rewolucji, która nigdy nie wybuchła. Po śmierci mówiono, że nosiła trzymiesięczną ciążę, i że było to dziecko Guevary. Zaprzecza temu towarzysz Che, Benigno, jeden z trzech, którzy przeżyli boliwijską eskapadę. Jeśli nawet była w ciąży – a podobno nie robiono autopsji – ojcem był inny partyzant. W kwietniu 1967 roku rewolucjoniści podzielili się na dwie grupy, które nigdy więcej się nie spotkały. Che i „Tania” nie byli razem w ostatnich pięciu miesiącach życia rewolucjonistki. Dziewczyna poległa 31 sierpnia, ponad miesiąc wcześniej niż Guevara.

Film Redforda z kolei, to opowieść o młodości Che na kanwie *Motocyklowych*

dzienników. W drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych zapiski młodego Guevary z podróży, jaką odbył z kolegą po Ameryce Południowej w 1952 roku, stały się krzykiem młodzieżowego snobizmu na Zachodzie. To taka opowieść drogi, budząca skojarzenia z bestsellerem, z czasów hippisowskich *W drodze* Jacka Kerouaca. Przez prawie trzy dekady Fidel Castro trzymał dzienniki Che pod kluczem, bo nieskazitelny rycerz i purytanin rewolucji wychodzi w ich świetle na nieuleczalnego podrywacza i burżujskiego synalka.

Relikwie świętego partyzanta (1)

Umyte zwłoki wystawiono w pralni Szpitala Matki Boskiej Maltańskiej. Miały otwarte oczy, które spokojnie, niemal wybaczająco spoglądały na swoich katów i boliwijskich chłopów, którzy się zbiegli z okolicy. To oni zaczęli szemrać, że zastrzelony partyzant przypomina Ukrzyżowanego.

Zdjęcie martwego Ernesta Che Guevary obiegło świat. Na kolejnych reprodukcjach broda i włosy stawały się coraz dłuższe, twarz coraz bledsza i coraz bardziej pociągła. Trzydzieści lat po śmierci Bohaterskiego Partyzanta jego przyjaciel, Ahmed Ben Bella, były prezydent Algierii, pisał pod wpływem tamtej fotografii o „wyciągniętym nagim torsie – ciele, które rozsiewa tyle światła".

Wkrótce po śmierci Che, Argentyńczyk Carlos Alonso namalował „Chrystusa z karabinem na ramieniu". Kopie obrazu na plakatach i murach latynoskich miast niepokojąco przypominały brodatego partyzanta. Sam Che pisał w liście do matki: „Jestem całkowitym przeciwieństwem Chrystusa. Będę walczył wszelką dostępną mi bronią, zamiast dać się ukrzyżować…".

Ulica, na której stał zamożny dom Guevarów w argentyńskiej Cordobie, sąsiadowała ze slumsami. Żył w okolicy beznogi nędzarz, którego dzieciaki przezywały „Psim Panem". Co rano psy wyciągały go z nory służącej za mieszkanie. Pewnego dnia dzieci obrzuciły „Psiego Pana" kamieniami. Siedemnastoletni Ernesto stanął w jego obronie. Ale żebrak zaczął złorzeczyć swemu obrońcy, a nie napastnikom. Bardziej nienawidził bogatego, obcego chłopaka niż biedne, jak on sam, dzieciaki ze slumsów.

Che nie odrobił tamtej lekcji. W Boliwii, gdzie po raz ostatni próbował wzniecić rewolucję, chciał walczyć w imię najbiedniejszych, indiańskich chłopów. Ale ci nie wyglądali jego pomocy. Był biały, wykształcony i mówił po hiszpańsku jak bogaci *señores.* Kto by takiemu ufał?

Che nie zdołał pozyskać dla rewolucji ani jednego wieśniaka. Nie tak dawno

w Boliwii dokonała się reforma rolna. Ograniczona, ale zaspokajała aspiracje chłopów. Nie mieli ochoty ryzykować życie za iluzoryczne coś więcej. To prawda, ostatnie dni Guevary miały coś z Kalwarii. Przeczucie nieuchronnego cierpienia, zwątpienie towarzyszy – „apostołów Rewolucji". Był Judasz – chłop, który zdradził boliwijskim żołnierzom miejsce pobytu niedobitków z oddziału Che. Po pojmaniu – dumne milczenie na przesłuchaniu, a potem śmierć. Piłatem byli Amerykanie, którzy mając wpływ na prezydenta Boliwii, uzyskaliby zapewne wstrzymanie egzekucji, a jednak umyli ręce. Trudno tylko orzec, kto był świętym Piotrem, który się zaparł. Fidel Castro, który nie ruszył ręką, żeby pomóc zamkniętemu w potrzasku towarzyszowi?

Prawdziwa historia fatalnej boliwijskiej wyprawy Bohaterskiego Partyzanta wygląda jednak inaczej. Z wykluczających się często relacji i interpretacji wyczytać można scenariusz pełen zagmatwanych politycznych motywów, tajemniczych zwrotów, sekretnych planów, których cele wyszły na jaw dopiero niedawno.

W październiku 1966 roku do otoczonej wzgórzami osady Ñancahuazú przybywa trzech ludzi. Zakładają obóz szkolenia partyzantów, którzy mają przenieść żagiew rewolucji z Boliwii na cały kontynent. Trzeciego listopada do La Paz przylatuje z Madrytu Adolfo Mena, Urugwajczyk. Łysy, w ciemnych okularach, eleganckim garniturze, typowy *bourgeois.* Wraz z dwoma innymi dżentelmenami wynajmuje jeepa. Jadą w stronę Ñancahuazú.

Adolfo Mena to Che.

W Boliwii miał czekać na niego partyzancki oddział sformowany przez miejscowych komunistów. Nie czekał nikt, choć komunistyczny lider, Mario Monje, zapewniał Fidela Castro, że wszystko przygotuje. Miał zająć się werbunkiem, zdobyciem broni, przygotować zaplecze. Nie zrobił nic. W ostatniej chwili zmienił nawet miejsce akcji. Che trafił na tereny słabo zaludnione, blisko granicy z Argentyną. Tak jakby Monje chciał, żeby partyzanci Che poszli precz do ojczyzny swojego komendanta.

Krótko przed początkiem wyprawy Monje bawił na Kremlu. Ocaleni z Boliwii przyjaciele Guevary są przekonani, że zabiegał tam o zgodę na sabotowanie jego akcji. Może dostał wręcz rozkaz pozostawienia Che i jego ludzi samym sobie.

Miną miesiące, nim Guevara się zorientuje, że znalazł się w całkowitej izolacji.

Jednak obóz szkoleniowy partyzantów działa. Uczą się strzelania, marksistowskiej propagandy, pieczenia chleba… Che spodziewał się, że będą tu przybywać rewolucjoniści-ochotnicy z całego regionu. Liczył na dwustu pięćdziesięciu partyzantów. Ostatecznie zebrało się pięćdziesięciu trzech, z czego wielu nie umiało nawet trzymać broni.

O tym, że Che zaczaił się gdzieś w górach, pierwsi donieśli wojskowym prawdopodobnie dezerterzy z oddziału. Dwudziestego ósmego marca 1967 roku Che zanotował w dzienniku: „Otacza nas 2000 ludzi w promieniu 129 km, pierścień się zacieśnia; oblężenie uzupełniają naloty napalmowe…". Od tej pory zaczyna się chaotyczna wędrówka po dżungli i wzgórzach. Pragnienie, głód, choroby, poczucie klęski. Che jedzie na mule, nie jest w stanie maszerować o własnych siłach. Nasilają się ataki astmy, która prześladowała go od dzieciństwa, nie ma lekarstw. Oddział dzieli się na dwie części, które nigdy więcej się nie spotkają. Pierwsza zostaje wybita w pień trzydziestego pierwszego sierpnia. Miesiąc i tydzień później w zasadzkę wpada grupa Che. „Nie strzelaj, nazywam się Ernesto Guevara i żywy jestem dla ciebie więcej wart niż martwy" – zawołał do żołnierza, którzy wymierzył weń karabin.

To niemal pewne, że miejsce pobytu Guevary zdradził tropiącym go wojskom boliwijskim Ciro Bustos, kiepski malarz, naiwny rewolucjonista, Argentyńczyk, który po rekonesansie w Boliwii miał zorganizować partyzantkę w ojczyźnie Che. Schwytano go razem z francuskim intelektualistą Regisem Debrayem, „Dantonem", kurierem między Che a Castro. Bustos wydał partyzantów, sporządził ich portrety pamięciowe, zaprowadził żołnierzy do byłej kryjówki, gdy pokazano mu fotografie córek i zagrożono ich porwaniem. Gdyby się nie załamał, może Che zdołałby się wymknąć z okrążenia. Może… Bustos zamieszkał w Sztokholmie i odmawiał wywiadów na temat boliwijskiej wyprawy.

Gdy dezercje, choroby i wojska rządowe zdziesiątkowały oddział Che, gdy już tylko niedobitki włóczyły się po selwie, na posiedzeniu politbiura boliwijskich komunistów Monje uderzył wreszcie na alarm: „Che nie wyjdzie żywy. Trzeba wysłać kogoś na Kubę, żeby go ratować". Do Hawany ruszył sam Monje, ale utknął w Santiago de Chile. Władze kubańskie nie odpowiedziały na jego prośby. Nie dostał nawet kubańskiej wizy.

Tymczasem szkolone na Kubie dwa partyzanckie oddziały – boliwijski i kubański – gotowe były wyruszyć do Boliwii, żeby otworzyć drugi front lub

ratować Guevarę. Jeden z dowódców wspominał: „Przygotowaliśmy grupę, powiadomiliśmy Piñeirę [szefa kubańskiej bezpieki i wywiadu]. Piñeiro mówił, że przekazał wieści Fidelowi, ale nigdy nie dostaliśmy rozkazu podjęcia operacji”.

Fidel milczał.

Ponoć Che wyruszył do Boliwii, bo nie mieścili się z Fidelem na jednej wyspie. Jest w tym trochę prawdy i sporo bujdy. W dziejach zdarzają się spółki i przyjaźnie, które odmieniają cząstkę świata, a nawet masową wyobraźnię – Lennona z McCartneyem, Marksa z Engelsem, Bonnie i Clyde'a. Była też spółka Castro – Guevara.

Latem 1955 roku w stolicy Meksyku pewien kubański rebeliant przedstawił Guevarze studenta o komunistycznych zapatrywaniach – Raula Castro. Kilka dni później do Meksyku przyjechał zwolniony z kubańskiego więzienia brat Raula – Fidel. Pierwsza jego rozmowa z Guevarą skończyła się bladym świtem. „Tej jednej nocy stał się członkiem mojej ekspedycji [która zakończyła się triumfem rewolucji na Kubie]” – wspominał Castro, a Che pisał: „Fidel zrobił na mnie wrażenie niezwykłego człowieka. Stawiał czoło niemożliwym do rozwiązania kwestiom i rozstrzygał je. Dzieliłem jego optymizm”.

Przyjaciółka obu pisała po latach, że rozpalali w sobie nawzajem jakiś dziki ogień. „Bez Che Fidel być może nie zostałby komunistą. Bez Fidela Che nie byłby nikim więcej niż idealistycznym intelektualistą”.

Któż jednak wie, czy nie więcej ich różniło, niż zbliżało? Fidel przemawiał spontanicznie, z nieokiełznaną furią; Che wypowiadał się z rezerwą. Che był zorganizowany, Fidel żył w nieustannym chaosie. Che precyzyjnie określał swoje cele, Fidel potrafił wywrócić wszystko na inną stronę, zmienić kurs.

„Fidel był człowiekiem sympatycznym, Che – przeciwnie, choć go uwielbiano – wspominał Régis Debray. – Był rewolucjonistą bez skrupułów, dla którego cel uświęcał środki; jego namiętny stosunek do uczciwości, prawości miał w sobie coś z okrucieństwa”.

Wiele lat po śmierci Guevary Castro wyznał: „Gdyby Che był katolikiem, mógłby zostać świętym”.

Ze świętego miał pewnie zdolność do poświęcania się. Jako dowódca partyzantów nie wypychał innych na linię ognia, ale sam nadstawiał głowę. W Meksyku wsiadł z Fidelem i jego towarzyszami na jachcik „Granma”, który pożeglował w stronę Kuby. Najpierw omal nie zatonęli, łódeczka była

wielokrotnie przeciążona. Gdy dobili do wybrzeży wyspy, wpadli w straszne bagniska i omal się nie potopili. A gdy już wyszli na ląd, przywitał ich ogień piechoty i lotnictwa. Większość członków osiemdziesięciodwuosobowej ekspedycji zginęła. Ale nie Che i nie Fidel. Kilkunastu dziarskich facetów przedostało się w góry Sierra Maestra, gdzie zmontowali rewolucję, która rozpaliła wyobraźnię wszystkich rebeliantów na świecie.

Po zwycięstwie w 1959 roku Guevara należał do najbardziej zaufanych ludzi Castro. To jemu Fidel powierzał misje specjalne: układania się z komunistami (bo Ruch 26 Lipca, któremu przewodził, z komunizmem na razie nie miał nic wspólnego), z prezydentem Kennedym, nadzorowanie ludowych sądów rewolucyjnych i egzekucji ludzi Batisty w wojskowej twierdzy La Cabaña. Che był podobno jedynym współpracownikiem, na którego Castro nie podniósł głosu. Za błędy taktyczne Guevary w partyzantce obrywali niżsi rangą.

Na tej przyjaźni doskonałej kładą się jednak cienie. Zaraz po rewolucji do Guevary dotarły przykre plotki: „Wszyscy ci obcokrajowcy są najemnikami – miał mówić Fidel o Che. – Wyślę ich na Santo Domingo i będę patrzył, jak Trujillo [ówczesny dyktator tego kraju] ich zabija”.

Ich polityczne drogi rozchodziły się coraz bardziej, choć nadal pozostawali przyjaciółmi. Fidel troszczył się przede wszystkim o bezpieczeństwo Kuby. Musiał iść na kompromisy. Tymczasem pomysły Che na przestawienie gospodarki kubańskiej z rolniczej (uprawa trzciny cukrowej) na przemysłową narażały kraj na katastrofę, zaś forsowanie za wszelką cenę idei rozpalenia „stu Wietnamów” (formułę tę Che wymyślił krótko przed śmiercią) psuło Fidelowi stosunki z Moskwą.

Che zaczął tracić na Kubie grunt pod nogami. Wściekle pokłócił się z Raulem Castro, który nazwał go „Trockim” (za domniemane sympatie prochińskie i krytykę ZSRR). „Jesteś idiotą” – odwinął się Guevara.

Fidel milczał.

W 1965 roku Che był już w Kongu. Z poparciem Fidela i z setką kubańskich żołnierzy pojechał pomóc jednej ze stron w kongijskiej wojnie domowej. Zdawało mu się, że walczy o socjalizm przeciwko neokolonializmowi, zwłaszcza po tym, jak w Stanleyville (Kisangani) wylądowali belgijscy spadochroniarze. Snuł plany zmontowania partyzanckiej kolumny-matki, z której później miały powstawać inne kolumny, otwierać nowe fronty w Kongu i innych krajach Afryki.

Gdy przybył do Konga, powstanie dogorywało. Nikt na niego nie czekał – był biały, obcy i zbyt sławny, by nie budzić zazdrości kongijskich komendantów. Jako obcokrajowcowi nie pozwolono mu brać udziału w walkach, miał szkolić i wysyłać innych na śmierć. Guevara notował: „Armię Ludowowyzwoleńczą cechuje pasożytnictwo: nie pracuje, nie szkoli się, nie walczy, natomiast wymaga od ludności, aby ją zaopatrywała i pracowała dla niej, czyniąc to nieraz z niezwykłą brutalnością". Szokowały go przemoc partyzantów wobec chłopów i bestialskie traktowanie jeńców.

Mimo totalnej klęski, rozproszenia partyzantów i zagłady części kubańskiej ekspedycji, Che nie myślał o wycofaniu się z Konga. „On naprawdę oszalał" – wściekał się Manuel Piñeiro. Tymczasem Che notował: „Jakże łatwe byłoby ostateczne poświęcenie". Tego samego żądał od innych. Nieposłuszeństwo podwładnych karał głodzeniem. „To jedyna skuteczna metoda w wojnie partyzanckiej", napisał potem.

Pokonanego, złamanego i chorego wyciągnął z dżungli Castro, posyłając ekspedycję ratunkową.

Wcześniej jednak odczytał na zjeździe partii list Guevary, który ten pozostawił, opuszczając Kubę. List miał być alibi dla Castro na wypadek, gdyby opinia międzynarodowa oskarżyła Kubę o szerzenie akcji wywrotowych w Trzecim Świecie.

Che pisał, że działa w Kongu na własną rękę, że Kuba nie ma z tym nic wspólnego: „Zrzekam się formalnie wszystkich stanowisk… W sensie prawnym nic już mnie z Kubą nie łączy, z wyjątkiem więzów innego typu, których nic rozerwać nie może… Wzywają mnie inne ziemie, inne ludy. Mogę robić to, czego nie wolno Tobie z powodu odpowiedzialności, jaką masz wobec Kuby. Nadeszła pora rozstania…".

Teraz, gdy Guevara dogorywał w Kongu, Fidel, ujawniając ten list, odcinał mu drogę powrotu.

„Gównojady, debile, idioci!" – wrzeszczał Che na wieść o wystąpieniu Castro. Miesiące miną, zanim Fidel przez pośredników przekona Guevarę do powrotu na wyspę. Do tego – powrotu *incognito.* To ponoć Fidel wymyśli dla starego towarzysza boliwijską ekspedycję. Nie dlatego, żeby go unicestwić, lecz żeby go ratować. Che chciał wzniecać rewolucję w ojczystej Argentynie, gdzie – jak sądził Castro – służby specjalne schwytają go natychmiast i zabiją. Boliwia miała

być łatwiejszym krajem, a w razie sukcesu prologiem rewolucji na kontynencie, wrotami ku Argentynie.

W ostatniej rozmowie Castro próbował podobno przekonać Guevarę, żeby odłożył wyprawę. Perswadował, że nie ma co liczyć na komunistów z Boliwii, że nie ma łączności, i w ogóle wiele rzeczy jest niezałatwionych. Groch o ścianę. Ostatnie uściski, klepanie po plecach i – wedle relacji – ostatni gest Fidela zdradzający desperacką rezygnację wobec uporu przyjaciela.

W lipcu 1967, trzy miesiące przed śmiercią Che, zawitał do Hawany sowiecki premier Aleksiej Kosygin. Miał zniechęcić Fidela do dalszych „andyjskich fantazji". Znamienne, że na Kubę przyleciał bezpośrednio z USA. Prezydent Lyndon Johnson (co wiadomo z ujawnionych niedawno dokumentów) naciskał na Kosygina, żeby wpłynął na Hawanę i powstrzymał eksport *guerrilli* do Ameryki Łacińskiej. Czy w sprawie uśmiercenia ekspedycji Che Sowieci zawarli niepisany pakt z USA? Zakochany w Guevarze biograf, francuski dziennikarz Jean Cormier nie ma wątpliwości: Che „schwytany został w kleszcze przez dwie potęgi; zarówno CIA, jak i KGB z różnych powodów sprzysięgły się przeciw niemu".

Najbardziej interesującą hipotezę na temat śmierci Che snuje Jorge Castañeda: „Jeśli Fidel istotnie rozważał operację ratunkową, doszedł być może do konkluzji, że męczeństwo Che w Boliwii posłuży lepiej sprawie Rewolucji niż Che żywy, ale sfrustrowany w Hawanie. Byłby tam źródłem nieustannych problemów, napięć, herezji – niemożliwych do rozwiązania; a koniec mógłby być identyczny. Łudzić się, że Fidel Castro nie byłby zdolny do takiego cynizmu, to ignorować metody, dzięki którym utrzymał się u władzy przez ponad 40 lat. Fidel nie sprowokował tej śmierci; pozwolił tylko, by się zdarzyła".

W roku 1987 w jednym z wywiadów Castro bronił się, że akcja ratunkowa w Boliwii była niemożliwa. Samo przerzucenie oddziału było ryzykowne, do tego zaciskająca się pętla okrążenia, brak komunikacji… A jednak rok po śmierci Che Fidel zmontował misję, która ocaliła dwudziestu czterech partyzantów otoczonych przez rządowe wojska w Wenezueli. Jednego z dowódców tamtej ekspedycji, pułkownika Arnalda Ochoę, Castro każe w 1989 roku rozstrzelać – za uwikłanie w narkobiznes. Niektórzy twierdzą, że za spisek i sympatię do Gorbaczowa.

„Zadawałem sobie nieraz pytanie – wspominał Régis Debray – czy Che nie

udał się do Boliwii po to, by z sobą skończyć. Być może taki zamiar tkwił gdzieś w głębi jego podświadomości? Wraz z pragnieniem stania się męczennikiem". Gonił śmierć po różnych kontynentach, aż dopadł ją w małej boliwijskiej wiosce La Higuera. Jednak świadkowie tamtych zdarzeń utrzymują, że nie chciał umierać, a po schwytaniu nie wierzył, że Boliwijczycy ośmielą się zabić legendarnego Che.

Rząd Boliwii miał rzeczywiście twardy orzech do zgryzienia. Amerykanie naciskali, żeby wydać im Guevarę. Chcieli go osadzić w Panamie i dopiero rozważać, co dalej. Ten scenariusz był nie do przyjęcia w Boliwii – kraju o dumnej nacjonalistyczno-militarnej tradycji. Inne wyjścia z punktu widzenia Boliwijczyków były jeszcze gorsze. Skazanie Che na długoletnie więzienie (w Boliwii nie było kary śmierci), podobnie jak wcześniejszy wyrok na jego towarzysza z Francji Debraya, wywołałoby wrzask na świecie i nieustające kampanie przeciwko „podłej Boliwii". Na tym by się nie skończyło. Kubańczycy zorganizowaliby pewnie akcję odbicia Che albo pojmaliby gdzieś zakładników i żądali wymiany za swojego herosa. Jedyną ucieczką przed nieprzewidywalnymi do końca kłopotami była egzekucja bez sądu.

„Powiedz Fidelowi, że moja klęska nie oznacza końca rewolucji. Powiedz Aleidzie, żeby o wszystkim zapomniała, wyszła za mąż, była szczęśliwa i dbała o naukę dzieci. Poproś żołnierzy, żeby strzelali celnie" – mówił Che na kilka minut przed śmiercią do pułkownika Arnalda Sacedo Parady, szefa wywiadu ósmej dywizji boliwijskiej armii.

Dzień po wystawieniu u Matki Boskiej Maltańskiej ciało Che znikło. Niektórzy mówili, że je spalono. Był ponoć rozkaz, aby zachować tylko ręce i głowę. Dowód, że Partyzant na pewno nie żyje.

Obcięto same dłonie i zakonserwowano w formalinie. Po roku w tajemniczych okolicznościach i one znikły, a potem pojawiły się na Kubie. Podobno Fidel Castro chciał je wystawić na widok publiczny w specjalnym mauzoleum w Hawanie. Sprzeciwiła się rodzina Guevary. Umieścił dłonie Che w Pałacu Rewolucji, lecz mogli je oglądać tylko wybrani zagraniczni dostojnicy goszczący na Kubie.

W listopadzie 1995 roku boliwijski generał, Mario Vargas Salinas, niespodziewanie ogłosił w „New York Timesie", że zwłok Bohaterskiego Partyzanta nie skremowano, lecz pochowano je w zbiorowej mogile poniżej małego lądowiska w Vallegrande. Wkrótce pojawili się tam naukowcy z Boliwii,

Argentyny, Kuby. Poszukiwacze relikwii. Odnaleźli szczątki czterech poległych, jednak nie było wśród nich szczątków Che. Ekspedycje musiały za to stawić czoło protestom autochtonów przeciwnych pozbawianiu ich zaszczytu sąsiadowania ze szczątkami „Świętego Ernesta".

W lipcu 1997 badacze natrafili na kolejną mogiłę – z prochami siedmiu poległych. Znaleziono panterki, paski, buty, sandały. Czaszki porównano z fotografiami partyzantów z oddziału Che. Szkielet oznaczony numerem dwa nie miał dłoni. Wygląd kości szczękowych zgadzał się z dentystycznym opisem jamy ustnej Partyzanta. Dziesiątego lipca zwłoki nr 2 uznano za szczątki Ernesta Che Guevary.

Relikwie świętego latynoamerykańskiej rewolucji Fidel Castro osobiście powitał na swojej wyspie. Wojskowy rytuał, salwy, hołdy.

Miniatura XVIII

(guevaromania – 2)

Natrafiłem na książeczkę *El Che y la teología de la liberación* (Che i teologia wyzwolenia) hiszpańskiego teologa-moralisty ojca Benjamina Forcana (ukaranego przez władze kościelne za odstępstwa od głoszonej przez Kościół etyki seksualnej). Ojciec Forcano upatruje w Guevarze kogoś w rodzaju niewierzącego świętego; kogoś, kto był lepszym chrześcijaninem niż nominalni katolicy – dogmatycy bez wrażliwości na wyzysk i nędzę człowieka.

Streszczenie: Che Guevara, chrześcijanin czy ateista? Nie praktykował wiary, ale nie był osobistym wrogiem Pana Boga. W jego pismach Bóg nie występuje, ale nie jest też obiektem ataków typowych dla zrewoltowanych ateistów. Cóż zresztą znaczy: być chrześcijaninem? Żyć jak Jezus z Nazaretu – dążyć do sprawiedliwości, bronić wydziedziczonych, walczyć z możnymi tego świata przeciwko wyzyskowi, stawać po stronie ubogich, nawet jeśli miałoby się zapłacić życiem. Imperium i synagoga unicestwiły Jezusa jako wywrotowca.

Oczywiście, powiada teolog, nasuwa się pytanie: czy marksista może być chrześcijaninem i *vice versa?* Pytanie to nie ma sensu, gdy zderzamy marksistowskiego biurokratę i katolickiego dogmatyka; ma natomiast sens gdy porównujemy ideały humanistycznego marksizmu i ewangelicznego chrześcijaństwa. Obie „wiary” mają rys rewolucyjny i wszędzie tam, gdzie łączy je wrażliwość na krzywdę człowieka, sprzeciw wobec niesprawiedliwości, nonkonformizm i miłość, stają się sobie bliskie. Motorem działania Che była miłość – powiada teolog – najpierw miłość własna, a potem miłość do innych ludzi i ludów. Zanim w Guevarze obudził się buntownik, pracował jako lekarz,

poświęcający wiedzę i siły ubogim z Peru, Brazylii, Gwatemali. W ten sposób nadawał swojej pracy społeczny wymiar. I nigdy nie zabiegał o pieniądze.

„Ernesto kocha osobiście każdego człowieka, lecz jego dojrzała świadomość nakazała mu dostrzec uniwersalny wymiar tej miłości… Miłość wyzwolicielska nie wyrzeka się walki, konfliktu, sprzeciwu wobec tych, którzy uciskają" – uważa ojciec Forcano. „Miłość rewolucyjna" powinna otworzyć się na uciskanych i dyskryminowanych. I powinna zwrócić się przeciwko „zniewalającym i grzesznym strukturom". Niestety, „miłość rewolucyjna" – wyjaśnia teolog – musi zwracać się przeciwko pewnym ludziom, gdyż nie istnieją struktury bez ludzi. Nie zmierza do ich unicestwienia, lecz do wyeliminowania „ciemiężycielskich funkcji", jakie sprawują.

Teolog ma kłopot z pewnymi myślami Guevary. Na przykład taką: „Nienawiść jako element walki. Niewzruszona nienawiść do wroga, która rozsadza naturalne granice człowieka i zamienia go w skuteczną i zimną maszynę do zabijania. Tacy muszą być nasi żołnierze. Lud bez nienawiści nie zdoła zatriumfować nad brutalnym wrogiem".

„Teologiczne" objaśnienia guevariańskiej nienawiści są raczej szokujące: „Mam nadzieję, że słów Che [o nienawiści] nikt nie będzie uważał za naganne, szczególnie po uświadomieniu sobie destrukcyjnych wyczynów imperialnej władzy Zachodu, która nie zabija w celu powstrzymania niesprawiedliwości, lecz wówczas, kiedy ją narzuca i utrzymuje". Giulio Girardi, również teolog katolicki i apologeta Guevary: „Tak rozumiana nienawiść nie pozostaje w sprzeczności z miłością rewolucyjną, lecz współgra z poszukiwaniem historycznej skuteczności. Nienawiść wobec deprawujących struktur i solidarność z uciskanymi są nierozłączne".

Książeczkę o „świętym Che" ojciec Forcano wydał nie w latach sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych, lecz w 1998 roku.

Relikwie świętego partyzanta (2)

Gdy w Moskwie zapanowała *głasnost'* i *pierestrojka,* rewolucja na Kubie ledwo zipała. Wtedy wydobyto z cienia pamięć o Che. Pojawiły się książki, pocztówki, kalendarze i plakaty. Fidel pokazywał wątpiącym w socjalizm towarzyszom z Moskwy ucieleśnienie dylematu: *SOCIALISMO O MUERTE* (socjalizm albo śmierć). Któż lepiej nadawał się do tego niż Che?

Jak w szkołach katolickich dzieci odmawiają przed lekcjami modlitwę, tak w kubańskich skandują: *Pioneros comunistas, seremos como el Che* (Komunistyczni pionierzy, będziemy tacy jak Che!). O pewnych fragmentach biografii Guevary – rozbieżnościach z Fidelem, klęsce boliwijskiej wyprawy i egzekucji (oficjalnie poległ z bronią w ręku) – rewolucyjna teologia milczy.

Che jest nie tylko państwowym świętym. Starszy mężczyzna handlujący książkami w starej Hawanie tłumaczył mi, że gdyby Che nie zginął, rewolucja kubańska odniosłaby większe sukcesy.

Na autostradzie z Hawany do Santa Clara mijam co kilka kilometrów przydrożne billboardy z podobiznami Che. *TU EJEMPLO VIVE, TUS IDEAS PERDURAN* (Twój przykład żyje, Twe idee są nieśmiertelne). *HASTA LA VICTORIA, SIEMPRE* (Zawsze do zwycięstwa!) Na wielkiej tablicy naprzeciwko mauzoleum Guevary billboard: *QUEREMOS QUE SEAN COMO EL CHE* (Pragniemy, abyście byli tacy jak Che). Pod przykazaniem podpis: Fidel.

Nim dotrzemy do mauzoleum, autobus zatrzyma się na przystanku guevariańskiej chwały. Tuż przy przejeździe kolejowym na obrzeżach

Santa Clara stoją trzy wagony, a obok nich pordzewiały spychacz, którym zimą 1958 roku, na krótko przed triumfem Rewolucji, partyzanci wykoleili

pociąg z żołnierzami wiernymi dyktatorowi Batiście. Akcja pod komendą Che Guevary otworzyła „brodaczom” drogę marszu na Hawanę. Istnieje hipoteza, że partyzanci Che wcale pociągu nie zdobyli, lecz go kupili od oficerów Batisty za milion dolarów.

Nad mauzoleum dwudziestotrzytonowy posąg Guevary z karabinem i rozwianymi włosami. Wokół coś w rodzaju placu defilad, przystrzyżone trawniki, dostojne palmy królewskie. W środku cisza. W półmroku płonie wieczny ogień i spoczywają sprowadzone z Boliwii zwłoki Che i jego towarzyszy. W ścianach rzeźbione w drewnie medaliony z podobiznami poległych.

W muzeum setki „guevarianów”: zdjęcia z opisami bohaterskich wyczynów Che, niezliczone pamiątki. Woreczek na tytoń należący do Che, podarty plecak Che, rozpadające się buty Che, bidon Che, przyrząd Che do borowania zębów towarzyszom broni, pistolet Che, inhalator Che.

Pierwszych duszności dostał jako półtoramiesięczne niemowlę. Omal nie umarł. Astma nie opuściła go do ostatnich dni w boliwijskiej dżungli.

Nie miał normalnego dzieciństwa, prawie nie chodził do szkoły. Rodzeństwo przepisywało dlań lekcje od kolegów, większość czasu spędzał w domu. Czytał wszystko: Londona, Freuda, Nerudę, Kafkę, Sartre'a, Faulknera, Camusa i Marksa (z którego, jak wyznał po latach, nic a nic wtedy nie rozumiał). Rodzice zaszczepili w nim przekonanie, że słabość i chorobę da się pokonać siłą woli. Młody Guevara grał w rugby, tenisa, jeździł konno, wspinał się w górach. Zawsze z inhalatorem. Nieraz z wysiłku padał pół żywy. Bez tej twardej lekcji nie przetrwałby wojen partyzanckich w Ameryce Łacińskiej i Afryce. Paradoksalnie, to astma zrobiła zeń latynoskiego *macho,* który gwiżdże na słabości swoje i innych.

Psychoanaliza mówi, że astmatykom trudno pogodzić sprzeczne emocje i pragnienia. Lekarstwem jest unik, ucieczka do świata jednoznacznych sytuacji i ocen. Ucieczką bywa też walka, bo nie daje czasu na hamletyzowanie. Jeśli hipoteza jest poprawna – spekulował jeden z biografów – tłumaczy niezdolność Che do zaakceptowania sprzeczności i wieloznaczności świata. Socjalizm albo śmierć.

Może to choroba pchnęła go także na medycynę?

W rewolucyjnej mitologii młody Che – najpierw jako lekarz – chciał leczyć ludzi, a potem – jako rewolucjonista – uleczyć chory świat. „Musiałem stawić

czoło dylematowi: poświęcić się medycynie czy obowiązkom żołnierza rewolucji. Miałem przed sobą plecak z lekami i plecak z nabojami. Były zbyt ciężkie, by unieść oba naraz. Wybrałem ten z nabojami…" – mówi w swojej własnej legendzie.

Lubił kasyna, konie i tango. Wolny czas spędzał też na szachach lub podrywaniu panienek („zawsze kręciło się wokół niego wiele dziewczyn" – wspominał przyjaciel z młodości). Dużo czytał, wkuwał francuski, a pierwszą pracę dorywczą dostał w lokalnym wydziale dróg publicznych. Urodził się w Rosario w Argentynie w 1928 roku. Jego ojciec był inżynierem i przedsiębiorcą, potomkiem emigrantów z Hiszpanii i Irlandii. Przodkiem matki był ostatni hiszpański wicekról Peru, generał José de la Serna.

Jedna z legend o Che powiada, że w rewolucjonistę zmieniła go motocyklowa podróż po Ameryce Południowej. Pozostał po niej dziennik. Znajdziemy w nim notatki o brudnych łazienkach i wyrzucaniu zużytego papieru toaletowego na ziemię zamiast do latryny, ale nie rewolucyjne hasła. Co najwyżej odruchy solidarności i współczucie wobec Indian. „Wolę być niepiśmiennym Indianinem niż amerykańskim milionerem!" – wyznawał Guevara z patosem. Gdy jednak w Boliwii wybuchnie powstanie chłopskie, nawet o nim nie wspomni.

Z Brazylii pisał do ciotki o „namiętnych kobietach", zaś w Chile uwodził po pijanemu żonę napotkanego gospodarza. Zniewalał i czarował, choć nie dbał o strój ani wygląd: zawsze nieuprasowane ubranie, rozwiązane buty, włosy, które nie poznały grzebienia. Chwalił się, że przez dwadzieścia pięć tygodni nie prał koszulki. Uwielbiał szokować, mówiono o nim „El Loco" – Szalony (jak wiele dekad później o jego kubańskim przyjacielu-tyranie). Wygląd Ernesta doprowadzał do łez zakochaną Chichinę Ferreyrę, pannę ze społecznych wyżyn; zaś jej ojca – do furii, gdy na kolację narzeczony przychodził ubrany jak kloszard.

Gdyby w 1954 roku dostał posadę lekarza w Gwatemali, być może do końca życia pozostałby romantycznym włóczęgą. Krajem rządził w tym czasie Jacobo Arbenz. Nie był komunistą, choć komuniści go popierali. Organizował roboty publiczne, budował elektrownie wodne i autostrady. Za odpłatą wywłaszczył część nieuprawianych ziem, czym naraził się na zarzut komunistycznej dywersji na tyłach Wielkiego Brata z Północy. CIA zmontowała zamach stanu, rząd Arbenza upadł. Rozpoczęła się wyjątkowo krwawa wojna domowa, zakończona

dopiero w 1996 roku.

Młody Guevara był świadkiem upokorzenia małej bananowej republiki. „Był przekonany – wspomina Hilda Gadea, pierwsza żona Che – że jeśli rząd [Arbenza] rozdałby ludziom broń, rewolucję można było ocalić; nawet po upadku stolicy można by było kontynuować walkę na wsi, gdyż Gwatemala ma odpowiednie górskie tereny".

W latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych komunistą w Ameryce Łacińskiej nie zostawało się bynajmniej z miłości do stalinizmu. Decydowała nędza, wyzysk, straszliwe kontrasty społeczne i urażona przez wielką Amerykę narodowa duma słabych, zacofanych krajów. Epoka zimnej wojny pchała społeczne rebelie w antyjankeskim sosie pod czerwony sztandar i w „braterskie ramiona" ZSRR.

Wędrowiec na motocyklu, Guevara, pisał o komunizmie jako o „dziwnej doktrynie". Teraz, choć komunistą jeszcze nie jest, zaczyna coraz szybciej podążać ku marksizmowi. Podejrzewa, że „rozwiązanie problemów świata leży za tak zwaną żelazną kurtyną". W liście do ciotki pisał: „Miałem okazję podróżować przez dominium United Fruit (amerykańskiego koncernu mającego w Gwatemali gigantyczne plantacje), co potwierdziło moje wyobrażenie o okrutnej naturze kapitalizmu. Przed portretem naszego nieodżałowanego towarzysza Stalina [który zmarł dziewięć miesięcy wcześniej] przysiągłem, że nie spocznę, nim nie ujrzę unicestwienia kapitalistycznej ośmiornicy".

Ale jeszcze rok przed triumfem rewolucji kubańskiej konsulat USA w Santiago de Cuba depeszował do Waszyngtonu: choć nie wiadomo nic o przeszłości „jednego z najbardziej zaufanych poruczników Fidela Castro, Argentyńczyka dr. Ernesta Guevary", nie jest on raczej komunistą, lecz „idealistycznym awanturnikiem". W amerykańskiej prasie bezkompromisowy Che został później nazwany „mózgiem rewolucji" (Fidel jej „sercem", a Raúl – „pięścią"). Z Sowietami nie miał wtedy nic wspólnego, nie był agentem ani emisariuszem. „Uważał się za *komunistę* przez małe *k* – opowiada jeden z biografów Che – w najprawdziwszym wówczas sensie tego słowa: żołnierza międzynarodowej walki o socjalizm pod przywództwem ZSRR". W jego głowie dojrzewała utopia: marzenie o stworzeniu „nowego człowieka", który byłby wolny od materialnych pobudek i aspiracji; o stosunkach między ludźmi wolnych od chęci posiadania, rywalizacji; o świecie bez pieniędzy.

Wiara Che w Ojczyznę Proletariatu załamała się po kryzysie rakietowym w październiku 1962 roku. Rosjanie instalowali na Kubie rakiety z głowicami jądrowymi. Jednak w ostatniej chwili – za plecami Castro i Guevary – Chruszczow dogadał się z Kennedym i wycofał broń nuklearną z wyspy. Świat odetchnął z ulgą.

Ale nie Che. Zaczął kopać w ścianę, a potem wyznał gazecie brytyjskich komunistów: „Jeśli [USA] zaatakują, będziemy walczyć do końca. Gdyby [sowieckie] rakiety zostały na Kubie, w obronie przed agresją użylibyśmy ich, kierując w samo serce USA – nie wyłączając Nowego Jorku". Jak gdyby żałował, że finałem kryzysu nie było samospalenie, ostateczna ofiara. Mówił o ludziach „gotowych poświęcić się w wojnie atomowej, tak aby ich prochy posłużyły za fundament nowych społeczeństw".

Bezkrytyczna ufność w przyjaźń ZSRR zmieniła się w równie gorącą nienawiść. Do sowieckiego wicepremiera Anastasa Mikojana Che powiedział wzburzony, że „decyzja ZSRR była błędna – USA chciały nas zniszczyć fizycznie, a Związek Sowiecki zniszczył nas politycznie". Mikojan odrzekł: „Robimy wszystko, by ocalić Kubę. Jesteś gotów umrzeć pięknie, ale socjalizm musi żyć, nie warto pięknie umierać". Tymi samymi argumentami Mikojan ścierał się później z ideą eksportu rewolucji. ZSRR wchodził właśnie w okres „pokojowego współistnienia" z USA, a *guerrillę* na zachodniej półkuli Amerykanie zawsze traktowali jak sowiecką dywersję. Wojna partyzancka, którą propagował Che jako rewolucyjną drogę całej Ameryki Łacińskiej, przeszkadzała we względnie spokojnych stosunkach między supermocarstwami.

Już za chwilę Guevara stanie się najsurowszym krytykiem ZSRR „z lewa". Chruszczow okaże się rewizjonistą o kapitalistycznym odchyleniu. Sowieckie fabryki będą przypominać Guevarze fabryki kapitalistów – wprawdzie bez właścicieli-krwiopijców, ale za to z armią biurokratów. Kłopoty Sowietów z rolnictwem Guevara przypisywał „decentralizacji", stawianiu na „materialne pobudki i finansowe samozarządzanie" przedsiębiorstw, rozdawaniu kołchoźnikom prywatnych działek. Te same tendencje Che zauważy na Kubie i to w nich będzie upatrywał źródła kryzysu kubańskiej gospodarki. Zaniepokoi go stan rzeczy w Warszawie, Pradze i Berlinie. „Polska [po 1956 r.] podąża oczywiście drogą Jugosławii, odstąpiono od kolektywizacji, wraca się do prywatnej własności ziemi, kultywuje stosunki z USA…".

Che uważał, że receptą na kryzys gospodarki w socjalizmie powinno być… więcej socjalizmu, więcej planowania i centralizacji!

Rewolucyjna legenda przedstawia Che jako nieskazitelnego purytanina i misjonarza Sprawy; wedle słów biografa-apologety Jeana Cormiera: „Boliwara naszych czasów, obdarzonego ponadto cechami Don Kichota wszech czasów". Prawdziwy obraz jest – mówiąc oględnie – bardziej złożony.

Wielbiciele Guevary, podobnie jak on sam, byli ślepi na ambiwalencję rzeczy; choćby na sprzeczności tkwiące w samym bohaterze ich romansu. Na przykład, że wymagań, jakie Guevara stawiał samemu sobie, nie był w stanie wyegzekwować od innych bez użycia siły i władzy. Że „nowy człowiek", jakiego pragnął stworzyć – który kieruje się pobudkami jedynie moralnymi – nie istnieje i nigdy na świecie nie istniał, zaś stworzyć go można, tylko odzierając ludzi i narody z wolności. Że hasło *No more war!* (Nigdy więcej wojny!) było klinicznym objawem – jak byśmy powiedzieli w Polsce – „moralności Kalego". Ileż wojen partyzanckich wzniecił Che, do iluż zachęcał? Wreszcie, nie dostrzegano, że Guevara, rozstrzelany bez sądu, padł ofiarą takiej samej „sprawiedliwości dziejowej", jaką sam aplikował funkcjonariuszom starego reżimu na Kubie.

W czasach partyzantki w Sierra Maestra zdarzało się, że *comandante* Che Guevara wypuszczał jeńców armii rządowej. Jednak egzekucje zdrajców, informatorów policji czy bardziej okrutnych oficerów były na porządku dziennym. Na łamach prasy konspiracyjnej Che powątpiewał w słuszność kary śmierci, ale praktyka była inna. Wedle niektórych relacji pierwszego zdrajcę pośród *guerrilleros,* niejakiego Eutimia Guerrerę, Che rozstrzelał osobiście. O rozstrzelanym partyzancie, który zszedł na drogę pospolitego rabunku, pisał: „Musiał zapłacić za swój błąd. Posłużył jako przykład – w tragicznym, ale i wartościowym sensie tego słowa – aby ludzie zrozumieli potrzebę uczynienia z Rewolucji czystego aktu, niezbrukanego wandalizmem w stylu ludzi Batisty".

W Sierra Maestra praktykowano też tak zwane symboliczne egzekucje: prowadzono winnego na śmierć, stawiano pod drzewem, a w ostatniej chwili strzelano w górę albo wcale. Praktykę tę Che uważał podobno za „barbarzyństwo".

Nie ma zgody między historykami co do roli Guevary w twierdzy La Cabaña,

gdzie po zwycięstwie kubańskiej rewolucji odbywały się farsowe procesy i egzekucje funkcjonariuszy reżimu Batisty. Jedni twierdzą, że ten rytuał sprawiał mu frajdę (ci sami przyznają jednak, że rozkazy wydawał osobiście Fidel). Inni utrzymują, że Che cierpiał z powodu egzekucji i wielu skazanym załatwił ułaskawienie (nie wahał się jednak stawiać przed plutonem tych, którzy w jego opinii zasłużyli na śmierć).

„Che wymagał od sędziów, aby byli skrupulatni w uznawaniu dowodów winy w każdym wypadku – podkreśla Jon Lee Anderson, autor monumentalnej biografii Che – tak ażeby nie dawać dodatkowej amunicji wrogom rewolucji". Uważał zarazem, że procesy muszą się toczyć dalej, aby „zapewnić rewolucji bezpieczeństwo".

Che zainspirował powstanie pierwszego „obozu pracy" na Kubie. Do Guanahacabibes zsyłano dysydentów (a później homoseksualistów i chorych na AIDS). Potrzebę obozów Che tłumaczył: „Do Guanahacabibes wysyłaliśmy tylko tych, którzy nie powinni iść do więzienia, ale jednak popełnili przestępstwa przeciwko wartościom moralnym rewolucji i muszą być zreedukowani przez pracę".

Trzy dekady później do jednego z takich obozów trafił młody poeta Omar Pérez. Jego oczy, brwi, spojrzenie i uśmiech kogoś innym więźniom przypominały. W 1958 roku pewna piękna ponoć Kubanka, Lilia Rosa Pérez, poznała w Santa Clara przystojnego dowódcę *guerrilleros.* Spotykali się potem jeszcze wiele razy. Omar urodził się w 1964 roku. Córka Che z pierwszego małżeństwa, Hilda, nie ma wątpliwości, że młody, urodziwy mężczyzna jest jej przyrodnim bratem.

Kiedy umierał, nie był już taki młody – miał trzydzieści dziewięć lat, a wtedy nie wierzono nikomu po trzydziestce. Dlaczego zatem trafił na sztandary rewolty sześćdziesiątego ósmego? Jorge Castañeda uważa, że przedwczesna śmierć – *leitmotiv* epoki – odmłodziła Che. Za wcześnie umierali Jim Morrison, Jimi Hendrix, Janis Joplin, Malcolm X, Martin Luther King, bracia Kennedy… Jednak żaden z wymienionych nie ucieleśnił ducha czasu tak jak Che. Bracia Kennedy byli w końcu przedstawicielami znienawidzonego establishmentu. Luther King i Malcolm X walczyli o śmiertelnie ważną, ale jedną tylko sprawę. Muzycy – narkotykowi samobójcy w sposób typowy dla swego czasu podważali wartość układnego życia (czasem życia w ogóle), protestowali przeciwko wojnie

w Wietnamie i obyczajowym tabu, ale jednak nikt, tak jak Che Guevara, nie uosabiał wszystkich naraz wartości pokolenia '68 – pragnienia: zbudujmy doskonały świat, jakiego jeszcze nikt nigdy i nigdzie nie zbudował – tu, teraz, zaraz! Wierzono, że za taki świat Guevara, który miał wszystko – władzę i sławę, dom, dzieci i kobiety, jakie chciał – poszedł do boliwijskiej selwy poświęcić życie. Gdyby zginął dwa lata wcześniej w Kongo, byłby może tylko jednym z wielu świętych epoki. Zginął jednak w wigilię młodzieżowej rewolty '68, dzięki czemu jego wizerunek znalazł się na transparentach studentów Paryża, Turynu, Meksyku.

Fascynację Guevarą potwierdzały badania wśród amerykańskich studentów w 1968 roku, które w biografii rewolucjonisty przytacza Castañeda. Okazało się, że historyczną postacią, z którą identyfikowali się najbardziej, był właśnie Che. Che, który walczył o nowy, wspaniały świat bez niesprawiedliwości i wyzysku – na Kubie, w Kongo, Boliwii. Che, który sprzeciwiał się interwencji wielkich Stanów w małym Wietnamie, co stwarzało sympatię między nim a studentami z Berkeley, Chicago i Nowego Jorku. Tych ostatnich nie ekscytowała wizja świata ogarniętego rewolucyjnym ogniem, walczyli raczej ze społecznymi zakazami, obalali stare obyczaje, gusta, zastane hierarchie, pragnęli nowego stylu życia… Lecz w pogardzie Guevary dla pieniędzy, w jego osobistym ascetyzmie, graniu na nosie jankeskim elitom, w pracy ochotniczej przy ścinaniu trzciny i solidarności z uciskanymi narodami widzieli projekcję bardziej sprawiedliwego świata, o którym marzyli. Castañeda uważa, że młodzi '68 na Zachodzie widzieli w Che „niepolitycznego polityka”.

W wymiarze politycznym Guevara uosabiał jeszcze dwa ważne bunty. Po pierwsze, bunt przeciwko istniejącej hierarchii geopolitycznej świata, dziś powiedzielibyśmy: przewagi Północy nad Południem, i rozwarstwieniu między dwiema częściami globu. Kubańska rewolucja była pierwszym w powojennej historii wydarzeniem, które podważyło dominację supermocarstwa (tu: USA) nad słabym, zacofanym krajem. Wojny

Algierczyków z Francuzami, Wietnamczyków z Amerykanami były kolejnymi etapami wyzwalania się „gorszego” i zapomnianego Trzeciego Świata, uzyskiwania niepodległości i narodowej godności. Kontekst zimnej wojny czynił zachodnich obrońców Kuby i Wietnamu ślepymi na zbrodnie popełniane w imię

spraw słusznych; tak było, na przykład, ze zbrodniami Vietcongu.

Po drugie, Guevara, zdeklarowany komunista, ucieleśniał bunt przeciwko sowieckiemu, quasi-stalinowskiemu modelowi socjalizmu. Marzenie o „prawdziwym" socjalizmie rozjechały czołgi wojsk Układu Warszawskiego w Pradze, niespełna rok po śmierci Che. Sowiecki socjalizm wziął górę – i w Czechosłowacji, i na Kubie. Wprawdzie – jak zauważa Régis Debray – zarówno czescy, jak i zachodni miłośnicy Che, którzy w 1968 nieśli na sztandarach jego podobiznę, nie wiedzieli, że u progu rewolucyjnej drogi ich bohater był bezkrytycznie prosowiecki, a potem sprzeciwiał się „kapitalistycznym wtrętom" w gospodarce Polski, Czechosłowacji i Węgier, to jednak marzenie o niesowieckim socjalizmie symbolizował naprawdę (niezależnie od tego, jaki miał być „inny socjalizm", który oferował zamiast).

Każdy widział w Guevarze to, co chciał – oto prawo mitu.

Che spoczywał przez lata w muzeum ikon polityki i kultury XX wieku. I oto po ponad trzydziestu latach od śmierci raz jeszcze rozpoczął triumfalny marsz po świecie – od Seattle przez Porto Alegre po Pragę i Seul, stał się bohaterem młodych kontestatorów globalizacji. Dlaczego?

Dwanaście lat po upadku bloku sowieckiego Guevara jest wolny od oskarżeń o udział w klęsce realnego socjalizmu. To Fidel Castro postawił na model sowiecki, Che pod koniec życia buntował się przeciw niemu.

Mit Che – napisał mitotwórca Cormier – wyszedł naprzeciw zapotrzebowaniu młodzieży „żyjącej w świecie odartym z wartości, świecie, w którym roboty stają się przykładem do naśladowania. Che miał serce, serce gorejące… Był apostołem humanizmu, rozkwitającego o brzasku nowego tysiąclecia…".

Dla ulicznych kontestatorów Che ucieleśnił postawę nieprzypisaną do konkretnej ideologii: odrzucenie wszechwładzy pieniądza, niezgodę na świat drapieżnego kapitalizmu bez innej możliwości, solidarność ze słabszymi, wołanie o sprawiedliwość w epoce rozpasanej konsumpcji i szybkich karier.

Che – ikona z koszulek i transparentów, wyjęty z kontekstu epoki, jest oderwany od Che realnego. Symbolizował i ciągle symbolizuje fanatyczne nieomal pragnienie naprawiania świata. Jednak jego metody, sposób przeżywania polityki są anachroniczne, bezużyteczne, a niektóre zwyczajnie groźne. Jego artykuły i książki to świadectwa epoki przebrzmiałej. A myśli – nierzadko eksponaty z muzeum ideologicznego bełkotu. Jakie zastosowanie

w epoce komfortu i przyjemności miałyby mieć idee wojny partyzanckiej i „nowego człowieka”, pozbawionego materialnych aspiracji?

Che, jak zauważył kiedyś jeden z jego wyznawców, nie wymyślił dla następnych pokoleń „modelu odtwarzania ruchu rewolucyjnego”. Jest duchem poruszycielem tych, którzy marzą o zmienianiu świata na lepsze. Lecz jego pisma i życie nie pozostawiły zbyt wielu wskazówek, jak tego skutecznie dokonywać.

Miniatura XIX
(bankructwo dogmatów)

Rozmowa z brazylijskim publicystą Clovisem Rossi, wrzesień 1999 roku.

Czy wróci rewolucyjna fala? Czy wróci klasyczny autorytaryzm? Doświadczenia kontynentu są hamulcem, kubłem zimnej wody na społeczne projekty. W Ameryce Łacińskiej zawsze było tak, że gdy do władzy dochodził społeczny radykał, wkrótce autorytarna prawica robiła zamach stanu. Tak było w Brazylii w roku sześćdziesiątym czwartym po rządach João Goularta, tak było w Argentynie w latach pięćdziesiątych i siedemdziesiątych po rządach Juana Perona, tak było w Chile po rządach Salvadora Allende. Mimo to powrót klasycznego autorytaryzmu jest mało prawdopodobny, nie ma nań pogody, wojsko nie odgrywa znaczącej roli politycznej.

Rewolucja? Nowy komunizm? Partie komunistyczne w Ameryce Łacińskiej zawsze toczyły spór z populizmem. Dlatego komuniści nie mieli szans na sukces w Argentynie w czasach Perona. Podobnie w Brazylii, gdzie też spierali się z populistami, przede wszystkim z Getuliem Vargasem. Współczesna lewica, taka jak Partia Pracujących w Brazylii, nie ma nic wspólnego z komunizmem. Mimo że współtworzyły ją różne nurty dawnych ruchów, od początku powstawała w opozycji do komunistycznej tradycji i krytykowała sowiecki socjalizm. Socjaldemokraci w Wenezueli również odcięli się od komunistów i skazali ich na izolację. W Ameryce Łacińskiej klasyczne partie komunistyczne, promoskiewskie, zawsze stanowiły margines. Katastrofa w Europie Wschodniej rozbiła te resztki. Komunizm już nie istnieje, ani jako idea, ani jako moda intelektualna.

Będą się za to pojawiać drogi pośrednie: między rewolucją i demokracją, między autorytaryzmem i demokracją. Któż wie?

Od połowy lat dziewięćdziesiątych narasta coraz większe niezadowolenie z recepty neoliberalnej. To prawda, zdławiła inflację – zmorę Brazylii, Argentyny, Peru, lecz wyprodukowała nowe nierówności, nie dała nadziei na rozwiązanie kwestii nędzy. Niestety, dla neoliberalnych fundamentalistów ich model jest kwestią bardziej religijną niż gospodarczą. Swoje zasady traktują jak dogmaty: Prywatyzować! Liberalizować! Otwierać gospodarkę! I albo zrobi się wszystko naraz, albo kraj stoczy się do piekieł. Jeszcze do niedawna, jeśli ktoś w Brazylii wyrażał choćby wątpliwości co do neoliberalnej drogi, dla jej fanatyków był heretykiem, którego trzeba skazać na stos. Nawet George Soros – w końcu kapitalista doskonały – krytykuje „fundamentalistów rynku". A gdzie miejsce na politykę społeczną? Wiem, niełatwo wymyślić nową receptę na dramaty kontynentu, ale coś wymyślić trzeba. Coś wymyślić trzeba…

Kryzys w Ameryce Łacińskiej jest powszechny. Nie chodzi tylko o gospodarkę, to kryzys nadziei. W ostatnich trzydziestu, czterdziestu latach kontynent doświadczył różnych modeli rządów. Był okres reżimów populistycznych, potem dyktatur wojskowych, a w latach dziewięćdziesiątych zapanowała moda „neoliberalna" jako uniwersalne *remedium* na wszelkie bolączki. Żadna z recept nie stworzyła mocnych podstaw rozwoju, ani nie odpowiedziała na społeczne wyzwania: nędzę milionów ludzi, analfabetyzm, brak podstawowych warunków cywilizacyjnych, przemoc. Tu, w Ameryce Łacińskiej, wyzwania te mają wymiar nie do wyobrażenia dla Europejczyków.

***

Brazylijski dziennik „Folha de S. Paulo" przestrzega: „Kto chce być optymistą, niechaj będzie. Nam, nasza latynoamerykańska historia na to nie pozwala".

***

Z rozmowy z rektorem Candido Mendesem z Rio de Janeiro:

– Skończył się czas lewicowego dogmatyzmu w stylu Fidela Castro, skończył się czas pogody dla polityki neoliberalnej: deregulacji, prywatyzacji, cedowania wszystkiego na „niewidzialną rękę rynku”. W Ameryce Łacińskiej większość dochodów skupia się w rękach garstki najbogatszych. Biedota traci cierpliwość.

Marcos

Kilka miesięcy po upadku długowiecznej półdyktatury do stolicy Meksyku wmaszerowała kolumna partyzantów. Leśnych ludzi z południa kraju przywiódł do paszczy lwa człowiek w masce – osławiony wicekomendant Marcos, powstaniec, buntownik. Bez broni, w aurze święta i karnawału, wkroczył na plac Zocalo w sercu miasta.

Marzec dwutysięcznego pierwszego, od wybuchu powstania w Chiapas na południu Meksyku mijało siedem lat. Marcosa tropiły policja i wojsko – ustanawiano nagrody za jego pojmanie, pacyfikowano wsie podejrzane o pomaganie buntownikowi. Wytrwał w ukryciu, w górach porośniętych niedostępną dżunglą, aż do upadku autorytarnego reżimu Partii Rewolucyjno-Instytucjonalnej. Gdy stary reżim upadł, Marcos wyszedł objawić się Meksykanom – bez broni, wśród wiwatującej biedoty największego miasta świata.

Nie zdjął tylko zasłaniającej mu twarz maski *á la* Zorro.

W sylwestrową noc z dziewięćdziesiątego trzeciego na dziewięćdziesiąty czwarty nieznani buntownicy zajęli ratusz w San Cristóbal de las Casas. W ciągu kilku dni zajęli inne okoliczne miasta – Ocosingo, Altamirano, Las Margaritas… Ogłosili, że są Zapatystowską Armią Wyzwolenia Narodowego (EZLN, *Ejército Zapatista de Liberación Nacional),* i że domagają się reform politycznych, demokracji, ustąpienia prezydenta i praw dla ludności indiańskiej. Rząd Meksyku wydał oświadczenie, że w Chiapas doszło do zamieszek, którym przewodzą wandale, prowokatorzy i pospolici przestępcy zamieszani w narkobiznes. Prezydent Carlos Salinas de Gortari wysłał wojsko, żeby

spacyfikowało rebelię. Po dziesięciu dniach walk, w których przeciwko zrewoltowanym wieśniakom, uzbrojonym w przestarzałe karabiny, a najczęściej tylko w noże i kije, walczyły wielkie siły powietrzne i lądowe, buntownicy wycofali się w góry. Było kilkuset zabitych. Później, dzięki publikacjom prasowym, wyszło na jaw, jakimi metodami miano zwalczać zapatystów: wybijać do nogi, po cichu, bez sądu, niszczyć infrastrukturę na ich terenie, wysadzać drogi, mosty, przecinać linie telefoniczne (wedle wojskowego podręcznika zwalczania *guerrilli).*

Powstanie Marcosa nie było pierwsze. Na początku XVIII wieku Hiszpanie utopili we krwi zbrojny bunt Sebastiana Gomeza de la Gloria, a w drugiej połowie XIX wieku armia wyzwolonego spod władzy hiszpańskiej Meksyku zdławiła walczących o ziemię wieśniaków. Zmieniały się czasy, zmieniali się władcy, nie zmieniała się niesprawiedliwość i gwałt w Chiapas.

Oligarchowie zachowali *status quo* sprzed stuleci. Gdy buntownicy Marcosa zajmowali ratusz w San Cristóbal, większość ziemi ciągle należała do kilkudziesięciu najbogatszych rodzin, powiązanych z autorytarno-paternalistyczną władzą. Majątki oligarchów obejmowały dziesiątki tysięcy hektarów i tysiące sztuk bydła. Chiapas, podobnie jak sąsiednie stany Oaxaca, Hidalgo, Guerrero, były prywatnymi folwarkami mafijnych kacyków. To oni decydowali, kto mógł uprawiać kawałek ziemi, a kto nie; kto dostawał kredyt z banku, kto dostawał pracę albo zasiłek. Zdarzało się, że latyfundia płaciły Indianom monetą bitą na własne potrzeby, którą można było wydać jedynie w sklepach i tawernach należących do tego samego oligarchy.

Indianie, tak jak oligarchowie, też żyli jak przed wiekami: jedna trzecia bez prądu, a co drugi bez bieżącej wody. Rewolucja z początku XX wieku nie dotarła do Indian. Biali chłopi dostali ziemię, chłopi-Indianie – nie. Oligarchów i chłopów dzieliła przepaść. Białych chłopów i chłopów-Indian – przepaść następna.

Po dwóch tygodniach zbrojnej pacyfikacji powstania (której towarzyszyły antyrządowe protesty w stolicy kraju), Salinas de Gortari niespodziewanie ogłosił rozejm i podjął negocjacje z rebeliantami. Obiecał Indianom prawie wszystko, czego chcieli: autonomię, dwujęzyczne szkolnictwo, odzyskanie ziem zagarniętych przez latyfundystów, prawo do reprezentacji w parlamentach – stanowym i federalnym, lepszą opiekę zdrowotną, większe możliwości zatrudnienia, zasiłki… Negocjacje ciągnęły się kilka lat, rząd obiecywał, a potem

było tak jak zawsze. Rozmowy zawieszano, zrywano, rebelia się odradzała, więc rząd znów wysyłał wojsko, żeby pacyfikowało rebeliantów.

Gdyby powstańcom Marcosa chodziło jedynie o „sprawę indiańską", to jest prawo Indian do autonomii, albo o fundusze na wspomożenie zacofanego regionu, chiapaska rebelia pozostałaby krótką agencyjną notatką. O iluż lokalnych buntach w Trzecim Świecie nikt nigdy nie słyszał? Ile utonęło w oceanie wiadomości z giełd, parlamentów i kataklizmówi?

Dzięki Internetowi i medialnym talentom Marcosa, zapatyści przedstawili się światu jako nowe wcielenie ogólnoświatowej kontestacji brutalnego kapitalizmu, jako pokojowa – choć tymczasowo zbrojna – „droga alternatywna wobec rewolucji w epoce porewolucyjnej". Ogłosili, że chodzi im nie tylko o prawa i sprawiedliwość dla Indian z Chiapas, lecz także o sprawiedliwość w całym Meksyku. Walcząc o Meksyk, chcą, żeby ich zmagania miały skutki uniwersalne: odwrócenie logiki globalizacji, złamanie dominacji krajów bogatych i silnych nad biednymi i słabymi, zmianę neoliberalnego modelu rynku.

W propagandzie odwoływali się do popularnej w Meksyku metaforyki podboju. Pięć wieków temu Indianie bronili się przed hiszpańską konkwistą. Teraz na święty bój z konkwistadorami z wielkich ponadnarodowych firm i korporacji, uzbrojonych w ideologię dzikiego rynku i globalizacji, wyruszyli zapatyści Marcosa.

Wycofując się z San Cristóbal, powstańcy zostawili na murach jednego z budynków memento: „Wrócimy tu, bo jesteśmy przeciwni układowi o wolnym handlu" (między Meksykiem, USA i Kanadą).

Powstanie z Chiapas wybuchło w noc poprzedzającą wejście w życie traktatu NAFTA. Większość partyzantów Marcosa, niepiśmiennych chłopów-Indian, nigdy nie słyszała o międzynarodowej umowie gospodarczej, nie rozumiała abstrakcyjnego pojęcia „wolny handel". Przystali do *guerrilli,* bo mieli porachunki z miejscowym oligarchą; bo jedynie w taki sposób mogli bronić się przed prześladowaniami, uciec przed samosądem pana, przed uwięzieniem. Marcos i inni wykształceni na uniwersytetach przywódcy rebelii doskonale wiedzieli, co czynią: data powstania nadała wydarzeniu światowy wymiar, stała się częścią politycznej tożsamości i symboliki nowego ruchu. Powstańcy ogłosili, że są przeciwko traktatowi, który nie dość że nie poprawi warunków życia najbiedniejszych, to na dodatek pozbawi ich wszelkich szans na konkurowanie

z wielkimi koncernami i międzynarodowym kapitałem.

Wiedzieli, o czym mówią. Zanim traktat NAFTA wszedł w życie, neoliberalna polityka gospodarcza prezydenta Salinasa de Gortari uderzyła w tradycyjne gospodarstwa wspólnot wiejskich, które utrzymywały się z mało opłacalnych upraw i hodowli. Ciosem dla tych wspólnot było przede wszystkim zniesienie osłon krajowego rynku. Z kolei uchylenie konstytucyjnego prawa, gwarantującego zbiorową własność ziemi lokalnym wspólnotom, otworzyło drogę do brutalnego eliminowania – z rynku, ze społeczeństwa, a niekiedy wręcz fizycznego – całych wspólnot chłopskich w stanach Chiapas, Oaxaca, Guerrero. Nowe prawo niczego nie nakazywało: wielkim właścicielom stwarzało jedynie możliwość odkupywania ziemi od chłopskich wspólnot, sprzyjało koncentracji ziemi i kapitału. Praktyka bywała przerażająca: chłopi mieli wybór między odsprzedaniem ziemi latyfundyście, kacykowi i śmiercią w mękach. Odsprzedanie oznaczało utratę własności i miejsca w świecie. Skazywało na półniewolniczą pracę u oligarchy albo wędrówkę do wielkiego miasta, gdzie czekał los mieszkańca slumsu.

Spekulowano później, że gdyby Marcos wywołał powstanie nieco wcześniej, być może układu NAFTA nigdy by nie ratyfikowano. Być może… Jednakże wejście traktatu w życie stworzyło – paradoksalnie – gwarancje bezpieczeństwa dla rebelii. Rząd stłumił ją, ale chwilę potem usiadł z buntownikami do rozmów. Wcześniej rządy PRI topiły podobne rewolty we krwi, nie paktowały z powstańcami. Gdyby nie NAFTA, znacznie łatwiej byłoby czynić tak z powstaniem zapatystów – po cichu, bez rozgłosu, bez świadków. NAFTA otworzyła niedemokratyczny Meksyk na świat. To była okazja, żeby wzniecić bunt na oczach światowej opinii, obnażyć autorytarne praktyki partii rządzącej, przemoc państwa, niesprawiedliwość, i zwrócić uwagę na biedę indiańskiej ludności.

Telefoniczna rozmowa z Enrique Krauze – Marcos? To przebieraniec, marksista-leninista. Dla niego walka o prawa Indian to maska, sposób na popularność. Ma więcej wspólnego z ideami Che Guevary niż z kwestią indiańską. Po upadku muru berlińskiego lewica straciła na znaczeniu. Marcos chce jej dać łyk świeżego powietrza, nowy sztandar.

– Meksyk jest jedynym krajem Ameryki Łacińskiej – tłumaczy Krauze – w którym przez pięćset lat następowało mieszanie się Indian i Hiszpanów.

W Peru powstały dwa całkowicie odrębne społeczeństwa: białych i Indian. W Argentynie i Chile wszystkich Indian wymordowano, podobnie w Stanach Zjednoczonych. Tych, którzy przeżyli, zamknięto w rezerwatach. W Meksyku zachodził proces całkowicie odmienny – coś, co nazywa się *mestizaje,* czyli „krzyżowanie"; „wymieszanie" i ludności, i kultury. Na tym polega meksykański cud.

Po blisko pięciuset latach tego procesu około dziesięć procent ludności nie poddało się wymieszaniu i pozostało Indianami. To ludzie bardzo biedni. I to prawda, że w niektórych regionach Meksyku, na przykład w Chiapas, są dyskryminowani. Chiapas przypomina bardziej Peru niż resztę Meksyku.

Czy ta dyskryminacja ma podłoże rasistowskie? Na pewno nie jest to dyskryminacja podobna do tej, jakiej byli poddani chociażby Żydzi w czasie drugiej wojny światowej. Owszem, w dyskryminacji Indian tkwi pewna doza rasizmu, ale Meksyk, jako taki, krajem rasistowskim nie jest. Marcos podnosi sztandar etniczny, rasowy, a to błąd, bo Meksyk ma wszelkie możliwe problemy – społeczne, polityczne i gospodarcze – ale akurat nie rasowe. Problem Indian, ich nędzy, zacofania jest realny, ale nie jest priorytetem, jaki uczynił z niego Marcos.

Powiadają, że przywódca rebelii, mimo rewolucyjnych pozorów, jest w sumie reformistą, ale on nie ma w sobie ani grama reformisty. Jego idee są rewolucyjne, antydemokratyczne, antyrynkowe. Chciał uczynić z Meksyku stolicę światowego ruchu przeciwko kapitalizmowi. Nie ma całościowego projektu, który byłby alternatywny wobec demokracji i rynku, po upadku komunizmu w Europie Wschodniej projekt taki nie istnieje nigdzie na świecie.

Czy nie chodzi jednak o konflikt między „globalizatorami" i „globalizowanymi", między tymi, którzy zyskują, i tymi, którzy tracą lub mogą tracić w przyszłości? To kwestia języka. Zawsze chodzi o to samo: o kapitalizm i rynek. Obecnie to się nazywa „globalizacją" i „neoliberalizmem". Marcos bliski jest rewolucjonistom lat siedemdziesiątych, przewodzi anachronicznej partyzantce z innej epoki, jednak jego geniusz polega na znakomitym komunikowaniu się ze światem, świetnym wyczuciu środków masowego przekazu.

Dlaczego lewica europejska tak kocha Marcosa? Bo po śmierci komunizmu lewica jest sierotą. Marcos daje jej nową tożsamość, a sprawa indiańska jest jej ostatnią granicą. Marcos tworzy obraz rasistowskiego Meksyku, a Meksyk krajem rasistowskim nie jest. Pochodzę z rodziny polskich Żydów, cała moja

rodzina wywodzi się z Polski. Nie doświadczyłem tu nigdy nawet najmniejszej dyskryminacji, żadnych uprzedzeń. Dla Meksyku ustawa o prawach Indian czy o autonomii może być niebezpieczna. Nie ma sposobu, żeby zdefiniować, kto jest Indianinem, a kto nie. Czy jest nim ten, kto za Indianina się uważa? Czy ten, kto ma jedną kroplę krwi nieindiańskiej, jest jeszcze Indianinem? Jak to zmierzyć? Groziłoby nam powstanie dwóch republik, dwóch równoległych kodeksów praw – dla Indian i nie-Indian. Konsekwencją byłaby „bałkanizacja" Meksyku.

– Tu nie chodzi o walkę z rasizmem, tu chodzi o walkę z niesprawiedliwością społeczną.

Ryszard Kapuściński, który oglądał z bliska wejście Marcosa do stolicy, nie podziela surowego krytycyzmu meksykańskiego intelektuała. Mówi: – W Ameryce Łacińskiej kwestia etniczna jest ściśle związana z kwestią społeczną, klasową. Indianin nie buntuje się dlatego, że jego „indiańskość" jest zwalczana, lecz protestuje przeciw nierówności, wyzyskowi. Chodzi mu o to, że nie ma żadnych możliwości awansu, nie ma dostępu do nauki, środków komunikacji. I nie widzi szans na zmianę swego położenia. Na ogromnym obszarze od południa Meksyku po krańce Ameryki Południowej nierówności mają swoje kolory: biały jest na ogół człowiekiem zamożnym lub średniozamożnym. Bieda jest kolorowa. Gdy do miasta Meksyk wjechała kolumna Indian z Marcosem na czele, wyglądało to tak, jak gdyby przywieziono ich z zupełnie innego kontynentu. A przecież byli to obywatele tego samego państwa! Ludzie, którzy mają takie samo prawo głosu, taki sam paszport, taki sam dowód tożsamości. Ci Indianie i mieszkańcy stolicy nie mają ze sobą nic wspólnego. I właśnie to rozwarstwienie zaatakowali zapatyści.

(fragment nagrania)

– Marcos jest medialnym geniuszem…

– Na tej nowej mapie społecznych konfliktów niesłychanie istotna jest rola mediów. Dzięki mediom, które stały się czymś w rodzaju pośrednika między walczącymi stronami – w tym sensie, że dostarczały informacji o ich celach i zamiarach – uniknięto wielu krwawych konfrontacji. Między partyzantką lat sześćdziesiątych, z czasów Che Guevary, a ówczesną władzą nie było żadnego kontaktu. To była konspiracja i otwarta wojna. Natomiast w Meksyku – mimo że

ruch zapatystów zaczął się od zbrojnego powstania – już po kilku dniach walki nastąpiła pierwsza wymiana informacji między władzą a rebeliantami: wysyłanie postulatów, przekaz medialny. To media ułatwiły pokojowe zakończenie krwawego na początku powstania. I aż do ostatniej chwili, czyli do dnia wejścia kolumny Marcosa do stolicy, bezbłędnie odgrywały rolę pośrednika i mediatora.

– Czy to nowi rewolucjoniści? Mówi się jednak o partyzantce, *guerrilli.*

– Z tym jest kłopot. Marcos powiedział: „My nie jesteśmy rewolucjonistami. My jesteśmy *rebeldes,* czyli buntownikami". I powiedział też, że różnica polega na tym, że rewolucjoniści dążą do obalenia rządu, zdobycia władzy i potem odgórnego reformowania społeczeństwa. – My natomiast – mówi Marcos – nie dążymy do zdobycia władzy. My buntujemy się przeciwko niesprawiedliwości tego społeczeństwa. Poprzez ten bunt, nie zmieniając władzy, nie zmieniając struktury ustrojowej państwa, chcemy doprowadzić do wyrównania szans wszystkich grup społecznych i etnicznych. Słowem: jego program jest pozytywny, nie zakłada żadnego zniszczenia. Co jeszcze uderza, to bardzo wysoki poziom intelektualny Marcosa i innych jego komendantów.

– Bo to często wykładowcy uniwersytetów, którzy stracili pracę, albo postanowili walczyć o bardziej sprawiedliwy świat.

– Marcos to wychowanek jezuitów, a równocześnie człowiek oczytany w Marksie. Gdyby urodził się nieco wcześniej, mógłby być jednym z głównych teoretyków teologii wyzwolenia. Nie poszedł jednak drogą kapłaństwa, zaczął studiować filozofię na uniwersytecie, a potem trafił do partyzantki. Jego przygotowanie intelektualne, poziom wystąpień, jasność sformułowań budzą respekt. Już w Chiapas, w dżungli, on i jego kompani poświęcili osiem lat na samokształcenie. Zadanie budowania wewnętrznej dyscypliny, doskonalenia się, zdobywania wiedzy było w obozie zapatystów niemal tak ważne jak w seminarium czy zakonie. Efekt jest imponujący i oni naprawdę są w stanie zasiąść do stołu rokowań z władzą jako kompetentni partnerzy. To jeden z najciekawszych rysów tego ruchu. Dostrzegam w tym ruchu duży ładunek humanizmu, idealizmu. Zapatyści wyraźnie mówią: choć jesteśmy uzbrojeni, to dzisiaj nie walczymy zbrojnie. Dążymy pokojowo – tak długo, jak to będzie możliwe – do rozładowania napięć społecznych. Ten pokojowy rys jest szalenie istotny dla całej Ameryki Łacińskiej, bo to, co się działo w Meksyku – ze względu na jego specyficzną sytuację, pozycję, położenie geograficzne – miało zawsze wpływ na rozwój wydarzeń w całym regionie. Również ta „pokojowa

guerrilla” Marcosa, jakkolwiek dziwacznie to brzmi, będzie miała wpływ na ewolucję w Ameryce Łacińskiej. Po raz pierwszy w historii całego regionu konflikt, który rozpoczął się zbrojnym starciem między władzą i opozycją, jest rozwiązywany metodami pokojowymi.

– Krytycy Marcosa mówią, że to ciągle ten sam spór między demokracją a jakąś lewicową utopią, między rynkiem a chimerą rewolucyjną…

– Znów powołam się na Marcosa, który mówi, że sam rynek nie jest zagrożeniem. Natomiast globalizacja może nim być, choć nie musi. To kwestia tego, jak się tej globalizacji użyje. Marcos mówi, że gospodarcze elity Meksyku i innych krajów Ameryki Łacińskiej nie zdają sobie sprawy, że zagrożenie dla nich płynie nie ze strony rewindykacyjnych ruchów społecznych, lecz ze strony wielkiego kapitału finansowego. Bo te lokalne burżuazje nie zostaną zniszczone przez buntowników, lecz będą wchłonięte przez wielkie centra finansowe. Jemu chodzi o to, żeby na przykład mieszkańcy Chiapas mogli wykorzystywać reguły rynku dla rozwoju lokalnej turystyki. Meksyk jest krajem turystyki, jednak sektor turystyczny został zmonopolizowany przez wielki kapitał. Dlaczego mieszkańcy Chiapas nie mają zarabiać na ruchu turystycznym? – pyta Marcos. On nie zwalcza globalizacji, lecz wykorzystywanie jej mechanizmów przez wielki kapitał finansowy. I w tym – jak sądzę – ma dużo racji. Dobrze, że ktoś zwraca uwagę na to zagrożenie…

Od wybuchu rebelii w Chiapas wszyscy zajmujący się zawodowo komentowaniem wydarzeń mieli kłopot z ulokowaniem Marcosa na uniwersalnej mapie idei. Kim jest człowiek, który mówi tak, jak gdyby przemawiało przez niego pięćset lat krzywd Indian i lata krzywd „wykluczonych”? Nowoczesnym rebeliantem w starym kostiumie czy nostalgikiem upadłej rewolucji komunistycznej? Uwodzicielem mas i gwiazdorem mediów czy autentycznym obrońcą Indian w Meksyku i nędzarzy z tak zwanego Trzeciego Świata? Cóż to za powstanie: XIX-wieczna stylistyka w epoce eksperymentów genetycznych?

Carlos Fuentes uważa, że niedowidzące elity Meksyku okrzyknęły Marcosa kolejnym wcieleniem starej castrowsko-guevariańskiej *guerrilli,* a to błąd. Charakter buntu, jego postulaty, techniki komunikacji, a także kwestie, które stawia, unaoczniają, że mamy do czynienia ze zjawiskiem zupełnie nowym. Gdyby było inaczej, to czy byłoby tyle kłopotów z nazwaniem, opisem, diagnozą ruchu Marcosa?

Nowością rebelii Marcosa (tak: rebelii, nie da się nazywać tego rewolucją) jest również brak recepty na uleczenie schorzeń współczesności. To protest, bunt, krzyk i sztandar, ale nie program, nie wizja „nowego wspaniałego świata”.

Marcos i jego zapatyści odrobili lekcję historii. Świadomie poprzestają na buncie, krytyce, umiarkowanych postulatach. Rebelie, które oferowały projekty uleczenia wszystkich chorób ludzkości – a które nazywamy rewolucjami – kończyły zwykle jako tyranie.

Miniatura XX
(koniec rewolucji)

W powieści Carlosa Fuentesa *Kryształowa granica* pojawiają się bracia Barrosowie: jeden jest sparaliżowanym starcem, przegranym rewolucjonistą, drugi – lokalnym kacykiem. Spytałem Fuentesa, czy poprzez ich postacie formułuje coś w rodzaju alternatywy dla ubogiego kraju – robić rewolucję albo robić pieniądze. – Myślę – odpowiedział – że perspektywa rewolucyjna umarła w Ameryce Łacińskiej. Przykład Kuby okazał się niezbyt zachęcający, a w innych krajach ludzie zdali sobie sprawę, że wywoływanie rewolucji oznaczało w praktyce prowokowanie reakcji wojska i faszystowskich represji. Tak było w Argentynie, Urugwaju, Chile…

Ameryka Łacińska ma tylko jedną drogę – uruchomienie kapitału ludzkiego, przebudzenie społeczeństwa obywatelskiego, jak zrobił to w Stanach Zjednoczonych prezydent Roosevelt, inaugurując *New Deal*. Zdrowe gospodarki można zbudować tylko na kapitale społecznym. Nie ma sensownych procesów globalizacyjnych, jeśli nie ma pożytecznych skutków na skalę lokalną. Międzynarodowy Fundusz Walutowy nie wybawi nas od naszych kłopotów, jeśli nie zaczniemy od budowy dróg, szkół, ujęć wody pitnej, zebrań mieszkańców dzielnicy, stowarzyszeń obrony praw kobiet.

Wiem zarazem, jak trudno wzmacniać demokrację w takim regionie jak Ameryka Łacińska. Ludzie pytają: Po co ta demokracja, jeśli nie wystarcza mi na chleb?

Mesjasz na Karaibach: Hugo Chávez

Zapach Caracas rozniósł się już w samolocie we Frankfurcie. Stewardessy rozdały pasażerom wenezuelskie gazety z poprzedniego dnia. Czołówka „El Nacional”: „Zamachy terrorystyczne przeciwko przedstawicielstwom krajów potępianych przez Chaveza”.

Pewnej lutowej nocy dwutysięcznego trzeciego roku w centrum Caracas wyleciały w powietrze: ambasada Hiszpanii i konsulat Kolumbii. Na miejscu zamachu znaleziono ulotki paramilitarnych grup sympatyzujących z prezydentem Chavezem. – Kto zostawia takie ślady na miejscu zbrodni? To prowokacja! – odpowiadali ludzie prezydenta.

Chávez oskarżył opozycję, że sieje zamęt i prowokuje do zamachu stanu. Opozycja oskarżyła Chaveza, że jego agresywne przemówienia w telewizji i na wiecach zachęciły kogoś do aktów terroru. I tak w koło, bez końca.

Wysoka gorączka zżerała Wenezuelę od kilku lat. Konflikt polityczny zogniskował się wokół charyzmatycznego Hugo Chaveza. Do władzy wyniosła go fala ludowej kontestacji, która zmiotła stare, skorumpowane partie. Chávez wypowiedział wojnę tradycyjnym elitom politycznym i finansowym swojego kraju. Zderzenie to rozdarło Wenezuelę na dwa dziko zwalczające się plemiona – bezkrytycznych wyznawców Chaveza i jego zaprzysięgłych wrogów. Karaibski naftowy raj przekształcił się w teatr wojenny bojówek, arenę politycznych strajków i demonstracji, strefę agresji i nienawiści.

W kwietniu dwutysięcznego drugiego w czasie nieudanego zamachu stanu przeciwko Chavezowi było osiemnastu zabitych. Gdy zamach stanu nie powiódł się, wrogo nastawieni do prezydenta szefowie państwowego koncernu

naftowego (PdVSA, *Petróleos de Venezuela SA)* ogłosili przeciwko niemu bezterminowy protest. Oficjalny powód: obsadzanie niekompetentnymi ludźmi stanowisk w firmie. Żądanie: dymisja prezydenta. Wrogowie Chaveza nazwali protest strajkiem, sympatycy – lokautem, bo to zarządcy przedsiębiorstwa zamknęli jego bramy przed pracownikami. Ponad dwumiesięczny strajk-lokaut w gałęzi gospodarki, na której wisi cały dochód kraju, doprowadził do straty ponad pięciu miliardów dolarów. Bajecznie bogata niegdyś Wenezuela zaczęła pędzić bez hamulców ku katastrofie. Galopujące bezrobocie i inflacja, upadek rodzimej waluty, rosnąca nędza i przemoc… Wkrótce miałem się przekonać, że coraz więcej Wenezuelczyków mówi w prywatnych rozmowach o wyjeździe z kraju, gdyby tylko nadarzyła się okazja.

Wczytywałem się w gazetę i nie dowierzałem. Wybrałem się w podróż, żeby zrozumieć coś z głębokiego kryzysu, w jakim pogrążała się Wenezuela. Nie sądziłem, że jadę do kraju, w którym wysadza się w powietrze placówki dyplomatyczne. Już na lotnisku im. Simona Bolivara w Maiquetii na obrzeżach Caracas dowiedziałem się, że kilka godzin wcześniej ewakuowano wszystkich pracowników i pasażerów. Ktoś zadzwonił z fałszywą informacją o podłożonej bombie.

Bienvenidos a Venezuela – witały bilboardy.

Hotelarz bardzo się ucieszył. – Oczywiście ma pan rezerwację, witamy w Caracas, jeśli pokój się nie spodoba, można zmienić. Mój hotel, jak wszystkie hotele w Caracas, świecił pustkami. Ambasady krajów zachodnich, a więc tych, w których ludzie mają pieniądze na podróżowanie, odradzały swoim obywatelom podróże do Wenezueli. Kto przyjedzie do miasta, w którym demonstranci biją się z policją i gdzie są śmiertelne ofiary?

Przed hotelem snują się taksówkarze – tak samo jak hotelarze bez zajęcia. Zawiozą gdziekolwiek za grosze – żeby tylko pojechać. Będę ich widział co noc z balkonu na drugim piętrze, jak głośno się śmieją, po sztubacku przepychają i biegają do knajpki sto kroków od postoju. W knajpce przy dużej alei ogniskuje się życie okolicy: znajduje się tam konna loteria. Co robić, gdy nie daje się zarobić inaczej?

Z prasy atakują agresywne tytuły: terroryzm, zamach stanu, Chávez tyran – jednak nastrój ulicy nie zdradza napięcia. Jest potworny upał, od dwóch lat nie spadł deszcz, gazety obwieszczają przerwy w dostawach wody. Zielone

zazwyczaj wzgórza otaczające Caracas wyschły na pieprz i mają kolor słomy. Wszystko toczy się wolno, jest apatycznie, nie rewolucyjnie; jak gdyby wszyscy czekali, że coś się zdarzy. Może choć deszcz spadnie. Może choć los na loterii.

Pierwsze, co rzuca się w oczy, to druty i zasieki. Mój hotel „Cumberland", schludny, ale żaden luksus, znajduje się w handlowo-biurowej dzielnicy Sabana Grande, raczej średnio zamożnej, kilka stacji metrem od centrum. Bloki wokół, tak jak w całym Caracas, tworzą betonową dżunglę, która w upalne dni potwornie się nagrzewa i do późnej nocy odbija ciepło. Nigdy nie jest chłodno. Brzydkie, betonowe kolosy sprawiają wrażenie mieszkań dla ludzi niezamożnych, których nie stać na lokum w zadbanych apartamentowcach czy jednorodzinnych domach. Jednak nawet te paskudne wielopiętrowce – każdy z osobna – mają swoje ogrodzenia: kilkumetrowej wysokości płoty lub mury. Nad nimi, na całej długości rozciągają się kolczaste zasieki. Czasem są to tłuczone butelki przyklejone na zaprawę murarską ostrymi brzegami do góry; a jeszcze nad nimi – dwa, trzy, cztery poziomy prostego drutu pod napięciem elektrycznym. Byłem prawie we wszystkich większych metropoliach Ameryki Łacińskiej, mających reputację miast występku i zbrodni – Rio de Janeiro, Sao Paulo, Limie, Bogocie, Meksyku, ale czegoś takiego nie widziałem nigdzie.

Druty i zasieki to trwałe *memento* po jednym z najważniejszych burzliwych wydarzeń w najnowszych dziejach Wenezueli – *caracazo.* Dwudziestego siódmego lutego osiemdziesiątego dziewiątego roku (wylądowałem w Caracas dokładnie czternaście lat później) mieszkańcy *ranchos,* dzielnic nędzy ze wzgórz otaczających stolicę, zeszli do miasta i przez kilka dni rabowali sklepy, wielkie centra komercyjne, napadali na ludzi i bogate rezydencje w lepszych dzielnicach. Telewizyjne zdjęcia z pogrążonego w chaosie Caracas były iskrą zapalną buntu na prowincji. Zapłonęły wszystkie większe miasta w kraju: Maracay, Valencia, Barquisimeto, Mérida, Ciudad Guayana… Policja nie interweniowała. Rozkaz spacyfikowania buntu rząd wydał Gwardii Narodowej, ale ta odmówiła wkroczenia do niebezpiecznych *ranchos.* Wezwano na pomoc wojsko. Żołnierze otoczyli najważniejsze gmachy w stolicy, a następnie weszli do dzielnic nędzy i gwałtu. Spotkałem później kulejącego człowieka, który pokazywał mi zabliźniony ślad po ranie postrzałowej w łydkę. Żołnierze – opowiadał – strzelali do wszystkiego, co się rusza. Oficjalnie zginęły 372 osoby, prawdziwa liczba zabitych – około dwóch tysięcy, wielu nie zidentyfikowano.

Rannych było tysiące.

Jak doszło do masakry? Sądnego dnia wcześnie rano robotnicy i pracownicy sektora usług z małego miasteczka Guarenas, „sypialni" Caracas, dowiedzieli się na przystankach autobusowych, że ceny biletów wzrosły dwukrotnie. W proteście zaczęli wywracać pojazdy, ktoś podpalił autobus i z iskry rozgorzał rewolucyjny płomień, ogarniając stolicę, a potem cały kraj.

Dwa tygodnie wcześniej rząd wprowadził pakiet reform, wedle zaleceń Międzynarodowego Funduszu Walutowego, w myśl zasad „konsensu waszyngtońskiego". Przewidziano wzrost cen paliw do stu procent, jednak właściciele autobusów mieli podnosić ceny biletów stopniowo – najpierw o jedną trzecią, po trzech miesiącach o następną jedną trzecią… Podnieśli od razu dwukrotnie, i to rozpaliło bunt.

W ramach zaciskania pasa zdrożeć miały nie tylko paliwa. Państwo miało obciąć wydatki na cele socjalne, znieść lub ograniczyć cła i licencje na import towarów, sprywatyzować państwowe firmy, chronić prawa autorskie. Program wypromowali amerykańscy wierzyciele zadłużonych krajów Trzeciego Świata, w tym Wenezueli. Cel: stworzenie mechanizmów w gospodarce dłużnika, które umożliwiłyby spłacenie wielomiliardowych wierzytelności. Godziło to w najbiedniejszych, którzy w anarchicznym i chaotycznym *caracazo,* rebelii bez przywództwa i bez idei, odmówili zapłacenia nieswoich rachunków.

Caracazo zakończyło trwającą trzydzieści lat epokę podniebnego wzlotu i bolesnego upadku Wenezueli. (Rok osiemdziesiąty dziewiąty był w różnych miejscach planety początkiem i końcem jakiejś epoki).

Epoka, którą zakończyło *caracazo,* też rozpoczęła się od buntu – tyle że zorganizowanego, z liderami, programami, nadziejami. Tamten bunt, w roku pięćdziesiątym ósmym, obalił dyktaturę generała Marcosa Pereza Jimeneza. Żeby opowiedzieć historię wzlotu i upadku kraju, trzeba cofnąć się do czasów jeszcze dawniejszych – do lat dwudziestych, kiedy to z pierwszego szybu w okolicach jeziora Maracaibo trysnęła ropa; ropa, najpierw zbawienie, a po latach przekleństwo karaibskiego kraju.

Wenezuelczycy nie mieli doświadczeń w eksploatacji „czarnego złota", dlatego dyktator kraju Juan Vicente Gómez oddał złoża ropy Amerykanom i Europejczykom. Państwo miało prawo do dziesięcioprocentowej renty, co było gigantycznym zastrzykiem pieniędzy dla biednej Wenezueli. Wystarczało na

spłatę długów, na utuczenie się dyktatora, jego rodziny i świty, a nawet na projekty modernizacyjne, między innymi rozbudowę miast. Kasta urzędnicza zbijała fortuny na handlu koncesjami.

Jeszcze zanim ropę znacjonalizowano, Wenezuela założyła razem z Irakiem, Iranem i Kuwejtem Organizację Państw Eksporterów Ropy Naftowej (OPEC). Dzięki wspólnej polityce, kraje te uzyskały wpływ na wielkość produkcji i cenę ropy. Państwo wenezuelskie nakładało na zagraniczne kompanie coraz to nowe opłaty – i zaczęło wyrastać na potęgę.

W siedemdziesiątym szóstym ropę upaństwowiono. Bogaci Wenezuelczycy, klasa średnia, mogli się teraz pławić w bogactwie. Zakupy w Miami, najlepsze i najdroższe, tylko z importu, stać nas! Wenezuelczycy nie płacili podatków, inflacja była plagą nieznaną, pieniędzy z ropy wystarczało na wszystko. Ruszyły potężne inwestycje budowlane. Wiele nieskończonych straszyło w centrum Caracas jeszcze trzy dekady później (jedna z nich – ogromny betonowy wieżowiec – tuż obok mojego hotelu). Kolejne światowe kryzysy naftowe – a to w czasie wojny Jom Kipur, a to w związku z rewolucją w Iranie – były dla Wenezueli jak los wygrany na loterii: ceny ropy szybowały w górę.

Państwo, a najbardziej państwowe przedsiębiorstwo naftowe PdVSA, obrastało licznymi instytucjami, urzędnikami, biurokracją. Było to późne echo idei zrodzonej jeszcze w latach sześćdziesiątych – że główne gałęzie gospodarki należą do państwa. Główne, a więc bogactwa naturalne, hotelarstwo (bo prężna turystyka na wybrzeżu karaibskim), przemysł energetyczny. Przeświadczenie o niewyczerpanych bogactwach plus przerośnięta biurokracja państwowa dały wynik: korupcja.

Korupcja w Wenezueli była wielka jak złoża ropy. Jej głównymi aktorami stały się rządzące partie: Akcja Demokratyczna *(Acción Democrática,* socjaldemokracja) i COPEI *(Comité de Organización Politíca Electoral Independiente,* chadecja). Demokracja formalnie obowiązywała, więc od czasu do czasu zamieniały się rolami władzy i opozycji (częściej rządziła Akcja Demokratyczna). U progu swojego istnienia, w roku pięćdziesiątym ósmym po obaleniu dyktatury, oba ugrupowania zawarły nieformalny pakt: że nie dopuszczą, by władzę objęły kiedykolwiek inne siły polityczne, niezależnie od tego, czy z lewa, czy z prawa.

Akcja Demokratyczna i COPEI nie były panami życia i śmierci, za to na pewno panami wygodnego życia, dobrej pracy i godziwej zapłaty. Tylko członkostwo

w partii otwierało drogi kariery i awansu. Trochę tak jak w Meksyku, gdzie Partia Rewolucyjno-Instytucjonalna, która stopiła się z państwem w jeden organizm – w Wenezueli z państwem stopiły się dwie partie. Pieniądze z ropy finansowały hojnie tę dwupartyjną demokrację. Starczało na łapówki i urzędowe grabieże – niemal *lege artis.* Do czasu…

Okresowe, nawet drastyczne spadki cen ropy, nie były w stanie zachwiać naftową potęgą kraju. Gdy brakowało pieniędzy, pożyczano je w amerykańskich bankach, wierząc, że raczej prędzej niż później ropa zapewni spłatę zadłużenia. Pierwszy, naprawdę poważny dzwonek zadźwięczał w roku osiemdziesiątym trzecim, kiedy Meksyk ogłosił, że nie jest w stanie spłacać wierzytelności. W obawie przed krachem regionu, banki-wierzyciele zażądały od pozostałych krajów Ameryki Łacińskiej, również od Wenezueli, natychmiastowej spłaty zadłużenia. A rządowa kasa w Caracas świeciła pustkami.

Boliwar stracił w stosunku do dolara trzy czwarte wartości. Biznesmeni i biurokraci, którzy wiedzieli o dewaluacji, zdążyli wywieźć pieniądze i ulokować je w amerykańskich bankach. Gospodarka zaczęła pogrążać się w chaosie. Wenezuela prawie niczego nie produkowała, niemal wszystko importowano. Nie było czym płacić, dramatycznie wzrosły ceny, ludzie ubożeli, jednak wpływy z ropy ciągle jeszcze pozwalały wierzyć, że „poradzimy sobie, mamy przecież takie bogactwo”. W dalszym ciągu państwo wydawało krocie na dotacje, dalej utrzymywało gigantyczną biurokrację, a ta, tak jak przez minionych trzydzieści lat, doiła państwową krowę. Wiara w niewyczerpane zasoby ropy sprawiła, że nie zdawano sobie sprawy z kruchości fundamentów całego organizmu gospodarczego. Na śmiertelnie poważną chorobę podawano środek znieczulający, który maskował prawdziwy jej charakter. Społeczne elity ciągle nieźle prosperowały. W atmosferze nieustającej fiesty uszło uwagi bawiących się, że na wzgórzach otaczających Caracas wyrastało coraz więcej osiedli nędzy.

Historię upadku Wenezueli objaśnia mi Tulio Hernández, mądry socjolog z uniwersytetu w Caracas. Mówi: – Załamanie społeczne rozpoczęło się na początku lat osiemdziesiątych, wtedy to mój kraj, który miał ogromne bogactwa i zarabiał na nich krocie, zaczął generować biedę i wykluczenie o rozmiarach u was, w Europie, niewyobrażalnych. Między bogatymi i biednymi wykopano przepaść, która z biegiem lat stawała się coraz głębsza. Rządzące elity

świętowały, przejadały bogactwa, nie zauważając zbliżającej się katastrofy. Mówię o przepaści tak w sensie materialnym, jak i społecznym – o braku nadziei i szans, o lekceważeniu ludzi, którzy znaleźli się na marginesie, o ich upokorzeniu. Tak rodziła się wśród biedoty i ubożejącej klasy średniej nienawiść do elit – za to, że dopuściły do powstania gigantycznego rozwarstwienia.

Trwający piętnaście lat proces staczania się kraju w przepaść miał trzy wymiary. Pierwszy – dramatyczne zubożenie mas. Drugi – kryzys partii politycznych. Przez nieodpowiedzialne działania, korupcję, stawianie interesów prywatnych nad dobrem wspólnym, partie te doprowadziły do samozagłady. Trzeci wątek – to upadek instytucji społecznych: wymiaru sprawiedliwości, sądów, policji, służby zdrowia, szkolnictwa, uniwersytetów, więziennictwa. Nie wyobraża pan sobie, jak przerażające warunki panują w wenezuelskich szpitalach; w więzieniach umieranie ludzi to codzienność – przykłady można mnożyć. Krok po kroku, dzień po dniu państwo ulegało dezintegracji, przestawało wypełniać podstawowe zadania, i wreszcie – utraciło całkowicie zaufanie Wenezuelczyków.

Gdy rachunki za trwającą trzy dekady fiestę próbowano przerzucić na najbiedniejszych, ci zeszli ze wzgórz, wywołując *caracazo.* Ludzie całkowicie utracili zaufanie do polityków. Społeczeństwo zaczęło przypominać statek, który ugrzązł na mieliźnie…

Stopniowy upadek trwa kolejną dekadę. Zmęczeni kryzysem i niepewnością ludzie wybierają na prezydenta „męża opatrznościowego” (Rafaela Calderę), który rządzi przy pomocy powołanej przez siebie partii (podobnie jak później Hugo Chávez). Model rządzenia oparty na biurokracji stworzonej na własne potrzeby, to nieszczęście. Partia nie prezentuje ludziom wizji czy idei, prezentuje wodza. Jest to nawiązanie do starej autorytarnej tradycji latynoamerykańskiej – *caudillismo,* wodzostwa. Gdy skończyła się kadencja Caldery, jego partia zapadła się pod ziemię, a ludzie po raz kolejny poczuli się oszukani. W atmosferze kompromitacji całej elity politycznej do Caracas wjeżdża na białym koniu zbawiciel: Hugo Chávez.

Swój wizerunek i polityczny program stworzył wokół kwestii nędzy i „wykluczanych”. Stare partie nigdy się o nich nie upominały, nie zauważały ich, lekceważyły. Dzięki Chavezowi ludzie ci stali się „widzialni”, zaistnieli na scenie społecznej.

Gdy po nieudanym zamachu stanu przeciwko Chavezowi, ów wracał

triumfalnie do pałacu prezydenckiego, widziałem dryblasa, dwa metry wzrostu, który chlipał jak dziecko: „Chávez, miłuję Cię!”. Prości ludzie, robotnicy, nie używają takiego języka. „Miłować” – to wyszukane słowo. *Chávez, te amo!* Po dekadach lekceważenia i pogardy elit dla biedoty, Chávez zajął w ludowej wyobraźni miejsce Mesjasza. Dla ludzi społecznie zmarginalizowanych to pierwszy przywódca, który mówił do nich i o nich. I właśnie to – nie materialne dobrodziejstwa – było najcenniejszym podarunkiem, jaki ofiarował mieszkańcom wenezuelskich dzielnic nędzy.

Ten spektakl powtarzał się co tydzień. – To przestępcy! Sabotażyści! Dążą do zniszczenia kraju! Wenezuela pod ich rządami zginie! Uciszymy oligarchię! (burza oklasków, okrzyki: – Chávez!, Chávez!)

W każdą niedzielę Hugo Chávez przemawiał w państwowej telewizji do ludu, za każdym razem z innego miejsca. Jeździł po kraju, gdzieś na prowincji inscenizowano dla niego telewizyjne studio, niekiedy w plenerze, schodziła się publiczność. Po przemowie były pytania, potem dyskusja.

Chávez mówi ustami i rękami. Wykształceni mieszkańcy Caracas ironizują na temat jego prowincjonalnego akcentu, ale język Chaveza prowincjonalny nie jest. Prezydent-pułkownik kształcił się w akademii wojskowej, potem studiował na prestiżowym uniwersytecie w Caracas. Był wykładowcą. Mówi prosto, bo do prostych ludzi, ale jest to prostota, za którą stoi wykształcenie i znajomość retoryki. Ma łatwość mówienia. Jakby bajki opowiadał. Dużo gestykuluje. Unosi ręce tak, jak gdyby studiował ten gest ze zdjęć Juana Perona, bożyszcza argentyńskiej biedoty.

Do ludzi, którzy przychodzą na coniedzielne spotkania i zabierają na nich głos, Chávez mówi po imieniu. Od razu się fraternizuje, nazywa pytających *amigo,* szczegółowo dopytuje, na czym polega problem. A przychodzą robotnicy, rolnicy, związkowcy, bezrobotni.

Ktoś z publiczności mówi: – Panie prezydencie, producenci mleka zawyżają ceny! Chávez oburza się: – To niedopuszczalne, sprawdzimy to! A za chwilę wskazuje prawdziwych winnych: – PdVSA (państwowa kompania naftowa, której szefowie zbuntowali się przeciwko prezydentowi) musi taniej sprzedawać rolnikom paliwo!

Chávez ma przed sobą mapę kraju. Pokazuje jakiś region i mówi: – Tu, w interiorze, trzeba zrealizować nowy projekt upraw kukurydzy! Albo: – Tu są

żyzne ziemie, trzeba pomóc ludziom z przeładowanych miast przeprowadzić się tam i założyć uprawy. Zrobimy to! (Znów głośne owacje: – Chávez, Chávez!)

Rozładowanie miast molochów, w szczególności Caracas, to jedna z wielkich idei Chaveza, i może jeden z największych problemów przyszłości, zwłaszcza w krajach biednego Południa. Wielkie migracje ze wsi do miast, po upadku państw kolonialnych, a w XX wieku spowodowane skurczeniem się rynku pracy na wsi, doprowadziły do względnego przeludnienia. Miasta zaczęły pęcznieć i zamieniać się w niezmierzone obszary nędzy, nieporządku, gwałtu, bezrobocia. Na początku rządów Chaveza wielka powódź w Caracas, która zabiła ponad trzydzieści tysięcy ludzi, a mieszkańcom slumsów zmyła domki do morza, zmusiła wielu do szukania innego miejsca zamieszkania. Z pomocą przyszedł im prezydent, realizujący swój pomysł przesiedlania ludzi z miast na wieś. Nie, Chávez nie jest krwawym Pol Potem, nikogo nie zmusza do przeprowadzki. Sprawa jest trudna, ponieważ zyskując na wsi dach nad głową lepszy niż w slumsach Caracas, przesiedleńcy są narażeni na inne niż w wielkim mieście niebezpieczeństwa – inne klęski żywiołowe, tysiące chorób w selwie nad Orinoko i w Amazonii. Wielu wybiera – z dwojga złego – los lumpenproletariusza wielkiej metropolii…

Wielki admirator Chaveza, jego biograf Richard Gott uważa, że choć odwrócenie tendencji napływu wiejskiej ludności do miast jest nierealne, to wysiłek na rzecz jej spowolnienia daremny nie jest. Inaczej megamiasta Południa staną się jeszcze większym koszmarem.

Inna idea Chaveza: „niepodległość żywnościowa”; Wenezuela jest w stanie wyżywić się sama, tymczasem ponad połowę żywności importuje. Chávez chciałby nie tylko przeobrazić społeczeństwo. Chciałby dokonać nawet rewolucji kulturowo-kulinarnej. Zamiast importowanych jabłek jedzmy mango, zamiast amerykańskich hamburgerów – kukurydzę, zamiast makaronów – ryż. Idea tyleż ambitna, co karkołomna: Caracas pokrywa sieć amerykańskich fast-foodów.

Pytanie o Chaveza: skąd w czasach globalizacji i amerykanizacji wziął się trybun, który łączy w sobie kilka postaci z latynoamerykańskiej historii ostatnich dwóch wieków? Który mówi o równości, sprawiedliwości i Bogu – trochę jak biblijny prorok?

Po pierwsze – z tradycji rodzinnej. Rodzina Chaveza wyrosła z ludowych rebelii i insurekcji. Prapradziadek ojca, pułkownik Pedro Pérez był w latach

czterdziestych dziewiętnastego stulecia dowódcą ludowej partyzantki. Wraz z legendarnym przywódcą Ezequielem Zamorą wywołali

chłopskie powstanie przeciwko oligarchom ziemskim. „Wolni ludzie i wolna ziemia!", „Wolne wybory!" „Oligarchom – nienawiść!" – wołali. Syn Pereza, znany pod przydomkiem „Maisanta", wszczął rebelię przeciwko dyktatorowi Gomezowi – mniej więcej w tym samym czasie, gdy w Sarajewie ginął arcyksiążę Ferdynand. Jedna z dwóch córek „Maisanty" była babką Huga Chaveza.

Przez całe dzieciństwo Chávez słuchał opowieści babki o powstańcach – o jej ojcu i dziadku. Sam również próbował zamachu stanu – bez powodzenia.

Po drugie – Chávez narodził się z pewnej słabo w świecie znanej tradycji latynoamerykańskiej, w której wojsko sprzyja radykalnym ideom społecznym. Jest to tradycja w kręgach wojskowych „mniejszościowa". Armie w Ameryce Łacińskiej kojarzy się raczej z krwawymi, antykomunistycznymi zamachami stanu i dyktaturami, często w obronie wielkiego kapitału, przeciwko społecznym reformom. Tradycja krwiożerczych okrutników ma w samej tylko dwudziestowiecznej historii licznych przedstawicieli – Pinocheta w Chile, Videlę w Argentynie, Stroessnera w Paragwaju, Banzera w Boliwii. Tradycja „mniejszościowa" łączy wojsko z aspiracjami biedoty, gotowością przeciwstawienia się zamożnym grupom i grania na nosie zagranicznym kapitałom. Tradycję tę uosabiają nazwiska Manuela Isidoro Belzu z Boliwii, wspomnianego Ezequiela Zamory z Wenezueli, Luisa Carlosa Prestesa z Brazylii, Juana Perona z Argentyny. W zupełnie najnowszej historii – Juana Velasco Alvarado, społecznego radykała z Peru (na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych) oraz Omara Torrijosa, panamskiego reformatora w mundurze (lata siedemdziesiąte). Chávez zrzucił mundur – na znak, że nie jest kolejnym latynoskim watażką-tyranem w ciemnych okularach *á la* Pinochet. Nie zarzucił jednak pomysłu wciągania wojska w cywilne życie polityczne. Nośnikiem tej idei był wprowadzony na początku rządów Chaveza *Plan Bolívar:* wojsko budowało drogi w głębokim interiorze, pomagało służbom medycznym w szpitalach, dowoziło żywność na prowincję. *Plan Bolívar* uderzył w pośredników („spekulantów!") – to żołnierze przejęli ich biznes, dzięki czemu ceny żywności spadły nawet o czterdzieści procent.

Po trzecie – Chávez to nieplanowane dziecko wenezuelskiego establishmentu – jego skorumpowania, lekkomyślności, lekceważenia losów kraju, gospodarki i ludzi żyjących na marginesie. Wojskowy i człowiek spoza sceny politycznej –

wyrósł na glebie, na której nie przyjmowały się już tradycyjne partie.

Po czwarte – Chaveza zrodziła nędza i rozwarstwienie, które przyniosła Wenezueli pewna wersja rynku, spod znaku Pinocheta, Reagana i Thatcher. Przyjęcie „konsensu waszyngtońskiego" włączyło kraj w krwioobieg globalizującej się gospodarki; oznaczało jednak rezygnację państwa z polityki socjalnej – w dramatycznie ubożejącym społeczeństwie.

Przypomniały mi się słowa mądrego profesora z Rio de Janeiro: – Skończył się czas rewolucji w stylu Fidela Castro, lecz skończył się również czas cedowania wszystkiego na „niewidzialną rękę rynku". Biedota straciła cierpliwość i – za drugim podejściem – w pokojowym *caracazo* przy urnach wyborczych masowo poparła Chaveza.

Moje własne zdumienie, skąd w czasach globalizacji wziął się taki ludowy mesjasz, obróciło się w odpowiedź: właśnie z powodu globalizacji; a ściślej – pewnej jej wersji, która przyniosła nową biedę, nowe nierówności, i ustanowiła niepisaną zasadę: jeśli jesteś biedny, to zapewne twoja wina, radź sobie sam.

Pałac prezydencki Miraflores był po zamachach na placówki dyplomatyczne strzeżony jak twierdza. Już kilka ulic dalej przechodniów witały metalowe barierki i patrole żołnierzy. Tylko w kraju, w którym wisi w powietrzu przewrót, a wojsko jest nie kadrowe, lecz z powołania – sól ziemi, można poczuć, co to władza człowieka w mundurze. Jest taki moment, w którym żołnierz bierze twoje dokumenty, patrzy z góry, choćby był mniejszy o dwie głowy, i czeka. On ma czas. On ma władzę i twój dowód tożsamości. Rozgląda się, ogląda – ciebie, twoje papiery. Wszystko trwa niewiele dłużej niż chwilę, ale w tej jednej chwili uświadamiasz sobie, kto tu rządzi, i od kogo zależy twój los.

Przed bramami Miraflores kolejka i bałagan. Ludzie czekają na przepustki, żeby dostać się do środka. Okazuje się, że w pałacu jest biuro interwencji, i ludzie przychodzą do siedziby prezydenta jak do pogotowia interwencyjnego. Żołnierze-strażnicy o niczym nie wiedzą, każą czekać. Jest pora lunchu, w pałacu nikt nie pracuje, a czekający wyglądają na przywykłych do czekania.

Mam się spotkać z Rodrigiem Chavezem – zbieżność nazwisk przypadkowa, to nie krewniak wodza, choć stugębna plotka głosi, że wódz otoczył się rodzinną sitwą. Pan Rodrigo jest szefem Kręgów Bolivariańskich *(Círculos Bolivarianos),* tak się nazywa społeczno-polityczny front wspierający Chaveza. Po dobrej godzinie ktoś woła: *Don Arturo!* Starszy mężczyzna, który wyszedł po mnie

z Miraflores, okazał się chilijskim uchodźcą z czasów dyktatury Pinocheta. – Wie pan, przypominają mi się czasy, w których wielki kapitał i burżuazja w moim kraju atakowały Salvadora Allende. Tak samo teraz atakują Chaveza. Szef zaraz pana przyjmie, proszę poczekać.

Rodrigo Chávez nie wygląda na człowieka z karaibskiego ludu. Jest doskonale biały, wykształcony, nienagannie urzędniczy. Opowiada o osiemdziesięciu procentach obywateli, których dotknęła bieda, i o kaście uprzywilejowanych, która ukradła Wenezuelę. – Przez cztery lata – mówi – Hugo Chávez zrobił dla ludzi więcej niż tamci przez czterdzieści lat. Przykłady? Proszę bardzo. Trzy tysiące szkół boliwariańskich, w których półtora miliona dzieci dostaje trzy posiłki dziennie i oprócz normalnych lekcji ma zajęcia sportowe, artystyczne, komputerowe. Sto pięćdziesiąt tysięcy nowych mieszkań z dostępem do wody bieżącej i prądu. Tysiące ludzi z ubogich dzielnic i regionów leczonych za darmo, tysiące małych kredytów, banki mleka, prawa własności gruntów miejskich w osiedlach nędzy, spółdzielnie rolnicze… To ci ludzie zyskali na naszej rewolucji.

„Materialne zyski biedoty nie są najważniejsze… ” – przypomniały mi się słowa mądrego socjologa. Chávez dał tym ludziom godność, nadał znaczenie, ofiarował miejsce w świecie – dlatego go kochają. Zrobiono badania opinii publicznej, w których zadano ludziom pytanie: czy w ciągu dwóch lat (rządów Chaveza) panu/pani poprawiły się warunki życia? Odpowiedź: Nie. Czy sądzi pan/pani, że w ciągu najbliższych kilku lat się poprawi? Odpowiedź: Nie. A na kogo by pan/pani zagłosował/-ła jutro? Na Chaveza.

Hugo Chávez obudził nadzieje niespotykane w najnowszej historii Wenezueli. Bez pracy, o głodzie, ale z Chavezem. Co to oznacza? Że biedakom może być nawet gorzej, ale i tak pójdą za Chavezem. Chávez rozbudził aspiracje biedoty. Sprawił również, że biedni dostrzegli w bogactwie bogatych źródło swojej biedy.

– Nie, nie jesteśmy przeciwko rynkowi – Rodrigo Chávez rzucił na „do widzenia”. – Chcemy tylko, żeby rynek uwzględniał prawa ludzi biednych, „Socjalizm rynkowy” – jak to się panu podoba?

Hugona Chaveza błędnie odczytywano. Opozycyjne stacje telewizyjne na okrągło straszyły: Chávez tyran, Chávez komunista, który zamieni Wenezuelę w „drugą Kubę”. Większość amerykańskich i europejskich środków przekazu

powtarzała tę mantrę. Stacje telewizyjne w Caracas są jak partie polityczne. Dwadzieścia cztery godziny na dobę nadają programy propagandowe; nawet telenowele są upolitycznione.

Mam teraz przed oczami wspólne zdjęcie Chaveza z Fidelem Castro: Chávez pokazuje swojemu staremu mentorowi szablę ich wspólnego przodka – Simona Bolivara, Wyzwoliciela. Wenezuela Chaveza ustanowiła specjalne stosunki z Kubą Castro. Chávez zawsze z atencją mówił o Fidelu – i wzajemnie. Kubańskie szpitale przyjmowały chore dzieci z Wenezueli, a wenezuelska ropa nieco taniej płynęła na „wyspę gorącą". Ale więcej w tym teatru polityki niż polityki samej.

Nawet wściekli przeciwnicy przyznawali w rozmowach – gdy nie byli wściekli – że Chávez nigdy nie chciał uczynić z Wenezueli „drugiej Kuby". Tulio Hernández, zdeklarowany oponent Chaveza, powiedział mi wprost: – Chávez jako kalka systemu kubańskiego? Nigdy. On chciałby rządów jednej partii, ale nie w stylu kubańskim, tylko w ramach demokracji. Najbardziej intrygujące, że połączył język lewicowy z nielewicową – w zasadzie liberalną – polityką. Nie przeprowadził żadnej reformy systemowej, która szłaby pod prąd polityki poprzedników. Nie przeprowadził nacjonalizacji, ani kolektywizacji. Dla biedoty zrobił dużo, ale „punktowo". Szkoły, mieszkania, kredyty… Systemu nie zmienił.

Język Chaveza od początku miał dużo odwołań do chrześcijaństwa (przeciwnicy dodawali: prymitywnego) – w centrum uwagi znajdowali się ludzie biedni. Biedni powinni być jednak cierpliwi, bogaci natomiast – zdobywać się stale na gesty miłosierdzia i solidarności. „– Nie jesteśmy etatystami ani neoliberałami – przysięgał Chávez. – Znajdujemy się dokładnie w pół drogi, w miejscu, gdzie niewidzialna ręka rynku splata się z widzialną ręką państwa. Tyle państwa, ile konieczne, tyle rynku, ile to możliwe". Oto credo…

Chávez zawsze zionął nienawiścią do ideologii neoliberalizmu, lecz zawsze wiedział, gdzie stoją konfitury: umiał dbać o inwestycje zagraniczne. Wenezuela za jego rządów podpisała traktat o promocji i ochronie inwestycji zagranicznych. Chávez wykonał sprytny manewr i wyjechał wówczas z kraju (żeby móc mówić, że zrobili to ministrowie, gdy był za granicą). Słyszałem hipotezę o organicznej niechęci Chaveza do wielkiego kapitału – tyle że wenezuelskiego, rodzimego, bo to ów kapitał – czyli ludzie bogaci, elity finansowe – ponosi odpowiedzialność za upadek kraju i nędzę milionów Wenezuelczyków. Chávez chciałby utrzymać kapitalizm, a zarazem zniszczyć

narodową burżuazję; rozbić wielkie firmy krajowe i wpuścić na ich miejsce korporacje zagraniczne, bo te zajmowałyby się biznesem, nie wtrącały do polityki. Chciałby sprywatyzować przedsiębiorstwo naftowe, którego dyrektorzy i menadżerowie stawiają mu opór, ale nie ropę samą.

Nie, Chávez to nie komunista, to nie dinozaur przegranej ideologii. Ostatecznie przekonał mnie o tym Douglas Bravo – prawdziwy Don Kichot rewolucyjnej utopii! – legendarny dowódca partyzantki z lat sześćdziesiątych, który roztoczył przede mną wizję ostatecznego końca kapitalizmu. Chávez-rewolucjonista? Wolne żarty, on przecież nic nie zrobił dla najbiedniejszych. A szkoły bolivariańskie? To nie rewolucja, system został nienaruszony.

Douglas Bravo ma rację. Chávez to twardo stąpający po ziemi pragmatyk. Wiedział od początku, że epoka rewolucji to przeszłość. Tak, próbował godzić ogień z wodą, chciał awansu społecznego biedoty, lecz wiedział, że bez środków finansowych biedocie nie pomoże. Gdy pojechał do Stanów Zjednoczonych, na spotkaniu z wielkim kapitałem rzekł (trzymając Biblię w ręku): – „Po owocach ich poznacie". Nie słuchajcie tego, co mówię, patrzcie na to, co robię!

Na murach Caracas taka oto debata polityczna: *Yankee go home, Bush morderca, Opozycja – faszyści…* Z ulicznych płotów, murów, estakad głos zabierali częściej chaviści; opozycja prawie nieobecna.

Na placu Bolivara nieustający piknik polityczny. – Chávez! Chávez! – wykrzykują uliczni handlarze, pikieciarze, aktywiści, lumpy. Zrobili gazetkę ścienną, na której wyzywają przeciwników Chaveza od faszystów, sabotażystów, złodziei. Powycinali z gazet zdjęcia ich sylwetek i wizerunków, obkleili hasłami i wywiesili jako coś w rodzaju listów gończych. – Chávez! Chávez! – krzyknął któryś zaczepnie, waląc pięścią w swoją drugą otwartą dłoń. – *Americano?* Dziennikarz? – zawołał inny.

Niedobrze było być w tamtym momencie dziennikarzem. Chaviści mieli dziennikarzy za takich samych „faszystów", jak biznesmenów, menedżerów, starych polityków – tych wszystkich, których obrzucali inwektywami w swojej ulicznej gazetce. Przekonałem się o tym już po kilku minutach pobytu w Caracas. Taksówkarz wiozący mnie z lotniska do hotelu mocno skrzywił się, gdy zapytany wyjawiłem mu cel podróży. – Dziennikarze są nieuczciwi – powiedział.

Dopiero później zrozumiałem, skąd ta niechęć. Telewizje i gazety prywatne od

rana do nocy prowadziły nagonkę na Chaveza. Sympatyków prezydenta przedstawiali jako nieokrzesany motłoch, chamstwo, hołotę. Dziennikarze byli propagandystami, rzecznikami jednej strony konfliktu.

Niedobrze było również być w tamtym momencie Amerykaninem. Caracas wymalowane hasłami: „Jankesi won", *„Nie* dla interwencji Wuja Sama" (wojna z Irakiem miała wybuchnąć dopiero za kilkanaście dni).

Nie za dobrze było być człowiekiem dobrze ubranym, białym…

Sporo napisano o tym, że konflikt wokół postaci Chaveza to rewolucja etniczna. I – rzeczywiście – gdy spojrzy się na tłum jego zwolenników, dominują kolorowi: Indianie, afro-Indianie, Mulaci, Metysi. Pewną popularność zyskała teza, że wraz z Chavezem doszła do głosu ignorowana, kolorowa większość Wenezuelczyków; że to jej przebudzenie. Wielu badaczy ze Stanów Zjednoczonych i Europy widziało w konflikcie wenezuelskim zderzenie białej mniejszości z kolorową większością…

W dwudziestym wieku Wenezuelczycy dojrzewali w przekonaniu, że są najbardziej demokratycznym społeczeństwem Ameryki Łacińskiej. Że w ich kraju nie ma rasizmu skierowanego przeciwko Indianom, że są bardziej otwarci od innych. Do pewnego stopnia tak jest. Ludzie bogatsi, rodziny klasy średniej mają przeważnie w domu gosposię – Indiankę, Metyskę, Mulatkę – którą traktują niemal jak członka rodziny. Gdy wyprawiają wesele, zapraszają ją jak krewną. Ktoś mi wyjaśnił, że to nie takie proste: – Oczywiście, traktujemy kolorowych jak równych, ale zarazem nie jesteśmy demokratyczni; pójdziemy z kolorowym biedakiem na piwo, odwiedzimy go nawet w domu, ale gdy przychodzi do polityki… Nasz rasizm jest bardzo ukryty, obłudny.

Biała elita Wenezueli wywodzi się z czasów kolonialnych. Zawsze rządziła i zawsze była zamknięta. Po drugiej wojnie światowej przyszła nowa fala białych imigrantów: zaczęli napływać wojenni rozbitkowie z Włoch, ofiary frankizmu z Hiszpanii, biedota z Portugalii. Ludzie ci wynieśli z Europy doświadczenia, jak radzić sobie w warunkach konkurencji, kapitalizmu i szybko zajęli wysokie pozycje w gospodarce Wenezueli. Biedny Portugalczyk, którego rząd Wenezueli wysłał na wieś, żeby uprawiał rolę, szybko orientował się, że na wsi nie zrobi pieniędzy i uciekał do miasta. Zakładał piekarnię, otwierał hotelik, sklep – tworzył nową klasę średnią. Tak oto pojawiła się nowa – jeszcze jedna – biała elita Wenezueli.

Ta elita nie była tak rasistowska, jak – powiedzmy – jej ówczesny odpowiednik

ze Stanów Zjednoczonych. Jednak biednymi i niezaradnymi gardziła. A biedny w Wenezueli to najczęściej Indianin, Metys, czarny. Różnice etniczne nakładają się na różnice klasowe. Lekceważenie ludzi z niższego szczebla społecznej drabiny ma – jak mi objaśniał pewien naukowiec – charakter bardziej klasowy niż rasowy; jest to raczej ksenofobia niż rasizm. Kiedyś powiedzenie o kimś „Portugalczyk" było obelgą. „Portugalczyk" był kimś, kto dużo pracował, przeważnie na roli, ale był ignorantem, byle jak się ubierał, był niedomyty. – A Wenezuelczycy, jak pan wie, nieustannie się kąpią, bardzo dbają o wygląd zewnętrzny… Tak więc tu nie chodzi o rasizm, ale – ma pan rację – kontekst etniczny jest obecny.

Różnice majątkowe nigdy nie wywoływały w Wenezueli większych perturbacji. Gdy jednak w latach osiemdziesiątych pojawiła się dramatyczna bieda, stare różnice przerodziły się w wielką przepaść. Kraj eksplodował. Podręczniki do samoobrony dla mieszkańców bogatych dzielnic mówią otwarcie o zagrożeniu ze strony kolorowych. Chávez uwidocznił ów etniczny podział. Mówił w imieniu biednych, w imieniu kolorowych, i sam uosobił etniczną miksturę tego społeczeństwa.

Wreszcie – to także konflikt kulturowy. Wraz z uzyskaniem przez biedotę symbolicznego obywatelstwa we własnym kraju, w życiu politycznym nastąpiła inwazja kultury niskiej. Jej objawem są agresywne slogany na murach miasta. Zaczepianie turystów. Słowne napaści Chaveza na przeciwników. Pobicia dziennikarzy i ludzi niechętnie nastawionych do prezydenta.

Tulio, socjolog, powiedział mi, że zamiast zasypywać przepaść, jaka oddziela najuboższych od reszty – co mogłoby zredukować społeczną agresję i przemoc – Chávez zamienił rozwarstwienie w dźwignię ludowej nienawiści. Pierwszy raz w historii kraju, przynajmniej w ostatnich kilku dekadach, pojawiło się niebezpieczeństwo autorytaryzmu, terroryzmu i wojny domowej. W Wenezueli nigdy nie było terroryzmu, nawet w latach sześćdziesiątych, gdy działała rewolucyjna *guerrilla*. Nie było pokus zamachów stanu, ani tak ogromnej polityzacji sił zbrojnych.

W dniach mojego pobytu w Caracas do domu Julia Cesara Marmola, autora kanonicznej telenoweli *Estefanía* – której akcja toczy się w czasach dyktatury gen. Pereza Jimeneza – wkroczyła bojówka chavistów. Zdemolowali dom, poturbowali mieszkańców, niczego nie ukradli. W telenoweli sprzed

ćwierćwiecza chaviści doczytali się krytycznych aluzji o swoim przywódcy.

Trudno było poczuć sympatię do którejś ze stron konfliktu. Oba plemiona (tak! ta nienawiść ma cechy plemienne) – to znaczy: i chaviści, i ich adwersarze – pod hasłami: „To ci drudzy są zagrożeniem", naruszyły normy współżycia. Dziennikarze przeciwni Chavezowi tak tłumaczyli swoją stronniczość: „Bo nie ma demokracji". Dziennikarze sympatyzujący z Chavezem mówili: „Faszystowska opozycja groziła puczem i chciałaby nas pozabijać".

Inny przykład: zajmowanie ulic. Chaviści zajmowali ulice wokół siedziby koncernu naftowego PdVSA, blokując ruch w mieście. Opozycja zajmowała główny plac w dzielnicy Altamira, zamieniając miejsce spacerów i rekreacji w pole politycznej walki. Przeciwnik to nie konkurent, lecz wróg, którego trzeba zniszczyć – moralnie, politycznie, a niekiedy i fizycznie.

– My, Wenezuelczycy – tłumaczył mi tę wzajemną zapiekłość Tulio – jesteśmy społeczeństwem szalenie niecierpliwym, niedojrzałym, raptownym. Wszystko chcemy teraz, natychmiast. Jesteśmy krajem naftowym i ludzie są przyzwyczajeni do dostatku bogactwa od razu, natychmiast. Nie umiemy systematycznie i cierpliwie uprawiać czegoś, czekać aż wzrośnie. Ciągle żyjemy iluzją przeszłego bogactwa, które kiedyś dała nam ropa. I ta iluzja ciąży na naszej zbiorowej psychice. Jesteśmy również społeczeństwem pełnym paradoksów. W Wenezueli łatwo spotkać kogoś, kto uważa się za demokratę i równocześnie poparłby interwencję wojskowych w życie polityczne; kogoś, kto kwestionuje rządy Chaveza jako wojskowego, ale poparłby innych wojskowych u władzy, gdyby tylko byli przeciwko Chavezowi. Opozycja kwestionowała pewne metody, którym hołdował Chávez, a zarazem wspierała je, gdy okazywały się skuteczne w walce przeciwko Chavezowi – przemoc, agresję, militaryzm.

Kim są oponenci Chaveza? Nie, to nie stare partie, które utraciły zaufanie ludzi. Przeciwnicy Chaveza skupili się wokół instytucji niepartyjnych – izb przedsiębiorców, jednej z central związkowych, mediów i Kościoła (który długo trzymał się na uboczu). Tulio uważa, że taka opozycja to niebezpieczeństwo. Powiązana jest organizacjami, które ze swej natury bronią interesów jednej grupy i nie mają pojęcia o rządzeniu. Byłoby to uzasadnione, gdyby Chávez był dyktatorem…

Część przeciwników Chaveza połknęła bakcyla autorytarnego. Namawiała otwarcie wojskowych, żeby dokonali interwencji w cywilne życie polityczne.

Zanotowałem cytat z wywiadu szefa centrali związkowej Carlosa Ortegi dla dziennika „El Nacional”: „Do upadku Chaveza brakuje już tylko jednego komponentu – militarnego”. Zaproszenie do zamachu stanu.

Wrogowie Chaveza dwa razy pokazali, na co ich stać. I to „coś” nie było demokratycznym ideałem.

W kwietniu dwutysięcznego drugiego roku zorganizowali zamach stanu. Wypadki przebiegły dosyć standardowo. Były dwa tłumy demonstrantów. Zwolennicy Chaveza bronili pałacu Miraflores. Przeciwnicy zorganizowali marsz na pałac. Gdy Chávez przemawiał w telewizji, padły pierwsze strzały i pierwsze ofiary (wrogowie Chaveza mówili potem, że to prezydent rozkazał strzelać do tłumu). Zbuntowani oficerowie zażądali od Chaveza ustąpienia – w przeciwnym wypadku na Miraflores miały spaść bomby. Chávez pozwolił się aresztować, ale… nie złożył rezygnacji. Oficjalnie pozostał prezydentem, ale puczyści nie dostrzegli niuansu, który stał się później jednym z prawnych gwoździ do ich trumny. Nastąpiło zaprzysiężenie nowego prezydenta – Pedra Carmony, szefa izby przedsiębiorców. Junta rozwiązała parlament, zawiesiła Sąd Najwyższy i inne konstytucyjne instytucje wymiaru sprawiedliwości. Ambasador USA szybko się spotkał z nowym prezydentem, rzecznik Białego Domu ucieszył się z upadku Chaveza… Tymczasem kilka godzin po zaprzysiężeniu Carmony prokurator generalny ogłosił: nie ma dowodu na piśmie, że Chávez zrezygnował, a to znaczy, że nadal jest prezydentem. Przebywający w areszcie legalny prezydent przekazał przez żonę jednego z oficerów gryps do wiernego sobie generała. Generał odczytał go tłumowi chavistów: „Nie ustąpiłem!”. Teraz to zwolennicy Chaveza pomaszerowali na Miraflores. Gwardia Honorowa obezwładniła puczystów. Ceremonia zaprzysiężenia nowych ministrów zakończyła się ich ucieczką z pałacu prezydenckiego. W pośpiechu Carmona zgubił na schodach but.

W czasie puczu opozycja popełniła trzy faule – i co najmniej dwa z nich obciążają środki masowego przekazu.

Wojskowi związani z opozycją nagrali przed kamerami oświadczenie, w którym domagali się ustąpienia prezydenta. Podczas nagrania mówili o ofiarach śmiertelnych wśród manifestantów – sprawcami skrytobójstw mieli być snajperzy wysłani przez Chaveza. Rzecz w tym, że nagrania dokonano na kilka godzin przed manifestacjami – tymi, które doprowadziły do odsunięcia

Chaveza od władzy. Świadkiem nagrania był dziennikarz CNN, Otto Neustald, który ujawnił manipulację. Skąd zamachowcy wiedzieli o ofiarach, zanim zginęły? Sami wysłali snajperów na dachy budynków, by oskarżyć Chaveza, że broni się zbrodniczymi metodami.

Manipulacja druga: na zdjęciach telewizyjnych nakręconych w czasie zamachu stanu (które rozesłano na cały świat) grupka zwolenników Chaveza strzelała do tłumu manifestantów przeciwnych ich prezydentowi. Był to zabieg montażysty, który skleił zdjęcia przedstawiające strzelających mężczyzn i zdjęcia demonstrantów. Chaviści strzelali naprawdę – lecz nie do bezbronnego tłumu, a do strzelających do nich policjantów, którzy przeszli na stronę puczystów.

Manipulacja trzecia: gdy tłum chavistów szedł na pałac Miraflores, prywatne telewizje, których właściciele opowiedzieli się za zamachem stanu, przez kilka godzin milczały o marszu. W tym samym czasie siły policyjne, które poparły pucz, próbowały rozbić manifestację. Gdy stało się jasne, że Chávez wróci, stacja „Venevisión" tłumaczyła widzom, że nie chciała podgrzewać nastrojów.

Ofiarą bezkrwawej wojny domowej (krew popłynęła, ale nie na wojenną skalę) padły w końcu placówki dyplomatyczne. W tamtych dniach miałem wyjątkowe szczęście do alarmów bombowych. Dzień przed przylotem – zamachy na ambasadę i konsulat, w dniu przylotu – alarm bombowy na lotnisku, następnego dnia – alarm bombowy na stacji metra w centrum Caracas (krótko po tym, jak na tej właśnie stacji wysiadłem z pociągu).

W Caracas mało kto wierzył, że za zamachami stał Chávez. Popularne były trzy hipotezy. Pierwsza – że autorem zamachów była kolumbijska partyzantka komunistyczna FARC. Wedle tej hipotezy, zamachami w Caracas FARC wymierzył karę zarówno państwu kolumbijskiemu, które z nim walczy, jak i Chavezowi. Chávez nieraz wyrażał sympatię do FARC-u. Jako kandydat na prezydenta dawał do zrozumienia, że będzie pomagał kolumbijskiej *guerrilli* logistycznie, przepuszczając przez terytorium Wenezueli szmugiel broni z Bliskiego Wschodu i Europy. Obietnicy nie dotrzymał. Służby wywiadowcze Stanów Zjednoczonych od razu by to zauważyły i popadłby w tarapaty. A i sami Wenezuelczycy nie chcieli widzieć w swoim kraju kolumbijskiej *guerrilli.* To przez nią załamała się przygraniczna gospodarka – w ciągu kilku lat FARC porwał dla okupu setki Wenezuelczyków. Chávez musiał zrobić porządek z sąsiedzką *guerrillą* i popadł u niej w niełaskę.

Druga hipoteza – za zamachami stała CIA. Stany Zjednoczone zawsze miały podwójną politykę wobec krajów Ameryki Łacińskiej – co innego oficjalnie, co innego tajnie. W interesie Waszyngtonu leżało obalenie Chaveza – lepiej mieć zaprzyjaźniony rząd w kraju, który siedzi na ropie.

Możliwe również, że zamachami kierował radykalny odłam opozycji, który chciał doprowadzić do chaosu, żeby na scenę wkroczyło wojsko.

Pojawiło się jeszcze jedno domniemanie: że była to akcja anarchistycznych grup, które atakowały Chaveza za to, że nie przeprowadził autentycznej rewolucji. Śledztwo wykazało jednak, że zamachy przeprowadzono wyszukanymi metodami, które znają jedynie ludzie ze służb specjalnych, wojsko, ewentualnie doskonale uzbrojona *guerrilla* z Kolumbii.

Dzień przed wyjazdem odwiedziłem Teodora Petkoffa. Petkoff był już wtedy mentorem opozycji, jednoosobowym centrum pielgrzymek zagranicznych polityków i dziennikarzy. – Jak to jest naprawdę z tym Chavezem i tą Wenezuelą? Spytaj Petkoffa.

Petkoff to postać na osobną opowieść. Gdy się spotkaliśmy, był naczelnym gazety „Tal Cual", w której codziennie z pasją piętnował korupcję i nadużycia chavistów. Syn imigrantów z Bułgarii, jako młody chłopak zapisał się do partii komunistycznej, potem razem z Douglasem Bravo wojował w partyzantce, trzy lata spędził w ciężkim więzieniu, z którego brawurowo uciekł.

A potem został nieuleczalnym dysydentem. Chłostał Moskwę i zbrojne zdławienie Praskiej Wiosny w sześćdziesiątym ósmym. Zrzucił karabin, zszedł z gór i założył Ruch na rzecz Socjalizmu, latynoski wariant eurokomunizmu. Incydentalnie, jako człowiek-pogotowie, zasiadł nawet w neoliberalnym rządzie, w którym był ministrem do spraw rozwoju. Gdy jego partia (Ruch na rzecz Socjalizmu) poparła kampanię prezydencką Chaveza, Petkoff znów wybrał dysydencję.

Gdy rozmawialiśmy, znajdował się w swoim kolejnym dysydenckim wcieleniu – był dysydentem pośród antychavistów. Chaveza nadal nie cierpiał, ale dostrzegał autorytarne tendencje opozycji skupionej wokół przedsiębiorców, związkowców i niektórych stacji telewizyjnych. Podzielał opinię, że ponaddwumiesięczny strajk-lokaut w sektorze naftowym był aktem nieodpowiedzialności opozycji. Sparaliżowano kraj, którego cały dochód zależy od wpływów z ropy. Doprowadzono do strat z powodu kaprysu elity

technokratów, która zapragnęła odsunąć od władzy prezydenta dlatego, że jej zawadzał.

Nie, Petkoff nie bronił Chaveza. Mówił o lewicowym infantylizmie, śmiał się z hucznego obchodzenia urodzin Fidela Castro, owszem – doceniał szczerość intencji, ale irytowała go niekompetencja, agresja („Chávez rozstrzeliwuje ludzi słowami"), niezrozumienie, na czym polega nowoczesne państwo.

– Wie pan, nie ma jednego Hugona Chaveza. Wszystkie opowieści, jakie pan o nim słyszał, mają coś z prawdy. Komunista, populista? Coś w tym jest. Autorytarny, faszyzujący żołdak? Coś w tym jest. Neoliberał? Można powiedzieć i tak. Natchniony ideolog? Bez wątpienia. Pragmatyk? Nie da się rzec inaczej.

Chávez to postać budząca dezorientację. W Chavezie mieszka wielu ludzi. Jest zarazem Robespierrem i Dantonem. Ma duszę bolszewika i mienszewika.

Każdy ma takiego Chaveza, jakiego sobie wymyśli.

Chávez – nie Hugo Chávez, lecz zjawisko „Chávez" – to problem ważny i śmiertelnie poważny. Historia Chaveza uświadomiła, co dzieje się, gdy kwestia wykluczenia jest pomijana, ignorowana, lekceważona. Ukazała wiele innych palących problemów – aktualnych tak „przed" Chavezem, jak i „po" Chavezie: sprzeczności współczesnych gospodarek i aspiracji wielkich grup; koniec spójnych ideologii; niemożliwość rewolucji; a najbardziej – ogrom frustracji ludzi odsuniętych od dobrodziejstw naszego świata. Wielkie nadzieje rozbitków współczesności. Rozpaczliwe szukanie odpowiedzi na dramaty i plagi, na które odpowiedzi nikt jeszcze nie znalazł – na pewno nikt na Południu. Niemożność niemożliwość – znalezienia takowej.

Bo żeby dać odpowiedź, znaleźć receptę, trzeba nie Chaveza, lecz Mesjasza. A gdy Mesjasz się nie zjawia, ktoś inny próbuje czasem wypełnić jego misję.

Miniatura XXI
(modlitwa za świat)

Pośród wielu pytań, jakie Carlos Fuentes stawia w książce *W to wierzę,* są i takie: „Czy może wrócić polityka sprawowania kontroli nad żywiołowymi rynkami? Czy państwo odgrywa jakąś rolę w globalnym świecie?”.

Odpowiedź: „Są sposoby. Taka polityka może wrócić. Państwo pełni swoją rolę. Antypaństwowość [Miltona] Friedmana w latach Reagan-Thatcher obnażyła swą hipokryzję i brak skuteczności. Okrzyknięte jako twór przestarzały, państwo okazało się na tyle prawomocne, by móc wykupić podupadające banki, podstępnych finansistów i rozpieszczone przedsiębiorstwa produkujące sprzęt wojenny”. Wreszcie zdano sobie sprawę, że „nie ma trwałych demokracji bez silnego państwa”.

Fuentes proponuje zwrócić państwu należne miejsce: „Państwo nie tyle duże, ile silne”. Zachęca, zwłaszcza kraje biedne, takie jak większość krajów Ameryki Łacińskiej, do tworzenia dobrych rządów lokalnych. Niczym mantrę powtarza, że globalizacja – w ogóle nasz świat i jego systemy – nigdy nie będzie miała sensu, jeśli nie będzie sukcesów na miarę lokalną. Czyli: jeśli ludzie nic z tego nie będą mieli. Podpowiada: zwalczajcie nieuczciwość na lokalną skalę – po to, aby pomoc od bogatych, jeśli kiedyś nadejdzie, nie została „utopiona w studni bez dna, w której korupcja jest jednym z najbardziej nienasyconych potworów”. Nie biadolić w kółko, nie odczytywać listy skarg, nie mnożyć roszczeń. Posprzątać dom, umyć się, być słownym i punktualnym, dbać o formę.

Że to marzenia? Że nierealne? Możliwe. Fuentes nie konstruuje jednak żadnej groźnej utopii. Nie złorzeczy światu za to, że jest niedoskonały – jest w tym

konserwatywny z ducha pesymizm, świat jest, jaki jest. A zarazem nie godzi się na – również z ducha konserwatywną – kapitulację bez walki, jak ta nasza w latach dziewięćdziesiątych. Apeluje: zróbmy coś, aby ten świat był jednak trochę mniej niedoskonały. Opowiada nam o świecie bez złudzeń, nie wyrzekając się marzeń.

Nie ma polityki i gospodarki dla ludzi, jeśli nie sformułuje się wpierw ideału – że to ludzie są ich ostatecznym celem. Prosta i mądra nauka: „nie ma celów godnych działania ludzkiego, jeżeli wpierw nie będzie ideałów godnych naszej ludzkiej kondycji". Jakoś o ideałach wielu po „końcu Historii" zapomniało. Fuentes mówi, że ideały są możliwe. Potrzebne. Konieczne.

Nowe szaty radykała: Lula

Pamiętam, jak Luiz Inácio da Silva, zwany Lulą, bronił zaciekle Hugona Chaveza: „Chávez zademonstrował wielką odwagę. Wcale nie jest, jak mówią, dyktatorem”. W tamtym czasie, był rok dziewięćdziesiąty dziewiąty, Lula chętnie by przywdział Chavezowskie buty i odegrał rolę pogromcy skorumpowanych polityków. Przewodził wtedy wściekłej demonstracji, która obrzuciła kamieniami giełdę w Sao Paulo…

Tamten Lula, we flanelowej koszuli, albo T-shircie i siermiężnej marynarce, nagle przepadł. Nowy Lula założył elegancki garnitur, przystrzygł brodę i wkroczył do gmachu giełdy, którą kiedyś atakowali jego manifestanci.

– To jak upadek muru berlińskiego – śmiał się prezes giełdy.

W styczniu dwutysięcznego drugiego przysłuchiwałem się Luli na spotkaniu z dziennikarzami zagranicznymi w Porto Alegre. Działo się to w czasie Światowego Forum Społecznego, ochrzczonego w mediach szczytem antyglobalistów. Nie był wtedy głównym obiektem moich zainteresowań – przyćmili go kontestatorzy z całego świata, nikt zresztą nie wierzył w zwycięstwo „brazylijskiego Wałęsy”. Wybitny lewicowy socjolog, którego pytałem wówczas o Lulę, nie chciał nawet silić się na prognozy. *Off the record* mówił: nie wygra, nie ma szans. Inni dopowiadali: Lula ma stały elektorat, około jednej trzeciej głosujących i zawsze na początku kampanii prowadzi w wyścigu. Później nie jest w stanie zyskać nowych zwolenników, i przegrywa. Tak było już trzy razy.

Moi przyjaciele i przyjaciele przyjaciół z klasy średniej Sao Paulo i Rio de Janeiro mówili: – Chętnie poparlibyśmy kogoś z Partii Pracujących, ale nie Lulę;

kogoś lepiej wykształconego, Lula to prosty człowiek, zbyt prosty.

Lula zaskoczył wszystkich. Znanego socjologa i zwykłych ludzi. Moich znajomych i ich znajomych. Prezesa giełdy i tradycyjną konserwę, która straszyła nim małe dzieci.

Przypadek sprawił, że zachowałem notatki ze spotkania z Lulą; przypadek – bo traktowałem go jako wiecznego przegranego, nie przywiązywałem przesadnej wagi do tego, co mówił.

– Konserwatyści straszą, że jeśli wygram wybory, w Brazylii dojdzie do takiego samego kryzysu, jak w Argentynie. Spójrzmy tymczasem, co wydarzyło się naprawdę: czołowi reprezentanci neoliberalizmu – Carlos Menem w Argentynie, Fernando Collor w Brazylii, Alberto Fujimori w Peru i Carlos Salinas de Gortari w Meksyku – doprowadzili swoje kraje do ruiny i są bądź byli w przeszłości ścigani przez wymiar sprawiedliwości. Wiem, że lewicowy rząd w Brazylii i w każdym innym kraju będzie musiał przekonać opinię międzynarodową, świat finansów, że Brazylia jest wiarygodnym partnerem, niezależnie od tego, kto rządzi. Nikt nie będzie inwestował pieniędzy tylko dlatego, że lubi jakiegoś prezydenta, albo powstrzyma się od inwestycji, bo nie lubi innego. Każdy inwestor musi mieć pewność, że w Brazylii są jasne reguły.

Powinienem był zauważyć już wtedy, że coś się z Lulą stało. Był świetnie ubrany i miał wokół siebie elegancko skrojony zespół. Mówił spokojnie i konkretnie na tyle, na ile mówi się w kampanii wyborczej. Powinienem był zauważyć, że to nie ten sam Lula, jakiego widziałem kilka lat wcześniej. Nie napadał na kończącego rządy prezydenta Cardoso, mówił o wiarygodności swojego kraju. Przemknęła mi przez głowę myśl, że nie taki straszny, jak go malują, ale silniejsze były sugestie mych rozmówców i stereotypy o „populiście”, „lewaku”, „towarzyszu Chaveza i Castro”…

Żeby opowiedzieć coś o Luli, trzeba opowiedzieć coś o Brazylii; właściwie historię tego kraju w pigułce.

Było sobie latyfundium, którym władał portugalski Pan, i byli niewolnicy, którzy dla Pana pracowali. Daleko od latyfundium były porty, do których dobijali kupcy i imigranci, i które z biegiem czasu zamienili w wielkie metropolie. U schyłku dziewiętnastego wieku niewolnicy dostali wolność. Część poszła do miast, większość została u Pana jako najemni robotnicy rolni. Jeszcze w połowie dwudziestego wieku większość Brazylijczyków mieszkała na wsi. Jednak

w miarę rozwoju technologii wiejscy proletariusze stali się potrzebni tylko dwa razy w roku. Zaczęli tedy masowo opuszczać wielkie gospodarstwa, *fazendas,* i wędrowali do miast na wybrzeżu – za domem, pracą, chlebem. Miasta nie były w stanie pomieścić wszystkich – zaczęły powstawać *favelas,* brazylijskie slumsy, dzielnice nędzy i gwałtu. Ci, którzy zdobywali pracę, żyli w warunkach tylko nieznacznie lepszych.

Rozwój przemysłu spowodował, że imigranci z interioru zaczęli zasilać wielkomiejski proletariat. Robotnicy dostali prawa związkowe i ośmiogodzinny dzień pracy w ramach korporacyjnego państwa Getulia Vargasa, który rządził w latach trzydziestych, a potem pięćdziesiątych. Socjalne reformy Vargasowskiego populizmu odbywały się w myśl zasady: „zróbmy rewolucję, nim zrobi ją lud". Zasadę tę rozwinął na początku lat sześćdziesiątych dziedzic Vargasa, prezydent Joao Goulart. Podział dochodu narodowego w Brazylii wciąż był jednym z najbardziej nierównych na świecie. Nie przeprowadzono reformy rolnej, ziemia należała do garstki latyfundystów, jak za czasów kolonialnych. Słyszałem opinię, że do dziś Brazylia wygląda tak, jak wyglądałyby Stany Zjednoczone, gdyby wojnę secesyjną wygrało Południe.

Zamach stanu w sześćdziesiątym czwartym zablokował dalsze reformy społeczne. Gdy po latach zapytano Fernanda Henrique Cardosa, dlaczego doszło do przewrotu, jako główną przyczynę wskazał ówczesne szalone tempo rozwoju Brazylii. Industrializacja, urbanizacja, wejście mas na arenę Historii, których państwo i jego instytucje nie były w stanie „zaabsorbować"… Demokracja nie dała rady, system nie wytrzymał, wkroczyła siła. Rozpoczęły się „czasy ołowiu", w których wojskowi pod hasłem walki z komunizmem dławili opór i dążenie do zmian, a zrewoltowana młodzież – głównie z klasy średniej – wzorem Che Guevary zakładała zbrojną partyzantkę na wsi i w miastach.

Tamą wojnę wygrali wojskowi. Bojownicy w obronie proletariatu, o których proletariat miał mgliste pojęcie, polegli albo musieli uciekać z kraju (jak Ladislau Dowbor i Alfredo Sirkis). Wojskowi zaś wyczarowali w latach siedemdziesiątych „brazylijski cud" – kilkunastoprocentowy wzrost gospodarczy rocznie! Zaczęły się tłuste lata, ale dla tej Brazylii ze statystyk ekonomicznych – nie dla robotników, od których wymagano coraz wydajniejszej pracy za tę samą marną płacę.

Światowy kryzys naftowy podgrzał frustrację w wielkich zakładach

przemysłowych. Zaczęły się strajki, które z braku starych liderów lewicy (martwych albo na wygnaniu) wyłaniały nowych. Populiści, których ikoną był Vargas, podobnie jak komuniści, których w Brazylii symbolizowało nazwisko Carlosa Prestesa, wywodzili się z klasy średniej, robili rewolucje „w imię" ludu i „dla" ludu. Do głosu dochodziło nowe pokolenie, które miało nowych przywódców – naprawdę ze społecznych dołów. Ich gwiazdą, numerem jeden stał się robotnik z zakładów metalurgicznych w Sao Bernardo do Campo – Luiz Inácio da Silva. Albo po prostu: Lula. Wykluczeni z brazylijskiej Historii po raz pierwszy mieli przywódcę, który był jednym z nich.

Życie Luli było jak życie *everymana* z samego dołu społecznej drabiny. Z wielodzietnej rodziny robotnika rolnego, z biednego stanu Pernambuco na północnym wschodzie Brazylii, gdzie często susza i głód; skąd ludzie migrują na południe kraju za chlebem. Ojciec porzucił rodzinę dla innej kobiety i także powędrował. Dotarł do portu Santos, dokąd po kilku latach sprowadził pierwszą żonę z dziećmi i dzielił czas między dwie rodziny. Aż pobił kiedyś matkę Luli, a ta zabrała dzieci i uciekła do pobliskiego Sao Paulo. Razem z matką, siódemką rodzeństwa i trójką kuzynów Lula mieszkał w jednym pokoiku na tyłach jakiejś paulistańskiej speluny. Miał wtedy dziewięć lat.

Był dzieckiem ulicy. Sprzedawał przechodniom orzeszki i owoce. Pierwszą pracę dostał w pralni. Skończył szkołę podstawową i jako czternastolatek poszedł do fabryczki produkującej części metalowe. Pracował na nocną zmianę, a rano biegł do technikum, gdzie uczył się na mechanika. Nieustającą senność przypłacił utratą najmniejszego palca lewej ręki, który zmiażdżyła mu prasa.

Gdy nadeszła recesja stracił pracę, ale szybko znalazł nową – w Sao Bernardo do Campo na obrzeżach Sao Paulo. Tam wyrósł na związkowego przywódcę.

W życiu osobistym same tragedie – po porodzie umiera mu żona, dziecko też nie przeżyło. Gdy już jako polityczny przywódca trafia do więzienia, umiera mu matka. Ojciec zapił się gdzieś na śmierć, o czym Lula dowiedział się długo po jego zgonie.

W Sao Bernardo do Campo szybko odkrywa w sobie talent związkowego lidera. Do polityki dojrzewa dłużej, mimo że ideologiczną szkołę daje mu rodzony brat, Frei Chico, konspirator z rozbitej przez represje partii komunistycznej. Amnestia dla politycznych w roku siedemdziesiątym dziewiątym, względne złagodzenie dyktatury i powrót wygnańców przyspieszają

polityczne zmiany. W związkach zawodowych i Kościelnych Wspólnotach Podstawowych (ogniskach teologii wyzwolenia) rodzi się pomysł powołania nowej partii. Przy sympatii dużego odłamu Kościoła katolickiego (między innymi arcybiskupa Heldera Cámary, kardynała Arnsa) i lewicowych intelektualistów powstaje Partia Pracujących *(Partido dos Trabalhadores,* PT). Lula zostaje jej przywódcą. Od tamtej pory partia jest awangardą zmagań z wojskową dyktaturą w schyłkowym jej okresie. Organizuje strajki, manifestacje, domaga się demokracji i praw socjalnych. Po jednym z nielegalnych strajków Lula dostaje wyrok – trzy i pół roku więzienia. Pod naciskiem opinii w kraju i za granicą, szybko wychodzi na wolność.

Partia Luli jest lewicowa i socjalistyczna. Wie już jednak, że prochem i karabinem nic nie zdziała, odrzuca starą, latynoamerykańską doktrynę wojny partyzanckiej. Odrzuca również realny socjalizm krajów bloku sowieckiego. W latach osiemdziesiątych wspiera polską „Solidarność". Lubi Fidela Castro i rewolucję kubańską – ale na Kubie, nie w Brazylii. Sympatia do Castro i Kuby nie była żadną specyfiką Luli i jego partii. Zawsze, gdy Castro odwiedzał Brazylię, oklaskiwali go studenci, a w uścisk niedźwiedzia z Fidelem wpadali przed kamerami najbardziej konserwatywni magnaci.

Gdy do Brazylii wraca demokracja, Lula i jego partia nie potrafią zrzucić kostiumu opozycji. Jak byli w pierwszym szeregu zmagań z dyktaturą, tak za demokracji stają się awangardą walki z „nowym neoliberalnym uciskiem" – najpierw Fernanda Collora (który doprowadza Brazylię na skraj bankructwa; ludzie wychodzą na ulicę, bankruci skaczą z okien), a następnie swojego dawnego przyjaciela i doradcy, Fernanda Henrique Cardoso.

– Lula i jego ludzie nic nie wiedzieli ani o gospodarce, ani o inflacji – wspominał później Cardoso. – To, co mówili, nie miało żadnego związku z rzeczywistością. Powtarzali dawne frazesy o wyzysku, niesprawiedliwości, ucisku. To były wszystko szlachetne banały, a inflacja była konkretem, który wciąż tworzył nowych nędzarzy. Krok za krokiem nasi dawni lewicowcy stawali się reakcjonistami. Nie zdawali sobie sprawy z tego, jak wszystko się zmienia, nie rozumieli systemu kapitalistycznego, świata, społeczeństwa. Lula jest symbolem. Odrodził ruch związkowy. Człowiek ze wspaniałą przeszłością. Ale gdy spytać, jakie są jego idee… Tak naprawdę nigdy ich nie miał, kilka przyjął, na przykład, że trzeba wzmocnić państwo.

– Ja znam Brazylię, Fernando Henrique zna, ale ulice Paryża – odpowiadał Lula na zarzuty i szedł na czele pochodu, ciskającego kamienie w giełdę, symbol nowych czasów i nowych nierówności. Oskarżał ówczesnego prezydenta Cardoso, dawnego marksistę i socjaldemokratę, z którym ramię w ramię walczyli z dyktaturą, o zdradę ideałów, złodziejską prywatyzację, wyprzedaż kraju obcemu kapitałowi, otwarcie na spekulacje finansowe.

Mimo że przemawiał w imieniu milionów wykluczonych z dobrodziejstw demokracji i nowego drapieżnego kapitalizmu, jego krytyka i obietnice nie wystarczyły do uzyskania zaufania większości i mandatu do rządzenia. Z radykalnymi hasłami na ustach Lula przegrywał kolejne wybory (mimo że wielu Brazylijczyków głosowało na jego konkurenta – Cardoso – z zaciśniętymi zębami). Tylko za pierwszym razem, tuż po zdławieniu inflacji w roku dziewięćdziesiątym czwartym, Cardoso był dla Brazylijczyków zbawicielem. Cztery lata później był już tylko najlepszy; wygrał, bo inni – wśród nich Lula – prezentowali się fatalnie; bo radykalizm odbierał im wiarygodność.

Jedna z agencji prasowych opisywała taką oto scenkę z czasu kampanii Luli: czerwona flaga z gwiazdą – symbol partii Luli, powiewała z ciągniętego przez konia wozu drabiniastego, na którym jakiś biedak wiózł złom; dokładnie taka sama flaga powiewała z okien nowiutkiego Mercedesa Benza.

Socjalistyczne i komunistyczne symbole – flagi, sierpy i młoty, portrety Che Guevary – to dziś już tylko pamiątki przeszłości, gadżety, jakie towarzyszą Partii Pracujących, największej lewicowej formacji w Ameryce Łacińskiej. Nas, po komunizmie, te symbole drażnią; ich poruszają, jak polskich weteranów poruszają „Pierwsza Brygada” czy „Mury” Jacka Kaczmarskiego.

W rozrachunkowej książce *PT: comunismo ou social-democrácia* (Partia Pracujących – komunizm czy socjaldemokracja) Paulo Moura, socjolog, były działacz partii, twierdzi, że wprawdzie odcięła się retorycznie od komunizmu sowieckiego, chińskiego, kubańskiego i północnokoreańskiego, to nigdy nie wypowiedziała się klarownie, jaki ma stosunek do demokracji typu zachodniego. Nie powiedziała również jasno, czy jest partią rewolucyjną, czy reformistyczną. Profesor Moura nie odpowiada wprost na to pytanie, powiada tylko: Partia Pracujących nie ma projektu. Analiza praktycznej działalności partii Luli, która od wielu lat obsadza wysokie stanowiska w kraju, na przykład fotele gubernatorów, prowadzi ku odpowiedzi, że to reformiści. Nie przypadkiem

Moura umieścił w książce motto z komentarza publicysty Clovisa Rossiego: „Pierwotne wyzwanie lewicy różnych odcieni to zdecydować się, czy uważa się kapitalizm za reformowalny czy nieodwracalnie zły. Wyzwanie następne: pozostać lewicą, mimo że wybrało się pierwszą drogę”.

Lula powiedział w swoim życiu mnóstwo złego o kapitalizmie, prywatyzacji, obcym kapitale, Międzynarodowym Funduszu Walutowym, „demokracji dla bogatych”. To nie podobało się brazylijskiej klasie średniej, niepokoiło zagranicznych inwestorów. – Ale czyż nie najlepszym testem intencji jest praktyka rządzenia? – przekonywał mnie Sergio Leopoldo Rodrígues, komentator ekonomicznego dziennika „Diário de Comércio.” – Partia Luli rządziła w pięćdziesięciu dużych miastach, miała już kilku gubernatorów. Nikogo nie wywłaszczyła, nikogo nie okradła, demokrację uznaje, na rynku sobie radzi. A czy Fernando Henrique Cardoso zawsze był liberałem? Większość swego życia był przecież wierzącym marksistą.

Można również postawić inne pytanie: czy gdyby Lula był istotnie „czerwonym smokiem”, poparliby go starzy konserwatyści, dwaj byli prezydenci – José Sarney, właściciel dwóch stanów – Maranhao i Acre, oraz Itamar Franco, który porzucił własną partię na wieść, że ta nie zgodziła się udzielić poparcia Luli?

Może najlepszą odpowiedzią na pytanie, o jaką demokrację i jaki rynek chodzi Luli i jego partii, jest Mekka antyglobalistów – Porto Alegre, stolica stanu Rio Grande do Sul. Przez ponad dziesięć lat władze miasta rozwijały eksperyment „demokracji uczestniczącej”. Zainspirowały powstanie rad ludowych, które uczestniczyły w układaniu budżetu miasta i redystrybucji dochodów na rzecz najuboższych (inwestycje w infrastrukturę biednych dzielnic, budowanie tanich mieszkań w blokach, szkół, przychodni, boisk, parków rekreacyjnych, sprzątanie, wywóz śmieci). Lewicowy zarząd miasta wespół z radami ludowymi twardo rozmawiał z wielkimi inwestorami: – Możecie zbudować hipermarket w zamian za wybudowanie mieszkań dla kilkuset rodzin żyjących w kartonowo-drewnianych *favelas* na terenie planowanej inwestycji.

To nie uniwersalna recepta. Eksperyment jednego miasta, jednego stanu jest nie do skopiowania w skali kraju, który ma sto siedemdziesiąt milionów mieszkańców i powierzchnię Europy. Coś się jednak zaczęło zmieniać. Inne czasy, inne wiatry.

Prezydent Lula – jednoosobowa rada ludowa, wrażliwy „czynnik społeczny” na szczytach władzy.

Rozmowa telefoniczna z Clovisem Rossi.

Lula wygrał, bo ludzie byli zmęczeni neoliberalną polityką (czytaj: brakiem polityki społecznej państwa). Lula odbył tę samą podróż ku politycznemu środkowi, którą odbyli przywódcy partii socjalistycznych i socjaldemokratycznych w Europie – Tony Blair w Wielkiej Brytanii, socjaldemokraci w Niemczech. Zrzucił kostium socjalisty w starym stylu. Stępił pazury, jego retoryka i program stały się bardziej umiarkowane. To zaowocowało szerokim poparciem.

W Europie i Stanach Zjednoczonych przedstawiano Lulę jako populistę i nostalgika komunizmu. To fałszywy obraz. Partia Luli powstała w opozycji do wojskowej dyktatury i w opozycji do tradycji komunistycznej. Połączyła różne nurty lewicowe, marksistów, lewicujących katolików. Wyrosła z ruchu związkowego i postępowych odłamów Kościoła. Starzy, ortodoksyjni komuniści, których jest w partii garstka, nie mają znaczenia. Nikt już nie mówi o socjalizmie w starym stylu.

Zwycięstwo Luli porównałbym do zwycięstwa Felipe Gonzaleza w Hiszpanii w osiemdziesiątym drugim roku. Dokładnie tak samo, jak partia Luli, hiszpańscy socjaliści mieli za sobą rozstanie ze starymi dogmatami marksistowskimi. W Hiszpanii lewica wróciła do władzy po pięćdziesięciu latach przerwy – po wojnie domowej i epoce frankizmu. W Brazylii wróciła po czterech dekadach – najpierw dyktatury wojskowej i walk rewolucyjnych, a potem twardej polityki neoliberalnej. Prezydent Cardoso zaczął rządy jako socjaldemokrata, ale potem związał się z prawicą i skończył jako jej człowiek. Lula został beneficjentem odwrotu od neoliberalizmu, zmęczenia kolejnymi kryzysami, spadkiem wartości rodzimej waluty. Skorzystał również z tego, że konkurenci byli albo mniej znani, albo podejrzani, albo egzotyczni.

Lula jest jaki jest. Ale Lula to Lula.

Lulę wyniósł do władzy głód zmian. Po kilkunastu latach neoliberalnego eksperymentu Brazylijczycy odwrócili się od „religii rynku”. Nie od rynku w ogóle – w końcu Lula jako wrogi rynkowi radykał przegrywał – lecz od rynku ubóstwionego; odwrócili się od mody, która odesłała państwo na emeryturę, kazała mu się trzymać z dala od problemów ludzi, zaś ludziom mówiła: „radźcie sobie sami”. Zwycięstwo Luli to objaw wielkiego kryzysu wiary, że drogami

indywidualnymi daje się rozstrzygnąć dramatyczne kwestie społeczne. Brazylijczycy dali sygnał: sama zaradność nie wystarcza, czujemy się bezbronni, chcemy, żeby państwo upomniało się o nas i o nasze prawa. Partie polityczne i syndykaty są słabe, ociężałe, zbiurokratyzowane. Kto nam pomoże, kto obroni? Prywatne fundacje, organizacje pozarządowe same nie zwalczą głodu, nie włączą wykluczonych w obręb naszej cywilizacji. Prywatne policje nie obronią nas, którzy czujemy się zagrożeni przemocą i bandytyzmem. Potrzebna jest aktywna polityka państwa – i to na wszystkich obszarach. Nie taka, jaką ono widzieliśmy poprzednio – gdy przeistaczało się w instrument prywatnych interesów oligarchów, machinę korupcyjną. Państwo ma być naszym przedstawicielem, regulatorem zdziczałego rynku, pomocnikiem. Tęsknota za państwem – obrońcą słabych, ucieleśniła się w robotniczym przywódcy Luli. Ten wiatr powiał w całym regionie.

Lulę wyniósł do władzy głód zmian, ale również… sam Lula. „Brazylijski Wałęsa" przeszedł inną drogę niż polski pierwowzór. Lech Wałęsa z bohatera Historii zamienił się we własną karykaturę. Lula na odwrót – ze złorzeczącego radykała i malkontenta na czele zadym zrewoltowanych biedaków przeistoczył się w męża stanu, przed którym finansowy rekin uchylił cylinder. Zamiast wiecowych krzyków i narzekań – deklaracje wiarygodności. Zamiast trzaskania drzwiami – twarde negocjacje. Zamiast rewolucji – próba reform.

Ruch i nastrój społeczny, który ucieleśnił Lula, to dobra ilustracja diagnozy, która mówi: rewolucyjna perspektywa w Ameryce Łacińskiej umarła. Rewolucja oznaczała niespełnione nadzieje, wejście wojska na scenę, rzeźnię.

Dawnego syndykalistę i radykała Historia ubrała w końcu w kostium obrońcy państwa i pogodzonego z rynkiem socjała. Wybierając Lulę na swojego przywódcę, Brazylijczycy powiedzieli jasno: „Chcemy zmian". Lecz powiedzieli również: „Rewolucji nie chcemy". Luli jako zrewoltowanemu radykałowi powiedzieli trzy razy „nie".

Bo Che Guevara dobrze wygląda na sztandarze i koszulce. W banku centralnym, w pałacu prezydenckim – nie za bardzo.

Precz wszyscy!
Argentyńska gorączka (1)

– Słuchaj, to nie jest tak, że wyszliśmy na ulice, bo nam zablokowali konta. To się zaczęło dawno, dawno temu. Peronizm, *guerrilla,* dyktatura, Menem… Sytuację rewolucyjną mieliśmy, kiedy rząd wprowadził stan wyjątkowy i byli pierwsi zabici. Rewolucja nie wybuchła. Ale teraz nie wiadomo, co będzie. Jedno jest pewne: to koniec argentyńskiego indywidualizmu, no wiesz, że obchodzą mnie tylko moje sprawy… O, zaczyna się, lecę do towarzyszy, musimy rozdać gazetki, jakbyś, *amigo,* chciał pogadać, będziemy tu krążyć, no to na razie…

Na pierwszej stronie gazetki, którą za pół *peso* zostawił mi Alfredo Briller, trzydziestoletni nauczyciel historii i niedzielny fotograf, tytuł „Fiesta, za którą płaci dziś lud”. To o korupcji i politykach z lat dziewięćdziesiątych, osiemdziesiątych, siedemdziesiątych. W ogóle o ludziach władzy. Wkrótce przekonam się, że główne hasło wszystkich wieców i demonstracji to: „Precz wszyscy!”.

Luty dwutysięcznego drugiego. Argentyna gorączkuje. Pół roku wcześniej zagraniczni ekonomiści ostrzegali: krajowi grozi bankructwo. Ludzie zaczęli wycofywać z banków pieniądze. Najpierw powoli, potem na gwałt. Bankom zabrakło pieniędzy. Pierwszego grudnia 2001 roku rząd nakazał ograniczenie wypłat do tysiąca dolarów miesięcznie – *corralito.* Wszystko potoczyło się błyskawicznie: związki zapowiedziały strajk, rząd Fernanda de la Rua ogłosił plan cięcia wydatków państwa, potem stan wyjątkowy; demonstracje, rabowanie sklepów, pierwsze ofiary śmiertelne. Płoną banki, demonstranci walczą

z policją, prezydent ucieka helikopterem z pałacu. Nowy prezydent nie będzie spłacał długu zagranicznego, będzie płacił zasiłki i wyczaruje milion miejsc pracy. Znów demonstracje: demolują Kongres, wyciągają meble i palą je przed budynkiem. Kolejni prezydenci przysięgają i upadają. Wreszcie – Eduardo Duhalde, peronista, piąty szef rządu w ciągu dwóch tygodni…

W Stuletnim Parku w Buenos Aires, w upalną niedzielę mamusie i tatusiowie z dzieciakami, piłka i tenis, spacery i polityczne okrzyki. Wszystko jednocześnie. Las transparentów, które informują, kto przyszedł. Sąsiedzi z ulicy nie-zapisałem-jakiej, zgromadzenie mieszkańców dzielnicy Palermo, jakieś komisje dzielnicowe: pracy, zdrowia, oświaty, polityki, dalej – Zjednoczona Lewica, młodzież obściskująca się na trawie, popijacze *yerba mate* …

Trudno się zorientować, kto tu rządzi i kto to skrzyknął.

– Jak to kto? My, wszyscy.

Młoda dziewczyna wykrzykuje do mikrofonu: – Nasze zgromadzenia są polityczne, ale nie partyjne! *(brawa).*

Mężczyzna, który wygląda na wodzireja, po czterdziestce, dobrze ubrany: – Napisali w gazecie, że jakaś pani reprezentuje trzydzieści pięć dzielnicowych zgromadzeń. *(gwizdy, – Eee!!!).* Oni nie rozumieją, co się tu dzieje. Prasa kłamie! Nikt nie ma prawa wypowiadać się w naszym imieniu! (gromkie brawa i okrzyki).

Pani w średnim wieku: – Powinniśmy jednak wybierać delegatów w dzielnicach na niedzielne zgromadzenia w Stuletnim Parku… *(gwizdy, nieeee!).* Towarzysze! Proszę mnie wysłuchać! Zgromadzenia nie mogą być zupełnie otwarte… Przychodzą różni ludzie, nie wiemy kto, potem głosują, boimy się prowokacji… *(gwizdy i okrzyki).*

Wodzirej ratuje sytuację: zgromadzenia są otwarte, delegaci z prawem głosu będą wybierani, ale delegaci będą rotacyjni.

Starszy mężczyzna podejrzliwie mi się przygląda. Kłaniam się.

– Reporter aż z Polski? Wie pan – ścisza głos – oni nas inwigilują, mnóstwo tu tajnych agentów policji.

Tymczasem na wiecu ludzie mówią już o czymś innym.

– Znacjonalizować wszystkie banki!

– NIE dla spłacania długu!

– Na naszej ulicy trzeba usprawnić wywóz śmieci, bo wszystko leży na ulicy!

– Precz z Międzynarodowym Funduszem Walutowym! 420

– O, stary, dobrze, że jeszcze jesteś, to jest Eduardo, *piquetero* – mówi Alfredo, nauczyciel. – Razem z bezrobotnymi organizuje blokady dróg, posłuchaj go, musisz wiedzieć, co myśli klasa robotnicza.

– Arturo, kapitalizm się skończył, rewolucja francuska była burżuazyjna, teraz czas na rewolucję robotniczą – tłumaczy mi Eduardo, bezrobotny murarz, a gada jak jakiś profesor. – Nie, nie chcemy żadnych reformistów, naprawiaczy, mamy już inną świadomość. Wybory? No jasne, ale najpierw trzeba usunąć polityków i zacząć od nowa, od zera. Bez tego wybory teraz nie mają sensu, bo oni wszystko kontrolują.

Do Stuletniego Parku wysłał mnie Pedro Brieger. Pedro jest socjologiem w Narodowym Uniwersytecie La Platy, dorabia w radiu jako komentator spraw Bliskiego Wschodu, więc ostatnio dorabia sporo. – Gdybyś nie poszedł do Parku, nie zrozumiałbyś, o co w ogóle chodzi. *Asambleas,* czyli zgromadzenia sąsiadów i sąsiadów sąsiadów, a następnie zgromadzenia ulic, dzielnic i zgromadzenia zgromadzeń, odbywają się na ulicy. To nowość. Przestrzeń publiczna, ulice, parki, podwórka są nasze, obywateli. To embrion nowej władzy. Jakiej? Nie pytaj, tego nikt jeszcze nie wie. To nie Komuna Paryska, to jeszcze nie sowiety, ale coś podobnego. Nie umiemy tego zanalizować, bo mamy stare narzędzia analizy, a rzecz jest nowa. Gdyby to był strajk, pucz, *guerrilla* – moglibyśmy porównywać. Ale w Argentynie czegoś takiego nie było. Ludzi ogarnęła polityczna gorączka, jakiej nie było od kilku dekad. Zaczęło się od manifestacji z biciem w garnki o północy przed Kongresem i pałacem prezydenckim Casa Rosada, a teraz wszędzie mamy zgromadzenia sąsiadów. Na mojej ulicy, w dzielnicy Palermo, były dwa małżeństwa, które towarzyską pocztą zaprosiły na spotkanie kilka osób z kamienicy. Z czterech osób zrobiło się raptem dwadzieścia, sześćdziesiąt, potem ponad setka z całej ulicy. I tak wszędzie, w całym kraju! To niesamowite, bo nikt tego nie organizował, ludzie przebudzili się w jednej chwili. Spotykają się teraz co dzień, co dwa, co trzy i rozmawiają nie tylko o naprawie dziury w ulicy, ale roztrząsają sprawy kraju. Jakiś lekarz zaproponował darmowe usługi dla sąsiadów, bo wie, że ludzie nie mają czym płacić. Jeszcze rok, pół roku temu to było nie do pomyślenia.

Albo zobacz: gdy jeszcze nie tak dawno *piqueteros,* wiesz, ci, co blokują drogi, przyszli do Buenos Aires, sklepikarze i restauratorzy zamykali sklepy,

knajpy. Uważali, że to ciemna, nieokrzesana hołota. W zeszłym tygodniu zaofiarowali im wodę, kawę i kanapki. To jest taka nasza solidarność, jak kiedyś w Polsce. Myślę, że wszystko to trochę podobne do Solidarności z lat 1980–1981.

To niewiarygodne, *amigo,* jak ONI zniszczyli ten kraj. Wiesz, że importujemy żywność i buty z Brazylii, a był nawet skandal, że importowaliśmy kurczaki z Rumunii. Nikt nie jest w stanie pojąć, że kraj tak wielki jak Europa, tak bogaty, nagle upada. Oszukali nas. Przekonali ludzi, że prywatne jest zawsze lepsze, że banki zagraniczne lepsze od argentyńskich, że transgeniczne eksperymenty z żywnością to raj, a poupadały przez to małe farmy. W latach dziewięćdziesiątych wierzyliśmy, że dołączyliśmy do Pierwszego Świata. Mówiło się o fieście menemizmu [od nazwiska prezydenta Carlosa Menema 1989–1999]. Skończyliśmy nawet nie jako Trzeci Świat, ale jako Czwarty. Ludzie nie chcą już partii, związków zawodowych, starych form. Nikomu nie wierzą. Kiedyś prosili władze dzielnicy, żeby wywoziły śmieci, teraz już żądają, bo czują, że to oni są prawdziwą władzą.

Aha, i nie zapomnij, że najważniejsze to tak zwana nowa bieda, czyli taka, której na pierwszy rzut oka nie widać. Ludzie z klasy średniej, którzy w latach dziewięćdziesiątych żyli z kredytów i mieli złudzenie bogactwa, teraz potracili pracę, ubezpieczenia, oszczędności i choć dalej mieszkają w eleganckich kamienicach, bieda wdarła się do ich domów, do stylu życia. Z ulicy jej nie zobaczysz, ale ona jest w środku. Jak ci to wytłumaczyć… Pójdź na aleję Santa Fé. To była kiedyś wytworna ulica elity: ekskluzywne sklepy, restauracje. To niewyobrażalne, ale jej mieszkańcy zaczęli wyrzucać śmieci na ulicę jak jacyś pariasi.

Jedna z setek kawiarni przy głównej alei. Szum, gwar i strzępy rozmów. – Duhalde to, Duhalde tamto, ten skur…, dolar będzie po trzy peso, a może i dziesięć. Pięć lat temu w Buenos Aires nikt nie gadał o polityce. Chodziło się na zakupy i wydawało zaciągnięte w banku kredyty.

Señor José Piazza, który, jak podsłuchałem, właśnie dyskutował z kimś o zgromadzeniach, a teraz samotnie dopija kawę, jest urzędnikiem we władzach miejskich Buenos. Mieszka w szykownej dzielnicy Belgrano, gdzie wieczorami argentyńscy *yuppies* zajeżdżają błyszczącymi kabrioletami z taaakimi dziewczynami…

Señor Piazza działa w dzielnicowym zgromadzeniu Belgrano. – Wiemy jedno – mówi – ludzie nie chcą wymiany jednych polityków na innych, tylko zmiany systemu, który ich okradł. Oczywiście, że nie wiedzą, czego chcą; czy socjalizmu, czy jakiejś demokracji, bardziej ludowej? Dzisiaj nikt nas nie reprezentuje. My, klasa średnia, nie widzimy przyszłości. Dlatego jesteśmy razem. Pierwszy raz!

Właśnie przechodzi obok kolejna manifestacja. Jej awangarda wali w werble i kotły, reszta w garnki. Wszystkich jest nie więcej niż setka, a od bębnów hałas, jakby szedł tłum piłkarskich kiboli. Protestują przeciwko przeliczeniu oszczędności i kredytów według niekorzystnego wskaźnika, przeciwko Ameryce, przeciw peronistom, przeciw radykałom. Precz wszyscy! Chłopak przebrany za klauna ma przyczepioną tabliczkę „polityk argentyński". W środku jedzie karawan z trumną i napisem „Argentyna".

Chodzą tak dzień i noc. Małe demonstracje i duże marsze. W centrum i na peryferiach. O jedenastej przed południem i o pierwszej w nocy. Czasem blokują ruch, ale kierowcy nie trąbią.

José Pablo Feinmann, popularny filozof, rzecz opisuje, jak na filozofa przystało: – Ktoś, kto idzie na zgromadzenie sąsiadów, żeby spotkać innych, samym aktem pójścia tworzy „nas". Ja i inni tworzymy wszystkich, zaczynamy mówić o sobie „my". Zgromadzenie czyni z nas wspólnotę. Na zgromadzeniu nigdy nie jesteśmy w pojedynkę, kończy się dominacja „ja".

Mniej filozoficznie, a bardziej społecznie: – Bezrobotny w trakcie zgromadzenia, pikiety czy marszu przestaje być człowiekiem zbędnym, upokorzonym; odzyskuje tożsamość i wartość, reprezentuje siebie i zarazem wszystkich innych, którzy nie są reprezentowani przez polityków. Jest kimś, coś od niego zależy, o czymś decyduje.

Politycznie zaś filozof powiada: – „Precz wszyscy!" nie jest manifestacją anarchizmu. „Precz wszyscy" trzeba odczytywać wespół ze zgromadzeniami – to spontaniczne wejście ludzi do polityki, twórczej polityki, tyle że bez polityków, bo ci przestali nas reprezentować.

A tak po ludzku: – Wiesz, z tą Komuną Paryską to trochę przesada, z sowietami też. Inne czasy, nie ma już wielkoprzemysłowej klasy robotniczej, bo Argentyna nic nie produkuje, wszystko importujemy. Robotnicy oczywiście są, ale rozproszeni i – co ciekawe – obserwujemy dziwny ich sojusz z klasą

średnią. Ludzie chcą zmiany systemu, jakiegoś odrodzenia, ale nie mają pomysłu, co dalej, żadnego projektu przejęcia rządów. Na razie klasycznej sytuacji dwuwładzy, tak jak w rewolucjach, nie ma. Ale kto wie, co będzie jutro?

Miniatura XX
(a gdy wyczerpie się gniew…)

Profesor Luis Alberto Romero spokojnie objaśnia argentyńską gorączkę lata dwutysięcznego drugiego.

Atmosfera jak przed rewolucją, ludzie mówią o Komunie Paryskiej, o Rosji w czasie rewolucji 1905 roku. Tłumy wychodzą na ulice, dyskutują, organizują się… Dlaczego? Bo demokracja nie działa, a państwo ulega dezintegracji. Argentyna w dwudziestym wieku miała naprawdę ciążące ku demokracji, dynamiczne, ruchliwe społeczeństwo. A zarazem fatalne doświadczenia z demokratycznymi instytucjami. Dlatego obywatele, na których opiera się demokratyczna polityka, odwrócili się od tych instytucji, coraz mniej ludzi przychodziło na wybory.

Zamiast zaufania mamy nienawiść do polityków. Równocześnie pojawia się typowe dla Argentyńczyków przekonanie: „To oni – politycy, wojskowi – są winni, ja nie mam z tym nic wspólnego”. Oczywiście jest to ucieczka od problemów, przerzucanie winy na innych.

Teraz ludzie pojawili się na ulicach, waląc w garnki. Pyta pan, kim są? To zależy. W Buenos Aires, Rosario i innych ważnych miastach protestuje tak zwana klasa średnia. Dla niej problemem było *corralito,* czyli limity wypłat pieniędzy z banku i inne ograniczenia w dysponowaniu oszczędnościami [nałożone arbitralnie przez rząd]. Na prowincji to zupełnie inni ludzie: ludzie bez pracy, bez pieniędzy, bez przyszłości. Oni nie poprzestają na waleniu w garnki, organizują pikiety, blokady dróg. Między jednymi i drugimi nie widzę zbyt wiele związku. *Piqueteros* odziedziczyli metody działania typowe dla

naszego nieszczęsnego państwa korporacyjnego: zbiera się grupa bezrobotnych, żądają pracy albo zasiłku. I bardzo szybko grupa takich niezadowolonych, rozgniewanych ludzi staje się organizacją. Doczekaliśmy się już bardzo wielu organizacji *piqueteros,* nawet z własnymi uniformami. Blokują drogi tak, że nie daje się wyjechać ze stolicy. Wtedy państwo, żeby ich uspokoić, podpisuje ugodę, daje zasiłki. Zarząd *piqueteros* ustanawia system punktacji. Jeśli ktoś bierze udział na przykład tylko w zgromadzeniach, dostaje 5 punktów, a jeśli ktoś blokuje drogę – 20 punktów. Im bardziej ktoś jest aktywny w czasie pikiet, tym ma większą szansę na zdobycie zasiłku. Im więcej blokad, tym więcej *piqueteros* wyciągną od państwa. I ostatecznie wychodzi na to, że państwo subwencjonuje protest przeciwko sobie. Dlatego trudno się w tym doszukiwać Komuny Paryskiej, rewolucji 1905 roku, walki o nową społeczność i nowego człowieka. To raczej wyciskanie państwa do ostatniej kropli dla partykularnych celów różnych korporacji.

Mam nadzieję, że powstające masowo zgromadzenia sąsiedzkie i dzielnicowe obudzą na nowo świadomość obywatelską, którą zadeptano w czasach wojskowej dyktatury z lat 1976–1983. Te zgromadzenia, *asambleas,* to surowiec, materiał wyjściowy, z którego może powstać wiele różnych rzeczy. W czasie manifestacji nigdy nie wiadomo, co się stanie – czy pojawią się tylko sąsiedzi z garnkami, czy również bojownicy, którzy będą palić sklepy i rzucać kamieniami. Jednym z niebezpieczeństw jest to, że wyczerpie się gniew, który te zgromadzenia zrodził. Rząd trochę odpuści, ludzie przyzwyczają się do niedostatku. Wtedy na scenie zostaną tylko ambitni, sfrustrowani liderzy, którzy sądzą, że przeżywają swój rok 1905, swoją rewolucję. A stąd już krok do klęski ruchu, bo oni idą zwykle w stronę jakiegoś politycznego ekstremizmu. Jestem wykładowcą na wydziale filozofii i literatury, a ci ludzie to często moi studenci. Przyglądam się im i widzę ich głębokie wyobcowanie ze społeczeństwa. Patrzą z ukosa i są przekonani, że im więcej zamieszania wywołają, tym lepiej. Ktoś będzie musiał w końcu powiedzieć: „Jesteśmy przeciwko wszystkiemu, ale czegoś chcemy, mamy program zmiany”. Przecież ktoś musi rządzić. Dlatego cieszę się, że mamy jednak konstytucyjną władzę – rząd, parlament. Mam nadzieję, że istniejące partie zaprezentują się w końcu wystarczająco atrakcyjnie, żeby ten ruch protestu znalazł w nich ujście. Bo po samym *cacerolazo* – waleniu w garnki, nie spodziewam się wiele.

Oczywiście, bądźmy uważni, historia lubi robić niespodzianki. Tak jak istnieje scenariusz pozytywny, istnieją też inne, przerażające. Weźmy Republikę Weimarską i dojście do władzy Hitlera…

Ten kryzys ma tę dobrą stronę, że nie ma zbyt wielu chętnych do wzięcia na siebie odpowiedzialności. Dlatego nie obawiam się zamachu stanu, o którym szepczą ludzie. Wojskowi wybierają momenty korzystniejsze dla siebie.

Po upadku ostatniej dyktatury do władzy doszedł demokratyczny prezydent Raúl Alfonsín. Jego rządy wzbudziły na początku ogromne nadzieje, lecz skończyły się, niestety, chaosem ekonomicznym. Dlaczego? Umówmy się: nadzieje z definicji się nie spełniają. W 1983 roku odkryliśmy demokrację. Wynalazek ten wymagał ogromnej zbiorowej wiary, bo w końcu demokracja opiera się na zaufaniu. Lecz tamta wiara wiązała się z przerostem wyobrażeń na temat tego, czym jest demokracja. Alfonsín mówił: „Demokracja karmi, demokracja uczy". Gdyby nie rzucał takich haseł, pewnie nie wygrałby wyborów. A demokracja nie karmi, nie uczy, daje tylko szansę na cywilizowane poszukiwanie rozwiązań społecznych konfliktów. Nic więcej.

Rząd Alfonsina skupił się na polityce, zamiast szukać równowagi w gospodarce. Uwolnił inflację. A kiedy w 1987 roku rzucił propozycję prywatyzacji niektórych przedsiębiorstw, nie miał już politycznego wsparcia. Peroniści myśleli o kolejnych wyborach i powiedzieli mu: „Nie!".

Epoka Alfonsina to czas wielkiego postępu pod względem instytucjonalnym i wielkiej straty czasu, jeśli chodzi o gospodarkę. Gospodarką zajął się w latach dziewięćdziesiątych Carlos Menem. Postępował w sposób niezwykle brutalny. Decydował się przeprowadzać prywatyzacje przedsiębiorstw w dwa miesiące, za wszelką cenę. Potem okazywało się, że wybrał złą firmę, że za mało zapłacili, że nie było gwarancji co do jakości prywatyzacji, że nie było wiadomo, co będzie działo się z przedsiębiorstwem i jego pracownikami. Styl polityczny Menema był okropny – zupełne przeciwieństwo Alfonsina. Dla Alfonsina etyka była fundamentem polityki. Menem pogwałcił tę zasadę w sposób straszny.

Dekada Menema 1989–1999 była znowu okresem złudzeń. To były złote lata kapitalizmu, więc się nimi cieszyliśmy trochę tak, jak biedacy, którzy kiedy w końcu coś mają, wydają wszystko. Myśleliśmy: „Jesteśmy bogaci, należymy do pierwszego świata, 1 *peso* = 1 dolar". Ludzie zaciągali kredyty, kupowali

samochody, domy – i nagle ta iluzja prysła.

Źródła kryzysu tkwią w czasach prezydentury Menema. Wzrost długu zagranicznego był wtedy niesamowity. Kiedy w roku 1983 odchodziła dyktatura wojskowa, sądzono, że zadłużenie zagraniczne jest nie do spłacenia. A to było zaledwie dwadzieścia procent tego, co zostawił po sobie Menem. Żyliśmy na kredyt. W dniu, kiedy przestano nam udzielać pożyczek, nastąpiło załamanie. Jedyne rozwiązanie problemu, jakie widzieliśmy, to że Międzynarodowy Fundusz Walutowy coś nam rzuci. To trochę tak, jak w powieściach z XIX wieku, w których bogate rodziny tracą nagle majątek, ale ciągle jeszcze czekają na mały prezent.

Dlaczego to wszystko się stało? Bo Argentyna przeszła od gospodarki dość zamkniętej, uregulowanej, chronionej do całkowicie otwartej – od razu, natychmiast.

Wiele gospodarek na świecie zrobiło to samo – poświęciły część swojego przemysłu, ale rozwinęły inną część, która pasowała do gospodarki globalnej. Tak zrobiło na przykład Chile – mały kraj, który stał się poważnym eksporterem. My nie rozwinęliśmy niczego, w czym bylibyśmy lepsi od reszty świata. Niewielki eksport ropy naftowej i gazu – to wszystko. Nie mamy nic, co pozwoliłoby nam się włączyć w krwioobieg światowej gospodarki. Ponieśliśmy wszystkie koszty otwarcia, a nie mamy z niego prawie żadnych zysków. Nasze życie finansowano z pożyczek. Pożyczki się skończyły. Politycy rozkradli, co się dało. Tak wyglądał neoliberalizm po argentyńsku.

I koniec. Nie wiem, co będzie dalej.

Precz wszyscy!
Argentyńska gorączka (2)

Któregoś dnia poznałem Roberta z dzielnicy San Telmo. Stare kamienice, zawsze pełno turystów. Między barami, ogródkami trwa wielka polityczna dysputa – jak w Stuletnim Parku, tylko mniej ludzi, wszystko w skali *mikro.* Roberto stoi przy kramie z ulotkami i coś komuś tłumaczy. Ustawiam się w kolejce, chcę być następny. Mówi: – Chcemy udowodnić, że pieniądze to gówno, że są w ogóle niepotrzebne do życia. Tworzymy sieć wymiany usług, na razie na naszej ulicy, patrz (pokazuje listę z imionami i zajęciami, wygląda jak plan lekcji), tu ktoś uczy angielskiego, ta pani zajmuje się dziećmi z kamienicy, jest lekarz, a ta *señora* pierze… Nie chcemy rządu, podatków, pieniędzy. Czy to działa? No… dopiero zaczynamy.

Z ulotki Roberta: „Sieć Niezależności Ekonomicznej to nowy organizm powołany przez ludzi wolnych. Jego celem jest utworzenie nowej, równoległej gospodarki, która w rękach ludzi byłaby skutecznym narzędziem wzrostu i głębokich przemian bez przemocy…”.

– A kto ci powiedział, że nie może być czegoś innego niż rynek?! Mercedes Falcon, artystka i peronistka, próbuje mnie przekonać, że zdolności kreatywne człowieka nie mają granic. Podoba się jej pomysł gospodarki polegającej na sąsiedzkiej wymianie usług. Ludzie wymyślili monarchię, republikę, feudalizm, merkantylizm, kapitalizm, socjalizm, poligamię, monogamię, związki homoseksualne, a ile gatunków muzycznych? Więc co się uparłeś z tym rynkiem, wymyślimy coś lepszego!

– Ale…

– Zrozum, nie ma kapitalizmu humanistycznego, z ludzką twarzą, kapitalizm to koncentracja kapitału i władzy. Tak jak upadło imperium sowieckie, tak teraz upada neoliberalizm. Cała Ameryka Łacińska czeka, że my, Argentyńczycy, wymyślimy coś nowego, jakiś antyneoliberalizm. Nie może być tak, że jedna grupa krajów stale tylko zarabia, a inne całe życie płacą im odsetki.

– Ale to wy, peroniści…

– To nie peroniści. Menem, który sprzedał Argentynę obcym, wszystko rozkradł i pozaciągał długi, jest antyperonistą. To ja jestem peronistką! I powiem ci coś: wszyscy politycy, peroniści też, boją się tych nowych zgromadzeń, a co więcej – nic z tego nie rozumieją. Koledzy mówią: „Chodźmy przejąć ten ruch” albo „Pomóżmy im się zorganizować”. Na to ja mówię:

„Idź posłuchać, ale nic nie mów, że jesteś peronistą, bo ci skopią d….”. Tego ruchu nie da się przejąć, z niego musi powstać coś nowego, i tego ci nasi strasznie się boją, bo ci nowi zajmą ich posady. I żebyśmy przysięgali nie wiem jak mocno, że część z nas jest uczciwa, nic nie pomoże. Już po nas.

Nawet papież Jan Paweł II zagrzmiał na argentyńskich polityków. Trzynastego lutego największa gazeta „Clarín” umieściła na pierwszej stronie wielkim drukiem: DEMOKRACJA ARGENTYŃSKA W NIEBEZPIECZŃSTWIE, OSTRZEGA PAPIEŻ. Poprzedniego dnia Jan Paweł II przyjął w Rzymie argentyńskich biskupów. – Kryzys w Argentynie – oznajmił – może doprowadzić do upadku instytucji demokratycznych i mieć reperkusje w całym regionie. Źródła upadku, według papieża: egoizm, brak społecznej solidarności, korupcja polityków, niekompetencja, a przede wszystkim głęboki kryzys moralny społeczeństwa. Papież wzywa do braterskiej solidarności między bliźnimi…

Bo nim wybuchła nagła, sąsiedzka solidarność, w grudniu doszło do plądrowania sklepów i rozpaczliwej – niekiedy zbrojnej – samoobrony właścicieli. Od rozpaczy podszytej egoizmem do „kochajmy się”. Jak w tangu: od ściany do ściany.

Juan Manuel J. jest weteranem peronizmu i rozczarowanym dysydentem partii peronistowskiej. Nie wypada tak pisać o swoich rozmówcach, ale złamię regułę, bo J. jest jak chodząca metafora… Nie ma z przodu kilku zębów, trzęsie nim – ledwo kawę dodźwiga do ust bez rozlania. Jest jak partia peronistowska,

uśmiecha się, że niby OK, trzyma fason, ale jak jest, każdy widzi.

– Arturo, jeśli Międzynarodowy Fundusz Walutowy nie dogada się z naszym rządem, jeśli wzrosną ceny, a wzrosną, jeśli ruszy inflacja, to razem z dwudziestoprocentowym bezrobociem mamy detonator wybuchu. Te zamieszki, kiedy było trzydzieści pięć ofiar, to nic w porównaniu z tym, co może się wydarzyć. Dlatego ten nowy ruch zgromadzeń, który wzbiera na naszych oczach, musi się samoograniczać, inaczej będzie rzeź.

Ktoś inny przypomniał sobie, że Carlos Menem, jeszcze jako prezydent, ostrzegał: jeśli będą społeczne niepokoje, to znów, tak jak za rządów wojskowej junty (1976–1983), będą *desaparecidos,* czyli „zniknięci", czyli zamordowani.

Nikt nie umie powiedzieć, czy Menem groził, czy sugerował, że wie o czymś, na przykład o niezadowoleniu wojska. Przeważa opinia, że bluffował.

W zamach stanu nikt nie wierzy. Chyba że przyjdzie druga, silniejsza fala zamieszek. Ale i wtedy wojsko (za przyzwoleniem Amerykanów – jak mówią w Buenos) będzie tylko pacyfikować nastroje. Rządy żelaznej pięści to, jak wierzą na ogół Argentyńczycy, ponura i odległa historia.

– Kim będziesz, jak dorośniesz?

– Bezrobotnym, jak mój tata.

„Clarín" napisał reportaż o tym, jak dzieci przeżywają argentyńską zapaść. Bezsenność, stres, irytacja, nagłe wybuchy złości, smutek, depresja…

Juan Carlos Volnovich, psychiatra dziecięcy, wyjaśnia, że przyszłość dorosłych jest tak niepewna jak nigdy, a dzieci to odbierają, są w szoku. Szpitale publiczne odnotowują, że wzrosła gwałtownie liczba dzieci pobitych przez rodziców. Zapełniają się dziecięce oddziały szpitali psychiatrycznych – to dzieci, które dostawały ataków paniki, nagłych depresji i lęków.

– Czy jeśli mój tata pójdzie z rewolwerem do banku, żeby mu oddali pieniądze, to go zamkną w więzieniu? – psychiatra przytacza pytanie swojego kilkuletniego pacjenta. – Co mogłem odpowiedzieć? Chyba tylko cytatem z Bertolta Brechta, że większym przestępstwem jest założenie banku niż jego obrabowanie.

Pani profesor sztuk pięknych opowiada o swoich dzieciach: – Przed kryzysem mówiły: kup mi to, kup tamto. Teraz pytają: czy kupisz mi kiedyś, jak będziesz mogła?

– To straszny paradoks – mówi Damián González, fotoreporter, z którym rozmawiam o reportażu z „Clarín". – Kiedy Argentyńczycy przestali się

naprawdę bać, to o rodziców i swoją przyszłość bać się zaczęły dzieci i nastolatki. Słyszałeś już o argentyńskim indywidualizmie z czasów dyktatury. Za junty ludzie się izolowali. Zrywało się kłopotliwe znajomości, nie zawierało nowych, bo znajomy mógł być polityczny albo mógł mieć innego znajomego, który był polityczny, a za to groziły więzienie, tortury albo zniknięcie, wcale nie trzeba było być „wywrotowcem". Argentyńczyk był nieufny w przyjaźni, w pracy, w interesach. A teraz?

– Koniec strachu?

– Tak! Zobacz, pijemy sobie kawę. Załóżmy, że jest gówniana… Argentyńczyk nie pije jej, ale płaci i bez protestu wychodzi z kawiarni. Tak było zawsze. Gdyby zaprotestował, podniósłby się krzyk, przyszedłby policjant… A policjant w Argentynie, to… Ja do dziś jestem mokry, kiedy zatrzymuje mnie drogówka. Przed laty zatrzymali mnie, bo nie miałem biletu w metrze. Po dwóch godzinach wypuścili, ale kolegę pobili i trzymali pięć dni w areszcie. Za brak biletu w metrze! Ale to się skończyło, ludzie przestali się bać. Po raz pierwszy od dwudziestu sześciu lat.

Nawet język już nie ten sam. Academia Porteña del Lunfardo ogłosiła studium zawierające sześćdziesiąt nowych słów i pojęć.

Corralito – limit wypłat z banku, skojarzony z wybiegiem dla zwierząt, zwanym *corral.*

Cacerolazo – marsz protestacyjny z waleniem w garnki (od *cacerola* – garnek).

Piqueteros – ludzie blokujący w proteście społecznym drogi, mosty i inne kluczowe punkty komunikacyjne.

Saqueo – plądrowanie sklepów, bazarów przez zbuntowany tłum.

Pesificar – zamieniać na argentyńską walutę *(peso)* długi lub wierzytelności zaciągnięte w innej walucie.

Dwa razy w Argentynie trafiał mnie szlag. Raz, gdy w Stuletnim Parku jedna pani sprzedawała rewolucyjne broszury, w tym *Dyktaturę proletariatu* Józefa Stalina. (Nieopodal ktoś przypominał na transparentach o trzydziestu tysiącach ofiar wojskowej dyktatury).

– A wie pani, ilu on zamordował ludzi?

– Cóż, robił rzeczy dobre i złe.

– A co dobrego?

– Pomógł pokonać faszyzm.

– I to usprawiedliwia?

– Popełniał błędy, ale my uważamy, że robił rzeczy i złe, i dobre. Pan uważa tak, my tak.

Kilka dni później znajoma, Claudia Stefanetti, która wykładała historię gospodarczą na uniwersytecie, wyjaśniała mi, że Argentyńczycy wiedzą dużo o zbrodniach Hitlera, a o Stalinie nic. Dlaczego? Może dlatego, że po wojnie przyjeżdżało wielu ocalonych z Zagłady, publikowano ich relacje, a ludzie z Syberii jakoś nigdy tu nie dotarli.

Drugi raz – kiedy w telewizorze zobaczyłem, jak w trakcie jednej z dziesiątek demonstracji, które odbywały się codziennie w różnych częściach miasta, ktoś niósł transparent: „Ben Laden byłby w Argentynie świętym". Antyjankesizm jest w Argentynie religią. I bynajmniej nie w pokoleniu starych peronistów czy guevarystów. Wszyscy chodzą do McDonaldsa i wszyscy nienawidzą Wuja Sama. „Błądzić jest rzeczą ludzką, a trafiać celnie – islamską" – jeden z latynoskich dowcipów o zamachu na World Trade Center, który mi powtórzono.

Nocna rozmowa w knajpie. Mercedes opowiada o swojej przyjaciółce, zaprzysięgłej konserwatystce i katoliczce, która woli Fidela Castro od George'a Busha: – Kocham Fidela, mówi znajoma, bo ma twarde jaja, nie dał się tym Jankesom.

Stefan, nauczyciel z Buenos, zauważa przytomnie, że prawdziwe pytanie brzmi nie: czy wolisz Castro, czy Busha?, lecz: czy wolisz mieszkać w Hawanie, czy w Filadelfii?

Jeszcze w samolocie z Buenos Aires do Frankfurtu dyskutuję z dwójką Argentyńczyków. On, student dziennikarstwa z argentyńskiej Cordoby, leciał na studia do Barcelony. Ona, psychiatra, wybierała się na praktykę do Paryża. Gdy na ekranie telewizora pojawia się George Bush jr, krzywią się jak na komendę.

Ona: – Amerykanie zainstalowali nam dyktaturę i zniszczyli gospodarkę. Ten Bush – troglodyta, alkoholik – bombarduje Afganistan… Ale ben Laden nie był dla niej świętym. Zawsze coś.

– Wycierpieliśmy od Ameryki dokładnie tak jak wy od Rosji – mówi Luis García Conde, historyk i deputowany partii peronistowskiej we władzach Buenos Aires. – Polityka USA w Ameryce Łacińskiej była zawsze imperialna. To przy pomocy Amerykanów wprowadzono dyktaturę, która wymordowała trzydzieści tysięcy

ludzi – dużą część elity, związkowców, inteligencję. USA były niby naszym przyjacielem, a jak wybuchła wojna z Wielką Brytanią o Malwiny – Falklady, poparli panią Thatcher. To Ameryka wprowadziła model gospodarki, który zrujnował nasz kraj: prywatyzacje, spekulacje kapitałowe… Wszystko upadło, Argentyna nic dziś nie produkuje.

Serce boli, jak patrzę, ilu młodych ludzi wyjeżdża z kraju. To profesjonaliści, którzy nie widzą dla siebie przyszłości. Uważamy, że naszą przyszłością jest Mercosur, czyli taka mała Unia Europejska obejmująca Argentynę, Brazylię, Paragwaj i Urugwaj. Ale Ameryka znów chce nam urządzić życie w ALCA, czyli strefie wolnego handlu obejmującej oba kontynenty amerykańskie. Chcą nam zrobić dolaryzację, a my chcemy mieć własną walutę. Amerykanie chcieliby pewnie znów rządów wojskowych w Argentynie, ale boją się, że wojsko skręci w stronę nacjonalizmu albo się podzieli i będzie wojna domowa. Nie wykluczamy, że powstanie rząd wojskowy z cywilem na czele. Mówi się, że możliwe są amerykańska interwencja wojskowa albo pucz ze wsparciem amerykańskich żołnierzy w odwodzie.

Nie dowierzam. Wojskowi z łamów prasy zapewniają, że wojsko pozostaje w koszarach.

Do Warszawy przywiozłem z Argentyny kilka fabuł i dokumentów o historii kraju gauczów, *yerba mate* i Diego Maradony. W pierwszej kolejności zacząłem oglądać głośny przed laty film, oparty na faktach, *La noche de los lápices* – o licealistach z La Platy „znikniętych” w czasach wojskowej dyktatury. Włączyłem drugą kasetę – dokument *La república perdida,* przedstawia historię Argentyny ostatnich siedmiu dekad. Zaczynam od drugiej części, na której są zdjęcia z czasu, o którym opowiada film o licealistach. Zdjęcia z 1978 roku, dwa lata po wojskowym zamachu stanu: uśmiechnięty Henry Kissinger przybywa do Argentyny z okazji mistrzostw świata w piłce nożnej. Dusery między niedawnym sekretarzem stanu USA, politycznym współautorem latynoamerykańskich dyktatur, i reżimowymi dziennikarzami. Przed kamerami – fiesta z udziałem symbolu amerykańskiej dyplomacji lat siedemdziesiątych. Poza telewizyjnym kadrem – hekatomba trzydziestu tysięcy zamordowanych i wielokrotnie więcej więzionych, torturowanych.

Obrazy działają silniej niż słowa. Dlaczego niechętna Ameryce fala wzbiera właśnie teraz? Bo zamachy 11 września? Bo kryzys, w którym Stany

Zjednoczone mają udział? Bo koniec strachu? Antyjankeskie emocje istniały zawsze, choć nie zawsze znajdowały ujście. Gdy wybucha rewolucyjny entuzjazm, solidarność, rozpolitykowanie zadawnione urazy urastają do potęgi. Dokąd wszystko to zaprowadzi?

Dwunastego lutego umiera Rodolfo Galimberti. Jego przedwczesna śmierć (miał pięćdziesiąt dwa lata), nabiera w tamtym momencie niewiarygodnej symboliki. Jakby wymyślił ją literat albo scenarzysta.

Żył na krawędzi – jako dowódca partyzantki miejskiej *montoneros* i jako szalony motocyklista, który po pięćdziesiątce gnał na harleyu davidsonie dwieście pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Jako młody chłopak związał się z faszyzującą prawicą, potem zapatrzył się w pozostającego na wygnaniu Juana Perona.

Dowódca *montoneros* zasłynął z porwania biznesmenów – braci Juana i Jorge Bornów – których uwolnił za rekordowy w tamtej epoce okup sześćdziesiąt milionów dolarów (!). Potępiony publicznie przez Perona, politycznie osierocony, żył przez lata w ukryciu – najpierw w kraju, a po wojskowym zamachu stanu – na emigracji.

W latach osiemdziesiątych został przyjacielem i wspólnikiem Jorge Borna, tego samego, którego porwał kilka lat wcześniej. Zaczął wystawnie żyć, szastał pieniędzmi, zmieniał kobiety i pokazywał to światu.

W młodości zaprzysięgły wróg Jankesów, w ostatnich latach życia założył agencję ochroniarsko-detektywistyczną z byłymi agentami CIA. Lobbował na rzecz wielkich amerykańskich firm, mówiło się, że pracował dla CIA. Mimo choroby układu krążenia palił kubańskie cygara, pił Jacka Danielsa i jadł bez umiaru…

Odszedł symbol Argentyny zafascynowanej przemocą – tej z lat siedemdziesiątych – i symbol Argentyny zauroczonej pieniędzmi, konsumpcją, zbytkiem – tej z lat dziewięćdziesiątych.

W stukocie garnków i gorączce nocnych zgromadzeń rodzi się nowa Argentyna…

Pedro, socjolog, przysłał mi pocztą elektroniczną esej o tym, że nie wiadomo, co będzie; esej, a właściwie jak wiersz:

„…rzeki buntu kręty mają bieg. Jedne giną na chwilę między kamieniami, czasami w ogóle znikają, inne wypełnia błoto i brud, ale też oczyszczają przez to

grunt, żeby kwiaty wyrosły piękniejsze… ”

Wybrana bibliografia

Aldunate Arturo Fontaine, *Todos querían la revolución*. Chile 1964–1973, Zig-Zag, Santiago de Chile 1999;

Allende Isabel, *Dom duchów,* tłum. Zbigniew M. Kowalewski, Muza, Warszawa 1998;

Allende Isabel, *Paula,* tłum. Elżbieta Komarnicka, Muza, Warszawa 1998;

Allende Salvador, *Reader. Chile's Voice of democracy,* Ocean Press Melbourne-New York 2000;

Anderson Jon Lee, *Che. A revolutionary life,* Grove Press, New York 1997;

Betto brat, *Fidel i religia,* tłum. Janina Perlin, Małgorzata Dołgolewska, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1986;

Blixen Samuel, *Operación Cóndor,* Virus, Barcelona 1998;

Brasil: nunca mais, Editora Vozes, Petropolis 1998;

Breuer William B., *Vendetta! Castro i bracia Kennedy,* tłum. Grzegorz Woźniak, Magnum, Warszawa 1998;

Bushnell David, *Colombia. A Nation in Spite of Itself,* University of California Press, Berkeley-Los Angeles-London 1993;

Cámara Hélder, *Godzina Trzeciego Świata,* tłum. Jędrzej Bukowski, Donata Eska, Leszek Malewicz, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1973;

Castañeda Jorge, *Compañero. The life and death of Che Guevara,* Bloomsbury, London 1997;

Castañeda Jorge, *La Herencia,* Extra Afaguara, Mexico 1999;

Castañeda Jorge, *Utopia unarmed,* Vintage Books, New York 1994;

Chávez y la Revolución Bolivariana. Conversaciones con Luis Bilbao, Le

Monde Diplomatique, Buenos Aires 2002;

Collier Simón, Sater William F., *Historia de Chile 1808–1994,* Cambridge University Press, Cambridge-New York-Melbourne 1998;

Cormier Jean, *Che Guevara,* tłum. Wacław Sadkowski, Iskry, Warszawa 2000;

Coronil Fernando, *The magical state. Nature, money, and modernity in Venezuela,* The University of Chicago Press, Chicago & London 1997;

Costa Couto Roberto, *História indiscreta de ditadura e da abertura,* Editora Record, Rio de Janeiro-Sao Paulo 1998;

Duhalde Eduardo Luis, *El estado terrorista argentino,* Ediciones El Caballito S.R.L. Buenos Aires 1984;

El libro de los presidentes argentinos del siglo XX, Aguilar, Buenos Aires 2000;

Feijoo Maria del Carmen, *Nuevo país, nueva pobreza,* Fondo de Cultura Economica, Buenos Aires 2001;

Fernández Alina, *Mój ojciec Fidel,* tłum. Agnieszka Józefowicz,

Czytelnik, Warszawa 1999;

Fogel J-F, Rosenthal B., *Fin de siglo en La Habana,* Anaya & Mario Muchnik, Madrid 1995;

Forcano Benjamin, *El Che y la Teología de la Liberación,* Editorial Nueva Utopía, Madrid 1998;

Fraga Rosendo, *Los 90: la ilusión perdida,* Editorial El Ateneo, Buenos Aires 2001;

Fuentes Carlos, W *to wierzę,* tłum. Zofia Wasitowa, Świat Książki, Warszawa 2003;

García Márquez Gabriel, *Morze utraconych opowiadań i inne felietony,* tłum. Agnieszka Rurarz, Muza, Warszawa 2000;

García Márquez Gabriel, *Raport z pewnego porwania,* tłum. Dorota Walasek-Elbanowska, Muza, Warszawa 1997;

Gargiulo Miguel Angel, *Pablo Díaz o la inversión de Werther,* El Editor Interamericano, Buenos Aires 2001;

Gillespie Richard, *Soldados de Perón. Los Montoneros,* Grijalbo, Buenos Aires 1998;

Gott Richard, *In the shadow of the Liberator,* Verso, London 2000;

Grange de la Bertrand, Rico Maite, *Marcos: La genial impostura,* Nuevo

Siglo Aguilar, Mexico 1998;

Graziano Walter, *Las siete plagas de la Argentina,* Grupo Editorial Norma, Buenos Aires 2001;

Guillermoprieto Alma, *The heart that bleeds,* Alfred A. Knopf, New York 1994;

Hitchens Christopher, *The trial on Henry Kissinger,* Verso, London 2002;

Huneeus, *El régimen de Pinochet,* Editorial Sudamericana, Santiago de Chile 2002;

Infante Cabrera Guillermo, *Mea Cuba,* Alfaguara, Madrid 1999;

Karol K.S., *Los guerrilleros en el poder,* Seix Barral, Barcelona 1972;

Kissinger Henry, *White House Years,* Phoenix Press, London 2000;

Kissinger Henry, *Years of Renewal,* Touchstone, New York 2000;

Krauze Enrique, *Odtwarzanie pamięci,* tłum. Joanna Karasek, „Gazeta Wyborcza" z 27 VIII 2001;

Krauze Enrique, *Tarea política,* Tusquets, México 2000;

Kula Marcin, *Historia Brazylii,* Ossolineum, Wrocław 1987;

Larraquy Marcelo, Caballero Roberto, *Galimberti. De Perón a Susana. De Montoneros a la CIA,* Grupo Editorial Norma, Buenos Aires 2001;

Llosa Vargas Mario, *Historia Alejandra Mayty,* tłum. Ewa Zaleska, Rebis, Poznań 2001;

Łepkowski Tadeusz, *Historia Meksyku,* Ossolineum, Wrocław 1986;

Martín de Pozuelo Eduardo, Tarín Santiago, *Hiszpania oskarża Pinocheta,* tłum. Ryszard Ginalski, Da Capo, Warszawa 2000;

Mendoza Plinio Apuleyo, Montaner Carlos Alberto, Vargas Llosa Alvaro, *Manual del perfecto idiota latinoamericano,* Plaza & Janes, Barcelona 1999;

Mills C.W., *Słuchajcie Jankesi,* tłum. E. Danecka, Samuel Kerner, Książka i Wiedza, Warszawa 1961;

Molina Aranguren Mauricio, *Mi confesión. Carlos Castaño revela sus secretos,* Editorial Oveja Negra, Bogotá 2002;

Montaner Carlos Alberto, *The secret report on Cuban Revolution,* Transaction Books, New Brunswick & London 1981;

Montaner Carlos Alberto, *El viaje al corazón de Cuba,* Madryt 2000;

Moura Paulo, *PT: comunismo ou social-democrácia,* Soles-Novo Seculo, Porto Alegra 2001;

Navarro Hernández Luis, *Chiapas. La nueva lucha india,* Talasa, Mexico 1998;

Nunca mas. Informe de la Comisión Nacional sobre la Desaparición de Personas, Edeba, Buenos Aires 2003;

Page Joseph A., *The Brazilians,* Addison-Wesley, New York 1995;

Paz Octavio, *El laberinto de la soledad,* Cátedra Letras Hispánicas, Madrid 1998;

Pérez-Stable Marifeli, *The Cuban Revolution,* Oxford University Press, New York 1999;

Piletti Nelson, Praxedes Walter, *Dom Hélder Cámara,* Atica, Sao Paulo 1997;

Prats Carlos, *Dziennik chilijskiego żołnierza,* tłum. Alicja Zalewska, Wydawnictwo MON, Warszawa 1979;

Romero Luis Alberto, *La crisis argentina. Una mirada al siglo XX,* Siglo XXI Editores Argentina, Buenos Aires 2003;

Ros Enrique, *La aventura africana de Fidel Castro,* Ediciones Universal, Miami 1999;

Sartre Jean-Paul, *Huragan nad cukrem,* tłum. Zbigniew Stolarek, Iskry, Warszawa 1961;

Seoane María, Muleiro Vincente, *El dictador. La historia pública y secreta de Jorge Rafael Videla,* Editorial Sudamericana, Buenos Aires 2001;

Seoane María, *La noche de los lapices,* Editorial Sudamericana, Buenos Aires 2003;

Spyra Jarosław, *Zarys historii Sendero Luminoso,* CESLA, Warszawa 1996;

Sweezy Paul, Hubermann Leo, *Anatomia rewolucji kubańskiej,* Warszawa 1961;

Szulc Tad, *Fidel. A critical portrait,* Post Road Press, New York 2000;

Uribe Armando, Opaso Cristiano, *Intervención norteamericana en Chile,* Editorial Sudamericana, Santiago de Chile 2001;

Valenzuela Arturo, *El quiebre de la democracia en Chile,* Universidad Diego Portales, Santiago de Chile 2003;

Vázquez Montalbán Manuel, *Marcos: El señor de los espejos,* Aguilar, Madrid 1998;

Vázquez Montalbán Manuel, *Y Dios entró en La Habana,* Aguilar, Madrid

1999;

Verbitsky Horacio, *Hacer la corte,* Planeta, Buenos Aires 1993;

Ventura Zuenir, *Cidade partida,* Companhia Das Letras, Rio de Janeiro 1999;

Verdugo Patricia, *Allende. Como la Casa Blanca provoco su muerte,* Catalonia, Santiago de Chile 2002;

Weschler Lawrence, *A miracle, a universe,* Penguin Books, New York & London 1991.